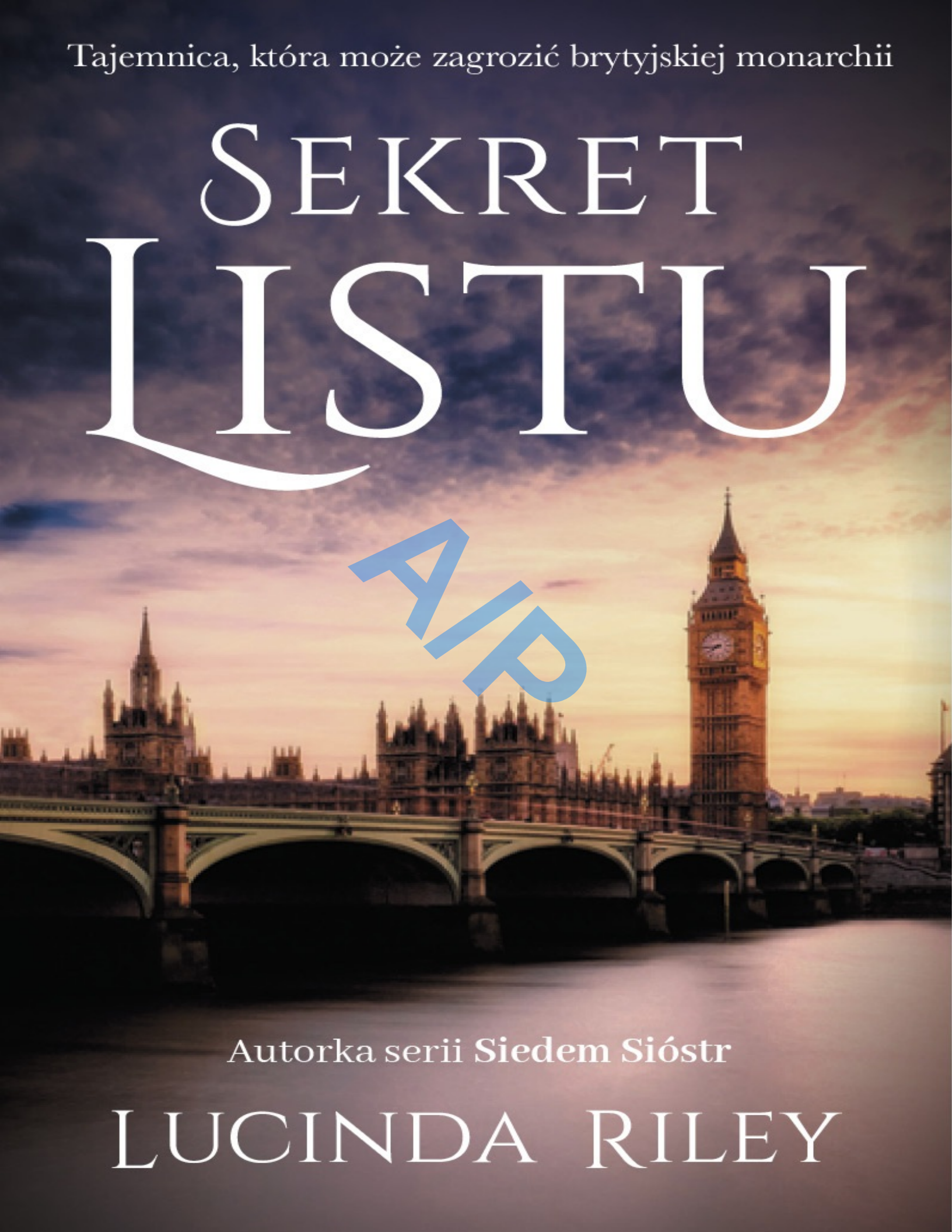
Tajemnica, która może zagrozić brytyjskiej monarchii

SEKRET LISTU



A/R

Autorka serii **Siedem Sióstr**

LUCINDA RILEY

NAJBARDZIEJ PRZEWROTNA POWIEŚĆ AUTORKI CYKLU
SIEDEM SIÓSTR

ZAKAZANA MIŁOŚĆ, NIEBEZPIECZNY LIST I HISTORIA,
KTÓRA SIĘ POWTARZA

Śmierć sławnego aktora Jamesa Harrisona wywołuje poruszenie nie tylko w Wielkiej Brytanii.

Dziennikarka Joanna Haslam, idąc na nabożeństwo żałobne, w którym ma uczestniczyć wiele słynnych osób, liczy na smakowite kąski mogące poprawić jej pozycję w redakcji. Tymczasem uwagę dziennikarki przyciąga pewna staruszka, uniemożliwiając jej polowanie na sensację.

Rozczarowana Joanna nie ma pojęcia, że dzięki nieznajomej otwiera się przed nią szansa na odsłonięcie długo skrywanej tajemnicy, która może wstrząsnąć monarchią. I nie wie, że są ludzie, którzy nie cofną się przed niczym, żeby tylko nie dopuścić, aby pewien napisany przed laty list miłosny wpadł w niepowołane ręce.

LUCINDA RILEY

SEKRET LISTU

AIP

Z angielskiego przełożyli
Paweł Lipszyc
Anna Esden-Tempska

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

LUCINDA RILEY

Lucinda Riley urodziła się w Irlandii. We wczesnej młodości próbowała swoich sił jako aktorka, grała zarówno na deskach teatru, jak i w filmach, pracowała też w telewizji.

Swoją pierwszą powieść napisała w wieku 24 lat. Jej książki zostały przetłumaczone na ponad 30 języków i sprzedane w ponad 13 milionach egzemplarzy na całym świecie. Wielokrotnie trafiały na listy bestsellerów „Sunday Timesa" i „New York Timesa".

Autorka obecnie pracuje nad kolejnymi tomami z fantastycznie przyjętej serii *Siedem Sióstr*, która opowiada historię adoptowanych sióstr nazwanych imionami mitycznych Plejad. Pierwsze cztery książki: *Siedem Sióstr*, *Siostra Burzy*, *Siostra Cienia* i *Siostra Perły* stały się europejskimi bestsellerami. Prawa do serialu na podstawie serii zostały kupione niemal natychmiast przez hollywoodzką firmę producencką!

LUCINDARILEY.COM

Tej autorki

DOM ORCHIDEI
DZIEWCZYNA NA KLIFIE
TAJEMNICE ZAMKU
RÓŻA PÓŁNOCY
SEKRET LISTU

Cykl SIEDEM SIÓSTR

SIEDEM SIÓSTR
SIOSTRA BURZY
SIOSTRA CIENIA

Wkrótce

SIOSTRA PERŁY

AIP

Tytuł oryginału:
THE LOVE LETTER

Copyright © Lucinda Riley 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Paweł Lipszyc & Anna Esden-Tempska 2018

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: Pixabay.com

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Meszka-Magdziarz

ISBN 978-83-8125-292-8

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media



Spis treści

Gambit królewski
- Prolog
- 1
- 2
- 3
- 4

Skoczek białych
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13

Pat
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18

AIP

19
Roszada
20
21
22
23
24
Samotny pion
25
26
27
28
29
Zbicie
30
31
32
33
Szach
34
35
36
37
38
39
Końcówka
40
41
42
Promocja piona na królową

AIP

43
Epilog
Przypisy

AIP

Dla Jeremy'ego Trevathana



Gambit królewski

(*Otwarcie szachowe, w którym białe poświęcają pionka, aby odciągnąć czarnego pionka*).



Prolog

Londyn
20 listopada 1995

– James, kochany, co ty tu robisz?

Zdezorientowany, rozejrzał się, a potem, potykając się, ruszył przed siebie.

Złapała go tuż przed upadkiem.

– Lunatykowałeś, prawda? Chodź, położę cię do łóżka.

Łagodny głos wnuczki utwierdził go w przekonaniu, że wciąż żyje. Wiedział, że stoi tu nie bez powodu, że musiał coś pilnie zrobić, ale odkładał to na ostatnią chwilę…

Umknęło mu to jednak. Zgnębiony, pozwolił, by praktycznie zaniosła go do łóżka; gardził swoimi kruchymi kończynami, przez które czuł się jak bezradne dziecko, gardził niezbornym umysłem, który znowu go zdradził.

– Gotowe – powiedziała, gdy ułożyła go wygodnie. – Jak ból? Chcesz jeszcze trochę morfiny?

– Nie. Proszę…

To morfina robiła mu z mózgu galaretę. Jutro nie weźmie wcale i przypomni sobie, co musi zrobić przed śmiercią.

– Dobrze. Musisz się rozluźnić i spróbować zasnąć. – Wnuczka gładziła go po czole. – Wkrótce przyjdzie lekarz.

Wiedział, że nie wolno mu zasnąć. Zamknął oczy i gorączkowo szukał, przeszukiwał… fragmenty wspomnień, twarze…

Nagle ją ujrzał, tak wyraźnie jak w dniu, gdy spotkał ją pierwszy raz. Taka piękna, łagodna…

– *Pamiętasz, kochanie? List…* – szeptała. – *Obiecałeś go zwrócić…*

Ależ tak…!

Otworzył oczy, ale kiedy próbował usiąść, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz wnuczki. Potem poczuł bolesne ukłucie w zagłębieniu łokcia.

– *James, kochanie, lekarz daje ci coś na uspokojenie* – mówiła.

Nie! Nie!

Słowa ugrzęzły mu w gardle, a gdy igła wbiła się w rękę, zrozumiał, że odkładał to zbyt długo.

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro – wykrztusił.

Wnuczka patrzyła, jak powoli zamyka oczy i jego ciało się rozluźnia. Gdy przytknęła gładki policzek do policzka dziadka, stwierdziła, że jest wilgotny od łez.

*

Besançon, Francja
24 listopada 1995

Powoli weszła do salonu i zbliżyła się do kominka. Dziś było zimno, kaszel się nasilił. Kiedy jej kruche ciało opadło na krzesło, wzięła ze stołu najnowsze wydanie „Timesa”, żeby przy herbacie English Breakfast, którą zawsze piła, przeczytać nekrologi. Na widok nagłówka zajmującego jedną trzecią pierwszej strony z brzękiem uderzyła filiżanką o spodek.

ODEJŚCIE ŻYWEJ LEGENDY

Sir James Harrison, uważany przez wielu za największego aktora swego pokolenia, zmarł wczoraj w swoim londyńskim domu w otoczeniu rodziny. Miał 95 lat. Pogrzeb odbędzie się w przyszłym tygodniu, a w styczniu w Londynie zostanie odprawione nabożeństwo żałobne.

Serce jej się ścisnęło; z najwyższym trudem przeczytała resztę – gazeta tak mocno drżała w jej dłoni. Pod artykułem widniało jego zdjęcie z królową, gdy odbierał Order Imperium Brytyjskiego. Łzy zamazały zdjęcie; wodziła palcem wzdłuż mocnego profilu, po gęstej, siwej czuprynie…

Czy może… czy odważy się wrócić? Tylko ten jeden raz, żeby się pożegnać?

Herbata stygła, a ona przewróciła pierwszą stronę gazety, by czytać dalej, smakować detale jego życia i kariery. Potem jej uwagę przykuł niewielki nagłówek poniżej.

KRUKI ZNIKNĘŁY Z TOWER

Wczoraj wieczorem ogłoszono, że słynne kruki z londyńskiej Tower zniknęły. Według legendy, ptaki urzędowały tam od ponad pięciuset lat, zgodnie z rozkazem Karola II strzegąc Tower i rodziny królewskiej. Wczoraj wieczorem dozorca ptaków zauważył ich zniknięcie. Obecnie toczą się poszukiwania na terenie całego kraju.

– Boże, dopomóż – wyszeptała, a lęk rozlał się po jej starych żyłach. To może zwykły zbieg okoliczności, ale znała tę legendę…

1

Londyn
5 stycznia 1996

Joanna Haslam, czując rzężenie w płucach, pędziła co tchu przez Covent Garden. Wyminęła turystów i dzieciaki idące do szkoły, o mały włos nie zderzyła się z artystą ulicznym, plecak zsunął się jej z ramienia. Na Bedford Street wypadła w chwili, gdy limuzyna zatrzymywała się przed żelazną bramą kościoła Świętego Pawła. Szofer wysiadł, by otworzyć drzwi, a samochód otoczyła chmara fotoreporterów.

Cholera! Cholera!

Resztką sił Joanna przebiegła ostatnie metry dzielące ją od bramy i wpadła na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. Zegar na ceglanym frontonie kościoła potwierdził, że się spóźniła. Zbliżając się do wejścia, omiotła wzrokiem grupę paparazzich i zobaczyła, że jej fotograf Steve zajął idealną pozycję na schodach. Pomachała do niego, a kiedy pokazał jej uniesione kciuki, przecisnęła się przez fotografów stłoczonych wokół osobistości, która właśnie wysiadła z limuzyny. W końcu Joanna znalazła się w kościele. Z żyrandoli zawieszonych pod wysokim sklepieniem padało łagodne światło na wypełnione ławki. W tle słychać było dźwięki podniosłej muzyki organowej.

Joanna szybko machnęła plakietką z akredytacją dziennikarską, po czym z trudem łapiąc oddech, z ulgą zajęła miejsce w ławce na tyłach. Jej ramiona wznosiły się i opadały z każdym oddechem, gdy szperała w plecaku w poszukiwaniu notesu i długopisu.

Choć w kościele panował ziąb, czuła na czole kropelki potu; czarny golf z miękkiej wełny, który wciągnęła w gorączkowym pośpiechu, nieprzyjemnie lepił się do ciała. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. Przeczesała dłonią splątane długie, ciemne włosy, oparła się, zamknęła oczy i usiłowała złapać dech.

Nowy rok zaczął się tak obiecująco. Teraz Joanna czuła, jakby nie tyle strącono ją, ile zrzucono ze szczytu Empire State Building. Błyskawicznie. Bez ostrzeżenia.

A wszystko z powodu Matthew, miłości jej życia, a raczej byłej miłości jej życia.

Przygryzając mocno dolną wargę, próbowała znowu się nie rozpłakać. Wyciągnęła szyję, żeby zlustrować wzrokiem ławki przed ołtarzem, i zobaczyła z ulgą, że członkowie rodziny, na których wszyscy czekali, jeszcze nie przybyli. Za głównymi drzwiami na dworze paparazzi zapalali papierosy i majstrowali przy aparatach. Żałobnicy przed Joanną zaczynali się wiercić na niewygodnych drewnianych ławkach i szeptać do sąsiadów. Pospiesznie wyszukiwała w tłumie najsławniejsze osoby, o których mogłaby wspomnieć w artykule; próbowała je rozpoznać po tyłach głów, w przeważającej mierze siwych lub całkiem białych. Gdy zapisywała nazwiska w notesie, ponownie przypomniała sobie to, co zdarzyło się poprzedniego dnia…

Wczoraj po południu Matthew nieoczekiwanie pojawił się na progu jej mieszkania w Crouch End. Po hucznym imprezowaniu w Boże Narodzenie i sylwestra postanowili rozejść się do swoich mieszkań i odpocząć przed powrotem do pracy. Joannę, niestety,

dopadło najgorsze przeziębienie od lat. Gdy Matthew zapukał, w starej flanelowej piżamie i skarpetach w prążki otworzyła drzwi, ściskając ozdobioną Kubusiem Puchatkiem butelkę wypełnioną gorącą wodą.

Gdy Matthew zaczął się kręcić w drzwiach, nie chciał zdjąć kurtki i patrzył wszędzie, tylko nie na nią, wyczuła, że coś jest nie tak.

Potem powiedział, że trochę „myślał" i że, jego zdaniem, ich związek zmierza donikąd. Może czas dać sobie spokój.

– Jesteśmy razem od sześciu lat, od końca studiów – dodał, obracając w dłoniach rękawiczki, które podarowała mu na Gwiazdkę. – Sam nie wiem… zawsze sądziłem, że z czasem zechcę się z tobą ożenić… no wiesz, oficjalnie połączyć nasze życia. Ale tak się nie stało… – Bez przekonania wzruszył ramionami. – Skoro nie czuję tego teraz, to chyba już nigdy nie poczuję.

Ściskając butelkę z gorącą wodą, Joanna przyglądała się jego twarzy, wyrażającej rezerwę i poczucie winy. W kieszeni piżamy znalazła wilgotną chusteczkę i mocno wysiąkała nos. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Co to za jedna?

Po twarzy i szyi Matthew rozlał się rumieniec.

– Nie chciałem, żeby tak się stało – wymamrotał. – Ale stało się i dłużej nie mogę udawać.

Przypomniała sobie wspólnego sylwestra sprzed czterech dni i doszła do wniosku, że udawał całkiem nieźle.

Miała na imię Samantha. Pracowała w tej samej agencji reklamowej co Matthew. Ni mniej, ni więcej, tylko główna księgowa. Zaczęło się tamtej nocy, kiedy Joanna czaiła się na posła torysów w związku z brudną aferą i nie zdążyła dotrzeć do agencji swojego chłopaka na przyjęcie gwiazdkowe. Słowo „banał" wciąż wirowało

jej w głowie. Ale czyż banały nie są wspólnym mianownikiem ludzkich zachowań?

– Naprawdę próbowałem przestać myśleć o Sam – ciągnął Matthew. – Starałem się przez całe święta. Tak dobrze się bawiłem u twojej rodziny w Yorkshire. Potem, w zeszłym tygodniu, poszedłem z nią tylko na drinka i…

Joanna wypadła. Samantha wskoczyła na jej miejsce. Takie to było proste.

Wpatrywała się w niego bez słowa; w jej oczach płonął szok, gniew i lęk.

– Początkowo sądziłem – mówił dalej – że to zwykłe zauroczenie. Ale skoro czuję coś takiego do innej kobiety, to po prostu nie mogę się zaangażować w związek z tobą. Robię tylko to, co należy. – Spojrzał na Joannę, niemal prosząc, by podziękowała mu za tak szlachetną postawę.

– To, co należy – powtórzyła głucho. Potem po jej rozpalonych gorączką policzkach popłynęły zimne łzy.

Gdzieś w oddali Matthew mamrotał dalsze usprawiedliwienia. Zmuszając się do otwarcia opuchniętych, załzawionych oczu, Joanna osunęła się na sfatygowany skórzany fotel. Czuła się mała i upokorzona.

– Wynoś się – wychrypiała. – Wredny, nikczemny, kłamliwy, cholerny oszuście! Wynocha!

Po fakcie największą udrękę budziło w niej to, że nie musiała go dłużej przekonywać. Wstał, zamruczał coś o swoich rzeczach zostawionych u niej, o tym, żeby spotkali się, kiedy emocje opadną, a potem popędził do drzwi.

Wczorajszy dzień spędziła, wypłakując się przez telefon matce i poczcie głosowej swego najlepszego przyjaciela Simona, płakała w coraz bardziej mokre futerko Kubusia Puchatka na butelce.

W końcu, dzięki sporym ilościom paracetamolu z difenhydraminą i brandy, osunęła się w niebyt, wdzięczna za parę dni wolnego, które należały się jej za pracę po godzinach przed Gwiazdką.

Dziś o dziewiątej rano zadzwoniła jej komórka. Joanna wynurzyła się z farmakologicznego otumanienia i sięgnęła po telefon, modląc się, żeby to był skruszony Matthew, do którego dotarła potworność tego, co zrobił.

– To ja – warknął szorstki głos z akcentem z Glasgow.

Zaklęła bezgłośnie do sufitu.

– Cześć, Alec. – Pociągnęła nosem. – Czego chcesz? Dzisiaj mam wolne.

– Przykro mi, ale nie. Alice, Richie i Bill są chorzy. Odpracowane dni będziesz musiała odebrać sobie kiedy indziej.

– Mogą dołączyć do klubu. – Joanna zakaszlała przesadnie w słuchawkę. – Przykro mi, Alec, ale ja też umieram.

– Spójrz na to tak: pracuj dzisiaj, a kiedy wydobrzejesz, będziesz mogła się cieszyć należnym urlopem.

– Naprawdę nie mogę. Mam gorączkę. Ledwie się trzymam na nogach.

– W takim razie dasz sobie radę. To robota na siedząco w kościele aktorów w Covent Garden. O dziesiątej jest tam nabożeństwo żałobne za sir Jamesa Harrisona.

– Alec, błagam, nie możesz mi tego robić. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to siedzenie w zimnym kościele. Idź na nabożeństwo za mnie.

– Przykro mi, Jo, nie mam wyboru. Zapłacę ci za taksówkę do kościoła i z powrotem. Zaraz po nabożeństwie możesz wrócić do domu i przesłać mi artykuł mailem. Spróbuj porozmawiać z Zoe Harrison, dobra? Wysłałem Steve'a, żeby cyknął foty. Jeśli Zoe się

wystroi, powinniśmy trafić na pierwszą stronę. Dobra, do usłyszenia później.

– Szlag by to! – Joanna opadła obolałymi plecami na poduszkę, ale w końcu zadzwoniła po taksówkę i powlokła się do szafy, żeby znaleźć coś czarnego.

Zazwyczaj kochała swoją pracę, wręcz dla niej żyła, jak często powtarzał Matthew, ale tego ranka poważnie zastanawiała się dlaczego. Po paru fuchach w gazetach lokalnych w zeszłym roku zatrudniła się jako młodsza reporterka w „Morning Mail", jednym z najlepiej sprzedających się dzienników ogólnokrajowych, którego redakcja mieściła się w Londynie. Niestety, z trudem zdobyta pozycja – wciąż jeszcze niska – raczej nie pozwalała Joannie odmawiać. Alec, szef newsroomu, niejednokrotnie przypominał, że za jej plecami kłębi się tysiąc wygłodniałych dziennikarzy. Sześciotygodniowy okres w newsroomie okazał się najcięższym z dotychczasowych wyzwań. Bezlitosne godziny pracy i Alec, na przemian poganiacz niewolników i szczerze oddany zawodowiec, który nie oczekiwał od podwładnych ani krztyny mniej, niż sam był gotów dać.

– W każdej chwili przeniosłabym się do działu lifestyle – mruczała, pociągając nosem, gdy wyciągała z szafy niezbyt czysty czarny golf, grube wełniane rajstopy i czarną spódnicę.

Taksówka przyjechała dziesięć minut później, a potem utknęła w kolosalnym korku na Charing Cross Road.

– Przykro mi, złotko, siła wyższa – powiedział taksówkarz.

Joanna zerknęła na zegarek, wcisnęła mu dziesięć funtów i wyskoczyła z samochodu. Kiedy ciężko dysząc i pociągając nosem, pędziła ulicami w stronę Covent Garden, wątpiła, by życie mogło być gorsze.

Wierni nagle przestali szeptać, co wybiło ją z zamyślenia.

Otworzyła oczy, odwróciła się i ujrzała członków rodziny sir Jamesa Harrisona wchodzących do kościoła.

Na czele szedł Charles Harrison, jedyne dziecko sir Jamesa, dziś już dobrze po sześćdziesiątce. Mieszkał w Los Angeles i kręcił wysokobudżetowe filmy pełne efektów specjalnych. Joanna przypomniała sobie, że kiedyś dostał Oscara, ale nie gustowała w tego typu filmach.

U boku Charlesa Harrisona szła jego córka, Zoe Harrison. Zgodnie z oczekiwaniami Aleca, wyglądała olśniewająco w czarnym kostiumie z krótką spódnicą. Zaczesane do tyłu włosy upięte w wytworny kok uwydatniały jej klasyczną urodę angielskiej róży. Zoe była wschodzącą gwiazdą kina, za którą Matthew wprost szalał. Twierdził, że przypomina mu Grace Kelly – najwyraźniej jego ideał kobiety – co kazało Joannie zastanawiać się, dlaczego spotyka się z ciemnooką, wysoką i chudą brunetką jak ona. Przełykając gulę w gardle, pomyślała, że jest gotowa założyć się o butelkę z Kubusiem Puchatkiem, że Samantha jest drobną blondyneczką.

Zoe Harrison trzymała za rękę dziewięcio-, może dziesięcioletniego chłopca, który najwyraźniej czuł się niezręcznie w czarnym garniturku i krawacie. Syn Zoe, Jamie Harrison, otrzymał imię po pradziadku. Zoe urodziła go w wieku zaledwie dziewiętnastu lat i nigdy nie wyjawiła, kto jest ojcem. Sir James lojalnie bronił wnuczki i jej decyzji o urodzeniu dziecka, a także tego, by zachować ojcostwo chłopca w tajemnicy.

Joanna pomyślała, że Jamie jest bardzo podobny do matki: takie same delikatne rysy, jasna cera, wielkie, niebieskie oczy. Zoe Harrison starała się trzymać chłopca jak najdalej od kamer. Jeśli Steve zdołał uchwycić matkę i syna razem, zdjęcie powinno trafić na pierwszą stronę jutrzejszego wydania.

W następnej kolejności szedł brat Zoe, Marcus Harrison. Joanna

przyjrzała mu się, gdy mijał jej ławkę. Choć jej myśli nadal zaprzątał Matthew, musiała przyznać, że Marcus Harrison to prawdziwe ciacho, jak by powiedziała jej koleżanka reporterka Alice. Joanna pamiętała go z kronik towarzyskich; ostatnio widywano go u boku jasnowłosej brytyjskiej celebrytki o trójczłonowym nazwisku. W odróżnieniu od siostry był śniady, miał jednak takie same niebieskie oczy i emanował samczą pewnością siebie. Z włosami prawie do ramion, w wymiętej czarnej marynarce i białej koszuli rozpiętej pod szyją prezentował się bardzo charyzmatycznie. Joanna z trudem oderwała od niego wzrok. Następnym razem wezmę na cel faceta w średnim wieku, który lubi obserwować ptaki i zbierać znaczki, obiecała sobie. Próbowała skojarzyć, z czego żył Marcus Harrison… chyba stawiał pierwsze kroki jako producent filmowy. Z pewnością na takiego wyglądał.

– Dzień dobry, panie i panowie – przemówił pastor z ambony. Przed nim stało duże zdjęcie zmarłego okolone białymi różami. – Rodzina sir Jamesa Harrisona pragnie państwa powitać i podziękować za to, że zjawiliście się tu, by złożyć hołd przyjacielowi, koledze, ojcu, dziadkowi, pradziadkowi i może największemu aktorowi w tym kraju. Tych, którym dane było dobrze go poznać, nie zdziwi fakt, że sir James życzył sobie, aby to wydarzenie nie było smutne, lecz radosne. Zarówno jego rodzina, jak i ja uszanowaliśmy jego wolę. Dlatego zaczniemy od ulubionego hymnu sir Jamesa *I Vow to Thee My Country*. Proszę wszystkich o powstanie.

Joanna rozprostowała obolałe nogi, ciesząc się, że organy zaczęły grać akurat w chwili, gdy głośno zakaszlała. Kiedy sięgnęła po kartkę z planem nabożeństwa, uprzedziła ją drobna dłoń z niemal przezroczystą skórą, pod którą widniały niebieskie żyły.

Po raz pierwszy popatrzyła w lewo i przyjrzała się swojej

sąsiadce. Zgięta ze starości kobieta sięgała jej najwyżej do piersi. Wspierała się o krawędź ławki, a dłoń trzymająca kartkę mocno drżała. To był jedyny widoczny fragment jej ciała. Resztę skrywał czarny płaszcz do kostek; twarz zasłaniała czarna woalka.

Nie mogąc czytać z powodu drżenia dłoni staruszki, Joanna pochyliła się i zapytała:

– Czy mogłybyśmy się podzielić?

Nieznajoma podała jej kartkę, a ona położyła tak, by staruszka również ją widziała. Joanna próbowała śpiewać, ale to, co wydobywało się z jej gardła, było raczej chrypieniem. Gdy hymn się skończył, a jej sąsiadka zaczęła siadać, Joanna bez słowa podała jej rękę, starsza pani zignorowała jednak pomoc.

– Na początek przyjaciel zmarłego, sir Laurence Sullivan, przeczyta jego ulubiony sonet, *Sweet Rose of Virtue* Dunbara.

Wierni siedzieli cierpliwie, gdy sędziwy aktor szedł w kierunku ołtarza. Po chwili kościół wypełnił słynny wyrazisty głos, który kiedyś elektryzował tysiące widzów w teatrach całego świata.

– *Słodka różo cnoty, przecudna lilio…*

Uwagę Joanny odwróciło skrzypienie za plecami; drzwi otworzyły się i wpadł podmuch mroźnego powietrza. Do kościoła wszedł młody mężczyzna pchający wózek inwalidzki; zatrzymał się obok ławki po drugiej stronie przejścia, zostawił wózek i wyszedł z kościoła. W tym momencie Joanna usłyszała rzężenie, przy którym jej własne problemy z oskrzelami wydawały się błahostką. Siedząca obok niej staruszka, która najwyraźniej miała atak astmy, wpatrywała się spod woalki w mężczyznę siedzącego na wózku inwalidzkim.

– Nic pani nie jest? – szepnęła dość idiotycznie Joanna, kiedy starsza pani, nadal nie spuszczając wzroku z wózka, przyłożyła dłoń do piersi.

Pastor zapowiedział następny hymn i wierni powstali. Staruszka chwyciła ją za rękę i pokazała drzwi za ich plecami.

Joanna pomogła jej wstać, objęła ją w talii i właściwie dowlokła do końca ławki. Kiedy się tam znalazły, staruszka wtuliła się w jej płaszcz jak dziecko pragnące ochrony. Zimne stalowoszare oczy człowieka na wózku inwalidzkim omiotły je obie. Joanna wzdrygnęła się, oderwała wzrok od mężczyzny i pomogła staruszce dotrzeć do drzwi kościoła, gdzie stał człowiek, który wcześniej pchał wózek.

– Ta pani… – odezwała się Joanna. – Ona potrzebuje…

– …powietrza – wykrztusiła staruszka.

Mężczyzna pomógł wyprowadzić starszą panią na szary styczniowy dzień. Zeszli po schodach i dotarli do jednej z ławek na dziedzińcu. Zanim Joanna zdążyła poprosić o dalszą pomoc, młody człowiek czmychnął z powrotem do kościoła i zamknął drzwi. Staruszka osunęła się na ławkę, oddychając z najwyższym trudem.

– Mam wezwać karetkę? – spytała Joanna. – Pani oddech nie brzmi najlepiej.

– Nie! – wydyszała starsza pani z siłą niepasującą do jej kruchego ciała. – Wezwij taksówkę. Zawieź mnie do domu. Proszę…

– Naprawdę sądzę, że powinna pani…

– Proszę! Taksówka! – Kościste palce zacisnęły się na nadgarstku Joanny.

– Dobrze. Proszę tu poczekać.

Joanna wybiegła przez bramę na Bedford Street i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Taksówkarz uprzejmie wysiadł i pomógł doprowadzić starszą panią do samochodu.

– Nic jej nie jest? – spytał, gdy usadowili ją na tylnym siedzeniu. – Trochę słabo oddycha. Nie powinna pojechać do szpitala?

– Twierdzi, że chce jechać do domu. – Joanna nachyliła się

i zajrzała do taksówki. – A właściwie gdzie jest pani dom?

– Ja… – Wysiłek związany z wsiadaniem do taksówki najwyraźniej wyczerpał staruszkę; siedziała, ciężko dysząc.

– Przykro mi, kochanie. – Taksówkarz pokręcił głową, patrząc na Joannę. – Nie mogę nigdzie zawieźć tej pani w takim stanie, na pewno nie samej. Nie chcę zgonu w taksówce. Za duży kłopot. Mógłbym ją zabrać, gdybyś ty też pojechała. Wtedy nie ja będę odpowiadał, tylko ty.

– Ja jej nie znam… To znaczy… jestem w pracy… W tej chwili powinnam być w kościele.

– Przykro mi, kochana – zwrócił się do staruszki. – Musisz wysiąść.

Uniosła woalkę i Joanna ujrzała przerażone mlecznobłękitne oczy.

– Proszę – wyszeptała staruszka.

– Dobrze, dobrze. – Joanna westchnęła z rezygnacją i zajęła miejsce z tyłu. – Dokąd?

– … Mary… Mary…

– Nie. Dokąd? – powtórzyła Joanna.

– Mary… le…

– Ma pani na myśli Marylebone? – spytał zza kierownicy taksówkarz.

Starsza pani z wyraźną ulgą przytaknęła.

– Robi się.

Gdy ruszyli, staruszka niespokojnie wyglądała przez okno. Oparła głowę na czarnym skórzanym zagłówku i zamknęła oczy; jej oddech stopniowo wrócił do normy.

Joanna westchnęła. Coraz lepiej. Alec ukrzyżowałby ją, gdyby wiedział, że wyszła z kościoła przed zakończeniem nabożeństwa. Historia o starszej pani, która zasłabła, nie zrobiłaby na nim

wrażenia. Staruszki interesowały Aleca tylko wtedy, gdy pobił je skinhead, ukradł rentę i zostawił na pewną śmierć.

– Jesteśmy już prawie w Marylebone. Możesz spróbować się dowiedzieć, dokąd dokładnie jedziemy? – spytał taksówkarz.

– Marylebone High dziewiętnaście. – Głos starszej pani zabrzmiał tak mocno i wyraźnie, że Joanna spojrzała na nią zdziwiona.

– Lepiej się pani czuje?

– Tak, dziękuję. Przepraszam za kłopot. Powinna pani tu wysiąść – powiedziała, gdy zatrzymali się na światłach. – Dam już sobie radę.

– Nie. Odprowadzę panią do domu. Skoro już tu jestem…

Staruszka pokręciła głową najmocniej, jak potrafiła.

– Proszę, dla pani własnego dobra. Ja…

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Pomogę pani wejść do domu i sobie pójdę.

Westchnęła, skuliła się i nie odezwała się więcej ani słowem, dopóki taksówka się nie zatrzymała.

– Jesteśmy, kochana. – Taksiarz, wyraźnie uradowany, że pasażerka nie zeszła podczas jazdy, otworzył drzwi.

– Niech pan to weźmie. – Staruszka wręczyła mu pięćdziesięciofuntowy banknot.

– Niestety, nie mam wydać – powiedział, pomógł jej wysiąść na chodnik i podtrzymał ją, póki nie podeszła Joanna.

– Proszę. – Joanna podała mu dwadzieścia funtów. – Niech pan tu na mnie poczeka. Wracam za moment.

Starsza pani zdążyła już uwolnić się z jej uścisku i niepewnym krokiem szła w stronę drzwi obok kiosku. Joanna ruszyła za nią.

– Mogę? – spytała, gdy staruszka artretycznymi palcami usiłowała wsunąć klucz do zamka.

– Dziękuję.

Joanna przekręciła klucz, otworzyła drzwi, a starsza pani niemal w nie wpadła.

– Wejdź, wejdź, szybko!

– Ja… – próbowała protestować Joanna, która po odwiezieniu tej kobiety do domu zamierzała wrócić do kościoła. – No dobrze. – Niepewnie weszła do środka, a staruszka natychmiast zatrzasnęła za nią drzwi.

– Proszę iść za mną. – Ruszyła do drzwi po lewej stronie wąskiego korytarza. Po zmaganiach z kolejnym kluczem wreszcie je otworzyła, a Joanna wkroczyła za nią w ciemność. – Światło jest tuż za tobą po prawej.

Joanna pstryknęła włącznik i ujrzała, że stoi w niedużym zatęchłym holu. Przed sobą miała troje drzwi, po prawej schody.

Gdy staruszka otworzyła jedne z drzwi i zapaliła światło, oczom Joanny ukazał się pokój pełen poustawianych w sterty drewnianych skrzynek po herbacie. Na środku stało wąskie zardzewiałe żelazne łóżko. Pod ścianą, wciśnięty między skrzynki, stał stary fotel. Silny zapach moczu przyprawiał Joannę o mdłości.

Starsza pani podeszła do krzesła, usiadła z westchnieniem ulgi i wskazała leżącą przy łóżku skrzynkę po herbacie.

– Tabletki… moje tabletki.

Joanna ostrożnie przeszła między skrzynkami i wzięła leki; zauważyła, że ulotka z zaleceniem dawkowania jest po francusku.

– Dziękuję. Poproszę dwie. I wodę.

Podała jej szklankę wody, która stała obok lekarstwa, otworzyła buteleczkę, wysypała dwie tabletki na drżącą dłoń i patrzyła, jak kobieta je połyka. Joanna zastanawiała się, czy wypada już odejść. Panujący w pokoju zaduch i przygnębiająca atmosfera dawały się jej we znaki. Wzdrygnęła się i zapytała:

– Na pewno nie potrzebuje pani lekarza?

– Na pewno. Dobrze wiem, co mi dolega, kochanie. – Na ustach starszej pani pojawił się nieznaczny uśmiech.

– No tak… Niestety, powinnam wracać do kościoła. Muszę napisać artykuł.

– Jesteś dziennikarką? – Teraz, gdy staruszka w pełni odzyskała głos, mówiła z akcentem angielskich wyższych sfer.

– Tak. Pracuję jako młodsza reporterka w „Morning Mail".

– Jak się nazywasz, kochanie?

– Joanna Haslam. – Joanna wskazała skrzynki. – Czy pani się przeprowadza?

– Chyba można tak to nazwać. – Zamglone niebieskie oczy zapatrzyły się w dal. – Długo tu już nie zabawię. Może dobrze, że tak się to kończy…

– Co pani ma na myśli? Jeśli jest pani chora, zabiorę panią do szpitala.

– Nie, nie. Na to jest już za późno. Wracaj do swego życia, kochanie. Do widzenia. – Starsza pani przymknęła oczy.

Joanna obserwowała ją przez chwilę, a kiedy kobieta zaczęła pochrapywać, cicho wyszła z pokoju, nie mogąc dłużej znieść jego atmosfery, i pobiegła z powrotem do taksówki.

Gdy wróciła do Covent Garden, nabożeństwo żałobne dobiegło już końca. Limuzyna Harrisonów odjechała, a przed kościołem stała tylko grupka żałobników. Całkowicie przybita Joanna zdołała zebrać od nich garść wypowiedzi, wezwała taksówkę i uznała, że zmarnowała cały ranek.

2

Ktoś dzwonił do drzwi. Brzęczenie wwiercało się w obolałą głowę Joanny.

– Boooże – jęknęła, gdy zdała sobie sprawę, że gość, kimkolwiek jest, nie zamierza sobie pójść.

Matthew?

Ta myśl podniosła ją na duchu tylko na ułamek sekundy. Matthew świętował pewnie wolność szampanem w łóżku z Samanthą.

– Idź sobie! – zawyła i wytarła nos w starą koszulkę swojego eks, co trochę poprawiło jej humor.

Dzwonek rozbrzmiał znowu.

– Szlag by to!

Skapitulowała, wypełzła z łóżka, powlokła się do drzwi i otworzyła.

– Cześć, seksowny kociaku. – Simon miał czelność uśmiechać się do niej. – Wyglądasz fatalnie.

– Cześć – wymamrotała, przytrzymując się drzwi.

– Chodź do mnie.

Utonęła w przyjemnie znajomych objęciach. Mierzący metr dziewięćdziesiąt Simon był jednym z niewielu ludzi, przy których wysoka Joanna czuła się drobna i krucha.

– Wczoraj w nocy po powrocie do domu odsłuchałem twoją wiadomość. Przepraszam, że nie mogłaś się wypłakać.

– W porządku. – Wtulona w ramię przyjaciela, pociągnęła nosem.

– Wejdźmy do środka, zanim z ubrania zaczną ci zwisać sople, dobra? – Wciąż mocno ją obejmując, Simon zamknął drzwi i zaprowadził Joannę do niedużego salonu. – Jezu, ależ tu ziąb.

– Przepraszam. Całe popołudnie przeleżałam w łóżku. Jestem potwornie przeziębiona.

– No co ty! – droczył się z nią Simon. – Usiądź.

Zrzucił na podłogę stare gazety, książki i pojemniki z makaronem i zaschniętym sosem. Joanna osunęła się na niewygodną kanapę w kolorze limonki. Kupiła ją tylko dlatego, że Matthew podobał się kolor, a potem zawsze tego żałowała. Ilekroć ją odwiedzał, siadywał w starym skórzanym fotelu po jej babci. Niewdzięczny sukinsyn, pomyślała.

– Jesteś w słabej formie, prawda, Jo?

– Zgadza się. Oprócz tego, że Matthew mnie rzucił, dziś rano Alec posłał mnie, żebym opisała nabożeństwo żałobne, chociaż miałam wolne. W efekcie wylądowałam na Marylebone High z dziwaczną staruszką, która mieszka w pokoju pełnym drewnianych skrzynek po herbacie.

– Kurczę. A ja odbębniam godziny w Whitehall, gdzie dzisiaj najbardziej ekscytującą rzeczą było to, z czym będzie kanapka.

Z trudem się uśmiechnęła w uznaniu tej próby rozweselenia jej.

Simon usiadł na kanapie i ujął dłonie Joanny.

– Naprawdę strasznie mi przykro, Jo.

– Dzięki.

– Ta sprawa z Matthew jest definitywnie zakończona czy to po prostu wyboje na drodze do szczęścia małżeńskiego?

– To koniec, Simon. Ma kogoś nowego.

– Chcesz, żebym skopał mu tyłek? Poprawiłoby ci to humor?

– Prawdę mówiąc, tak, ale w rzeczywistości nie. – Potarła policzki. – Najgorsze, że w takich chwilach człowiek ma się godnie zachowywać. Kiedy ludzie pytają, jak się masz, powinnaś machać ręką i mówić: „Dzięki, wszystko w porządku. On nic dla mnie nie znaczył, a jego odejście to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała. Teraz mam więcej czasu dla siebie i przyjaciół, nawet zaczęłam haftować!”. Ale to wszystko brednie. Gdybym mogła odzyskać Matthew i dawne życie, byłabym gotowa czołgać się po rozżarzonych węglach. Ja… go kocham. Potrzebuję go. Jest mój. Należy… do mnie.

Simon obejmował ją, gdy łkała. Delikatnie gładził ją po włosach i słuchał, jak wylewają się z niej szok, żal, zagubienie. Kiedy się wypłakała, łagodnie ją odsunął i wstał.

– Rozpal w kominku, nastawię wodę na herbatę.

Zapaliła gaz w kominku i ruszyła za nim do małej kuchni. Usiadła przy laminowanym stoliku w rogu, gdzie jadła z Matthew tyle leniwych niedzielnych lunchów, tyle intymnych kolacji przy świecach. Simon krzątał się przy herbacie, a jej wzrok powędrował ku szklanym słojom stojącym równo na blacie.

– Zawsze nie cierpiałam pomidorów suszonych na słońcu – odezwała się w zamyśleniu. – Matthew za nimi przepadał.

– Cóż. – Simon wziął słoje z niechcianymi pomidorami i wyrzucił je do śmieci. – Czyli wynikło jednak z tego coś pozytywnego.

– Właściwie, kiedy tak się teraz zastanawiam, było wiele rzeczy, które Matthew lubił, a ja tylko udawałam, że lubię. – Joanna wsparła podbródek na dłoniach.

– Na przykład?

– Och, oglądanie zakręconych zagranicznych filmów w niedzielę w Lumière, kiedy wolałam zostać w domu i obejrzeć głupi serial. Drugą sprawą była muzyka. Owszem, dopuszczam muzykę

poważną w małych dawkach, ale nigdy nie pozwalał mi puszczać moich albumów *ABBA Gold* ani *Take That*.

– Przykro mi to wyznać, ale tu jestem po stronie Matthew. – Simon roześmiał się, zalewając wrzątkiem torebki. – Wiesz, jeśli mam być szczery, zawsze czułem, że Matthew aspiruje do bycia osobą, którą, jak uważał, powinien być.

– Masz rację. – Westchnęła ciężko. – Ja po prostu byłam dla niego za mało imponująca. Ale taka właśnie jestem: nudna dziewczyna z klasy średniej z Yorkshire.

– Zapewniam cię, że nie jesteś zwyczajna. Ani nudna. Może szczera, stąpasz mocno po ziemi, owszem, ale akurat te cechy zasługują na podziw. – Trzymaj. – Podał jej kubek z herbatą. – Chodź, odtajmy przy ogniu.

Joanna usiadła na podłodze przed kominkiem, między kolanami Simona, i wypiła łyk herbaty.

– Boże, Simon, na myśl o tym, że znowu będę musiała umawiać się na randki, robi mi się słabo. Mam dwadzieścia siedem lat, jestem za stara, żeby zaczynać od początku.

– To prawda, jesteś sędziwą staruszką. Czuję powiew mogiły.

– Nie żartuj z tego! – Trzepnęła go w łydkę. – Przyzwyczajanie się do samotności zajmie mi całe wieki.

– Problem z nami, ludźmi, polega na tym, że nie lubimy zmian. Jestem pewien, że z tego powodu wiele żałosnych par trzyma się razem, chociaż dla obojga byłoby lepiej, gdyby się rozstali.

– Prawdopodobnie masz rację. Spójrz na mnie: całymi latami jadłam suszone pomidory! A skoro mowa o parach… Czy twoja Sara się odezwała?

– Tydzień temu przysłała mi kartkę z Wellington. Wygląda na to, że uczy się żeglować. To był długi rok rozłąki. W lutym wraca z Nowej Zelandii, więc zostało już tylko parę tygodni.

– To takie miłe z twojej strony, że na nią czekałeś.

– Jeśli kogoś kochasz, dajesz mu wolność. Czy nie tak brzmi stare porzekadło? Jeśli po powrocie Sara nadal będzie mnie chciała, oboje będziemy wiedzieli, że to działa.

– Tego nie możesz być nigdy pewny. Ja też sądziłam, że to między Matthew i mną działa.

– Dzięki za słowa otuchy. – Simon uniósł brwi. – Daj spokój, masz pracę, mieszkanie i mnie. Jesteś twarda, Jo. Zobaczysz, spadniesz na cztery łapy.

– Pod warunkiem że nadal mam pracę, do której mogę wrócić. Ten artykuł o nabożeństwie za sir Jamesa Harrisona był beznadziejny. Cała ta sprawa z Matthew, przeziębienie, do tego ta dziwna staruszka…

– Mówisz, że mieszka w pokoju pełnym skrzynek po herbacie? Na pewno nie majaczyłaś?

– Na pewno. Powiedziała, że nie zabawi tam długo, więc się nie rozpakowuje. – Joanna przygryzła wargę. – Fuj… jak tam cuchnęło sikami… Czy to nas czeka na starość? To wszystko totalnie mnie przygnębiło. Siedziałam tam i myślałam, że skoro życie ma nam do zaoferowania coś takiego, to po co się męczyć?

– Trafiłaś pewnie na jedną z tych dziwaczek, co mieszkają w chlewie, ale mają miliony w banku. Albo w skrzynkach po herbacie. Trzeba było sprawdzić.

– Wszystko z nią było dobrze, dopóki nie zobaczyła starszego gościa na wózku inwalidzkim. Jego widok śmiertelnie ją przeraził.

– To pewnie jej były mąż. Może w tych skrzynkach były jego miliony. – Simon się zaśmiał. – Tak czy siak, najdroższa, muszę lecieć. Do jutra muszę coś zrobić.

Joanna odprowadziła go do drzwi. Przyjaciel mocno ją uścisnął.

– Dzięki za wszystko – powiedziała i pocałowała go w policzek.

– Zawsze do usług. Jutro zadzwonię z pracy. Trzymaj się, Butch.

– Dobranoc, Sundance[1].

Zamknęła za nim drzwi i w wyraźnie lepszym nastroju wróciła do salonu. Simon zawsze potrafił ją rozweselić. Przyjaźnili się całe życie. Mieszkał z rodziną na sąsiedniej farmie w Yorkshire i chociaż był od Joanny o kilka lat starszy, z powodu braku innego towarzystwa na pustkowiu spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Jako jedynaczka i chłopczyca, uwielbiała towarzystwo Simona. Nauczył ją łazić po drzewach, grać w krykieta i piłkę nożną. Podczas długich letnich wakacji galopowali na kucach po wrzosowiskach, bawili się w kowbojów i Indian. Tylko wtedy ze sobą walczyli i zawsze Simon – bardzo niesprawiedliwie – domagał się, żeby to on przeżył, a ona zginęła.

– To moja zabawa, bawimy się według moich reguł – upierał się, tonąc w wielkim kowbojskim kapeluszu. Po pościgu na wrzosowiskach nieodmiennie zachodził przyjaciółkę od tyłu.

– Bang, bang! Nie żyjesz! – wołał, mierząc do niej ze strzelby zabawki, a ona zataczała się, padała na trawę, udawała agonię i wreszcie umierała.

W wieku trzynastu lat Simon wyjechał do szkoły z internatem i rzadziej się widywali. Podczas wakacji wracała dawna bliskość, ale oboje nawiązali nowe przyjaźnie. Kiedy Simon dostał się do Trinity College w Cambridge, uczcili to szampanem na wrzosowiskach. Dwa lata później Joanna wyjechała do Durham studiować anglistykę.

Potem ich drogi niemal zupełnie się rozeszły; Simon poznał w Cambridge Sarę, a na ostatnim roku w Durham Joanna spotkała Matthew. Dopiero w Londynie – gdy przypadkiem odkryli, że mieszkają o dziesięć minut od siebie – przyjaźń rozkwitła na nowo.

Joanna wiedziała, że Matthew nigdy tak naprawdę nie polubił

Simona. Oprócz tego, że górował nad nim fizycznie, po ukończeniu Cambridge Simon dostał posadę wysokiego urzędnika państwowego w Whitehall. Co prawda zawsze mówił skromnie, że jest zwykłym gościem z Whitehall – cały Simon – ale szybko mógł sobie pozwolić na mały samochód i przytulne mieszkanko z jedną sypialnią na Highgate Hill. Tymczasem Matthew robił za popychadło w agencji reklamowej, a parę lat temu zaproponowano mu posadę niskiego szczebla, która pozwalała jedynie na wilgotną kawalerkę w Stratford.

Może, pomyślała nagle Joanna, Matthew ma nadzieję, że wysoka pozycja Samanthy w agencji pomoże mu w karierze.

Potrząsnęła głową. Postanowiła więcej dziś o nim nie myśleć. Zaciskając zęby, puściła głośno płytę Alanis Morissette. Pieprzyć sąsiadów, pomyślała, idąc do łazienki, żeby napuścić do wanny gorącej wody. Ponieważ co sił w płucach śpiewała ochryple *You Learn*, a woda leciała z kranu, nie usłyszała kroków na krótkiej ścieżce prowadzącej do drzwi wejściowych, nie zobaczyła też twarzy zaglądającej przez okno salonu na parterze. Gdy wychodziła z łazienki, intruz właśnie się oddalał.

Spokojniejsza, wykąpana, zrobiła sobie kanapkę z serem, zaciągnęła zasłony w salonie i usiadła przed kominkiem, żeby ogrzać stopy. Nieoczekiwanie spłynęła na nią fala optymizmu co do przyszłości. Pewne rzeczy, które powiedziała Simonowi w kuchni, brzmiały trochę jak żart, ale tkwiła w nich prawda. Matthew i ona mieli bardzo niewiele wspólnego. Teraz była wolnym elektronem, liczyło się jedynie jej dobro; koniec stawiania własnych uczuć na drugim miejscu. To jej życie, wszystko ma w swoich rękach i nie pozwoli, by Matthew zrujnował jej przyszłość.

Nie czekając, aż pozytywny nastrój wyparuje i ponownie opadną ją czarne myśli, łyknęła parę tabletek paracetamolu i poszła spać.

3

– Do widzenia, kochanie. – Przytuliła go, wdychając znajomy zapach.

– Do widzenia, mamo. – Jamie na chwilę wtulił się w matczyny płaszcz, potem cofnął się, żeby zobaczyć jej twarz.

Zoe Harrison odchrząknęła i zamrugała, by powstrzymać łzy. Ta chwila nie stawała się łatwiejsza przez to, że powtarzali ją już tyle razy. Ponieważ jednak płacz w obecności przyjaciół syna nie uchodził, uśmiechnęła się dzielnie.

– Za dwa tygodnie w niedzielę przyjadę zabrać cię na lunch. Zaproś Hugo, może zechce iść z nami.

– Jasne.

Chłopiec stał skrępowany przy samochodzie, Zoe zrozumiała więc, że czas ruszać. Nie mogła się oprzeć chęci odgarnięcia kosmyka jasnych włosów z twarzy syna. Jamie przewrócił oczami i przez chwilę miała przed sobą nie poważnego młodzieńca, na którego wyrastał, ale małego chłopca, jakiego pamiętała. Gdy tak stał, w granatowym mundurku szkolnym, w krawacie zawiązanym schludnie, jak nauczył go jej dziadek, Zoe poczuła ogromną dumę z syna.

– Dobrze, skarbie. Znikam. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Albo jeśli po prostu zechcesz pogadać.

– Tak zrobię, mamo.

Usiadła za kierownicą, zamknęła drzwi i uruchomiła silnik. Po chwili opuściła szybę.

– Kocham cię. Trzymaj się. Pamiętaj, żeby ciepło się ubierać i nie zostawaj w mokrych skarpetach po rugby dłużej niż trzeba.

– Tak, mamo. – Jamie się zaczerwienił. – Do widzenia.

Zoe, wyjeżdżając z podjazdu, widziała w lusterku wstecznym, jak syn macha do niej wesoło. Skręciła i znikł jej z oczu. Gdy po przejechaniu przez bramę znalazła się na drodze, otarła ręką łzy i sięgnęła do kieszeni płaszcza po chusteczkę. Po raz setny powtórzyła sobie, że w takich chwilach cierpi bardziej niż Jamie. Zwłaszcza teraz, po odejściu dziadka.

Czekała ją godzinna droga powrotna do Londynu. Wypatrując drogowskazów, po raz kolejny zastanawiała się, czy odwiezienie dziesięcioletniego syna do szkoły z internatem nie było błędem, zwłaszcza teraz, kilka tygodni po śmierci jego pradziadka. Z drugiej strony Jamie uwielbiał szkołę, kolegów, regularny rytm dnia – wszystko, czego nie mogła mu zapewnić w domu. W szkole rozkwitał, dorastał, wybijał się na niezależność.

Nawet jej ojciec zwrócił na to uwagę, gdy wczoraj wieczorem odwiozła go na Heathrow. Żal spowodowany śmiercią ojca wyraźnie go przytłoczył i Zoe zauważyła na jego przystojnej, opalonej twarzy oznaki starości.

– Świetnie sobie radzisz, kochanie, powinnaś być z siebie dumna. Twój syn też – powiedział jej na ucho, przytulając Zoe na pożegnanie. – Przywieź Jamiego do Los Angeles na wakacje. Spędzamy razem za mało czasu. Brakuje mi ciebie.

– Ja też za tobą tęsknię – odparła Zoe i stała, lekko oszołomiona, gdy ojciec przechodził przez bramkę kontroli bezpieczeństwa. Tak rzadko ją chwalił. Albo jej syna.

Wróciła myślami do dnia, gdy w wieku osiemnastu lat odkryła,

że jest w ciąży, i niemal umarła z szoku i zgrozy. Dopiero co skończyła szkołę, dostała się na studia, więc perspektywa przyjścia na świat dziecka zakrawała na żart. Mimo gniewu i krytyki ze strony ojca i znajomych, a także presji z zupełnie innego źródła, w głębi serca Zoe wiedziała, że musi urodzić to dziecko. Jamie był wyjątkowym, magicznym darem, owocem miłości, z której wciąż, mimo upływu dziesięciu lat, nie całkiem się otrząsnęła.

Gdy włączyła się na autostradzie w sznur samochodów sunących do Londynu, ojcowskie słowa sprzed lat dzwoniły jej w uszach.

„Czy ten facet, który zmajstrował ci dziecko, zamierza się z tobą ożenić? Wierz mi, Zoe, jesteś zdana na siebie. To twój błąd, więc sama go napraw!”

Małżeństwo nigdy wchodziło w grę, pomyślała smutno.

Podczas gdy wszyscy wokół niej darli się wniebogłosy, tylko dziadek zachował spokój, rozsądek i dawał jej wsparcie.

Zoe zawsze była jego oczkiem w głowie. W dzieciństwie nie miała pojęcia, że ten miły starszy pan o głębokim głosie, który nie życzył sobie, by nazywała go „dziadkiem”, bo go to postarza, jest jednym z najwybitniejszych aktorów klasycznych w kraju. Zoe dorastała z matką i starszym bratem, Marcusem, w wygodnym domu w Blackheath. Gdy miała trzy lata, rodzice się rozwiedli i rzadko widywała ojca, Charlesa, który przeniósł się do Los Angeles. Zastąpił go jej dziadek, James Harrison. Najmilsze wspomnienia z dzieciństwa Zoe wiązały się z Haycroft, domem dziadka w Dorset, z sypialniami na strychu i sadem.

James Harrison właściwie był już wtedy na emeryturze, czasem tylko „skakał” za ocean i grał rólkę w filmie, „żeby zarobić na chleb”, jak mawiał. Zoe zawsze mogła na niego liczyć. Zwłaszcza po tym, jak jej matka zginęła w wypadku samochodowym dosłownie metry od domu. Zoe miała wtedy dziesięć, Marcus – czternaście lat.

Z pogrzebu zapamiętała jedynie, jak tuli się do dziadka, patrząc na jego stężałą twarz i łzy płynące po policzkach, kiedy pastor odmawiał modlitwę. Posępne nabożeństwo było pełne napięcia. Zoe musiała włożyć sztywną czarną sukienkę, a koronkowy kołnierzyk drapał ją w szyję.

Ojciec wrócił wtedy z Los Angeles i próbował pocieszyć córkę i syna, których prawie nie znał, ale to dziadek ocierał jej łzy i tulił, gdy w nocy zanosiła się płaczem. Próbował też pocieszyć Marcusa, lecz ten zamknął się w sobie i nie chciał rozmawiać o matce. Ból po jej stracie zamknął głęboko w sercu.

Charles Harrison zabrał córkę do Los Angeles, a syn został w Anglii w szkole z internatem. Zoe miała poczucie, że straciła nie tylko matkę, ale i brata… w jednej chwili całe życie.

Gdy w upalny dzień dotarła do urządzonego w stylu hacjendy domu ojca w Bel Air, odkryła, że ma „ciocię Debbie", która nie tylko mieszkała z tatą, ale także sypiała z nim w jednym łóżku. Ciocia Debbie miała bardzo jasne włosy, kipiała seksem i niezbyt uśmiechała się jej obecność dziesięcioletniej córki Charlesa.

Zoe posłano do szkoły w Beverly Hills, której szczerze nie cierpiała. Rzadko widywała ojca, mozolnie budującego karierę reżyserską. Debbie wprowadziła własne metody wychowawcze: kolacje przed telewizorem i niekończące się kreskówki. Zoe tęskniła za angielskimi porami roku, nienawidziła upału i akcentu głośnych mieszkańców Los Angeles. W długich listach do dziadka błagała, żeby przyjechał i zabrał ją z powrotem do ukochanego Haycroft; przekonywała go, że potrafi o siebie zadbać. Jeśli tylko pozwoli jej wrócić do domu, nie będzie przysparzała mu problemów.

Sześć miesięcy po przyjeździe Zoe do Los Angeles przed dom zajechała taksówka, z której wysiadł James Harrison w wytwornej panamie, uśmiechnięty od ucha do ucha. Zoe do dziś pamiętała

bezbrzeżną radość, z jaką zbiegła po schodach i padła dziadkowi w ramiona. Rycerz przybył na wezwanie, aby ją wybawić. Debbie oddelegowano na basen, gdzie usiadła cała w dąsach, a Zoe zwierzyła się dziadkowi ze swego nieszczęścia. Jej ojciec, który akurat kręcił film w Meksyku, przystał na to, by dziadek zabrał ją z powrotem do Anglii.

W trakcie długiego lotu Zoe siedziała uradowana obok dziadka, z malutką rączką w jego dużej dłoni. Opierając się na silnym, pewnym ramieniu, wiedziała, że chce być tam gdzie on.

Polubiła przytulną szkołę z internatem w Dorset, z której wracała do domu na weekendy. James Harrison zawsze serdecznie witał przyjaciół wnuczki, czy to w Londynie, czy w domu Haycroft. Dopiero na widok rodziców kolegów i koleżanek, którzy przychodząc po swoje dzieci, otwierali szeroko oczy i z podziwem ściskali dłoń sir Jamesa Harrisona, zaczęło do niej docierać, jaką sławą cieszy się dziadek. Gdy dorastała, zaczął przekazywać jej swoją miłość do Szekspira, Ibsena i Wilde'a. Oboje regularnie chodzili na spektakle do Barbican, Teatru Narodowego czy Old Vic. Noce spędzali wtedy w okazałym londyńskim domu Jamesa, a w niedziele siedzieli przed kominkiem i czytali teksty obejrzanych sztuk.

W wieku siedemnastu lat Zoe wiedziała, że chce zostać aktorką. Dziadek zgromadził prospekty szkół teatralnych i razem rozważali plusy i minusy poszczególnych uczelni. W końcu uznali, że Zoe powinna najpierw pójść na anglistykę i dopiero po zrobieniu dyplomu spróbować dostać się na studia aktorskie.

– Na uniwersytecie będziesz studiować klasyczne teksty, co z pewnością przyda ci się na scenie i pozwoli w pełni chłonąć wiedzę w szkole teatralnej – powiedział dziadek. – Poza tym, z dyplomem z anglistyki będziesz miała plan rezerwowy.

– Myślisz, że polegnę jako aktorka? – spytała Zoe, szczerze przerażona.

– Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Przede wszystkim jesteś moją wnuczką. Ale jesteś tak śliczna, że bez dyplomu nie będą cię traktować poważnie.

Wspólnie postanowili, że jeśli w szkole średniej uzyska tak dobre wyniki, jak oczekiwali, Zoe będzie studiować anglistykę w Oksfordzie.

Ale się zakochała. W ostatniej klasie liceum.

Cztery miesiące później zaszła w ciążę i wpadła w czarną rozpacz. Cała pieczołowicie planowana przyszłość legła w gruzach.

Przerażona, niepewna reakcji dziadka Zoe wykrztusiła prawdę podczas kolacji. Trochę zbladł, lecz spokojnie pokiwał głową i spytał, co zamierzała z tym fantem zrobić. Zalała się łzami. Sytuacja była tak okropna, tak skomplikowana, że Zoe nie mogła o wszystkim powiedzieć nawet ukochanemu dziadkowi.

Ojciec w towarzystwie Debbie przyleciał do Anglii, wrzeszczał na córkę, wyzywał od idiotek i pytał, kto jest ojcem. W ciągu okropnego tygodnia, gdy ważyły się losy dziecka, dziadek dawał jej wsparcie, siłę i odwagę. Ani razu nie zapytał, kto jest ojcem. Nie pytał o powody jej podróży do Londynu, gdy odbierał ją, wyczerpaną i bladą, na stacji Salisbury, gdzie z płaczem rzuciła się mu w ramiona.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby nie jego miłość, wsparcie i niewzruszona wiara w słuszność jej decyzji, nie dałaby sobie rady.

Jamie przyszedł na świat i Zoe zobaczyła, jak niebieskie oczy dziadka zachodzą łzami, gdy po raz pierwszy wziął prawnuka na ręce. Poród nastąpił przed terminem i przebiegł tak szybko, że nie zdążyła do oddalonego o pół godziny drogi szpitala. Tak więc Jamie urodził się na łożu Jamesa Harrisona w domu Haycroft przy

pomocy miejscowej położnej. Zoe leżała wyczerpana i zachwycona, kiedy dziadek wziął na ręce jej kwilącego synka.

– Witaj na świecie, maleńki – szepnął i delikatnie pocałował noworodka w czoło.

Właśnie wtedy postanowiła, że da synowi imię po nim.

Nie wiedziała, czy więź zrodziła się już wtedy, czy w następnych tygodniach, gdy matka i pradziadek na zmianę wstawali w nocy do płaczącego, cierpiącego na kolkę maleństwa. James był dla jej syna zarówno ojcem, jak i przyjacielem. Starszy pan spędzał z chłopcem mnóstwo czasu i jakimś cudem znajdował energię na zabawę. Po powrocie do domu Zoe zastawała go w ogrodzie rzucającego piłkę, by Jamie mógł ją kopnąć. Zabierał prawnuka na wyprawy przyrodnicze krętymi wiejskimi ścieżkami Dorset; przekazywał mu wiedzę o kwiatach rosnących na łąkach i w ich bujnym ogrodzie. Piwonie, lawenda i szałwia przepychały się na szerokich klombach. W połowie lipca przez okno napływała woń ukochanych róż Jamesa.

To był piękny, spokojny czas; Zoe cieszyła się samą obecnością syna i dziadka. Jej ojciec był u szczytu kariery, właśnie otrzymał Oscara i rzadko się odzywał. Starała się tym nie przejmować, ale wczoraj na lotnisku, kiedy ją objął i powiedział, że za nią tęskni, poczuła niewidzialną więź.

On też się starzeje, pomyślała, wjeżdżając na rondo i kierując się ku centrum Londynu.

Kiedy Jamie miał trzy lata, dziadek namówił Zoe, żeby spróbowała dostać się do szkoły teatralnej.

– Jeśli cię przyjmą, możemy zamieszkać na Welbeck Street – powiedział. – Jamie wkrótce powinien zacząć chodzić do przedszkola. Dziecko powinno się socjalizować.

– Jestem pewna, że się nie dostanę – mruknęła, gdy w końcu dała

się przekonać do spróbowania szczęścia w Królewskiej Akademii Teatralnej, dokąd z Welbeck mogła dojechać na rowerze.

A jednak ją przyjęli. Dzięki pomocy młodej francuskiej opiekunki, która odbierała Jamiego z przedszkola i robiła lunch dla chłopca i jego pradziadka, Zoe ukończyła trzyletnie studia.

Na jej przedstawienie dyplomowe dziadek zaprosił swojego agenta teatralnego i grupę zaprzyjaźnionych speców od castingu.

– Kochanie, niezależnie od tego, czy jesteś aktorką, czy rzeźnikiem, świat stoi na nepotyzmie! – wyjaśnił.

Po ukończeniu studiów miała już własnego agenta i rólkę w serialu telewizyjnym. Jamie chodził do szkoły, a kariera aktorska Zoe rozkwitała. Żałowała jedynie, że angażowano ją do filmów, a nie teatrów, bo przecież to scena była jej pierwszą miłością.

– Przestań narzekać, moja droga – upomniał ją dziadek, gdy wróciła do domu po bezowocnym dniu na planie we wschodnim Londynie. Z powodu ulewnego deszczu nie nakręcili ani jednego ujęcia. – Masz pracę, a młoda aktorka nie może liczyć na nic więcej. Na Royal Shakespeare Company przyjdzie jeszcze czas, obiecuję.

Jeśli nawet w ciągu następnych trzech lat zauważyła u dziadka oznaki starzenia, chyba nie dopuszczała tego do siebie. Dopiero gdy zaczął się krzywić z bólu, uparła się, żeby poszedł do lekarza.

Zdiagnozowano nowotwór jelita w zaawansowanym stadium, z przerzutami do wątroby i dwunastnicy. Z powodu podeszłego wieku lekarze nie zalecali wycieńczającej chemioterapii. Pozostawała jedynie opieka paliatywna, aby czas, jaki mu pozostał, mógł spędzić w spokoju, bez urządzeń podtrzymujących życie. Przede wszystkim James Harrison chciał być w domu, a nie w szpitalu.

Łzy napłynęły do oczu Zoe na myśl o czekającym ją pustym domu na Welbeck Street, gdzie jeszcze dwa tygodnie wcześniej

unosiła się przyjemna woń tytoniu Old Holborn, który dziadek wbrew zakazom palił aż do śmierci. W ostatnich miesiącach życia był bardzo osłabiony, wzrok i słuch odmawiały mu posłuszeństwa, liczące dziewięćdziesiąt pięć lat kości błagały o spoczynek. Ale jego charyzma, poczucie humoru i optymizm wciąż wypełniały dom.

W lecie Zoe podjęła trudną decyzję o umieszczeniu syna w szkole z internatem, dla jego dobra. Nie chciała go zmuszać do patrzenia, jak ukochany pradziadek rozsypuje się na jego oczach. Zdawała sobie sprawę, że musi najłagodniej, jak to możliwe, wprowadzić chłopca w życie bez Wielkiego Jamesa, jak go nazywał Jamie. Jej syn nie widział pogłębiających się bruzd na twarzy pradziadka, drżenia dłoni, gdy grali w Snap, ani tego, jak starszy pan zasypiał w fotelu po lunchu i nie budził się do wieczora.

Tak więc Jamie wyjechał we wrześniu do szkoły, gdzie na szczęście się zadomowił, a Zoe przerwała karierę aktorską, by opiekować się coraz słabszym dziadkiem.

W pewien przenikliwie chłodny listopadowy wieczór chwycił ją za rękę, gdy zabierała filiżankę po herbacie.

– Gdzie jest Jamie?

– W szkole.

– Może przyjechać w ten weekend? Muszę go zobaczyć.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– To bystry chłopak, bystrzejszy niż większość jego rówieśników. Odkąd przyszedł na świat, zdawałem sobie sprawę, że nie jestem nieśmiertelny. Wiedziałem, że odejdę, kiedy on będzie jeszcze chłopcem. Przygotowałem go na to.

– Rozumiem. – Dłoń, w której trzymała filiżankę, drżała nie mniej niż dłoń dziadka.

– Sprowadzisz go? Powinienem się z nim zobaczyć. Jak najszybciej.

– Dobrze.

W weekend Zoe niechętnie zabrała syna ze szkoły. W drodze do domu powiedziała mu, jak ciężko chory jest Wielki James. Jamie, z włosami opadającymi na twarz, skinął głową; nie zdradzał emocji.

– Wiem. Powiedział mi o tym w przerwie semestralnej. Obiecał, że mnie wezwie, jak… nadejdzie czas.

Gdy pobiegł na górę do pradziadka, Zoe chodziła nerwowo po kuchni, niepokojąc się, jak syn zareaguje na widok Wielkiego Jamesa w takim stanie.

Wieczorem, kiedy jedli we trójkę kolację w pokoju Jamesa, Zoe spostrzegła, że starszy pan wyraźnie poweselał. Większość weekendu Jamie spędził w sypialni pradziadka. Gdy w końcu poszła na górę i oznajmiła synowi, że czas wracać do szkoły, by zdążyć przed niedzielną ciszą nocną, jej dziadek rozłożył szeroko ręce, by uściskać prawnuka.

– Żegnaj, stary druhu. Dbaj o siebie i o matkę.

– Tak. Kocham cię! – Jamie przywarł do pradziadka z dziecięcą spontanicznością.

W drodze do szkoły w Berkshire niewiele rozmawiali, ale gdy wjeżdżali na parking, chłopiec oświadczył:

– Wiesz, już nigdy nie zobaczę Wielkiego Jamesa. Powiedział mi, że wkrótce odejdzie.

Zoe spojrzała na poważną twarz syna.

– Tak mi przykro, kochanie.

– Nie martw się, mamo. Rozumiem.

Pomachał jej i wbiegł po schodach do szkoły.

Niespełna tydzień później sir James Harrison, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, umarł.

Zoe zaparkowała przy krawężniku na Welbeck Street, wysiadła z samochodu i spojrzała na dom, za którego utrzymanie teraz odpowiadała. Choć fasadę dodano później, w czasach wiktoriańskich, budynek z czerwonej cegły stał tu od ponad dwustu lat. Widziała, że framugi okienne wysokich okien pilnie domagają się naprawy. W odróżnieniu od sąsiednich, dom wyginał się łagodnym łukiem, niczym przyjemnie napełniony brzuch. Miał pięć kondygnacji, a okna na poddaszu mrugały do Zoe jak para wesołych oczu. Weszła po schodach, otworzyła ciężkie drzwi i zamknęła za sobą, zbierając z podłogi korespondencję. Oddech Zoe parował w mroźnym powietrzu; zadrżała i zapragnęła zaszyć się w zacisznym domu Haycroft. Czekała ją jednak praca. Wkrótce przed śmiercią dziadek gorąco namawiał ją, by przyjęła główną rolę w nowej filmowej wersji *Tessy d'Urberville* w reżyserii Mike'a Wintera, cieszącego się coraz większą sławą młodego brytyjskiego reżysera. Dając dziadkowi scenariusz – jeden z wielu przysyłanych jej co tydzień – nie spodziewała się, że go przeczyta.

Zrobił to jednak.

– Rola taka jak Tessy nie trafia się co dzień – powiedział, ujmując jej dłoń. – To wyjątkowy scenariusz. Z całego serca namawiam cię, byś przyjęła tę rolę. Ten film zrobi z ciebie gwiazdę, jak na to zasługujesz.

Nie musiał mówić o „ostatnim życzeniu". Zoe wyczytała to w jego oczach.

Teraz, nie zdejmując płaszcza, przeszła korytarzem i włączyła termostat. Stary bojler zagrzechotał, budząc się do życia, a Zoe modliła się w duchu, by rury nie zamarzły na mrozie. Po wejściu do kuchni ujrzała w zlewie kieliszki po winie i brudne popielniczki po wczorajszym przyjęciu, które musiała wydać po nabożeństwie. Z przyklejonym do twarzy wyrazem wdzięczności przyjmowała

kondolencje od dziesiątek osób; niektórzy raczyli ją wspomnieniami o dziadku.

Bez entuzjazmu wysypywała zawartość popielniczek do śmieci, myśląc o tym, że większość pieniędzy za *Tessę* pójdzie na remont starego domu; nawet kuchnia była w dość opłakanym stanie.

Lampka automatycznej sekretarki migała, więc Zoe odsłuchała wiadomość.

„Zoe? Zoeeee??! Dobra, nie ma cię w domu. Zadzwoń do mnie. Natychmiast. Mówię serio. To pilne!”

Skrzywiła się, słysząc bełkot brata. Ze zgrozą patrzyła na strój Marcusa na wczorajszym nabożeństwie – nie miał nawet krawata – a ze stypy wymknął się najszybciej, jak mógł, bez pożegnania. Wiedziała, że brat się dąsa.

Tuż po śmierci dziadka jej ojciec i Marcus przyszli na odczytanie testamentu. Prawie całe oszczędności oraz dom Haycroft sir James Harrison postanowił przeznaczyć na fundusz powierniczy dla Jamiego do czasu, gdy ten skończy dwadzieścia jeden lat. Oprócz tego polisa na czesne szkolne i uniwersyteckie dla Jamiego. Dom na Welbeck Street przypadł w udziale Zoe, która dostała też pamiątki po karierze scenicznej dziadka, wypełniające strych Haycroft. Nie zostawił jednak wnuczce gotówki. Zoe rozumiała, że chciał, by miała motywację do dalszej kariery aktorskiej. Pewną kwotę przeznaczono na „stypendium pamięci sir Jamesa Harrisona”, dla dwojga utalentowanych młodych ludzi, których nie stać na dobrą szkołę teatralną. James Harrison życzył sobie, aby wnuczka i wnuk zajęli się tą sprawą. Marcusowi zostawił w spadku sto tysięcy funtów, „na otarcie łez”, jak stwierdził Marcus. Gdy odczytano testament, poczuła niemal namacalne rozczarowanie brata.

Zoe włączyła czajnik, zastanawiając się, czy oddzwonić do niego; wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, pewnie on zadzwoni do niej

o nieludzkiej godzinie, bełkocząc pijacko w słuchawkę. Mimo jego nieznośnego egocentryzmu kochała brata, pamiętała wspólne dzieciństwo i to, jaki zawsze był dla niej miły i dobry. Niezależnie od tego, jak Marcus zachowywał się teraz, wiedziała, że ma dobre serce. Niestety, zakochiwał się w niewłaściwych kobietach i zupełnie nie miał głowy do interesów, przez co regularnie był spłukany i przygnębiony.

Po studiach wyjechał do ojca do Los Angeles, gdzie próbował szczęścia jako producent filmowy. Od ojca i dziadka Zoe dowiedziała się, że sprawy nie potoczyły się po jego myśli. W ciągu dziesięciu lat spędzonych w Los Angeles kolejne projekty Marcusa rozsypywały się w pył, budząc rozczarowanie jego i ojca, który w nie inwestował. Marcus był bankrutem.

– Problem z tym młodym człowiekiem polega na tym, że ma serce na właściwym miejscu, ale jest marzycielem – orzekł dziadek przed trzema laty, gdy Marcus wrócił z Los Angeles do Anglii z podwiniętym ogonem. Ten jego nowy projekt… – Klepnął propozycję filmu, którą wnuk przysłał mu w nadziei, że ją sfinansuje. – Mamy tu przyzwoity etos polityczny i moralny, ale gdzie historia? – James Harrison odmówił finansowania.

Nawet jeśli brat sam podejmował złe decyzje, Zoe czuła się winna, ponieważ dziadek faworyzował ją i jej syna zarówno za życia, jak i w testamencie.

Z kubkiem herbaty w ręce przeszła do salonu, powiodła wzrokiem po sfatygowanych mahoniowych meblach, wytartej kanapie, starych, zapadających się krzesłach. Ciężkie adamaszkowe story wyblakły; w delikatnym materiale pojawiły się drobne pionowe rozstępy, jak gdyby nóż przeciął adamaszek niczym masło. Idąc na górę do sypialni, pomyślała, że zdejmie wytarte dywany i sprawdzi, czy da się uratować drewnianą podłogę…

Przystanęła przed drzwiami sypialni dziadka. Po usunięciu wszystkich ponurych akcesoriów związanych z jego życiem i śmiercią pokój ział pustką. Pchnęła drzwi i weszła, wyobrażając sobie, jak uśmiechnięty dziadek siada na łóżku.

Nagle opuściły ją wszystkie siły; skuliła się pod ścianą, wstrząsana łkaniem z żalu i bólu. Aż do tej chwili, z powodu Jamiego, nie pozwalała sobie na płacz. Teraz, gdy po raz pierwszy znalazła się sama, rozpłakała się nad sobą; opłakiwała stratę prawdziwego ojca i najlepszego przyjaciela.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, drgnęła. Znieruchomiała w nadziei, że niepożądany gość odejdzie i pozwoli jej lizać rany w samotności.

Intruz był jednak uparty.

– Zoe! – usłyszała znajomy głos przez otwór na listy. – Wiem, że jesteś w domu, widzę twój samochód. Wpuść mnie!

– Szlag by cię… Marcus! – zaklęła gniewnie pod nosem i otarła łzy, po czym zbiegła po schodach, otworzyła drzwi i ujrzała brata opartego o kamienny portyk.

– Jezu, siostro! – powiedział Marcus na jej widok. – Wyglądasz równie fatalnie jak ja.

– Dzięki.

– Mogę wejść?

– Skoro już tu jesteś, lepiej wejdź – warknęła i odsunęła się, by go przepuścić.

Ruszył prosto do barku w salonie i zanim zdążyła zamknąć drzwi, nalał sobie z karafki solidną porcję whisky.

– Zamierzałem spytać, jak się trzymasz, ale twoja twarz mówi wszystko – odezwał się, osuwając się na skórzany fotel.

– Marcus, powiedz, czego chcesz. Mam mnóstwo na głowie…

– Nie udawaj, że jest ci tak ciężko. Przecież stary Jim zostawił ci

tę chatę. – Marcus zatoczył ręką łuk, wskazując salon, i o mały włos nie rozlał whisky.

– Zostawił ci sporo pieniędzy – rzuciła Zoe przez zaciśnięte zęby. – Wiem, że jesteś zły…

– Żebyś wiedziała! Jestem o krok od przekonania Bena MacIntyre'a, żeby reżyserował mój nowy projekt. Musi mieć jednak pewność, że zebrałem potrzebne środki. Wystarczy sto tysięcy na koncie firmowym i Ben się zgodzi.

– Cierpliwości. Kiedy testament zostanie zatwierdzony, dostaniesz pieniądze. – Zoe usiadła na kanapie i zaczęła masować skronie. – Nie możesz zaciągnąć pożyczki?

– Znasz moją zdolność kredytową. Firma Marc One Films też nie ma najlepszej historii finansowej. Jeżeli będę zwlekał, Ben zajmie się czym innym. Zoe, gdybyś poznała tych ludzi, sama chciałabyś w to wejść. To będzie najważniejszy film dziesięciolecia, jeśli nie stulecia…

Westchnęła. W minionych tygodniach sporo się nasłuchała o najnowszym projekcie brata.

– Wkrótce musimy zacząć się ubiegać o pozwolenie na filmowanie w Brazylii. Gdyby tylko tata pożyczył mi forsę do czasu zatwierdzenia testamentu, ale odmówił. – Marcus utkwił gniewne spojrzenie w siostrze.

– Nie możesz winić taty, że ci odmawia. Kilka razy ci pomagał.

– Ale teraz jest inaczej. Przysięgam, Zoe, to punkt zwrotny.

Przyjrzała się bratu; wyglądał znacznie gorzej niż jeszcze kilka tygodni temu. Poważnie martwiła się jego piciem.

– Wiesz, że nie mam gotówki, Marcus.

– Daj spokój, Zoe! Na pewno mogłabyś dostać kredyt hipoteczny na ten dom albo postarać się o krótkoterminową pożyczkę, zanim testament zostanie uwierzytelniony.

– Dosyć! – Uderzyła w poręcz kanapy. – Co za dużo, to niezdrowo! Tylko siebie posłuchaj! Naprawdę się dziwisz, że dziadek nie zostawił ci tego domu? Przecież wiedział, że natychmiast byś go sprzedał. Prawie go nie odwiedzałeś, kiedy był chory. To ja się nim opiekowałam, ja go kochałam… – Z trudem zapanowała nad łzami.

– No tak… – Marcus wyglądał na autentycznie zawstydzonego. Spuścił wzrok i łyknął whisky. – Zawsze byłaś jego oczkiem w głowie, co? Na mnie prawie nie spojrzał.

– Co się z tobą dzieje? – spytała cicho. – Zależy mi na tobie, naprawdę chcę ci pomóc, ale…

– Nie ufasz mi. Tak jak tata i jak sir Jim. To jest prawdziwy powód, tak?

– Och, Marcus, trudno się dziwić, zważywszy na to, jak się ostatnio zachowujesz. Sama nie wiem, kiedy ostatni raz widziałam cię trzeźwego…

– Daruj sobie to „Och, Marcus”! Po śmierci mamy każdy chciał się zajmować biedną Zoe! A ja? Kogo obchodziłem?

– Jeśli zamierzasz odgrzebywać stare dzieje, rób to na własną rękę. Ja nie mam na to sił. – Wstała i pokazała drzwi. – Zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz. Nie zamierzam z tobą rozmawiać, dopóki jesteś w takim stanie.

– Zoe…

– Mówię poważnie, Marcus. Kocham cię, ale musisz wziąć się w garść.

Wstał ciężko, zostawiając szklankę na dywanie, i ruszył do drzwi.

– Pamiętaj, że na początku przyszłego tygodnia idziemy razem na premierę! – zawołała.

Brat nie odpowiedział, a po chwili usłyszała trzaśnięcie

drzwiami.

Poszła do kuchni i zaparzyła rumianek na uspokojenie; potem przejrzała puste szafki. Na kolację musiała się zadowolić chipsami. Przerzuciła leżącą przy telefonie korespondencję w poszukiwaniu zaproszenia na premierę filmu, do którego zdjęcia skończyły się krótko przed tym, jak dziadkowi postawiono diagnozę. Gdy wysuwała zaproszenie z koperty, żeby sprawdzić szczegóły i przesłać je Marcusowi SMS-em, zwróciła uwagę na nazwisko u góry kartki.

– O Jezu – wyszeptała.

Osunęła się na fotel, czując, jak żołądek wykonuje salto.

AIP

4

Marcus Harrison przeszedł obskurny zaułek na tyłach czynnego całą dobę totalizatora przy North End Road i wszedł do domu. Z przegródki na klatce schodowej wydobył stertę listów – niewątpliwie w każdym grożono mu wyrwaniem wszystkich włosów łonowych, jeśli natychmiast nie zapłaci wymienionej kwoty – i wszedł na piętro. Krzywiąc się na smród ścieków, otworzył drzwi swojego mieszkania, zamknął je za sobą i ciężko się o nie oparł.

Chociaż dochodziła osiemnasta, a pił poprzedniego dnia, kac męczył go niemiłosiernie. Rzucając rachunki na blat, żeby zbierały kurz z innymi, Marcus ruszył do salonu i do na wpół opróżnionej butelki whisky. Nalał sobie solidną porcję do brudnej szklanki i wychylił, czując, jak rozlewa się w nim miłe ciepło. Posępnie zaczął się zastanawiać, gdzie popełnił błąd.

Oto on, najstarszy syn zamożnego człowieka sukcesu, wnuk najbardziej wychwalanego aktora w kraju. Słowem, następca tronu.

Do tego względnie przystojny, przyzwoity, miły… nawet dla swojego nudnego, dziwacznego siostrzeńca… w sumie był człowiekiem, którego nigdy nie powinno opuszczać powodzenie. A jednak nic mu nie wychodziło.

Co powiedział mu ojciec po nabożeństwie żałobnym, gdy Marcus błagał go o pożyczenie stu tysięcy funtów do czasu zatwierdzenia testamentu? Że jest „leniwym pijakiem”, który spodziewa się, że inni będą rozwiązywali jego problemy. Boże, to naprawdę zabolało.

Niezależnie od tego, co ojciec myśli na jego temat, Marcus wiedział, że zawsze się starał. Po śmierci matki tak bardzo za nią tęsknił, że przez dwa lata odczuwał niemal fizyczny ból. Nie potrafił wyrazić żalu – samo słowo „mama" sprawiało, że ściskało mu się gardło – a w surowym świecie brytyjskich szkół dla chłopców człowiek nie może sobie pozwolić na roztkliwianie się nad sobą. Więc zamknął się w sobie i ciężko pracował, dla matki. Ale czy ktokolwiek zwrócił na to uwagę? Nikt! Wszyscy byli zajęci zamartwianiem się młodszą siostrzyczką. Kiedy postanowił spróbować szczęścia w Los Angeles jako producent, wybierając filmy, które na pewno spodobałyby się matce, ponieważ „mówiły coś o świecie", ponosił jedno fiasko po drugim.

Ojciec wykazał wtedy zrozumienie.

– Wracaj do Londynu, Marcus. Los Angeles nie jest dla ciebie. W Anglii bardziej doceniają niskobudżetowe filmy artystyczne, jakie chcesz produkować.

Trzeba przyznać, że Charles Harrison dał synowi sowitą sumę pieniędzy na wygodne życie w Londynie. Marcus wprowadził się do przestronnego mieszania w Notting Hill i założył firmę Marc One Films.

Potem zakochał się w Harriet, długonogiej blondynce z Londynu – zawsze miał słabość do ładnych blondynek – którą poznał na planie jednego z filmów z Zoe. Harriet, stawiającej pierwsze kroki w świecie aktorskim, imponował związek z „Marcusem Harrisonem, producentem filmowym i wnukiem sir Jamesa Harrisona", jak można było przeczytać pod ich zdjęciami w prasie brukowej. Wydał wszystkie pieniądze ojca na drogi styl życia Harriet, ale kiedy dotarło do niej, że jest „przegranym gościem jadącym na rodzinnym nazwisku", zostawiła go dla włoskiego

księcia. Marcus musiał jak niepyszny wrócić do ojca i prosić o spłacenie długów.

– Ostatni raz ratuję ci skórę – oświadczył wtedy Charles Harrison. – Weź się w garść, synu. Znajdź pracę z prawdziwego zdarzenia.

Potem Marcus spotkał dawnego znajomego ze szkoły, który powiedział mu, że on i jeszcze paru gości z City finansują film o tematyce ekologicznej, i zgodził się, by Marcus został producentem. Wciąż liżący rany po kąśliwych komentarzach Harriet na temat jego możliwości, Marcus zrobił duży debet na koncie, aby uzyskać niezbędne fundusze. Kolejne sześć miesięcy spędził na planie w Boliwii, gdzie zakochał się w odludnych zakątkach, lasach deszczowych i determinacji ludzi żyjących tam od tysięcy lat.

Film okazał się gigantyczną, przerażającą klapą, a Marcus stracił wszystkie pieniądze. Z perspektywy czasu musiał przyznać, że scenariusz pozostawiał wiele do życzenia. Film, poza tym, co nazywają „przekazem", musi jeszcze opowiadać dobrą historię, jak tłumaczył mu kiedyś dziadek. Kiedy kilka miesięcy temu młody brazylijski pisarz przysłał Marcusowi scenariusz, doczytawszy go do końca, rozpłakał się i pojął, że musi zrobić ten film.

Problem polegał na tym, że żaden bank nie chciał mieć z Marcusem do czynienia z powodu jego fatalnej historii kredytowej, a ojciec zapowiedział jasno, że nie zamierza już „wyrzucać pieniędzy". Wszyscy stracili wiarę w Marcusa akurat wtedy, gdy zaczął rozumieć, ile kosztuje zrealizowanie etycznego i pięknego filmu, który z pewnością wypełni kina na całym świecie, może nawet zbierze nagrody. Widzów poruszy historia miłosna, a przy okazji będą mogli czegoś się nauczyć.

Wychodził ze skóry, próbując zmienić nastawienie ludzi do

niego, i nie wstydził się przyznać, z jaką ekscytacją zareagował na wiadomość, że dziadek w końcu kopnął w kalendarz. Choć nie ulegało wątpliwości, że prawdziwym uczuciem sir Jim darzył Zoe, to przecież on też był jego wnukiem.

Odczytanie testamentu nie przebiegło jednak zgodnie z oczekiwaniami Marcusa. Pierwszy raz w życiu poznał smak goryczy. Pewność siebie i optymizm ulotniły się jak dym. Czuł się jak człowiek przegrany.

Czy przeżywam załamanie nerwowe? – zastanawiał się.

Telefon wyrwał go z zamyślenia. Gdy zorientował się, kto dzwoni, niechętnie odebrał.

– Cześć, Zoe. Posłuchaj, przepraszam za wczorajszy wieczór. Zagalopowałem się. Ostatnio… nie jestem sobą.

– W porządku. – Usłyszał, jak siostra wzdycha ciężko. – To dotyczy nas wszystkich. Czy dostałeś SMS-a, którego wysłałam ci kilka dni temu? Pamiętasz, że obiecałeś pójść ze mną na premierę?

– No… nie.

– Marcus! Tylko nie mów, że nie możesz! Potrzebuję cię.

– Cieszę się, że przynajmniej ty.

– Przestań się zamartwiać, właź pod prysznic i spotkaj się ze mną za godzinę w American Bar w Savoyu. Ja stawiam.

– Jakaś ty hojna! – rzucił kąśliwie. – Przepraszam. Jestem po prostu ździebko zdołowany.

– Dobra. Do zobaczenia o dziewiętnastej. Pogadamy. Nawiasem mówiąc, wczoraj słuchałam tego, co mówiłeś.

– Dzięki, siostro. Na razie – mruknął Marcus.

Wieczorem Marcus siedział przy drugiej whisky w przyciemnionym barze w stylu art déco. Kiedy Zoe w końcu się

zjawiła, w czarnej sukni bez ramiączek i kolczykach z brylantowymi łezkami, wszystkie głowy, męskie i kobiece, odwróciły się, by ją podziwiać.

– Kurczę, Zoe, autentycznie promieniejesz – powiedział i podświadomie wygładził wymięte spodnie od garnituru, który wydobył z brudów.

– Naprawdę? – rzuciła nerwowo, pocałowała brata i usiadła. Dotknęła włosów. – Jak myślisz? Nie wyglądam zbyt staromodnie?

Popatrzył na proste złote włosy siostry upięte w fantazyjną fryzurę.

– Masz klasę i elegancję Grace Kelly. Dobrze? Mogę już przestać?

– Tak – odparła z uśmiechem. – Dzięki.

– Zazwyczaj nie masz hopla na punkcie wyglądu. Co jest grane?

– Nic, naprawdę nic. Zamów mi kieliszek szampana, dobrze?

Marcus spełnił życzenie siostry. Zoe uniosła kieliszek, wychyliła połowę i odstawiła na stolik.

– Boże, potrzebowałam tego.

– Mówisz jak ja. – Uśmiechnął się szeroko.

– Cóż, miejmy nadzieję, że pół kieliszka szampana nie wpłynie na mój wygląd tak, jak najwyraźniej wpłynęło na twój. Wyglądasz okropnie, Marcus.

– Prawdę mówiąc, tak się też czuję. Przemyślałaś moją prośbę o pożyczenie tych stu tysięcy?

– Do czasu zatwierdzenia testamentu po prostu nie mam gotówki.

– Przecież mogłabyś pożyczyć na kilka tygodni. Proszę, Zoe – błagał. – Jeśli nie znajdę forsy, ten projekt zniknie mi sprzed nosa.

– Wiem. Naprawdę ci wierzę.

– Dzięki. Ty chyba też musisz być trochę wkurzona na dziadka. Po co dziesięciolatkowi milion funtów. Masz pojęcie, ile tego będzie

za jedenaście lat, kiedy Jamie skończy dwadzieścia jeden?

– Rozumiem, że czujesz się urażony, ale obwinianie mojego syna jest naprawdę nieuczciwe.

– To prawda. – Marcus opróżnił szklankę i zamówił następną. – Chyba tracę rozum. Wszystko jest nie tak. W tym roku skończę trzydzieści cztery lata. Może przechodzę kryzys wieku średniego. Dałem sobie nawet spokój z seksem.

– No, świetny pomysł! – Zoe przewróciła oczami.

– Wiesz… – Marcus pomachał papierosem Marlboro Light. – Właśnie takiej reakcji spodziewam się po rodzinie. Wszyscy traktujecie mnie protekcjonalnie, jak dziecko.

– Czy to nasza wina? Spójrzmy prawdzie w oczy, zdarzało ci się pakować w niezłe bagno.

– Owszem, ale teraz, kiedy naprawdę w coś się zaangażowałem, nikt we mnie nie wierzy, nikt mnie nie wspiera.

Zoe dopiła szampana i zerknęła na zegarek. Dwadzieścia pięć minut do premiery, za dwadzieścia pięć minut miała go zobaczyć… Serce waliło jak młotem, poczuła mdłości.

– Posłuchaj, Marcus, musimy ruszać. Poproś o rachunek, dobrze?

Skinął na kelnera, a ona wyjęła mu z paczki papierosa.

– Nie sądziłem, że palisz.

– Nie palę. To znaczy… nie często. – Zaciągnęła się, mdłości się nasiliły, więc zdusiła papierosa w popielniczce. – Mam pomysł na rozwiązanie twojego problemu. Muszę pomówić z tatą…

– Nic z tego. On się na mnie uwziął.

– Zostaw to mnie.

– Co wymyśliłaś? Zoe, powiedz. Chcę dziś w nocy spać – błagał Marcus.

– Nie, najpierw muszę z nim porozmawiać. – Kelner podał jej rachunek. – Dzięki. – Wsunęła kartę kredytową do skórzanej

zakładki. – Jak stoisz z forsą? Pożyczyć ci trochę na bieżące wydatki?

– Szczerze mówiąc, tak – przyznał Marcus, nie patrząc siostrze w oczy. – Zostało mi kilka funtów, wyrzucą mnie z tej zapchlonej nory, bo nie zapłaciłem za zeszły miesiąc.

Zoe wyjęła z torebki czek i wręczyła bratu.

– Trzymaj. Pamiętaj, to jest pożyczka. Masz mi oddać, kiedy testament zostanie zatwierdzony.

– Jasne. Dzięki, Zoe. – Marcus złożył czek i schował do kieszeni marynarki.

– Nie przepuść tego na whisky, bardzo cię proszę. Dobra, ruszajmy.

Pojechali taksówką na Leicester Square przez zatłoczony Piccadilly Circus.

– Jak dużą masz rolę w tym filmie?

– Drugą główną. Nawet tobie może się spodobać. To dobry film, niskobudżetowy, sensowny.

Przed wejściem do kina Odeon na Leicester Square ustawiono barierki. Zoe nerwowo wsunęła kosmyk włosów za ucho.

– Dobra. Ruszajmy. – Wysiadła z taksówki, zadrżała na zimnie i powiodła wzrokiem po gapiach. W filmie nie występowała żadna hollywoodzka gwiazda, nie było efektów specjalnych, ale Zoe dobrze wiedziała, dla kogo przyszli ci ludzie. Na frontonie budynku widniał olbrzymi plakat podświetlony reflektorami: profil Zoe częściowo zasłaniała twarz odtwórczyni głównej roli, Jane Donohue o apetycznie zaokrąglonych kształtach.

– Ja cię kręcę, powinienem był zwracać większą uwagę, kiedy pracowałaś nad tym filmem – zażartował Marcus, pożerając wzrokiem główną aktorkę.

– Bądź miły, kiedy ją spotkasz, dobrze? – Zoe instynktownie

chwyciła brata za rękę, kiedy szli po czerwonym dywanie.

– Kiedyż to nie jestem miły dla pięknych kobiet?

– Wiesz, co mam na myśli. Trzymaj się dziś blisko mnie, dobrze? – Ścisnęła jego dłoń.

– Skoro tego chcesz. – Wzruszył ramionami.

– Chcę.

Flesze rozbłysły, gdy weszli do foyer, gdzie kłębiła się typowa premierowa mieszanina gwiazd oper mydlanych, komików i ludzi sławnych po prostu dlatego, że byli sławni. Zoe wzięła z tacy kieliszek wina i rozejrzała się nerwowo. Najwyraźniej jeszcze się nie pojawił.

Sam, reżyser filmu, ucałował ją entuzjastycznie.

– Kochanie, tak mi przykro z powodu biednego sir Jamesa. Przyszedłbym do kościoła, ale miałem urwanie głowy z tym filmem.

– Nie przejmuj się, Sam. Wszystko w porządku. Pod koniec był już w bardzo złym stanie.

– Do twarzy ci w żałobie, Zoe. – Sam przyjrzał się jej z podziwem. – Wyglądasz olśniewająco. Wokół naszego filmu zrobił się prawdziwy szum, a ta premiera na cele charytatywne to genialny pomysł ludzi z PR-u. Jutro posypią się artykuły, zwłaszcza dzięki tobie w tej sukni. – Z uśmiechem pocałował Zoe w rękę. – Baw się dobrze, kochanie. Do zobaczenia później.

Rozejrzała się. Mimo obietnic Marcus się ulotnił. Cholera! Od adrenaliny kręciło się jej w głowie. Uznała, że ma prawo zachowywać się tchórzliwie i niedojrzale. W zaciszu toalety próbowała uspokoić łomoczące serce. Gdy światła na sali gasły, zajęła miejsce obok brata.

– Gdzie się podziewałaś? – syknął.

– W kiblu. Mam okres.

– Uroczo. – Marcus pociągnął nosem, a na ekranie pojawiły się

napisy początkowe.

Podczas filmu Zoe siedziała jak w transie. Na myśl, że on jest tutaj, na widowni, może kilka metrów od niej, pierwszy raz od ponad dziesięciu lat oddycha tym samym powietrzem, czuła tak silne emocje, że traciła pewność, czy nie zemdleje przed końcem filmu. Po tylu latach wmawiania sobie, że to było tylko zauroczenie nastolatki, musiała przyznać, że tamte głębokie, dojmujące uczucia nie wygasły. Brak mężczyzn w swoim życiu tłumaczyła obecnością Jamiego – nie chciała mieszać mu w głowie nowymi twarzami. Ale tego wieczoru zrozumiała, że sama się oszukiwała.

W jaki sposób wygnać ducha z przeszłości? – zadawała sobie pytanie. Musisz stanąć z nim twarzą w twarz i spojrzeć duchowi prosto w oczy. Jeśli kiedykolwiek miała uwolnić się z jego niewidzialnego uścisku, musiała zburzyć fantazję, którą latami budowała w swoim umyśle. Jedyną nadzieją na uleczenie było spotkanie się z nim, poszukanie oznak niedoskonałości. Zresztą istniało spore prawdopodobieństwo, że zdążył o niej zapomnieć. Minęło już tyle czasu, poznał tyle osób… zwłaszcza kobiet.

Światła zapaliły się i rozległa się burza braw. Zoe oburącz przytrzymała się fotela, żeby nie uciec. Marcus pocałował ją w policzek i mocno ścisnął za łokieć.

– Byłaś świetna, siostro, naprawdę. Chcesz zagrać w moim nowym filmie?

– Dzięki. – Siedziała sparaliżowana, ludzie wokół niej wychodzili z sali; całe wcześniejsze zdecydowanie ją opuszczało.

– Wracamy do domu? W brzuchu mi się przewraca – powiedziała, kiedy w końcu wstali i ruszyli do wyjścia.

– Chyba musisz trochę się powdzięczyć, co? Spijać pochwały? Kiedy czekałem, aż wyjdziesz z łazienki, pogawędziłem z Jane Donohue i umówiliśmy się na przyjęcie po premierze.

– Marcus, obiecałeś! Proszę cię, odwieź mnie do domu. Naprawdę nie czuję się najlepiej.

– Dobrze… – Westchnął ciężko. – Pójdę tylko i wytłumaczę to Jane.

Zoe stała w tłumie, czekając, aż brat wróci i będzie mogła wyjść. Wtedy ktoś położył dłoń na jej ramieniu.

– Zoe?

Odwróciła się i poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy. Oto stał, nieco starszy, z kilkoma zmarszczkami pod ciepłymi zielonymi oczami i przy kącikach ust, od uśmiechu. W smokingu prezentował się równie szczupło jak przed dziesięcioma laty. Zoe pożerała go wzrokiem, chłonęła każdy szczegół.

– Jak się masz? – spytał.

Odchrząknęła i odparła:

– Dziękuję, w porządku.

– Wyglądasz… fenomenalnie. Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej. – Mówił przyciszonym głosem, lekko nachylając się do jej ucha. Zoe wdychała jego zapach, tak dobrze znany, tak niepokojąco odurzający. – Nawiasem mówiąc, podobał mi się film. Uważam, że zagrałaś fantastycznie.

– Dzięki – wykrztusiła.

– Proszę pana… – U jego boku wyrósł mężczyzna w szarym garniturze i pokazał na zegarek.

– Za chwilę przyjdę.

Szary garnitur wtopił się w tłum.

– Minęło tyle lat – powiedział w zamyśleniu.

– Tak.

– Jak sobie radziłaś?

– Dobrze, naprawdę dobrze.

– Przeczytałem o twoim dziadku. Chciałem napisać, ale nie

wiedziałem, jaka jest twoja… hm… sytuacja. – Zerknął na nią z ukosa, a Zoe pokręciła głową.

– Jestem sama – powiedziała i natychmiast znienawidziła się za to.

– Słuchaj, niestety muszę lecieć. Czy mógłbym… do ciebie zadzwonić?

– Ja…

Szary garnitur znowu się zbliżał.

On wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka, ale zatrzymał się o włos od jej skóry.

– Zoe… Ja… – W oczach miał ból. – Do widzenia. – Z rezygnacją machnął ręką i odszedł.

Stała w niemal opustoszałym foyer, świadoma tylko jego oddalających się kroków. Zostawiał ją dla ważniejszych spraw – zawsze tak było i zawsze tak miało być. Mimo to jej zdradzieckie serce tańczyło z radości.

Potykając się, wróciła do toalety, by odzyskać równowagę ducha. Przeglądając się w lustrze, zobaczyła, że światełko, które dziesięć lat wcześniej rozbłysło przelotnie, teraz zapłonęło znowu.

Marcus tymczasem czekał niecierpliwie w pustym foyer.

– Kurczę, ty naprawdę masz problem. Dasz radę dotrzeć do domu?

Zoe z uśmiechem wzięła brata pod ramię.

– Oczywiście, że tak.

Skoczek białych

(*Biały skoczek, poruszający się po liniach litery L, jest najbardziej nieprzewidywalną z figur*).



5

Joanna znowu była spóźniona. Rozpychając się łokciami, wydostała się z zatłoczonego autobusu i tuż przed zamknięciem drzwi zeskoczyła na chodnik przy Kensington High. Mijając biznesmenów w czarnych i szarych garniturach jak ze sztancy, z firmowymi walizeczkami w dłoniach, puściła się biegiem; policzki piekły ją w chłodnym porannym powietrzu. Zerkając na zegarek, przyspieszyła. Od dawna nie biegała; wolała siedzieć na kanapie z lodami i oglądać *Eastenders*. W rodzinnym Yorkshire biegała osiem kilometrów dziennie, w dodatku pod górę; próbowała podtrzymać ten zwyczaj w Londynie, jednak to nie było to samo. Brakowało jej krystalicznego powietrza wrzosowisk, widoku zajęcy i sokołów wędrownych. Najbardziej ekscytującym okazem dzikiej fauny w Londynie był gołąb, który zachował obie nóżki.

Zadyszana, dotarła do budynku „Morning Mail". Zataczając się, weszła do niego przez przeszklone drzwi i machnęła przepustką do siedzącego za biurkiem ochroniarza, Barry'ego.

– Jak leci, Jo?

Z nadzieją, że spływa potem, skrzywiła się i pobiegła do otwartej windy. W końcu, z dziesięciominutowym opóźnieniem, osunęła się za zawalonym biurkiem i zaczęła szukać klawiatury pośród papierzysk. Pospiesznie podniosła wzrok, ale chyba nikt nie zauważył jej spóźnienia. Włączywszy komputer, zrzuciła na tackę gazety, czasopisma, stare numery gazety, listy, na które nie

odpisała, i zdjęcia. Obiecując sobie, że któregoś wieczoru w tym tygodniu zostanie dłużej, żeby wszystko uprzątnąć, wyjęła z torebki jabłko i zaczęła przeglądać pocztę.

Droga panno Haslem…

– Błąd w nazwisku – mruknęła.

Pragnę Pani podziękować za ładny artykuł o moim synu, któremu przykleił się do twarzy model samolotu Airfix. Czy mogłaby pani przysłać mi zdjęcie zamieszczone obok artykułu?

Wyrzuciła list, ugryzła jabłko i otworzyła kolejny: zaproszenie na prezentację „rewolucyjnego” ręcznika higienicznego.

– Pas – mruknęła i zaproszenie poleciało na tackę.

Następna była pomięta brązowa koperta, dość duża, zaadresowana tak niewyraźnie, że Joanna zdziwiła się, że list do niej dotarł. Rozdarła ją i wyjęła zawartość. W środku znajdowały się dwie koperty z przypiętą notatką.

Droga panno Haslam!

Jestem staruszką, której kilka dni temu pomogła Pani w kościele. Chciałabym, aby przyszła Pani do mnie, ponieważ nie zostało mi wiele czasu. Na wszelki wypadek załączam dwie koperty. Do czasu naszego spotkania proszę się z nimi nie rozstawać. Kiedy Pani przyjdzie, dam Pani więcej.

Ostrzegam, że to niebezpieczne, ale czuję, że jest Pani uczciwą kobietą, a ta historia musi zostać opowiedziana. Jeśli odejdę wcześniej, musi Pani porozmawiać z Białą Damą

Rycerza. Na razie tylko tyle mogę Pani zdradzić. Modlę się, żeby Pani zdążyła.

Czekam na Panią.
Ufam Pani, Joanno.

Podpis pod listem był nieczytelny.

Żując w zamyśleniu jabłko, ponownie przeczytała list. Potem wyrzuciła ogryzek do kosza, otworzyła mniejszą brązową kopertę i wyjęła arkusz kremowego welinu, który zachrzęścił, gdy go rozkładała. List napisano piórem, staroświeckim pismem. U góry nie znalazła daty ani adresu.

Drogie Samie!

Siedzę tu, z piórem w dłoni, nie mając pojęcia, jak opisać to, co czuję. Jeszcze kilka miesięcy temu Cię nie znałam, nie wiedziałam, że spotkanie z Tobą odmieni moje życie nie do poznania. Chociaż rozumiem, że nie ma dla nas przyszłości – właściwie nie mamy też przeszłości, którą mógłby ktokolwiek odkryć – tęsknię za Twym dotykiem. Potrzebuję Cię, pragnę, żebyś mnie ochraniał i kochał tak, jak tylko Ty potrafisz.

Moje życie to kłamstwo, które będzie trwało całą wieczność.

Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła bezpiecznie pisać, ale pokładam zaufanie w lojalnych dłoniach, które dostarczą Ci moje słowa miłości.

Odpowiedź w zwykły sposób.
Twoja prawdziwa miłość

List podpisano inicjałem. To mogło być „B” lub „E”, „R” albo „F” – Joanna nie miała pewności. Wypuściła powietrze, czując intensywność przeczytanych słów. Kto to napisał? Do kogo?

Żadnych wskazówek, prócz tego, że niewątpliwie był to sekretny list miłosny. Joanna otworzyła drugą kopertę i wyjęła stary program.

Hackney Empire z dumą prezentuje
WSPANIAŁE LATA MUSICALU

Program nosił datę czwartego października 1923 roku. Joanna szukała znajomych nazwisk. Może w przedstawieniu występował sir James Harrison, bo przecież starszą panią poznała na jego pogrzebie; może jedną z młodych aktorek była ona sama. Joanna bacznie przyglądała się wyblakłej czarno-białej fotografii zespołu, ale żadne nazwisko ani twarz nie przykuły jej uwagi.

Ponownie sięgnęła po list miłosny i jeszcze raz go przeczytała. Mogła się tylko domyślać, że w chwili pisania listu autorka była na tyle znana, że romans wywołałby skandal.

Zgodnie z przewidywaniem staruszki, sprawa zaostrzyła dziennikarski apetyt Joanny. Wstała od biurka, kilkakrotnie skopiowała oba listy, kopie wraz z oryginałami i programem wsunęła do niepozornej brązowej koperty, umieściła ją w plecaku i ruszyła do windy.

– Jo! Chodź tutaj!

Alec zdybał ją w chwili, gdy wyrywała się na wolność. Po chwilowym wahaniu zawróciła do biurka szefa.

– Dokąd to? Mam dla ciebie robotę. Masz śledzić Rudą i jej kochanka. I nie myśl sobie, że nie zauważyłem spóźnienia.

– Przepraszam, Alec. Idę sprawdzić pewną historię.

– Tak? Jaką?

– Dostałam cynk. To może być dobre.

Spojrzał na nią skacowanymi oczami.

– Wiesz, o co chodzi?

– Właściwie nie, ale czuję w trzewiach, że muszę to sprawdzić.

– W trzewiach? – Alec poklepał się po wydatnym brzuchu. – Jeśli dopisze ci szczęście, pewnego dnia dorobisz się takiego bebecha jak mój.

– Proszę, Alec. Przecież poszłam na ten pogrzeb, chociaż umierałam.

– No dobra, spadaj. Ale o czternastej masz być z powrotem. Do tego czasu Alice będzie obserwować Rudą.

– Dzięki.

Na ulicy złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Marylebone High. Czterdzieści minut później wysiadła przed domem staruszki. Przybiegłabym tu szybciej, pomyślała, czekając na rachunek od taksówkarza. W końcu wyskoczyła z samochodu, podbiegła do drzwi i spojrzała na nazwiska przy przyciskach. Przy dwóch nie było żadnego. Wybrała dolny i czekała na odpowiedź. Nie rozległy się kroki, więc spróbowała znowu.

Nic.

Wcisnęła górny dzwonek. Nikt nie zareagował.

Ponowiła próbę i tym razem drzwi nieco się uchyliły.

– Kto tam? – To nie był głos staruszki.

– Przyszłam do starszej pani, która mieszka na dole w mieszkaniu z oddzielnym wejściem.

– Niestety, już jej tu nie ma.

– Naprawdę? Wyprowadziła się?

– Można tak to ująć.

– Och. – Joanna aż usiadła na schodach. – Wie pani, dokąd wyjechała? Dziś rano dostałam od niej list, w którym prosiła, żebym ją odwiedziła.

Drzwi otworzyły się szerzej.

– Kim pani jest? – Z holu łypnęły ciepłe piwne oczy kobiety,

lustrujące granatowy wełniany płaszcz i dżinsy Joanny.

– Jestem… jej cioteczną wnuczką. Kilka miesięcy byłam w Australii.

Wyraz piwnych oczu natychmiast się zmienił i kobieta spojrzała na nią z wyraźnym współczuciem.

– Hm… lepiej niech pani wejdzie.

Joanna weszła do ciemnego korytarza i ruszyła za kobietą do drzwi po prawej. Znalazła się w mieszkaniu podobnym do tego, które zajmowała starsza pani. Tyle że to było prawdziwym domem.

– Proszę wejść. – Kobieta zaprosiła ją do przegrzanego, zagraconego salonu i wskazała kanapę obitą różowym dralonem. – Niech się pani rozgości.

– Dziękuję. – Joanna patrzyła, jak sześćdziesięciokilkuletnia gospodyni o ujmującej twarzy siada w fotelu przy kominku gazowym. – Jestem Joanna Haslam. Z kim mam przyjemność?

– Muriel, Muriel Bateman. – Kobieta przyjrzała się jej uważnie. – Nie jest pani podobna do swojej ciotecznej babki.

– Nie… bo widzi pani, była żoną mojego dziadka. Czy wie pani… gdzie ona jest?

– Tak, moja droga, niestety, wiem. – Muriel nachyliła się i poklepała Joannę po dłoni. – Bo to ja ją znalazłam.

– Znalazła ją pani?

– Umarła. Naprawdę mi przykro.

– O nie! – Joanna nie musiała udawać zaskoczenia. – Kiedy?

– W zeszłą środę. Już tydzień temu.

– A… Ale dziś rano dostałam od niej list! Jakim cudem mogła mi to przysłać? – Joanna wygrzebała z torebki list i sprawdziła datę na stemplu. – Proszę spojrzeć, wysłano go w ten poniedziałek, pięć dni po jej śmierci.

– O Boże. – Muriel zaczerwieniła się. – Obawiam się, że to moja

wina. Widzi pani, Rose dała mi ten list do wysłania we wtorek wieczorem. Następnego dnia ją znalazłam i z powodu szoku, policji i całej reszty całkiem zapomniałam o liście. Wysłałam go dopiero parę dni temu. Naprawdę mi przykro, kochanie. Zrobić ci herbaty? Przeżyłaś okropny szok.

Wyszła i po chwili wróciła z tacą, na której stał imbryk w pomarańczowym kubraczku, filiżanki, mleko, cukier i ciasteczka w czekoladzie. Nalała bursztynowy płyn do filiżanek.

– Dzięki. – Joanna wypiła łyk herbaty, gdy gospodyni usiadła w fotelu. – Gdzie ją pani znalazła? W łóżku?

– Nie. U stóp schodów w holu wejściowym. Leżała zwinięta w kłębek jak laleczka… – Muriel się wzdrygnęła. – Nigdy nie zapomnę wyrazu przerażenia w oczach tej biedaczki… przepraszam, kochanie. Po tym wszystkim nie mogłam spać przez kilka nocy.

– Nic dziwnego. Biedna ciocia. Pewnie spadła ze schodów.

– Może. – Muriel wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proszę mi powiedzieć, jak ona się miała w ostatnich tygodniach? Po wyjeździe straciłam z nią kontakt.

– Cóż. – Gospodyni sięgnęła po ciasteczko i ugryzła. – Pewnie pani wie, że przyjechała tu dopiero przed kilkoma tygodniami. Mieszkanie z osobnym wejściem całe lata stało puste, aż tu nagle, pod koniec listopada, zjawia się drobna staruszka. Kilka dni później przywieźli skrzynki po herbacie, ale nigdy ich nie rozpakowała. Podejrzewam, że od dawna spodziewała się końca… Tak mi przykro, złotko.

Czując autentyczny żal z powodu starszej pani, Joanna przygryzła wargę i czekała, aż Muriel zacznie mówić dalej.

– Przez kilka dni dawałam jej spokój. Pomyślałam, że pozwolę jej

się zadomowić, zanim przedstawię się jako sąsiadka. Ale ona praktycznie nie wychodziła z domu, więc pewnego dnia zapukałam do drzwi. Wie pani, trochę się niepokoiłam, bo była taka krucha, a nikt nie wchodził do tej wilgotnej klitki ani z niej nie wychodził. Nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Chyba w połowie grudnia usłyszałam na korytarzu płacz. Brzmiał jak miauczenie słabego kotka. Twoja ciocia, w płaszczu, leżała na podłodze w przejściu. Potknęła się na progu i nie mogła wstać. Oczywiście pomogłam jej, przyprowadziłam tutaj i zaparzyłam jej mocnej herbaty, tak jak dzisiaj tobie.

– Gdybym tylko wiedziała, że była taka słaba… Jej listy zawsze były tak pogodne.

– Jeśli to jakakolwiek pociecha, po fakcie zawsze tak mówimy. Okropnie posprzeczałam się z moim Stanleyem, a on nazajutrz umarł na zawał. Tak czy owak, spytałam twoją ciocię, skąd przyjechała. Odparła, że wiele lat spędziła za granicą i wróciła całkiem niedawno. Zapytałam, czy ma tu krewnych, ale pokręciła głową i wyjaśniła, że większość z nich nadal przebywa poza krajem. Musiała mieć na myśli ciebie, kochanie. Potem powiedziałam, że jeśli tylko chce, żeby robić jej zakupy czy chodzić po lekarstwa, wystarczy, że poprosi. Bardzo uprzejmie podziękowała i spytała, czy mogłabym jej kupić zupy w puszkach. Szła do mnie właśnie po te zupy, kiedy się przewróciła. – Muriel pokręciła głową. – Spytałam, czy mam wezwać lekarza, ale odmówiła. Gdy nadszedł czas, żeby odprowadzić ją do mieszkania, biedaczka ledwo stała na nogach. Podtrzymywałam ją przez całą drogę. Mówię pani, przeżyłam szok na widok tej zaniedbanej, cuchnącej nory pełnej drewnianych skrzynek po herbacie.

– Zawsze była ekscentryczką – rzuciła Joanna bez przekonania.

– No tak, przykro mi to mówić, ale biedaczka była też na bakier

z higieną. Zaproponowałam, że zawiadomię opiekę społeczną, zorganizuje dla niej darmowe posiłki, ściągnę pielęgniarkę, żeby przychodziła i ją kąpała, ale ona zaczęła tak gwałtownie protestować, że przeraziłam się, że wyzionie ducha. Dałam więc spokój, ale uprosiłam, żeby dała mi klucz do siebie. Wytłumaczyłam jej, że jeśli znów się przewróci, a drzwi będą zamknięte, to nie będę mogła się do niej dostać. W końcu się zgodziła. Obiecałam, że tylko zajrzę do niej od czasu do czasu. Bez przerwy gadała o tym kluczu, napominała mnie, żebym nikomu nie zdradziła, że mam zapasowy. – Muriel z westchnieniem pokręciła głową. – Zabawna z niej była dziwaczka. Dolać pani herbaty?

– Tak, poproszę. Ciocia zawsze ceniła sobie niezależność. – Joanna skapitulowała i sięgnęła po ciasteczko w czekoladzie.

– I zobacz, co jej to dało. – Gospodyni pociągnęła nosem i napełniła jej filiżankę. – Cóż, od tamtej pory zaglądałam do niej raz dziennie. Zazwyczaj siedziała na łóżku, oparta na poduszkach, pisała listy, które wrzucałam do skrzynki, czasem drzemała. Zaczęłam przynosić jej herbatę albo zupę z grzanką. Przyznaję, że nie spędzałam tam wiele czasu. Od tego smrodu robiło mi się niedobrze. Potem przyszło Boże Narodzenie. Pojechałam do Southend do córki, ale wróciłam w drugi dzień świąt. Na stole w korytarzu leżały życzenia. Zabrałam kopertę do siebie i otworzyłam.

– Od cioci? – Joanna się pochyliła.

– Tak. To była piękna kartka świąteczna, z tych, co to kupuje się je oddzielnie, nie w komplecie. Napisała piórem, tym swoim pięknym staroświeckim pismem: *Dziękuję Ci za przyjaźń, Muriel. Zawsze będę o niej pamiętać, Rose*. – Muriel otarła łzę. – Te życzenia doprowadziły mnie do płaczu. Pani ciocia musiała być prawdziwą damą, wykształconą. I skończyła w taki sposób… – Pokręciła głową.

– Poszłam, zapukałam do niej, żeby podziękować za życzenia, i namówiłam, żeby przyszła ogrzać się przy kominku i zjeść kawałek zapiekanki.

– Dziękuję. Była pani dla niej bardzo dobra.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Ona nikomu nie zawadzała. Ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę. Chociaż kiedy spytałam ją o rodzinę, o to, czy ma dzieci, śmiertelnie pobladła i zmieniła temat. Nie naciskałam. Zauważyłam, że podczas świąt jeszcze bardziej osłabła. Została tylko skóra i kości. Ten okropny kaszel się nasilił. Tuż po Bożym Narodzeniu moja siostra z Epping zachorowała i poprosiła, żebym przyjechała i opiekowała się nią przez tydzień. Oczywiście pojechałam i wróciłam parę dni przed śmiercią pani cioci.

– I wtedy dała pani list do wysłania?

– Tak. Wieczorem po powrocie zajrzałam do niej. Była w strasznym stanie, cała się trzęsła jak kotka na rozgrzanym blaszanym dachu. I to spojrzenie… Sama nie wiem. – Muriel się wzdrygnęła. – Wręczyła mi list i kazała natychmiast go wysłać. Oczywiście obiecałam, że to zrobię. Potem mocno ścisnęła mnie za rękę, dała mi małe puzderko i kazała otworzyć. W środku był złoty otwierany medalik. Nie w moim stylu, zbyt delikatny, ale widziałam, że to misterna robota, szczere złoto. Oczywiście natychmiast powiedziałam, że nie mogę przyjąć tak drogiego prezentu, ale pani ciocia nalegała i bardzo się denerwowała, kiedy próbowałam jej go oddać. To wszystko zrobiło na mnie spore wrażenie. Po powrocie do siebie postanowiłam, że bez względu na jej słowa nazajutrz wezwę do niej lekarza. Ale następnego dnia było już za późno.

– Och… gdybym tylko wiedziała…

– Proszę się nie obwiniać. To ja powinnam była natychmiast

wysłać list, jak mnie prosiła. Jeśli to dla pani jakakolwiek pociecha, zmarła, zanim list zdążyłby dotrzeć. Następnego dnia o dziesiątej rano znalazłam ją u stóp schodów, jak już mówiłam. Napije się pani brandy? Chyba przydałby mi się kieliszek.

– Nie, dziękuję, ale jeśli pani ma ochotę…

Gdy gospodyni poszła do kuchni po drinka, Joanna zastanawiała się nad tym, czego dowiedziała się do tej pory.

– Co ciocia mogła robić u stóp schodów? – zapytała, gdy Muriel wróciła. – Skoro była taka krucha, na pewno nie dałaby rady sama na nie wejść.

– Dokładnie to powiedziałam sanitariuszowi. On twierdził, że spadła ze schodów i stąd te wszystkie sińce na głowie, rękach i nogach. Ja na to, że Rose za żadne skarby nie weszłaby na te schody. Zresztą po co? Na górze nic nie było. – Muriel lekko się spłoniła. – Raz tam zajrzałam, z czystej ciekawości.

– To bardzo dziwne. – Joanna zmarszczyła brwi.

– Prawda? Oczywiście trzeba było wezwać policję. Wmaszerowali i zasypali mnie gradem pytań: kim ona była, od jak dawna tu mieszkała i tak dalej. Wyprowadzili mnie z równowagi. Kiedy ją zabrali, spakowałam się i pojechałam na parę dni do siostry… – Muriel sięgnęła po brandy. – Chciałam jak najlepiej.

– Naturalnie. Wie pani, dokąd ją zabrali?

– Chyba do kostnicy, dopóki ktoś nie zgłosi się po biedaczkę.

Obie w milczeniu wpatrywały się w ogień. Joannę korciło, by spytać o więcej, ale widziała, jak bardzo strapiona jest Muriel.

– Pójdę tam, a potem się zastanowię, co zrobić z rzeczami cioci.

– Już nie ma.

– Słucham? Co się z nimi stało?

– Nie wiem. Mówiłam pani, że na parę dni wyjechałam do siostry. Po powrocie zajrzałam do mieszkania, choćby dla spokoju

ducha, i zobaczyłam, że je opróżniono. Nic tam już nie ma, zupełnie nic.

– Ale… Kto mógł to wszystko zabrać? Te skrzynki po herbacie?

– Pomyślałam, że może powiadomiono krewnych, więc przyjechali i uprzątnęli mieszkanie. Ma pani w Londynie krewnych, którzy mogli to zrobić?

– Ja… Nie. Wszyscy są za granicą, jak powiedziała ciocia. W Anglii jestem tylko ja… – Joanna urwała. – Dlaczego wszystko zniknęło?

– Nie mam pojęcia. Nadal mam klucz. Chce pani tam zajrzeć? Już tak nie cuchnie. Ktokolwiek zabrał rzeczy, porządnie zdezynfekował mieszkanie.

Joanna wyszła na korytarz i patrzyła, jak kobieta otwiera sąsiednie drzwi.

– Ucieszę się, jeśli ktoś tu zamieszka – powiedziała Muriel. – Młoda rodzina byłaby miła, wniosłaby trochę życia. Mogę panią zostawić? Ciarki mnie przechodzą, kiedy tu jestem.

– Oczywiście. I tak już zbyt długo zawracam pani głowę. Czy mogłaby mi pani dać swój numer telefonu, w razie gdybym potrzebowała jeszcze jakichś informacji?

– Zapiszę go. Dam go pani, kiedy będzie pani oddawać klucz.

Joanna weszła do mieszkania Rose i zamknęła za sobą drzwi. Zapaliwszy światło, stanęła w maleńkim korytarzu i spojrzała w górę na nierówne strome schody po prawej. Utwierdziła się w przekonaniu, że dla staruszki poznanej w kościele wspięcie się na nie byłoby równie niewykonalne jak dla noworodka. Gdy Joanna wolno szła na górę, stopnie głośno skrzypiały. U szczytu schodów znajdował się niewielki korytarz, a dalej, po obu stronach, dwa opuszczone zatęchłe pokoje. Nie znalazła w nich nic prócz nagich ścian i surowych desek podłogowych. Przez niedawno umyte okna

wyjrzała na zarośnięty ogród na tyłach domu. Potem na chwilę stanęła w korytarzu i spojrzała w dół schodów. Tylko pięć metrów, ale stąd wydawało się, że jest znacznie wyżej…

Wróciła na parter i weszła do salonu, gdzie Rose spędziła ostatnie dni życia pośród skrzynek po herbacie. Joanna pociągnęła nosem. W pokoju wciąż unosiła się lekka nieprzyjemna woń, ale nic poza tym. Jak wspomniała Muriel, mieszkanko oczyszczono do cna. Joanna zaczęła chodzić po podłodze na czworakach, szukając czegoś, co mogło umknąć uwadze innych, lecz nic nie znalazła.

Przeszukała łazienkę i kuchnię, potem wróciła pod schody, gdzie Muriel znalazła biedną Rose.

…nie zostało mi wiele czasu… Ostrzegam, że to niebezpieczne… Jeśli odejdę…

Joanna zadrżała. Istniało spore prawdopodobieństwo, że Rose została zamordowana.

Pytanie brzmiało: Dlaczego?

AIP

Gdy Joanna wychodziła z domu, kierowca samochodu parkującego na ulicy uruchomił silnik. Na Marylebone High panował duży ruch. Mężczyzna patrzył, jak Joanna waha się, potem skręca w lewo i odchodzi.

6

Długie deszczowe popołudnie Joanna spędziła w grupie dziennikarzy i fotoreporterów w Chelsea, przed domem Rudej, jak nazywali tę kobietę koledzy Joanny po piórze.

Supermodelka o płomieniście rudych włosach, która ponoć uwiła sobie gniazdko miłosne z inną modelką, w końcu wybiegła z domu. Lampy błyskowe zaczęły strzelać, gdy Ruda przemknęła przez tłum i wskoczyła do czekającej taksówki.

– Dobra, jadę za nią – powiedział Steve, fotograf Joanny. – Zadzwonię, jak się dowiem, dokąd jedzie. Według mnie, na lotnisko, więc nie ostrz sobie zębów.

– W porządku. – Patrzyła, jak pozostali fotoreporterzy wsiadają na motory, a dziennikarze wtapiają się w deszczową noc. Z jękiem frustracji ruszyła ku stacji metra przy Sloane Square. Sklepy przy King's Road, ogłaszające wyprzedaże poświąteczne, wyglądały na równie przygnębione jak ona. W metrze patrzyła pustym wzrokiem na reklamy.

Wyczekiwanie na progu celebrytów jest tak niewdzięcznym zajęciem! Długie godziny, czasem nawet dni, chociaż człowiek dobrze wie, że jedyne, co zdoła wyciągnąć, to: „Bez komentarza". Poza tym ta sprawa kłóciła się z elementarnym poczuciem przyzwoitości Joanny. Jeżeli Ruda miała ochotę na płomienny romans z owcą, to chyba była jej prywatna sprawa, prawda? Jednak, o czym Alec nigdy nie omieszkiwał jej przypomnieć,

w redakcji wiadomości dziennika o krajowym zasięgu nie ma miejsca na moralność. Czytelnicy przejawiają nienasycony apetyt na pikanterię i sprawy związane z seksem. Zdjęcie Rudej na pierwszej stronie jutrzejszego wydania mogło podnieść sprzedaż o dziesięć tysięcy.

Na Finsbury Park Joanna wyszła z metra, wjechała na górę schodami i sprawdziła komórkę. Krótka wiadomość od Steve'a brzmiała:

Miałem rację. Za godzinę wsiada do samolotu do Stanów. Miłego wieczoru.

Schowała komórkę, wyszła na ulicę i dołączyła do ludzi czekających na autobus.

Po rozmowie z Muriel miała w pracy urwanie głowy, więc nie mogła przemyśleć wszystkiego, czego się dowiedziała. Teraz chciała podzielić się tym z Simonem. Wracając od Muriel, wszystko zanotowała i miała nadzieję, że nic jej nie umknęło.

Autobus zatrzymał się nieopodal domu Simona. Joanna wysiadła i ruszyła szybkim krokiem, tak zatopiona w myślach, że nie zauważyła idącego za nią mężczyzny.

Mieszkanie Simona znajdowało się na najwyższym piętrze dużej przerobionej willi na Highgate Hill, z cudownym widokiem na zielone tereny i dachy północnego Londynu. Jej przyjaciel kupił mieszkanie dwa lata wcześniej i mówił, że niedostatki metrażu rekompensuje mu otwarta przestrzeń dokoła. Życie w Londynie było dla obojga wielkim wyrzeczeniem. Nadal tęsknili za spokojem, ciszą i pustką wrzosowisk Yorkshire, gdzie dorastali. Pewnie z tego powodu zamieszkali na zielonych obrzeżach Londynu, o dziesięć minut drogi autobusem od siebie. Joanna zazdrościła Simonowi widoku, ale lubiła swoją osobliwą klitkę u stóp wzgórza w tańszym Crouch End. Owszem, kłótliwy właściciel domu nie zawracał sobie

głowy takimi luksusami jak okna z podwójnymi szybami czy przyzwoita łazienka, ale sąsiedzi byli mili i cisi, co w Londynie stanowiło nie lada wartość.

Wcisnęła guzik domofonu, zabrzęczało i drzwi się otworzyły. Po pokonaniu siedemdziesięciu dwóch stopni zadyszana stanęła przed otwartymi drzwiami mieszkania Simona. Powitały ją smakowite zapachy i muzyka z płyty Fatsa Wallera.

– Cześć.

– Wejdź, Jo! – zawołał Simon z kuchennej wnęki przestronnego pomieszczenia.

Joanna postawiła butelkę wina na blacie barku oddzielającego kuchnię od salonu. Simon, zarumieniony od pary unoszącej się z patelni, w której mieszał, odłożył drewnianą łyżkę, podszedł i uściskał przyjaciółkę.

– Jak się masz?

– Hm… dobrze. Wszystko w porządku.

Przytrzymał ją za ramiona i dokładnie się przyjrzał.

– Wciąż wzdychasz do tego idioty?

– Odrobinę. Ale już mi lepiej, naprawdę.

– To świetnie. Odzywał się?

– Ani słowem. Wszystkie jego manele spakowałam do czterech plastikowych worków i wystawiłam na klatkę. Jeśli nie odbierze ich w przyszłym miesiącu, wylądują na wysypisku. Przyniosłam wino.

– Dobra robota w obu sprawach – pochwalił Simon, z szafki nad głową wyjął korkociąg i dwa kieliszki. Joanna otworzyła butelkę i nalała im po solidnej porcji wina.

– Zdrowie – wzniosła toast i zapytała: – Co u ciebie?

– Dobrze. Siadaj, podam zupę.

Usiadła przy stole pod wychodzącym na południe oknem i wyjrzała na imponujący londyński krajobraz z dachami

czerwieniejącymi w zachodzącym słońcu.

– Co ja bym dał, żeby znowu oglądać gwiazdy zamiast tych wszystkich świateł! – powiedział Simon, stawiając przed nią zupę.

– Wiem. Na Wielkanoc wybieram się do Yorkshire. Może dołączysz?

– Zobaczę, jak będzie wyglądała sytuacja w pracy.

– Boże, ale pychota. – Joanna westchnęła, pochłaniając gęstą zupę z czarnej fasoli. – Chyba powinieneś dać sobie spokój ze służbą publiczną i otworzyć restaurację.

– Stanowczo nie. Gotowanie to moja frajda, hobby i źródło zdrowia psychicznego po długim dniu w wariatkowie. A skoro o tym mowa, jak w pracy?

– W porządku.

– Nie wywęszyłaś ostatnio żadnego skandalu? Nie odkryłaś, że jakaś gwiazdeczka zmieniła perfumy?

– Nie. – Dobrodusznie wzruszyła ramionami. Doskonale wiedziała, jaką antypatią Simon darzy prasę brukową. – Ale jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

– Poważnie? – Poszedł do kuchni, odstawił miski po zupie do zlewu, po czym wyjął z piekarnika wspaniale wyglądającą pieczeń jagnięcą z warzywami.

– Tak. To drobna tajemnica, na którą niedawno wpadłam. To może coś być albo nic. – Patrzyła, jak przyjaciel nakłada danie na talerze i przynosi do stołu wraz z sosjerką z aromatycznym sosem.

– *Voilà, mademoiselle*. – Simon usiadł naprzeciwko niej.

Joanna sowicie polała mięso sosem i wzięła kęs.

– Kurczę! Niebo w gębie.

– Dzięki. Więc co to za historia?

– Nacieszmy się najpierw jedzeniem, dobrze? To tak pokręcona sprawa, że muszę się w pełni skoncentrować, żeby ustalić, od czego

w ogóle zacząć.

– Brzmi intrygująco. – Uniósł brew.

Po kolacji Joanna umyła naczynia, a Simon zaparzył kawę.

– Dobra, strzelaj. Zamieniam się w słuch – powiedział Simon. Gdy jego przyjaciółka umościła się w fotelu, podwijając nogi, wręczył jej kubek z kawą i też usiadł.

– Pamiętasz, jak mnie odwiedziłeś, kiedy zamartwiałam się tym, że Matthew mnie rzucił? Opowiadałam ci o nabożeństwie żałobnym za sir Jamesa Harrisona. W kościele siedziałam obok staruszki, która zasłabła i musiałam odwieźć ją do domu.

– Tak. Miała pokój pełen skrzynek po herbacie.

– Otóż to. Dziś rano w pracy dostałam od niej list i…

Tak dokładnie, jak potrafiła, dbając o chronologię, Joanna zrelacjonowała przyjacielowi wydarzenia dnia. Słuchał uważnie, od czasu do czasu popijając kawę.

– Jakkolwiek byś na to patrzył, jej śmierć sugeruje tylko jedno – zakończyła.

– Mianowicie?

– Morderstwo.

– To bardzo dramatyczne założenie, Jo.

– Nie sądzę. Stałam na szczycie schodów, z których spadła. Nie mogła na nie wejść. Zresztą, po co miałaby to robić? Górne piętro było całkowicie opuszczone.

– W takich wypadkach musisz rozważyć wszystkie zaistniałe okoliczności. Czy na przykład brałaś pod uwagę, że ta starsza pani miała już dość życia? Logika podpowiadałaby, że jakoś zawlokła się na górę i popełniła samobójstwo.

– Ale co z listem do mnie? I z programem teatralnym?

– Przyniosłaś je?

– Tak. – Joanna poszperała w plecaku i wyjęła kopertę.

Otworzyła ją i podała mu list od Rose.

Simon szybko przeczytał.

– A ten drugi? – rzucił.

– Masz. – Wręczyła mu anonimowy list miłosny. – Uważaj, papier jest bardzo kruchy.

– Oczywiście. – Wysunął list z koperty i również go przeczytał. – No, no – mruknął. – Fascynujące. Absolutnie fascynujące. – Zbliżył kartkę do oczu i bacznie się jej przyjrzał. – Zauważyłaś to?

– Co?

Simon podał jej list i pokazał swoje odkrycie.

– Spójrz, wzdłuż brzegów są drobne otworki.

Joanna przyjrzała się i stwierdziła, że przyjaciel ma rację.

– Dziwne… – mruknęła. – Jakby nakłucia szpilką.

– Tak. Podaj mi ten program, Jo.

Gdy to zrobiła, obejrzał program i odłożył na stolik.

– I co wydedukowałeś, Sherlocku? – spytała.

Potarł nos, jak zawsze, gdy rozmyślał.

– Cóż, istnieje możliwość, że ta stara dziwaczka ześwirowała. Ten list mógł jej przysłać wielbiciel i może nie mieć żadnego znaczenia. To znaczy miał je wyłącznie dla niej. Może jej ukochany grał w musicalu albo coś w tym rodzaju.

– Ale po co mi to przysłała? – spytała Joanna z powątpiewaniem. – Czemu pisała, że to „niebezpieczne”? Jej list brzmi dość sensownie jak na wiadomość od kogoś, kto jakoby postradał zmysły.

– Ja tylko sugeruję alternatywy.

– A jeśli nie ma żadnych wiarygodnych?

Simon pochylił się i uśmiechnął do przyjaciółki.

– Wówczas, drogi Watsonie, mamy do rozwiązania zagadkę.

– Jestem przekonana, że ta staruszka nie zwariowała. I jestem równie pewna, że czegoś lub kogoś śmiertelnie się bała. Ale co

dalej? – Westchnęła. – Może powinnam to pokazać Alecowi w pracy, zobaczyć, co wymyśli.

– Nie – odparł Simon zdecydowanie. – Masz za mało danych. Najpierw powinnaś ustalić, kim była ta Rose.

– Niby jak mam to zrobić?

– Mogłabyś pójść na lokalny posterunek policji i sprzedać im tę samą bajkę co Muriel: że jesteś jej cioteczną wnuczką, która właśnie wróciła z krainy misiów koala. Policja skieruje cię pewnie do kostnicy, zakładając, że prawdziwa rodzina tej kobiety nie zdążyła jej już pochować.

– Mówiła swojej sąsiadce, że cała jej rodzina mieszka za granicą.

– Ktoś musiał zabrać te skrzynki po herbacie. Policja mogła namierzyć jej krewnych.

– Jeśli nawet tak się stało, to dziwne, że mieszkanie uprzątnięto w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Poza tym, raczej nie mogę iść na policję i wypytywać o ciotkę, której nazwiska nie znam.

– Pewnie, że możesz. Powiedz, że dawno temu straciła kontakt z rodziną, mogła wyjść za mąż i nie wiesz, jakim nazwiskiem się posługiwała.

– Dobry pomysł! Zrobię to jak najszybciej.

– Masz ochotę na brandy?

Joanna spojrzała na zegarek.

– Nie. Powinnam już wracać.

– Chcesz, żebym cię odwiózł?

– Dzięki, ale poradzę sobie. Nie pada, a spacer pozwoli mi spalić kalorie po tej uczcie. – List i program wsunęła do koperty, schowała do plecaka, wstała i ruszyła do drzwi. – Kolejny triumf kulinarny, Simon. I dzięki za radę.

– Zawsze do usług. Ale miej się na baczności. Nie wiadomo, na co wpadłaś przez przypadek.

– Wątpię, czy w skrzynkach po herbacie tej mojej staruszki był prototyp bomby atomowej, która mogłaby wywołać trzecią wojnę światową, ale będę uważać. – Zaśmiała się i pocałowała przyjaciela w policzek. – Dobrej nocy.

Dwadzieścia minut później, odświeżona spacerem w dół Highgate Hill, Joanna wsunęła klucz do zamka. Zamknąwszy za sobą drzwi, namacała włącznik i zapaliła światło. Weszła do salonu i wydała okrzyk grozy.

Pokój splądrowano, inaczej nie dało się tego ująć. Regał przewrócono i na podłodze walały się setki książek. Kanapę w kolorze limonki wypatroszono nożem; obicie pocięto na kawałki. Doniczki poprzewracano, ziemię wysypano na podłogę; w kominku leżały potłuczone porcelanowe talerze Wedgwooda.

Zdusiła łkanie i pobiegła do sypialni, gdzie czekała ją podobna scena. Materac rozdarto i odrzucono na bok, łóżko pocięto, ubrania powyciągano z szaf i szuflad. W łazience kremy, buteleczki z lekarstwami i przybory do makijażu pootwierano i wrzucono do wanny, gdzie tworzyły barwną mieszaninę, którą mógłby się poszczycić każdy awangardowy artysta. Podłogę w kuchni pokrywała warstwa mleka, soku pomarańczowego i potłuczonej zastawy.

Joanna biegiem wróciła do salonu. Gdzieś z jej wnętrza dobywało się potężne gardłowe łkanie. Sięgnęła po telefon, lecz spostrzegła, że przewód wyrwano ze ściany. Drżąc na całym ciele, przeszukała rumowisko, rozglądając się za plecakiem, w końcu znalazła go w holu. Gdy wyciągnęła komórkę, palce tak jej drżały, że najpierw wcisnęła niewłaściwe numery, w końcu jednak dodzwoniła się do Simona.

Dziesięć minut później zastał ją drżącą i łkającą w przedpokoju.

– Tak mi przykro, Jo. – Przytulił ją, była jednak w histerii i nie

dała się pocieszyć.

– Zajrzyj tam! – krzyknęła. – Zobacz, co te sukinsyny zrobiły. Zniszczyli wszystko, wszystko. Nic nie zostało!

Simon wszedł do salonu, obejrzał zniszczenia, potem przeszedł do sypialni, łazienki i kuchni.

– Jezu! – mruknął do siebie, krocząc po szczątkach. – Skontaktowałaś się z policją, jak ci radziłem?

Przytaknęła i usiadła na stercie ubrań Matthew, które wysypały się z rozciętego worka w holu.

– Zauważyłaś, czy coś zabrali? Na przykład telewizor? – spytał łagodnie Simon.

– Nie widziałam.

– Pójdę sprawdzić.

Simon wrócił po kilku minutach.

– Zabrali telewizor, wideo, komputer, drukarkę… wszystko.

Joanna, pogrążona w rozpaczy, pokręciła głową i oboje ujrzeli za przeszklonymi drzwiami niebieskie światła radiowozu. Simon wyminął przyjaciółkę, otworzył drzwi i podszedł do policjanta na ścieżce przed domem.

– Witam, panie władzo. Nazywam się Simon Warburton. – Wyjął z kieszeni legitymację.

– Ach, rozumiem – rzucił policjant, patrząc na niego konfidencjonalnie.

– Jestem przyjacielem ofiary, a ona… nie zdaje sobie sprawy, czym się zajmuję – szepnął.

– Jasne, szefie. Rozumiem, co pan ma na myśli.

– Chciałem zamienić z panem dwa słowa, zanim pan wejdzie. To był bardzo brutalny atak. Pani domu akurat nie było, dzięki Bogu, ale sugeruję, żebyście potraktowali tę sprawę poważnie i zrobili wszystko, by znaleźć sprawcę czy sprawców.

– Oczywiście, proszę pana.

Godzinę później, gdy jak Joanna uspokoiła się nieco po brandy przywiezionej przez Simona i udzieliła policji na tyle klarownych wyjaśnień, na ile pozwalał jej oszołomiony mózg, Simon zaproponował, że na resztę nocy zabierze ją do siebie.

– Sprzątanie niech pani lepiej odłoży do rana – poradził policjant.

– Pan ma rację, Jo. Chodź, zabierajmy się stąd. – Simon objął przyjaciółkę, wyprowadził z domu i eskortował do samochodu.

Joanna bezwładnie opadła na siedzenie, a on usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Gdy odjeżdżał od krawężnika, przednie światła omiotły numery rejestracyjne samochodu po przeciwnej stronie ulicy. Bardzo dziwne, pomyślał, skręcając w lewo i zaglądając do ciemnego pojazdu. To pewnie zwykły zbieg okoliczności, powiedział do siebie, jadąc pod górę do swojego domu.

Mimo to nazajutrz postanowił to sprawdzić.

7

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Zoe skończyła zmywać podłogę.

– Cholera! – Pobiegła do kuchni, zostawiając na kafelkach ślady stóp, i podniosła słuchawkę tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki. – Jestem – wydyszała z nadzieją.

– To ja.

– O, cześć, Marcus.

– Mój głos chyba niespecjalnie cię ucieszył, co?

– Przepraszam.

– Zresztą, ja tylko oddzwaniam.

– No tak. Chcesz wpaść wieczorem na drinka? – spytała.

– Jasne. Rozmawiałaś z tatą?

– Tak.

– I co?

– Opowiem ci później – odparła z roztargnieniem.

– Dobra. Widzimy się około dziewiętnastej.

Zoe trzasnęła słuchawką i zawyła z frustracji. Czas się kończył. W przyszłym tygodniu miała wyjechać na plan do Norfolk i zacząć zdjęcia do *Tessy*. On miał tylko jej numer mieszkania przy Welbeck Street. Przed dziesięcioma laty żadne z nich nie miało komórki, a kiedy telefon odbierał dziadek Zoe, on zawsze przedstawiał się jako Sid – nie miała pojęcia dlaczego, ale oboje chichotali z tego powodu.

Wyjazd z Londynu oznaczał, że Zoe nie będzie mogła odebrać jego telefonu, a w niewielkiej wiosce w Norfolk rzucałby się w oczy, więc nie mógł jej tam odwiedzić. Potem wszystko rozejdzie się po kościach. Zoe czuła, że tego nie zniesie.

– Proszę, zadzwoń – zwracała się błagalnie do telefonu.

Przejrzała się w lustrze i westchnęła na widok pobladłej, wyczerpanej twarzy. Jak zwykle w kryzysowych chwilach maniakalnie sprzątała, myła i szorowała, próbując się zmęczyć, by nie rozmyślać nad swoim położeniem.

Poza tym zaczęło do niej docierać, że kompletnie nie przywykła do samotności, co również nie pomagało. Jeszcze dwa miesiące temu mogła rozmawiać z dziadkiem. Boże, jak bardzo za nim tęskniła. Za Jamiem też. Cieszyła się tylko, że posłuchała rady dziadka i przyjęła rolę Tessy, zwłaszcza że telefon, na który tak czekała, stawał się coraz mniej prawdopodobny.

O wpół do ósmej wieczorem Marcus zadzwonił do drzwi i Zoe powitała go na progu.

– Siemka, siostrzyczko.

– Piłeś? – Bacznie przyjrzała się bratu.

– Tylko parę drinków, naprawdę.

– Sądząc po twoim wyglądzie, parę butelek. – Zoe zaprowadziła Marcusa do salonu. – Chcesz kawy, żeby otrzeźwieć?

– Whisky, jeśli masz.

– Dobrze. – Zbyt zmęczona, żeby się sprzeczać, podeszła do barku, antycznego szkaradzieństwa z orzecha włoskiego z wygiętymi nóżkami, o które stale się potykała. Pewnie wart był majątek. Zoe obiecała sobie w myślach, że wezwie rzeczoznawcę, aby teraz, po odejściu dziadka, wycenił zawartość domu dla ubezpieczyciela. Może sprzeda trochę drogich mebli, by opłacić

remont. Znalazła whisky, nalała na jedną czwartą wysokości szklanki i podała bratu.

– Daj spokój, siostro. Dlaczego tak sknerzysz?

– Weź i sam się obsłuż. – Podała mu whisky, a sobie nalała ginu z tonikiem. – Pójdę po lód. Chcesz trochę?

– Nie, dzięki. – Marcus napełnił szklankę i czekał na siostrę. Gdy wróciła, pokazał kilka dzieł sztuki na ścianach. – Wijesz tu sobie gniazdko?

– Przeniosłam tylko kilka obrazów ze swojej sypialni, żeby rozweselić ten salon.

– Miło dostać taki spadek.

– Nie zaczynaj znowu, Marcus! Przykro mi o tym wspominać, ale kilka lat temu tata dał ci dość pieniędzy, żebyś wynajął sobie przyjemne mieszkanie w Notting Hill. Nie mówiąc o finansowaniu twoich projektów filmowych.

– To prawda – przyznał. – Powiedz, o czym wczoraj rozmawialiście?

– Cóż… – Zoe podwinęła nogi na kanapie. – Chociaż w sprawie testamentu wykazałeś bezbrzeżną niewdzięczność, rozumiem, co czujesz.

– To bardzo przenikliwe z twojej strony, droga siostro.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Marcus. Ja tylko próbuję pomóc.

– To raczej ty jesteś protekcjonalna, kochanie.

– Chryste! Jesteś niemożliwy! Po prostu zamknij się na chwilę i pozwól wyjaśnić, jak mogłabym ci pomóc.

– Już dobrze, dobrze. Mów.

– Układ chyba zawsze polegał na tym, że o twoje finanse troszczył się tata, podczas gdy dziadek opiekował się Jamiem i mną.

AVP

Wychowuję samotnie syna, więc chciał mieć pewność, że bez względu na to, co się stanie, niczego nam nie zabraknie.

– Możliwe.

– A zatem… – Zoe napiła się ginu. – Ponieważ wszystkie pieniądze trafiły do funduszu powierniczego Jamiego, istnieje tylko jedno miejsce, z którego można legalnie i uczciwie wyjąć środki dla ciebie.

– To znaczy.

– To ci się raczej nie spodoba, ale naprawdę nic więcej nie mogę zrobić. – Zoe westchnęła ciężko.

– Dalej, wykrztuś wreszcie.

– Chodzi o stypendium na naukę dla dwojga utalentowanych aktorów.

– Czyżbyś sugerowała, że powinienem wrócić na studia? – dowcipkował Marcus.

– Tata i ja proponujemy ci sowitą pensję za zarządzanie tym stypendium.

– To wszystko? – Wpatrywał się w siostrę szeroko otwartymi oczami.

– Och, Marcus. – Pokręciła głową, nie kryjąc frustracji. – Wiedziałam, że tak zareagujesz! Proponujemy ci zajęcie, które pochłonie cię zaledwie na kilka tygodni w roku, za to da ci regularne przychody, podczas gdy będziesz próbował wyprodukować swój film. Owszem, będziesz musiał się zająć promowaniem stypendium i zainteresować media, żeby zachęcały do składania wniosków. Potem tygodniowe przesłuchania przed komisją, którą sam wybierzesz… ja z przyjemnością się włączę… do tego nieco pracy administracyjnej, ale to naprawdę łatwe pieniądze. Możesz to robić, stojąc na głowie.

Marcus milczał, więc Zoe postanowiła zagrać asa.

– Ludzie z branży filmowej, którzy w ciebie wątpili, zwrócą na ciebie uwagę. Zarządzanie stypendium, które przyczynia się do wspierania młodych brytyjskich aktorów teatralnych, poprawi twoją reputację. Możesz wykorzystać media do nagłośnienia własnej firmy produkcyjnej.

– Ile? – spytał, unosząc głowę.

– Tata i ja myśleliśmy o trzydziestu tysiącach rocznie. Wiem, że nie jest to kwota, jakiej potrzebujesz, ale to niezła pensja za kilka tygodni pracy – dodała pospiesznie. – Jeśli chcesz, możesz dostać z góry pieniądze za pierwszy rok. – Zoe wskazała teczkę na stole. – Tu są wszystkie szczegóły dotyczące funduszu stypendialnego i kwoty, którą musimy zainwestować. Weź to do domu i przeczytaj. Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili.

Marcus pochylił się i dotknął teczki.

– To bardzo miłe z twojej strony, Zoe. Dziękuję ci za szczodrość.

– Nie ma sprawy. – Nie wiedziała, czy brat rzeczywiście czuje wdzięczność, czy jest sarkastyczny. – Naprawdę próbowałam ci pomóc. Wiem, że to nie sto tysięcy, o które ci chodziło, ale w końcu je zbierzesz.

Marcus wstał z wściekłością i gniewnie spojrzał na spokojną twarz siostry.

– Powiedz mi, Zoe, kiedy wreszcie dasz sobie spokój?

– Co takiego?

– Siedzisz tu sobie i patrzysz z góry na mnie, biednego grzesznika, który zbłądził, ale przy odrobinie cierpliwości i czasu można go ocalić. A przecież… – Marcus z niedowierzaniem wyrzucił ręce w górę. – To ty zawaliłaś, to ty zaszłaś w ciążę w wieku osiemnastu lat! Jeśli więc nie było to niepokalane poczęcie, chyba wiesz o grzechu więcej niż ja.

Zoe wstała pobladła z gniewu.

– Jak śmiesz obrażać mnie i Jamiego? Wiem, że jesteś zły, zdesperowany, prawdopodobnie także w depresji, ale naprawdę robiłam co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Dlatego właśnie w tym momencie daję sobie spokój. Mam po dziurki w nosie twojego użalania się nad sobą. Wynoś się!

– Nie martw się, już idę. – Marcus ruszył do drzwi. – Swój fundusz stypendialny możesz sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Kiedy drzwi trzasnęły, wybuchła płaczem. Łkała tak głośno, że o mały włos nie umknął jej telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka.

– Hm, cześć, Zoe. To ja…

Zerwała się z kanapy i pognała do telefonu w kuchni.

– Jestem, Art. – „Art” wyrwał się z jej ust, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Jak się masz?

Zoe popatrzyła na swoją zalaną łzami twarz odbitą w przeszklonych szafkach kuchennych i odparła:

– Dobrze, bardzo dobrze.

– Świetnie. Słuchaj, tak sobie myślałem… Czy to byłoby grubiaństwo wprosić się na drinka? Wiesz, jak to ze mną jest, a bardzo pragnę cię zobaczyć, naprawdę.

– Oczywiście. Kiedy chciałbyś wpaść?

– Może w piątek wieczorem?

– Doskonale.

– Około ósmej?

– Pasuje.

– Dobra, cieszę się. Dobranoc, Zoe. Śpij dobrze.

– Dobranoc. – Odłożyła słuchawkę, nie wiedząc, czy dalej płakać, czy wydać okrzyk radości.

Zdecydowała się na to drugie. Tańcząc w kuchni irlandzki taniec, postanowiła poświęcić jutrzejszy dzień na robienie się na bóstwo. Przyszedł czas na fryzjera i sklepy z ciuchami.

Rozmyślanie o tym dupku bracie z całą pewnością nie było w jej planach.

AIP

8

Marcus wypadł z domu Zoe i wylądował w nocnym klubie na Oxford Street, gdzie poznał dziewczynę, która – o czym był wówczas święcie przekonany – do złudzenia przypominała Claudię Schiffer. Gdy nazajutrz obudził się i spojrzał na twarz obok siebie, pojął, że musiał postradać zmysły. Jaskrawy makijaż spłynął z twarzy kobiety, ciemne odrosty tlenionych włosów kontrastowały z bielą poduszki. Z silnym akcentem wysepleniła coś o wzięciu wolnego w pracy, żeby mogła spędzić z nim dzień.

Powlókł się do łazienki i zwymiotował. Pod prysznicem usiłował oczyścić umysł; jęknął na wspomnienie tego, co minionego wieczoru powiedział siostrze. Był straszną, wprost niewyobrażalną świnią.

Wyperswadował kobiecie pomysł zwalniania się z pracy, wywalił ją z mieszkania i pochłonął morze czarnej kawy, która paliła protestujący żołądek. W końcu postanowił przejść się do Holland Park.

Był rześki, mroźny dzień; prognozy zapowiadały śnieg. Marcus szedł szybko alejkami wzdłuż żywopłotów; mętna woda w stawach połyskiwała w zimnym słońcu. Otuliwszy się płaszczem, groźnie patrzył na każdego, kto ośmielił się spojrzeć mu w oczy. Nawet wiewiórki bały się do niego zbliżać.

Pozwolił, by gula w gardle roztopiła się w potoku łez. Naprawdę przestał już siebie lubić. Zoe starała się mu pomóc, a on potraktował

ją nikczemnie. Po raz kolejny do głosu doszła gorzała. Może zresztą siostra miała rację: niewykluczone, że miał depresję.

Kiedy teraz zastanawiał się nad wczorajszą propozycją siostry, wcale nie wydawała mu się taka zła. Jak słusznie zauważyła Zoe, to była forsa za nic. Nie miał pojęcia o zasobach funduszu stypendialnego, ale mógł się założyć, że są spore. Oczami wyobraźni zobaczył się w roli hojnego dobroczyńcy nie tylko studentów, ale teatrów i młodych filmowców borykających się z trudnościami. Stałby się sławny w branży jako obdarzony wrażliwością wizjoner z pieniędzmi. Poza tym matka z pewnością zaaprobowałaby ten projekt.

Regularne przychody niewątpliwie by mu się przydały. Może pozwoliłyby mu uzyskać kontrolę nad finansami, stworzyć budżet, potem zainwestować odziedziczone sto tysięcy w firmę produkcyjną.

Wystarczyło klęknąć przed Zoe. I właśnie taki miał zamiar.

Postanowił, że pozwoli siostrze ochłonąć kilka dni i pojawi się u niej w piątkowy wieczór.

Z bukietem róż – ostatnich w kwiaciarni – zadzwonił do drzwi.

Zoe otworzyła niemal natychmiast, ale na widok brata mina jej zrzedła.

– Co ty tu robisz?

Marcus przyjrzał się subtelnemu makijażowi, umytym jasnym włosom i sukience z niebieskiego aksamitu, pasującej odcieniem do oczu i odsłaniającej sporą część nóg.

– Kurczę, Zo, spodziewasz się gościa?

– Tak… nie… To znaczy za dziesięć minut muszę wyjść.

– Dobra, to nie potrwa długo, obiecuję. Mogę wejść?

– Przykro mi, ale to naprawdę nie jest dobry moment. – Zoe wyglądała na zdenerwowaną.

– Rozumiem. W takim razie powiem to tutaj. Ostatnio zachowałem się jak skończona świnia i przepraszam cię z całego serca. Nie usprawiedliwiam się, ale byłem mocno pijany. Przez ostatnie dwa dni sporo myślałem. Doszedłem do wniosku, że odreagowałem na tobie frustrację i gniew, który czuję do siebie. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Postanowiłem wziąć się w garść i przestać pić. Muszę, prawda?

– Tak, tak – odparła Zoe z roztargnieniem.

– Zrozumiałem swój błąd i z radością zajmę się tym funduszem stypendialnym, jeśli nadal podtrzymujesz propozycję. To świetna okazja i teraz, kiedy ochłonąłem, dotarło do mnie, że ty i tata wykazaliście wielkoduszność, składając mi tę ofertę. – Wręczył siostrze bukiet. – To dla ciebie.

– Dzięki.

Marcus patrzył, jak Zoe rozgląda się nerwowo po ulicy.

– Czyli wybaczasz mi?

– Tak, tak, oczywiście, że ci wybaczam.

Marcusa zaskoczyła reakcja siostry; wyobrażał sobie, że nie wybaczy mu tak łatwo. I trudno by było się jej dziwić.

– Dzięki, Zoe. Obiecuję, że cię nie zawiodę.

– Świetnie. – Ukradkiem zerknęła na zegarek. – Posłuchaj, czy możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

– Pod warunkiem że naprawdę wierzysz, że potrafię się zmienić. Spotkamy się w przyszłym tygodniu, żeby pogadać?

– Jasne.

– W porządku. Czy masz tę teczkę? Wziąłbym ją do domu i przestudiował w weekend. Obmyślę plan działania.

– Zgoda. – Zoe wbiegła do domu, wzięła teczkę z biurka dziadka

i wróciła do drzwi. – Masz.

– Dzięki. Nie zapomnę tego. Jutro zadzwonię, żeby się umówić.

– Tak. Dobranoc. – Pospiesznie zamknęła mu drzwi przed nosem.

Marcus odetchnął z ulgą, wciąż zdumiony, że tak łatwo poszło. Podśpiewując cicho, szedł przed siebie, gdy na londyńskie ulice zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu.

*

– Dobry wieczór, Warburton. Proszę siadać. – Lawrence Jenkins, przełożony Simona, wskazał ręką krzesło przed swoim biurkiem. Szczupły, wytworny, w nienagannym garniturze z Savile Row, codziennie nosił inną muszkę. Dziś czerwieniła się krwiście. Roztaczał aurę władzy, sugerującą, że piastuje swoją posadę od dawna i nie znosi sprzeciwu. Jak zwykle stała przed nim filiżanka parującej czarnej kawy. – Wygląda na to, że mógłby nam pan pomóc w drobnym problemie, który właśnie się pojawił.

– Oczywiście zrobię wszystko co w mojej mocy – zapewnił Simon.

– Zuch. Słyszałem, że zeszłej nocy pana dziewczyna miała kłopoty w swoim mieszkaniu. Najwyraźniej zostało splądrowane.

– To nie jest moja dziewczyna, proszę pana, ale bardzo bliska przyjaciółka.

– Ach, tak. Czyli wy nie…

– Nie.

– Dobrze. To nawet ułatwia sprawę.

– Co dokładnie ma pan na myśli? – spytał Simon, marszcząc czoło.

– Chodzi o to, że, naszym zdaniem, pańska przyjaciółka otrzymała pewne… jak by to ująć… niezmiernie delikatne

informacje, które, gdyby wpadły w niepowołane ręce, mogłyby nam przysporzyć kłopotów. – Jastrzębie oczy Jenkinsa świdrowały Simona. – Czy ma pan pojęcie, co to może być?

– Nie, skąd. Nie mam pojęcia. Czy mógłby pan nieco bardziej naświetlić sprawę?

– Jesteśmy prawie pewni, że pańska przyjaciółka otrzymała list od osoby, którą się interesujemy. Nasz wydział otrzymał polecenie, by jak najszybciej odzyskać ten list.

– Rozumiem.

– Prawdopodobnie pańska przyjaciółka nie zdaje sobie sprawy z jego znaczenia.

– Które polega na czym? O ile wolno spytać?

– Obawiam się, że to poufne, Warburton. Jeśli ona ma ten list, musi go niezwłocznie zwrócić.

– Komu?

– Nam, Warburton.

– Sugeruje pan, abym ją spytał, czy ma list?

– Spróbowałbym nieco bardziej subtelnej taktyki. Ta dziewczyna aktualnie przebywa u pana, tak?

– Owszem. – Simon spojrzał na szefa zdziwiony.

– Parę dni temu sprawdziliśmy jej mieszkanie, ale nie znaleźliśmy listu.

– Raczej je zdemolowaliście – sprostował gniewnie Simon.

– Niestety, zaszła taka konieczność. Oczywiście dopilnujemy, żeby ubezpieczyciel okazał hojność. Ale skoro nie znaleźliśmy u niej listu, może mieć go przy sobie, na przykład w pana mieszkaniu. Zamiast narażać tę dziewczynę na dalsze przykrości, pomyślałem, że poproszę pana o odzyskanie dla nas tego listu. Świetnie się składa, że jest pan jej… przyjacielem. Przypuszczam, że panu ufa?

– Tak. Na tym zazwyczaj opiera się przyjaźń, proszę pana. –

Simon nie zdołał powstrzymać sarkazmu.

– W takim razie zostawiam to panu. Niestety, jeśli pan tego nie zrobi, wyręczą pana inni. Dla dobra wszystkich proszę ją ostrzec, Warburton. W jej najlepszym interesie leży powstrzymanie się od dalszego myszkowania. To tyle.

– Dziękuję.

Simon wyszedł z gabinetu zły i zdezorientowany faktem, że postawiono go w tak trudnym położeniu. Po przejściu labiryntu korytarzy dotarł do swojego pokoju i usiadł za biurkiem.

– Widziałeś się z Jenkinsem? – zapytał jego kolega Ian, przysiadając na krawędzi biurka.

– Skąd wiesz?

– Poznałem po szklistym wzroku i lekko opadniętej szczęce – odparł Ian z uśmieszkiem. – Trzeba ci chyba porządnego ginu. Chłopaki robią popijawę w Lordzie George'u.

– Właśnie się zastanawiałem, czemu tu tak pusto.

– Jest piątkowy wieczór. – Ian narzucił płaszcz.

– Może dołączę później. Muszę tu zamknąć kilka spraw.

– W porządku. Dobranoc.

– Dobranoc.

Po wyjściu kolegi Simon westchnął i potarł twarz dłońmi. Rozmowa z Jenkinsem nie była całkowitym zaskoczeniem. Simon już wcześniej nabrał przekonania, że włamanie do Joanny jest nieco podejrzane. Wczoraj w porze lunchu zszedł na parking, uśmiechnął się słodko do recepcjonistki i podał jej numery rejestracyjne samochodu, który minionej nocy zauważył przed domem przyjaciółki.

– Niestety, miałem stłuczkę. Wóz wymaga drobnej naprawy, ale to nic pilnego.

– W porządku. – Recepcjonistka sprawdziła numery

w komputerze. – Mam. Szary rover, tak?

– Zgadza się.

– Dam panu formularz. Proszę go wypełnić i przynieść, to wdrożymy procedurę.

– Świetnie. Wielkie dzięki.

To, że Simon domyślił się, iż numery rejestracyjne należą do jednego z ich samochodów, było zwykłym zbiegiem okoliczności. Jego wóz służbowy miał numery N041 JMR, natomiast samochód, który widział w środową noc – N042 JMR. Istniało spore prawdopodobieństwo, że firma zaopatrzyła się w partię samochodów i nadano im kolejne numery.

Spojrzał na komputer pustym wzrokiem i postanowił pójść do domu. Narzucił płaszcz, pomachał na pożegnanie kolegom, którzy dłużej zostali w biurze i nie poszli do Lorda George'a, zjechał windą i wyszedł z Thames House bocznymi drzwiami; przed powrotem do domu postanowił przejść się nad rzeką. Podniósł wzrok na surowy szary budynek; w wielu oknach paliły się światła, bo agenci zajęci byli papierkową robotą. Już dawno przestał się czuć winny z powodu okłamywania przyjaciół i rodziny w kwestii swojej pracy. Tylko Joanna okazywała zainteresowanie, a on dbał o to, by opowieści o pracy w Whitehall brzmiały na tyle nudno, by zniechęcić ją do dalszych pytań.

W świetle tego, co usłyszał od Jenkinsa, namówienie przyjaciółki, by dała sobie spokój, mogło się okazać trudne. Skoro sprawą zajął się jego wydział, Joanna musiała się natknąć na coś poważnego.

Oznaczało to też, że dopóki ma list, nie jest bezpieczna.

*

Mieszając sos boloński na kuchence Simona, Joanna patrzyła

przez szerokie okno na spadające płatki śniegu. Gdy dorastała na wrzosowiskach, farmerzy myśleli o śniegu ze zgrozą, oznaczał bowiem konieczność zaganiania owiec do stodoły, a parę dni później ze smutkiem odkopywało się te, które się przeoczyło. Dla niej śnieg wiązał się z zabawą i niechodzeniem do szkoły, czasem przez wiele dni, zanim odśnieżono wąskie ścieżki wokół domu. Tej nocy zapragnęła znowu znaleźć się w przytulnej sypialni na poddaszu, z dala od trosk dorosłego życia.

Gdy obudziła się nazajutrz po włamaniu, Simon uparł się, że przed wyjściem do pracy zadzwoni do Aleca w redakcji. Powiadomił go o włamaniu, podczas gdy ona siedziała na kanapie otulona kołdrą i czekała, aż szef zażąda, by stawiła się w pracy. Simon jednak odłożył słuchawkę i oznajmił, że Alec okazał wielkie współczucie. Zaproponował, by wzięła sobie trzy dni wolnego, które należało się jej jeszcze przed Bożym Narodzeniem, i doszła do siebie. Musiała się zająć praktycznymi rzeczami, takimi jak ubezpieczenie i porządne sprzątanie, żeby mieszkanie znów nadawało się do życia. Na razie odłożyła to jednak i z ulgą spędziła resztę dnia w łóżku.

Dziś rano Simon usiadł na kanapie i zdjął kołdrę z przyjaciółki.

– Na pewno nie chcesz pojechać na kilka dni do rodziców? – spytał.

Joanna z jękiem przewróciła się na bok.

– Nie, tu mi dobrze. Przepraszam, że się mazgaiłam.

– Masz do tego pełne prawo, Jo. Chcę ci tylko pomóc. Zmiana miejsca mogłaby ci dobrze zrobić.

– Nie. Jeśli dzisiaj nie wrócę do siebie, mieszkanie zacznie mnie nawiedzać. – Westchnęła. – To jak ze spadaniem z konia. Natychmiast musisz znowu wsiąść albo już nigdy tego nie zrobisz.

Gdy Simon wyszedł do pracy, zmusiła się, by zejść ze wzgórza,

ale jej mieszkanie w świetle dnia nie prezentowało się lepiej. Policja zezwoliła jej na powrót i przekazała raport, żeby mogła go dać firmie ubezpieczeniowej. Joanna wzięła się w garść i zaczęła od uprzątnięcia śmierdzącej brei zalegającej w kuchni. Do lunchu uporała się z kuchnią, pomijając ubytki w zastawie. Łazienka lśniła; w salonie wszystkie zniszczone rzeczy leżały na pociętej kanapie, tak by mógł je obejrzeć rzeczoznawca. Ku zdziwieniu Joanny monter od telefonów przyszedł, choć go nie wzywała, i naprawił wyrwane ze ściany przewody.

Zbyt wycieńczona i zgnębiona, by zabierać się za sypialnię, spakowała trochę rzeczy do torby. Simon zapewniał, że może u niego mieszkać tak długo, jak ma ochotę. A na razie tego właśnie chciała. Pochylając się, żeby wepchnąć bieliznę do szuflady, dostrzegła na dywanie błyszczący przedmiot, częściowo zakryty dżinsami wyrzuconymi z szafy przez napastników. Podniosła z podłogi cienkie złote pióro wieczne. Z boku widniały wygrawerowane inicjały: *I.C.S.*

– Stylowy złodziej – mruknęła. Żałując, że dotknęła pióra, bo mogła zniszczyć odciski palców, zawinęła je w chusteczkę higieniczną i schowała do plecaka, by potem oddać policji.

Teraz na odgłos klucza w zamku nalała wina do kieliszka.

– Cześć! – Simon wszedł do mieszkania, a Joanna pomyślała, że w nieskazitelnym szarym garniturze, koszuli i krawacie wygląda bardzo przystojnie.

– Hej. Wina?

– Dzięki – powiedział, biorąc od niej kieliszek. – Kurczę, z tobą na pewno wszystko w porządku? Czyżbyś coś pichciła? – Zaśmiał się.

– Niestety, tylko spaghetti po bolońsku. Nawet nie próbuję z tobą konkurować.

– Jak się czujesz? – spytał, zdejmując płaszcz.

– Dobrze. Poszłam dziś do siebie…

– Chyba nie sama!

– Musiałam przygotować rzeczy dla ubezpieczyciela. Poza tym sprzątanie dobrze mi zrobiło. Większość zniszczeń okazała się powierzchowna. W dodatku… – Z uśmiechem oblizała drewnianą łyżkę. – Dzięki całej tej historii dostanę przynajmniej nową wygodną kanapę.

– Tak trzymać! Idę wziąć prysznic.

– Dobra.

Dwadzieścia minut później zabrali się za spaghetti suto posypane parmezanem.

– Nieźle jak na amatorkę – rzucił Simon.

– Kurczę, ale sypie – powiedziała, wyglądając przez okno. – Jeszcze nigdy nie widziałam Londynu pod śniegiem.

– Co oznacza, że staną autobusy, metro i pociągi. – Simon westchnął ciężko. – Dzięki Bogu jutro niedziela.

– Tak.

– Gdzie jest list od tej Rose, Jo?

– W moim plecaku. Czemu pytasz?

– Mogę go zobaczyć?

– Wpadłeś na jakiś pomysł?

– Nie, ale mój kumpel pracuje w dziale kryminalistyki w Scotland Yardzie. Może zdoła poddać go analizie i powiedzieć nam coś o rodzaju papieru, atramencie, podać przybliżoną datę napisania listu.

– Serio? Niezły ten twój kumpel.

– Znam go jeszcze z Cambridge.

– Ach, tak. – Dolała sobie wina i westchnęła. – Sama nie wiem, Simon. – Ta staruszka nalegała, żebym nie rozstawała się z listem ani z programem.

– Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz?

– Oczywiście, że ci ufam. Po prostu jestem rozdarta. Świetnie byłoby uzyskać dodatkowe informacje, ale co będzie, jeśli list wpadnie w niepowołane ręce?

– Na przykład moje? – Simon udał, że jest obrażony.

– Nie bądź głupi. Posłuchaj, jestem pewna, że ona została zamordowana.

– Nie masz żadnych dowodów. Miła staruszka spada ze schodów, a ty od razu myślisz, że to *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg*.

– Chyba nie! Sam przyznałeś, że jest w tym coś podejrzanego. Co się zmieniło?

– Nic… nic. Dobra, zróbmy tak: dasz mi list, a ja pokażę go kumplowi. Jeśli coś znajdzie, pójdziemy tym tropem. Jeżeli nie, uważam, że powinnaś dać sobie spokój.

Joanna napiła się wina i po namyśle odparła:

– Widzisz, ja chyba nie mogę tego zostawić. Ona mi zaufała. To byłaby zdrada.

– W kościele widziałaś tę kobietę po raz pierwszy. Nie masz pojęcia, kim była, skąd się wzięła i w co mogła być zamieszana.

– Sądzisz, że była największą w Europie handlarką kokainą? – Joanna zachichotała. – Może to właśnie przechowywała w skrzynkach po herbacie.

– Niewykluczone. – Simon się uśmiechnął. – A więc umowa stoi. Po weekendzie zabiorę list do pracy i pokażę kumplowi. W poniedziałek po południu wyjeżdżam na śmiertelnie nudne seminarium, ale po powrocie w przyszłym tygodniu odbiorę list i zobaczę, co odkrył mój kumpel.

– Zgoda – powiedziała Joanna niechętnie. – Ten twój „kumpel” jest godny zaufania?

– Oczywiście! Sprzedam mu bajeczkę o znajomej, która bada

swoje drzewo genealogiczne. Mogłabyś przynieść ten list już teraz, żeby do poniedziałku nie wypadło nam to z głowy?

– Dobrze. Na deser są lody. Mógłbyś je nałożyć do miseczek?

Większą część soboty poświęcili na dalsze sprzątanie mieszkania Joanny. Jej rodzice przysłali czek, żeby mogła kupić nowy komputer i łóżko, zanim przyjdą pieniądze z ubezpieczenia. Ich troska ją wzruszyła.

Ponieważ resztę tygodnia Simon miał spędzić na seminarium z „bicia piany", jak żartował, uzgodnili, że Joanna zostanie w jego mieszkaniu w Highgate.

– Przynajmniej do czasu, aż dostaniesz nowe łóżko – dodał Simon.

W niedzielę wieczorem zamknął się w sypialni, tłumacząc przyjaciółce, że musi się przygotować do seminarium. Wybrał numer; odebrano po drugim sygnale.

– Mam to, proszę pana.

– Doskonale.

– Jutro o ósmej rano jestem w Brize Norton. Czy ktoś może to stamtąd odebrać?

– Naturalnie.

– Spotkanie w zwykłym miejscu. Dobranoc panu.

– Tak. Dobra robota, Simon. Nie zapomnę tego.

Joanna też nie zapomni, pomyślał Simon i westchnął. Będzie musiał zmyślać, że list okazał się tak kruchy, że rozpadł się w trakcie analizy chemicznej. Oszukując przyjaciółkę, czuł się podle.

Kiedy wyszedł z sypialni, Joanna oglądała na sofie *The Antiques Road Show*.

– Sprawa załatwiona. Podam ci numer alarmowy, na wypadek gdybyś pod moją nieobecność miała kłopoty. Ostatnio chyba je ściągasz. – Podał jej wizytówkę.

– Ian Simpson – przeczytała.

– To mój kolega z pracy, równy gość. Na wszelki wypadek daję ci jego numer do pracy i komórkowy.

– Dzięki. Możesz położyć ją przy telefonie, żeby mi się nie zawieruszyła.

Zrobił to i usiadł na kanapie obok Joanny.

– Dzięki, Simon, za wszystko. – Objęła go i przytuliła.

– Nie dziękuj. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Dotknęła nosem jego nosa, ciesząc się bliskością, i nagle, zupełnie niespodziewanie, coś się w niej poruszyło. Wargi Joanny spotkały się z wargami Simona, zamknęła oczy, pocałowali się delikatnie, potem mocniej, otwierając usta. Pocałunek przerwał Simon. Odsunął się i zerwał z kanapy.

– Jezu, Jo! Co my wyrabiamy?! Ja… Sara…!

– Przepraszam. – Spuściła głowę. – To nie twoja wina, tylko moja.

– Nie, moja też. – Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Coś takiego nigdy nie powinno się wydarzyć.

– Masz rację. To się więcej nie powtórzy, obiecuję.

– To dobrze… Co nie znaczy, że nie było miło… – Zarumienił się. – Ale nie chciałbym zniszczyć naszej przyjaźni przelotnym romansem.

– Ja też nie.

– W porządku. To ja… Pójdę się spakować.

Joanna skinęła głową i Simon wyszedł z pokoju. Popatrzyła na telewizor, ale widziała nieostro z powodu łez. To, co się stało,

tłumaczyła sobie tym, że wciąż jest w szoku, bezbronna, tęskni za Matthew. Simona znała od dzieciństwa i chociaż zawsze uważała, że jest przystojny, nigdy poważnie nie myślała o tym, by posunąć sprawy dalej.

Obiecała sobie, że to się więcej nie powtórzy.

A/P

9

W sobotni ranek Zoe leżała w łóżku i oddawała się marzeniom. Zegar wskazywał wpół do jedenastej. Nigdy nie wstawała później niż o wpół do ósmej – rodzinnym leniem był Jamie, którego podczas wakacji trzeba było podnosić z łóżka wózkiem widłowym – ale ten dzień różnił się od innych.

Uzmysłowiła sobie, że właśnie wkracza w nową fazę życia. Najpierw była dzieckiem, którego wolność w naturalny sposób ograniczano. Potem została matką, a rola ta wiązała się z całkowitym altruizmem. Ostatnio pełniła funkcję opiekunki, troszcząc się o dziadka w końcowych tygodniach życia. Tego ranka, oczywiście nie przestając być matką, czuła większą wolność niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Mogła żyć, jak chciała, podejmować własne decyzje i ponosić ich konsekwencje…

Chociaż Art wyszedł wczoraj przed dwudziestą trzecią, a ich usta spotkały się jedynie w niewinnym pocałunku na dobranoc, Zoe obudziła się otulona miłością; towarzyszyło jej spokojne zadowolenie, jakie kojarzy się z nocą satysfakcjonującego seksu. Prawie się nie dotykali, ale samo muśnięcie jego marynarki wywołało w niej dreszcz pożądania.

Kiedy przyszedł, usiedli w salonie i zaczęli rozmawiać, początkowo nieśmiało, skrępowani, stopniowo jednak rodziła się intymność dwojga ludzi, którzy kiedyś znali się naprawdę bardzo dobrze. Z Artem tak było zawsze, od początku. Podczas gdy inni

odnosili się wobec niego niepewnie i z szacunkiem, Zoe dostrzegała bezbronność i ludzką twarz.

Dobrze pamiętała ich pierwsze spotkanie w modnym, zadymionym klubie w Kensington. Marcus uparł się, by właśnie tam uczcić osiemnaste urodziny siostry, która mogła wypić pierwszego legalnego drinka. Obiecał dziadkowi, że zaopiekuje się Zoe i dopilnuje, by bezpiecznie wróciła do domu, ale sprowadziło się to do tego, że kupił jej gin z tonikiem i wcisnął trochę pieniędzy.

– Na taksówkę z powrotem. Nie rób nic, czego sam bym nie zrobił! – Po tych słowach z szerokim uśmiechem wtopił się w tłum.

Zagubiona, usiadła przy barze, patrząc na ludzi na parkiecie: zanosili się pijackim śmiechem, obłapiali się. Gdy dorastała, dziadek otworzył nad nią parasol ochronny, więc w przeciwieństwie do większości koleżanek z internatu nie miała za sobą szalonych nocy z narkotykami w ciemnych łazienkach. Ściskając w spoconej dłoni dwudziestofuntowy banknot od Marcusa, poczuła się tak niezręcznie, że postanowiła wrócić do domu, lecz gdy wstała ze stołka, usłyszała głos:

– Już wychodzisz? Właśnie miałem spytać, czy masz ochotę na drinka.

Zoe odwróciła się i ujrzała zielone oczy pod prostą jasną grzywką, niepasującą do modnych dłuższych włosów innych mężczyzn w klubie. Miała wrażenie, że skądś go zna, ale nie mogła go umiejscowić.

– Nie, dzięki – odparła. – Niewiele piję.

– Ja też. – Uśmiechnął się z ulgą. – Właśnie uwolniłem się od… hm, przyjaciół. Im bardziej zależało na przyjściu tutaj niż mnie. A właśnie, jestem Art.

– Zoe – przedstawiła się i niezręcznie wyciągnęła rękę. Uścisnął ją przelotnie, a przez nią przeszła fala gorąca.

Teraz zastanawiała się, czy gdyby wtedy go rozpoznała, trzymałaby się z daleka? Czy odmówiłaby, gdy raz po raz prosił ją do tańca, a bliskość jego ciała budziła w niej najróżniejsze cudowne odczucia? W końcu, gdy klub zamykano, czy pozwoliłaby mu na pocałunek, czy dałaby mu swój numer telefonu i zgodziłaby się na spotkanie następnego wieczoru?

Nie, uznała stanowczo Zoe. Podjęłaby dokładnie taką samą decyzję.

Wczoraj wieczorem unikali tematów dotyczących przeszłości. Rozmawiali o wszystkim i niczym, zwyczajnie ciesząc się swoim towarzystwem.

Potem Art z żalem spojrzał na zegarek.

– Muszę iść, Zoe. Jutro mam spotkanie z ludźmi w Northumberland. Śmigłowiec startuje o wpół do siódmej. Mówisz, że przez następne kilka tygodni kręcisz w Norfolk?

– Tak.

– Bez trudu mogę przyjechać do naszego miejsca na parę nocy. Co powiesz na przyszły weekend? Wiesz już, gdzie się zatrzymasz? Mogę przysłać po ciebie samochód w piątek wieczorem.

Podeszła do biurka po kartkę z danymi hoteliku, w którym miała spędzić najbliższe sześć tygodni. Przepisała je i wręczyła Artowi.

– Doskonale – powiedział z uśmiechem. – Dam ci numer swojej komórki. – Z kieszeni na piersi wyjął wizytówkę. – Zadzwoń, proszę.

– Do widzenia, Art. Cudownie było cię zobaczyć. – Niepewna, jak zakończyć ten wieczór, czuła skrępowanie.

– Wzajemnie. – Pocałował ją przelotnie. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Wtedy będziemy mieli więcej czasu. Dobranoc, Zoe.

Teraz w końcu wstała z łóżka, wzięła prysznic i ubrała się. Wybrała się na zakupy, ale po powrocie stwierdziła, że zapomniała

kupić połowy rzeczy. Z rozmarzeniem puściła płytę, której nie słuchała od jedenastu lat. Zamknęła oczy, gdy w pokoju rozbrzmiała piosenka *The Power of Love*, której słowa Zoe znała teraz równie dobrze jak przed dekadą.

W niedzielę po południu poszła na długi spacer do Hyde Parku; cieszyła się widokiem ośnieżonych drzew i stąpała po białej trawie, by unikać oblodzonych alejek. Po powrocie zadzwoniła do Jamiego do szkoły. Syn był w znakomitym nastroju, bo właśnie wybrano go do drużyny rugby do lat dziesięciu. Na wszelki wypadek Zoe podała mu numer hotelu w Norfolk i poprosiła, by przekazał go opiekunce; potem spytała, dokąd chciałby się wybrać na lunch ze swym przyjacielem Hugo, gdy Zoe przyjedzie za dwa tygodnie. Wieczorem spakowała się o wiele staranniej, niż robiła to zwykle przed wyjazdem na plan; zastanawiała się, czego będzie potrzebować podczas przyszłego weekendu.

– Dobrej bielizny! – Zachichotała i spakowała komplet La Perly, prezent gwiazdkowy od przyjaciółki, który jeszcze nie oglądał światła dziennego.

Tej nocy w łóżku pozwoliła sobie na rozmyślania o konsekwencjach tego, co znów miała zacząć. Brutalna prawda była taka, że Zoe nie mogła mieć nadziei na żadną przyszłość.

Ale go kocham, pomyślała sennie, przewracając się na bok.

A miłość pokona wszystko, prawda…?

*

W poniedziałek rano Joanna z ulgą pożegnała Simona wychodzącego do pracy. Po tamtym pocałunku typowe sympatyczne docinki się skończyły, a ich miejsce zajęło napięcie.

Może tygodniowa rozłąka dobrze im zrobi. Joanna modliła się, by szybko wrócili na tory dawnej przyjaźni.

Nie chciała analizować własnych uczuć związanych z wczorajszym pocałunkiem. Ostatnie trudne tygodnie sprawiły, że czuła się przemęczona i bezbronna. Poza tym miała inne sprawy na głowie. W dodatku nadarzała się idealna sposobność: miała dwa dni wolnego.

Natychmiast po wyjściu Simona wyciągnęła z plecaka kopie anonimowego listu i programu oraz list od Rose. Bezwiednie dotknęła zimnego metalu i wyjęła złote pióro wieczne. W zamęcie ostatnich wydarzeń całkiem o nim zapomniała.

Obracając pióro w dłoni, uważnie mu się przyjrzała. *I.C.S.*

Inicjały coś jej przypominały, ale nie wiedziała co. Usiadła po turecku na kanapie i jeszcze raz uważnie przeczytała listy i program. Jeśli Simon sądził, że ona zamierza zrezygnować z badania tej sprawy, to się mylił. Zresztą w piątkowy wieczór sprawiał wrażenie zdenerwowanego i pobudzonego, jak nie on. Dlaczego tak bardzo zależało mu, żeby przestała się tym zajmować?

Ponownie przeczytała anonimowy list. Kim byli „Sam” i „Rycerz białej damy”? Skoro już o tym mowa, kim, do licha, była sama Rose?

Joanna zaparzyła sobie kawę i zaczęła obracać w głowie nieliczne fakty, którymi dysponowała. Czy ktoś mógł znać nazwisko Rose? Jej sąsiadka? Mogła widzieć listy adresowane do Rose. Przecież starsza pani musiała podpisać jakąś umowę, gdy wynajmowała mieszkanie w Marylebone. Joanna wydobyła notes i odszukała numer Muriel. Ustalenie nazwiska Rose znacznie ułatwiłoby wizytę na lokalnym posterunku policji.

Zadzwoniła.

Niestety, Muriel nie znała nazwiska Rose. Nigdy nie widziała, by do staruszki przyszła poczta, choćby rachunki. Prąd działał na

zasadzie wrzucanych monet, telefonu Rose nie miała. Joanna zapytała o adres, na jaki sąsiadka wysyłała listy na prośbę Rose.

– Parę z nich to były listy lotnicze. Chyba do Francji – odparła Muriel.

Przynajmniej to pasuje, pomyślała Joanna, przypominając sobie ulotkę do lekarstwa.

Muriel podała jej numer telefonu właściciela domu, George'a Cyrapopolisa. Joanna zadzwoniła i zostawiła mu wiadomość. Na razie jednak pozostawało jej tylko blefowanie na policji. Wzięła plecak i wyszła.

Pchnęła drzwi wahadłowe prowadzące do głównego holu posterunku policji w Marylebone. Pusta poczekalnia cuchnęła starą kawą, jarzeniówki podkreślały łuszczącą się farbę i wytarte linoleum na podłodze. Za biurkiem nikt nie siedział, więc zadzwoniła.

– Tak, proszę pani? – Z jednego z pomieszczeń wyłonił się policjant w średnim wieku.

– Dzień dobry. Miałam nadzieję, że ktoś pomoże mi ustalić, co się stało z moją ciotką.

– Aha. Zniknęła?

– Hm, niezupełnie. Umarła.

– Rozumiem.

– Parę tygodni temu znaleziono ją w jej mieszkaniu w Marylebone. Spadła ze schodów. Sąsiadka ciotki powiadomiła policję i…

– Sądzi pani, że telefon mógł odebrać jeden z naszych ludzi?

– Tak. Niedawno wróciłam z Australii. Adres ciotki dostałam od ojca i pomyślałam, że ją odwiedzę. Kiedy przyszłam, było już za

późno. – Joanna postarała się, by jej głos się załamał. – Gdybym odwiedziła ją wcześniej…

– Wiem, moja droga. To się często zdarza. – Policjant współczująco pokiwał głową. – Pewnie chce się pani dowiedzieć, dokąd ją zabrano?

– Tak. Ale jest pewien problem. Nie mam pojęcia, pod jakim nazwiskiem figuruje. Prawdopodobnie wyszła za mąż.

– Cóż, spróbujmy ją znaleźć po nazwisku, pod jakim pani ją znała. Czyli?

– Taylor. – Joanna wybrała pierwsze lepsze.

– A kiedy znaleziono ją nieżywą?

– Dziesiątego stycznia.

– Gdzie?

– Na Marylebone High Street dziewiętnaście.

– Dobrze. – Policjant zaczął stukać w klawiaturę komputera. – Taylor, Taylor… – Przejrzał ekran i pokręcił głową. – Nic tu nie mam. Tego dnia nie zmarł nikt o tym nazwisku, przynajmniej nasz posterunek nikim takim się nie zajmował.

– Mógłby pan spróbować Rose?

– Dobrze… Mamy Rachel, Ruth, ale nie Rose.

– Obie te panie zmarły tego dnia?

– Owszem. Mam jeszcze cztery lokalne zgony. To okropna pora roku dla starszych osób. Tuż po Bożym Narodzeniu, potworny ziąb… Tak czy inaczej, sprawdzę ten adres. Jeśli wezwano nas wtedy do wypadku, to będzie w ewidencji.

Joanna czekała cierpliwie, kiedy policjant patrzył na ekran.

– Hm. – Podrapał się w podbródek. – Tu też nic nie ma. Na pewno ma pani właściwą datę?

– Na pewno.

Pokręcił głową.

– Może inny posterunek odebrał zgłoszenie. Może pani spróbować w Paddington Green, a jeszcze lepiej w miejskiej kostnicy. Ktokolwiek odebrał zgłoszenie, ciało pani ciotki musieli zabrać właśnie tam. Zapiszę pani adres i powinna pani tam pójść.

– Bardzo dziękuję za pomoc.

– Żaden problem. Mam nadzieję, że pani ją znajdzie. Była bogata? – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie mam pojęcia. Do widzenia.

Wyszła przez drzwi wahadłowe, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i kazała się zawieźć do kostnicy.

Kostnica Miejska w Westminsterze mieściła się w niepozornym ceglanym budynku obok Coroner's Court, na cichej zadrzewionej ulicy. Niezbyt pewna, czego się spodziewać, Joanna weszła i zadrżała na wspomnienie niewybrednego dowcipu Aleca, który nazywał kostnicę „lokalnymi zakładami mięsnymi".

– W czym mogę pani pomóc? – Młoda kobieta za biurkiem uśmiechnęła się promiennie.

Co za przygnębiające zajęcie, pomyślała Joanna i raz jeszcze wyjaśniła sprawę.

– …dlatego oficer dyżurny pomyślał, że moją ciotkę przywieziono właśnie tutaj – zakończyła.

– To bardzo prawdopodobne. Zaraz sprawdzę.

Młoda pracownica kostnicy zadawała podobne pytania jak policjant. Sprawdziła imię, datę i adres.

– Nie, niestety tamtego dnia nie było żadnej Rose.

– Może posługiwała się innym imieniem? – Joanna czuła, że wyczerpują się jej pomysły.

– Wstukałam adres, który pani podała, ale niczego nie znalazłam. Może przywieziono ją dzień później, choć to mało prawdopodobne.

– Czy mogłaby pani mimo to sprawdzić?

Kobieta spełniła prośbę.

– Nie, także nic.

Joanna westchnęła.

– Jeśli więc nie przywieziono jej tutaj, to dokąd trafiło ciało?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Może pani spróbować w lokalnych zakładach pogrzebowych. Jeśli byli krewni, o których pani nie wiedziała, mogli ją zabrać prywatnie. Zazwyczaj jednak, kiedy nikt nie zgłasza się po ciało, przywożą je tutaj.

– Dobrze. Bardzo dziękuję.

– Drobiazg. Mam nadzieję, że znajdzie pani ciocię.

– Dzięki.

Joanna wróciła autobusem do Crouch End i poszła do swojego mieszkania po pocztę. Drżącymi palcami przekręciła klucz w zamku i zamknęła za sobą drzwi, smutna, bo mieszkanie, które kiedyś było jej azylem, zamieniło się w jego całkowite przeciwieństwo.

Szybko wyszła, a wspinając się na wzgórze do domu Simona, zastanawiała się, czy najlepszym rozwiązaniem nie byłaby przeprowadzka. Zresztą po odejściu Matthew i tak wątpiła, czy kiedykolwiek poczuje się w nim swobodnie.

Po powrocie ujrzała, że na automatycznej sekretarce zostawił wiadomość George Cyrapopolis, właściciel domu, w którym mieszkała Rose. Joanna podniosła słuchawkę i wybrała numer.

– Halo? – W tle słyszała brzęk naczyń. – Dzień dobry, panie Cyrapopolis, mówi Joanna Haslam. Zmarła kobieta, która u pana mieszkała, była moją ciotką.

– A, tak, dzień dobry. – Miał doniosły głos z greckim akcentem. – Co pani chcieć wiedzieć?

– Czy kiedy Rose się wprowadzała, podpisała z panem umowę

najmu?

– Ja… – W słuchawce zapadło milczenie. – Pani chyba nie jest ze skarbówki, co?

– Nie, przysięgam, panie Cyrapopolis.

– Hm. Niech pani wstąpi do mojej restauracji, żebym sobie panią obejrzał. Wtedy porozmawiamy, dobrze?

– Zgoda, jaki to adres?

– High Road czterdzieści sześć, w Wood Green. Restauracja Aphrodite obok centrum handlowego.

– Dobrze.

– Przyjdzie pani o piątej, zanim otwieramy, dobra?

– Tak. Do zobaczenia. Dziękuję, panie Cyrapopolis.

Odłożyła słuchawkę, zaparzyła sobie kawę, zrobiła kanapkę z masłem orzechowym i przez resztę dnia dzwoniła do zakładów pogrzebowych w centralnym i północnym Londynie. Ani tego dnia, ani dwa dni później nie mieli żadnej Rose. To gdzie, na Boga, ją zabrali? – zastanawiała się, po czym znów zadzwoniła do Muriel.

– Halo, mówi Joanna Haslam. Przepraszam, że znowu zawracam pani głowę.

– Nic nie szkodzi. Udało się pani znaleźć ciotkę?

– Nie. Chciałam się upewnić, kto właściwie zabrał Rose.

– Już pani mówiłam. Przyjechała po nią karetka. Powiedzieli, że zabierają ją do lokalnej kostnicy.

– Ale tak się nie stało. Sprawdzałam tam, byłam na posterunku, dzwoniłam do wszystkich zakładów pogrzebowych w dzielnicy.

– Zaginione ciało?

– Na to wygląda. Nie pytali pani, czy wie pani coś o jej krewnych?

– Nie. Powiedziałam im tylko, że starsza pani mówiła o rodzinie za granicą.

– Hm.

– Ale proszę posłuchać – zaszczebiotała Muriel. – Próbowała pani w lokalnym urzędzie stanu cywilnego? Musiałam tam pójść po śmierci mojego Stanleya. Ktoś musiał zarejestrować zgon Rose.

– To dobry pomysł. Spróbuję. Dzięki.

– Zawsze do usług.

Dwie godziny później, całkowicie zdezorientowana Joanna wyszła z urzędu miejskiego w Old Marylebone Town, osunęła się na schody i oparła o jedną z kolumn. W urzędzie spróbowała wszelkich możliwych kombinacji. W ciągu dwóch tygodni po dziesiątym stycznia zarejestrowano zgony trzech osób o imieniu Rose, ale nie zgadzał się adres, a już z pewnością nie wiek. Mała dziewczynka – przeżyła zaledwie cztery dni i samo czytanie o jej śmierci sprawiło, że Joannie ścisnęło się gardło – dwudziestolatka oraz kobieta w wieku czterdziestu dziewięciu lat. Żadna nie mogła być poszukiwaną przez nią Rose.

Urzędniczka, która jej pomagała, powiedziała, że zazwyczaj rejestrują zgony w ciągu pięciu dni roboczych, chyba że koroner nie oddaje ciała. Ponieważ jednak w kostnicy nie było śladu ciała Rose, w urzędzie również pewnie się go nie znajdzie.

Zupełnie jakby Rose nigdy nie istniała, a przecież jej ciało gdzieś musiało się znajdować. Czyżby przeoczyła pewien trop?

Po wyjściu z metra, mijając punkty totalizatora, restauracje i tanie sklepy, Joanna szła Wood Green High w poszukiwaniu restauracji Aphrodite. Już się ściemniło, więc otuliła się szczelniej płaszczem, by ochronić się przed wieczornym chłodem. W końcu spostrzegła szyld restauracji i pchnęła drzwi.

– Dzień dobry! – zawołała na widok pustego, jaskrawo

zdobionego wnętrza.

– Witam. – Zza paciorkowej zasłony na tyłach restauracji wyłonił się łysiejący Grek w średnim wieku.

– Pan Cyrapopolis?

– Tak.

– Jestem Joanna Haslam, siostrzenica Rose.

– Dobrze. Proszę usiąść. – Odsunął od stolika dwa drewniane krzesła.

– Dziękuję – rzuciła, siadając. – Przepraszam, że pana niepokoję, ale, jak wspominałam przez telefon, usiłuję znaleźć ciotkę.

– Co? Zgubiliście ciało, tak? – Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– To skomplikowana sytuacja. Chciałam tylko spytać, czy ciotka Rose podpisała z panem umowę najmu. Widzi pan, próbuję ustalić jej nazwisko po mężu. Pomyślałam, że może figurować w umowie.

– Nie. Nie było żadnej umowy. – Cyrapopolis pokręcił głową.

– Dlaczego, jeśli wolno spytać? Sądziłabym, że spisanie umowy leży w interesie właściciela mieszkania.

– Oczywiście, zazwyczaj spisuję. – Z kieszeni na piersi koszuli wyjął paczkę papierosów, poczęstował Joannę, a gdy odmówiła, zapalił.

– To dlaczego nie podpisał pan umowy z moją ciotką?

Restaurator wzruszył ramionami i oparł się na krześle.

– Jak zwykle zamieszczam ogłoszenie w „Standardzie”. Jako pierwsza dzwoni starsza pani, która chce obejrzeć lokal. Spotykam się z nią wieczorem. Daje mi półtora tysiąca funtów w gotówce. – Głęboko zaciągnął się papierosem. – Za trzy miesiące z góry. Wiem, że ona jest w porządku. Nie będzie urządzać ostrych imprez, nie zdemoluje mieszkania.

Joanna westchnęła rozczarowana.

– Czyli nie zna pan jej nazwiska?

– Nie. Powiedziała, że nie potrzebuje pokwitowania.

– I nie wie pan, skąd przyjechała?

– Aha! – Cyrapopolis w zamyśleniu postukał się w nos. – Może. Kilka dni po tym, jak się wprowadziła, byłem w domu. Przyjechała furgonetka. Ta pani… Mówi pani, że miała na imię Rose? No więc każe ludziom wnieść do mieszkania drewniane skrzynki. Stoję w drzwiach, pomagam im nosić i widzę na skrzynkach zagraniczne nalepki. Chyba francuskie.

– Tak. – Przynajmniej to, w połączeniu z ulotką do lekarstwa i listami lotniczymi, potwierdzało, skąd przyjechała. – Czy wie pan, kiedy dokładnie się wprowadziła?

– Chyba w listopadzie – odparł, drapiąc się w głowę.

– Cóż, bardzo dziękuję za pomoc, panie Cyrapopolis.

– Drobiazg, panienko. Zostanie pani na gyros? Świetna, soczysta jagnięcina – zapewnił, wypuszczając chmurę dymu, i poplamioną nikotyną ręką poklepał dłoń Joanny.

– Nie, dziękuję. – Pospiesznie wstała i ruszyła do drzwi. – A, jeszcze jedno – rzuciła, odwracając się. – Czy po jej śmierci uprzątnął pan mieszkanie dla nowych lokatorów?

– Nie. – Wyglądał na szczerze zafrapowanego. – Parę dni później zaszedłem tam sprawdzić, co się dzieje, i proszę! Wszystko wyniesione. – Spojrzał na Joannę. – Pomyślałem, że to jej krewni zabrali rzeczy i posprzątali, ale to nie mogli być oni, co?

– Nie. Dziękuję za poświęcony mi czas.

– Nie ma sprawy.

– Czy wynajął pan już to mieszkanie?

Cyrapopolis ze skruchą przytaknął.

– Ktoś zadzwonił. Nie ma sensu, żeby stało puste, prawda?

– Oczywiście, że nie. Jeszcze raz dziękuję. – Joanna uśmiechnęła się słabo i wyszła z restauracji.

10

W środę rano Joanna wróciła do pracy z uczuciem przygnębienia. W ciągu minionych dwóch dni ani trochę nie posunęła się naprzód, nie dowiedziała się o Rose niczego nowego poza tym, że prawie na pewno przyjechała z Francji. To za mało, żeby iść do Aleca i mówić, że wpadłam na trop wielkiego skandalu, pomyślała. Wybrała się nawet do biblioteki w Highgate, gdzie na szczęście na frontowych półkach stała biografia Jamesa Harrisona. Po przewertowaniu czterech opasłych tomów nadal nie miała pojęcia, co mogło go łączyć ze starszą panią.

– Dzień dobry, Jo. – Przechodząc obok jej biurka, Alec poklepał ją po ojcowsku po ramieniu. – Jak się masz?

– Lepiej, dzięki.

– Uporałaś się z domowym bałaganem? Twój przyjaciel mówił mi przez telefon, że mieszkanie wygląda jak po przejściu tornada.

– Tak. Zrobili to profesjonalnie. Praktycznie wszystko zabrali.

– No cóż. Przynajmniej nie było cię wtedy w domu ani nie zastałaś ich podczas włamania.

– Owszem. – Posłała mu uśmiech. – Dzięki za wyrozumiałość.

– Nie ma sprawy. Wiem, jakie to może być okropne.

Niech mnie, pomyślała Joanna. On jednak jest ludzki.

– Co dzisiaj dla mnie masz? – spytała.

– Pomyślałem, żeby na początek dać ci luz. Możesz wziąć sprawę „Mój rottweiler jest tak naprawdę łagodny jak kotek”, chociaż pies

odgryzł wczoraj w parku kawałek nogi emerytowi, możesz też zjeść miły lunch z Marcusem Harrisonem. Właśnie rozkręca fundusz stypendialny dla upamiętnienia swego dziadka, sir Jamesa.

– Biorę Marcusa – zdecydowała.

– Tak też przypuszczałem. – Alec zapisał jej szczegóły i z chytrym uśmieszkiem podał kartkę.

– Nie rozumiem dlaczego. – Zaczerwieniła się.

– Ujmijmy to tak: słyszałem, że Marcus Harrison przeżuje cię i wypluje prędzej niż rottweiler. Uważaj na siebie. – Pomachał do niej i szybko się oddalił.

Joanna, zadowolona z korzystnego zbiegu okoliczności, zadzwoniła do wnuka sir Jamesa Harrisona, by umówić się na spotkanie. Ponieważ cała historia zaczęła się na nabożeństwie żałobnym, może w końcu dowie się, czy wielki aktor znał staruszkę imieniem Rose.

Zaskoczona niskim, przyjaznym głosem jego wnuka, zgodziła się spotkać z Marcusem w eleganckiej restauracji w Notting Hill. Odchylając się na oparcie krzesła, pomyślała, że to może być jedno z przyjemniejszych zleceń, odkąd zatrudniła się w dzienniku, i pożałowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej szykownego niż dżinsy i sweter.

Marcus zamówił butelkę dobrego wina u szefa kelnerów. Zoe zapewniała, że wszelkie wydatki związane z funduszem stypendialnym pokryją pieniądze ze spadku; poza tym dała mu pięćset funtów na bieżące wydatki. Sączył wyrazistego burgunda i czuł, jak rozlewa się w nim miłe ciepło. Sprawy zaczynały nabierać rumieńców.

Ilekroć dzwonił do siostry w Norfolk, by opowiedzieć jej

o swoich planach związanych z funduszem, Zoe była przemiła; ani słowem nie wspominała o jego skandalicznym zachowaniu sprzed tygodnia. Marcus czuł, że w jej życiu coś się dzieje. Cokolwiek to było, sprawiało, że oczy jego siostry błyszczały. Cieszyło go to, ponieważ dzięki temu jego życie stawało się łatwiejsze.

Trzy minuty po trzynastej do restauracji weszła młoda kobieta w czarnych dżinsach i białym obcisłym swetrze uwydatniającym biust. Wysoka, o naturalnym wyglądzie – niemal bez makijażu – bardzo różniła się od kobiet, które zwykle podrywał. Gęste, lśniące ciemne włosy opadały po obu stronach twarzy, podwinięte końce sięgały poniżej ramion. Gdy, prowadzona przez szefa kelnerów, podeszła do stolika, Marcus wstał, żeby się przywitać.

– Pani Joanna Haslam?

– Tak. – Uśmiechnęła się, a on utonął w piwnych oczach pełnych wyrazu i dołeczkach na policzkach. Dopiero po chwili ochłonął.

– Jestem Marcus Harrison. Dziękuję, że pani przyszła.

– Zrobiłam to z przyjemnością. – Joanna usiadła naprzeciw niego.

Odebrało mu mowę; ta dziewczyna była po prostu zjawiskowa.

– Kieliszek burgunda?

– Dziękuję.

– Pani zdrowie. – Uniósł kieliszek.

– Dzięki. Hm, za fundusz stypendialny – powiedziała.

– Oczywiście. – Marcus zaśmiał się nerwowo. – Może zanim przejdziemy do interesów, zamówimy. Jeśli będziemy mieli to z głowy, będziemy mogli swobodnie pogawędzić.

– Oczywiście.

Joanna przyglądała się Marcusowi zza menu. Obraz, jaki wcześniej utrwalił się w jej umyśle, nie odbiegał od rzeczywistości. Może poza tym, że wnuk sir Jamesa Harrisona był przystojniejszy,

niż zapamiętała. Dziś, zamiast wymiętego garnituru, w którym pojawił się w kościele, miał na sobie marynarkę z niebieskiej wełny i czarny sweter z golfem.

– Ja wybieram jagnięcinę. A pani? – spytał.

– Chyba zupę, i pomogę panu z jagnięciną.

– Żadnych listków elegancko ułożonych na talerzu o szumnej nazwie sałata radicchio? Sądziłem, że w dzisiejszych czasach wy, dziewczyny, to właśnie jecie.

– Przykro mi pana powiadomić, że nie wszystkie „dziewczyny" są takie same. Wychowałam się w Yorkshire i lubię czuć w ustach kawałek mięsa.

– Poważnie? – Marcus uniósł brew nad kieliszkiem, rozkoszując się jej akcentem z Yorkshire i łagodnym, śpiewnym głosem.

– To znaczy… – Joanna spłoniła się, gdy dotarło do niej, co właśnie powiedziała. – Lubię jeść.

– To mi się podoba w kobiecie.

Poczuła skurcz w brzuchu, gdy zdała sobie sprawę, że on z nią flirtuje. Próbując skoncentrować się na pracy, wyjęła z plecaka magnetofon, notes i długopis.

– Czy mogę nagrać naszą rozmowę?

– Proszę bardzo.

– Dobrze. Wyłączę na czas posiłku, bo w przeciwnym razie nagra się tylko brzęk naczyń. – Przysunęła magnetofon do Marcusa i włączyła. – Czyli zakłada pan fundusz stypendialny dla upamiętnienia swojego dziadka, sir Jamesa Harrisona?

– Owszem. – Pochylił się nad stolikiem i utkwił w niej intensywny wzrok. – Wie pani, Joanno, ma pani zupełnie niezwykłe, cudowne oczy. Mają barwę oczu sowy.

– Dziękuję. Proszę mi opowiedzieć o tym funduszu.

– Przepraszam, ale pani uroda mnie rozprasza.

– Czy na czas trwania wywiadu mam zakryć głowę serwetką? – Chociaż komplementy Marcusa mile łechtały jej ego, Joannę zaczynała ogarniać irytacja.

– Dobrze, postaram się opanować, ale proszę trzymać serwetkę w pogotowiu. – Posłał jej promienny uśmiech i napił się wina. – Od czego mam zacząć? Cóż, dziadek, drogi sir Jim, albo Siam, jak nazywano go w świecie teatralnym, zostawił sporą sumę pieniędzy na stypendia roczne dla dwojga utalentowanych aktorów bez środków do życia. Wie pani, jak skąpe są obecnie granty rządowe. Nawet ci, którzy je otrzymują, często muszą pracować podczas studiów, żeby się utrzymać.

Próbując się skupić, Joanna czuła, jak jej ciało instynktownie reaguje na Marcusa. Był zabójczo przystojny. Dziękowała Bogu za nagrywanie wywiadu, dzięki czemu będzie mogła go później odsłuchać; teraz prawie nic do niej nie docierało.

– Czyli będzie pan przyjmował wnioski od młodych aktorów i aktorek, którzy dostali się do szkoły teatralnej?

– Otóż to.

– Z pewnością będzie ich mnóstwo.

– Taką mam nadzieję. W maju zaczynamy przesłuchania. Im więcej kandydatów, tym ciekawiej.

– Rozumiem.

Kelner przyniósł zupę krem z zielonego groszku z pancettą, więc Joanna wyłączyła magnetofon.

– Pachnie smakowicie – rzucił Marcus i wziął łyżkę zupy. – A zatem, Joanno Haslam, proszę powiedzieć mi coś o sobie.

– Przecież to ja przeprowadzam wywiad.

– Na pewno jest pani o niebo bardziej interesująca niż ja.

– Wątpię. Jestem prostolinijną dziewczyną z Yorkshire. Zawsze marzyłam, żeby zostać szanowaną dziennikarką.

– Co w takim razie robi pani w „Morning Mail”? Z tego, co pani mówi, pani miejsce jest raczej w jakiejś poważnej gazecie.

– Zdobywam doświadczenie, uczę się. Pewnego dnia bardzo bym chciała przenieść się do lepszej redakcji. – Napiła się wina. – Potrzebuję gorącego tematu, dzięki któremu ludzie zwrócą na mnie uwagę.

– O rany. – Marcus westchnął teatralnie. – Mój fundusz stypendialny raczej pani tego nie zapewni.

– Nie, ale podoba mi się, że dla odmiany pomagam wypromować coś wartościowego, coś, co może zmienić czyjeś życie.

– Dziennikarka z kręgosłupem moralnym. – W oczach Marcusa mignęły ogniki. – Coś nowego.

– Cóż, tak jak wszyscy, zaczajam się i nękam celebrytów, ale nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza brytyjskie dziennikarstwo. Jest wścibskie, cyniczne, niekiedy także destrukcyjne. Poparłabym nowe prawo chroniące prywatność, ale oczywiście nigdy nie zostanie ustanowione. Zbyt wielu dziennikarzy sypia z ludźmi, którzy rządzą tym krajem. Jakim cudem opinia publiczna ma liczyć na neutralne informacje, na których podstawie mogłaby formułować własne opinie, skoro całe media są uwikłane w różne polityczne i finansowe układy?

– Czyli nie jesteśmy tylko ładną buzią, co, panno Haslam?

– Przepraszam, daruję panu te poważne tematy – odparła z uśmiechem. – Tak naprawdę uwielbiam swoją pracę.

Marcus uniósł kieliszek.

– Zdrowie młodych uczciwych dziennikarzy.

Kiedy kelner zabrał talerze po zupie i na stole pojawiła się jagnięcina, Joanna stwierdziła, że typowy dla niej zdrowy apetyt się ulotnił. Skubała mięso, podczas gdy Marcus pałaszował wszystko.

– Czy możemy kontynuować? – zapytała, gdy zabrano talerze.

– Jasne.

– Dobrze. – Ponownie włączyła magnetofon. – Czy sir James zaznaczył w testamencie, że właśnie pan ma kierować funduszem stypendialnym?

– Organizację funduszu pozostawiono rodzinie, czyli mojemu ojcu, siostrze i mnie. Jako jedyny wnuk sir Jamesa czuję się zaszczycony, że powierzono mi to zadanie.

– A pańska siostra jest teraz oczywiście pochłonięta karierą aktorską. Niedawno czytałam, że gra w nowej ekranizacji *Tessy*. Czy jesteście z siostrą blisko?

– Tak. Nasze dzieciństwo było… jak by to ująć… urozmaicone, więc zawsze trzymaliśmy się razem i wspieraliśmy się.

– I oczywiście był pan blisko z sir Jamesem Harrisonem?

– O tak. – Marcus przytaknął żarliwie. – Bardzo.

– Czy przynależność do tak wybitnej rodziny raczej panu pomogła, czy może była przeszkodą? Czuł pan presję, że musi pan osiągnąć sukces?

– Oficjalnie czy nieoficjalnie? – spytał po chwili Marcus.

– Jeśli pan woli, może być nieoficjalnie. – Dwa kieliszki wina sprawiły, że determinacja Joanny, by przeprowadzać wywiad profesjonalnie, nieco osłabła. Wyłączyła magnetofon.

– Prawdę mówiąc, to był cholerny ciężar. Wiem, że inni mogli mówić na mój widok: „Ale szczęściarz z tego drania”. Tymczasem posiadanie sławnych krewnych jest trudne. Na razie czuję, że nie mam szans przebić dokonań ojca, nie mówiąc o dziadku.

Nagle wydał się Joannie bezbronny i niepewny siebie.

– Wyobrażam sobie – rzuciła cicho.

– Naprawdę? – Spojrzał jej w oczy. – Jeśli tak, to jest pani pierwsza.

– To z pewnością nieprawda.

– Tak się składa, że to prawda. Niby jestem smakowitym kąskiem… sławna rodzina z koneksjami. Kobiety zakładają, że jestem bogaty… Bardzo prawdopodobne, że żadna z nich nie polubiłaby mnie, gdybym należał do innej rodziny. Nie mogę się poszczycić szczególnie olśniewającą karierą.

– Czym się pan zajmował?

– Moim ulubionym aspektem branży filmowej zawsze była produkcja: zakulisowe machinacje, dopasowywanie poszczególnych elementów… to mnie kręci. Poza tym nikt z rodziny nie zajmował się tą dziedziną, znalazłem więc własną niszę… Tyle że moje filmy nie odniosły sukcesów. – Sam się dziwił, że opowiada o tym tej dziewczynie, ale jej ciepło skłaniało do szczerych wyznań.

– Czy mogłam widzieć coś wyprodukowanego przez pana? – spytała zaintrygowana?

– Hm. – Lekko się zaczerwienił. – Pamięta pani film *No Way Out*? Pewnie nie, trafił natychmiast na kasety wideo.

– Przepraszam, ale o nim nie słyszałam. O czym jest?

– Polecieliśmy do Boliwii, żeby kręcić ten film w amazońskiej dżungli. To był najbardziej przerażający i zdumiewający okres w moim życiu. – Ożywił się w trakcie opowiadania, twarz mu pojaśniała. – To wspaniałe, nieokiełznane miejsce. Film opowiadał o dwóch Amerykanach, którzy zabłądzili w dżungli, poszukując złota. Próbują się wydostać, ale przyroda powoli ich połyka i w końcu obaj giną. Teraz, gdy o tym myślę, wydaje się to dość przygnębiające, ale film niósł wyraźne przesłanie o zachodniej chciwości.

– Rozumiem. Czy teraz nad czymś pan pracuje?

– Owszem. Moja firma produkcyjna Marc One Films stara się zgromadzić fundusze na realizację fantastycznego nowego scenariusza. – Marcus uśmiechnął się, a Joanna czuła emanujące

z niego podniecenie. – To niewiarygodna historia. Podczas podróży po Amazonii dopisało mi szczęście i spotkałem Janomamów, plemię, które nawiązało kontakt z władzami brazylijskimi dopiero w latach czterdziestych dwudziestego wieku. Proszę sobie wyobrazić: jest pani odcięta od cywilizacji, a potem odkrywa, że świat jest znacznie większy, niż pani przypuszczała.

– Czyli to trochę bardziej ekstremalne niż przyjazd z Yorkshire do Londynu – powiedziała Joanna. Poczuła głupią satysfakcję, gdy Marcus zaśmiał się z jej słabego dowcipu, i w duchu skarciła się za swój entuzjazm.

– Tak, to bardziej ekstremalne – przyznał. – Janomamowie byli bardzo pokojowo nastawionymi ludźmi, panowała wśród nich pełna demokracja, nie mieli wodzów, wszystkie decyzje podejmowali grupowo, każdy miał głos. Film ma opowiadać o tym, że brazylijskie władze bez ostrzeżenia zrównały ich wioskę z ziemią w celu budowy drogi.

– Ależ to okropne! Naprawdę to zrobili?

– Tak! – Marcus wyrzucił ręce w górę. – To straszne. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat populacja Janomamów stale się zmniejszała w wyniku chorób, wycinania lasów, ginęli z rąk ludzi wydobywających złoto. W filmie jest też piękny wątek miłosny, oczywiście z tragicznym, lecz poruszającym zakończeniem, do tego… – Zamilkł i spojrzał na Joannę ze skruchą. – Przepraszam, wiem, że się nakręcam. Moja siostra zawsze się nudzi, kiedy jej o tym opowiadam.

– Ależ nie. – Joanna była tak zaabsorbowana słuchaniem, że prawie zapomniała o celu spotkania. – Wygląda na to, że może powstać wartościowy, zdumiewający film. Szczerze życzę powodzenia. Teraz powinnam poprosić pana o jeszcze kilka informacji dotyczących funduszu stypendialnego, bo w przeciwnym

razie szef każe sobie podać moją głowę na tacy. Czy może mi pan podać termin składania wniosków, adres, tego rodzaju rzeczy?

Marcus mówił przez dziesięć minut, przekazując jej wszystkie niezbędne informacje. Wolała przeprowadzać z nim wywiad o filmie, bo w porównaniu z nim kwestie związane z funduszem wydawały się suche.

– Świetnie, stokrotne dzięki – powiedziała, zbierając notatki. – A, ostatnia sprawa, będziemy potrzebować waszego wspólnego zdjęcia, pana i pana siostry.

– Zoe jest na planie w Norfolk. Spędzi tam całe wieki. – Oczy Marcusa błyszczały. – Wiem, że nie jestem tak ładny i sławny jak moja siostra, ale będzie pani musiała zadowolić się moją osobą.

– W porządku. Jeśli będą chcieli Zoe Harrison, zawsze mogą wykorzystać zdjęcia z agencji fotograficznych. – Wyciągnęła rękę, by wyłączyć magnetofon, ale Marcus powstrzymał Joannę, kładąc dłoń na jej przedramieniu. Pod wpływem jego dotyku poczuła na skórze impuls elektryczny.

Marcus zbliżył usta do mikrofonu i coś szepnął.

Potem uniósł głowę i uśmiechnął się.

– Teraz może go pani wyłączyć. Napije się pani brandy?

Zerknęła na zegarek i pokręciła głową.

– Bardzo bym chciała, ale, niestety, muszę wracać do redakcji.

– Rozumiem. – Wyraźnie rozczarowany, poprosił gestem o rachunek.

– Ktoś z naszego działu fotograficznego skontaktuje się w sprawie zdjęcia – powiedziała Joanna. – Naprawdę bardzo dziękuję za lunch. – Wstała i podała Marcusowi rękę, spodziewając się uścisku, on jednak delikatnie ujął jej dłoń i pocałował.

– Do widzenia, panno Haslam. To była prawdziwa przyjemność.

– Na razie. – Chwiejnym krokiem wyszła z restauracji

i w oparach wina i pożądania popłynęła do pracy.

Gdy usiadła za biurkiem, przewinęła kawałek nagrania w magnetofonie i włączyła odtwarzanie.

„Joanno Haslam, jesteś olśniewająca. Pragnę zaprosić cię na kolację. Proszę, niezwłocznie zadzwoń pod numer zero-sto siedemdziesiąt jeden-dziewięćset trzydzieści dwa-czterdzieści osiem-czterdzieści jeden".

Roześmiała się. Alice, reporterka siedząca przy sąsiednim biurku, spojrzała na nią.

– Co?

– Nic – rzuciła Joanna

– Byłaś na lunchu z Harrisonem Obłapiaczem, tak?

– Owszem, i co z tego? – Joanna wiedziała, że się rumieni.

– Daj sobie spokój, Jo. Moja kumpela spotykała się z nim przez pewien czas. To skończona świnia, bez krztyny moralności.

– Ale on jest…

– Przystojny, charyzmatyczny… jasne. – Alice ugryzła kanapkę z jajkiem. – Moja znajoma przez rok dochodziła do siebie.

– Nie mam zamiaru umawiać się z nim na randkę. Prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę.

– Serio? Czyli nie zaprosił cię na kolację? Nie podał numeru telefonu?

Rumieniec Joanny się pogłębił.

– Pewnie, że to zrobił! – triumfowała Alice z uśmieszkiem. – Po prostu uważaj, Jo. Niedawno ktoś złamał ci serce.

– Dzięki za przypomnienie. Przepraszam, ale muszę to przepisać. – Joanna, rozdrażniona protekcjonalnym tonem koleżanki oraz jej

przypuszczalnie właściwą oceną Marcusa, nałożyła słuchawki, podłączyła do magnetofonu i zaczęła spisywać wywiad.

Pięć minut później zbladła. Siedziała wpatrzona w ekran i raz po raz cofała taśmę do tego słowa.

Tak bardzo pochłonęła ją sama osoba Marcusa, że umknęło jej słowo „Siam", jak najwyraźniej nazywano sir Jamesa Harrisona. Zdjęła słuchawki i wyjęła z plecaka kopię listu miłosnego, teraz już mocno pogniecioną. Uważnie przyjrzała się imieniu w liście. Czy to możliwe…?

Po chwili wstała i ruszyła na poszukiwanie szkła powiększającego. W końcu podwędziła je Archiemu z działu sportowego, wróciła do biurka i zbliżyła szkło do listu.

Drogi Samie.

Wpatrywała się w odstęp między górnym lewym końcem litery S a prawym końcem A. Ależ tak! Raz jeszcze przyjrzała się kropce, wiedząc, że może to być ślad atramentu lub skaza zostawiona przez kserokopiarkę. Nie. Między literami „S" i „a" znajdowała się niewielka kropka. Joanna sięgnęła po długopis i najdokładniej, jak umiała, napisała to słowo. Nabrała pewności: po wielkiej literze S, przed następującym po niej małym „a" widniała niepotrzebna kreska. Jeśli zwieńczyłoby się ją kropką, wyraz natychmiast się zmieniał. Sam. Siam.

Joanna aż się zakrztusiła, czując na plecach dreszcz podniecenia. Już wiedziała, do kogo napisano ten list.

11

Joanna postanowiła kuć żelazo póki gorące, wykorzystując współczucie i dobry humor szefa. Po południu podeszła do jego biurka, zawalonego konkurencyjnymi dziennikami. Do tego nie jedna, ale trzy przepełnione popielniczki na stercie papierów. Alec, z podwiniętymi rękawami, nieodłącznym rothmansem w kąciku ust i spoconym czołem, przeklinał ekran komputera.

– Alec. – Joanna z ujmującym uśmiechem pochyliła się nad biurkiem.

– Nie teraz, kochanie. Przekroczyliśmy termin, a Sebastian nie zadzwonił z Nowego Jorku z wiadomościami o Rudej. Nie mogę dłużej wstrzymywać pierwszej strony.

– Kiedy skończysz? Chciałam o czymś z tobą pomówić.

– Północ pasuje? – rzucił Alec, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Rozumiem.

Szef w końcu podniósł wzrok.

– To coś ważnego? Informacja o światowym zagrożeniu, która sprzeda nam dodatkowe sto tysięcy?

– Może chodzić o dawny skandal seksualny, dotąd nieodkryty. – Umiała posługiwać się magicznymi słowami.

– Dobra. – Wyraz twarzy Aleca się zmienił. – Jeśli to seks, masz dziesięć minut. O szóstej w pubie.

– Dzięki.

Wróciła do biurka i przez następne parę godzin zajmowała się zaległą korespondencją. Za pięć szósta poszła do pubu, który dziennikarze upodobali sobie wyłącznie z powodu bliskości redakcji. Lokal z pewnością nie miał innych atutów. Usiadła na poplamionym stołku i zamówiła gin z tonikiem, uważając, by nie opierać się o lepki bar.

Alec pojawił się kwadrans po siódmej, nadal w samej koszuli mimo wieczornego chłodu.

– Siemanko, Phil. To co zwykle – zwrócił się do barmana. – Dobra, Jo, strzelaj.

Zaczęła od początku, czyli od dnia pogrzebu.

Alec jednym haustem opróżnił szklankę famous grouse i uważnie słuchał, póki nie skończyła.

– Prawdę mówiąc, zamierzałam machnąć na to ręką. Tkwiłam w martwym punkcie, ale dzisiaj, całkiem przypadkiem, odkryłam, do kogo adresowany był list.

Zamówił kolejną whisky i spojrzał na Joannę zmęczonymi oczami.

– W tym coś może być. Interesujące, że ktoś zadał sobie tyle trudu, by sprzątnąć z pola widzenia drogą staruszkę i jej skrzynki po herbacie. To sugeruje tuszowanie sprawy. Ciała tak po prostu nie znikają. – Zapalił papierosa. – Tak z czystej ciekawości, Joanno, czy tego dnia, kiedy przetrzepano ci mieszkanie, miałaś list przy sobie?

– Tak. W plecaku.

– Nie przyszło ci na myśl, że to mogło być nieprzypadkowe włamanie? Z tego, co mówił twój znajomy, doszło do sporych zniszczeń. Pocięli nożem kanapę i łóżko, tak?

– Owszem, ale…

– Może szukali czegoś, co, ich zdaniem, miałaś w mieszkaniu?

– Nawet policja była zaskoczona stopniem zniszczeń – mruknęła

cicho Joanna. – Spojrzała na szefa i w końcu zaczęło do niej docierać. – Boże, możesz mieć rację.

– Chryste, Jo, przed tobą jeszcze długa droga, zanim staniesz się takim podejrzliwym, starym cynikiem jak ja. Inaczej mówiąc, świetnym reporterem. – Odsłonił w uśmiechu zęby poplamione nikotyną i poklepał ją po ręce. – Jeszcze się nauczysz. Gdzie teraz jest ten list?

– Simon zabrał go do pracy, gdzie mają go przeanalizować w laboratorium.

– Kim jest Simon? Gliniarzem?

– Nie, urzędnikiem państwowym.

– Cholera, Jo! Dorośnij! – Alec uderzył szklanką o bar. – Stawiam funta przeciwko kawałkowi świńskiego gówna, że więcej nie ujrzysz tego listu.

– Mylisz się, Alec. – Oczy Joanny zapłonęły gniewem. – Ufam Simonowi. To mój najstarszy i najlepszy przyjaciel. On tylko próbował mi pomóc i wiem, że nigdy by mnie nie oszukał.

Alec pokiwał głową z politowaniem.

– Co ja ci stale powtarzam? Nie ufaj nikomu. Zwłaszcza w tym interesie. – Przetarł dłonią oczy i westchnął. – Dobrze, czyli list zabrali, ale podobno masz kopię?

– Tak. Mam jeszcze jedną, dla ciebie. – Podała mu kartkę.

– Dzięki. – Alec ją rozłożył. – Zobaczmy. – Szybko przeczytał, przyjrzał się imieniu u góry. – Tak, to z pewnością może być Siam. Inicjał pod spodem jest nieczytelny, ale nie wygląda mi na R.

– Może Rose zmieniła imię, a może list nie jest od niej. Na pewno jest tu jakiś związek z teatrem, ale w programie nie figuruje ani Rose, ani James Harrison.

Alec spojrzał na zegarek i zamówił kolejną whisky.

– Pięć minut i muszę uciekać. Posłuchaj, Jo, naprawdę nie wiem,

czy na coś wpadłaś, czy nie. Ja w takich sytuacjach kieruję się instynktem. Co ci mówi twój?

– Że to duża sprawa.

– I jak zamierzasz posuwać się dalej?

– Muszę porozmawiać z rodziną Jamesa Harrisona, dowiedzieć się czegoś o jego życiu. Może chodzić po prostu o romans z Rose. Ale dlaczego wysłała mi ten list? Nie wiem. – Joanna westchnęła. – Jeżeli przetrząsnęli mi mieszkanie, bo myśleli, że go znajdą, musi mieć dla kogoś wielkie znaczenie.

– Tak. Posłuchaj, nie mogę się zgodzić, żebyś zajmowała się tym w godzinach pracy…

– Mogłabym napisać artykuł o brytyjskiej dynastii aktorskiej – przerwała mu. – Zacznę od sir Jamesa i jego syna Charlesa, potem zajmę się Zoe i Marcusem. Miałabym doskonały pretekst, by wyciągać od nich wszystkie informacje.

– To mało atrakcyjny temat, Jo.

– Chyba że odkryję duży skandal. Proszę, tylko kilka dni, Alec – błagała. – Obiecuję zbierać dane samodzielnie.

– Zgoda – skapitulował Alec. – Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Chcę, żebyś informowała mnie na każdym etapie. Nie dlatego, że muszę wściubiać we wszystko swój czerwony nochal, ale dla twojego bezpieczeństwa. – Spojrzał na nią twardo. – Jesteś młoda, brak ci doświadczenia. Nie chcę, żebyś wpakowała się w coś, z czego nie będziesz mogła się wyplątać. Żadnych heroicznych wyczynów, dobrze?

– Obiecuję. Dzięki, Alec. Uciekam. Do jutra. – Joanna impulsywnie pocałowała szefa w policzek i wyszła z pubu.

Odprowadził ją wzrokiem. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, kiedy młody reporter przychodził do niego z pomysłem

„dużego” artykułu, w ciągu kilku sekund Alec odprawiał go z kwitkiem i biedak odchodził z podwiniętym ogonem. Tym razem jednak osławione trzewia redaktora odbierały szaleńcze drgania. Ona na coś wpadła. Bóg jeden wiedział, na co, ale na coś wpadła.

*

Nawet Marcusa zdziwiło, jak szybko Joanna do niego zadzwoniła. Twierdziła, że jej naczelny chciał wzbogacić artykuł o funduszu stypendialnym informacjami o całym rodzie Harrisonów, ale Marcus miał nadzieję, że jego urok też zrobił swoje. Oczywiście przystał na propozycję Joanny, że wpadnie do niego następnego wieczoru. Przez cały dzień usuwał ślady chaotycznej kawalerskiej egzystencji. Odpadki zalegające pod łóżkiem spakował do worka na śmieci; zadbał nawet o zmianę pościeli. Najgrubsze książki podłożone pod nogę krzesła wyjął i położył na widocznym miejscu na stoliku do kawy. Sporo czasu upłynęło, odkąd zbliżająca się wizyta kobiety budziła w nim coś więcej niż zwykłe pożądanie. Joanna należała do nielicznych osób, które naprawdę słuchały, gdy opowiadał o projekcie filmowym, i Marcus postanowił przekonać ją, że jest wart więcej, niż twierdzą ludzie.

Dzwonek rozległ się o wpół do ósmej. Otworzywszy drzwi, zobaczył, że Joanna nie włożyła zbyt wiele wysiłku, by się wystroić; nadal miała na sobie dżinsy i sweter. Poczuł ukłucie zawodu.

Pocałował ją w oba policzki, celowo przedłużając powitanie.

– Cudownie znów cię widzieć, Joanno. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym tak się do ciebie zwracał.

Ruszyła za Marcusem przez wąski korytarz do niedużego i prawie nieumeblowanego salonu. Spodziewała się większego luksusu.

– Wina?

– Hm, wolałabym kawę, jeśli nie masz nic przeciwko temu – odparła. Czuła się wyczerpana. Prawie całą minioną noc poświęciła na robienie notatek z biografii sir Jamesa Harrisona i przygotowanie pytań o wielkiego aktora.

– Psujesz zabawę. – Marcus się uśmiechnął. – Ale ja i tak się napiję.

– No dobrze. Tylko mały kieliszek.

Wyszedł i po chwili wrócił do salonu z whisky dla siebie i pełnym kieliszkiem wina dla Joanny. Usiadł bardzo blisko niej na kanapie, a kiedy odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, delikatnie założył jej kosmyk włosów za ucho.

– Długi dzień? – spytał.

Czuła na udzie ciepło jego uda i nieznacznie się odsunęła. Musiała się skoncentrować.

– Bardzo.

– Po prostu się rozluźnij. Głodna? Mam makaron, który mógłbym dla nas przygotować.

– Nie, proszę, nie zawracaj sobie głowy. – Magnetofon postawiła na stoliku do kawy.

– To żaden problem.

– Moglibyśmy zacząć i zobaczyć, jak nam idzie? – zaproponowała.

– Naturalnie, jak sobie życzysz.

Zwróciła uwagę na piżmową woń jego płynu po goleniu i na to, jak włosy Marcusa wdzięcznie podwijają się na kołnierzu… Nie, nie, nie! – nakazała sobie.

– Jak wspomniałam przez telefon, zamierzam napisać duży retrospektywny artykuł o twoim dziadku i całej rodzinie. W ten sposób wesprzemy inaugurację funduszu stypendialnego.

– Kurczę, jestem pod wrażeniem, Jo, naprawdę. Im więcej nagłośnienia, tym lepiej.

– Zdecydowanie, ale będę potrzebowała twojej pomocy. Chcę odkryć, jaki naprawdę był sir James Harrison, skąd pochodził, w jaki sposób sława go zmieniła.

– Ależ, Jo, przecież wystarczy sięgnąć po jego biografię.

– Och… już wypożyczyłam kilka książek z biblioteki. Przyznaję, że na razie tylko je przewertowałam, ale książki o nim może przeczytać każdy. – Spojrzała na niego żarliwie. – Chciałabym go zobaczyć oczami rodziny, poznać drobne detale. Na przykład Siam… Nazywali go tak koledzy z teatru. Skąd się to wzięło?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Marcus wzruszył ramionami.

– Nie miał na przykład związków z Azją Południowo-Wschodnią?

– Nie, nie sądzę. – Wychylił whisky i nalał sobie kolejną. – Prawie nie tknęłaś wina. – Położył dłoń na jej udzie. – Jesteś strasznie spięta.

– Owszem, trochę. – Joanna pospiesznie odsunęła jego dłoń, sięgnęła po kieliszek i wypiła odrobinę wina. – Mam za sobą zwariowane tygodnie.

– Opowiedz mi o tym.

Dłoń wróciła na udo. Joanna ponownie ją odsunęła i popatrzyła na Marcusa, unosząc brwi.

– Nie. Do połowy przyszłego tygodnia muszę skończyć ten artykuł, a ty niezbyt mi pomagasz, choć to także w twoim interesie.

– Tak. – Spuścił głowę jak zbesztany uczniak. – Przepraszam, ale nic nie poradzę, że mnie pociągasz.

– Posłuchaj, pomóż mi to zrobić, proszę tylko o pół godziny.

– Skoncentruję się, obiecuję.

– Świetnie. Co wiesz o sir Jamesie. Może zacznij od jego

dzieciństwa.

– Cóż… – Marcus nigdy szczególnie nie interesował się życiem dziadka, ale zaczął wysilać umysł, żeby cokolwiek sobie przypomnieć. – Tak naprawdę to powinnaś porozmawiać z Zoe. Ona znała go znacznie lepiej niż ja, bo z nim mieszkała.

– Świetnie byłoby pomówić z twoją siostrą, ale zawsze ciekawie jest uzyskać różne opinie o człowieku. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby twój dziadek mówił o kimś imieniem Rose?

– Nie. – Pokręcił głową. – Czemu pytasz?

– To imię pojawiło się w jego biografii – odparła Joanna swobodnie.

– Jestem pewien, że swego czasu miał wiele romansów.

– Znałeś swoją babcię? Miała na imię Grace, prawda?

– Nie poznałem jej. Zmarła za granicą, zanim Zoe i ja przyszliśmy na świat. Jeśli dobrze pamiętam, mój tata miał wtedy zaledwie kilka lat.

– Czy to było szczęśliwe małżeństwo?

– Legenda głosi, że bardzo.

– Czy twój dziadek przechowywał może stare pamiątki… wiesz, programy teatralne, wycinki z gazet?

– Ależ tak! Strych domu w Dorset jest pełen tych rzeczy. Wszystko odziedziczyła Zoe.

– Naprawdę? Bardzo chciałabym pogrzebać na tym strychu.

– Zoe od lat powtarza, że pojedzie tam na weekend i zrobi porządek. Większość tych szpargałów to pewnie śmieci, ale niektóre programy teatralne i zdjęcia mogą się okazać sporo warte. Dziadek przechowywał wszystko, był prawdziwym chomikiem. – Nagle Marcusa olśniło. – Może zadzwonię do siostry i poproszę, by pozwoliła ci w ten weekend przyjechać do Dorset? Moglibyśmy

razem zobaczyć, co tam jest. Zoe na pewno z wdzięcznością przyjmie wszelką pomoc w porządkowaniu szpargałów.

– Hm… dobrze. – Doskonale wiedziała, czemu ten pomysł tak bardzo podoba się Marcusowi, i miała nadzieję, że sypialnię da się zamknąć na klucz. Pokusa myszkowania w pamiątkach sir Jamesa Harrisona była jednak zbyt silna, Joanna postanowiła więc przyjąć wyzwanie.

– Moglibyśmy pojechać tam w sobotę rano i zostać na noc. – Marcus entuzjazmował się jak mały chłopiec. – Na tę pracę potrzeba dobrych kilka dni.

– Jeśli uważasz, że warto… – powiedziała z wahaniem. – Czyli zapytasz siostrę?

– Oczywiście. Brakuje jej pieniędzy na remont londyńskiego domu, który odziedziczyła. Może zdobyłaby część pieniędzy ze sprzedaży rzeczy na strychu. – Improwizował, choć dobrze wiedział, że Zoe nigdy nie sprzedałaby dla zysku pamiątek po ukochanym dziadku.

– Świetnie. Jestem ci bardzo wdzięczna. – Joanna spakowała magnetofon do plecaka i wstała.

– Chyba nie wychodzisz? A co z jedzeniem?

– To urocze, że mnie zapraszasz, ale jeśli dzisiaj się nie wyśpię, jutro będę do niczego.

– No dobrze. – Marcus westchnął. – Gardzisz mną i moim spaghetti, trudno.

Podała mu wizytówkę.

– Tu jest mój numer służbowy. Zadzwonisz jutro i przekażesz mi, co powiedziała siostra? – Szybko cmoknęła go w policzek. – Dzięki, Marcus. Doceniam twoją pomoc. Trzymaj się.

Patrzył, jak Joanna wychodzi. W tej kobiecie naprawdę było coś, co przyspieszało rytm jego serca. Nie chodziło jedynie o pożądanie.

Podobała mu się jej szczerość, otwartość, tak odświeżające po ładnych, lecz całkowicie skoncentrowanych na sobie aktorkach, które zazwyczaj podrywał.

Ruszył do kuchni, żeby przygotować sobie makaron, napełnił szklankę whisky i podniósł do ust, ale nagle znieruchomiał. Walcząc z sobą, wylał alkohol do zlewu.

– Dosyć – powiedział.

Dla Joanny postanowił stać się lepszym człowiekiem.

*

Idąc w mroźną noc na stację metra Holland Park, Joanna w końcu przyznała się przed sobą, że – mimo swej być może uzasadnionej reputacji – Marcus bardzo ją pociąga. Jego komplementy mile łechtały jej posiniaczone i oklapłe ego, a wyraźne pożądanie w jego oczach sprawiało, że ponownie poczuła się sexy. Od lat nawet nie spojrzała na innego mężczyznę niż Matthew, a emocje, jakie obudził w niej Marcus, były podniecające, choć kłopotliwe. Joanna nie zamierzała stać się jego kolejnym podbojem. Szybki romans pewnie przyniósłby fizyczne zadowolenie, nie mógłby jednak zapełnić pustki po Matthew.

Mimo to zalała ją fala radości, gdy wsiadła do metra i pomyślała o weekendzie z Marcusem oraz, niewykluczone, perspektywie rozwiązania zagadki. Fakt, że cyniczny Alec uznał, że za sprawą listu coś może się kryć, dodał Joannie pewności.

Wychodząc przez drzwi obrotowe stacji Archway, otuliła się szczelniej szalem i wyszła w noc. Jej buty stukały głucho na zamarzniętym chodniku, gdy zmierzała ku opustoszałemu Highgate Hill, marząc o ciepłym łóżku w mieszkaniu Simona.

Może przyczyna tkwiła w zimnym powietrzu szczypiącym ją

w szyję, ale zwolniła, bo poczuła, że ktoś ją śledzi. Nieznacznie się odwracając, próbowała dostrzec, czy to cień człowieka, czy tylko gra cieni gałęzi na ziemi. W końcu zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać.

Z oddali dobiegały śmiechy z pubu i miarowy szum samochodów i autobusów, które wzbijały w powietrze liście i śmieci. W końcu podjęła decyzję: przebiegła przez jezdnię i wpadła do sklepu na rogu, gdzie kupiła gumę do żucia. Stojąc w wejściu, rozglądała się po ulicy, ale widziała tylko mężczyznę, który stał na przystanku autobusowym naprzeciwko i swobodnie palił papierosa.

Idąc bardzo wolno, obejrzała się na przystanek. Chociaż autobus nie przyjechał, mężczyzna zniknął. Serce zabiło jej mocniej, pod wpływem instynktu zatrzymała taksówkę i podała adres Simona. Kierowca nie krył irytacji z powodu zaledwie trzyminutowego kursu.

Gdy dotarła do domu, szybko wbiegła po schodach. Żałując, że przyjaciel wyjechał, zamknęła drzwi na zasuwę i podstawiła krzesło pod klamkę. Potem z szafy w holu wyjęła kij do krykieta i położyła na kanapie.

Znacznie później, z dłonią zaciśniętą na kiju, zapadła w niespokojny sen.

12

W pierwszym tygodniu pobytu w Norfolk Zoe nie mogła sobie znaleźć miejsca, ponieważ miała zbyt wiele czasu na rozmyślania. Gruba warstwa śniegu pokrzyżowała plany filmowania w plenerze. Śnieg, choć malowniczy i nastrojowy, zrywał ciągłość narracji filmowej. Zamiast plenerów postanowili maksymalnie wykorzystać wnętrze starego wiejskiego domu, wynajętego na użytek filmu. William Fielding, odtwórca Johna Durbeyfielda – filmowego ojca Zoe – występował aktualnie w pantomimie w Birmingham i miał przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu. Rozważała powrót do Londynu, ale skoro Art miał przyjechać po nią w weekend, taka podróż wydawała się stratą czasu.

W piątek rano Zoe obudziła się nagle zlana potem i przerażona. Różowe okulary zniknęły, rozwiały się zachwyt i zdumienie zrządzeniem losu, który raz jeszcze zetknął ich ze sobą. Teraz nie mogła się nadziwić, że w ogóle dopuściła do siebie ewentualność ponownego związania się z tym człowiekiem.

– Mój Boże – szepnęła w panice. – A co z Jamiem?

Zwlokła się z łóżka, włożyła dżinsy i kozaki i ruszyła na spacer po ośnieżonej wiosce. Tak była zatopiona w myślach, że zupełnie nie rejestrowała malowniczego krajobrazu. To było bardzo miłe móc powiedzieć, że w końcu jest niezależna, wolna od dawnych więzów, ale przecież musiała myśleć realistycznie. To, co wkrótce zamierzała zrobić, mogło wpłynąć na całe późniejsze życie Jamiego.

Już wiedziała, że nie ukryje wszystkiego przed Artem? I w jakiej sytuacji postawiłoby to ich troje?

– Cholera! Cholera! – Kopnęła zamarzniętą grudę. Tak długo utrzymywała sekret; jeśli teraz ludzie się dowiedzą, przeżyją szok…

Czy naprawdę mogła narazić ukochanego syna na skandal, jaki by wybuchł wokół jego osoby, gdyby ponownie związała się z Artem, a prawda o Jamiem wyszła na jaw?

Nie.

Nigdy.

Co ja sobie, na Boga, myślałam?

Po południu Zoe spakowała bagaże do samochodu i wróciła do Londynu. Na miejscu wyłączyła komórkę i włączyła automatyczną sekretarkę, by nagrywała telefony, zarówno te mile widziane, jak i niepożądane. Potem, co do niej niepodobne, opróżniła butelkę wina i zasnęła na kanapie w trakcie filmu, którego napięcie nijak nie miało się do jej prywatnego dramatu.

*

Na podróż do Dorset Marcus wynajął samochód, posługując się mocno nadwerężoną kartą kredytową. Teraz, gdy z Joanną u boku jechał autostradą M3, myślał, że warto było zaryzykować debet na karcie. Joanna pachniała cudownie, według niego świeżo zerwanymi jabłkami. Miał nadzieję, że klucz do domu Haycroft znajdzie w zwykłym miejscu. Dzień wcześniej kilkakrotnie próbował dodzwonić się do siostry i uzyskać jej zgodę na pobyt w domu, zostawił wiadomości na komórce i automatycznej sekretarce, ale Zoe nie oddzwoniła. W końcu uznał, że siostra nie może mu zarzucić, że nie próbował, i postanowił zrealizować plan na weekend.

Joanna siedziała obok niego w milczeniu. Gdy Marcus zadzwonił wczoraj i oznajmił, że mogą jechać, nie kryła zdziwienia. Zakładała, że Zoe stanowczo nie będzie sobie życzyć, by reporterka myszkowała w życiu osobistym jej dziadka. Teraz, zerkając na profil Marcusa, zastanawiała się, czy sir James Harrison był w młodości równie przystojny.

Gdy w końcu zjechali z autostrady, wyjrzała przez okno na rozległe pola, łagodnie wznoszące się i opadające w oddali. Krajobraz nie był tak widowiskowy jak wrzosowiska Yorkshire, ale cieszyła się, że nie przygniatają jej wysokie budynki. Rośliny i zwierzęta spały snem zimowym pod warstwami śniegu odbijającego słońce, które jaśniało na bezchmurnym niebie.

Minęli szereg wąskich dróg obrzeżonych zaśnieżonymi żywopłotami, wjechali przez bramę na podjazd i ich oczom ukazał się dom. Spory, dwupiętrowy, kryty gontem stary budynek z jasnoszarej cegły. Gont był porośnięty mchem – jaskrawozielonym pośród śnieżnej bieli – z okapów nad witrażowymi okienkami zwisały sople migoczące w promieniach słońca.

– Oto Haycroft – oznajmił Marcus.

– Jest przepiękny – wykrztusiła.

– Tak. Dziadek zapisał go synowi Zoe, Jamiemu. Szczęściarz z niego – dodał, a Joanna odniosła wrażenie, że słyszy w jego głosie gorycz. – Poczekaj, pójdę po klucz.

Wyskoczył z samochodu i skierował się do beczki na deszczówkę za domem. Szperając w niej, musiał przebić warstwę lodu, ale udało mu się dosięgnąć dużego staroświeckiego klucza do drzwi wejściowych.

– Dzięki Bogu – mruknął, pochuchał w dłonie i wrócił do Joanny, która zdążyła już wysiąść z samochodu i zaglądała do domu przez

jedno ze szprosowych okien. – Mam. – Z uśmiechem wsunął klucz do zamka masywnych dębowych drzwi i przekręcił.

Wkroczyli do ciemnego holu pachnącego dymem drzewnym. Gdy Marcus zapalił światło, Joannę zaskoczył widok niedźwiedziego łba, patrzącego na nią groźnie ze ściany.

– Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić o panu Wescie. – Poklepał niedźwiedzią sierść.

– Pan West? – spytała, drżąc na całym ciele, bo w domu było chyba nawet zimniej niż na dworze.

– Tak. Zoe nazwała go tak na cześć jednego ze swoich strasznych nauczycieli. Nie przejmuj się, nie zastrzelono go w okolicy – zażartował. – Chodź, tu jest jak w lodowni. Rozpalimy ogień w salonie. Aby zapobiec wychłodzeniu, może trzeba będzie nawzajem się ogrzewać.

Ignorując te słowa, Joanna weszła za Marcusem do przytulnego salonu, w którym na starych kanapach piętrzyły się poduszki. Pod jedną ze ścian stały półki z oprawnymi w skórę książkami i rodzinnymi fotografiami. Podczas gdy Marcus rozglądał się za rozpałką, Joanna uważnie przyjrzała się zdjęciom. Rozpoznała Zoe Harrison jako małą dziewczynkę, uśmiechniętą promiennie w ramionach sir Jamesa Harrisona. Inne zdjęcia przedstawiały ją w różnym wieku: w granatowym mundurku szkolnym, na grzbiecie kasztanka, z synem Jamiem uśmiechniętym od ucha do ucha. Joanna rozglądała się za fotografią młodego Marcusa, ale jej nie znalazła. Zanim zdążyła zapytać, wydał okrzyk triumfu.

– Niech stanie się ciepło! – Rzucona do kominka rozpałka rozbłysła, rzucając cienie na ściany. Marcus dołożył drew. – Gotowe, wkrótce zrobi się ciepło. A teraz ogrzewanie.

Joanna poszła za nim do kuchni z masywnym stropem, podłogą z szarych kamiennych płyt i starym piecem. Marcus otworzył

ciężkie żelazne drzwiczki, wepchnął trochę gazet, dosypał węgla z wiaderka i zapalił.

– Nie wygląda to imponująco i zapewniam cię, że takie nie jest – powiedział z uśmiechem. – Ach, stare dobre centralne ogrzewanie gazowe. Tata całymi latami wiercił dziurę w brzuchu dziadkowi, żeby je zainstalował, ale on odmawiał. Chyba wolał, żeby mu jaja odmarzały. Dobra, jeszcze raz stawię czoło mrozowi i przyniosę rzeczy z samochodu.

Joanna przechadzała się po kuchni, rozkoszując się wiejskim urokiem domu. Nad piecem wisiała stara suszarka, a nad głową suszyły się liście laurowe, rozmaryn i lawenda. Pożłobiony dębowy stół najwyraźniej miał za sobą wieloletnią służbę; szafki były pełne puszek, szklanych słojów i porcelany.

Marcus przyniósł tekturowe pudło z prowiantem. Joanna dostrzegła dwie butelki szampana i przysmaki, takie jak wędzony łosoś, którego nie cierpiała, oraz kawior, którego nie cierpiała jeszcze bardziej, i zaczęła się zastanawiać, czy w ten weekend czeka ją śmierć z głodu czy z zamarznięcia. Sądząc po ilości alkoholu przywiezionego przez Marcusa, przynajmniej będzie wtedy pijana. Pomogła mu rozpakować rzeczy, po czym wróciła pod piec, gdzie było nieco cieplej.

– Bardzo jesteś milcząca – odezwał się, wkładając jedzenie do lodówki. – Mogę ci w czymś pomóc? Wiem, że musisz się czuć trochę dziwnie, sama w domu z prawie obcym człowiekiem…

– Wszystko w porządku, Marcus. Po prostu mam sporo na głowie. Sprawy zawodowe… Naprawdę doceniam, że poświęciłeś weekend na to, by mi pomóc.

– Chociaż bardzo bym pragnął, żebyś uważała to za przejaw czystego altruizmu, było trochę inaczej – powiedział. – Miałem nadzieję rozerwać się z tobą w ten weekend.

Joanna spojrzała na niego, unosząc brew.

– Odrzuć kosmate myśli, Jo – rzucił, udając szok. – Miałem na myśli błyskotliwą konwersację albo wyprawę do pubu. Może wybierzemy się teraz na strych i wyciągniemy kilka pudeł? Najlepiej ściągnąć je tu na dół i przejrzeć przy ogniu.

Ruszyła za nim po skrzypiących drewnianych schodach na galeryjkę. Marcus wziął żelazny pręt oparty o ścianę i zahaczył go o uchwyt nad głową. Gdy pociągnął, ich oczom ukazały się zakurzone metalowe schody. Wspiął się, szarpnął za sznurek i cały sufit zalało światło.

– Chcesz wejść i zobaczyć, czego się podjęliśmy? – zapytał, podając jej rękę.

Joanna chwyciła dłoń Marcusa i weszła po metalowych stopniach. Kiedy znalazła się na strychu z podłogą z twardych desek, krzyknęła. Cała przestrzeń, od jednego końca domu do drugiego, była zastawiona drewnianymi skrzynkami po herbacie i tekturowymi pudłami.

– Mówiłem ci, że dziadek był chomikiem – przypomniał jej Marcus. – Wystarczy tu rzeczy na zapełnienie muzeum.

– Czy wiesz coś o porządku chronologicznym tych rzeczy?

– Nie, ale zakładam, że pudła najbliższe nas, najłatwiej dostępne, są najświeższe.

– Cóż, powinnam zacząć od początku.

– Doskonale, proszę pani. – Marcus udał, że uchyla kapelusza. – Pospaceruj tu sobie i wybierz to, co chcesz znieść na dół na początek.

Przecisnęła się między skrzynkami i pudłami i postanowiła zacząć od kąta położonego najdalej od schodów. Dwadzieścia minut później wybrała trzy kartony, bo znajdujące się w nich pożółkłe

wycinki z gazet wyglądały na bardzo stare, oraz sfatygowaną walizkę.

Po powrocie na dół usiadła przy piecu, próbując się trochę ogrzać.

– Za… marzam… – Roześmiała się, dygocząc niepohamowanie.

– Może na początek pójdziemy do pubu? Z radością zamordowałbym za kufel pienistego browaru. Ogrzalibyśmy się zupą.

– Nie, dzięki. – Joanna podeszła do starej walizki. – Wolę zacząć poszukiwania.

– No tak. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wpadnę do pubu, zanim odpadną mi palce. Na pewno nie dołączysz?

– Marcus, nawet nie zaczęliśmy! Zostanę tutaj – odparła zdecydowanym tonem.

– Dobrze. Hm… nie chowaj niczego pod ciuchami, bo później musiałbym cię przeszukać – powiedział, wychodząc z salonu. Wyjeżdżając przez bramę, zauważył szary samochód parkujący na trawie kilka metrów za domem. Gdy przyjrzał się uważniej, zobaczył dwóch mężczyzn w płaszczach Barbour pochylonych nad mapą. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powiadomić policji. Ci dwaj mogli obserwować dom i planować włamanie.

Chociaż ogień buzował, Joanna wciąż czuła się przemarznięta do szpiku kości. Nie mogła za bardzo zbliżać się do ognia, ponieważ obracała w dłoniach kruchy papier. Dotychczas nie odkryła zupełnie nic ponad to, czego już wcześniej dowiedziała się z czterech biografii.

Przejrzała własne notatki. Sir James Harrison urodził się w 1900 roku, pod koniec lat dwudziestych zaczął robić karierę jako aktor,

występując w sztukach Noëla Cowarda na West Endzie. W 1929 roku poślubił Grace, a w 1937 owdowiał; jego żona zmarła za granicą na zapalenie płuc. Według wycinków gazetowych, sir James nigdy nie podniósł się w pełni po śmierci żony. Grace była miłością jego życia; nie ożenił się po raz drugi.

Joanna zwróciła uwagę, że brakuje choćby jednego zdjęcia sir Jamesa Harrisona jako chłopca lub młodego człowieka. Biograf tłumaczył to pożarem, który doszczętnie strawił dom jego rodziców, najwyraźniej stojący gdzieś w pobliżu. Pierwsze zdjęcie przedstawiało Jamesa i jego młodą żonę Grace w dniu ślubu w 1929 roku. Na czarno-białej fotografii z przyjęcia weselnego Joanna mogła zobaczyć, że Grace była drobną kobietą; świeżo upieczony mąż górował nad nią, a ona mocno ściskała jego dłoń.

Po śmierci żony na Jamesa spadł obowiązek opieki nad pięcioletnim synem Charlesem. Jeden z biografów zauważał, że dziecko oddano niańce, a gdy Charles skończył siedem lat, wysłano go do szkoły z internatem. Ojciec i syn nigdy nie byli ze sobą blisko, co ten pierwszy tłumaczył podobieństwem Charlesa do jego zmarłej żony. „Widok syna sprawiał mi ból – przyznawał. – Trzymałem go na dystans. Wiem, że byłem nieobecnym ojcem, co potem niezmiernie mnie bolało”.

W latach trzydziestych nakręcił w Anglii kilka głośnych filmów dla J. Arthura Ranka, które przyniosły mu ogromną popularność. Wdał się w krótki romans z Hollywoodem, a kiedy w Europie wybuchła wojna, wyjechał za granicę w ramach akcji ENSA, stowarzyszenia rozrywki brytyjskich sił zbrojnych; występował dla żołnierzy, żeby podnosić ich morale.

Po zakończeniu wojny pracował w teatrze Old Vic wystawiającym dramaty klasyczne. Jego kreacje aktorskie uznano za wielkie. Po *Hamlecie* i, dwa lata później, *Henryku V* dołączył do

ścisłej elity. Właśnie w tym czasie kupił dom w Dorset i wolał tamtejszą samotność od blichtru londyńskiego świata teatralnego.

W 1955 roku przeniósł się na stałe do Hollywood. Przez piętnaście lat grał tam w dobrych oraz – zdaniem jednego z recenzentów – „zatrważająco złych" filmach. W 1970 roku wrócił na deski brytyjskich teatrów i w 1976 zagrał króla Leara w Royal Shakespeare Company. Opinię publiczną poinformował, że był to jego łabędzi śpiew. Potem poświęcił się rodzinie, zwłaszcza wnuczce Zoe, która właśnie straciła matkę. Biograf sugerował, że sir James Harrison chciał może w ten sposób odpokutować zaniedbywanie syna.

Joanna westchnęła. Na jej kolanach i podłodze leżały stare gazety, zdjęcia, listy, ale nie zawierały żadnych interesujących ją informacji. Owszem, Siam z pewnością był pseudonimem sir Jamesa Harrisona, zaświadczonym w przechowywanej przez niego obfitej korespondencji. Gdy przeczytała wszystkie listy o ludziach znanych jako Bunty i Boo, zaczęły ją nudzić opisy ról sir Jamesa, plotki teatralne i komentarze dotyczące pogody. Tu z pewnością nie znajdzie nic obciążającego.

Zerknęła na zegarek. Za dziesięć trzecia, a ona zdążyła się przekopać zaledwie przez połowę walizki.

– Czego właściwie szukam? – zwróciła się z pytaniem do zimnego zakurzonego powietrza.

Przeklinając to, że nie ma za dużo czasu, nadal przeszukiwała zawartość walizki i już miała wrzucić do niej z powrotem stertę papierzysk, gdy jej wzrok padł na zdjęcie wystające ze starego programu. Wyciągnęła je i ujrzała znane twarze Noëla Cowarda i słynnej aktorki Gertrude Lawrence; obok nich stał mężczyzna, którego również rozpoznała.

Wyjęła ze sterty zdjęcie ślubne Jamesa Harrisona i zestawiła

z tym, które właśnie znalazła. Stojącego u boku młodej żony Jamesa Harrisona nie sposób było nie rozpoznać po ciemnych włosach i charakterystycznych wąsach. Ale przecież mężczyzna stojący obok Noëla Cowarda, mimo jasnych włosów i gładko ogolonej twarzy, również był Jamesem Harrisonem. Porównała nos, usta, uśmiech i – ależ tak! – zdradzały go oczy. Nie wątpiła, że to on.

Może do roli w sztuce Cowarda James Harrison utlenił włosy i zgolił wąsy? – zastanawiała się.

Słysząc szczęk klucza w zamku, pospiesznie odłożyła zdjęcie na bok.

– Witaj. – Marcus wszedł do salonu, pochylił się i rozmasował jej ramiona. – Znalazłaś coś interesującego do artykułu?

– Całe mnóstwo, dzięki. To wszystko jest naprawdę fascynujące.

– Świetnie. Masz ochotę na kanapki z wędzonym łososiem? Musisz umierać z głodu, a mnie piwo zawsze zaostrza apetyt. – Ruszył do drzwi.

– Za wędzonego łososia dziękuję! – zawołała za nim. – Wystarczy ten pyszny chleb, który kupiłeś, i filiżanka gorącej herbaty.

– Mam też kawior. Skusisz się?

– Nie! Ale dzięki.

Joanna wróciła do sterty zdjęć i papierów, a dziesięć minut później Marcus postawił na stoliku tacę z kromkami chleba obficie posmarowanymi masłem i imbryk z parującą herbatą.

– Mogę ci pomóc? – spytał ze słodkim uśmiechem.

– Nie, właściwie nie. To znaczy… dzięki, ale wiem, czego szukam.

– W porządku. – Ziewnął i położył się na kanapie. – Obudź mnie, jak skończysz, dobra?

Ocucona herbatą Joanna przeszukiwała pamiątki jeszcze długo po tym, jak zmrok wydłużył cienie w cichym pokoju. Rozprostowawszy obolałe kończyny, jęknęła.

– Boże, przydałaby mi się gorąca kąpiel – mruknęła i spostrzegła, że ogień zgasł.

Marcus podniósł głowę i przeciągnął się leniwie.

– Tak, może piec obudził się na tyle, żeby ogrzać chociaż pół wanny wody… tak żeby przynajmniej była letnia. Chodź, pokażę ci łazienkę i twoją sypialnię.

Na piętrze zaprowadził Joannę do dużej, lecz dość obskurnej sypialni, w której miała spędzić noc. Pośrodku niskiego pomieszczenia stało duże mosiężne łóżko przykryte starą pikowaną kołdrą; na drewnianej podłodze pełnej dziur leżał orientalny dywan. Marcus rzucił torbę na chwiejne krzesło przy drzwiach, po czym pociągnął Joannę korytarzem do drugiego pokoju. Tam królowało imponujące mahoniowe łoże.

– Pokój dziadka, w którym ja będę kimał. To bardzo duże łóżko… – szepnął jej na ucho i pociągnął ku sobie.

– Przestań, Marcus! – rzuciła ostro, wyswobadzając się z uścisku.

Odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy i westchnął.

– Jo, nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę.

– Prawie mnie nie znasz. Poza tym nie interesują mnie szybkie numerki.

– Kto mówi, że tak miałoby być? Chryste, naprawdę sądzisz, że chodzi mi o to?

– Nie mam pojęcia, czego chcesz, ale wiem, czego ja nie chcę.

– Zgoda, poddaję się. – Westchnął ciężko. – Może zauważyłaś, że nie grzeszę cierpliwością. Mimo to obiecuję więcej cię nie tknąć.

– Dobrze. Teraz się wykąpię, jeśli łaskawie pokażesz mi łazienkę.

Po dziesięciu minutach Joanna leżała w wannie z lwimi łapami, czując się jak wiktoriańska dziewica przed nocą poślubną. Jęknęła na myśl o samoopanowaniu, które pozwoliło jej wyślizgnąć się z jego ramion. Dlaczego zachowywała się tak staroświecko?

Pomijając fakt, że sypianie z kim popadnie nigdy jej nie pociągało, doskonale zdawała sobie sprawę z własnego lęku. Bo czy Marcus nie znudziłby się nią tak jak innymi kobietami, gdyby dała mu to, czego oboje pragnęli? A wtedy wyszłaby na idiotkę, która dała się wykorzystać.

Nie ma sensu dzielić włosa na czworo, pomyślała i wyszła z wanny. Dygocząc, wróciła do sypialni i wciągnęła najcieplejszy sweter i dżinsy.

– Joanno!

– Tak?! – odkrzyknęła.

– Nalewam szampana! Zejdziesz?

– Już idę. – Poczłapała na dół i zastała Marcusa na skórzanej kanapie przed świeżo rozpalonym ogniem.

Gdy usiadła obok niego, wręczył jej kieliszek szampana.

– Trzymaj. Posłuchaj, Jo, chcę cię przeprosić za to, że zachowywałem się jak donżuan. Jeśli nie chcesz mnie, w porządku. Jestem wystarczająco dorosły, by zadowolić się twoją przyjaźnią, jeżeli tylko tyle masz ochotę mi ofiarować. Chcę powiedzieć, że dziś w nocy będziesz zupełnie bezpieczna. Nie zakradnę się do twojej sypialni i nie wezmę cię siłą. Mam nadzieję, że spędzimy miły wieczór. Zarezerwowałem stolik w pubie w wiosce. Podają tam smaczne, proste angielskie dania, żadnych fikuśnych potraw, których, czego się już dowiedziałem, nie lubisz. Tak czy owak, na zdrowie. – Z uśmiechem uniósł kieliszek.

– Zdrowie. – Odwzajemniła uśmiech, czując ulgę, ale i zawód z powodu jego żarliwych przeprosin i zgody na „przyjaźń”.

Pół godziny później potoczyli się po wyboistych drogach do małej wioski. Stary pub z lekko spadzistym dachem miał przytulne wnętrze z ciemnego drewna, kuszące buzującym ogniem. Na barze

drzemał kot. Marcus zamówił dla nich gin z tonikiem, pogawędził z barmanem, wreszcie usiedli z Joanną przy stoliku.

– Ja zapraszam – oznajmiła, gdy przeglądali menu. – W ramach podziękowania za to, co dla mnie zorganizowałeś.

– Bardzo mi miło. Skoro zapraszasz, wezmę stek.

– Ja też.

Młoda kelnerka przyjęła zamówienie; Joanna poprosiła też o butelkę lekkiego czerwonego wina z niezwykle obszernej listy.

– To teraz opowiedz mi o swoim sielankowym dzieciństwie w Yorkshire – odezwał się Marcus, kiedy dziewczyna odeszła.

Joanna mówiła, a on, nie kryjąc zazdrości, słuchał o rodzinnych świętach, galopowaniu konno po wrzosowiskach, zwartej społeczności sąsiadów wspierających się, by przetrwać długie ostre zimy.

– Farma jest w mojej rodzinie od pokoleń – mówiła. – Mój dziadek zmarł jakieś dwadzieścia lat temu, a babcia Dora przekazała farmę mojemu tacie. Nadal jednak przychodziła pomagać w czasie postrzyżyn, aż do zeszłego roku, kiedy nie pozwolił jej na to artretyzm.

– Co będzie, jak twój tata przejdzie na emeryturę?

– Dobrze wie, że nie interesuje mnie prowadzenie gospodarstwa, więc zatrzyma dom, a ziemię wydzierżawi okolicznym farmerom. Nigdy jej nie sprzeda. Cały czas ma nadzieję, że zmienię zdanie, przez co mam poczucie winy, ale to nie dla mnie. Może pewnego dnia będę miała syna, który pokocha owce, ale… – Wzruszyła ramionami. – Dynastie w pewnym momencie muszą się skończyć.

– No tak – rzucił Marcus. – Jestem następny w dynastii Harrisonów, ale na razie spieprzyłem sprawę.

– Skoro o tym mowa – wtrąciła Joanna, krojąc stek – wszystkie programy teatralne, które znalazłam, odłożyłam na bok. Naprawdę

nie powinny gnić na strychu. Londyńskie muzeum teatralne pewnie chętnie by je przyjęło. Albo mógłbyś zorganizować aukcję, zebrać pieniądze na fundusz stypendialny.

– Dobry pomysł, chociaż nie wiem, czy Zoe wyraziłaby zgodę. W końcu to ona dostała w spadku te drewniane skrzynki i kartony. Nie zaszkodzi zapytać.

– Przepraszam za szczerość, ale mówisz o siostrze tak, jakby była naprawdę twardą sztuką – powiedziała Joanna.

– Zoe? Nie. – Marcus pokręcił głową. – Przepraszam, jeśli nakreśliłem błędny obraz, ale wiesz, jak to jest z rodzeństwem.

– Nie wiem. Jestem jedynaczką. W dzieciństwie marzyłam o bracie albo siostrze, którym mogłabym się zwierzać.

– To nie takie fantastyczne, jak wszyscy twierdzą – powiedział ponuro Marcus. – Kocham Zoe, nasze dzieciństwo trudno jednak nazwać idealnym… Pewnie już czytałaś, że nasza mama umarła, jak byliśmy mali…

– Tak – odparła cicho, widząc wyraz jego twarzy. – Przykro mi. To musiało być dla ciebie straszne.

– Taaa. – Marcus odchrząknął. – Wiesz, dałem sobie radę. Siostra i ja musieliśmy szybko dorosnąć. Zwłaszcza Zoe, która urodziła Jamiego w bardzo młodym wieku.

– Wiesz, kto jest ojcem?

– Nie. A nawet gdybym wiedział, to w życiu bym ci tego nie zdradził.

– Oczywiście. Uwierz mi, że nie pytałam jako dziennikarka.

– Naturalnie. – Marcus złagodniał. – Zresztą, podobasz mi się w każdej roli. Tak czy siak, Zoe jest świetna. Jak lwica broni tych, których kocha, ale pod powłoką jej łagodności kryje się wielka niepewność.

– Czy nie jesteśmy tacy wszyscy? – wyszeptała Joanna.

– Pewnie tak. A jak to jest z pani życiem miłosnym, panno Haslam? Wyczuwam w pani psychice wielką nieufność w stosunku do przedstawicieli gatunku męskiego.

– Mam za sobą długi związek, który skończył się zaraz po Bożym Narodzeniu. Sądziłam, że jest na całe życie, okazało się inaczej. – Joanna napiła się wina. – Powoli dochodzę do siebie, ale potrzebuję czasu.

– Powiem to, nawet ryzykując to, że odgryziesz mi łeb… Nie znam tego faceta, ale to skończony kretyn.

– Wiesz, z tego wszystkiego wynikła jedna dobra rzecz: uświadomiłam sobie, że nie chcę się zmieniać tylko po to, żeby się do kogoś dostosować.

– Rozumiem. I masz rację, że nie chcesz się zmieniać, bo jesteś cudowna. – Wypowiadając te słowa, Marcus poczuł, jak coś ściska mu serce. – A teraz mam ochotę na olbrzymi deser z górą bitej śmietany, polewą czekoladową i kandyzowanymi wiśniami, coś, czego nigdy nie uświadczysz w tak zwanych modnych londyńskich restauracjach. A ty?

Po kawie Joanna uregulowała rachunek i wrócili do Haycroft. Marcus uparł się, by usiadła przy ogniu, a sam poszedł do kuchni. Po kilku minutach wrócił, niosąc pod pachami termofory w puchatych pokrowcach.

– Masz. Skoro ja nie mogę cię ogrzewać, musisz się zadowolić tym.

– Dzięki. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, położę się już. Z jakiegoś powodu jestem wypompowana. Dobranoc. – Podeszła do niego i pocałowała w policzek. Odwzajemnił się lekkim całusem w usta.

– Dobrej nocy, Joanno.

Odprowadził ją wzrokiem, potem usiadł na kanapie i utkwił

wzrok w płomieniach. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że się w niej zakochuje, przyznał przed sobą.

Joanna zamknęła za sobą drzwi sypialni. Z trudem przełknęła ślinę, próbując uspokoić rozszalałe serce. Boże, tak go pragnęła…

Nie, to tylko praca, upomniała się.

Uczuciowe angażowanie się w Marcusa wiązało się z niebezpieczeństwem. Pomijając fakt, że mógł złamać jej serce, romans mógł wypaczyć jej osąd, wszystko skomplikować.

Ściągnęła dżinsy i położyła się na dużym łóżku. Z termoforem pod swetrem, zamknęła oczy i próbowała zasnąć.

AIP

13

W sobotni wieczór Zoe sortowała pranie w sypialni na piętrze, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Postanowiła to zignorować. Nie miała sił z nikim rozmawiać. Odsunęła nieco firankę z koronki w oknie wychodzącym na ruchliwą ulicę i wyjrzała.

– Boże – szepnęła na widok postaci na progu. Szybko puściła firankę, ale mężczyzna zdążył podnieść wzrok i ją zobaczył.

Dzwonek rozległ się znowu.

Zoe popatrzyła na swoje spodnie od dresu i stary sweter. Włosy miała niedbale upięte, na twarzy ani śladu makijażu.

– Odejdź, proszę, odejdź – wyszeptała.

Po trzecim dzwonku skapitulowała, zeszła na dół i otworzyła drzwi.

– Cześć, Art.

– Mogę wejść?

– Jasne.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Nawet w dżinsach i swetrze prezentował się imponująco. Zoe nie mogła się zdobyć na spojrzenie mu w oczy.

– Co się stało wczoraj? – spytał. – Dlaczego wyjechałaś z Norfolk, nic mi nie mówiąc? Mój szofer czekał na ciebie ponad dwie godziny.

– Art, przepraszam, ja… – W końcu napotkała spojrzenie jego ciepłych zielonych oczu. – Uciekłam… Strasznie się bałam.

– Kochanie. – Mocno ją przytulił.

– Nie rób tego, proszę, nie możesz, my nie możemy… – Usiłowała się uwolnić, ale Art trzymał mocno.

– Prawie oszalałem, kiedy nie mogłem się do ciebie dodzwonić i zrozumiałem, że znów ode mnie uciekasz. Zoe, moja Zoe. – Odgarnął jasne włosy z jej twarzy. – Nigdy nie przestałem o tobie myśleć, pragnąć cię, zastanawiać się, dlaczego…

– Art…

– Jamie jest moim synem, prawda? Prawda? Możesz zaprzeczać, ile chcesz, ale ja wiem.

– Nie… nie!

– Nigdy nie wierzyłem w twoją bajkę o innym mężczyźnie, ani wtedy, ani teraz. Po tym wszystkim, co nas łączyło, chociaż byliśmy tacy młodzi, wiedziałem, że nie mogłabyś mi tego zrobić. Wiedziałem, że za bardzo mnie kochasz, żeby tak mnie oszukać…

– Przestań! Przestań! Przestań! – Z płaczem próbowała wyrwać się z jego ramion, ale Art nie puszczał.

– Muszę wiedzieć, Zoe. Jamie jest mój, tak?

– Tak, Jamie jest twój! – wykrzyczała. Resztki energii opuściły ją i osunęła się w ramiona Arta. – To twój syn.

– Boże…

Ogarnięci rozpaczą, stali objęci w holu. Pocałował ją, najpierw w czoło, potem w policzki i nos, w końcu w usta.

– Masz pojęcie, jak marzyłem o tej chwili, tęskniłem do niej, modliłem się, by nadeszła… – Pieścił jej uszy, szyję, w końcu pociągnął ją łagodnie na podłogę.

Później leżeli w holu pośród skotłowanych ubrań. Art odezwał się pierwszy.

– Wybacz mi, Zoe… – Jego dłonie wędrowały po gładkiej skórze pleców Zoe; nie mógł przestać jej dotykać, utwierdzać się w pewności, że leży tuż obok. – Kocham cię. Zawsze cię kochałem

i zawsze będę kochał. Posłuchaj, przed domem czeka samochód, ale pozwól mi jeszcze cię zobaczyć. Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne, dla nas obojga, ale… proszę…

Podała mu bokserki i skarpetki, po czym w milczeniu cieszyła się intymnym widokiem ubierającego się Arta.

Ubrany, wstał i pociągnął ją z podłogi.

– Istnieje sposób, kochanie. Na razie musimy się spotykać po kryjomu. Wiem, że nie tak to powinno wyglądać, ale chyba jesteśmy winni sobie to, żeby spróbować?

– Sama nie wiem. – Z westchnieniem przywarła do jego piersi. – Chodzi o Jamiego… Tak bardzo się o niego boję. Nie chcę, żeby jego życie się zmieniło. To nie może mieć na niego wpływu.

– Nie będzie miało, obiecuję. Jamie jest naszym cennym sekretem. Tak się cieszę, że mi powiedziałaś – mruknął. – Kocham cię. – Uśmiechnął się do niej ostatni raz i ruszył do drzwi. Przesłał jej w powietrzu pocałunek i znikł.

Zoe powlokła się do salonu i opadła na kanapę. Przez pewien czas wpatrywała się w dal, ponownie przeżywając każdą sekundę ostatnich trzech kwadransów. W pewnym momencie zaczęły ją jednak nękać demony; szeptały wątpliwości, ostrzegały przed skutkami złamania obietnicy, którą ślubowała dochować na zawsze.

Nie… nie tej nocy.

Nie zamierzała pozwolić, by torturowała ją przeszłość lub teraźniejszość. Najdłużej, jak tylko się da, będzie się rozkoszować spokojem tej chwili.

*

W niedzielę Joanna obudziła się o ósmej. Odzwyczaiła się już od wiejskiej ciszy – żadnych krzyków na ulicy, żadnych klaksonów,

tylko głucha cisza. Pozwoliła sobie na miłe przeciągnięcie się w wygodnym łóżku, wstała, ubrała się i dygocząc z zimna, zeszła na dół. Tam otuliła się w płaszcz wiszący na poręczy i zaczęła rozgrzebywać słabo żarzące się węgle po wczorajszym ogniu. Dodała rozpałki i drewna, żeby wygnać z domu dojmujący ziąb.

Patrząc na pudła, pomyślała, że ma niewiele czasu, a na strychu wciąż czeka góra papierów. W tym tempie uważne i systematyczne przejrzenie wszystkiego zajęłoby jej wiele tygodni. Wzięła się za drugie pudło.

O jedenastej w końcu pojawił się Marcus, z twarzą wymiętą od snu i kołdrą owiniętą wokół ramion. Mimo to wyglądał całkiem przystojnie.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparła z uśmiechem.

– Od dawna na nogach?

– Od ósmej,

– Kurczę, to środek nocy. Widzę, że nie odpuszczasz. – Pokazał do połowy opróżniony karton obok Joanny.

– Tak. – Właśnie natrafiłam na kartki na odzież z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. – Machnęła nimi. – Ciekawe, czy Harvey Nicks nadal by je przyjął.

– Nie, ale pewnie są trochę warte. – Marcus się zaśmiał. – Zoe i ja będziemy musieli wkrótce dokładnie przeczesać te skarby. Herbaty? Kawy?

– Z rozkoszą napiłabym się kawy.

– Robi się. – Poszedł do kuchni.

Joanna, chcąc sobie zrobić przerwę, ruszyła za nim i usiadła przy starym dębowym stole.

– Twój dziadek zaczął chyba kolekcjonować pamiątki dopiero w połowie lat trzydziestych. To spory kłopot, ponieważ biografowie

bardzo mgliście piszą o jego dzieciństwie i młodości. Czy wiesz cokolwiek na ten temat?

– Właściwie nie. – Marcus rozpalił ogień w piecyku i postawił na nim czajnik z wodą. Potem usiadł naprzeciwko Joanny i zapalił papierosa. – Z tego, co wiem, urodził się gdzieś tutaj, a w wieku szesnastu lat uciekł do Londynu szukać szczęścia w teatrze. Przynajmniej tak głosi legenda rodzinna.

– Dziwię się, że po śmierci żony nie ożenił się ponownie. Jak na dziewięćdziesiąt pięć lat życia ośmioletnie małżeństwo wydaje się dość krótkie.

– Oto, do czego zdolna jest miłość.

Parę minut siedzieli w zamyśleniu, potem zagwizdał czajnik, Marcus wstał, zdjął go z piecyka i nalał wrzątku do kubka.

– Proszę. – Postawił przed Joanną parującą kawę.

– Twój ojciec nie miał łatwo, tracąc matkę w tak młodym wieku – powiedziała Joanna, przyciskając kubek do piersi.

– Tak. Ja przynajmniej miałem swoją do czternastego roku życia. Wygląda na to, że kobiety w naszej rodzinie są podatne na wypadki, podczas gdy mężczyźni kwitną i dożywają sędziwego wieku.

– Nie mów tego siostrze. – Napiła się kawy.

– Albo przyszłej żonie – dodał Marcus. – Wybierzesz się ze mną do pubu na tradycyjną niedzielną pieczeń, czy muszę iść sam?

– Marcus, przecież dopiero wstałeś! Jak możesz już myśleć o piwie i rostbefie?!

– Właściwie myślałem o tym, jaka ty musisz być głodna.

– Naprawdę? – Uniosła brew. – Cóż za troskliwość! Dobrze, mam już dość materiału na w miarę przyzwoity artykuł. Tak się zastanawiałam, czy pozwoliłbyś mi zabrać jedno zdjęcie i zamieścić w gazecie? Przedstawia twojego dziadka w towarzystwie Noëla Cowarda i Gertrude Lawrence… świetnie oddaje atmosferę epoki.

Zdjęcie sir Jamesa Harrisona jako młodego aktora pasowałoby, bo przecież artykuł ma być skierowany do dzisiejszych młodych aktorów. Potem oczywiście odesłałabym zdjęcie.

– Nie widzę przeciwwskazań. Chociaż przed publikacją musiałbym uzyskać zgodę Zoe – odparł Marcus.

– Dzięki. A teraz pomożesz mi znieść ze strychu następne pudło? – spytała, wstając od stołu.

O trzynastej, głuchy na jej protesty, Marcus pociągnął Joannę z podłogi i zaprowadził do samochodu.

– Ile słów ma mieć ten artykuł? – zapytał, gdy ruszyli. – Wystarczy ci już na cholerną książkę! Nacieszmy się resztką weekendu.

Joanna odchyliła się na oparcie siedzenia i patrzyła przez okno, sycąc wzrok migotliwym śnieżnym krajobrazem. Pojechali do miasteczka Blandford Forum, z uliczkami w stylu króla Jerzego. Marcus z kwaśnym uśmiechem pokazywał jej wszystkie puby, z których wyrzucano go, gdy był nastolatkiem. W końcu zaparkował przed wesołymi zielonymi drzwiami małego budynku z czerwonej cegły.

– Podają tu najlepszy niedzielny rostbef w okolicy, z największym puddingiem z Yorkshire, jaki w życiu widziałaś.

– Składasz poważną obietnicę dziewczynie z Yorkshire. – Zaśmiała się. – Mam nadzieję, że jej dotrzymasz.

Po obfitym lunchu, w którego skład wchodził chrupiący z wierzchu, a w środku puszysty pudding i pieczeń sowicie polana sosem, Joanna odciągnęła towarzysza od stołu.

– Dość! Po tym obżarstwie muszę się przejść – oznajmiła. – Jakieś propozycje?

– Owszem. Zabiorę cię na Hambledon Hill. Proszę wsiadać, łaskawa pani. – Marcus otworzył dla niej drzwi od strony pasażera.

Po kilku kilometrach zatrzymali się i Joanna popatrzyła na łagodne wzniesienie. O piętnastej słońce zaczynało zachodzić, złocąc ośnieżone wzgórze. Widok tak bardzo przywodził na myśl wrzosowiska rodzinnego Yorkshire, że wzruszenie chwyciło ją za gardło.

– Uwielbiam to miejsce. – Marcus ujął ją pod ramię. – Często tu przychodziłem, kiedy spędzałem wakacje u dziadka. Siadałem na szczycie, z dala od wszystkiego, i mogłem spokojnie pomyśleć.

Ramię w ramię ruszyli pod górę; Joanna napawała się spokojem, jakiego brakowało jej w Londynie. W połowie wysokości usiedli na pniaku, żeby podziwiać widok.

– O czym myślałeś, kiedy tu przychodziłeś? – spytała.

– No, wiesz… chłopięce sprawy – odparł wymijająco.

– Nie wiem. Powiedz mi – zachęcała.

– Rozmyślałem o tym, co będę robić, jak dorosnę – zaczął, patrząc w dal. – Moja mama… bardzo kochała przyrodę, żarliwie ją chroniła. Mogłabyś ją nazwać „ekobojowniczką”. Chodziła na marsze Greenpeace, lobbowała w parlamencie. Wiesz, chciałem robić coś, z czego mogłaby być dumna. – Spojrzał na Joannę, która uległa magnetycznej sile jego wzroku. – Coś ważnego, istotnego… – Urwał i kopnął śnieg. – Potem wszystko się schrzaniło, więc raczej byłaby rozczarowana.

– Nie sądzę – rzuciła po chwili Joanna.

– Nie? – Marcus odwrócił się do niej ze smutnym uśmiechem.

– Nie. – Pokręciła głową. – Mamy zawsze kochają swoje dzieci, bez względu na wszystko. Najważniejsze, że próbowałeś. Twój nowy projekt filmowy zapowiada się na coś wartościowego.

– Jest taki, ale muszę go sfinansować. Szczerze mówiąc, nie mam głowy do pieniędzy. Ostatnio zdałem sobie sprawę, że zamiast rozumem kierowałem się dotąd emocjami, jestem w gorącej wodzie

kąpany. Zapalam się do pomysłu i nie liczę się z ryzykiem. Tak samo postępuję w związkach… wszystko albo nic – wyznał. – Zupełnie jak mama.

– W żarliwości nie ma nic złego, Marcus.

– Jest, jeżeli finansujesz coś z cudzych pieniędzy… Ostatnio myślałem, że gdyby udało mi się rozkręcić ten nowy projekt, zostanę asystentem reżysera, Bena McIntyre'a. Może w przyszłości mógłbym się koncentrować na „wizji" zamiast na finansach.

– Może.

– Zamarzam! Wracamy do domu?

– Rozpieszczeni południowcy – powiedziała z wyraźnym akcentem z Yorkshire. – Nie potrafią znieść zimna!

Po powrocie do względnie ciepłego Haycroft Marcus zataszczył pudła z powrotem na strych, a Joanna posprzątała w kuchni.

– Gotowa? – Czekał w holu, kiedy zeszła z góry z torbą podróżną.

– Tak. Dziękuję za weekend. To była prawdziwa przyjemność. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty wracać do Londynu.

Marcus umieścił klucz w skrytce w beczce, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Wyjeżdżając z podjazdu, dostrzegł srebrny samochód, który widział poprzedniego dnia.

– Kto to? Wścibscy sąsiedzi? – spytała Joanna, która podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Pewnie jakieś ptakoluby, gotowe odmrozić sobie jaja, żeby podglądać rudziki – odparł Marcus. – Widziałem ich już wczoraj. Albo złodzieje, którzy chcą oczyścić dom.

– Nie sądzisz, że powinniśmy powiadomić policję? – Joanna zesztywniała.

– Żartowałem! – rzucił, kiedy mijali srebrny samochód.

To jednak jej nie uspokoiło. Przez całą drogę do Londynu ukradkiem zerkała w lusterko wsteczne i tężała na widok każdego

srebrnego samochodu.

Na Highgate Hill Marcus zaparkował golfa przed domem Simona.

– Dziękuję – powiedziała Joanna. – Wprost nie mogę wyrazić, jaka jestem ci wdzięczna.

– Dopilnuj tylko, żebyśmy ja i moja rodzina dostali podwójną rozkładówkę o funduszu stypendialnym w tym waszym brukowcu. Posłuchaj, Jo. – Pochylił się nad przekładnią biegów i chwycił dłoń Joanny, nim zdążyła ją cofnąć. – Może w czwartek wieczorem zjemy razem kolację?

– Chętnie – zgodziła się bez wahania. Również się nachyliła i lekko pocałowała go w usta. – Do czwartku. Do widzenia, Marcus.

– Do widzenia, Jo – odparł melancholijnie, kiedy wysiadła i sięgnęła po torbę. – Będę za tobą tęsknił – szepnął, ona pomachała mu, posłała uśmiech i ruszyła do drzwi.

Idąc po schodach, myślała o tym, że Marcus Harrison pozytywnie ją zaskoczył. Kiedy jednak przekręciła klucz, miłe ciepło w brzuchu ustąpiło miejsca zimnego lękowi, bo przypomniała sobie, że znowu ją śledzili. Kim oni byli? I dlaczego zupełnie się z tym nie kryli?

Wdzięczna za automatycznie regulowane centralne ogrzewanie, zdjęła płaszcz i położyła na stoliku zdjęcie zabrane z Haycroft. Poszła do kuchni nastawić wodę na herbatę i zrobić kanapkę, po czym wróciła do stolika. Rozłożyła przed sobą wyjęty z biografii program teatralny oraz kopię listu miłosnego i tego od Rose. Ponownie przeczytała oba i przewertowała stary program z Hackney Empire, uważnie przyglądając się zdjęciom aktorów. Gdy rozpoznała twarz, serce zabiło jej mocniej.

Pan Michael O'Connell! Nadzwyczajny aktor!, głosił podpis pod fotografią.

Joanna położyła obok programu zdjęcie z domu w Dorset i porównała twarze Jamesa Harrisona i Michaela O'Connella. Chociaż zdjęcie w programie było stare i ziarniste, nikt nie mógł mieć wątpliwości. Młody aktor podający się za Michaela O'Connella, o włosach ciemnoblond i bez wąsów, wyglądał identycznie jak James Harrison. To był ten sam człowiek, chyba że byli bliźniakami.

Ale dlaczego? Z jakiego powodu Michael O'Connell miałby zmieniać nazwisko? Owszem, istniała możliwość, że postanowił wybrać pseudonim sceniczny, który bardziej mu odpowiadał, ale przecież zrobiłby to na samym początku kariery, a nie po kilku latach. Kiedy żenił się z Grace w 1929 roku, włosy farbował już na czarno i zapuścił wąsy. W żadnej z biografii nie znalazła informacji o zmianie nazwiska.

Pokręciła głową. Może podobieństwo obu mężczyzn było zbiegiem okoliczności. Tylko po co wtedy Rose przysyłałaby jej ten program?

Czyżby sir James Harrison był dawniej innym człowiekiem? Miał przeszłość, którą wolał zataić przed światem?

Pat

(*Sytuacja, w której jeden z graczy nie może wykonać żadnego ruchu, lecz jego król nie może być zaatakowany przez przeciwnika*).



14

Nazajutrz po przyjściu do pracy Joanna nie zastała szefa przy jego biurku. Gdy tylko się zjawił godzinę później, natychmiast podeszła.

– Alec, odkryłam coś w sprawie…

Powstrzymał ją gestem dłoni.

– Już po wszystkim. Przenoszą cię do działu zwierząt domowych i ogrodnictwa.

– Co takiego? – Otworzyła szeroko oczy.

– Nie mam z tym nic wspólnego. – Alec wzruszył ramionami. – W ciągu pierwszego roku u nas masz pracować we wszystkich działach gazety. Twoja praktyka w dziale informacyjnym dobiegła końca. Już nie jesteś moją podwładną. Przykro mi, Jo, ale tak już jest.

– Przecież… pracuję tu dopiero od kilku tygodni. Poza tym nie mogę tak po prostu porzucić tematu. – Joanna wciąż nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. – Zwierzęta i pieprzone ogrodnictwo?! Jezu! Dlaczego, Alec?

– Nie pytaj mnie o to. Ja tu tylko pracuję. Jeśli chcesz, porozmawiaj z naczelnym. To on zasugerował, żeby cię przenieść.

Spojrzała przez szklane drzwi na wystrzępiony dywan w korytarzu, wydeptany przez nerwowych dziennikarzy trzęsących się o swoją posadę. Z trudem przełknęła ślinę, nie chcąc się rozpłakać w obecności Aleca ani kogokolwiek w redakcji.

– Wyjaśnił dlaczego? – rzuciła.

– Nie. – Alec usiadł przy komputerze.

– Nie podoba mu się moja praca? Ja? Moje perfumy?! Wszyscy wiedzą, że „psie kupy i próchnica” to najgorsze zesłanie w redakcji. Chcą mnie dosłownie pogrzebać żywcem!

– Uspokój się, Jo. To pewnie tylko na kilka tygodni. Jeśli poprawi ci to humor, wstawiłem się za tobą, ale sprawa była przesądzona.

Joanna patrzyła, jak Alec stuka w klawiaturę. Nachyliła się do niego i powiedziała:

– Chyba nie myślisz…

– Nie, nie myślę – odparł, podnosząc wzrok. – Napisz ten cholerny kawałek o funduszu stypendialnym i uprzątnij biurko. Mocarny Mike wchodzi na twoje miejsce.

– Mocarny Mike? W dziale informacyjnym? – Mike O’Driscoll był przedmiotem wielu żartów w redakcji. Obdarzony fizjonomią gnoma, przejawiał prawdziwie harcerską gorliwość.

Alec ograniczył się do jeszcze jednego wzruszenia ramion. Rozwścieczona Joanna wróciła do biurka i usiadła.

– Jakiś problem? – spytała Alice.

– Można tak powiedzieć. Mocarny Mike przychodzi na moje miejsce, a mnie przenoszą do zwierząt i ogrodnictwa.

– Jasny gwint, zdradziłaś „Expressowi” gorący temat?

– Nic nie zrobiłam – jęknęła Joanna, splatając ręce i składając na nich głowę. – Nie mogę w to uwierzyć.

– I wydaje ci się, że to ty masz problem? Teraz Mocarny Mike będzie siedział tuż obok mnie – powiedziała Alice. – Ty przynajmniej nie będziesz więcej odmrażać sobie cycków na czyimś progu, tylko będziesz pisać niewinne artykuliki o psiej psychologii i o tym, kiedy najlepiej sadzić begonie. Nie miałabym nic przeciwko takim wakacjom.

– Ja też nie, gdybym była po sześćdziesiątce i miała za sobą wspaniałą karierę dziennikarską. Jezu!

Joanna zaczęła agresywnie pisać na klawiaturze, zbyt zdołowana, by się skoncentrować. Dziesięć minut później Alec klepnął ją w ramię i wcisnął jej do ręki olbrzymi bukiet róż.

– Powinny poprawić ci nastrój.

– Nie wiedziałam, że to cię cokolwiek obchodzi – odezwała się szorstko, gdy wracał do swego biurka.

– Ja cię kręcę! – Alice spojrzała na koleżankę z zazdrością. – Od kogo te kwiaty?

– Pewnie od kogoś, kto mi współczuje – mruknęła Joanna, wyjęła z celofanu niewielką kopertę i otworzyła.

To mój sposób, żeby powiedzieć ci „Dzień dobry". Zadzwonię później. Twój na zawsze. M x

Mimo okropnego nastroju uśmiechnęła się na widok liściku od Marcusa.

– No dalej, mów! Kto to jest? – Alice przyglądała się jej badawczo. – Chyba nie…

Joanna się zarumieniła.

– Cholera, to od niego! Mam nadzieję, że tego nie zrobiłaś!

– Nie zrobiłam! A teraz może w końcu się zamkniesz?

Skończyła wyjątkowo nijaki artykuł o Marcusie i funduszu stypendialnym. Nie opuszczało jej poczucie winy, ponieważ nie wkładała w pisanie serca, mimo kwiatów od niego i wszystkiego, co dla niej zrobił przez weekend. W końcu uprzątnęła biurko i przeniosła swoje rzeczy na drugą stronę redakcji.

Mocarny Mike praktycznie podskakiwał z podniecenia, co dodatkowo pogarszało sytuację. Jak się okazało, cieszyła go nie tyle

perspektywa pracy w dziale informacyjnym, ile możliwość siedzenia obok Alice, w której podkochiwał się od miesięcy.

Przynajmniej będzie miała trochę za swoje, pomyślała wrednie Joanna, siadając w fotelu opuszczonym przez Mocarnego Mike'a i patrząc na zdjęcia słodkich psiaków, które poprzypinał do tablicy korkowej.

Perspektywa powrotu do pustego mieszkania zupełnie się jej nie uśmiechała, więc wieczorem wybrała się z Alice do pobliskiego pubu, żeby utopić smutki w ginie z tonikiem.

Trzy kwadranse później pojawił się Alec. Joanna zostawiła koleżankę i popędziła do byłego szefa. W chwili gdy siadała na sąsiednim stołku, zamawiał whisky.

– Nawet nie zaczynaj, Jo. To był piekielny dzień.

– Alec, odpowiedz mi na pytanie: Czy jestem dobrą reporterką?

– Wyglądało na to, że będą z ciebie ludzie.

– Dobra. – Skinęła głową, usiłując zebrać myśli i starając się nie bełkotać. – Ile czasu zazwyczaj spędza w twoim dziale młody reporter, zanim go przeniosą?

– Jo… – jęknął.

– Proszę, Alec! Muszę wiedzieć.

– Zazwyczaj nie mniej niż trzy miesiące, jeśli nie chcę się go pozbyć wcześniej.

– A ja pracowałam u ciebie siedem tygodni. Liczyłam. Właśnie powiedziałeś, że mogą być ze mnie ludzie, więc raczej się mnie nie pozbyłeś, co?

– Nie. – Wychylił whisky.

– Domyślam się więc, że moje nagłe przeniesienie nie ma związku z moją pracą, ale z czymś, na co wpadłam. Tak?

Alec westchnął i w końcu przytaknął.

– Tak. Mówię ci, Haslam, jeśli kiedykolwiek zdradzisz, że dałem ci cynk, to nie wylądujesz w zwierzątkach i ogrodzie, ale w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych. Zrozumiano?

– W życiu nikomu nie powiem. – Joanna pokazała barmanowi puste szklanki, swoją i Aleca.

– Na twoim miejscu bym się przyczaił, grzecznie się zachowywał, to może cała sprawa przycichnie i pójdzie w zapomnienie – poradził jej były szef.

Podała mu whisky; była gotowa zrobić wszystko, byle zatrzymać go jeszcze kilka minut.

– Chodzi o to, że w ten weekend odkryłam coś nowego. Nie nazwałabym tego tajemnicą wagi państwowej, ale to interesujące.

– Posłuchaj, Jo. – Alec ściszył głos. – Siedzę w tej branży od dawna. Sądząc po zachowaniu ludzi na górze, mogłaś wpaść na tajemnicę wagi państwowej. Ed nie był taki nerwowy od historii z podsłuchanymi rozmowami księżnej Diany i Gilbeya. Mówię ci, zostaw tę sprawę.

Joanna sączyła gin z tonikiem, przyglądając się Alecowi, jego przetłuszczonym siwym włosom, które nieustannie przygładzał dłonią, brzuchowi wylewającemu się nad starym skórzanym paskiem, oczom przesiąkniętym whisky.

– Powiedz – zaczęła tak cicho, że musiał się zbliżyć, żeby słyszeć. – Gdybyś był mną, na samym początku kariery, i natrafiłbyś na coś tak gorącego, że ostrzeżono nawet naczelnego jednego z najlepiej sprzedających się dzienników w kraju, czy dałbyś sobie spokój?

Zastanawiał się przez minutę, potem popatrzył na nią z uśmiechem.

– Jasne, że nie.

– Tak też myślałam. – Poklepała go po dłoni i zsunęła się ze

stołka. – Dzięki, Alec.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem. I, do kurwy nędzy, nie ufaj nikomu! – zawołał za nią, gdy szła po płaszcz. Spostrzegła, że jeden z redakcyjnych fotografów podrywa jej koleżankę.

– Wychodzisz? – spytała Alice.

– Tak. Muszę odrobić lekcję z tego, jak powstrzymać ślimaki przed zjadaniem bratków.

– Nie pękaj, zawsze masz Marcusa Harrisona na pociechę.

– Tak. – Zbyt zmęczona, żeby się spierać, Joanna przytaknęła. – Na razie, Alice.

Złapała taksówkę, żeby wrócić do mieszkania Simona, żałując, że wypiła tyle drinków. W domu zaparzyła mocną kawę i przesłuchała wiadomości na automatycznej sekretarce.

„Cześć, Jo, tu Simon. Nie odbierasz komórki. Powinienem wrócić dzisiaj o dziesiątej wieczorem, więc nie zamykaj drzwi od środka. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Pa".

„Cześć, Simon, mówi Ian. Myślałem, że już będziesz w domu. Nie mogę się dodzwonić na komórkę, ale zadzwonisz, jak wrócisz? Coś się wydarzyło. Na razie".

Joanna zapisała wiadomość, potem jej wzrok padł na wizytówkę przyjaciela Simona.

IAN C. SIMPSON

Wyjęła z plecaka pióro, które znalazła w swoim mieszkaniu po włamaniu, i przyjrzała się wygrawerowanym inicjałom.

I.C.S.

– Jasna cholera! – zawołała w pustym pokoju.

Nie ufaj nikomu…

Słowa Aleca dudniły jej w głowie. Czy to z powodu ginu i okropnego dnia ogarnęła ją paranoja? W końcu mnóstwo ludzi

musi mieć inicjały I.C.S. Z drugiej strony, ilu złodziei, obrabiając czyjeś mieszkanie, ma przy sobie złote pióro z inicjałami?

Do tego ten list miłosny…

Ani przez chwilę nie wątpiła w autentyczność propozycji Simona. Teraz jednak, kiedy się nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że zbyt natarczywie nalegał, by w razie kłopotów skontaktowała się z jego przyjacielem. Co właściwie Simon robił jako urzędnik państwowy? Ten facet był najlepszym studentem w Cambridge, miał łeb jak sklep i raczej nie zajmował się parkometrami. W dodatku znajomi z laboratorium kryminalistycznego…

– Cholera jasna!

Usłyszała kroki na schodach. Wizytówkę i pióro schowała do plecaka i szybko wskoczyła na kanapę.

– Cześć, jak się masz? – Simon wszedł, postawił torbę i podszedł, by pocałować Joannę w czubek głowy.

– W porządku. – Udała, że ziewa, i rozprostowała nogi. – Chyba się zdrzemnęłam. Po pracy wypiłam kilka drinków.

– Aż tak dobry dzień?

– Aż tak dobry. Jak podróż?

– Musiałem wysłuchać mnóstwa nudnych prezentacji. – Simon ruszył do kuchni i nastawił wodę. – Chcesz herbaty?

– Może być. A, przy okazji – dodała nonszalancko. – Jak wróciłam do domu, na sekretarce była wiadomość od jakiegoś Iana. Chce, żebyś do niego oddzwonił.

– Jasne. – Przyniósł dwie filiżanki herbaty i usiadł obok przyjaciółki. – Jak ci minęły te dni?

– W porządku. Mieszkanie prawie wróciło do normy, poza tym wypełniłam wszystkie formularze ubezpieczeniowe. Jutro

przywiozą nowe łóżko, komputerowiec wszystko ma podłączyć. Więc, skoro wróciłeś, spływam.

– Nie ma pośpiechu.

– Wiem, ale chyba wolę wrócić do siebie.

– Rozumiem. – Simon wziął łyk herbaty. – Jakieś postępy w sprawie tajemniczych staruszek i ich korespondencji?

– Nie. Mówiłam ci, że nie zamierzam dalej drążyć, chyba że ten twój znajomy kryminolog coś wywęszy. – Zerknęła na Simona. – Odkrył coś?

– Obawiam się, że nie. Wracając do domu, wstąpiłem do pracy i znalazłem na biurku wiadomość od znajomego. Papier okazał się zbyt delikatny, by dało się go odpowiednio zbadać.

– No cóż – odparła tak lekko, jak tylko potrafiła. – Masz ten list? Mimo wszystko chciałabym go zachować.

– Niestety, nie mam. Podczas próby chemicznej rozpadł się na kawałki. Według mojego znajomego, list miał ponad siedemdziesiąt lat. Przykro mi, Jo.

– Nie szkodzi. Pewnie i tak nie miał znaczenia. Dzięki, że próbowałeś, Simon.

Była niezmiernie dumna z samoopanowania, bo tak naprawdę chciała rzucić Simona na podłogę i stłuc go za zdradę.

– Nie ma sprawy. – Spokój przyjaciółki wyraźnie go zdziwił.

– Poza tym mam teraz inne sprawy na głowie. Mój ukochany naczelny postanowił, z sobie tylko znanych powodów, przenieść mnie z działu informacyjnego do zwierząt i ogrodnictwa. Muszę więc zadbać o to, by spędzić w tym dziale możliwie jak najmniej czasu.

– Przykro mi to słyszeć. Nie podał przyczyny?

– Nie. Hm… przynajmniej nie będę już musiała sterczeć na cudzym progu. Będę w zwiewnej sukience i białych rękawiczkach

przechadzać się po targach kwiatowych w Chelsea. – Joanna ze smutkiem wzruszyła ramionami.

– Całkiem dobrze to znosisz. A spodziewałbym się, że się wściekniesz.

– I co by to dało? Jak już mówiłam, uśmierzyłam ból kilkoma ginami. Żałuj, że nie słyszałeś mnie w pubie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę prysznic i położę się. Szok mnie wyczerpał.

– Biedactwo. Nie przejmuj się, pewnego dnia sama zostaniesz naczelną i odegrasz się.

– Może. – Wstała i ruszyła do łazienki. – Do jutra.

– Dobranoc, Jo. – Simon pocałował ją w policzek, a gdy tylko usłyszał szum wody pod prysznicem, poszedł do swej sypialni i zamknął drzwi. Wyjął komórkę i zadzwonił.

– Ian? Mówi Simon. Chyba mówiłem ci, żebyś nie zostawiał wiadomości na telefonie domowym. Haslam mieszka u mnie.

– Przepraszam. Wypadło mi z głowy. Jak szkolenie?

– Trudne, ale się opłaci. Co jest grane?

– Zadzwoń do Jenkinsa do domu. On ci powie.

– Dobra. Do jutra.

– Dobranoc.

Simon wybrał numer z pamięci.

– Dobry wieczór panu, mówi Warburton.

– Dziękuję, że pan dzwoni. Powiedział jej pan to, co ustaliliśmy, że list się rozpadł?

– Tak.

– Dobrze przyjęła tę wiadomość?

– Zadziwiająco dobrze.

– Świetnie. Jutro o dziewiątej rano proszę się do mnie zgłosić. Mam dla pana specjalne zadanie.

– Tak jest, proszę pana. Dobranoc.

Simon rozłączył się, usiadł na łóżku i pozwolił odpocząć zmęczonym mięśniom. Miał za sobą morderczy tydzień w bazie w górach Szkocji, pełen ćwiczeń w zakresie działań antyterrorystycznych. A teraz miał wrażenie, że zmuszano go do wkraczania do mętnej wody; życie osobiste zaczynało kolidować ze służbowym. A on za wszelką cenę starał się trzymać je osobno.

Nazajutrz za kwadrans ósma Simon szedł na palcach przez salon do łazienki, ale zdał sobie sprawę, że Joanna już wyszła. Na stole w kuchni znalazł krótki liścik.

Poszłam do domu po czyste ubrania do pracy. Dzięki za gościnę. Do zobaczenia wkrótce. X

W liściku nie było nic podejrzanego, ale Simon znał Joannę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że coś się święci. Wczoraj wieczorem była o wiele za spokojna, gdy dowiedziała się o zniknięciu listu.

Mógł się założyć, że przyjaciółka nadal podąża tropem staruszki.

15

W miarę upływu czasu na planie w Norfolk Zoe całkowicie zatopiła się w postaci Tessy, kobiety napiętnowanej przez mieszkańców wioski, ponieważ urodziła nieślubne dziecko. Zoe siłą rzeczy porównywała swoje życie z losami postaci, którą grała. Miała tylko nadzieję, że nie czeka ją podobnie tragiczny koniec.

– Oby tak dalej, Zoe, a dostaniesz nagrodę BAFTA – powiedział Mike, reżyser filmu, odwożąc ją do hotelu po obejrzeniu scen nakręconych tego dnia. – Kamera cię kocha. Wcześnie się połóż, kochanie. Jutro przed nami długi dzień.

– Jasne. Dzięki, Mike. Dobrej nocy.

Wzięli klucze z recepcji i Zoe powędrowała po skrzypiących schodach do pokoju. Gdy otwierała drzwi, w torebce rozdzwoniła się komórka. W końcu znalazła ją pośród szminek i innych drobiazgów, zamknęła drzwi i odebrała.

– To ja.

– Witaj, „ja”. Jak się masz? – zapytała tajemniczym głosem, uśmiechając się.

– Jak zwykle urwanie głowy. Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię. – Opadła na łóżko, przycisnęła komórkę do ucha i syciła się jego głosem.

– Dasz radę przyjechać do Sandringham w ten weekend?

– Chyba tak. Mike mówi, że chce nakręcić kilka scen w porannej mgle, ale w porze lunchu powinnam być wolna. O siódmej

wieczorem pewnie padnę, bo będę na nogach od czwartej rano.

– Jeśli tylko padniesz w moje ramiona, to mi pasuje. – W słuchawce zapadła cisza. – Boże, Zoe, tak bardzo chciałbym być kimś innym.

– Ja bym tego nie chciała. Cieszę się, że jesteś sobą – powiedziała kojącym tonem. – Spotkamy się już za parę dni. Jesteś pewien, że to bezpieczne?

– Absolutnie. Ci, którzy muszą wiedzieć, zdają sobie sprawę z delikatności sytuacji. Pamiętaj, dyskrecja to ich zawód. Proszę cię, kochanie, o nic się nie martw.

– Nie chodzi mi o mnie, Art, ale o Jamiego.

– Oczywiście. Ale zaufaj mi, dobrze? Każę szoferowi, żeby czekał na ciebie przed hotelem od trzynastej w piątek. Mam na weekend York Cottage do dyspozycji, rodzinie powiedziałem, że chcę trochę prywatności. Oni rozumieją. Nie będą nam przeszkadzać.

– Dobrze.

– Liczę godziny, kochanie. Dobranoc.

– Dobrej nocy.

Zoe rozłączyła się i zaczęła się wpatrywać w popękany sufit. Na jej twarzy błąkał się uśmiech. Jeszcze nigdy nie spędziła całego weekendu z Artem.

Nawet z powodu Jamiego nie mogła odmówić.

Po kąpieli zeszła na kolację. Większość ekipy pojechała do pobliskiego miasteczka Holt, gdzie była ponoć świetna hinduska restauracja. Niewielka sala jadalna w hotelu, z rustykalnymi stołami i krzesłami z ciemnego drewna, była na szczęście pusta. Zoe usiadła w kącie blisko ognia, poprosiła młodą kelnerkę o lokalną specjalność, zapiekankę z wieprzowiną, i uświadomiła sobie, że umiera z głodu.

Właśnie gdy postawiono przed nią jedzenie, w drzwiach

restauracji stanął, lekko się zataczając, William Fielding, stary aktor grający jej ojca.

– Witaj, kochanie. Sama jak palec? – Uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Tak. – Po chwili, z pewnym oporem, Zoe dodała: – Może dołączysz?

– Z największą przyjemnością. – Podszedł, powłócząc nogami, wysunął krzesło i usiadł. – Ten cholerny artretyzm zżera mi kości. A tutejszy ziąb nie pomaga. – Nachylił się, zionąc na Zoe alkoholem. – Mimo to cieszę się, że gram człowieka o dobre kilka lat młodszego niż ja. Byłbym lepszy do roli twojego dziadka niż ojca, kochanie.

– Bzdury. Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, a ty dziś wbiegłeś na te schody jak żwawy jelonek – pocieszyła go Zoe.

– Owszem, i mało nie wyzionąłem ducha. – Zaśmiał się. – Ale nie mogę pozwolić, by nasz wielebny reżyser pomyślał, że już nie daję rady.

Kelnerka przyniosła menu.

– Dziękuję, moja droga. – Fielding włożył okulary i przejrzał kartę. – Co my tu mamy? Wezmę zupę, pieczeń i podwójną whisky z lodem, żeby spłukać.

– Robi się, proszę pana.

– Zamówiłbym kieliszek czerwonego wina, ale to, co tu podają, nie jest lepsze od octu – zauważył, zdejmując okulary. – Ale jedzenie mają dobre. Catering jest zawsze jedną z jasnych stron pracy na planie, nie sądzisz?

– Zdecydowanie tak. Od początku zdjęć przytyłam prawie dwa kilo – przyznała się Zoe.

– Całkiem ci z tym do twarzy, jeśli wolno mi zauważyć. Pewnie nadal dochodzisz do siebie po śmierci sir Jamesa.

– Chyba nigdy nie dojdę do siebie. Był dla mnie ojcem bardziej

niż mój tata. Codziennie za nim tęsknię, a ból wcale nie słabnie.

– W końcu osłabnie, kochanie. Mogę tak mówić, bo jestem stary i wiem. O, dziękuję. – Wziął od kelnerki whisky i solidnie łyknął. – Dziesięć lat temu rak zabrał mi żonę. Nie sądziłem, że dam sobie bez niej radę, ale oto jestem. Tęsknię za nią, owszem, lecz pogodziłem się z jej odejściem. Prowadzę życie starego samotnego człowieka. Nie wiem, co bym począł bez pracy.

– Wielu aktorów dożywa sędziwego wieku. Często się zastanawiałam, czy nie ma to związku z tym, że właściwie nie przechodzą na emeryturę. Grają tak długo, aż…

– …padną trupem. Otóż to. – Opróżnił szklankę i poprosił o następną whisky. – Twój dziadek dożył dziewięćdziesiątkipiątki, prawda? Ładny wynik, jeśli można tak powiedzieć. To mnie inspiruje, bo może mam przed sobą jeszcze dwanaście lat.

– Naprawdę masz osiemdziesiąt trzy? – zdziwiła się Zoe.

– Do twojej wiadomości: tyle właśnie kończę w tym roku. Do wiadomości reszty branży: mam około sześćdziesięciu siedmiu. – Przytknął palec do ust. – Swój wiek pamiętam tylko dzięki temu, że sir James był dokładnie o dwanaście lat starszy. Mamy tę samą datę urodzin. Wiele lat temu świętowaliśmy razem. O, zupa! Pachnie wspaniale. Wybacz, ale skupię się na jedzeniu.

– Proszę bardzo. – Zoe przyglądała się, jak stary aktor, dość niechlujnie, nabiera drżącą ręką zupę i wkłada łyżkę do ust.

– Znałeś dobrze mojego dziadka? – zapytała, gdy odepchnął talerz i zamówił kolejną whisky.

– Owszem, wiele lat temu, zanim został, całkiem dosłownie, Jamesem Harrisonem.

– Jak to, „całkiem dosłownie”?

– Cóż… na pewno wiesz, że „James Harrison” to był jego pseudonim sceniczny. Kiedy go poznałem, był Irlandczykiem z krwi

i kości. Pochodził z zachodniej części Cork i nazywał się Michael O'Connell.

Zoe wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

– Na pewno masz na myśli tego samego aktora? Wiem, że dziadek lubił Irlandię, zwłaszcza pod koniec życia mówił, że to piękny kraj, ale nie miałam pojęcia, że był Irlandczykiem. Sądziłam, że urodził się w Dorset, poza tym nigdy nie słyszałam w jego głosie ani śladu irlandzkiego akcentu.

– No, widzisz. To jedynie dowodzi, jak świetnym był aktorem. Miał wielki dar, potrafił naśladować każdy głos. Właściwie tak zaczynał karierę: od naśladowania postaci w musicalach. Dziwne, że o tym nie wiedziałaś, skoro byłaś z nim tak blisko. W każdym razie bez wątpienia płynie w tobie irlandzka krew.

– Wielkie nieba! Powiedz, gdzie poznałeś mojego dziadka?

– W Hackney Empire. Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Michael miał dwadzieścia dwa i właśnie dostał pierwszą pracę.

– Miałeś dziesięć lat? – zdumiała się Zoe.

– Wstyd przyznać, ale tak. Urodziłem się w koszu na rekwizyty – powiedział z uśmiechem William Fielding. – Moja mama też występowała w rewii i najwyraźniej gdzieś zawieruszyła mojego tatę. Zabierała mnie do teatru, w którym pracowała, i sypiałem w szufladzie w jej garderobie. Kiedy podrosłem, zacząłem załatwiać sprawunki dla aktorów: przynosiłem jedzenie, dostarczałem wiadomości, robiłem różne rzeczy za garść drobniaków. W ten sposób poznałem Michaela, tyle że, jak wszyscy, nazywałem go „Siam". Pierwszą jego rolą był dżin z lampy Aladyna w pantomimie wystawianej w Empire. Ogolił głowę, przyciemnił skórę i w szarawarach i turbanie wyglądał zupełnie jak król Syjamu. Przydomek przylgnął, jak na pewno wiesz.

– Tak. – Zoe była tak zaabsorbowana opowieścią, że całkiem

zapomniała o kolacji.

– Oczywiście bardzo pragnął dostać się do prawdziwego teatru, ale wszyscy musimy od czegoś zacząć. Już wtedy miał charyzmę. Młode tancerki przepychały się, żeby pójść z nim na randkę. Może brał je na irlandzki urok, chociaż wtedy mówił już bez akcentu, ale zabawiał nas irlandzkimi balladami. – Stary aktor się roześmiał.

Zoe przyglądała się, jak wychyla kolejną whisky. Odkąd do niej dołączył, osuszył dwie podwójne. Przywoływał wspomnienia sprzed siedemdziesięciu lat. Istniało spore prawdopodobieństwo, że pomylił Jamesa z kimś innym. Gdy kelnerka przyniosła mu rostbef, Zoe spróbowała stygnącej zapiekanki.

– Twierdzisz, że był kobieciarzem?

– Jeszcze jakim! Ale rzucał je z takim wdziękiem, że nadal go kochały. Pewnego dnia, w połowie sezonu, nagle zniknął. Nie pojawiał się na spektaklach przez dwa czy trzy dni, więc posłano mnie, żebym sprawdził, czy zachorował, czy może po prostu za dużo wypił. W mieszkaniu znalazłem jego rzeczy, lecz po nim samym ani śladu.

– Naprawdę? Ale w końcu wrócił?

– Owszem, tyle że dopiero po sześciu miesiącach. Całkiem często zaglądałem do niego, żeby sprawdzić, czy się pojawił, bo wcześniej, jak załatwiałam dla niego sprawunki, zawsze hojnie nagradzał mnie słodyczami, dawał drobne. No więc pewnego dnia zapukałem i drzwi się otworzyły. Miał elegancką nową fryzurę, do tego drogi garnitur. Pamiętam, jak mówił, że kazał go sobie uszyć na Savile Row. Wyglądał jak prawdziwy dżentelmen. Zawsze był przystojnym skurczybykiem. – Znów się roześmiał.

– Kurczę, niezła historia. Nie miałam pojęcia. Ani słowem o tym nie wspomniał. Pytałeś, gdzie się podziewał przez te pół roku?

– Oczywiście, że pytałem. Ta sprawa mnie fascynowała. Twój

dziadek powiedział tylko, że grał gdzieś za sowite wynagrodzenie, to wszystko. Wyjaśnił, że wszystko załatwiono i wraca do Empire. Po jego powrocie szefowie nie mrugnęli okiem. Zupełnie jakby nigdzie nie wyjeżdżał.

– Opowiadałeś o tym komukolwiek? – spytała Zoe.

– Ależ skąd, kochanie! Przestrzegł mnie, żebym nikomu nie mówił. Michael był moim przyjacielem. Ufał mi, a ja jemu. Tak czy inaczej, jeszcze nie dotarłem do najbardziej interesującej części. – Zamglone oczy Williama Fieldinga rozbłysły z zachwytu, bo oto publiczność spijała słowa z jego ust. – Może zamówimy kawę i przejdziemy do baru, na wygodne fotele? Plecy mi drętwieją od tych twardych krzeseł.

W kącie baru znaleźli wygodną kanapę obitą skórą. Z westchnieniem zadowolenia starszy pan zapalił papierosa bez filtra.

– Kilka tygodni po powrocie wezwał mnie do swojej garderoby – kontynuował. – Wręczył mi dwa szylingi oraz list i spytał, czy podjąłbym się pewnego zadania. Kazał mi stanąć przed Swan and Edgar, wiesz, tym domem towarowym na Piccadilly Circus. Miałem czekać, aż wyjdzie młoda kobieta ubrana na różowo i spyta mnie o godzinę.

– I zrobiłeś to?

– Pewnie, że tak! W tamtych czasach za dwa szylingi poleciałbym na Księżyc!

– I ta kobieta się pojawiła?

– O tak! Ślicznie ubrana, wytwornie się wysławiała… Od razu poznałem damę. Mam na myśli prawdziwą damę.

– Widziałeś ją tylko raz?

– Nie. W następnych miesiącach spotkałem się z nią dwanaście, może piętnaście razy. Zawsze wręczałem jej list.

– Czy ona coś ci dawała?

– Kwadratowe paczki owinięte w brązowy papier.

– Naprawdę? Jak sądzisz, co w nich było?

– Nie mam pojęcia. Co nie znaczy, że nie usiłowałem się domyślić. – Strzepnął popiół do popielniczki, posłał Zoe uśmiech, a jego oczy zatonęły w opuchniętej twarzy.

– Sądzisz, że to miało związek z czymś nielegalnym? – Zoe przygryzła wargę.

– Niewykluczone, chociaż Michael nie wydawał się człowiekiem, który wplątałby się w przestępstwo. Był taki łagodny.

– To o co, twoim zdaniem, w tym wszystkim chodziło?

– Hm… zawsze uważałem, że to sekretny romans.

– Czyj? Michaela i kobiety, z którą się spotykałeś?

– Może… Myślę jednak, że ona, podobnie jak ja, była wysłanniczką.

– Nie zaglądałeś do tych paczek?

– Nie, chociaż mogłem, ale zawsze byłem lojalny. Twój dziadek okazywał mi wielką hojność. Nie mogłem go zawieść.

Zoe piła kawę, zmęczona, lecz zafascynowana, bez względu na to, czy historia była prawdą, zmyśleniem czy połączeniem jednego i drugiego, upiększonym przez upływ czasu.

– Potem Michael wezwał mnie do siebie i oznajmił, że znowu musi wyjechać. Dał mi pieniądze na jedzenie na cały rok i poradził, żebym dla własnego dobra zapomniał o wszystkim, co się działo w minionych miesiącach. Gdyby ktokolwiek pytał, zwłaszcza władze, miałem powiedzieć, że w ogóle go nie znam, że spotykałem go tylko przelotnie. – Zgasił papierosa. – *Bon voyage*, Michaelu O'Connell. Kochanie, twój dziadek dosłownie zniknął z powierzchni ziemi.

– Nie masz pojęcia, dokąd pojechał?

– Zielonego. Minęło osiemnaście miesięcy i w teatrze przy Shaftesbury Avenue widzę zdjęcie Michaela O'Connella, ale podpis głosi, że nazywa się James Harrison. Włosy ufarbował na czarno, zapuścił wąsy, ale te niebieskie oczy poznałbym wszędzie.

Zdumiona Zoe wpatrywała się w starego aktora.

– Twierdzisz, że mój dziadek znowu znikł, a potem pojawił się jako wąsaty brunet, pod innym nazwiskiem? Muszę przyznać, Williamie, że trudno mi w to uwierzyć.

– Cóż… – Beknął donośnie. – Przysięgam, że to wszystko prawda, moja droga. Kiedy zobaczyłem przed teatrem jego zdjęcie, przekonany, że to on, chociaż nosił inne nazwisko, poszedłem za kulisy i poprosiłem o spotkanie. Wciągnął mnie do garderoby i zamknął drzwi. Powiedział, że dla mojego własnego dobra byłoby znacznie lepiej, gdybym trzymał się od niego z daleka, że jest teraz kimś innym i fakt, że znałem go dawniej, wiąże się z niebezpieczeństwem. Więc wziąłem sobie jego słowa do serca. – William Fielding wzruszył ramionami.

– Widziałeś go potem?

– Tylko z widowni, kochanie. Parokrotnie do niego pisałem, ale listy pozostawały bez odpowiedzi. Na każde urodziny przychodziła za to koperta z pieniędzmi. Żadnego listu, wiedziałem jednak, że to od niego. Oto dziwna historia twojego ukochanego dziadka w młodości, nigdy wcześniej nieopowiadana. Teraz, kiedy od nas odszedł, tamte sekrety już chyba nie mają znaczenia. Jeśli masz ochotę, możesz dalej badać tę sprawę. – Podrapał się w ucho. – Usiłuję sobie przypomnieć imię tej kobiety, z którą spotykałem się przed Swan and Edgar. Raz się przedstawiła. Daisy…? Nie. Violet… To na pewno był jakiś kwiat…

– Lily? Rose? – podsunęła Zoe.

Stary aktor się rozpromienił.

– Niech mnie diabli, masz rację! To była Rose!

– I zupełnie nie masz pojęcia, kim była?

– Wiesz, nie mogę zdradzać wszystkich jego sekretów. – William postukał się palcem w nos. – Owszem, coś mi świtało, ale może lepiej, żeby ta sprawa leżała w grobie razem z twoim dziadkiem.

– Muszę pojechać do domu w Dorset i przeszukać pamiątki na strychu. Może znajdę coś, co wiąże się z twoją opowieścią.

– Wątpię, kochanie. Skoro sprawa została pogrzebana na tyle lat, raczej nigdy nie dowiemy się prawdy. Ale ciekawie się to opowiada przy kolacji – dodał z uśmiechem.

– Rozumiem. – Stłumiła ziewnięcie i spojrzała na zegarek. – Chyba muszę się położyć. Jutro wstaję wcześnie. Ogromnie ci dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś. Dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem.

– Zrób to, Zoe. – William Fielding patrzył, jak Zoe wstaje. Nagle chwycił ją za rękę i uścisnął. – Tak bardzo go przypominasz, kiedy był młody. Obserwowałem cię dziś po południu; masz ten sam dar. Pewnego dnia staniesz się bardzo sławna i twój dziadek będzie z ciebie dumny.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Dziękuję, Williamie – mruknęła i wyszła z baru.

16

Joanna spędziła żałosne trzy dni w dziale zwierząt domowych i ogrodnictwa oraz dwie niewygodne noce na legowisku z koców i poduszek na podłodze sypialni, ponieważ nowe łóżko jeszcze się nie zmaterializowało. Dziś wieczorem miała zjeść kolację z Marcusem, a sama perspektywa miękkiego łóżka wydawała się wystarczająca, by ulec pokusie spędzenia z nim nocy. Włożyła porządnie znoszoną – i jedyną – małą czarną, do niej zapinany sweterek i szpilki. Na rzęsy nałożyła odrobinę tuszu, na policzki nieco różu, na usta szminkę. Z długimi włosami wciąż wilgotnymi po prysznicu ruszyła na przystanek autobusowy.

Starała się iść naturalnie i opierać się pokusie, by raz po raz odwracać głowę. W garści ściskała klucze, których ostre końce wystawały między palcami na wypadek nieoczekiwanego ataku.

Jadąc autobusem Shaftesbury Avenue w stronę Soho, rozmyślała o czekającym ją wieczorze. Nie cierpiała się za to, że tak bardzo podnieca ją perspektywa ponownego spotkania z Marcusem. W minionych dniach zastanawiała się, czy powinna mu zdradzić, czego dowiedziała się o jego dziadku. Z bólem serca postanowiła nie dzielić się tą wiadomością z Simonem i zaliczyła go do „obozu wroga”, chociaż nie wiedziała, kim właściwie był ów wróg. Po tym, jak przeniesiono ją do innego działu, Aleca również musiała usunąć z listy osób, z którymi była gotowa dzielić się informacjami. Gdy autobus zatrzymał się na Lexington, wysiadła, myśląc o tym, że

przydałby się jej sojusznik. Marcus czekał na nią w Andrew Edmunds, uroczej, oświetlonej świecami knajpce w rustykalnym stylu.

– Jak się masz? – Pocałował ją w usta.

– Dobrze, wszystko w porządku. – Usiadła naprzeciw niego.

– Wyglądasz bajecznie, Jo. Świetnie ci w tej sukience. – Marcus wodził wzrokiem po jej ciele. – Szampana?

– Dobra, zmuszasz mnie do tego. Czy to jakaś specjalna okazja?

– Oczywiście. Jemy razem kolację. A dla mnie to specjalna okazja. Dobry miałaś tydzień?

– Upiorny. Oprócz tego, że przenieśli mnie do innego działu, łóżko jeszcze nie przyjechało.

– Biedactwo. Sądziłem, że do przywiezienia łóżka masz mieszkać u przyjaciela.

– Mieszkałam, ale zrobiło się trochę… tłoczno. Simon wrócił, a jego mieszkanie jest dla nas za ciasne.

– Próbował się do ciebie dobierać?

– Boże, nie! – Joanna zdusiła w sobie poczucie winy. – To mój najstarszy przyjaciel. Znamy się od lat. Zresztą… – Wzięła głęboki oddech. – To długa historia, właściwie ma pewien związek z twoją rodziną. Opowiem ci przy kolacji.

Gdy zamówili jedzenie i wino, Marcus spojrzał na nią pytająco.

– Zaczynaj.

– Co mam zacząć?

– Opowiedz mi.

– Właściwie nie wiem, czy powinnam. – Nagle ogarnęły ją wątpliwości.

– To taka wielka sprawa?

– Problem w tym, że nie wiem. Coś może w tym być, ale może tylko mi się wydaje.

Marcus sięgnął nad stołem i ujął jej dłoń.

– Obiecuję, że nikomu nie powtórzę. Odnoszę wrażenie, że potrzebujesz się tym z kimś podzielić.

– Masz rację. Ale ostrzegam, że to pokręcona, skomplikowana sprawa. Dobra. – Dla kurażu łyknęła świetnego czerwonego wina. – Wszystko zaczęło się na nabożeństwie żałobnym za twojego dziadka…

Oboje zdążyli zjeść przystawki, główne danie i większą część deseru, zanim Joanna wprowadziła Marcusa w „Staruszka-gate", jak nazwała tę historię. Postanowiła nie wspominać o śledzących ją ludziach, bojąc się wypowiadać na głos swoje domysły.

Kiedy skończyła, Marcus zapalił papierosa, powoli wypuścił dym i utkwił w niej wzrok.

– Czyli cały ten artykuł o mnie i funduszu stypendialnym był przykrywką, żebyś mogła zdobyć informacje o moim dziadku i jego mrocznej przeszłości?

– Pierwotnie tak – przyznała. – Przepraszam. Ale artykuł oczywiście się ukaże.

– Muszę przyznać, że czuję się nieco wykorzystany, Jo. Powiedz szczerze. Jesz dziś ze mną kolację, bo chcesz sprawdzić, co jeszcze zdołasz wyciągnąć, czy naprawdę chciałaś się ze mną zobaczyć?

– Chciałam cię zobaczyć, przysięgam.

– Serio?

– Serio.

– Czyli, oprócz tamtej sprawy, lubisz mnie? – drążył.

– Oczywiście, że cię lubię.

– Dobra. – Na jego twarzy pojawił się wyraz czegoś, co uznała za ulgę. – Przyjrzyjmy się faktom raz jeszcze: dziwna starsza pani na pogrzebie mojego dziadka, list, program teatralny, ktoś

przetrzepuje ci mieszkanie, dajesz list przyjacielowi do analizy, ale on mówi, że papier się rozpadł…

– I wiesz co? – wtrąciła Joanna. – Nie wierzę, że tak się stało. Pomyśl o listach liczących setki lat, które nadal istnieją, choć przecież ustalenie ich wieku wymagało analizy chemicznej. – Sfrustrowana pokręciła głową. – Pytanie brzmi: Dlaczego Simon mnie okłamał? To jest naprawdę mój najlepszy przyjaciel.

– Przykro mi, Jo, ale chyba postępujesz słusznie, nie ufając mu. No więc wspominasz o liście swojemu szefowi, on każe ci drążyć sprawę, ale kilka dni później wycofuje się rakiem i przenosi cię do działu redakcji, gdzie nie możesz nikomu zaszkodzić. – Marcus potarł podbródek. – Niezależnie od tego, na co wpadłaś, to spora sprawa. Pytanie brzmi: Co wiesz na pewno?

Wyjęła z plecaka kopertę.

– To jest zdjęcie, które pożyczyłam z domu w Dorset, żeby uatrakcyjnić artykuł. A to jest program teatralny, który dostałam od tamtej starszej pani. – Położyła je obok siebie. – Widzisz? To on, prawda?

Marcus uważnie przyjrzał się obu fotografiom.

– Tak, wygląda jak on. Jeśli ktokolwiek może wiedzieć więcej na ten temat, to tylko moja siostra. Ale ona teraz kręci film w Norfolk.

– Z radością porozmawiałabym z nią, chociaż muszę mieć się na baczności i udawać, że porzuciłam całą sprawę. Mógłbyś zorganizować spotkanie z Zoe?

– Niewykluczone, ale to będzie kosztować.

– Co takiego?

– Brandy u mnie – odparł Marcus z szerokim uśmiechem.

Joanna siedziała w salonie Marcusa, patrząc na płomienie

w kominku gazowym. Ogarnęła ją lekka senność, ale czuła spokój; otuchą napawał fakt, że podzieliła się z kimś sekretem.

– Proszę. – Marcus podał jej kieliszek brandy i usiadł obok. – A więc, panno Haslam, co dalej?

– Cóż, zorganizujesz mi spotkanie z Zoe i…

Położył palec na jej ustach.

– Nie to miałem na myśli. Mówiłem o nas. – Przesunął palcem po policzku Joanny i nawinął na niego kosmyk włosów. – Widzisz, ja naprawdę nie chcę odgrywać Watsona, z tobą w roli Holmesa. – Zanim zdążyła pociągnąć choćby łyk, odebrał jej kieliszek i nachylił się do niej. – Pozwól się pocałować, Joanno, proszę. W każdej chwili możesz poprosić, żebym przestał, i obiecuję, że to zrobię.

Poczuła w brzuchu mrowienie, gdy Marcus dotknął ustami jej warg. Zamknęła oczy, czując, jak czuły pocałunek staje się bardziej namiętny; język Marcusa delikatnie muskał jej język. Zarzuciła mu ręce na szyję i całkiem się rozluźniła; poczucie tego, co właściwe i niewłaściwe, rozpłynęło się we mgle pożądania. Marcus raptownie się odsunął.

– Co? – mruknęła.

– Tylko sprawdzam, czy nie chcesz, żebym przestał.

– Nie chcę.

– Dzięki Bogu – szepnął i znów przyciągnął ją do siebie. – Och, Joanno, Boże, jesteś cudowna…

Godzinę później ujrzała tuż obok twarz Marcusa, na której malował się czysty zachwyt. Uśmiechnęła się zadowolona.

– Chyba cię kocham, Joanno…

Otoczył rękami jej ramiona, Joanna syciła się zapachem jego świeżo umytych włosów i piżmową wonią płynu po goleniu.

– Wszystko w porządku? – szepnął.

– Tak.

Odsunął się i podparł na łokciu.

– Wiesz, mówiłem poważnie. Chyba się w tobie zakochuję.

– Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom – odparła szorstko Joanna.

– Może przedtem, ale nigdy potem. – Usiadł, sięgnął po spodnie i wyjął z kieszeni papierosy. – Chcesz?

– No.

Zapalił dwa papierosy, dał jej jednego i usiedli po turecku na podłodze.

– To było naprawdę miłe – powiedziała Joanna z uśmiechem.

– Seks?

– Nie, fajka. – Zdusiła niedopałek w popielniczce.

– Ależ z ciebie romantyczka! Chodź tu. – Marcus przytulił ją i pocałował. – Od tamtego pierwszego lunchu bez przerwy o tobie myślałem. Nie moglibyśmy podejść do tego poważniej?

– Czyżbyś zapraszał mnie na randkę? – droczyła się.

– Chyba tak, chociaż po ostatniej godzinie z przyjemnością spędzałbym jak najwięcej czasu w domu.

– Sama nie wiem, Marcus… – Westchnęła. – Już ci wspominałam, że mam za sobą długi związek z okropnym zakończeniem. Ciągle czuję się potwornie bezbronna. Poza tym, twoja reputacja jest powszechnie znana i…

– Co masz na myśli?

– Daj spokój. Wszyscy znani mi w Londynie ludzie mówili mi, jaki z ciebie żigolak.

– Dobra, dobra… przyznaję, że spotykałem się z kobietami, ale przysięgam, że nigdy dotąd tak się nie czułem. – Pogładził ją po włosach. – Obiecuję, że nigdy cię nie skrzywdzę. Proszę, daj mi szansę, Jo. Możemy posuwać się tak wolno, jak tylko chcesz.

– Wiesz, dotychczasowe tempo nie było wolne.

– Dlaczego drwisz, ilekroć próbuję poważnie porozmawiać?

– Ponieważ… – nagle zmęczona, potarła oczy – naprawdę się boję.

– Chcę tylko być częścią twojego życia. Daj mi szansę, a obiecuję, że cię nie zawiodę.

– Dobrze, zastanowię się. – Joanna ziewnęła. – Jestem wykończona.

– Możesz zostać na noc. Przecież nie masz łóżka, do którego mogłabyś wrócić – powiedział z uśmiechem.

– Przez ostatnie kilka dni znakomicie spało mi się na podłodze.

– Przestań z tą swoją obronną postawą. Żartowałem. Niczego bardziej nie pragnę, jak obudzić się u twego boku.

– Naprawdę?

– Owszem.

– Dobrze. Dziękuję.

Marcus wstał, podał jej rękę i zaprowadził do sypialni. Odrzucił kołdrę na łóżku.

– Och, łóżko. Jestem w niebie. – Ułożyła się wygodnie, a on wślizgnął się do łóżka obok niej i zgasił światło.

– Jo?

– Tak?

– Musimy od razu zasypiać?

Nazajutrz obudziły ją pocałunki Marcusa; stopniowo wracała na jawę. Delikatnie ją pieścił, a potem powoli się kochali.

– Boże! Spójrz na zegar! – zawołała. – Dwadzieścia po dziewiątej. Strasznie się spóźnię! – Wyskoczyła z łóżka i pognała do salonu, gdzie zostały jej ubrania.

Marcus ruszył za nią.

– Nie idź, Jo. Zostań ze mną. Moglibyśmy spędzić dzień w łóżku.

– Bardzo bym chciała, ale moja praca wisi na włosku – odparła, skacząc po pokoju i próbując wciągnąć rajstopy.

– Ale wrócisz wieczorem?

– Nie. Obiecali przywieźć łóżko i po pracy o wpół do szóstej muszę być w domu. – Włożyła sukienkę.

– Mógłbym przyjść i pomóc ci z łóżkiem – zaproponował Marcus z nadzieją w głosie.

– Zadzwonię do ciebie z pracy. – Narzuciła kurtkę i sięgnęła po plecak. – Dzięki za tę noc – powiedziała, całując go.

– I dzisiejszy ranek – przypomniał jej, gdy otwierała drzwi.

– Tak. Przy okazji, zadzwonisz do Zoe?

– Może pani na mnie liczyć – odparł, całując ją w nos.

Odprowadził Joannę wzrokiem, potem się przeciągnął. Po minionej nocy czuł błogi ból w mięśniach. Wskoczył do łóżka i kilka minut później już spał.

Telefon obudził go o trzynastej. Zerwał się z nadzieją, że to Joanna.

– Marcus Harrison? – usłyszał męski głos.

– Tak?

– Może mnie nie pamiętasz, ale byłem pięć lat przed tobą w Wellington College. Nazywam się Ian, Ian Simpson.

– Tak… chyba sobie przypominam. Byłeś przewodniczącym roku, prawda? Co u ciebie?

– W porządku. Posłuchaj, nie miałbyś ochoty się spotkać i wypić drinka? Pogawędzilibyśmy o starych czasach.

– Hm… Kiedy?

– Choćby dziś wieczorem. Wpadniesz do klubu St James?

– Obawiam się, że nie dam rady. – Marcus zachodził w głowę, dlaczego Ian Simpson ni stąd, ni zowąd chciał się z nim spotkać na drinka. Nie przypominał sobie, żeby odbył z nim choć jedną rozmowę. W szkole Marcus starał się trzymać od niego z daleka, bo Ian słynął z sadystycznych zachowań wobec młodszych chłopców.

– Nie mógłbyś odwołać swoich zobowiązań? – nalegał Ian. – Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Niewykluczone, że skorzystałbyś na tym finansowo.

– Poważnie? Hm… może dałbym radę o siódmej.

– Doskonale. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że dzwonię tak nagle. Cieszę się, że się spotkamy.

– Na razie. – Marcus odłożył słuchawkę i ze zdumieniem popatrzył na telefon.

Później, tuż przed wyjściem, zadzwonił do Joanny.

– Witaj, kochanie. Przywieźli łóżko?

– Tak, dzięki Bogu. Sąsiadka z góry złapała ich akurat, jak odjeżdżali. Uprzedziłam ludzi od dostawy, żeby do niej zadzwonili, gdyby nie zastali mnie w domu. W każdym razie mam na czym spać.

– Chcesz je później wypróbować? Zapewniam cię, że mam wysokie kwalifikacje. – Marus uśmiechnął się pod nosem.

– Jestem o tym przekonana – odparła sarkastycznie. – Może weźmiemy trochę na wstrzymanie i obejrzymy film? Mam nowy telewizor. Mógłbyś przynieść *No Way Out*.

– Mówisz poważnie, Jo? Nie wspominałem, jaki to dołujący film? Chyba wiem coś na ten temat, bo go wyprodukowałem.

– Coś takiego! – Joanna uśmiechnęła się w duchu, słysząc w jego głosie zakłopotanie. – Chcę zobaczyć, do czego przyłożyłeś rękę. Prażoną kukurydzę biorę na siebie. Stoi?

– Stoi, ale jeśli znienawidzisz ten film, ostatnie słowo będzie

należało do mnie i powiem: „A nie mówiłem?”.

– Zobaczymy. Do widzenia, Marcus.

– Pa.

Natychmiast po wejściu do klubu St James rozpoznał Iana Simpsona, chociaż jego okrągła twarz i kanciasty podbródek zaczęły już tonąć w tłuszczu. Pijak, pomyślał Marcus, gdy Ian szedł mu na spotkanie, a jego zwalista sylwetka przypomniała mu, że był kapitanem pierwszej drużyny rugby. Simpson poprowadził swoją drużynę do zwycięstwa, nie biorąc po drodze jeńców.

– Marcus, dobrze cię widzieć, stary. – Simpson mocno uścisnął mu dłoń. – Siadaj. Napijesz się?

– Piwa, chętnie. – Marcus łypnął na stojącą przed Simpsonem whisky, ale przypomniał sobie o ślubowaniu i oparł się pokusie.

– Super. – Simpson przywołał kelnera, zamówił kufel i kolejną whisky. Potem pochylił się, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. – Więc jak ci się wiodło?

– Po szkole? W porządku. Kawał czasu, co? To już siedemnaście lat.

– I czym się zajmujesz?

– Mam własną firmę, jestem producentem filmowym.

– Co za splendor! Ja utknąłem w biednej starej służbie państwowej, gdzie zarabiam akurat tyle, żeby starczyło na chleb. Ale ty ze swoim pochodzeniem byłeś skazany na sukces.

– Tak jakby, chociaż rodzina okazała się raczej przeszkodą.

– Serio? Zadziwiasz mnie.

– Tak, to dziwi większość ludzi – odparł posępnie Marcus. – Aktualnie rozkręcam fundusz stypendialny pamięci mojego dziadka, sir Jamesa Harrisona.

– Serio? Co za zbieg okoliczności! Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. – Kelner postawił przed nimi drinki – Dziękuję.

Marcus podejrzliwie spojrzał na Simpsona, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ktoś spotkał się z nim tylko dla niego samego, a nie z powodu rodziny.

– Zdrowie.

– Zdrowie – powtórzył Marcus, pociągnął solidny łyk piwa i patrzył, jak Simpson wychyla whisky i sięga po drugą. – Więc o co chodzi?

– Sprawa jest dość poufna i musisz zrozumieć, że mówiąc ci o tym, dopuszczamy cię do spraw ściśle tajnych. Wygląda na to, że twój dziadek był niezłym donżuanem i miał romans z pewną dość znaną damą. Pisała do niego gorące listy. Twój dziadek zwrócił je wiele lat temu, oprócz jednego. Obiecał, że ten ostatni, najbardziej kompromitujący list po jego śmierci wróci do rodziny damy. Sądziliśmy, że go odzyskaliśmy. – Simpson napił się whisky. – Okazało się jednak, że zwrócono niewłaściwy list.

Ten, który Joanna dostała od starszej pani, domyślił się Marcus.

– W testamencie chyba nie było mowy o niczym takim – odezwał się niewinnie.

– Nie. Po jakimś czasie… zainteresowana rodzina zwróciła się do nas z pytaniem, czy moglibyśmy odzyskać ten ostatni list. Gdyby wpadł w niepowołane ręce, mógłby wybuchnąć skandal.

– Rozumiem. Czy ma sens pytanie, co to za rodzina?

– Nie, ale zapewniam cię, że są wystarczająco zamożni, by sowicie wynagrodzić każdego, kto zdobyłby list. Naprawdę sowicie.

Marcus zapalił papierosa i przyjrzał się Simpsonowi.

– Jak daleko posunąłeś się w swoim dochodzeniu? – spytał.

– Niezbyt. Obiło mi się o uszy, że przyjaźnisz się z pewną młodą dziennikarką.

– Joanną Haslam?

– Tak. Masz pojęcie, ile ona wie?

– Właściwie nie. Nie rozmawialiśmy wiele na ten temat, chociaż wiem, że otrzymała list, przypuszczalnie ten, o który wam chodzi.

– Otóż to. Hm, posłuchaj: Nie sądzisz, że panna Haslam podtrzymuje znajomość z tobą, bo liczy na wyciągnięcie nowych informacji?

– Istnieje taka ewentualność. – Marcus westchnął. – Zwłaszcza w świetle tego, co właśnie usłyszałem.

– Strzeżonego pan Bóg strzeże, jak mówią. Oczywiście to wszystko musi zostać między nami. Brytyjski rząd liczy na twoją dyskrecję

Marcus miał dość tej taktyki spod znaku płaszcza i szpady.

– Słuchaj, Ian, przestań pieprzyć i powiedz dokładnie, czego chcesz.

– Masz dostęp do domów twojego dziadka, zarówno w Londynie, jak i w Dorset. To, czego szukamy, może się znajdować w jednym z nich.

Może właśnie tego szukała Joanna, uzmysłowił sobie nagle Marcus.

– Owszem, to niewykluczone. Na strychu w Haycroft jest pełno pamiątek po dziadku.

– Wobec tego może nie byłoby od rzeczy, gdybyś jeszcze raz tam pojechał i poszperał w pudłach?

– Zaraz, skąd wiesz, że już szukałem? – zapytał ostro Marcus. – Śledziłeś mnie i Joannę?

– Stary druhu, już ci mówiłem, że brytyjski rząd próbuje rozwiązać tę sprawę najszybciej i najdyskretniej, jak się da. Dla dobra wszystkich zainteresowanych.

– Jezu! – Ton Simpsona bynajmniej nie uspokoił Marcusa. – Czy

ten list może wywołać trzecią wojnę światową?

– Raczej nie. – Twarz Simpsona złagodniała w uśmiechu. – Po prostu… chodzi o niedyskretne zachowanie pewnej młodej damy przed wielu laty; jej rodzina wolałaby zachować to w tajemnicy. Mogą istnieć inne miejsca, o których nie wiemy, zaufani znajomi twojego dziadka… Mógł komuś dać list na przechowanie. Sytuacja jest tak delikatna, że musimy trzymać wszystko w tajemnicy. To, co dziś ode mnie usłyszałeś, jest ściśle poufne. Wszelkie rozmowy do poduszki z panną Haslam unieważnią naszą umowę i sprawią, że znajdziesz się w… trudnym położeniu. Nasz wybór padł na ciebie, bo wiemy, że jesteś dyskretny i bez trudu możesz uzyskać dostęp do ludzi i miejsc, do których nie możemy dotrzeć, nie wzbudzając podejrzeń. Jak już wspomniałem, twój trud zostanie sowicie nagrodzony.

– Nawet jeśli nie znajdę tego listu?

Simpson wyjął z kieszeni kopertę i położył na stole.

– Oto mała zaliczka na wydatki. Może zabierzesz gdzieś uroczą pannę Haslam na weekend, podejmiesz ją godnie i dowiesz się, jak daleko posunęła się w dochodzeniu. Ślimak, ślimak, wystaw rogi, dam ci sera na pierogi, jak mówią.

– Rozumiem, do czego zmierzasz, Ian – mruknął Marcus, tłumiąc w sobie chęć, by walnąć go w ten protekcjonalny, wielokrotnie już łamany nos.

– Znakomicie. Jeśli namierzysz list, zawartość tej koperty wyda ci się drobniakami. Niestety, muszę spadać. W kopercie jest też moja wizytówka. W razie nowin dzwoń o każdej porze dnia i nocy. – Simpson wstał i wyciągnął rękę. – A tak na marginesie, nie chcę dramatyzować, ale ostrzegam, że stawka jest wysoka. Gdybyś zaczął paplać, pożałujesz. Dobranoc.

Marcus patrzył, jak Simpson wychodzi z klubu. Potem,

wstrząśnięty jego ostatnimi słowami, ciężko opadł na krzesło. Po chwili skapitulował i ze zdenerwowania zamówił whisky, ale po sporym łyku pocieszył się myślą, że w szkole Simpson zawsze zastraszał młodszych chłopców. Mimo to nauczyciele uważali go za uroczego i troskliwego. Najwyraźniej się nie zmienił, ale Marcus był teraz dorosły i postanowił traktować jego groźby z przymrużeniem oka.

Palce go świerzbiły, żeby sprawdzić, ile dokładnie jest w kopercie. A gdyby udało mu się znaleźć ten list i przekazać go odpowiednim osobom? Z tego, o czym napomknął Simpson, wynikało, że Marcus mógłby praktycznie zażądać, ile zechce. Dostałby dość pieniędzy na zrealizowanie filmu, który naprawdę wpłynąłby na to, co dzieje się na świecie.

Następnie zaczął się zastanawiać, czy – mimo przestróg Simpsona – powinien opowiedzieć Joannie o tym spotkaniu. Wtedy mogliby pracować razem: od początku żadnych sekretów. Ale gdyby Simpson się dowiedział? Marcus nie chciał jej narażać… Rozmowę z Joanną na ten temat odłoży na później; zobaczy, jak sprawy się rozwiną, i podejmie decyzję.

To, czego nie wie, nie może jej zaszkodzić, uznał, wychylając whisky. Najwyraźniej Simpson zdążył uregulować rachunek, więc Marcus wziął kopertę i zszedł na dół do toalety. Zamknąwszy się w kabinie, przeliczył gruby plik banknotów, czując, jak serce mu przyspiesza. Pięć tysięcy funtów w dwudziestkach i pięćdziesiątkach.

Oczywiście następnym krokiem powinno być spotkanie z Zoe, od której musiał wyciągnąć wszystko na temat listu, nie tylko po to, by sprawić przyjemność Joannie, ale także dla dobra jego filmu…

Pół godziny później, z palącym poczuciem winy z powodu koperty pełnej pieniędzy w kieszeni marynarki, dotarł taksówką do domu Joanny. Szybko zdjął marynarkę.

Joanna zaprowadziła go do przytulnego salonu; w kominku gazowym płonął ogień, a na stoliku czekała misa prażonej kukurydzy.

– Tęskniłem za tobą – powiedział i schylił się, żeby ją pocałować.

– Widzieliśmy się dziś rano. – Zmusiła się, by odsunąć głowę.

– Mam wrażenie, że minęły wieki – mruknął i zapolował na kolejny pocałunek, ale znów się uchyliła.

– Film!

Wyjął starą kasetę wideo, którą wygrzebał z szuflady w swoim mieszkaniu, po czym oboje usiedli na kanapie. Joanna oparła głowę na jego ramieniu.

Marcus prawie nie zauważył pierwszych trzydziestu minut filmu, ponieważ w napięciu wpatrywał się w twarz Joanny, całkowicie skoncentrowanej na efekcie jego pracy. Żołądek ścisnął mu się z niepokoju. A jeśli uzna, że film jest beznadziejny? Jeśli uzna, że on jest beznadziejny? Albo…

W końcu na ekranie pojawiły się napisy końcowe i Joanna spojrzała na Marcusa lśniącymi oczami.

– To było niesamowite – wyszeptała.

– Czy… Co, uważasz, że…?

– Uważam, że to jest genialne. To jeden z tych filmów, które zostają z człowiekiem na długo, wiesz? Cudowne, klimatyczne zdjęcia… Czułam, że jestem w tym lesie deszczowym.

Zanim zdążyła powiedzieć więcej, Marcus ją pocałował, a ona odwzajemniła pocałunek ustami słonymi od prażonej kukurydzy. Napisy przesuwały się na ekranie, ale oni nie zwracali na nie uwagi.

17

W piątkowe popołudnie Zoe wróciła z planu do hotelu i pobiegła do pokoju po torbę podróżną. Z walącym sercem oddała klucze recepcjonistce.

– Szofer czeka na panią, panno Harrison.

– Dziękuję. – Zoe przeszła przez pub pełen miejscowych. Nim zdążyła zlustrować wzrokiem pomieszczenie, u jej boku pojawił się mężczyzna.

– Panna Harrison?

– Tak. – Musiała zadrzeć głowę, żeby na niego spojrzeć. Wysoki, mocno zbudowany blondyn o intensywnie niebieskich oczach. W nienagannym szarym garniturze, koszuli i krawacie kompletnie nie pasował do otoczenia. – Dzień dobry.

– Wezmę pani torbę. – Uśmiechnął się ciepło i jego twarz pokryła siateczka zmarszczek.

– Dziękuję.

Zoe ruszyła za blondynem na parking, gdzie czekał czarny jaguar z przyciemnianymi szybami. Szofer otworzył tylne drzwi.

– Proszę wsiadać.

Wsiadła, a on włożył jej torbę do bagażnika i zajął miejsce za kierownicą.

– Długo pan czekał? – spytała.

– Nie, najwyżej dwadzieścia minut. – Uruchomił silnik i tyłem wyjechał z parkingu.

Jaguar z cichym pomrukiem sunął wiejskimi drogami.

– Jak to daleko? – odezwała się Zoe, odchyliwszy się na oparcie siedzenia z beżowej skóry.

– Mniej więcej pół godziny, panno Harrison.

Nagle poczuła się zażenowana w obecności tego uprzejmego, przystojnego mężczyzny. Przecież musiał wiedzieć, że wiezie ją na schadzkę z jego pracodawcą. Mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak często świadczył Artowi podobne usługi.

– Od dawna pracuje pan dla… hm… księcia Arthura?

– Nie, to nowa posada. Będzie pani musiała dać mi ocenę, od zera do dziesięciu. – W lusterku wstecznym pochwyciła uśmiech szofera.

– Och, nie mogłabym… To znaczy, dla mnie to też pierwszy raz… Mam na myśli podróż do Sandringham.

– Czyli oboje debiutujemy w królewskim ustroniu.

– Tak.

– Nawet nie wiem, czy powinienem z panią rozmawiać. Chyba mam szczęście, że pozwolili mi zachować język i moje… Hm… wie pani, co mam na myśli.

Roześmiała się, czując, że rumieni się na szyi.

– Jeśli pan zachowa dyskrecję, ja też nie puszczę pary z ust – powiedziała i poczuła się znacznie pewniej.

Wkrótce potem szofer sięgnął po komórkę.

– Za pięć minut dojeżdżam do York Cottage z przesyłką dla Jego Wysokości. – Włączył lewy kierunkowskaz i przejechał przez otwartą masywną żelazną bramę. Zoe odwróciła się i ujrzała, jak brama bezszelestnie zamyka się za nimi. – Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił, gdy sunęli szeroką, gładką drogą. Park spowijała popołudniowa mgła, utrudniając widoczność. Samochód skręcił

w prawo, w wąską alejkę z krzewami po obu stronach, i w końcu się zatrzymał.

– To tutaj, panno Harrison. – Szofer wysiadł i otworzył jej drzwi.

Zanim Zoe zdążyła przyjrzeć się wytwornemu wiktoriańskiemu domostwu otoczonemu drzewami, w drzwiach pojawił się Art.

– Zoe, jak cudownie cię widzieć. – Ciepło, choć nieco formalnie, pocałował ją w oba policzki.

– Czy mam wnieść do środka bagaż panny Harrison? – spytał szofer.

– Nie, dziękuję, sam się tym zajmę – odparł Art.

Szofer patrzył, jak książę opiekuńczo obejmuje Zoe i prowadzi do domu. Zamiast aroganckiej, próżnej celebrytki z manią wielkości zobaczył bardzo piękną, uroczą i nerwową młodą kobietę. Wrócił do jaguara, wsiadł i zadzwonił.

– Przesyłka dostarczona do York Cottage.

– Dobrze. On nalega na prywatność, chce, żeby teren był czysty. Przejmujemy to. Zgłoś się jutro punktualnie o dwunastej. Dobranoc, Warburton.

– Dobranoc panu.

Po czterdziestu ośmiu godzinach błogości stali w holu York Cottage. Zoe była gotowa do powrotu do Londynu.

– Było cudownie. – Art delikatnie pocałował ją w usta. – Czas minął tak szybko. Kiedy wracasz do Norfolk?

– We wtorek. Do tego czasu będę w Londynie.

– Zadzwonię do ciebie, ale może wcześniej uda mi się wpaść. Dziś wieczorem wyskoczę do miasta.

– Dobrze. I dziękuję za cudowny czas.

Razem podeszli do czekającego jaguara. Szofer zdążył już

zapakować jej torbę do bagażnika i otworzył drzwi.

– Trzymaj się. – Art pomachał jej, a szofer uruchomił silnik.

Gdy jaguar przejeżdżał przez bramę posiadłości, Zoe patrzyła, jak jej ukochany znika wśród drzew.

– Odwożę panią na Welbeck, panno Harrison, czy tak?

– Owszem, dziękuję.

Wyglądała przez okno niewidzącym wzrokiem. Po czterdziestu ośmiu godzinach czuła się fizycznie i psychicznie wyczerpana. Intensywność tak długiego przebywania z Artem przekraczała jej siły. Zamknęła oczy i spróbowała się zdrzemnąć. Dzięki Bogu miała trzy dni wolnego, by dojść do siebie, pomyśleć. Art wspominał o swoich planach, które pozwoliłyby im na częstsze spotkania. Zamierzał powiadomić o ich miłości rodzinę, potem może także kraj…

Zoe westchnęła ciężko. Miłe myśli, ale czy mieli jakąkolwiek przyszłość? Efekt uwagi, jaka skupiłaby się na Jamiem, byłby katastrofalny.

W co ja się wpakowałam…?

– Czy nie jest pani za ciepło, panno Harrison? Proszę dać mi znać, jeśli życzy pani sobie, żebym zmniejszył temperaturę.

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku. Miał pan przyjemny weekend?

– Owszem, dziękuję. A pani?

– Tak, było miło. – Skinęła głową w panującym w samochodzie półmroku.

Przez resztę drogi szofer zachowywał milczenie. Zoe czuła wdzięczność za jego zrozumienie, że ona nie jest w nastroju do błahych rozmów.

Tuż po piętnastej dotarli na Welbeck Street. Zoe otworzyła drzwi wejściowe i odebrała od szofera torbę podróżną.

– Dziękuję. Tak przy okazji, jak pan ma na imię?
– Jestem Simon. Simon Warburton.
– Wobec tego dobrej nocy, Simonie. I dziękuję.
– Dobranoc, panno Harrison.

Po powrocie do samochodu Simon patrzył, jak Zoe zamyka za sobą drzwi domu, a potem zameldował centrali, że bezpiecznie odwiózł ją na miejsce, i wrócił na firmowy parking, by zdać jaguara i odebrać własny wóz.

Jego odpowiedź na pytanie Zoe, czy miał udany weekend, raczej mijała się z prawdą. W piątek po południu wrócił z Norfolk i natychmiast zauważył list z Nowej Zelandii. Czytając go, zdał sobie sprawę, że w głębi duszy nigdy nie oczekiwał, że Sara do niego wróci. To jednak w żadnej mierze nie złagodziło szoku, gdy przeczytał, że poznała kogoś innego. Kochała tego człowieka – podobnie jak Nową Zelandię – zamierzała go poślubić i tam zostać. Oczywiście było jej przykro, czuła się winna… typowe frazesy, które wpadały z głuchym łoskotem w rozdarte serce Simona.

W całym swoim życiu płakał tylko kilka razy. A w piątek nie mógł się powstrzymać. Tak długo czekał na Sarę, mężnie opierał się pokusom! Najbardziej bolało go to, że wiadomość o swoim odejściu zostawiła prawie do czasu planowanego powrotu.

Jedyna osoba, która mogła go pocieszyć – najstarsza przyjaciółka – albo wyszła z domu, albo ignorowała jego telefony. W dodatku musiał spędzić niedzielę na odwożeniu do Londynu zakochanej gwiazdy filmowej.

Co, u licha, robił za kierownicą po tylu latach specjalnego szkolenia? Tydzień wcześniej poinformowano go w Thames House o „specjalnym zadaniu”; wyjaśniono, że musi pomóc, ponieważ

w sekcji ochrony rodziny królewskiej brakuje ludzi, ale te argumenty nie trafiły mu do przekonania. Gdyby faktycznie zajmował się kimś z rodziny królewskiej, to co innego, ale wożenie kochanki księcia, który w kolejce do tronu był na trzecim miejscu, zakrawało na kpinę. Protokół postępowania wobec członków rodziny królewskiej zdawał się nie mieć końca, jakby nie byli ludźmi, ale zupełnie innym gatunkiem.

Simon zdał jaguara – prowadzenie go było jedyną jasną stroną ostatnich trzech dni – i wsiadł do własnego samochodu. Miał szczerą nadzieję, że wywiązał się ze specjalnego zadania i może wrócić do prawdziwej pracy.

Jadąc do północnej części Londynu, marzył o tym, by nie musieć wracać do pustego mieszkania. Na skrzyżowaniu, pod wpływem impulsu, skręcił w prawo i przejechał pod domem Joanny. Na widok światła w oknach, zaparkował, wszedł i zadzwonił.

Wyjrzała przez okno i otworzyła drzwi.

– Cześć – powiedziała.

Wyczuł, że jego widok nie sprawił jej radości.

– Wpadłem w nieodpowiednim momencie?

– Odrobinę. Właśnie kończę artykuł na jutro. – Joanna stała w przedpokoju, najwyraźniej nie chcąc wpuścić przyjaciela.

– Dobra, tylko przejeżdżałem.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważyła rozdarta między chęcią zaproszenia go, bo wyglądał tak żałośnie, i pragnieniem, by nie przestępował jej progu.

– Owszem. W weekend miałem urwanie głowy.

– Witaj w klubie. Wszystko w porządku?

Simon przytaknął, unikając wzroku przyjaciółki.

– Tak, wszystko gra. Zadzwoń i wpadnij kiedyś na kolację. Musimy nadrobić zaległości.

– Dobrze. – Joanna, z okropnym poczuciem winy, że go nie zaprasza, przyglądała mu się, pewna, że coś się stało. Ale nie mogła mu już ufać. – Tak zrobię.

– To na razie. – Simon wsunął ręce do kieszeni i oddalił się ścieżką.

*

Zoe relaksowała się w wannie, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Cholera. – Leżała w wodzie, z nadzieją, że ten ktoś sobie pójdzie. To nie mógł być Art, bo dopiero wracał z Sandringham, a wcześniej rozmawiała z Jamiem.

Dzwonek rozległ się ponownie. Zoe skapitulowała, owinęła się ręcznikiem i zeszła po schodach, zostawiając za sobą ślady wody.

– Kto tam?! – zawołała przez drzwi.

– Twój ukochany brat, słonko.

– Wejdź! Idę po szlafrok, zaraz do ciebie zejdę. – Otworzyła drzwi, pobiegła z powrotem na górę i pięć minut później wróciła do salonu. – Dobrze wyglądasz, Marcus. Poza tym jesteś tu już od pięciu minut i nie zrobiłeś sobie drinka.

– Miłość do odpowiedniej kobiety czyni cuda.

– Rozumiem. Kto to jest?

– Wkrótce ci powiem. Jak idą zdjęcia?

– Sprawiają mi frajdę.

– Promieniejesz, Zo.

– Naprawdę?

– Może z powodu miłości do odpowiedniego mężczyzny? – zaryzykował brat.

– Ha! Przecież mnie znasz: zaślubiona sztuce i dziecku. – Uśmiechnęła się niewinnie. – Powiedz, co za kobieta nakłoniła cię

do życia w trzeźwości?

– Tak daleko bym się nie posunął, ale owszem, myślę, że to może być „ta”. Może jutro wieczorem przyjdziesz na kolację do bistro koło mnie? Zapraszam. Będziesz mogła jej się przyjrzeć. Wiesz, że zawsze ufałem twojej opinii.

– Czyżby? – Zoe uniosła brwi. – Raczej nie, ale oczywiście przyjdę, żeby ją poznać.

Gdzieś w salonie rozległ się sygnał komórki. Zoe wstała i zaczęła rozglądać się za torebką. W końcu namierzyła ją przy drzwiach i wyjęła telefon.

– Halo?

Marcus patrzył, jak twarz siostry łagodnieje w uśmiechu.

– Tak, dotarłam, dzięki. A ty? Ja też. Jest tu mój brat, porozmawiamy później? Dobrze, do widzenia.

– Kto to był? – zainteresował się Marcus, mrużąc oczy. – Dziadek Mróz?

– Po prostu przyjaciel.

– Jasne. – Brat przyglądał się siostrze, która wraz z telefonem usiłowała schować rozmarzony wyraz twarzy. – Daj spokój, Zoe. Poznałaś kogoś, prawda?

– Nie… Tak… O Boże! Tak jakby.

– Kto to jest? Znam go? Może przyprowadzisz go jutro na kolację?

– Bardzo bym chciała – mruknęła. – Niestety, to dość skomplikowane.

– Jest żonaty?

– Tak, można tak powiedzieć. Posłuchaj, Marcus, naprawdę nie mogę więcej zdradzić. Zobaczymy się jutro wieczorem. Może być ósma?

– Jasne. – Marcus wstał. – Tak przy okazji, ona ma na imię

Joanna. – Ruszył do drzwi. – Bądź dla niej miła, siostruniu, dobrze?

– Naturalnie. – Zoe ucałowała go na pożegnanie. – Dobrej nocki.

*

W drodze do domu Marcus kupił środki czyszczące, ponieważ przed kolejną wizytą Joanny postanowił usunąć resztki kawalerskiego brudu. Gwiżdżąc, wszedł po schodach i ze zdziwieniem spostrzegł, że drzwi są otwarte. Zanim zdążył stawić czoło domniemanemu włamywaczowi, w drzwiach ukazał się mężczyzna w roboczym kombinezonie.

– Jesteś lokatorem?

– Tak. Kim pan jest, do diabła? Kto pana wpuścił?

– Właściciel mieszkania, jest moim kumplem. Poprosił, żebym sprawdził zacieki.

– Jakie znowu zacieki? – Marcus wyminął robotnika i wszedł do mieszkania.

– Tutaj, szefie. – Facet w kombinezonie wskazał świeżo otynkowany fragment ściany nad ościeżnicą. – Pana sąsiedzi skarżą się na zacieki. Obawiam się, że ich źródło jest w pana ścianach.

– Jest niedziela i późny wieczór! Właściciel nic nie wspominał o pana przyjściu.

– Przepraszam. Musiało mu wypaść z głowy. W każdym razie, sprawa załatwiona.

– Hm… no dobrze. Dzięki – powiedział Marcus, patrząc, jak robotnik pakuje narzędzia do skrzynki.

– To spadam.

– W porządku, dzięki.

– Dobranoc, szefie.

Marcus patrzył zdumiony, jak mężczyzna wymija go i wychodzi.

18

W poniedziałkowy wieczór, w swojej ulubionej ciemnozielonej bluzce i dżinsach, z których przed wyjściem pospiesznie poodcinała luźne nitki, Joanna siedziała obok Marcusa w słabo oświetlonym bistro, bardzo zdenerwowana przed spotkaniem z Zoe Harrison.

– Na miłość boską, Jo, wszystko będzie dobrze! Nie pytaj tylko, kto jest ojcem Jamiego. Moja siostra ma na tym punkcie paranoję, a gdy się dowie, że jesteś dziennikarką, i tak będzie się miała na baczności. – Marcus zamówił butelkę wina i zapalił papierosa.

– Pewnie się uspokoi, kiedy jej powiem, że interesuję się wyłącznie gatunkami begonii, które sadzi w ogrodzie – odparła ponuro Joanna. – Naprawdę nie wiem, ile jeszcze wytrzymam w tej pracy.

Marcus objął ją.

– Nim się spostrzeżesz, znowu będziesz na szczycie, zwłaszcza jeśli odkryjesz wielką tajemnicę sir Jima.

– Wątpię. Zresztą naczelny i tak by tego nie puścił do druku.

– Och, zawsze znajdzie się jakiś brukowiec, który chętnie to zrobi. – Pocałował ją. – Oto i Zoe.

Joanna rozpoznała zbliżającą się kobietę i z ulgą zobaczyła, że ona też ubrała się swobodnie, w dżinsy i kaszmirowy sweter w kolorze oczu. Jasne włosy upięła wysoko, nie miała makijażu – daleko jej było do olśniewającej gwiazdy filmowej, jaką Joanna spodziewała się ujrzeć.

– Jestem Zoe Harrison. – Uśmiechnęła się, gdy Joanna wstawała. – Cudownie cię poznać.

Kobiety podały sobie ręce. Joanna, zawsze świadoma swego wzrostu, uzmysłowiła sobie, że góruje nad drobną Zoe.

– Czerwone czy białe? – zwrócił się Marcus do siostry, kiedy kelner otwierał butelkę.

– To samo co wy. – Zoe usiadła między nimi. – Więc gdzie poznałaś mojego brata?

– Hm… Ja…

– Joanna pracuje jako dziennikarka w „Morning Mail". Przeprowadzała ze mną wywiad na temat funduszu stypendialnego. Na marginesie, kochanie, jak posuwa się praca?

– Och, powinnam skończyć w przyszłym tygodniu. – Joanna obserwowała twarz Zoe, na której pojawił się przelotny wyraz niepokoju.

Marcus wręczył siostrze i Joannie po kieliszku białego wina.

– Na zdrowie. Piję za to, że mam przy sobie dwie najpiękniejsze kobiety w Londynie.

– Ale z ciebie czaruś, drogi braciszku. – Zoe puściła oko do Joanny i upiła łyk wina. – O czym piszesz?

– Aktualnie jestem w dziale zwierząt domowych i ogrodnictwa. – Ulga, z jaką Zoe przyjęła tę wiadomość, również nie umknęła jej uwadze.

– Już niedługo – wtrącił Marcus. – Mam nadzieję, że ta kobieta odniesie sukces i będzie mnie utrzymywać na stare lata.

– Będzie musiała – powiedziała Zoe, przeciągając sylaby. – Raczej nie jesteś materiałem na szefa Bank of England, co, Marcus?

– Nie słuchaj tego, co mówi moja siostra – zwrócił się do Joanny, a Zoe posłał ostrzegawcze spojrzenie. – Lubimy sobie docinać.

– O tak – potwierdziła Zoe. – Jednak im szybciej, Joanno, dowiesz

się, jaki on jest, tym lepiej dla ciebie. W ten sposób unikniesz niespodzianek.

– Oczywiście, siostruniu. A teraz może się zamkniesz, żebyśmy mogli zamówić jedzenie?

Joanna spostrzegła, że Zoe uśmiecha się do niej szeroko, i zrozumiała, że docinanie bratu sprawia jej przyjemność. Odwzajemniła uśmiech.

Kiedy kelner przyjął zamówienie, Marcus przeprosił panie; musiał skoczyć do sklepu po papierosy.

– Słyszałam, że kręcisz w Norfolk *Tessę* – zagaiła Joanna.

– Tak.

– Jesteś zadowolona ze zdjęć?

– Ogromnie. To wspaniała rola. – Twarz Zoe pojaśniała. – Mam tylko nadzieję, że zagram ją jak należy.

– Na pewno. Wspaniale będzie obejrzeć w tej roli angielską aktorkę. Zawsze uwielbiałam książki Hardy'ego, zwłaszcza *Z dala od zgiełku*. Przerabialiśmy ją w szkole i kazali nam oglądać film, ilekroć było zbyt deszczowo, żeby grać w piłkę. Czy nie mówią, że każdy mężczyzna jest albo Gabrielem Oakiem, albo kapitanem Troyem? Z całego serca pragnęłam być Julie Christie, żeby całować Terence'a Stampa w mundurze wojskowym!

– Ja też! – Zoe zachichotała. – Mężczyzna w mundurze coś w sobie ma, prawda?

– Może chodzi o te błyszczące guziki.

– Ale mnie tak naprawdę rozwalały bokobrody – dodała z uśmiechem Zoe. – Boże, wspominasz facetów, którzy kiedyś ci się podobali, i przechodzi cię dreszcz. Kolejnym, o który marzyłam, był Simon Le Bon.

– On przynajmniej był przystojny. W moim przypadku było znacznie gorzej.

– Kto to był? – spytała Zoe.

– Boy George z Culture Club. – Joanna zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Ale on jest…

– Wiem!

Gdy Marcus wrócił z papierosami, obie chichotały.

– Siostra opowiada ci zabawne szczegóły z mojego dzieciństwa?

– Czemu mężczyźni zawsze zakładają, że mówi się o nich? – odpaliła Zoe.

– Ponieważ mają wyolbrzymione wyobrażenie własnej ważności – odparła Joanna.

– Trafiłeś w sedno.

Przewróciły oczami i wybuchły śmiechem.

– Czy możecie się opanować choćby na tyle, żeby zacząć przystawkę? – zapytał ponuro Marcus, kiedy kelner podszedł do ich stołu.

Po tym, jak wypili dwie butelki wina, Marcus czuł się jak piąte koło u wozu. Chociaż cieszyło go, że Zoe i Joanna przypadły sobie do gustu, miał wrażenie, że wdarł się nieproszony na imprezę dziewczyn wymieniających się opowieściami z czasów szkolnych, historiami, które, jego zdaniem, wcale nie były takie zabawne. Co więcej, nie dowiadywał się tego, na czym mu zależało. Zoe właśnie opowiadała o zdarzeniu ze szkoły z internatem, związanym ze znienawidzonym nauczycielem i prezerwatywą napełnioną wodą.

– Dzięki, Marcus – powiedziała Joanna, gdy dolał jej wina.

– Nie ma za co, szanowna pani. Jestem tu po to, by sprawiać pani przyjemność.

– Przestań się dąsać, Marcus! – Zoe nachyliła się nad stołem ku Joannie i postukała się w nos. – Coś ci powiem i wiem, co mówię: Jeśli mój brat odyma wargi i trochę zezuje, to znak, że strzela focha.

– Zapamiętam to. – Joanna mrugnęła.

– A więc, braciszku, jak posuwa się sprawa funduszu stypendialnego? – spytała Zoe.

– No, wiesz, powoli. Oficjalną inaugurację planuję za parę tygodni w foyer Teatru Narodowego. Aktualnie kompletuję komisję mającą przesłuchiwać kandydatów. W jej skład powinien chyba wejść rektor jednej ze szkół teatralnych, reżyser oraz dobrze znany aktor lub aktorka. Czy chciałabyś być w komisji, Zoe? To przecież fundusz sir Jima.

– Z rozkoszą. Cała masa słodkich osiemnastolatków, z którymi musiałabym się spotykać, żeby sprawdzić, czy są odpowiedni…

– Mogę dostać tych, których nie zechcesz?

– Joanno! – wykrzyknął Marcus.

– Taka alternatywa dla Miss Świata – zasugerowała Zoe.

– Powinnaś im kazać przychodzić na przesłuchania w kąpielówkach. – Joanna zanosiła się śmiechem.

– A oni recytowaliby monolog z *Henryka V* – dorzuciła Zoe.

Kobiety śmiały się histerycznie, a Marcus w rozpaczy kręcił głową.

– Przepraszam, braciszku – powiedziała Zoe, ocierając oczy serwetką. – Naprawdę bardzo chciałabym zasiadać w tej komisji. À propos aktorów, odbyłam fascynującą rozmowę z Williamem Fieldingiem, który gra w *Tessie* mojego ojca. Okazuje się, że w dawnych czasach znał dziadka.

– Serio? – rzucił Marcus nonszalancko, ale zamienił się w słuch.

– Tak. – Zoe napiła się wina. – William opowiedział mi zupełnie nieprawdopodobną historię o tym, że kiedy go poznał, nasz dziadek wcale nie był Jamesem, lecz Irlandczykiem z Cork imieniem Michael… Nazywał się chyba O’Connell. Występował w musicalu

w Hackney Empire i nagle zniknął. William Fielding wspomniał też coś o listach, o romansie Jamesa z pewną kobietą.

Joanna słuchała urzeczona. Oto absolutne potwierdzenie jej teorii, że dwaj mężczyźni byli w istocie tym samym człowiekiem. Poczuła dreszcz podniecenia.

– Skąd niby Fielding miałby wiedzieć o jakichś listach? – odezwał się Marcus najspokojniej, jak potrafił.

– Ponieważ był posłańcem Michaela O'Connella. Musiał wystawać przed Swan and Edgar, czekając na kobietę imieniem Rose. – Zoe przewróciła oczami. – William Fielding to sympatyczny staruszek, ale cała ta sprawa jest chyba wyssana z palca.

Serce Joanny łomotało, ale zachowała milczenie, modląc się, by Marcus zadawał właściwe pytania.

– Może to prawda, Zoe – rzucił.

– Powiedzmy, częściowo. William z pewnością znał dziadka przed laty, ale wydaje mi się, że upływ czasu zmącił mu pamięć i może pokręcił Jamesa z kimś innym. Chociaż trzeba przyznać, że podał bardzo dokładne szczegóły.

– Sir James Harrison nigdy o tym nie wspominał? – wtrąciła Joanna, nie mogąc się powstrzymać.

– Nigdy. – Zoe pokręciła głową. – Gdyby miał w zanadrzu jakąś historię, na pewno opowiedziałby mi ją przed śmiercią. Mieliśmy niewiele tajemnic. Ale, pod koniec, kiedy morfina mąciła mu umysł, mamrotał o Irlandii, coś o domu w… – Zoe usiłowała sobie przypomnieć. – Nie pamiętam nazwy, chyba zaczynała się na „R".

– Czytałam kilka biografii twojego dziadka – powiedziała Joanna. – Dziwię się, że w żadnej o tym nie wspomniano.

– Właśnie – rzuciła Zoe. – Dlatego trudno mi w to uwierzyć. William Fielding mówił, że w końcu James oznajmił mu, że lepiej

będzie, jeśli każdy z nich pójdzie swoją drogą, i zerwał wszelkie kontakty.

– Kurczę. Chyba warto zbadać tę sprawę, co? – podsunął Marcus.

– Zajmę się tym, kiedy czas mi pozwoli – obiecała Zoe. – Ten strych w Haycroft i tak trzeba posprzątać. Po zakończeniu zdjęć pojadę tam na weekend i zobaczę, co znajdę.

– Może chcesz, żebym się tym zajął?

– Marcus… – Zoe ściągnęła brwi. – Trudno mi sobie wyobrazić, że grzebiesz w pudłach pełnych zakurzonych listów i wycinków prasowych. Już po pierwszym miałbyś dość i wrzuciłbyś resztę do ognia.

– Masz rację. – Joanna przewróciła oczami. – Pomaszerował do pubu, zostawiając mi całą robotę. Na przewertowanie wszystkiego potrzebowałabyś co najmniej tygodnia. Ja zdołałam przerzucić parę pudeł.

– Czego dokładnie szukałaś? – zapytała Zoe, lekko marszcząc czoło.

– Zdjęć sir Jamesa jako młodego aktora, żeby zilustrować artykuł o funduszu – odparła pospiesznie Joanna.

– Słuchajcie, dziewczyny, niedawno wpadł mi do głowy pewien pomysł – włączył się Marcus.

– Mianowicie? – spytała Zoe.

– No, właściwie to był pomysł Joanny – sprostował Marcus. – Wymyśliła, żeby albo wystawić część pamiątek na licytację w celu zebrania środków na fundusz stypendialny, albo podarować je Muzeum Teatru. To by oznaczało, że wszystko należy przeszukać i skatalogować.

– Nie jestem pewna, czy chcę się rozstać z tymi rzeczami – powiedziała Zoe z wahaniem.

– One gniją na strychu, Zoe. Jeśli czegoś z nimi szybko nie

zrobisz, wkrótce nic nie zostanie.

– Zastanowię się. Czyli nie znaleźliście tam nic godnego uwagi?

– Niestety, nie. Przede wszystkim zgłębiałam tajniki flory i fauny stawu w Dorset – mruknęła Joanna.

– Aktor, o którym wspomniałaś, nazywa się William Fielding? – upewnił się Marcus.

– A kobieta, z którą się spotykał, miała na imię Rose? – spytała Joanna.

– Dwa razy tak. – Zoe spojrzała na zegarek. – Przepraszam, że psuję zabawę, kochani, ale czas na drzemkę dla urody. Jutro wracam do Norfolk. – Wstała. – Jedzenie było bajeczne, towarzystwo jeszcze lepsze.

– Może wpadłabyś jutro do Teatru Narodowego? – spytał Marcus. – O czternastej trzydzieści spotykam się z organizatorem w celu omówienia szczegółów inauguracji.

– Bardzo bym chciała, ale muszę być w Norfolk. Przykro mi, Marcus – odparła Zoe, po czym zwróciła się do Joanny: – Musimy się wybrać na zakupy. Zabiorę cię do małego butiku, o którym ci wspomniałam.

– Z rozkoszą, dzięki.

– Świetnie. – Zoe zdjęła z krzesła płaszcz i włożyła go. – Może w przyszłą sobotę? A… Jamie przyjeżdża na weekend. Posłuchaj, przyjdź do mnie z Marcusem w sobotę rano, dobrze? Marcus zostanie z Jamiem, a my ruszymy na łowy.

– Zaraz… Ja…

– Jesteś moim dłużnikiem, Marcus. – Zoe pocałowała brata w policzek. – Do widzenia, Joanno. – Pomachała i wyszła z bistro.

– Z całą pewnością spodobałaś się mojej siostrze – odezwał się Marcus, biorąc Joannę za rękę. – Rzadko widuję ją tak rozluźnioną.

A teraz chodźmy do mnie. Wypijemy brandy i pomówimy o tym, co usłyszeliśmy od Zoe.

Po wyjściu z bistro wrócili na piechotę do mieszkania Marcusa, co zajęło im pięć minut. Zapalił wyszukaną świeczkę, na którą się szarpnął, i posadził Joannę na kanapie. Wciąż w szoku po tym, co usłyszała od Zoe, pozwoliła, by nalał jej brandy i usiadł tuż obok.

– Czyli wygląda na to, że miałaś rację: Michael O'Connell i sir James to jedna i ta sama osoba – myślał na głos Marcus.

– Tak.

– William Fielding znał przed laty Jamesa pod innym nazwiskiem, wiodącego zupełnie inne życie, a mimo to aż do śmierci dziadka nie wspomniał o tym ani słowem. Co za lojalność!

– Mógł to też być strach – dodała Joanna. – Jeśli Fielding dostarczał i odbierał dla twojego dziadka listy zawierające drażliwe informacje, musiał trzymać język za zębami. Może zapłacono mu za milczenie? Albo go szantażowano. – Ziewnęła. – Och, Marcusie, tak mnie męczą te próby zrozumienia, co to wszystko znaczy.

– Wobec tego zostawmy to i wróćmy do sprawy jutro rano. Chodźmy do łóżka.

– Dobry pomysł.

Pocałował ją i objął.

– Dzięki za kolację – powiedziała. – Twoja siostra jest cudowna.

– Mhm. Polubiłaś ją naprawdę czy po prostu dlatego, że ci się to opłaca? Nawiązanie bliskiej znajomości z Zoe bardzo by ci pomogło w dochodzeniu.

– Jak możesz?! – Joanna z wściekłością wyswobodziła się z jego objęć. – Chryste! To dla twojego dobra staram się być miła dla twojej siostry. Otóż naprawdę ją polubiłam, a ty oskarżasz mnie o coś podobnego! Jezu! Chyba słabo mnie znasz.

– Uspokój się, Jo. – Ten nagły atak gniewu mocno go zaskoczył. –

Tylko żartowałem. Cudownie było widzieć, jak się dogadujecie. Zoe przydałaby się przyjaciółka. Przed nikim się nie otwiera.

– Mam nadzieję, że mówisz poważnie.

– Ależ tak. Poza tym, bądźmy szczerzy, raczej nie musiałaś jej torturować, żeby się wygadała. Zrobiła to bez żadnych zabiegów z twojej strony.

– Tak. – Joanna ruszyła do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Do domu. Jestem zbyt wściekła, żeby zostać.

– Proszę, Joanno, zostań. Przecież cię przeprosiłem…

Otworzyła drzwi i westchnęła.

– Posłuchaj, Marcus, naprawdę uważam, że to się dzieje za szybko. Potrzebuję oddechu. Dzięki za kolację. Dobranoc.

Myśląc o złożonej naturze kobiet, Marcus markotnie zamknął za nią drzwi, usiadł na kanapie i zaczął się zastanawiać, jak mógłby wypytać Williama Fieldinga bez wzbudzania podejrzeń siostry.

19

William Fielding siedział w swym ulubionym fotelu przy kominku gazowym. Kości go bolały, czuł dojmujące znużenie. Dobrze wiedział, że jego dni jako aktora są policzone; wkrótce czekał go jakiś upiorny dom dla otępiałych starców. Podejrzewał, że kiedy przestanie pracować, długo nie pociągnie.

Rozmowy z Zoe Harrison stanowiły jasną stronę pracy nad *Tessą*. Co więcej, sprawiły, że umysł starego aktora mimowolnie skierował się ku przeszłości.

William popatrzył na gruby złoty sygnet, który trzymał w powykręcanej przez starość dłoni. Nawet teraz czuł ucisk w żołądku na jego widok. Mimo całego dobra, jakie okazał mu Michael, William zniżył się do tego, by go okraść. Tylko ten jeden raz, kiedy znaleźli się z matką w beznadziejnej sytuacji. Matka twierdziła, że nie może pracować z powodu ciężkiej grypy żołądkowej. Teraz podejrzewał, że chodziło raczej o wizytę u pokątnego rzeźnika, który za pomocą drutów do robienia swetrów uwolnił matkę od niechcianego płodu.

Tak się złożyło, że Michael O'Connell posłał go do swego mieszkania po czyste ubranie. William wszedł i przy misce do mycia dostrzegł sygnet. Po zastawieniu go w lombardzie dostał dość pieniędzy, by przeżyć z matką trzy miesiące. Niestety, parę tygodni później zmarła na posocznicę. O dziwo, Michael nigdy nie spytał go o zaginiony sygnet, chociaż William był oczywistym podejrzanym.

Kilka miesięcy później, dzięki skrupulatnemu oszczędzaniu, William wrócił do lombardu i wykupił sygnet. Michael zdążył jednak ponownie zniknąć.

Kiedy William zobaczył w Norfolk Zoe, postanowił dać jej sygnet. Wiedział, że uważa go za starego pryka snującego niestworzone opowieści, i kto mógł ją o to winić? Powinna jednak dostać to, co należało do jej dziadka. Leżąc tej nocy w łóżku, z sygnetem na palcu, by rano go nie zapomnieć, zastanawiał się, czy powinien też wyjawić jej sekret, którego nie zdradził nikomu przez siedemdziesiąt lat. W pełni brał sobie do serca ostrzeżenia Michaela Connella, ponieważ w końcu odkrył, kim była Rose…

*

– Cześć, Simon, jak mija tydzień? – Ian Simpson klepnął go w ramię.

Z braku ciekawszych propozycji Simon dołączył do kolegów w pubie nieopodal Thames House.

– Prawdę mówiąc, średnio. Dziewczyna mnie rzuciła i nadal szoferuję dla pałacu.

– Wyrazy współczucia z powodu kobiety, ale chyba wiesz, że nie należy kwestionować decyzji góry. Napijesz się?

– Dobra. Piwo.

– Właściwie to ty powinieneś mi postawić. Dziś moje urodziny. Kończę, kurwa, czterdziestkę, i zamierzam zalać się w trupa. Kufel dla tego młodego człowieka! – zawołał do barmana.

Sądząc po wyglądzie kolegi, Simon domyślał się, że Simpson zdołał już osiągnąć cel. W poszarzałej spoconej twarzy tonęły rozbiegane przekrwione oczy.

– Czyli szukasz nowej ślicznotki? – Simpson usiadł naprzeciwko

niego.

– Chyba odczekam, aż opadnie pył, zanim znowu zaryzykuję. – Simon łyknął piwa. – Ale na pewno to przeżyję.

– Tak trzymaj. – Simpson beknął. – Mam nadzieję, że wyciągnąłeś lekcję. – Pokiwał na niego palcem. – Nie daj się wziąć pod pantofel, ale zalicz panienkę, oto moje motto.

– Przykro mi, Ian, to nie mój styl.

– Skoro mowa o kobieciarzach, niedawno kogoś spotkałem. Ten to mógłby nauczyć nas kilku sztuczek. Co za numer! Dziewczyny padają mu do stóp.

– Czyżbym słyszał zazdrość?

– Zazdrościć Marcusowi Harrisonowi? Jezu, nic podobnego! Facet nie przepracował w życiu uczciwie jednego dnia. Kiedy Jenkins poprosił mnie, żebym nakłonił Harrisona do współpracy, powiedziałem, że wystarczy dać mu kilka funtów, i będzie jadł z ręki. Oczywiście miałem rację. Zapłaciliśmy frajerowi, żeby szpiegował swoją dziewczynę. Sądząc po rozmowie, jaką odbył z nią wczoraj wieczorem, nawet nie wie, że założyliśmy mu podsłuch.

– Ian, za bardzo kłapiesz dziobem. – Simon spojrzał na kolegę ostrzegawczo.

– W tym lokalu są praktycznie sami nasi, a ja raczej nie zdradzam sekretów państwowych, co? Wyluzuj i postaw kumplowi browar urodzinowy.

Simon ruszył do baru, myśląc o tym, że nie pierwszy już raz ogląda Simpsona w takim stanie. Czy były to jego urodziny, czy nie, od kilku miesięcy ostro tankował. Simon podejrzewał, że Simpson wkrótce otrzyma oficjalne ostrzeżenie. Podczas szkolenia nieustannie wbijano im do głowy: wystarczy jedno nieopatrzne słowo, a katastrofa gotowa.

Zapłacił za dwie butelki piwa i zaniósł do stolika.

– Wszystkiego najlepszego, stary.

– Dzięki. Dołączysz do nas? – spytał Simpson. – Idziemy na curry, a potem do klubu w Soho, gdzie, według Jacka, można spotkać cycate nastolatki. Może tego ci właśnie trzeba?

– Chyba spasuję, ale dzięki.

– Posłuchaj, przepraszam, że jestem dziś nie w sosie, ale rano musiałem odwalić szczególnie brudną robotę. – Simpson przesunął dłonią po włosach. – Biedny stary pierdziel. Był tak przerażony, że zeszczał się w spodnie. Boże, nie płacą nam dosyć za takie gówno.

– Ian, nie chcę o tym słuchać.

– Jasne, ale… Jezu, babram się w tym już prawie od dwudziestu lat. Tylko poczekaj, jesteś świeży, ale w końcu napięcie da ci się we znaki. Nie móc podzielić się z rodziną i przyjaciółmi szczegółami…

– Czasem odczuwam presję, ale na razie sobie radzę. Może powinieneś z kimś porozmawiać? Wyjechać na wakacje, zrobić sobie przerwę.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli okażesz słabość, bach! Poślą cię za biurko. Nie. – Simpson wychylił piwo. – Nic mi nie będzie. Mam coś nagranego, co wkrótce przyniesie korzyści. Wszystko polega na kontaktach, nie? – Konspiracyjnie postukał się w nos. – Po prostu schrzanili mi urodziny.

Simon klepnął go w ramię i wstał.

– Nie dawaj się. Udanego wieczoru.

– Jasne. – Simpson posłał koledze wymuszony uśmiech i pomachał, gdy ten wychodził z pubu.

*

Telefon zadzwonił nazajutrz o siódmej, kiedy Zoe pakowała się przed podróżą do Norfolk.

– Zoe? Mówi Mike.

– Cześć, Mike. – Uśmiechnęła się do słuchawki na dźwięk niskiego głosu reżysera.

– Jak się mają sprawy w Norfolk?

– Niestety, nie najlepiej. Wczoraj jakaś banda napadła na Williama Fieldinga w jego mieszkaniu. Jest w stanie krytycznym, nie wiadomo, czy przeżyje.

– Boże, to straszne.

– Wiem. Człowiek naprawdę zaczyna się zastanawiać, do czego zmierza ten świat. Włamali się do jego londyńskiego mieszkania, zabrali nędzny dobytek Williama i zostawili go, żeby skonał.

– Boże. – Zoe stłumiła łkanie. – Biedny, biedny człowiek.

– Przykro mi, że poruszam praktyczny temat, ale, jak się domyślasz, ta sprawa zburzyła nasze plany na ten tydzień. Wygląda na to, że jeśli nawet William się wykaraska, nie będzie w stanie dalej grać. Przeglądamy nakręcone materiały, sprawdzamy, co mamy, a czego nie. Przy starannym montażu jesteśmy prawie u celu. Tak czy inaczej, do czasu uporządkowania materiałów zdjęcia zostają wstrzymane. Nie musisz dziś przyjeżdżać do Norfolk.

– Oczywiście. – Zoe przygryzła wargę. – Posłuchaj, Mike, czy wiesz, w którym szpitalu leży William? Skoro przez kilka dni będę w Londynie, chciałabym go odwiedzić.

– To miłe z twojej strony. Jest u Świętego Tomasza. Nie wiem, czy będzie przytomny. Jeśli tak, to przekaż wyrazy miłości od całej ekipy.

– Naturalnie. Dobra, Mike, dzięki za telefon.

Odłożyła słuchawkę, karcąc się w duchu za to, że w poniedziałkowy wieczór, podczas kolacji z Marcusem i Joanną, pozwoliła sobie na nieprzychylne uwagi na temat Williama. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca w domu, zdziwiona tym, jak bardzo

wstrząsnęła nią wiadomość o napadzie, po lunchu wybrała się do Szpitala Świętego Tomasza.

Skierowano ją na oddział intensywnej terapii, gdzie wkroczyła z mało oryginalnym bukietem kwiatów i sokiem owocowym.

– Przyszłam odwiedzić Williama Fieldinga – powiedziała zwalistej pielęgniarce.

– Jest zbyt chory, żeby przyjmować kogokolwiek poza najbliższą rodziną. Jest pani jego krewną?

– Hm… córką. – Przynajmniej filmową, pomyślała Zoe.

Pielęgniarka zaprowadziła ją do pomieszczenia, gdzie leżał stary aktor, z głową w bandażach i twarzą pokrytą niebieskimi i purpurowymi sińcami. Urządzenia, do których go podłączono, raz po raz wydawały mechaniczne piski.

– Jak on się ma? – spytała Zoe i łzy napłynęły jej do oczu.

– Niestety, nie najlepiej – odparła pielęgniarka. – Na przemian odzyskuje i traci przytomność. Skoro tu pani jest, przyprowadzę lekarza, żeby pomówił z panią o jego stanie i wypytał o kilka spraw. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ma dzieci. Zostawię panią na chwilę z nim samą.

Zoe w milczeniu skinęła głową, a po odejściu kobiety ujęła dłoń starszego pana.

– William, słyszysz mnie? Tu Zoe Harrison.

Zero reakcji. Leżał z zamkniętymi oczami, z luźną dłonią w jej dłoni. Zoe pogładziła ją delikatnie.

– Cała ekipa z Norfolk cię pozdrawia. Mają nadzieję, że niedługo wrócisz – szepnęła. – Och, William, to coś okropnego. Tak mi przykro, naprawdę.

Scena tak bardzo przypominała czuwanie przy łóżku dziadka i patrzenie, jak uchodzi z niego życie, że łzy nie przestawały płynąć po jej policzkach.

– Żałuję, że nie rozmawialiśmy więcej o twojej znajomości z moim dziadkiem. To było fascynujące. Kilka rzeczy, które mi powiedziałeś… On musiał wtedy naprawdę ci ufać.

Poczuła, jak palce starego człowieka drgnęły; poruszył powiekami.

– Słyszysz mnie, William? – Jeden palec poruszał się tak mocno, że musiała puścić jego dłoń. Spoczywający na prześcieradle palec aktora, z pokaźnym sygnetem, drgał gwałtownie.

– O co chodzi? Czy ten pierścień cię uwiera? – Zoe zauważyła, że palce Williama są opuchnięte. – Chcesz, żebym go zdjęła?

Palec poruszył się znowu.

– Dobrze. – Zoe z trudem zsunęła sygnet, chyba o wiele za ciasny.

– Schowam go do twojej szafki.

Aktor powoli pokręcił głową.

– Nie?

Jego palec wskazał na nią.

Chcesz, żebym się nim zaopiekowała?

Z najwyższym wysiłkiem William uniósł kciuk.

– Dobrze, oczywiście, że go przechowam. – Schowała sygnet do kieszeni. – Wiesz, kto ci to zrobił?

Powoli, lecz z przekonaniem aktor przytaknął.

– Możesz mi powiedzieć?

Kolejne twierdzące skinienie głowy.

Zoe zbliżyła ucho do jego ust i aktor próbował wyartykułować słowo.

Pierwsza próba okazała się ochrypłym, niezrozumiałym szeptem.

– William, możesz spróbować ponownie?

– Zapytaj… Rose.

– Powiedziałeś „Rose”, tak?

Ścisnął jej palce i przemówił raz jeszcze:

– Szukaj damy…

– Damy? Gdzie? – ponaglała Zoe, bo oddech Williama stawał się coraz bardziej urywany.

– Na dworze…

– Nie wychodzę, William, jestem przy tobie.

– Dworu…

– Poczekam, obiecuję.

Westchnął, siły go opuściły, zamknął oczy i osunął się w niebyt. Zoe siedziała, gładząc go po dłoni, z nadzieją, że odzyska przytomność, ale tak się nie stało. W końcu wstała i wyszła z oddziału, szybko mijając stanowisko pielęgniarek, zanim spytają ją o szczegóły dotyczące starego aktora, których nie mogła podać.

Stanęła przed szpitalem i patrzyła niewidzącym wzrokiem na ruch uliczny. Nie chciała wracać do domu, więc zadzwoniła do brata.

– Cześć, ciągle jesteś w Narodowym?

– Tak. Właśnie skończyłem spotkanie – odparł Marcus. – Wszystko w porządku? Dziwnie brzmisz.

– Mogę do ciebie przyjechać? Och, Marcus, stało się coś okropnego. Jestem w Szpitalu Świętego Tomasza…

– Jezu, coś ci się stało?

– Nie, nie martw się. Chodzi o przyjaciela…

– Może przyjedziesz do Royal Festival Hall, jest bliżej ciebie – zaproponował Marcus. – Za dziesięć minut będę tam w kawiarni.

Zoe przeszła przez ulicę i ruszyła South Bank; wiatr siekł jej twarz, susząc ostatnie łzy. Marcus, z zatroskaną miną, stał przed Festival Hall. Pozwoliła, by ją objął i zaprowadził do środka.

Brat i siostra usiedli przy stoliku i zamówili dwie filiżanki herbaty.

– Co się stało? Jaki masz problem? – spytał Marcus.

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o aktorze Williamie Fieldingu?

– Tak.

– Wczoraj brutalnie na niego napadnięto. Właśnie odwiedziłam go w szpitalu. Chyba nie przeżyje nocy. – Zoe osunęła się na krzesło; łzy znowu napłynęły jej do oczu. – Strasznie mnie to zmartwiło.

Nawet w połowie nie tak jak mnie, pomyślał Marcus, krzywiąc się, po czym sięgnął po dłoń siostry.

– Daj spokój, kochanie, przecież to nie rodzina, prawda?

– Wiem, ale jest takim miłym staruszkiem.

– Czy był w stanie mówić?

– Właściwie nie. Kiedy spytałam go, czy wie, kto mu to zrobił, szepnął coś o Rose i jakiejś damie, która na niego czeka. – Zoe wytarła nos. – Chyba majaczył. A przecież nie dalej jak wczoraj opowiadałam ci o nim.

Nie dalej jak wczoraj… Czy to zbieg okoliczności? Ale skąd mogli wiedzieć? Chyba że… Marcus z trudem przełknął ślinę, przeszył go chłód.

– Zapisałaś, co mówił?

– Nie. A powinnam?

– Tak. To mogłoby pomóc policji w dochodzeniu. – Marcus wyjął z kieszeni długopis i stary kwit. – Zapisz dokładnie, co powiedział.

– Powinnam to zanieść na policję? – spytała Zoe, gdy przestała notować.

– Posłuchaj, jesteś rozbita, wyręczę cię.

– Dobrze, Marcus. Dzięki. – Zoe z wdzięcznością wręczyła bratu kartkę. Brzęczenie jej komórki zaskoczyło oboje. – Halo? Tak, Michelle, Mike dzwonił do mnie dziś rano. Wiem… Odwiedziłam go w szpitalu i …

Po skończonej rozmowie odłożyła komórkę na stolik i dopiła

herbatę.

– Dzięki, Marcus, że mnie wysłuchałeś. Muszę lecieć.

– Nie ma sprawy, siostro. Dzwoń, kiedy chcesz – powiedział, kiedy nachyliła się, by go pocałować. Potem usiadł i omiótł wzrokiem statki turystyczne sunące Tamizą.

Przyszło mu na myśl, że ma w mieszkaniu podsłuch. Ten robociarz, który nagle się zjawił… Marcus zadzwonił do właściciela w tej sprawie, ale ten nie słyszał o żadnych zaciekach… Prawdopodobnie podsłuchali rozmowę Marcusa z Joanną o Williamie Fieldingu.

Skoro płacili mu za to, by dowiedział się, ile tylko zdoła, na pewno chcieli się upewnić, że pierwsi otrzymają informacje, na których im zależało. Tylko dzięki podsłuchowi mogli dowiedzieć się tak szybko o Williamie Fieldingu i jego związku z Jamesem Harrisonem.

Odgłos komórki wyrwał go z zamyślenia. Marcus zdziwił się, ponieważ nie był to sygnał jego telefonu, i dopiero po chwili spostrzegł, że na stoliku leży komórka Zoe. Odebrał.

– Zoe? To ja. – Głos brzmiał bardzo znajomo.

– Hm… Zoe tu nie ma. Mogę coś przekazać?

Rozmówca się rozłączył, ale Marcus zdążył rozpoznać głos mężczyzny, którego widział z Zoe na premierze.

Roszada

(*Manewr wieży i króla, mający na celu obronę tego drugiego. Jedyna sytuacja, gdy dwie figury mogą się ruszyć jednocześnie*).



20

– Wejdź, Simpson, siadaj.

Ból rozsadzał Simpsonowi głowę. Miał nadzieję, że nie obrzyga kosztownego, krytego skórą biurka szefa.

– Czy możesz wyjaśnić, dlaczego zadanie nie zostało wykonane?

– Słucham?

– Stary nadal żyje – powiedział Jenkins, pochylając się nad biurkiem. – Najpewniej wkrótce wykorkuje, ale Zoe Harrison zdążyła odwiedzić go w szpitalu. Bóg jeden wie, co jej powiedział. Tym razem naprawdę spieprzyłeś sprawę.

– Przepraszam. Zbadałem jego puls i byłem przekonany, że nie żyje.

Jenkins bębnił palcami na biurku.

– Ostrzegam cię: jeszcze jedna taka wpadka i wylatujesz? Zrozumiano?

– Tak, proszę pana. – Simpsonowi kręciło się w głowie. Obawiał się, że zemdleje.

– Poproś tu Warburtona. I weź się w garść, słyszysz?

– Tak jest, proszę pana. Jeszcze raz przepraszam. – Simpson wstał, po czym najostrożniej, jak potrafił, ruszył do drzwi.

– Wszystko w porządku, stary? Jesteś zielony na twarzy! – Simon czekał na krześle przed gabinetem.

– Tak też się czuję. Muszę pędzić. Twoja kolej.

Patrząc, jak kolega biegnie do toalety, Simon wstał i zapukał do drzwi.

– Wejść. Proszę siadać, Warburton – powiedział Jenkins z uśmiechem.

– Dziękuję panu.

– Po pierwsze, chcę pana spytać, nie narażając na szwank lojalności i przyjaźni, jaka może was łączyć, czy uważa pan, że Simpson zaczyna odczuwać presję… Może przydałby mu się urlop.

– Wczoraj miał czterdzieste urodziny.

– Słaba wymówka, ale jednak… Kazałem mu wziąć się w garść. Proszę mieć na niego oko, dobrze? Simpson to dobry pracownik, widywałem już jednak, jak nawet dobrzy podążają niewłaściwą drogą. Ale dość o Simpsonie. Za dziesięć minut ma pan spotkanie na górze.

– Naprawdę? Dlaczego? – Simon wiedział, że „góra” Thames House jest zarezerwowana dla najwyższych rangą.

– Osobiście zgłosiłem pana do pewnego zadania. To niezwykle delikatna sprawa, Warburton. Proszę mnie nie zawieść.

– Zrobię co w mojej mocy, proszę pana.

– Świetnie. – Jenkins skinął głową. – To wszystko.

Po wyjściu z gabinetu szefa Simon pojechał windą na najwyższe piętro, gdzie poprowadzono go korytarzem wyścielanym grubym dywanem. Na końcu rezydowała sędziwa recepcjonistka.

– Pan Warburton? – spytała.

– Tak.

Kobieta wcisnęła guzik na biurku, po czym wstała.

– Proszę za mną.

Innym korytarzem zaprowadziła go do grubych dębowych drzwi i zapukała.

– Wejść! – ryknął ktoś po drugiej stronie.

Recepcjonistka pchnęła drzwi.

– Warburton do pana.

– Dziękuję.

Simon podszedł do biurka, zwracając uwagę na oświetlający obszerne pomieszczenie wielki żyrandol oraz ciężkie aksamitne zasłony zwisające po obu stronach wysokich okien. Okazała sceneria ostro kontrastowała z drobną postacią starca, który siedział za biurkiem na wózku inwalidzkim. Mimo to właśnie jego obecność dominowała w pomieszczeniu.

– Proszę siadać, Warburton.

Simon zajął miejsce na skórzanym krześle z wysokim oparciem.

– Jenkins pochlebnie wyraża się na pana temat. – Starzec świdrował go wzrokiem.

– Miło mi to słyszeć, proszę pana – odparł Simon.

– Czytałem pana akta i byłem pod wrażeniem. Chciałby pan kiedyś siedzieć na moim miejscu, Warburton?

Simon zakładał, że starszy pan ma na myśli pomieszczenie, nie zaś wózek inwalidzki.

– Oczywiście, proszę pana.

– Proszę wykonać dla mnie dobrą robotę, a będę mógł zagwarantować panu natychmiastowy awans. Od jutra zostaje pan na stałe przeniesiony do sekcji ochrony rodziny królewskiej.

Simon poczuł zawód. Wyobrażał sobie poważniejsze wyzwanie.

– Czy wolno zapytać dlaczego, proszę pana?

– Uważamy, że idealnie nadaje się pan do tego zadania. Rozumiem, że poznał już pan Zoe Harrison. Jak się pan z pewnością domyślił, łączy ją coś z Jego Wysokością. Będzie pan jej osobistym, pełnoetatowym agentem ochrony. Jeden z oficerów przekaże panu dziś po południu niezbędne instrukcje.

– Rozumiem. Czy mogę spytać, dlaczego agentowi MI5, takiemu

jak ja, powierza się rolę ochroniarza? Nie chcę być małostkowy, ale szkolono mnie raczej do czegoś innego.

Na ustach starca pojawił się uśmiech.

– Według mnie, szkolono pana dokładnie do takich zadań. – Pchnął teczkę w kierunku Simona. – Muszę się udać na spotkanie. Zostanie pan tutaj, przeczyta zawartość tej teczki i nauczy się jej na pamięć do mojego powrotu. Na czas lektury zostanie pan tu zamknięty na klucz.

– Rozumiem, proszę pana.

– Po zapoznaniu się z tymi danymi zrozumie pan, dlaczego chcę mieć pana tuż obok panny Harrison.

– Tak jest, proszę pana. – Simon sięgnął po pękatą teczkę.

– Proszę nie robić notatek. Przy wyjściu zostanie pan przeszukany. – Starzec wyjechał zza biurka i wózek potoczył się po dywanie. – Kiedy przyswoi sobie pan informacje, będziemy mogli dalej rozmawiać.

Simon wstał, podszedł do drzwi i otworzył, by wózek mógł wyjechać z gabinetu. Potem drzwi się zamknęły i usłyszał szczęk przekręcanego klucza. Wrócił na krzesło i sięgnął po teczkę. Czerwona pieczęć mówiła mu, że oto ma się zapoznać ze ściśle tajnymi informacjami. Przed nim zawartość teczki oglądało pewnie bardzo niewiele osób. Otworzył i zaczął czytać.

Godzinę później przekręcono klucz i drzwi się otworzyły.

– Przeczytał pan i zrozumiał, Warburton?

– Tak. – Simon wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

– Zdaje pan sobie sprawę, dlaczego, naszym zdaniem, w najbliższej przyszłości nadaje się pan na ochroniarza Zoe Harrison?

– Chyba tak, proszę pana.

– Wybrałem pana, ponieważ Jenkins i koledzy wysoko cenią

pańską dyskrecję i zdolności. Jest pan młodym człowiekiem, z prezencją, który bez trudu pozyska przyjaźń takiej kobiety jak panna Harrison. Pałac powiadomi ją, że w ten weekend zamieszka pan razem z nią i nie będzie jej pan odstępował na krok.

– Tak, proszę pana.

– To powinno dać panu sposobność odkrycia, co ona wie. W telefonach panny Harrison w Dorset i Londynie założono podsłuch. Otrzyma pan sprzęt, który umieści pan w domu. Teraz rozumie pan, dlaczego pilnie musimy odnaleźć ten list. Ze smutkiem konstatuję, że sir James Harrison postanowił bawić się z nami zza grobu w kotka i myszkę. List, który pan nam przyniósł, był zmyłką. Ma pan znaleźć i odzyskać prawdziwy.

– Tak jest, proszę pana.

– Warburton, chyba nie muszę panu mówić, że powierzamy panu sprawę wysoce delikatną. Inni, tacy jak Simpson, otrzymali jedynie pobieżne informacje. Pod żadnym pozorem nie wolno rozmawiać o sprawie poza tym pokojem. W razie przecieków pan poniesie odpowiedzialność. Jeśli jednak sprawę uda się doprowadzić do pomyślnego zakończenia, gwarantuję sowitą nagrodę.

– Dziękuję, proszę pana.

– Po wyjściu stąd otrzyma pan telefon komórkowy z jednym tylko numerem. Będzie pan dzwonił codziennie o szesnastej i składał mi raporty. Poza tym, jako osobisty agent ochrony panny Harrison, będzie się pan meldował ochronie pałacowej. – Starzec wskazał leżącą na biurku kopertę i Simon ją wziął. – Tu są instrukcje dla pana. Jego Wysokość pragnie się z panem zobaczyć za godzinę w pałacu. Liczę na pana, Warburton. Powodzenia.

Simon wstał, uścisnął wyciągniętą dłoń i ruszył do drzwi. Po namyśle się odwrócił.

– Jeszcze jedno, proszę pana. Haslam wspomniała, że starsza pani, która przysłała jej list, miała na imię Rose.

Starzec na wózku uśmiechnął się zimno, jego oczy błysnęły.

– Jak pan wie, zajęto się tą sprawą. Dość powiedzieć, że ona nie była żadną Rose.

– Rozumiem, proszę pana. Do widzenia.

*

Zoe wyglądała przez okno i z innej perspektywy, dostępnej jedynie wybranym, podziwiała pomnik Królowej Wiktorii przed pałacem.

– Odejdź od okna, kochanie. Nigdy nie wiadomo, kto może się czaić na drzewie z teleobiektywem. Art zasunął szczelnie adamaszkową zasłonę i zaprowadził Zoe na kanapę.

Kochankowie znajdowali się w należącym do Arta salonie, do którego przylegała sypialnia, łazienka i studio. Zoe przytuliła się do Arta, a on podał jej kieliszek wina.

– Za nas, kochanie – wzniósł toast.

– Za nas. – Zbliżyła kieliszek do jego kieliszka.

– Przy okazji, znalazłaś komórkę?

– Tak. Marcus zadzwonił i powiedział, że zostawiłam ją na stole, kiedy spotkałam się z nim na herbatę. Czemu pytasz? Rozmawiałeś z nim?

– Nie. Rozłączyłem się, jak tylko zdałem sobie sprawę, że to nie ty odebrałaś. Dzwoniłem, żeby cię poprosić o przyniesienie jakiejś swojej ładnej fotki, żebym mógł na ciebie patrzeć, kiedy cię tu nie ma.

– Chryste, mam nadzieję, że Marcus nie poznał twojego głosu. – Zoe ogarnęła panika.

– Wątpię. Wypowiedziałem tylko trzy słowa.

– Nie wspominał, że dzwoniłeś. Miejmy nadzieję, że wypadło mu to z głowy.

– Zoe, musimy porozmawiać. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli będziemy się dalej spotykać, nasi bliscy domyślą się prawdy o Jamiem? Naiwnością byłoby sądzić, że będzie inaczej.

– Nie mów o tym, Art, błagam! Pomyśl o skandalu, jaki by wybuchnął i jak by się to odbiło na Jamiem. – Wyrwała się z jego objęć i zaczęła nerwowo chodzić po salonie. – Może powinniśmy o wszystkim zapomnieć. Może…

– Nie. – Art chwycił ją, gdy przechodziła tuż obok. – Już zmarnowaliśmy dziesięć lat. Proszę, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ludzie nie dowiedzieli się o nas, choćby miało mnie to zabić. Chcę mieć cię stale przy sobie. Gdybym tylko mógł, już jutro bym się z tobą ożenił.

– Och, Art, niezamężna matka nie jest raczej akceptowalną partnerką, a co dopiero żoną księcia Anglii. Tak było dziesięć lat temu i nie inaczej jest teraz. – Zoe zaśmiała się niewesoło z jego naiwności.

– Jeżeli masz na myśli spotkanie z personelem pałacu, do którego doszło, kiedy nagle jedenaście lat temu wywieziono mnie do Kanady, i ten lakoniczny liścik czekający na mnie po powrocie, to wiem wszystko na ten temat.

– Naprawdę? – zdumiała się Zoe.

– Zawsze podejrzewałem, że zmusili cię do napisania listu, w którym informowałaś mnie, że wszystko skończone. Wczoraj przycisnąłem do muru doradców rodziców. W końcu przyznali, że wtedy kazali ci zerwać ze mną znajomość.

– Tak było. – Zoe zakryła twarz dłońmi. – Nawet po tylu latach nie mogę o tym myśleć.

– Cóż, nie przysłużyłem się nam, mówiąc rodzicom, że poznałem dziewczynę, którą pragnę poślubić. Miałem dwadzieścia lat, dopiero kończyłem studia, ty miałaś osiemnaście. Nalegałem, żeby niezwłocznie ogłoszono nasze zaręczyny. – Art potrząsnął głową. – Ależ byłem głupi. Sprowokowałem ich do działania i postąpili tak jak typowi rodzice. Oczywiście pomijając fakt, że sytuacja była dziesięciokrotnie poważniejsza.

– Nie miałam pojęcia, że im powiedziałeś. – Wyznanie Arta autentycznie zdumiało Zoe.

– Potem nigdy nie przestałem tego żałować. Czuję się całkowicie odpowiedzialny za to, co stało się później. Gdybym nie był w gorącej wodzie kąpany, ale spokojnie zalecał się do ciebie przez kilka lat, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej. Przeszłaś piekło.

– Owszem – przyznała Zoe, przypominając sobie, z jakim bólem pisała list o zerwaniu; potem nie odpisywała na gorączkowe listy Arta, nie odpowiadała na telefony. – Oczywiście nie powiedziałam im o dziecku. Gdybym to zrobiła, kazaliby mi usunąć ciążę. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy usłyszeli o narodzinach Jamiego; dzień i noc drżałam, że go wykradną. Kiedy był mały, ani na chwilę nie zostawiałam go samego. – Zoe zabrakło tchu na wspomnienie o tych dniach grozy. Dla dobra dziecka zamieszkała wtedy na odludziu w Haycroft.

– Po powrocie z Kanady wysłano mnie na służbę w marynarce wojennej i na wiele miesięcy straciłem kontakt z domem. Gdybym tylko wtedy wiedział…

– Nie byłoby żadnej różnicy. W życiu nie pozwoliliby nam się pobrać, prawda?

– Owszem, ale to już przeszłość. Nie jesteśmy dziećmi, ale dorosłymi ludźmi. Moi rodzice wiedzą, co do ciebie czuję. Uczuć

trzydziestodwulatka nie mogą zlekceważyć tak, jak to zrobili z dwudziestolatkiem, wiedzą, że moje zamiary są poważne.

– Chryste – jęknęła Zoe. – I co zrobią? Rzucą mnie z powrotem do rynsztoka, skąd wypełzłam?

– Nie. Oznajmiłem im, że jeśli nie są gotowi cię zaakceptować, ja jestem gotowy zrezygnować z praw do sukcesji tronu. – Uśmiechnął się kwaśno. – Zresztą to nie takie wielkie wyrzeczenie. Jestem drugim zapasowym, więc raczej i tak nie mogę marzyć o koronie.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – Zoe wpatrywała się w Arta zdumiona.

– Oczywiście. Moje życie to oszustwo. Nie odgrywam żadnej roli. Jak powiedziałem rodzicom, opinia publiczna ciska gromy na uprzywilejowaną pozycję królewskich dzieci. Moich dziesięciu lat w marynarce wojennej nikt nie uznaje za ciężką pracę. Ludzie są przekonani, że na koi miałem puchowe poduszki, przykrywałem się puchową kołdrą z herbem, a inni spali na kamieniach pod zgrzebnym kocem… Boże, miałem chyba ciężej niż pozostali. – Art westchnął. – Ludzie nie mogą mieć jednego i drugiego. Jeśli mam sprostać oczekiwaniom opinii publicznej i być „normalnym” człowiekiem, muszą też pogodzić się z faktem, że zakochałem się w kobiecie, która ma dziecko. W dzisiejszych czasach to nic niezwykłego.

– Wszystko to dobrze brzmi, ale wydaje się nierealne. Jak zakończyła się ta rozmowa?

– Myślę, że w ostatnich latach pałac złagodził swoje stanowisko, spójrz zresztą na wszystkie rozwody w rodzinie. Zgodziliśmy się, że na razie ty i ja będziemy się spotykali najdyskretniej, jak się da, kiedy tylko będziemy chcieli. Możesz mnie tu odwiedzać tak często, jak zechcesz. Ustaliliśmy, że twoja osoba będzie tajemnicą.

– A jeśli sekret się wyda?

– Nikt nie wie, jak zareagują ludzie. – Art wzruszył ramionami. –

Podejrzewam, że reakcje byłyby mieszane. Jedni uznają nasz związek za skandaliczny, inni wykażą bardziej nowoczesne podejście do życia miłosnego członka rodziny królewskiej. Ale zgadzam się, że miałoby to wpływ na Jamiego, zwłaszcza gdyby dowiedzieli się, że jestem jego ojcem.

– Doszłoby do polowania na czarownice. – Zoe się wzdrygnęła. – Art, musimy utrzymać to w tajemnicy. Przyrzeknij, że nikt nie piśnie słowa. Jeden szept, a zabieram Jamiego do Los Angeles.

– Zoe. – Podszedł do niej i ujął za dłonie. – Naprawdę cię rozumiem. Co mogę powiedzieć? Zaufaj mi. Zrobię wszystko, żeby chronić ciebie i Jamiego. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą powinniśmy omówić.

– Co takiego?

– Obawiam się, że zarówno decydenci, jak i ja sam musimy nalegać, by w twoim domu zamieszkał osobisty agent ochrony, na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego? – spytała oburzona. – W moim domu?

– Kochanie, uspokój się. Sama mówisz, że chcesz to jak dłużej utrzymać w tajemnicy. Osobisty agent, właściwie ochroniarz, tylko ci w tym pomoże. Dopilnuje, żeby nikt nie kręcił się wokół ciebie, nie zakładał podsłuchu w domu czy telefonie. Dobrze wiesz, że w momencie, gdy zadajesz się z członkiem Firmy, stajesz się celem.

– Boże, robi się coraz gorzej… Co mam powiedzieć Jamiemu? Nie sądzisz, że wyda mu się dziwne, jeśli po przyjeździe ze szkoły zobaczy, że w drugim pokoju sypia jakiś człowiek?

– Jeżeli nie jesteś gotowa, by powiedzieć mu o nas, na pewno wymyślimy jakąś bajkę. Ale w końcu Jamie będzie musiał dowiedzieć się prawdy.

– O tym, że jesteś jego ojcem? Wiesz, co najbardziej mnie w tym wszystkim martwi? Że gdybyś był kimś innym, wspólne życie jako

rodzina byłoby najpiękniejszą, najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Art westchnął i zrobił tak żałosną minę, że Zoe natychmiast poczuła się winna. W końcu to nie była jego wina, że urodził się w tej, a nie innej rodzinie. Przecież robił wszystko, żeby być razem z nią.

– Przepraszam – szepnęła. – To takie pogmatwane, a powinno być proste.

– Ale nie jest beznadziejne. – Z rozpaczą popatrzył jej w oczy.

– Nie, nie jest beznadziejne – odparła.

– Widziałaś już człowieka, którego wybraliśmy. To Simon Warburton, szofer, który odbierał cię z Sandringham. Dziś rano rozmawiałem z nim. To miły facet, doskonale wyszkolony. Proszę, Zoe, przynajmniej spróbujmy. Krok po kroku. Obiecuję, że zrozumiem, jeśli uznasz, że sytuacja cię przerasta, i postanowisz to zakończyć.

Oparła się o jego ramię, a on pogładził jej włosy.

– Wiem, co myślisz – powiedział Art. – Czy on naprawdę na to zasługuje?

– Chyba tak.

– I zasługuję?

– Boże dopomóż – jęknęła Zoe. – Wiem, że tak.

21

Joanna zapatrzyła się w ekran komputera, po czym zajrzała do słownika. Próbowała znaleźć jakieś inspirujące, niewyświechtane określenia, którymi można by opisać rozkosz malującą się na pysku spaniela pałaszującego z miski testowaną na nim karmę. Bolał ją ząb. Po przerwie na lunch dokuczał już tak bardzo, że poprosiła Alice o numer telefonu dentysty, by w trybie pilnym umówić wizytę.

Zadzwonił telefon na jej biurku. Podniosła słuchawkę.

– Joanna Haslam.

– To ja, kochanie.

– O, cześć – powitała Marcusa, ściszając głos, żeby inni jej nie słyszeli.

– Jesteś już gotowa mi wybaczyć? Naprawdę rujnuję się na te kwiaty, które ci wysyłam.

Spojrzała na trzy wazony pełne róż, które doręczono jej w ostatnich kilku dniach, i stłumiła uśmiech. Szczerze mówiąc, tęskniła za Marcusem. A nawet więcej…

– Możliwe… pewnie tak.

– To dobrze, bo mam dla ciebie wiadomość. Coś, o czym powiedziała mi Zoe.

– O co chodzi?

– Podaj mi numer twojego faksu. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogę napisać ci tego w mailu ani przekazać przez telefon.

Ciekaw jestem, czy dojdziesz do tego samego wniosku co ja.

– Dobrze. – Joanna podała mu numer. – Wyślij to teraz. Podejdę do faksu i będę tam czekać.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko to przeczytasz. Musimy się umówić i pogadać.

– W porządku, zadzwonię, kiedy dostanę faks. Pa.

Odłożyła słuchawkę i szybko ruszyła do faksu, żeby nikt z biura nie przejął przez przypadek przesyłki Marcusa. Czekając, znów zaczęła się zastanawiać, co do niego czuje. Tak bardzo różnił się od zrównoważonego, traktującego wszystko serio Matthew. Może właśnie taki ktoś jak Marcus, mimo jego wad, jest jej potrzebny? Zeszłej nocy, kiedy leżała samotnie w swoim nowym łóżku, marząc o tym, by znaleźć się w objęciach Marcusa, postanowiła mu zaufać, uwierzyć, że się w niej zakochał. Nieważne, co stanie się potem. Bezpieczniej byłoby chronić siebie i swoje serce przed kolejnymi ranami, ale czy to byłoby prawdziwe życie?

W faksie odezwał się cichy dzwoneczek i urządzenie zaczęło drukować wiadomość.

Cześć, Kochanie. Stęskniłem się za Tobą. Poniżej…

– Jak tam ząb? Dalej boli?

Podskoczyła zaskoczona i zobaczyła za sobą Alice, która zaglądała jej przez ramię. Joanna pociągnęła kartkę i szybko ją złożyła.

– Okropnie – rzuciła i wróciła na swoje miejsce. Byle jak najprędzej pozbyć się Alice i spokojnie przeczytać faks.

Ale koleżanka przysiadła na jej biurku i założyła ręce na piersi.

– Panno Haslam, uwaga, uwaga, niebezpieczeństwo na horyzoncie.

– Alice, ryzykujemy za każdym razem, kiedy jemy surowe jajko czy wsiadamy do samochodu. Muszę próbować tego, co niesie los.

– Racja. Gdzie te czasy, kiedy kobiety wychodziły za synów sąsiadów i ciężarne krzątały się na bosaka po kuchni! Przynajmniej nie trzeba było prowadzić wojny psychologicznej z facetami. Zalecali się do nas i musieli się z nami żenić, jeśli mieli ochotę na bzykanko.

– Przestań! – Joanna przewróciła oczami. – Ja tam jestem wdzięczna sufrażystkom, że przykuwały się do sztachet.

– Jasne. Dzięki temu możesz spędzać dni na zgłębianiu tematyki żywienia psów, a noce albo sama, albo w łóżku z kimś, co do kogo nie masz pewności, czy to nie wasz ostatni raz.

– Daj spokój, Alice. – Joanna popatrzyła krytycznie na koleżankę. – Nie wiedziałam, że jesteś taka staroświecka.

– Może i jestem, ale ile twoich przyjaciółek singielek po dwudziestcepiątce jest naprawdę szczęśliwych?

– Na pewno sporo.

– Akurat! A niby kiedy są najbardziej szczęśliwe? Taka ty na przykład?

– Kiedy coś im się uda w pracy albo spotkają face… – Joanna ugryzła się w język.

– Widzisz? – Alice uśmiechnęła się triumfalnie. – Nie mam więcej pytań.

– Przynajmniej przysługuje nam wolność wyboru.

– Aż do przesady, jak na mój gust. Jesteśmy zbyt wybredne. Jeśli nie podoba się nam zapach jego wody po goleniu albo ten wkurzający zwyczaj skakania po kanałach, kiedy mamy chęć pooglądać serial kostiumowy, rzucamy gościa i ruszamy na łowy. Uważamy, że trzeba znaleźć ideał, a ten, oczywiście, nie istnieje…

– To znaczy, że powinnam kurczowo trzymać się gościa, który

jest akurat zainteresowany, nawet jeśli daleko mu do ideału?

– No właśnie! – potwierdziła Alice i zsunęła się z jej biurka. – I jeśli Marcus Harrison przyklęknie, nie zastanawiaj się ani chwili, tylko przyjmij go z otwartymi ramionami. Nawet jeżeli da ci potem popalić, będziesz mogła znaleźć pociechę w połowie tego, co ci daje, a to i tak dużo więcej niż to, z czym zostajesz, kiedy zrywasz z jakimś sukinsynem, z którym miałaś „nowoczesny", niezobowiązujący związek. No dobra, wracajmy do pracy. Mam nadzieję, że mój dentysta postawi cię na nogi. – Pomachała i odeszła w kierunku swojego stanowiska.

Joanna westchnęła i zastanawiała się przez chwilę, który to „sukinsyn" właśnie porzucił Alice. Potem rozłożyła kartkę i przeczytała wiadomość od Marcusa.

Zapytaj Rose. Szukaj damy… na dworze… dworu

Damy? Na dworze? Damy dworu! Wybrała numer Marcusa.

– Rozszyfrowałaś to? – zapytał.

– Tak sądzę.

– Spotkajmy się wieczorem, żeby to obgadać.

– Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Strasznie boli mnie ząb. Muszę iść do dentysty.

– To może potem? Jest jeszcze coś, co chcę ci powiedzieć, ale nie przez telefon.

– Dobrze. Choć pewnie nie będę w stanie mówić. Wpadnij do mnie.

– Świetnie. Tęsknisz za mną? Choć trochę?

– Tak. – Joanna uśmiechnęła się. – Do zobaczenia.

Wetknęła faks do kieszeni dżinsów, wyłączyła komputer, złapała kurtkę i ruszyła do drzwi. Alec siedział za biurkiem. Jak zwykle

ostatnio, unikał jej wzroku. Zawróciła i stanęła tuż za nim.

– Kiedy pójdzie mój artykuł o Marcusie Harrisonie i fundacji? Stale mnie o to pyta i to robi się już żenujące.

– Zapytaj w dziale reportażu. To ich decyzja – mruknął.

– Dobrze… – Spojrzała na ekran komputera Aleca i rzuciło się jej w oczy nazwisko na początku tekstu. – William Fielding. Dlaczego o nim piszesz?

– Bo umarł. Jeszcze jakieś pytania?

Joannę ścisnęło w gardle. Może to o tym chciał powiedzieć jej Marcus.

– Kiedy? Jak to się stało?

– Został pobity kilka dni temu. Zmarł w szpitalu dziś po południu. Na tej fali naczelny chce rozkręcić kampanię. Nacisnąć rząd, by zapewnić ludziom starszym i niedołężnym darmowe wyposażenie zwiększające bezpieczeństwo. Poza tym wymóc większe kary dla łotrów, którzy dopuszczają się takich przestępstw.

Opadła na krzesło obok Aleca.

– Co jest? – spytał. – Słabo ci?

– O Boże, Alec. O Boże…

Popatrzył nerwowo w kierunku pokoju naczelnego.

– O co chodzi, Jo?

Próbowała zebrać myśli.

– On… Fielding sporo wiedział o sir Jamesie Harrisonie. To nie był przypadkowy napad! To zostało ukartowane. Nie ma innego wytłumaczenia. Podobnie jak śmierci Rose.

– Bzdury pleciesz – warknął. – Aresztowali sprawcę.

– Wierz mi, na pewno nie tego co trzeba.

– Niby skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem, Alec. Posłuchaj uważnie: chcesz, żebym ci powiedziała czy nie?

Zawahał się.

– Dobrze. Ale szybko.

Kiedy skończyła wyjaśniać mu swoją teorię, skrzyżował ręce na piersi i zastanowił się chwilę.

– No dobrze, przypuśćmy, że masz rację i jego śmierć była wynikiem starannie zaaranżowanego ataku. Jak mogli dowiedzieć się o nim tak szybko?

– Nie wiem. Chyba że… mieszkanie Marcusa jest na podsłuchu. Kilka minut temu przysłał mi faks. Nie chciał mówić przez telefon, twierdził, że to niebezpieczne. – Wyciągnęła z kieszeni kartkę i położyła na biurku. – Podobno Fielding powiedział coś takiego Zoe Harrison. Pewnie zanim zmarł, zdążyła go odwiedzić w szpitalu.

Alec przeczytał faks i spojrzał na Joannę.

– Rozszyfrowałaś to, jak przypuszczam?

– Tak. Fielding próbował powiedzieć, że Rose była damą dworu. Alec… – Joanna załamała ręce – robi się za gęsto. Boję się. Naprawdę.

– Póki nie wiesz, z czym masz do czynienia, pierwsza zasada to: Uważaj, co mówisz w domu. Byłem w podobnych sytuacjach, kiedy pisałem o IRA. Podsłuch jest cholernie trudny do wykrycia, mimo to na twoim miejscu dobrze bym się rozejrzał po mieszkaniu. Mogli podczas włamania pozakładać pluskwy. Niewykluczone, że nawet wewnątrz ścian.

– Prawdopodobnie u Marcusa też. – Westchnęła ciężko.

– Chryste, Jo, chyba powinnaś odpuścić tę sprawę.

– Próbowałam, ale jakimś cudem brnę w to coraz głębiej. – Sfrustrowana, przeczesała palcami włosy. – Nie mam pojęcia, co robić. Naprawdę. Przepraszam, Alec. Wiem, że nie chcesz tego słuchać.

Wstała i ruszyła do drzwi.

– A tak przy okazji, miałeś rację. Nie odzyskałam tamtego listu. Na razie.

Alec zapalił kolejnego rothmansa i zapatrzył się w ekran. Miał niecałe dwa lata do emerytury i zakończenia udanej kariery. Nie powinien robić nic, co mogłoby go narażać na przekreślenie całego dorobku. Ale wiedział też, że do końca życia żałowałby, gdyby przepuścił taką historię.

W końcu wstał i zjechał windą do archiwum, by zebrać co się da na temat sir Jamesa Harrisona i dogrzebać się do czegoś o damie dworu o imieniu Rose.

*

Dwie godziny później Joanna wyszła od dentysty na Harvey Street. W głowie jej huczało od borowania. Po zastrzyku z prokainy nie czuła połowy szczęki i języka. Zeszła pomału po schodkach i chwiejnym krokiem ruszyła ulicą. Kiedy znienacka minęła ją jakaś kobieta, Joanna aż podskoczyła, a serce zaczęło jej walić jak szalone.

Czy oni podsłuchiwali ich tamtej nocy w mieszkaniu Marcusa? Czy teraz też ją obserwują? Poczuła, że się poci. Przed oczami zawirowały jej fioletowe plamki. Przysiadła na chodniku, opuściła głowę między kolana i starała się wolno, głęboko oddychać. Potem oparła plecy o ogrodzenie przy budynku i popatrzyła w górę na pogodne nocne niebo.

– A niech to – jęknęła cicho.

Marzyło jej się, żeby tuż obok pojawiła się taksówka i odwiozła ją do domu. Z trudem podnosząc się na nogi, uznała, że autobusy i metro nie wchodzą tego wieczoru w rachubę. Powlokła się dalej

w nadziei, że w labiryncie uliczek na tyłach Oxford Street trafi na taksówkę. Szła dalej Harvey, bezskutecznie machając ręką na mijające ją zajęte taksówki, a potem skręciła i znalazła się na Welbeck Street. Przypomniała sobie, że to tu mieszka Zoe, pod numerem dziesięć. Siostra Marcusa zapisała jej swój adres po wspólnej kolacji.

Joanna przystanęła, bo zorientowała się, że jest niemal na wprost dziesiątki. Znów zrobiło się jej słabo i zaczęła się zastanawiać, czy to nie zbytnia poufałość zapukać do drzwi Zoe i poprosić o filiżankę gorącej herbaty z cukrem, która pomogłaby jej zebrać siły i ruszyć dalej. Gdy zobaczyła w oknach światło, zdecydowała się zaryzykować i podejść.

Zmusiła się do zrobienia kolejnych niepewnych kroków, drzwi frontowe się uchyliły i wyjrzała zza nich Zoe. Ze swojego miejsca, idealnego do obserwacji, Joanna dostrzegła, że ktoś wyskakuje z samochodu stojącego pod domem i podbiega do Zoe. Obie sylwetki znikły we wnętrzu domu. Drzwi za nimi się zamknęły.

Joanna gapiła się oszołomiona. Wiedziała, że to idiotyczne, ale była całkiem pewna, że zobaczyła właśnie, jak do domu Zoe wślizguje się Arthur James Henry, książę Yorku, zwany przez rodzinę i media „Artem", trzeci w kolejności do sukcesji tronu.

Czterdzieści pięć minut później, po tym, jak wreszcie udało jej się złapać taksówkę, Joanna leżała na swojej nowej, bardzo wygodnej beżowej kanapie. Wzięła do ust łyk brandy, którą nalała sobie, by złagodzić ból zęba. Patrzyła w spękany, pomalowany na bladoróżowo sufit, jakby tam mogła znaleźć podpowiedź, co dalej. Pal licho listy od dziwnych staruszek, śmierć sędziwych aktorów, intrygi i tajemnice… Jeśli to nie wytwór jej chorej wyobraźni, była

właśnie świadkiem tajemnej schadzki najbardziej pożądanego – i wiecznie tropionego przez plotkarską prasę – kawalera do wzięcia z młodą piękną aktorką.

Która ma dziecko.

Przebiegł ją dreszcz emocji. Gdyby sfotografowała ten moment, mogłaby pewnie zainkasować ze sto tysięcy funtów od każdej brytyjskiej gazety, którą by sobie upatrzyła.

– Zoe Harrison i książę Yorku, Arthur. Co za historia… – szepnęła.

Rano musi trochę pogrzebać, sprawdzić, czy tych dwoje coś kiedyś łączyło, by wiedzieć, czy powinna opisać to, co widziała, jako spotkanie „starych przyjaciół". Miała spotkać się z Zoe w sobotę. Może uda się ją delikatnie podpytać. Bez wątpienia taka rewelacja wyratuje ją z zesłania do działu zwierząt i ogrodów szybciej, niż zajmuje wypowiedzenie słowa „nawóz".

Po chwili aż jęknęła, przerażona swoimi zdradzieckimi myślami. Jak mogła w ogóle rozważać upublicznienie takiej tajemnicy? Spotyka się z bratem Zoe, w którym prawdopodobnie – oczywiście tylko prawdopodobnie – jest zakochana. A z Zoe tak się polubiły, że mogło to rokować przyjaźń. Przypomniała sobie, co powiedziała Marcusowi podczas ich pierwszego spotkania: że bardzo szanuje prawo ludzi do prywatności.

A najgorsze w tym, że jeśli książę rzeczywiście ma romans z Zoe, to bez względu na to, czy Joanna puści parę z ust, historia i tak wkrótce wyjdzie na jaw. Polujący na sensacje potrafią wyczuć skandal, zanim dwoje ludzi, o których chodzi, połączy pierwszy pocałunek.

Rozległo się pukanie do drzwi. Joanna niechętnie podniosła się z kanapy, żeby otworzyć. W progu stał uśmiechnięty Marcus. Podał jej do połowy opróżnioną butelkę brandy.

– Cześć, kochanie, jak tam twój ząb? – zamruczał, całując ją na powitanie.

– Po odrobinie brandy już lepiej, dzięki. Właśnie mi się skończyła, dobrze, że pomyślałeś. Wspomniałeś przez telefon, że musimy pogadać…

Urwała, bo Marcus podniósł palec do ust i wręczył jej kartkę.

Napadli Williama Fieldinga. Myślę, że nasze mieszkania są na podsłuchu. Był u mnie jakiś dziwny fachowiec, by naprawić przeciek. Trzeba się rozejrzeć, zanim zaczniemy rozmawiać. Nastaw głośną muzykę.

Joanna skinęła głową. Jej podejrzenia się potwierdzały. Włączyła płytę, podkręciła głośność na maksa i zaczęli sprawdzać całe mieszkanie, szukając śladów na ścianach, obmacując deski podłogi, wnętrza abażurów i tyły półek.

– Paranoja! – rzuciła Joanna po czterdziestu minutach bezowocnych starań. Westchnęła i opadła ciężko na nową kanapę. Marcus usiadł obok niej. – Przeczesaliśmy dokładnie wszystko, chyba że zamontowali coś wewnątrz ścian – szepnęła mu do ucha, starając się, by usłyszał ją wśród dudnienia muzyki lecącej z głośników stereo.

– Mam pewne podejrzenia… Kto był u ciebie od czasu, kiedy to wszystko się zaczęło? – spytał cicho.

– Simon, ty i przynajmniej z czterech różnych policjantów, trzech tragarzy… – mówiła szeptem, wyliczając na palcach, po czym nagle umilkła.

Bez słowa podskoczyła do telefonu stacjonarnego i przeciągnęła dłonią po sznurze aż do gniazdka. Dając znaki Marcusowi, popatrzyła na niego oczami okrągłymi z przerażenia. Przyłożyła

ostrożnie palec do ust, po czym wywlokła Marcusa do korytarza, złapała kurtki i zmusiła go, żeby wyszli na zewnątrz.

Ruszyli cichą, oświetloną latarniami ulicą. Joanna czuła, że drży. Marcus objął ją mocno ramieniem.

– O Boże, Marcus… mój telefon… Zdziwiłam się, że zaraz po włamaniu pojawił się technik, choć go nie wzywałam!

– W porządku, kochanie, nie przejmuj się.

– To było w moim mieszkaniu od stycznia! Czego oni się nie nasłuchali! Alec mnie ostrzegał. Co robić? Wyrwać sznur? Jak się tego pozbyć?

Przystanął i pokręcił głową.

– Nie. Bo domyślą się, że o nich wiemy. I wtedy po prostu wrócą i założą nowy.

– Nie zniosę myśli, że znów wejdą do mojego mieszkania! Jezu!

– Posłuchaj, Jo, jesteśmy w dobrej sytuacji. W końcu mamy nad nimi przewagę…

– Jak możesz tak twierdzić? Nie wiemy, gdzie są pluskwy i ile ich jest…

– Wystarczy, że będziemy uważać na to, co mówimy – powiedział wolno. – I gdzie. Nie wiemy, czy odbierają tylko twoje rozmowy telefoniczne, czy wszystkie dźwięki z mieszkania. Ale nie wolno nam się zdradzić, że wykryliśmy podsłuch. Musimy też ostrożnie posługiwać się komórkami. Z nich też mogą nagrywać.

Skinęła głową, po czym przygryzła wargę.

– Zabójstwo Williama Fieldinga nie było przypadkowe – odezwała się wreszcie. – Teraz jestem już raczej tego pewna.

– Zaraz? Fielding nie żyje? Myślałem…

Skinęła ze smutkiem głową.

– Mój były szef właśnie pisał o nim artykuł, kiedy wychodziłam z redakcji. Najwyraźniej Fielding umarł w szpitalu późnym

popołudniem. Robi się niebezpiecznie… Może powinniśmy przestać w tym grzebać? Po prostu rzucić to wszystko w diabły?

Marcus zatrzymał się, przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

– Nie. Poradzimy sobie z tym, razem. Wracajmy do mieszkania. Poszukamy dalej.

Pocałował ją i poszli do domu.

Joanna, jeszcze bardziej zdeterminowana, próbowała przypomnieć sobie, co w jej mieszkaniu pozostało nietknięte podczas włamania. Razem z Marcusem obmacała wszystkie listwy przy podłodze i ościeżnice, wreszcie jej palce natrafiły na mały gumowy guziczek na górze framugi drzwi pokoju dziennego. Ostrożnie go odlepiła i zaniosła pod lampę. Marcus podszedł do niej i wspólnie obejrzeli urządzenie.

Postukał się palcem w nos, po czym umieścił guzik z powrotem tam, gdzie Joanna go znalazła. Potem wyszedł na zewnątrz i zadzwonił do drzwi. Przez następne pół godziny wchodził tak i wychodził, wcielając się w oburzone osoby, mówiące z przeróżnymi akcentami. Joanna musiała rozmawiać z wyimaginowanym importerem rumu z Jamajki, jakimś Rosjaninem, potomkiem carów, i z myśliwym z Afryki Południowej. W pewnej chwili sama musiała wyjść, żeby opanować histeryczne wybuchy śmiechu. Stwierdziła, że Marcus minął się z powołaniem. Był świetnym aktorem, miał niesamowity talent do parodiowania. Kiedy zabawa wreszcie dobiegła końca, odlepiła pluskwę i bezceremonialnie wetknęła ją do pudełka tampaxów.

Dawno tak się nie uśmiała, a kiedy wreszcie poszli do łóżka, Marcus kochał się z nią tak czule, że po raz drugi tego wieczoru oczy zaszły jej łzami.

Jestem… szczęśliwa, pomyślała.

– Kocham cię – zamruczał, nim jego powieki się zamknęły.

Kiedy tak leżał, śpiąc mocno obok niej, Joanna czuła się spełniona i bezpieczna, mimo niepokoju w związku ze sprawą listu i tym, co tego wieczoru odkryli. Wtuliła się w ciepłe ciało Marcusa i zapadła w drzemkę, starając się odpędzić od siebie koszmarną myśl, że ściany mają uszy, a skupić na tym, że chyba go kocha.

*

Następnego dnia o dziesiątej rano Simon zapukał do drzwi pod numerem dziesiątym na Welbeck Street.

Otworzyła Zoe.

– Cześć.

– Witam, panno Harrison.

– Pewnie lepiej, żeby pan wszedł.

Niechętnie ustąpiła mu drogi i wpuściła do środka.

– Dziękuję.

Zamknęła za nim drzwi. Stali teraz naprzeciw siebie w holu.

– Przeznaczyłam dla pana pokój na samej górze. Nie jest zbyt duży, ale ma osobny prysznic i toaletę – powiedziała.

– Dziękuję. Postaram się nie przeszkadzać. Naprawdę przepraszam.

Zoe zorientowała się, że dla niego ta sytuacja jest równie krępująca jak dla niej, i to nieco złagodziło jej niechęć. W końcu żadne z nich nie miało wyboru.

– Może wejdzie pan na górę i zostawi tam rzeczy, a potem wróci tu na kawę? Pana pokój jest na ostatnim piętrze po lewej.

– Dobrze. – Uśmiechnął się z wdzięcznością. – Dziękuję.

Patrzyła, jak wspina się po schodach z niewielką podróżną torbą, a kiedy zniknął, poszła do kuchni włączyć czajnik.

– Czarna czy z mlekiem? Z cukrem? – spytała, gdy dziesięć minut

później pojawił się w kuchni.

– Czarna, z jedną łyżeczką cukru, poproszę.

Postawiła przed nim kubek.

– To uroczy stary dom, panno Harrison.

– Dziękuję. I proszę, jeśli mamy być razem… to znaczy mieszkać pod jednym dachem – poprawiła się pospiesznie – mów do mnie po prostu Zoe.

– Dobrze. A ja jestem Simon. Zdaję sobie sprawę, że moja obecność tutaj to ostatnie, czego byś chciała. Postaram się sprawiać jak najmniej kłopotu. Na pewno ostrzeżono cię już, że muszę towarzyszyć ci we wszystkich podróżach. Mogę jechać za tobą, kiedy będziesz prowadzić, albo, jeśli wolisz, mogę cię wozić.

– Nie, tego mi nie mówiono. – Zoe westchnęła. – Dziś po południu wybieram się do szkoły po syna. Chyba to mogę zrobić sama?

– Obawiam się, że nie, panno Ha… Zoe.

– Chryste! – Czuła, że jej ciężko wypracowane panowanie nad sobą zaraz legnie w gruzach. – Naprawdę nie brałam tego wszystkiego pod uwagę – dodała bliska histerii. – Jak mam cię przedstawiać?

– Może najlepiej mówić, że jestem starym przyjacielem rodziny, dalekim krewnym, który przyleciał do Londynu z zagranicy i zatrzymał się u ciebie, zanim znajdzie sobie jakieś lokum.

– Musisz wziąć pod uwagę, że Jamie jest bardzo bystry. Przepyta cię dokładnie o pokrewieństwo i będzie ciekaw szczegółów. – Zoe zastanowiła się chwilę. – Może powiedz, że Grace, żona mojego dziadka, była twoją cioteczną babką.

– Świetnie. W takim razie lepiej, żebym po prostu po południu zawiózł cię do szkoły. Twój syn może uznać za dziwne, jeśli zauważy, że jadę ci na ogonie.

– Dobrze. – Zoe przygryzła wargę. – Jeszcze jedna sprawa… Nie

chcę, żeby o tym wszystkim dowiedział się ktoś z mojej rodziny. Nie chodzi o to, że im nie ufam, ale…

– …im nie ufasz – skończył za nią i oboje się uśmiechnęli.

– No właśnie. O rety, nie będzie łatwo. Na przykład jutro zamierzam iść ze znajomą na zakupy. Też musisz nam towarzyszyć?

– Niestety, tak. Ale przyrzekam, że będę się trzymał dyskretnie na dystans.

Zoe popijała małymi łykami kawę.

– Coraz bardziej współczuję rodzinie królewskiej i tym, którzy są z nią związani. To musi być potworne nie mieć odrobiny prywatności we własnym domu i poza nim.

– Oni z tym dorastali, akceptują to jako część swojego życia.

– Dla ciebie to też pewnie niezbyt przyjemne. No właśnie! Pewnie masz żonę, rodzinę, która za tobą tęskni, kiedy cię nie ma?

– Nie. W tej profesji wielu facetów to single.

– Przykro mi, że przydzielono ci tak nudne zadanie. Moje nazwisko raczej nie stoi wysoko w rankingu światowych agencji bezpieczeństwa. Pewnie nikt nawet nie słyszał o mnie i Arcie.

– Na razie.

– Racja… I zrobię wszystko, żeby tak pozostało jak najdłużej – powiedziała stanowczo i wstała. – Przepraszam. Teraz muszę zająć się kilkoma sprawami, zanim pojadę po… zanim odbierzemy Jamiego.

22

Marcus spędził piątkowe popołudnie na przewracaniu swojego mieszkania do góry nogami. Przyglądał się ścianie w salonie, gdzie w niedzielę wieczorem robotnik pakował swoje narzędzia w pobliżu gniazdka stacjonarnej linii telefonicznej.

W końcu znalazł małe urządzenie w kształcie czarnego guzika. Było ukryte pod krawędzią stolika. Usunął je uważnie, pełen podziwu dla miniaturowej elektroniki zawartej w środku.

Gdy po pracy przyszła Joanna, podniósł palec do ust, pokazał jej słoik kawy rozpuszczalnej i ostrożnie wygrzebał spomiędzy brązowych ziarenek zakopaną tam wcześniej pluskwę.

– Kochanie, może wzięłabyś prysznic, zanim pójdziemy na kolację? – spytał głośno. – A kiedy wrócimy, wysmaruję cię od stóp do głów sosem czekoladowym i go zliżę.

Wyciągnęła z plecaka długopis i kawałek papieru i napisała drukowanymi literami: WPROST NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ. Uniosła znacząco brew i odłożyła długopis z kartką na stoliku, tak by Marcus je widział, po czym ruszyła do łazienki.

Następnego dnia rano szybko wypili kawę i zjedli grzanki, które Marcus przyniósł na tacy do łóżka, po czym ubrali się i poszli na przystanek, żeby złapać autobus na Welbeck Street. Kiedy znaleźli wolne miejsca i usiedli, Marcus popatrzył na nią poważnie.

– Wiem, że nieźle uśmialiśmy się z tych pluskiew, ale niedobrze mi się robi na myśl, że oni słyszeli każde nasze słowo – powiedział.

– Masz rację. To chyba nielegalne podsłuchiwać telefony i zakładać podsłuchy? Może powinniśmy zgłosić to na policji?

– Wątpię. Przecież to właśnie „władze" je zamontowały.

– Och, Marcus, nie powinnam była cię w to wciągać. To wszystko przeze mnie.

– Nieprawda, kochanie.

Poczuł w sercu ukłucie winy. Patrząc na głowę Joanny opartą na jego ramieniu, zastanawiał się, czy nie byłoby najlepiej po prostu powiedzieć jej o spotkaniu z Ianem i pieniądzach, które dostał.

Nie. Już za późno. Tylko wścieknie się na niego, może nawet z nim zerwie…

A sama myśl o czymś takim wydawała się nie do zniesienia.

AIP

– Cześć, wchodźcie. – Zoe zaprosiła ich do środka. – Od razu się zbieramy? Już nie mogę się doczekać tych zakupów.

– Jestem na tak – odparła Joanna, kiedy Zoe prowadziła ich do kuchni.

– Jamie jest na górze w swoim pokoju. Gra na komputerze. Może tak siedzieć godzinami. Tylko podskoczę do niego, powiem, że wychodzę, łapię płaszcz i lecimy.

Kiedy jej brat zapalił papierosa, zmarszczyła brwi.

– I proszę, nie pal przy Jamiem.

– Chryste! Wyświadczam ci przysługę – żachnął się Marcus. – Wracaj szybko, Jo. Mam lepsze pomysły na spędzenie soboty niż niańczenie siostrzeńca. – Puścił oko do Joanny.

– A ja nie wyobrażam sobie lepszego planu na spędzenie soboty niż zakupy!

Joanna wycisnęła na ustach Marcusa namiętny pocałunek.

– Zapłacisz mi za to – zagroził.

– Zoe, ja…

Joanna usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach kuchni gapiącego się na nią Simona. Był równie zszokowany jak ona.

Za nim stała Zoe, już w płaszczu.

– Wspominałam ci, że przyjeżdża do mnie Simon? – zwróciła się do brata.

– Jaki Simon? – zapytał Marcus.

– Warburton. Z Auckland w Nowej Zelandii. Nasz daleki kuzyn ze strony babki Grace. Napisał, że przylatuje do Anglii, i spytał, czy może się u nas na jakiś czas zatrzymać. No i oto on – skwitowała Zoe.

Marcus uniósł brwi.

– Nie wiedziałem, że mamy jakichś dalekich kuzynów.

– Ja też nie, aż do pogrzebu dziadka – zaimprowizowała naprędce Zoe.

Joannie odjęło mowę, kiedy patrzyła, jak Marcus wymienia z Simonem uścisk dłoni.

– Bardzo mi miło, Simon. Jesteśmy więc jakoś spokrewnieni?

– Na to wygląda. – Simon odzyskał już równowagę.

– Przyjechałeś na dłużej?

– Na jakiś czas.

– Fajnie. Musimy zorganizować sobie męski wieczór. Pokażę ci najlepsze miejsca w mieście.

– Z przyjemnością.

– No to chodź, Jo, ruszamy. Jo? – Zoe spojrzała na Joannę z niepokojem.

Ta nadal miała wzrok wlepiony w Simona.

– Tak, tak, idę. Dobrze. Cześć, Simon. Cześć, Marcus. – Odwróciła się na pięcie i wyszła z domu za Zoe.

Simon narzucił kurtkę, którą trzymał w rękach.

– Ja też wychodzę. Pomyślałem, że trochę sobie pozwiedzam. Miło było cię poznać, Marcus.

Zoe z Joanną spędziły cudowny ranek na King's Road, a potem wsiadły do autobusu do Knightsbridge. Chodziły po luksusowym domu towarowym Harvey Nichols, aż rozbolały je nogi i postanowiły odpocząć w kawiarni na najwyższym piętrze.

– Dodam tylko, że ja stawiam – uprzedziła Zoe, łapiąc menu z baru. – Każda kobieta, która jest gotowa przejąć mojego brata, zasługuje przynajmniej na jeden darmowy lunch!

– Ależ dziękuję! – rzuciła rozbawiona Joanna.

– Wiesz, myślę, że naprawdę pasujesz do Marcusa – powiedziała Zoe, kiedy już zamówiła dwa kieliszki szampana. – Potrzebuje kogoś, kto pomógłby mu się ustatkować i jest w tobie szczerze zakochany. Jeśli cię poprosi, wyjdź za niego, błagam. Wtedy będziemy mogły regularnie robić takie wypady.

Joannę wzruszyło, że siostra Marcusa tak bardzo chce się z nią zaprzyjaźnić, i gnębiły ją straszne wyrzuty sumienia, że w ogóle pomyślała o czymś takim, jak „sprzedanie" Zoe gazecie. Kiedy przyniesiono jedzenie, rzuciła się z apetytem na przepyszną kanapkę z szynką parmeńską, crème fraîche i rukolą. Zauważyła, że Zoe ledwie tknęła swoją.

– Czy to nie tragedia, to co się stało z Williamem Fieldingiem? – odezwała się Joanna, biorąc łyk szampana.

– Coś potwornego. Poszłam odwiedzić go w szpitalu… wiesz, dzień przed jego śmiercią.

– Tak, Marcus wspominał mi o tym.

– Był w strasznym stanie. Okropnie było mi go żal, zwłaszcza że zaledwie kilka dni wcześniej rozmawialiśmy o moim dziadku. Dał mi piękny sygnet na przechowanie. Popatrz. – Zoe pogrzebała chwilę w zapinanej na zamek bocznej kieszeni torebki, wyciągnęła pierścień i podała go Joannie.

– Jaki ciężki…. – Joanna obracała sygnet na dłoni, przypatrując się wyrytym wzorom. – Co z nim zrobisz?

– Pewnie zabiorę go na pogrzeb w przyszłym tygodniu. Może pojawią się jacyś krewni Williama. – Zoe starannie schowała pierścień z powrotem do torby.

– A co z twoim filmem? Kręcą go dalej?

– Uznali, że właściwie mają dość, by go skończyć, mimo… nieobecności Williama. W środę jadę do Norfolk.

– A twój… kuzyn Simon? Długo u ciebie zostanie? – spytała jakby nigdy nic Joanna.

– Nie jestem pewna. Przyjechał na jakiś czas do Londynu, a ja powiedziałam, że może u mnie mieszkać, ile zechce. Dom jest tak duży, mnóstwo miejsca i dla niego, i dla mnie.

– Racja. – Joanna nie wiedziała, co mogłaby jeszcze powiedzieć.

– Widziałam twoją twarz, kiedy go u mnie zobaczyłaś. Miałam wrażenie, że go znasz. Myliłam się?

– Hm… – Joanna zaczerwieniła się, niezdolna skłamać. – Nie, nie myliłaś się.

Zoe aż się zgarbiła.

– Wiedziałam. Skąd go znasz?

– Znam go prawie od zawsze. Razem dorastaliśmy. I to nie w Auckland! W Yorkshire.

– Więc pewnie wiesz, że nie jest w żaden sposób ze mną spokrewniony? – spytała powoli Zoe.

– Tak. W każdym razie nigdy o tym nie wspominał.

Zoe popatrzyła na nią niepewnie.

– Zdajesz sobie sprawę, jak zarabia na życie?

– Zawsze mówił, że jest gryzipiórkiem, urzędnikiem państwowym, w co chyba nigdy do końca nie wierzyłam. W Cambridge miał najwyższe oceny i jest bardzo, bardzo bystry. Naprawdę, Zoe, nie musisz nic tłumaczyć. To oczywiste, że z jakichś powodów musiałaś zmyślić jego przeszłość dla mnie i Marcusa. Głupi pech, że przypadkiem znam Simona. Nic nie powiem, słowo.

– Och, Joanno. – Zoe mięła w rękach serwetkę. – Tak bardzo boję się teraz zaufać komukolwiek. A tym bardziej tobie, jesteś przecież dziennikarką. Przepraszam – dodała szybko. – Czuję jednak, że chcę ci to powiedzieć. Jak nie porozmawiam z kimś o tym, chyba zwariuję.

– Jeśli to ci ułatwi sprawę, przyznam się, że wiem, o co chodzi – szepnęła Joanna.

– Wiesz? Jakim cudem? Nikt nie wie. – Zoe była przerażona. – Czy to już przeciekło do prasy?

– Nie. Nie martw się – szybko zapewniła ją Joanna. – Kolejny czysty przypadek. Zobaczyłam… mężczyznę, który wchodził do twojego domu w czwartek wieczorem.

– Szpiegujesz mnie?

– Nie. – Joanna zdecydowanie pokręciła głową. – Byłam u dentysty na Harvey Street. Po wyjściu od niego zrobiło mi się słabo i znalazłam się na twojej ulicy. Szukałam taksówki. Już miałam zapukać, poprosić o filiżankę herbaty z cukrem i spytać, czy mogę chwilę u ciebie posiedzieć, kiedy drzwi frontowe twojego domu się otworzyły.

Zoe zmarszczyła czoło.

– Proszę, nie oszukuj mnie. Tego bym nie zniosła. Jesteś pewna,

że nikt z twojej redakcji nie dał ci cynku? To nie oni cię nasłali?

– Nie! Gdyby cokolwiek wiedzieli, nie zleciliby tego młodszemu reporterowi z działu o domowych zwierzętach i ogrodach, takiemu jak ja.

– Masz rację. Chryste, Jo. – Zoe spojrzała jej prosto w oczy. – Widziałaś, kto to był?

– Tak.

– Więc pewnie się domyślasz, dlaczego Simon u mnie mieszka?

– Jakaś forma ochrony?

– Tak. Oni… on się przy tym upierał.

– No, jeśli ktoś ma się tobą opiekować, nie mogłaś trafić lepiej. Simon to najmilszy facet, jakiego znam.

Po twarzy Zoe przemknął uśmiech.

– Naprawdę? – rzuciła. – Powinnam powiedzieć Marcusowi, że ma rywala?

– O Boże, nie. Jesteśmy bardziej jak brat i siostra. Po prostu się przyjaźnimy.

– A skoro mówimy o Marcusie… Nie wspomniałaś mu nic o tym, co widziałaś w czwartek wieczorem, prawda? – spytała zaniepokojona Zoe.

– Nie. Jestem bardzo dobra w dochowywaniu tajemnic. Powiedz, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, ale czy wy dwoje… to znaczy… czy to coś poważnego?

Błękitne oczy Zoe zaszkliły się łzami.

– Bardzo. Niestety.

– Dlaczego niestety?

– Bo wolałabym, żeby Art był księgowym w Guildford, nawet żonatym, niż… tym, kim jest.

– Doskonale rozumiem, ale nie mamy wpływu na to, kogo kochamy, Zoe.

– Racja. Tylko że… Wyobrażasz sobie, jaki to może mieć wpływ na Jamiego, kiedy ta sprawa się wyda? Jestem przerażona.

– No tak…. Tamtego wieczoru pomyślałam, że prędzej czy później to nieuniknione, zwłaszcza jeśli dla was obojga to coś poważnego.

– Prawie nie jestem w stanie o tym myśleć. A co gorsza, jednocześnie nie potrafię się powstrzymać, choć wiem, że dla dobra Jamiego powinnam. Art i ja… nigdy nie było inaczej.

– Dawno się znacie?

– Tak. Od lat. Przysięgam, Joanno, jeśli kiedykolwiek przeczytam o tej rozmowie w twojej gazecie, nie odpowiadam za siebie – zaznaczyła z całą mocą Zoe.

– Przyznam, że bardzo chciałabym być osobą, która przyniesie tę rewelację szefowi, ale jestem dziewczyną z Yorkshire, a tam słowo to słowo. Nie zrobię tego, jasne?

– W porządku. Boże, potrzebuję drugiego drinka. – Zoe skinęła na kelnera i poprosiła o kolejne dwa kieliszki szampana. – Hm… skoro już, jak widać, wiesz prawie wszystko, a ja tak strasznie potrzebuję o tym z kimś porozmawiać, mogę właściwie opowiedzieć ci całą historię…

Siedząc w dobrze wybranym miejscu przy stoliku za kolumną, Simon widział, że dwie kobiety zagłębiły się w rozmowie. Skorzystał z okazji, by pójść do toalety. Zamknął drzwi i wybrał numer na komórce.

– Tu Warburton.

– Tak.

– Rano był problem. Niespodziewanie w mieszkaniu panny Harrison pojawiła się Haslam. Najwyraźniej mnie rozpoznała. Jeśli

będzie pytać, co mam powiedzieć?

– Że pracuje pan w dziale ochrony rodziny królewskiej. Co na dobrą sprawę jest zgodne z prawdą. Zdążył pan już zamontować podsłuchy?

– Tak jest.

– Dobrze.

– Jakieś inne wieści?

– Nie, proszę pana.

– W porządku, Warburton. Powodzenia.

Marcus oglądał w telewizji mecz rugby Walii z Irlandią i uszczuplał zapasy piwa siostry. Było już piętnaście po czwartej, a dziewczyny jeszcze nie wróciły. Na szczęście Jamie zaszył się u siebie w pokoju i grał w jakąś skomplikowaną grę komputerową. Marcus na chwilę zajrzał do niego, ale kiedy chłopiec zaczął wyjaśniać mu coś o „magicznych monetach", szybko się ulotnił. Nie można powiedzieć, że przez tych kilka lat wcale się nie starał – czekoladki, wyprawy do zoo – ale wydawało się, że na Jamiem nic nie robi wrażenia, i w końcu Marcus dał za wygraną. Tak jakby cała miłość i życie siostrzeńca skupiały się wokół jego pradziadka i matki. Dla Marcusa nie było już miejsca.

– Cześć, wujku – Zza drzwi ukazała się buzia chłopca. – Mogę wejść?

– Pewnie. Jesteś u siebie. – Marcus zdołał wykrzesać uśmiech.

Jamie z rękami w kieszeniach stanął przed telewizorem.

– Kto wygrywa?

– Irlandia. Walia dostaje baty.

– Pradziadek opowiadał mi kiedyś o Irlandii.

– Tak?

– Tak. Mówił, że kiedyś tam był. Mieszkał nad samym morzem.

– Spora część Irlandii leży nad morzem.

Chłopiec podszedł do okna i odsunął lekko firanki, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie wraca mama.

– Pokazał mi w atlasie to miejsce. Mówił, że był tam wielki dom otoczony wodą, jakby zbudowano go pośrodku morza. A potem opowiedział mi historię młodego mężczyzny, który zakochał się w pięknej Irlandce. Pamiętam, że koniec był smutny. Powiedziałem, że to byłby dobry scenariusz filmowy.

Przypatrując się Jamiemu, który nadal wyglądał przez okno, Marcus nastawił uszu.

– Kiedy ci o tym opowiadał?

– Tuż przed śmiercią.

Marcus wstał i podszedł do półek. Przebiegł wzrokiem grzbiety książek i wyjął spośród nich stary atlas. Przewracał kartki, aż znalazł Irlandię. Położył atlas na stoliku i skinął na siostrzeńca.

– Gdzie, według dziadka, to było?

Palec Jamiego bez wahania powędrował na dół mapy i wskazał punkt w połowie południowego wybrzeża, nad Oceanem Atlantyckim.

– Tutaj. Dom leży w zatoce. Powiedział, że spodobałby mi się, bo to miejsce magiczne.

– Mhm.

Marcus zamknął atlas i popatrzył na chłopca.

– Chcesz coś zjeść?

– Nie. Mama mówiła, że coś mi przygotuje, jak wróci. Dość długo jej nie ma.

– Rzeczywiście. Ech, te kobiety, co? – Marcus porozumiewawczo przewrócił oczami.

– Mama mówiła, że ta pani, z którą wychodzi, to twoja

dziewczyna.

– To prawda.

– Ożenisz się z nią?

– Może. – Marcus się uśmiechnął. – Bardzo mi się podoba.

– Miałbym wtedy ciocię. Byłoby fajnie. No to na razie, idę do swojego pokoju.

– Jasne.

Kiedy Jamie wyszedł, Marcus wyjął kawałek papieru i zapisał nazwę miasteczka, które wskazał siostrzeniec.

Zoe i Joanna, obładowane torbami pełnymi zakupów, o wpół do szóstej wtoczyły się przez próg.

– Miło spędziłyście tych kilka godzinek, moje panie? – zapytał Marcus z ironią w głosie, kiedy witał je w holu.

– Bardzo, dzięki – odparła Zoe.

– Było tak fajnie, że pomyślałyśmy o małej powtórce jutro. Nie udało nam się załatwić wszystkiego, co planowałyśmy – powiedziała Joanna z szelmowskim uśmiechem.

– Jutro niedziela. Jo! – Marcus popatrzył na nią ze zgrozą.

– No właśnie, a teraz wszystkie sklepy są w niedziele otwarte, kochanie.

– Żartujemy, braciszku – uspokoiła go siostra. – A poza tym po dzisiejszych ekscesach będę musiała dać swojej karcie kredytowej dwa tygodnie wytchnienia w SPA.

Drzwi znowu stanęły otworem i pojawił się Simon.

– Cześć.

– Cześć. Zwiedzanie się udało? – zapytał Marcus.

– Tak.

– A co ciekawego widziałeś? – nie mogła się powstrzymać

Joanna.

– Och, wiecie, Tower, katedrę Świętego Pawła, Trafalgar Square. – Simon śmiało popatrzył jej w oczy. – Do zobaczenia.

Skinął im głową i poszedł na górę.

– A gdzie Jamie? – spytała Zoe.

– W swoim pokoju.

– Marcus, nie pozwoliłeś mu chyba cały czas grać na komputerze, co? – Nachmurzyła się.

– Przykro mi. Robiłem co w mojej mocy, ale on nie jest specjalnie towarzyski. Chodź, Jo, nie zawracaj sobie głowy zdejmowaniem kurtki. Zmywamy się stąd.

Zoe ucałowała Joannę, a potem brata.

– Do szybkiego zobaczenia. Dziękuję za miły dzień, Jo.

– Nie ma za co. Zadzwonię do ciebie w tygodniu – odparła Joanna.

Wymieniły leciutkie, porozumiewawcze uśmiechy, gdy Marcus popychał ją do wyjścia.

Zoe poszła na górę sprawdzić, co u Jamiego, i zapytać, czy na kolację woli kiełbaski z ziemniakami piure czy zapiekankę. Wybrał to pierwsze i ruszył za matką na dół, żeby porozmawiać, kiedy ona będzie gotować.

– Wiesz, wujek Marcus chyba niespecjalnie mnie lubi – powiedział.

– Ależ Jamie! Oczywiście, że cię lubi! Po prostu nie zna się na dzieciach, to wszystko. Coś ci dziś powiedział, kochanie?

– Nie, nic. Tylko wypił mnóstwo piwa. Może jego nowa dziewczyna dobrze na niego wpłynie. Mówił, że chciałby się z nią ożenić.

– Naprawdę? Byłoby cudownie. Jo jest urocza.

– A ty masz chłopaka, mamo?

– Ja… jest taki ktoś, kto mi się podoba, owszem.

– Simon?

– O Boże, nie!

– Lubię go. Jest sympatyczny. Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie i pograliśmy trochę na komputerze. Zejdzie na kolację?

– Tak naprawdę myślałam, że możemy zjeść we dwójkę i sobie pogadać.

– Trochę głupio go nie zaprosić. Nie sądzisz? W końcu to nasz gość.

– No dobrze, to idź dowiedz się, czy ma ochotę się przyłączyć – dała za wygraną Zoe.

Pięć minut później w kuchni pojawił się Simon. Czuł się trochę niezręcznie.

– Jesteś pewna, że tak będzie dobrze, Zoe? Mogę zamówić sobie pizzę.

– Mój syn nalega, żebyś zjadł z nami – odparła z uśmiechem. – Siadaj więc.

Podczas kolacji starała się nie dać nic po sobie poznać, kiedy Simon raczył Jamiego opowieściami o owcach i farmie w Nowej Zelandii, gdzie niby mieszkał.

– Mamo, możemy kiedyś odwiedzić Simona w Auckland? Tam musi być fajnie!

– Chyba tak… no pewnie.

– Simon, chcesz, to pokażę ci grę, którą kupiła mi dziś mama. Jest fantastyczna, ale dużo lepiej grać w nią we dwójkę.

– Jamie… biedny Simon. – Zoe westchnęła.

– W porządku – rzucił Simon. – Z przyjemnością pogram.

– To chodźmy. – Chłopiec wstał i dał mu znak, żeby zrobił to samo.

Simon wzruszył ramionami, uśmiechnął się do Zoe, po czym

wyszedł za Jamiem z kuchni i ruszył schodami na górę.

Godzinę później zajrzała do pokoju syna, skąd dobiegały podekscytowane okrzyki ich obu.

– No, chyba nie chcesz powiedzieć mi, że czas spać! – zawołał jej syn. – Jest sobota, a my prawie doszliśmy do poziomu trzeciego i ja wygrywam – jęknął, nie odrywając wzroku od ekranu.

– No to możesz wygrać jutro. Minęło wpół do dziesiątej, Jamie.

– Mamo, proooszę!

– Wybacz, Jamie – wtrącił się Simom. – Mama ma rację. Pogramy jutro. Słowo honoru. Dobranoc. – Odłożył kontroler i poklepał chłopca po ramieniu.

– Dobranoc, Simon! – zawołał Jamie.

Zoe uprzątnęła pokój, czekając, aż syn wróci z łazienki, a potem opatuliła go kołdrą.

– Co chciałbyś robić jutro?

– Skończyć grę.

– A poza tym?

– Nic specjalnego. Poleżę dłużej w łóżku, pooglądam sobie telewizję, wypiję mnóstwo coli, to wszystko, czego nie wolno mi w szkole. – Uśmiechnął się do niej.

– Dobrze, umowa stoi. Poza colą. – Zoe pocałowała go. – Dobranoc.

– Dobranoc, mamo.

Simon nalewał sobie szklankę wody z kranu w kuchni, kiedy Zoe zeszła na dół.

– Przepraszam, przez te emocje zachciało mi się pić – powiedział. – Zaraz znikam.

– Myślę, że zasłużyłeś na drinka na dobranoc po tym

mistrzowskim improwizowanym występie przy kolacji. Na pewno nie miałeś przeszkolenia aktorskiego? – spytała z leciutką drwiną.

– Tak się składa, że chyba znam nieźle Nową Zelandię. Moja dziewczyna… to znaczy moja była dziewczyna spędziła tam ostatni rok.

– Była?

– Tak. Tak bardzo pokochała ten kraj, że zdecydowała się zostać i wyjść za Nowozelandczyka.

– Przykro mi. Masz ochotę na brandy? A może whisky?

– Jeśli to dla ciebie nie kłopot.

– Żaden kłopot. On… wiesz kto… wyjechał gdzieś daleko w sprawach służbowych, więc jestem sama cały weekend. Barek jest w salonie. Chodźmy tam. Rozpalę w kominku. Zrobiło się chłodnawo.

Simon usiadł w fotelu z kieliszkiem brandy, a Zoe wyciągnęła się na kanapie.

– Najwyraźniej podbiłeś serce mojego syna.

– Bystry chłopak. Musisz być z niego dumna.

– Jestem. Marcus zawsze mówi, że za bardzo go rozpieszczam.

– Sądzę, że jest wyjątkowo rozsądnym, normalnym dziesięciolatkiem.

– Staram się jak mogę, ale nie jest łatwo wychowywać samej dziecko, choć przynajmniej dotąd miał tu pradziadka. Zmieniając temat… Joanna prosiła, by ci przekazać, żebyś do niej zadzwonił. – Przypatrzyła się reakcji Simona. – Mówiła, że zna cię od lat, i obiecała, że nie powie Marcusowi, kim jesteś. Można jej wierzyć?

– Na sto procent. Wiem, że można na niej polegać. Zna większość moich sekretów.

– Poza jednym. W każdym razie do dzisiaj… Mówiłam jej też o Arcie. Co zresztą, widząc cię tutaj i jeszcze coś wcześniej, sama

odgadła. Naprawdę sądzisz, że nie puści pary z ust? Mimo że jest dziennikarką?

– Nigdy w życiu.

– Oby zostali z Marcusem razem. Ma na niego dobry wpływ.

Simon w milczeniu skinął głową, biorąc łyk brandy.

– Pewnie brak ci dziadka – odezwał się po chwili.

– Bardzo.

– Byliście ze sobą blisko?

– Ogromnie. Wiem, że Jamie też za nim tęskni, choć nie mówi wiele. To był prawdziwy gospodarz tego domu, ktoś taki jak ojciec. Ale okazuje się, że wielu rzeczy o nim nie wiedziałam.

– Naprawdę? Na przykład? Wydawałoby się, że jego życie zostało dość dobrze udokumentowane.

– W zeszłym tygodniu, tuż przed śmiercią, William Fielding powiedział mi, że dziadek pochodził z Irlandii. I mówił o nim różne dziwne rzeczy. Ale kto wie, ile w tym prawdy? Po siedemdziesięciu kilku latach fakty i fikcja mogą się mieszać.

– Racja – wybąkał Simon, siląc się na obojętny ton. – Dziadek opowiadał ci coś o dawnych czasach? Założę się, że poznał wielkich i możnych tego świata.

– Rzeczywiście, znał sporo osobistości. Jego listy niszczeją upchnięte na strychu domu w Dorset. Kiedy skończą się zdjęcia do filmu, pojadę tam i zrobię z tym porządek. – Zoe stłumiła ziewnięcie.

– Jesteś zmęczona. Pójdę na górę. – Simon dopił brandy i wstał. – Dziękuję za drinka.

– Nie ma za co. Dziękuję, że pobawiłeś się z moim synem. Dobranoc.

– Dobranoc, Zoe.

Kiedy szedł schodami do swojego pokoju, był całkowicie pewien,

że Zoe Harrison nie ma pojęcia o przeszłości swojego dziadka. I miał nadzieję, że dla jej dobra tak pozostanie.

*

Choć nie czuli się bezpiecznie ani w jej, ani w jego mieszkaniu, Marcus i Joanna nie mieli wyboru i musieli tego wieczoru zanocować w Crouch End. Jak argumentował Marcus, u niej przynajmniej były zmienione zamki.

– Co byś powiedziała, gdybyśmy spędzili następny weekend w luksusowym wiejskim hoteliku gdzieś w Irlandii? – zapytał Marcus, kiedy leżeli w łóżku. Wcześniej naciągnął sobie i Joannie na głowę kołdrę, żeby nie było słychać, o czym mówią.

– Co takiego? Po co? – zdziwiła się.

– Bo sądzę, że odkryłem, skąd naprawdę pochodził nasz drogi sir Jim.

– Naprawdę?

– Tak. Ucięliśmy sobie pogawędkę z Jamiem. Pradziadek opowiedział mu pewną historię. O magicznym miejscu w Irlandii, gdzie zakochali się w sobie pewien mężczyzna i kobieta. Pokazał mi ten punkt na mapie.

– Gdzie konkretnie?

– Według Jamiego, to małe miasteczko na zachód od Cork. Nazywa się Rosscarbery. Najwyraźniej chodzi o dom, który stoi samotnie, tuż nad zatoką. Podzwonię trochę w poniedziałek, poradzę się w agencjach turystycznych i znajdę dobry hotel. Nawet jeśli okaże się, że to fałszywy trop, to świetny pretekst, żeby zrobić sobie małe wakacje i uciec od tych naszpikowanych podsłuchami mieszkań. Dobrze by było, gdybyś wzięła sobie dzień wolnego. Nie musielibyśmy tak się spieszyć z powrotem.

– Spróbuję – obiecała. – Ale nie cieszę się szczególnymi względami u szefa.

– Powiedz mu, że jesteś na tropie jakichś podziemnych knowań IRA.

– Jasne! Podziemnoogródkowych knowań – parsknęła.

A/P

23

– Miałem telefon z pałacu. Odbieram Jego Książęcą Wysokość o ósmej wieczorem.

– Dobrze. – Zoe skinęła w roztargnieniu głową, kiedy Simon ruszał jaguarem z podjazdu.

Nie odrywała wzroku od stojącego na schodach szkoły Jamiego, którego sylwetka w oddali stawała się coraz mniejsza. Siedziała z przodu. Dali sobie spokój z przestrzeganiem etykiety. Tak było lepiej.

– Wiesz, myślę, że Jamiemu bardziej przykro było żegnać się z tobą niż ze mną – powiedziała.

– To nieprawda, ale rzeczywiście dobrze się razem bawiliśmy. Moja praca ma w końcu jakieś jaśniejsze strony. – Simon skierował się na autostradę prowadzącą do Londynu. – Zoe?

– Tak?

– Na pewno nie powinienem się wtrącać, ale nie sądzisz, że byłoby dużo mniej ryzykowne, gdybyś to ty odwiedzała Jego Książęcą Wysokość w pałacu, a nie on ciebie na Welbeck Street? Tak byłoby o wiele bezpieczniej.

– Wiem. Ale czuję się tam okropnie skrępowana. Zawsze mam wrażenie, że ktoś podsłuchuje pod drzwiami.

– No dobrze. Oczywiście dziś wieczorem zniknę z twojego domu.

– Dziękuję. A tak przy okazji, kiedy w tym tygodniu pojadę do Norfolk na dalsze zdjęcia, jak wyjaśnisz tam swoją obecność?

– O, zamelduję się w hotelu, będę przesiadywał w barze, zgrywał fana na planie filmowym… – Uśmiechnął się do niej łobuzersko. – Jak chcę, potrafię nie rzucać się w oczy.

– Trzymam cię za słowo – stwierdziła ponuro.

Przed numerem dziesiątym na Welbeck Street czekał cierpliwie fotograf.

Jakiś czas później Simon po raz drugi tego dnia zatrzymał się przed dziesiątką. Książę był bardziej irytującym pasażerem niż emanująca spokojem aktorka. Simon zaciskał zęby, czując, jak jego pasażer wierci się niecierpliwie na tylnym siedzeniu i cały czas coś wystukuje na swoim telefonie.

– Nie trudź się i nie otwieraj mi drzwi. Sam wyskoczę prosto do wejścia – warknął, kiedy Simon chciał wysiąść z samochodu.

– Tak jest.

Popatrzył, jak książę wbiega na schodki. Żaden z nich nie dostrzegł błyskającego flesza w podczerwieni po drugiej stronie ulicy. Simon westchnął i spojrzał na zegarek. Tamtych dwoje może spędzić ze sobą wiele godzin, a on naprawdę nie miał zamiaru zastanawiać się, co robią. Ze schowka przy desce rozdzielczej wyjął jakiś thriller. Zapalił lampkę nad głową i zaczął czytać.

O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt zadzwoniła komórka.

– Za pięć minut wychodzę.

– Tak jest. Stoję przed samym domem, gotów do drogi.

Odłożył książkę i włączył silnik. Dokładnie pięć minut później frontowe drzwi się otworzyły i pojawiła się Zoe. Rzuciła okiem w lewo i prawo, po czym skinęła na swojego towarzysza stojącego za nią w holu. Cmoknął ją szybko na pożegnanie i pobiegł do jaguara.

Flesz błysnął znowu.

– Dobra, Warburton, jedziemy z powrotem do domu.

– Tak jest.

*

Pierwszego ranka w Norfolk na planie filmowym *Tessy* panował ponury nastrój. Wszyscy byli wstrząśnięci śmiercią Williama Fieldinga i to kompletnie zmąciło pogodną do tej pory atmosferę.

– Dzięki Bogu, został już tylko miesiąc – powiedziała Miranda, aktorka grająca matkę Tessy. – Zrobiło się tu zimno jak w grobie. To twój nowy chłopak? – dodała jednym tchem, przypatrując się Simonowi, który popijał colę w barze.

– Nie. To dziennikarz, którego przysłali, żeby przez tydzień obserwował, jak wygląda moja praca. Chcą mieć wywiad w związku z premierą filmu.

Zoe powtarzała historyjkę, którą razem ułożyli.

Pomimo zapewnień Simona, że wtopi się w tło, wszystkich zainteresowała jego obecność. Był stanowczo zbyt przystojny, żeby, jak to obiecywał, „nie rzucać się w oczy". Członkowie ekipy zwrócili uwagę, że przez ostatnie dwa dni ktoś taki kręci się w pobliżu czy skrobie coś dla niepoznaki w notesie. Wygląd Simona wprawiał Zoe w dziwny niepokój, ale na szczęście, kiedy wieczorami wracała z planu, ledwie miała siłę wdrapać się na piętro i od razu kładła się spać, bo padała ze zmęczenia. Nie musiała mieć wiele styczności ze swoim aniołem stróżem.

W czwartek rano, gdy czytała scenariusz, żeby przygotować się do zdjęć tego dnia, zadzwonił jej telefon.

– Cześć, siostrzyczko, to ja. Jak tam u ciebie?

– Świetnie, Marcus.

– Przyjedziesz do domu na weekend? Wspominałaś, że wybierasz się do Dorset i zaczniesz działać na strychu?

– Obawiam się, że nie dam rady. Tak naprawdę wyjeżdżam gdzieś.

– Rozumiem. W jakieś ładne miejsce?

– To tylko takie kameralne spotkanie z przyjaciółmi.

– Jakimi przyjaciółmi?

– Marcus! Powiedz od razu, o co ci chodzi? – ucięła ostro.

– No dobrze. Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy pojechali z Jo do Dorset i znów pogrzebali trochę w pudłach na górze?

– Nie widzę przeciwwskazań. Ale nie wyrzucaj nic, póki tego nie zobaczę, zgoda?

– No jasne. Posegreguję wszystko na dwie sterty „ważne" i „nieważne".

– Dobrze. – Nie miała czasu na kłótnie. – Pogadamy niedługo. Pozdrów Jo. Cześć.

Kiedy szła na dół, przemknęło jej przez myśl, czy to rozsądne dawać bratu wolną rękę w Dorset, ale od razu odpuściła sobie wątpliwości. Nie mogła się już doczekać spokojnego weekendu w ramionach Arta.

Marcus odłożył słuchawkę i wyszedł z budki telefonicznej. Rozglądał się, by się upewnić, czy ktoś go nie obserwuje. Ian Simpson nadal się z nim nie skontaktował, ale Marcus był pewien, że to on stoi za założeniem podsłuchów.

Kupił kawę i rogaliki z bekonem w piekarni i wszedł na piętro do swojego mieszkania w chwili, gdy Joanna właśnie wychodziła spod prysznica. Mokre lśniące włosy przerzuciła przez jedno ramię.

– Zadzwoniłem do Zoe z budki telefonicznej na ulicy –

powiedział. – Zgodziła się, żebyśmy wybrali się do Dorset i jeszcze raz przejrzeli rzeczy na strychu. Chcesz jechać?

– Och, Marcus. W tym tygodniu nie mogę. Mam dyżur w redakcji. – Zaczęła wycierać włosy ręcznikiem.

– Dział zwierzaki i ogrody pracuje w weekendy?

– Tak! W te dni jest mnóstwo imprez. Wystawy psów, zimowe targi kwiatów i pierwsze przebiśniegi.

– Jestem pod wrażeniem.

– Niektórzy z nas naprawdę muszą pracować. Nie będę miała gdzie mieszkać ani co jeść, jak mnie wyrzucą z roboty.

– Przepraszam, Jo. – Widział, że sprawił jej przykrość. – A w takim razie, czy masz coś przeciwko temu, żebym pojechał tam sam?

– Co za pytanie! Nie jestem twoim nadzorcą.

– Nie, ale chciałbym, żebyś była. – Podszedł i przytulił ją. – Nie gniewaj się, naprawdę przepraszam.

– Wiem, tylko…

– Rozumiem. – Ściągnął z niej ręcznik i pocałował ją, a Joanna zapomniała o wszystkim innym na świecie.

*

Kiedy podjechali pod frontowe wejście okazałej rezydencji w stylu georgiańskim, Simon pomógł wysiąść Zoe i księciu, a potem wyjął ich bagaże.

– Dziękuję, Warburton. Może zrobisz sobie wolny weekend? Jest tu mój człowiek. W razie jakichkolwiek problemów zadzwonimy.

– Dziękuję.

– Do zobaczenia w niedzielę wieczorem, Simon. – Zoe uśmiechnęła się miło przez ramię, gdy książę prowadził ją do

środka.

Dwie godziny później Simon dotarł wreszcie do swojego mieszkania w Highgate i odetchnął z ulgą. Już cały tydzień nie był w domu i nie miał czasu dla siebie. Teraz odsłuchał wiadomości. Cztery z nich od Simpsona. Za każdym razem coraz bardziej bełkotał. Najwyraźniej był pijany. Bredził coś o świetnym „numerze", jaki wykręcił tym na „górze". Simon nie miał pojęcia, o czym on mówi, i zastanawiał się, czy nie powinien dyskretnie porozmawiać z kim trzeba o problemie alkoholowym i nieodpowiedzialnych zachowaniach Simpsona. Wybrał numer Joanny i nagrał jej wiadomość z pytaniem, czy jutro nie wpadłaby do niego na kolację, żeby pogadać. Pewnie jest w łóżku Marcusa Harrisona, pomyślał, odkładając słuchawkę. Wziął prysznic, przyrządził sobie hiszpański omlet z sałatą, a potem usiadł, żeby obejrzeć film. Parę minut później zadzwonił telefon.

– Simon? O, jesteś w domu!

To była Joanna.

– Jestem.

– A myślałam, że może wróciłeś do Auckland na strzyżenie owiec.

– Bardzo śmieszne. Dzwoniłem, żeby spytać, czy miałabyś jutro czas, żeby wpaść na kolację?

– Nie.

– Gorąca randka z Marcusem?

– Nie. Gorąca randka na jakiejś rolniczej imprezie w Rotherham. Premiera nowych środków tępiących chwasty. Jak sobie wyobrażasz, to piekielnie ekscytujące. Jutro wrócę do domu strasznie późno, ale w niedzielę koło południa mogłabym cię odwiedzić.

– Dobrze. Tylko że później pracuję, więc przyjdź wcześniej,

przygotuję brunch.

– Zgoda. Tak koło dziesiątej?

– Świetnie. To do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Jakie to smutne, że w ich przyjaźni powiało chłodem. Musiał przyznać sam przed sobą, że wszystko się zmieniło, odkąd nie zwrócił jej listu. Niewątpliwie Joanna nabrała co do niego podejrzeń, zwłaszcza kiedy się dowiedziała, że on nie jest jakimś tam zwyczajnym urzędnikiem. To jego wina. Zaryzykował utratę jej zaufania i całą ich przyjaźń w imię dopełnienia obowiązków służbowych. Wstał, wyjął piwo z lodówki i wziął solidny łyk, próbując złagodzić wyrzuty sumienia z powodu zdrady…

Idzie w ślady Simpsona.

Jeszcze nie zabił żadnego człowieka, ale zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby to się stało. Z pewnością, jeśli dopuściłby się czegoś takiego, odebrałby komuś życie, wtedy wszystko byłoby możliwe. Po czymś takim nie wiadomo już, gdzie dobro, a gdzie zło.

Czy to jest tego warte…?

Podszedł do zlewu i wylał resztę piwa, mówiąc sobie, że przecież nic takiego się jeszcze nie wydarzyło. Uwielbiał swoją pracę, życie, ale sprawa z Joanną uświadomiła mu wyraźnie pewne rzeczy.

I wiedział, że pewnego dnia będzie musiał dokonać wyboru.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Simon jęknął i ruszył do domofonu.

– Tak?

– To ja.

O wilku mowa…

– Cześć, Ian. Właśnie się kładłem spać.

– Mogę wejść? Proszę.

Niechętnie nacisnął guzik. Obserwował Simpsona, kiedy ten

chwiejnym krokiem przekroczył próg. Wyglądał okropnie. Twarz czerwona, opuchnięta, oczy przekrwione, małe jak główki szpilek. Znany z kolekcji garniturów od Paula Smitha i Armaniego, tego wieczoru przypominał lumpa z brudną reklamówką, z której wyciągnął na wpół opróżnioną butelkę whisky.

– Cześć, Simon. – Opadł ciężko na fotel.

– Co się dzieje?

– Te łajdaki posłały mnie na obowiązkowy urlop. Na miesiąc. Muszę chodzić dwa razy w tygodniu do jakiegoś konowała, jakbym był jakimś świrem, beznadziejnym przypadkiem, nienadającym się do niczego…

– Co się stało? – Simon przysiadł na brzegu kanapy.

– O, spieprzyłem coś w zeszłym tygodniu. Zaszedłem do pubu na parę piw, straciłem rachubę czasu, zgubiłem cel.

– Ach, tak.

– Wiesz, nasza praca to nie sama przyjemność, prawda? Dlaczego to ja zawsze muszę odwalać brudną robotę?

– Bo ci ufają.

– Ufali. – Simpson beknął, po czym wlał w siebie jeszcze więcej whisky prosto z butelki.

– Wygląda na to, że trafiły ci się płatne wakacje. Na twoim miejscu skorzystałbym z tego.

– Sądzisz, że pozwolą mi wrócić? Nie ma mowy. To skończone, Simon, wszystkie te lata, cała ta praca…

I Simpson się rozpłakał.

– Nie łam się, Ian, przecież nie wiesz nic na pewno. Nie będą chcieli cię stracić. Zawsze byłeś jednym z najlepszych. Jeśli się pozbierasz, dowiedziesz, że to był jeden wyskok, jestem pewien, że dadzą ci drugą szansę.

Gość opuścił głowę.

– Nie, Simon. W najlepszym wypadku będę wypisywał mandaty za złe parkowanie. Boję się, naprawdę. Stwarzam zagrożenie, prawda? Pijak strzegący tylu tajemnic. A jeśli oni…? – Głos mu się załamał, a w oczach pojawił się paniczny lęk.

– Nie, daj spokój. – Simon miał nadzieję, że jego ton brzmi dość przekonująco. – Zajmą się tobą. Pomogą ci wyjść na prostą.

– Gadanie! Naprawdę myślisz, że jest jakieś specjalne sanatorium dla wypalonych oficerów wywiadu? – Simpson zaczął się śmiać. – To przez Jamesa Bonda zachciało mi się pójść tą drogą. Patrzyłem na wszystkie te piękne kobiety i myślałem, że jeśli one są bonusem, to ta praca jest w sam raz dla mnie.

Simon milczał. Wiedział, że niewiele może powiedzieć.

– No i stało się. – Simpson westchnął. – Koniec. I co ja mam z tych lat wiernej służby? Wynajętą klitkę w Clapham i zrujnowaną wątrobę. – Uśmiechnął się gorzko po tym smutnym podsumowaniu.

– No nie, brachu. Wiem, że teraz kiepsko to wygląda, ale jestem pewien, że jak przestaniesz tak tankować, będzie lepiej.

– Tylko alkohol pozwala mi to wszystko wytrzymać. W każdym razie… – Oczy Simpsona nagle się ożywiły. Błysnął w nich jakiś gwałtowny gniew, a może żal, Simon nie byłby w stanie tego określić. – Przynajmniej uciułałem sobie trochę na czarną godzinę. A już ta ostatnia fucha to był strzał w dziesiątkę. Wiesz – Simpson, zataczając się, podszedł do Simona – nawet miałem trochę wyrzutów sumienia. Mówiłeś, że to miła osoba, a to straszne świństwo zrobić coś takiego miłej osobie.

Dostał czkawki.

– Ale teraz jestem zadowolony, że się zdecydowałem.

– O czym ty mówisz, Ian?

– Nic, nic… – Simpson wstał. – Przepraszam, że zaskoczyłem cię takim nagłym najściem. Już się wynoszę. Nie chciałbym ci

zaszkodzić.

Powlókł się do drzwi, a potem pokiwał Simonowi palcem.

– Daleko zajdziesz, chłopie. Ale uważaj na siebie. I powiedz tej swojej dzien… nikareczce, żeby jak najszybciej zwiewała z łóżka Marcusa Harrisona. To niebezpieczne, a poza tym, z tego co ostatnio słyszałem w słuchawkach, marny z niego kochanek.

Simpson zdobył się na złowieszczy uśmiech, po czym zniknął w drzwiach.

W niedzielę, po sobocie spędzonej w zaciszu domowym na oglądaniu meczu rugby i czytaniu, Simon obudził się po pierwszej od kilku dni porządnie przespanej nocy. Zobaczył na zegarze, że jest już dziewiąta trzydzieści dwie. Zwykle jego wewnętrzny budzik zrywał go ze snu niezawodnie dużo wcześniej, o siódmej rano. Włączył radiową czwórkę i czekał, aż zaparzy się kawa. Właśnie miał zejść na dół, by zebrać stertę prenumerowanej niedzielnej prasy, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak?

– Jest problem. Masz się zgłosić natychmiast na Welbeck Street. Zadzwonimy z dalszymi instrukcjami.

– Rozumiem. Skąd ta zmiana?

– Przeczytaj „Morning Mail”. Przekonasz się. Do widzenia.

Klnąc pod nosem, pobiegł na dół do wejścia i podniósł „Morning Mail” ze stosu gazet zostawionych na wycieraczce. Przeczytał nagłówek i jęknął.

– Jezus Maria! Biedna Zoe.

Aż mu się skręcił żołądek ze złości i żalu. Pognał z powrotem na górę i pospiesznie włożył garnitur. Przeklęta Joanna, pomyślał, to tak mści się na mnie – zdradziła Zoe, żeby szybko zarobić kasę…

Już miał wychodzić, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zdał sobie sprawę, że zaprosił Joannę na brunch. Starając się opanować złość, wcisnął guzik, żeby ją wpuścić. Póki nie ma dowodów, obowiązuje domniemanie niewinności, przypomniał sobie, wkładając marynarkę.

– Cześć – rzuciła lekko, pocałowała go w policzek i podała mu butelkę mleka. – Wiem, że zawsze brakuje ci mleka. Pomyślałam więc, że…

Podsunął jej gazetę.

– Widziałaś to?

– Nie. Wiem, że masz niedzielną prasę, więc nie zawracałam sobie głowy kupowaniem po drodze gazet… – Jej wzrok padł na nagłówek. – O cholera… Biedna Zoe.

– Rzeczywiście. Biedna Zoe – powtórzył, przedrzeźniając ją.

Joanna przyglądała się zdjęciu księcia Yorku, który obejmował Zoe. Na drugiej fotografii całował ją w czubek głowy. Wyglądali jak każda zwyczajna para młodych, atrakcyjnych ludzi spacerujących za miastem.

– *Książę Arthur i jego nowa miłość, Zoe Harrison, podczas miłego weekendu spędzonego razem w domu państwa Richarda i Cliony Bartlettów* – przeczytała. – Czy to nie ty ich tam zawiozłeś?

– Owszem, ja. Zostawiłem ich tam w piątek. A teraz muszę iść.

– Czyli brunch odwołany?

– Odwołany. – Spiorunował ją wzrokiem. – Joanno?

– Tak?

– Zauważyłaś może, która to gazeta opublikowała tę bombę?

– No pewnie. Nasza.

– Tak. Twoja.

W końcu, kiedy tak patrzyła na gniewną minę Simona, dotarło do niej, o co chodzi.

– Mam nadzieję, że nie myślisz tego, co ja myślę, że myślisz.

– Najprawdopodobniej myślę, owszem, myślę.

Joanna zaczerwieniła się. Nie ze wstydu, ale z powodu urazy.

– Boże, Simon! Jak możesz w ogóle coś takiego sugerować?! Za kogo ty mnie masz?!

– Za ambitną dziennikarkę, która zwietrzyła okazję na upolowanie sensacji roku.

– Jak śmiesz! Zoe to moja przyjaciółka. Zresztą dlaczego zakładasz, że mi powiedziała?

– Mówiła mi, że rozmawiałyście o tym. Byłem z nią prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie wyobrażam sobie, jak ktoś inny mógłby na to wpaść. Może nie miałaś złych intencji, ale w końcu nie mogłaś się oprzeć pokusie i…

– Nie waż się traktować mnie jak idiotki, Simon! Bardzo lubię Zoe. Niech ci będzie, przyznaję, że myślałam o tym…

– No widzisz!

– Ale przecież nigdy nie zdradziłabym przyjaciółki! – odparowała.

– To się ukazało w twojej gazecie, Jo! Zoe pytała, czy może ci ufać, i wystawiłem ci najwyższą ocenę z dyskrecji! Na Boga, teraz pluję sobie w brodę.

– Simon, błagam, przestań… Słowo daję, nie mam z tym przeciekiem nic wspólnego.

– Biedna kobieta. Ma syna, którego stara się chronić, a który teraz będzie nękany. Ona się załamie, rozsypie na kawałeczki…

– Jezu, Simon… – Joanna, zdumiona i urażona do żywego, pokręciła głową. – Zakochałeś się w niej czy co? Jesteś tylko jej ochroniarzem. Pocieszanie jej to rola księcia, nie twoja.

– Nie bądź śmieszna! Sama się lepiej wytłumacz. Włóczysz się z tym palantem Marcusem, byle tylko zdobyć więcej informacji

o tym liście miłosnym! Uważasz się za nowe wcielenie Sherlocka Holmesa?

– Przestań! Skoro nie znasz mnie dość dobrze, by zdawać sobie sprawę, że nigdy nie zdradziłabym w ten sposób przyjaciółki, to zastanawiam się, jaki sens miały te wszystkie lata naszej przyjaźni. A z ciebie też niezłe ziółko! Skłamałeś mi na temat listu, który ci powierzyłam. „Rozpadł się”! Doskonale wiem, że posłużyłeś się mną, byle tylko zdobyć ten list dla swoich kolesiów z MI5!

Simon stanął jak wryty, mowę mu odjęło.

– Mam rację, tak właśnie było? – naciskała, widząc, że uderzyła celnie.

– Wychodzę.

Trzęsąc się z wściekłości, porwał torbę i ruszył do drzwi, ale zaraz zatrzymał się i odwrócił.

– Przypuszczam, że moim obowiązkiem jest cię ostrzec. Marcus Harrison dostaje od tych „moich kolesiów” kasę za sypianie z tobą. Zapytaj Iana Simpsona. Sama trafisz do wyjścia, prawda?

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Zapadła głucha cisza. Zdumiona Joanna zamarła w bezruchu. Nie mogła wprost uwierzyć w to, co się właśnie stało. Ze wszystkich lat znajomości z Simonem nie mogła przypomnieć sobie właściwie żadnej ostrzejszej wymiany zdań między nimi. Jeśli tak zareagował Simon – człowiek, który zna ją tak długo – nie miała nadziei, że Zoe jej uwierzy. I co ten Simon plecie? Że niby Marcusowi płacą za sypianie z nią? To chyba nie może być prawda? Marcus nie wiedział nic o Rose, kiedy mu o niej opowiadała.

Jęknęła zrozpaczona. Miała wrażenie, że jej życie powoli rozpada się na drobne kawałeczki. Sięgnęła do plecaka i wyjęła portfel. Odnalazła wizytówkę Iana Simpsona, zastanowiła się chwilę, a potem podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Nie

całkiem pewna, co powie, ale przekonana, że powinna porozmawiać, wybrała numer.

Trwało wieki, nim wreszcie odebrał.

– Hej, Simon – mruknął zaspany.

– Czy to Ian Simpson?

– A kto chce wiedzieć?

– Mówi Joanna Haslam, przyjaciółka Simona Warburtona. Wiem, to zabrzmi idiotycznie, i nie chcę nadawać na Simona czy coś w tym rodzaju, ale wspominał, że podobno mój… chłopak, Marcus Harrison, jest zatrudniany przez kogoś, dla kogo pracujecie?

Po drugiej stronie linii zapanowała cisza.

– Może po prostu milcz dalej, jeśli odpowiedź brzmi „tak”.

Po dłuższej chwili usłyszała klik i połączenie zostało przerwane.

Joanna odłożyła słuchawkę. Wiedziała już, że Simon powiedział prawdę. Miała gonitwę myśli. Próbowała przypomnieć sobie każdą rozmowę, jaką przeprowadziła z Marcusem. Rozedrgana, wściekła i upokorzona, wzięła głęboki wdech i usiadła, by zaplanować, co zrobić.

Simon ruszył na pełnym gazie, po czym zdał sobie sprawę, że w tym stanie stwarza zagrożenie na drodze. Zatrzymał się i wyłączył na chwilę silnik, by się opanować.

– Cholera jasna!

Walnął dłońmi w kierownicę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w dorosłym życiu tak kompletnie stracił panowanie nad sobą. Joanna była jego najstarszą przyjaciółką. A on nie dał jej nawet szansy na wytłumaczenie się. Potępił ją, zanim zdążyła otworzyć usta.

Pytanie, dlaczego tak się stało?

Czy to wizyta Iana Simpsona wyprowadziła go z równowagi? Czy też, tak jak zasugerowała Joanna, polubił Zoe Harrison o wiele bardziej, niż powinien?

– Cholera – wysapał, próbując zanalizować swoje uczucia. Przecież to nie miłość. To niemożliwe. Znał Zoe zaledwie kilka tygodni, a większość tego czasu spędzał, trzymając się na dystans. Było w niej jednak coś, co go wzruszało, jakaś kruchość, która sprawiała, że chciałby ją chronić. I nie tylko dlatego, jak musiał to sam przed sobą przyznać, że należało to do jego obowiązków służbowych.

Zdał sobie sprawę, że to mogłoby tłumaczyć, dlaczego żywi tak irracjonalną niechęć do jej królewskiego kochanka. Facet jest dość porządny, zawsze był dla niego uprzejmy, a jednak on go nie lubi. Dziwił się, jak inteligentna i ciepła Zoe mogła zakochać się w kimś takim. Tylko że… on jest księciem. Simon przypuszczał, że to wiele rekompensuje.

Jęknął, kiedy przypomniał sobie, co powiedział Joannie. Złamał wszelkie zasady, zdradzając jej, że Marcusowi płacą, by wybadał, co ona wie.

Nagle zadźwięczały mu w uszach wypowiedziane w pijanym widzie słowa Simpsona: „to miła osoba…”.

A jeśli…?

– O w mordę!

Walnął pięścią w kierownicę, kiedy nagle wszystkie elementy łamigłówki ułożyły się w spójną całość. Przypuszczał, że Simpson mówi o Joannie. Ale przecież to on sam zakładał pluskwy w telefonie i innych miejscach w domu na Welbeck Street. Wiedział, że wszystko tam jest na podsłuchu…

A jeśli mówił o Zoe? Dawał do zrozumienia, że ostatnio nieźle zarobił na boku, a Joanna na pewno nie była obiektem

zainteresowania prasy. Za plotkę o kimś takim gazety raczej nie byłyby gotowe sowicie płacić.

Zoe to zupełnie co innego…

Kiedy Simon uruchamiał silnik, miał już pełną świadomość, że popełnił błąd.

Dotarł na Welbeck Street. Dom Zoe oblegała banda fotoreporterów, ekipy telewizyjne i dziennikarze. Przebijając się przez tę gromadę, ignorując ich krzyki i zadawane pytania, wszedł do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi i pozamykał je na wszystkie spusty.

– Zoe? Zoe?! – zawołał.

Nie było odpowiedzi. Może nie wróciła jeszcze z Hampshire, jednak kiedy dzwonił z drogi, mówili mu, że już tu jest. Zajrzał do salonu. Dostrzegł długie obiektywy przez szczelinę pomiędzy starymi zasłonami z adamaszku i podbiegł je poprawić. Wszedł do jadalni, gabinetu i kuchni, wołając ją. Na górze sprawdził główną sypialnię, pokój Jamiego, gościnny i łazienkę.

– Zoe? To ja, Simon! Gdzie jesteś?! – krzyknął znowu, coraz bardziej zaniepokojony.

Wbiegł na schody prowadzące do dwóch pokoików na poddaszu. W tym, w którym sypiał, nikogo nie było. Otworzył gwałtownie drzwi drugiego, naprzeciwko. Ten służył za skład starych mebli i zabawek, z których Jamie wyrósł. I to tam, na podłodze w rogu pomiędzy starą szafą a fotelem, przykucnęła Zoe, tuląc do siebie wiekowego misia. Miała twarz zalaną łzami, włosy byle jak związane w kitkę. W starym powyciąganym swetrze i spodniach od dresu nie wyglądała na wiele starszą od własnego syna.

– Och, Simon! Dzięki Bogu, jesteś! Dzięki Bogu!

Wyciągnęła do niego ręce, a on przyklęknął przy niej. Położyła mu głowę na piersi i załkała.

Nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko objąć ją mocno, starając się nie myśleć o tym, jak cudownie jest trzymać ją w ramionach.

Wreszcie podniosła na niego wzrok. Jej niebieskie oczy były wielkie ze strachu.

– Czy oni nadal są pod domem?

– Niestety, tak.

– Kiedy tu dotarłam, jeden z nich stał na drabinie i zaglądał… do pokoju Jamiego, próbował zrobić zdjęcie. O Boże… co ja narobiłam?!

– Nic, Zoe. Po prostu zakochałaś się w znanym człowieku. Proszę. – Simon podał jej chusteczkę i patrzył, jak Zoe ociera łzy.

– Przepraszam, że tak się użalam. To straszny szok.

– Nie masz za co przepraszać. A gdzie Jego Książęca Wysokość?

– Sądzę, że wrócił do pałacu. Obudzili nas w Hampshire o piątej rano i powiedzieli, że musimy jechać. Art ruszył jednym samochodem, ja drugim. Byłam w Londynie o ósmej. Dziennikarze już oblegali dom. Nie mogłam się ciebie doczekać.

– Przepraszam, Zoe. Zadzwonili do mnie dopiero o wpół do dziesiątej. Czy od powrotu miałaś jakieś wieści od Jego Książęcej Wysokości?

– Żadnych, a w dodatku martwię się o Jamiego. Co będzie, jeśli dziennikarze czatują też pod szkołą, żeby zdobyć jego zdjęcia? On nic nie wie… O Boże, Simon, byłam taka samolubna! Nigdy nie powinnam była zaczynać tego od nowa i narażać go na ryzyko. Ja…

– Spróbuj się uspokoić. Jestem pewien, że twój książę zadzwoni, a pałac zadba o to, żebyście oboje z Jamiem byli bezpieczni i pod dobrą opieką.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście. Nie zostawią cię tu na pastwę losu. Słuchaj, może zejdę i zadzwonię gdzie trzeba?

– Dobrze. Mógłbyś poprosić tego kogoś, z kim będziesz

rozmawiać, żeby Art do mnie zatelefonował? Dziś rano nie było czasu, żeby się naradzić.

– Gdybyś chciała zejść na dół, to pozaciągałem szczelnie zasłony. Nikt cię nie zobaczy.

Pokręciła głową.

– Jeszcze nie, dzięki. Najpierw się trochę uspokoję.

– To przyniosę ci herbatę. Z mlekiem, bez cukru, prawda?

– Tak. – Przez jej usta przemknął uśmiech. – Dziękuję, Simon.

Zszedł do kuchni i nastawił czajnik. Czuł się paskudnie, że pociesza kobietę, którą prawie na pewno sprzedał ktoś, kto podsłuchiwał ją dzięki pluskwom, które on sam u niej zamontował – na polecenie swojej agencji. Tej, której zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa nie tylko Wielkiej Brytanii, ale i ludziom, którzy tego potrzebowali. Zadzwonił do działu ochrony rodziny królewskiej.

– Tu Warburton. Jestem na Welbeck Street. Dom jest oblegany przez prasę. Jakie są dyrektywy?

– Jak na razie żadne. Proszę zostać tam, gdzie pan jest.

– Naprawdę? Panna Harrison bardzo się denerwuje. Czy jest szykowany jakiś bardziej bezpieczny adres, pod którym mogłaby się schronić?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Lepiej, żeby była teraz w pałacu.

– To nie jest możliwe.

– Rozumiem. A co z jej synem? Ona najwyraźniej bardzo niepokoi się tym, jaki to wszystko wywrze wpływ na chłopca. Mały przebywa obecnie w szkole z internatem w Berkshire.

– To niech pomówi z dyrektorem szkoły i zorientuje się, co mogą zapewnić dla lepszej ochrony. Czy to wszystko?

Simon odetchnął głęboko, starając się zapanować nad gniewem.

– Tak. Dziękuję.

Od razu zadzwonił do szkoły Jamiego, a potem wszedł na górę z dwoma kubkami herbaty i talerzykiem herbatników.

– Rozmawiałeś z nimi? – spytała z nadzieją w oczach.

– Tak. – Podał Zoe kubek i przyklęknął przy niej. – Ciasteczko?

– Dzięki. Co powiedzieli?

– Że mamy się trzymać dzielnie. W tej chwili coś załatwiają. O, i książę cię pozdrawia – skłamał. – Zadzwoni później.

W twarzy Zoe widać było ulgę.

– A Jamie?

– Rozmawiałem z dyrekcją szkoły. Są świadomi sytuacji. Dziennikarze jeszcze tam nie dotarli, ale szkoła podejmie odpowiednie kroki. Dyrektor mówił, że Jamie ma się dobrze. Najwyraźniej nie czytają tam tego „szmatławca", jak się wyraził. W każdym razie w szkole.

– Dzięki Bogu. – Ugryzła kawałeczek herbatnika. – Co ja mam mu powiedzieć? Jak to wszystko wytłumaczę?

– Zaufaj trochę bardziej synowi, Zoe. To mądry chłopiec i nie zapominaj, że dorastał w błysku fleszy. Twój dziadek był sławą i ty też jesteś. Jamie da sobie radę.

– Tak. Pewnie masz rację. Czy to Joanna puściła tę historię do mediów, jak sądzisz? – spytała z wahaniem.

– Nie. Jestem pewien, że nie, choć kiedy zobaczyłem tę wiadomość, właśnie do mnie wpadła, a ja… wyciągnąłem pochopne wnioski.

– Co za zbieg okoliczności…

– Tak. Ale nie wierzę, że to ona. Ty też nie powinnaś tak myśleć – zapewnił ją Simon. – Znam ją od zawsze. Jest lojalną przyjaciółką. Naprawdę, Zoe.

– Tylko ona wiedziała, Simon. Kto inny mógłby to zrobić?

– Nie mam pojęcia. – Znów skłamał. – Niestety, w takich przypadkach okazuje się, że ściany mają uszy. – Dosłownie, dodał w myśli.

– Czyli utknęliśmy tu, nim powiedzą nam, co robić.

– Na to wygląda.

Sączyła herbatę, a potem uniosła wzrok na niego i uśmiechnęła się.

– Simon?

– Tak, Zoe?

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

AIP

24

Na Welbeck Street zaczęło się już ściemniać, ale nadal nie było żadnych wiadomości, ani od księcia, ani od służb pałacowych. Kiedy wreszcie zadzwonił Marcus, Zoe była już odrobinę spokojniejsza. Brat pojechał do Haycroft, przeglądał pudła na strychu, nie słyszał więc nic o aferze, dopóki nie poszedł do pubu i nie znalazł się w ogniu pytań miejscowych bywalców.

– Dobra robota, Zoe, upolowałaś członka rodziny królewskiej – zażartował, żeby ją rozbawić. – Wracam późnym wieczorem do Londynu, więc jeśli byłbym ci potrzebny, wiesz, gdzie mnie szukać. Nie łam się i nie przejmuj tym, co plotą różne głupki w mediach. To wszystko minie. Kocham cię, siostrzyczko.

– Dzięki, Marcus.

Odłożyła słuchawkę. Wsparcie brata dodało jej odwagi. Zdecydowała się zejść z poddasza do salonu, w którym zasłony były szczelnie pozaciągane. Nadal tuliła do siebie misia Jamiego.

Simon z braku lepszego zajęcia krążył po domu i metodycznie sprawdzał, czy okna są dobrze pozasłaniane i zamknięte. Ukradkiem pousuwał też wszystkie zamontowane przez siebie pluskwy i poutykał je w pudełku z papierowymi chusteczkami do nosa w swoim pokoju. Nie chciał, żeby ktokolwiek z centrali upajał się udręką Zoe. Chciał tylko, żeby jak najszybciej zdecydowali, co mają zamiar z nią zrobić, bo do czasu dalszych instrukcji i ona, i on byli tu odcięci od świata. Cicho przemknął korytarzem, słysząc zza

drzwi gwar głosów. Kiedy zawędrował do salonu, zobaczył, że Zoe nadal siedzi jak skamieniała na kanapie.

– Filiżankę herbaty? Kawy? Coś mocniejszego? – zaproponował.

Podniosła na niego wzrok i pokręciła głową.

– Dzięki, ale trochę mnie mdli. Która godzina?

– Za dziesięć piąta.

– Muszę zadzwonić do Jamiego. Zawsze to robię w niedzielę w porze herbaty. – Przygryzła wargę. – Boże, co ja mu powiem?

– Porozmawiaj najpierw z dyrektorem. Poradź się. Jeśli Jamie na razie nic nie wie, to może lepiej, żeby tak zostało.

– Masz rację. Dziękuję. – Podniosła z podłogi komórkę i wybrała numer szkoły.

Simon poszedł do kuchni, by zrobić sobie pewnie już setną herbatę. Zastanawiał się, dlaczego książę do tej pory nie zadzwonił do Zoe. Skoro wyznawał jej miłość, to przecież bez wątpienia nie myśli o niczym innym, jak tylko o tym, by jak najprędzej choć w kilku słowach dodać jej otuchy? Czy to możliwe, by on i pałac nie ruszyli na ratunek Zoe i po prostu zostawili ją tu samą z całym tym bałaganem?

– Brzmi nieźle. Najwyraźniej nic nie wie.

Pełne ulgi stwierdzenie Zoe wyrwało go z zamyślenia.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej.

– To dobrze.

– Dyrektor mówił, że pod szkołą waruje kilku dziennikarzy, ale dał znać miejscowej policji i mają na nich oko. Jamie pytał, jak mi minął tydzień. Powiedziałam, że normalnie. – Zaśmiała się lekko. – Nie jestem taka głupia, wiem, że niedługo o wszystkim się dowie… Naprawdę myślisz, że lepiej nic nie mówić?

– Na razie tak. Niewiedza jest szczęściem, zwłaszcza kiedy ma się dziesięć lat. On jest tam bezpieczny, a może, jeśli media nie będą

miały nowej pożywki, cała sprawa przycichnie.

Zoe usiadła przy kuchennym stole, skrzyżowała na nim ręce i oparła na nich głowę.

– Zadzwoń, Art, proszę, zadzwoń.

Simon poklepał ją delikatnie po ramieniu.

– Zadzwoni, zobaczysz.

O ósmej wieczorem przyniósł do jej sypialni telewizor z pokoju Jamiego. Próbował skusić ją, by coś zjadła, ale odmówiła. Siedziała zgarbiona na łóżku. Jej twarz była blada jak księżyc świecący przez wykuszowe okna. Simon pozaciągał zasłony, na wypadek gdyby ktoś z zewnątrz miał drabinę.

– Posłuchaj, właściwie czemu sama nie zadzwonisz do Arta? Masz przecież jego numer komórkowy?

– Sądzisz, że nie próbowałam? – ofuknęła go Zoe. – Może ze sto razy od rana. Natychmiast włącza się automatyczna sekretarka.

– W porządku, przykro mi.

– Mnie też. To wszystko nie twoja wina i nie chcę wyładowywać się na tobie.

– Nie robisz nic takiego – powiedział Simon. – A jeśli nawet, to zrozumiałe.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, podczas gdy Simon podłączył antenę i nastawił telewizor. Ekran obudził się do życia i usłyszeli:

„… książę Yorku, Arthur, trzeci w kolejności kandydat do tronu, ma nową ukochaną. Zoe Harrison, aktorkę i wnuczkę niedawno zmarłego sir Jamesa Harrisona, widziano podczas spaceru z księciem w posiadłości przyjaciół rodziny królewskiej w Hampshire”.

Patrzyli w milczeniu na reportera, który mówił to, stojąc przed domem na Welbeck Street. Za nim widzieli hordy fotografów przepychające się na chodniku i dalej, po drugiej stronie ulicy.

Policja starała się zrobić wąski przesmyk dla przejeżdżających aut i zapanować nad tłumem.

„Panna Harrison dziś wczesnym rankiem przybyła do swojego domu w Londynie i jak dotąd unika wypowiedzi dla mediów, które koczują u jej progu. Jeśli jej relacja z księciem ma charakter romantyczny, będzie to dylemat dla pałacu. Panna Harrison wychowuje samotnie dziesięcioletniego syna. Nigdy nie wyjawiła, kto jest jego ojcem. Czy pałac pobłogosławi tak kontrowersyjny związek? Na odpowiedź na to pytanie trzeba jeszcze poczekać. Rzecznik pałacu Buckingham wydał dziś rano krótkie oświadczenie, potwierdzając, że książę i panna Harrison byli razem w Hampshire na prywatnym przyjęciu, podkreślił jednak, że nie łączy ich nic więcej niż serdeczna przyjaźń".

Simon przyjrzał się twarzy Zoe, wypatrując reakcji. Ale nic nie dostrzegł. Tylko oczy jej się zaszkliły.

– Zoe…

– Powinnam wiedzieć, że tak się to skończy – powiedziała cicho, kiedy ruszyła do drzwi sypialni. – Już przez to przechodziłam.

Następnego dnia rano, nadal nie mając instrukcji, Simon znów zadzwonił do biura ochrony.

– Jakieś dyrektywy?

– Na razie nic. Proszę zostać tam, gdzie pan jest.

– Panna Harrison musi dziś wyjść. Ma jechać do studia na postsynchrony. Niby jak mam ją stąd wyłuskać, nie powodując zamieszek ulicznych w centrum Londynu?

Po drugiej stronie linii nastąpiła chwila milczenia.

– Proszę wykorzystać wiedzę z wielu lat szkoleń, za które płacił brytyjski rząd. Do widzenia, Warburton.

– A niech was diabli! – zaklął Simon do słuchawki. Widział już jasno, że pałac nie ma zamiaru wspierać Zoe.

– Kto to był?

W drzwiach kuchni stanęła Zoe.

– Mój szef.

– Co powiedział?

Ciężko westchnął. Nie było sensu kłamać.

– Nic. Musimy tu zostać.

– Rozumiem. Czyli zostaliśmy sami?

– Tak, obawiam się, że tak.

– Świetnie. – Odwróciła się w drzwiach. – Napiszę list do Arta.

Poszła do gabinetu i wyciągnęła jedną z małych szufladek eleganckiego antycznego biurka dziadka, by poszukać jego pięknego wiecznego pióra. Kiedy je znalazła, ściągnęła skuwkę i dla próby pobazgrała po jakimś starym rachunku za prąd. W piórze brakowało atramentu. Przeglądała szufladki, by znaleźć wkład, wyciągając jakieś papierzyska i rzucając je na podłogę. Wreszcie znalazła co trzeba. Uklękła, żeby pozbierać rozsypane kartki. Gdy zaczęła je układać, jej wzrok przyciągnęła nazwa firmy na górze jednej z nich.

Regan Prywatne Usługi Detektywistyczne Ltd.
Rachunek końcowy
suma: 8600 funtów

Dziadek napisał na nim na skos: *zapłacone*. Pod spodem dodał datę: *19.10.95*. Przygryzając wargę, zastanawiała się, dlaczego, na Boga, musiał wynajmować do czegoś agencję detektywistyczną, i to pod koniec życia. Z sumy, którą zapłacił, wynikało, że chodziło o jakieś większe zlecenie.

– Wszystko w porządku?

Podskoczyła na dźwięk głosu Simona. Stał w progu. Najwyraźniej zaniepokojony.

– Tak. – Wsunęła rachunek z powrotem do szuflady i zamknęła ją.

– O której masz być w studiu?

– O drugiej.

– W takim razie powinniśmy wyjechać około pierwszej. Wyjdę teraz. Chcę przestawić samochód, żeby można było jak najszybciej wsiąść i ruszać.

– Będę musiała zmierzyć się z naporem tej hordy?

– Nie, jeśli jesteś gotowa nałożyć jakiś idiotyczny kapelusz i dokonać włamania. – Uśmiechnął się do niej. – Do zobaczenia za kilka minut.

Zoe wróciła myślami do swojego listu, starając się zapomnieć o strachu i złości.

Najdroższy, zaczęła. *Po pierwsze chciałabym zaznaczyć, że rozumiem, w jak straszliwej sytuacji znalazłeś się z powodu tej historii. Mam wrażenie…*

Przerwał jej dzwonek komórki.

– Tak? O, cześć, Michelle. – Słuchała, podczas kiedy jej agentka mówiła. – Nie, nie chcę wystąpić w GMTV ani dać wywiadu „Mail”, „Expressowi”, „Timesowi” czy cholernej „Toytown Gazette”…! Przykro mi, że cię nękają… Co mogę powiedzieć poza tym, że nie mam nic do powiedzenia? Bez komentarzy… Dobrze. Będę. Pa.

Zoe zacisnęła zęby. Komórka zadzwoniła znowu.

– Co tam?! – warknęła do słuchawki.

– To ja.

– Art! – wyrwał się jej szloch ulgi. – O Boże, myślałam już, że nigdy nie zadzwonisz!

– Przepraszam, kochanie. Rozpętało się tu piekło, jak zresztą możesz sobie wyobrazić.

– Po tej stronie też nie jest łatwo.

– Tak mi przykro, Zoe. Posłuchaj, musimy porozmawiać.

– Gdzie?

– No właśnie… gdzie? Czy Warburton jest z tobą?

– Tak. To znaczy nie w tej chwili. Wyszedł, żeby przestawić samochód. Mamy tu coś w rodzaju oblężenia. Czuję się jak osaczone zwierzę.

Zmusiła się, by nie rozpłakać się przy słuchawce.

– Wiem, że to dla ciebie okropne, kochanie. Naprawdę, dobrze rozumiem. A może w domu twojego dziadka w Dorset? Udałoby ci się wymknąć i być tam wieczorem?

– Możliwe. A ty dasz radę?

– Na pewno zrobię, co w mojej mocy. Spróbuję być tam koło ósmej.

– Bardzo cię proszę, spróbuj.

– Ależ oczywiście. Tylko nie zapominaj, że cię kocham.

– Ja też cię kocham.

– Muszę iść. Do zobaczenia. Pa, pa, kochanie.

– Pa.

Zoe czuła, że całe jej napięcie i podjęte już postanowienie, by zakończyć ten związek, gdzieś się rozpływają. Wystarczyło, że usłyszała jego głos, i od razu nabrała odwagi. Popatrzyła na zaczęty list i podarła kartkę. On nadal ją kocha… może jednak znajdzie się jakieś wyjście…

Drzwi frontowe się otworzyły. Usłyszała krzyki dziennikarzy zadających jeden przez drugiego pytania Simonowi. Ten szybko zamknął za sobą drzwi. Zgiełk panujący na zewnątrz przycichł. Wyjrzała ostrożnie do holu.

– Są jak sfora głodnych wilków – powiedział. – Bez wątpienia wyląduję teraz na pierwszej stronie jakiegoś szmatławca jako domniemany ojciec Jamiego…

Zoe zaczerwieniła się.

– Mam nadzieję, że nie.

– Przepraszam, to nie było delikatne z mojej strony.

– Ale trafne – stwierdziła z goryczą.

– Wyglądasz już lepiej – zauważył, przyglądając się jej. – Jakby kamień spadł ci z serca.

– Dzwonił Art. Zasugerował, żebym pojechała wieczorem do domu dziadka w Dorset. Postara się później do mnie dołączyć. Musimy więc wydostać się z tego domu tak, żeby nikt nas nie zauważył. Pójdę na górę wziąć prysznic.

– Świetnie. Tylko nie zabieraj dużo rzeczy. I nie martw się. Trochę pogłówkowałem i ułożyłem chytry plan. – Simon uśmiechnął się i postukał palcem po nosie.

– Dobrze.

Zaśmiała się leciutko i ruszyła schodami. Kiedy usłyszał, że drzwi łazienki się zamknęły, poszedł do gabinetu i otworzył szufladę, którą wcześniej zamykała Zoe. Szybko przejrzał jej zawartość. Znalazł rachunek, który przyciągnął uwagę Zoe, złożył go i wsunął do kieszeni marynarki. Zamknął szufladę, wyszedł z pokoju i ruszył na górę.

Kilka minut później spotkali się na malutkim podwórku na tyłach domu. Simon stłumił uśmiech na widok stroju, który Zoe wybrała – czarne dżinsy, czarny golf i kapelusz z wąskim rondem, naciągnięty głęboko na czoło, by skryć jej blond włosy.

– Dobra. Oprzesz stopę na moich dłoniach, jak przy wsiadaniu na konia, i przesadzisz mur. Po drugiej stronie, ponad metr niżej, jest występ. Możesz na nim przystanąć. Potem pokonamy następny

mur i kolejny. Sklep z antykami cztery domy dalej ma drzwi od podwórka. Włamiemy się tam, jeśli będzie trzeba, poszukamy drogi do samego sklepu i wyjdziemy z niego frontem jak zwykli klienci.

– Czy przy drzwiach na zapleczu nie ma alarmu?

– Pewnie jest, ale tym zajmiemy się, jak tam dotrzemy. Dobra. Chodźmy.

Powoli pokonywali mury dzielące tyły każdego z budynków na tej ulicy. Simon cieszył się, że Zoe jest młoda i zwinna. Z jego pomocą szybko radziła sobie z wysokimi na metr osiemdziesiąt murami. Wreszcie stanęli przed okratowanym wejściem na zaplecze sklepu. Nad nim błyskała malutka czerwona lampka.

– Cholera. – Simon obejrzał drzwi. – Mają zamontowany zamek antywłamaniowy od środka.

Podszedł do niewielkiego okienka obok, które również było zakratowane. Wyjął nożyce do cięcia metalu i tak długo nimi manipulował, aż dolna część kraty puściła. Podgiął ją do góry. Pod spodem było stare przesuwne okno. Wydawało się niedomknięte – przy framudze została może centymetrowa szczelina.

– Nie wiem, czy nie ma tu alarmu, więc szykuj się do skoku przez mur, w razie gdybym przypadkiem uruchomił syrenę – uprzedził.

Zoe zamarła w napięciu, a on aż poczerwieniał z wysiłku. Wreszcie oporne okno skrzypnęło i dało się podsunąć do góry. Alarm się nie uruchomił.

Simon cmoknął z dezaprobatą i skinął na Zoe.

– Ludzie naprawdę powinni być bardziej ostrożni. Nic dziwnego, że jest tyle włamań. Wskakuj.

Kazał Zoe pierwszej wślizgnąć się do środka i otworzyć okno szerzej, żeby i on zdołał się przecisnąć. Minutę później oboje stali już po drugiej stronie, na zapleczu pełnym starych, eleganckich krzeseł i mahoniowych stolików.

– Okulary – rzucił.

Wyciągnęła z kieszeni parę wielkich ciemnych okularów i włożyła je.

– Jak wyglądam? – spytała z uśmiechem.

– Jak urocza mrówka Ninja – szepnął. – A teraz za mną.

Poprowadził ją przez magazyn i cicho otworzył drzwi, do których dotarli. Sprawdził sytuację na zewnątrz, po czym przywołał Zoe gestem i wskazał na schody za drzwiami.

– Dobra. Muszą prowadzić do sklepu – szepnął. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

Ruszył pierwszy. Przekręcił gałkę drzwi na górze i zajrzał do środka. Skinął na Zoe. Uchylił szerzej drzwi i prześlizgnął się przez nie, dając jej znak, by szła za nim. Podszedł do długiego szezlongu, Zoe trzymała się blisko niego. W sklepie nie było nikogo. Dopiero po pewnym czasie zza bocznych drzwi pojawił się jakiś starszy pan.

– Przepraszam bardzo, ale nie usłyszałem dzwonka przy wejściu.

– Nic nie szkodzi. Żonę i mnie zainteresował ten szezlong. Mógłby pan nam coś o nim powiedzieć?

Pięć minut później, po zapewnieniu, że wrócą z wymiarami swojego salonu, Zoe i Simon wyszli na jasne słońce niezwykle wiosennego jak na luty dnia.

– Nie oglądaj się za siebie, tylko idź – szepnął, sunąc raźnym krokiem do samochodu zaparkowanego kilka metrów dalej.

Kiedy siedzieli już w jaguarze, Simon włączył się w uliczny ruch i ruszył w kierunku Soho i studia nagraniowego. Zoe obejrzała się i niecałe pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyła tłum dziennikarzy nadal kłębiący się pod jej domem. Kiedy skręcali, wystawiła w ich kierunku palec.

– Wiesz, naprawdę mi się to spodobało. – Zaśmiała się. – A na myśl, że te hieny warują teraz przed pustym domem, od razu mi

lżej na sercu. – Sięgnęła do jego dłoni leżącej na gałce zmiany biegów i ścisnęła ją lekko. – Dziękuję, Simon.

Jej dotyk przyprawił go o zawrót głowy.

– Zawsze do usług, o pani. Nie daj się jednak zwieść i bądź czujna. Wcześniej czy później ktoś wpadnie na to, że nie ma cię w domu.

– Wiem, ale miejmy nadzieję, że jeszcze nie dziś wieczór.

Simon wysadził ją na Dean Street pod studiem nagrań, a potem zadzwonił z komórki.

– Przepraszam, że odzywam się wcześniej niż zwykle, ale później może być trudno.

– Jasne.

– Coś znalazłem. Może to nic, ale…

Przeczytał wszystko z rachunku, który wyciągnął z szuflady biurka.

– Sprawdzę to, Warburton. Podobno ma pan sporo pracy.

– Tak. Wieczorem odwożę pannę Harrison do Dorset.

– Niech pan z nią rozmawia, Warburton. Prędzej czy później coś jej się wymsknie.

– Naprawdę nie sądzę, że ona coś wie. Ale będę próbował, proszę pana. Do usłyszenia.

Simon rozłączył się, ruszył dalej i zdołał znaleźć miejsce na parkingu przy Brewer Street. Wysłał Zoe SMS-a, by zadzwoniła, kiedy skończy, to podjedzie po nią pod studio. Nagle poczuł głód i poszedł do McDonalda. Popatrzył tęsknie na pub naprzeciwko. Miał wielką ochotę na piwo, ale powstrzymał się, bo przypomniał sobie Simpsona, tak obrzydliwie pijanego i użalającego się nad sobą. Wcinał pozbawionego smaku hamburgera i frytki i próbował skoncentrować się na książce, ale wciąż stawała mu przed oczami Zoe i przypominał sobie dotyk jej ręki na swojej dłoni.

Weź się w garść, Warburton, upominał się w duchu. Pierwsza zasada podczas działań: nigdy nie angażuj się emocjonalnie. Jednak wyczekując na telefon od niej, wiedział, że przekroczył już punkt, zza którego nie ma powrotu. Teraz mógł tylko starać się ograniczyć straty i musiał się spodziewać, że będzie okrutnie cierpiał, kiedy jego usługi nie będą już potrzebne i każde z nich pójdzie w swoją stronę.

Gdy dwie godziny później Zoe znów wskoczyła do jaguara, Simon zauważył, że jest mocniej umalowana. Wolał ją bez makijażu, sądził, że przy takiej urodzie jest zbędny…

Dość tego, Warburton!

Uruchomił silnik i ruszył w kierunku M3, do Dorset.

– Jak się udały te post coś tam? – zagadnął jakby nigdy nic.

– Doskonale. Oczywiście wszyscy o wiele bardziej interesowali się moim związkiem z Artem niż czymkolwiek innym. – Zoe przeczesała palcami długie jasne włosy. – Powiem ci, że Mike, reżyser, naprawdę był bardzo miły. Ma apartament na południu Francji i zaproponował, że mogę z niego korzystać, kiedy tylko zechcę.

– Przykro mi to mówić, ale przypuszczam, że liczy na świetne wyniki kasowe swojego filmu na całym świecie. W końcu mieć w obsadzie nową dziewczynę angielskiego księcia to nie lada gratka.

– To paskudnie cyniczne, pewnie jednak masz rację. – Zoe westchnęła, patrząc na wody Tamizy płynącej pod mostem Chiswick.

– W każdym razie wydajesz się dużo weselsza.

– Bo jestem. – Odwróciła się i spojrzała mu w oczy rozanielonym wzrokiem. – Za parę godzin zobaczę Arta.

Podjechał pod dom Haycroft tuż po szóstej. W środku, jak

zawsze, było lodowato. A cały salon był zarzucony byle jak porozkładaną zawartością kilkunastu kartonów ze strychu.

– A niech cię, Marcus! – narzekała Zoe, kiedy Simon próbował rozpalić ogień w kominku. Zaczęła ładować sterty papierzysk z powrotem do pudeł. – Wiedziałam, że on się znudzi w połowie i podda. Tylko zrobił jeszcze większy bałagan.

– No dobrze, ale skoro musisz posiedzieć tu jakiś czas, to przynajmniej będziesz miała coś do roboty.

– Mam nadzieję, że Art planuje coś innego. Na przykład żebyśmy na jakiś czas wyjechali za granicę… Tylko co wtedy z Jamiem? O Boże… nie wiem, Simon. Po prostu muszę poczekać, aż Art przyjedzie. A na razie pomógłbyś mi ustawić wszystkie te pudła w rogu?

Kiedy wreszcie w salonie był jaki taki porządek, ogień w kominku płonął, a płyta piecyka w kuchni była rozgrzana, Zoe zabrała się do rozpakowywania zakupów spożywczych. Simon zrobił je po drodze. Ona w tym czasie siedziała ukryta w samochodzie.

– Dzięki Bogu, mam tu jeszcze w szafie trochę ubrań – powiedziała Zoe. – Pójdę się przebrać. Czy on już będzie po kolacji, jak myślisz? Powinnam coś przygotować? Może wstaw garnek do piecyka, żeby był ciepły bez względu na porę, kiedy on tu dotrze.

Simon spełniał jej prośby najlepiej jak potrafił, wyczuwając, jak bardzo jest spięta. Kiedy poszła na górę się przebrać, wyszedł na zewnątrz z lornetką, by rozejrzeć się po okolicy. Serce mu zamarło, gdy zobaczył dwa samochody zaparkowane za bramą, a potem drabinę rozłożoną i opartą ryzykownie o płot otaczający posiadłość. Jak ci ludzie to robią? – zastanawiał się, zbierając się na odwagę, by wejść do środka i poinformować o tym Zoe.

– O Boże, nie! – Stała w kuchni z wyrazem rozpaczy na twarzy.

– Zoe, niestety, muszę ostrzec ochronę, że dziennikarze już tu są.

– Czemu nie zostawią nas w spokoju?! Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego! – Za każdym razem mocniej waliła pięścią w stół.

– Przykro mi, ale teraz muszę zadzwonić.

– Dobrze. No trudno.

Opadła zrezygnowana na krzesło.

Simon wyszedł i przekazał wiadomość szefowi. Potem wrócił do kuchni, gdzie zastał Zoe palącą papierosa.

– Nie wiedziałem, że palisz.

– Marcus najwyraźniej zostawił tu paczkę, a gdyby w tym domu znalazł się jeszcze i prozac, ekstazy albo nawet heroina, to dziś wieczorem i z tego bym skorzystała. – Oczy miała zaczerwienione ze zmęczenia. – Teraz on już nie przyjedzie, prawda?

– Nie. Posłuchaj, może przygotuję jakieś małe co nieco na kolację? Nie widziałem, żebyś coś jadła, od kiedy przyjechałem na Welbeck Street wczoraj rano.

– To miło z twojej strony, ale nie dam rady nic przełknąć.

– Dobrze. To ugotuję coś dla siebie.

Wzruszyła ramionami i wstała.

– Chyba powinno już być dość ciepłej wody na jedną kąpiel. Pójdę do wanny.

Kiedy wyszła z kuchni, Simon zabrał się do wybierania składników. Potem zaczął kroić warzywa, pogwizdując pod nosem, żeby przełamać martwą ciszę, jaka zapanowała pośród wiekowych ścian, które go otaczały.

Godzinę później Zoe wróciła na dół. Miała na sobie stary pasiasty szlafrok dziadka. Zwabił ją apetyczny zapach z kuchni.

– Co to takiego? – spytała, zaglądając Simonowi przez ramię do garnka, w którym mieszał.

– A jakie to ma znaczenie? Nie zapominaj, że i tak nie masz na

nic ochoty. – Wskazał na otwartą butelkę czerwonego wina na stole. – Częstuj się. Otworzyłem je tylko do celów kulinarnych, oczywiście.

– Jasne. – Zoe uśmiechnęła się. Nalała sobie kieliszek, usiadła i patrzyła, jak Simon się krząta.

– Czy w tym też byłeś szkolony?

– Nie. Po prostu uwielbiam gotować. Jesteś pewna, że nie chcesz spróbować?

– A niech tam, skoro już tak się napracowałeś.

Nałożył na dwa talerze i postawił jeden przed Zoe.

– To wołowina na ostro z soczewicą. Oczywiście lepiej mięso najpierw przez kilka godzin marynować, ale powinno być znośne.

Usiadł naprzeciwko Zoe.

Nabrała na widelec duży kawałek.

– To naprawdę dobre.

– Nie dziw się tak. – Simon się roześmiał.

– Marnujesz talent. Powinieneś założyć restaurację.

– Joanna zawsze to mówi.

– I słusznie. – Zoe jadła dalej. – Czy ty i Joanna byliście kiedyś… no wiesz?

– Kochankami? Nie, nigdy. Zawsze traktowałem ją jak siostrę. To by przypominało… kazirodztwo. Chociaż…

– Tak?

– O, właściwie nic takiego. Kilka tygodni temu mieszkała u mnie i pocałowaliśmy się. – Simon czuł, że się czerwieni. – Właśnie rzucił ją chłopak, ale ja jeszcze wierzyłem, że mój związek z byłą dziewczyną trwa. Wyhamowałem więc. – Simon przerwał, zatrzymując widelec w pół drogi do ust. – Zastanawiam się, czy zareagowałbym inaczej, gdybym wtedy wiedział, że moja była ma zamiar ze mną zerwać.

– Tego pewnie nigdy już się nie dowiesz. – Zoe wzruszyła

ramionami.

– Chcesz dokładkę? – Popatrzył na jej pusty talerz. – Jest jeszcze mnóstwo.

– Bardzo chętnie, dziękuję, przepyszne! Będziesz zajmować się tym na stałe? – spytała, kiedy stawiał przed nią pełen talerz.

– To znaczy?

– Ochroną. Jesteś gotów poświęcić całe swoje życie dla bezpieczeństwa innych?

– Kto wie?

– Myślę, że się marnujesz. Ta praca to trochę ślepy zaułek, nie sądzisz?

– O, dzięki. – Roześmiał się.

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. – Zoe zaczerwieniła się.

– Nie przejmuj się. Masz rację. Nie zamierzam na tym poprzestać.

– W takim razie – podniosła kieliszek – za to, żebyśmy oboje odnaleźli w życiu swoje prawdziwe powołanie.

– Za nas.

Simon ujął szklankę z wodą.

W tym momencie zadzwoniła komórka Zoe.

– Przepraszam na chwilę.

Wyszła z kuchni, by odebrać.

Simon pozbierał talerze i przygotował kawę. Dziesięć minut później wróciła Zoe z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Och, Simon. Wszystko będzie dobrze.

– Tak? Świetnie.

– To był Art. Załatwił wyjazd za granicę. Jeden z jego przyjaciół zaoferował nam swój prywatny samolot i letni dom w Hiszpanii. Podobno są tam najbardziej nowoczesne zabezpieczenia, więc

będziemy mogli się zrelaksować i porozmawiać o przyszłości w absolutnym spokoju, z daleka od wścibskich spojrzeń.

– No to… wspaniale. Kiedy wyjeżdżacie?

– Jutro rano. Art mówił, że do ciebie zadzwonią, ale mam być jutro o dziewiątej na Heathrow. Spotykamy się w strefie dla VIP-ów przy terminalu czwartym. I wtedy, co cię pewnie ucieszy, będziesz nareszcie miał mnie z głowy. Art zabiera tam własną ochronę.

– W porządku. Kawy?

– Z przyjemnością. Siądźmy sobie przy kominku – zaproponowała, biorąc kawę i prowadząc go do salonu. – Jak cudownie, że wreszcie nikt nie będzie nas śledził. Tak bardzo potrzebujemy czasu na rozmowę. Dziękuję ci.

Zoe usadowiła się po turecku przed kominkiem, trzymając w dłoniach kubek.

Simon zajął miejsce na kanapie i pociągnął łyk kawy.

– Jeśli poprosi, wyjdziesz za niego?

– Myślisz, że zaproponuje małżeństwo? To możliwe w jego sytuacji?

– No dobrze, ujmę to inaczej. Czy chcesz spędzić z nim resztę życia?

Oczy Zoe zabłysły.

– Mój Boże, tak! Marzyłam o tym każdego dnia przez ostatnie dziesięć lat.

– Dziesięć lat? O kurczę! Więc się myliłem. To trwało jednak dość długo, zanim wyciekło do mediów. – Trochę się z nią drażnił.

– Rzeczywiście. – Zamilkła na chwilę. Skubała jakąś wystającą z dywanu nitkę. – Poznałam go ponad dziesięć lat temu. Byłam bardzo młoda… tuż po osiemnastce. Nie jestem tak naiwna, by sądzić, że teraz to już pójdzie jak z płatka. Jego rodzina może postawić weto, podobnie jak to się stało wtedy. Być może lecę do

Hiszpanii, by usłyszeć od Arta, który ujmie to najdelikatniej, jak tylko potrafi, że to nigdy się nie uda.

Simon nie wspomniał o dyskusji, na którą natknął się w radiowej piątce. Zastanawiano się, czy rodzina królewska jest gotowa przyjąć do swojego klanu niezamężną matkę. Sondaż wskazywał, że raczej nie.

– Jest coś, o co chciałabym cię poprosić. – Nieśmiało podniosła na niego wzrok.

– Strzelaj.

– Nie jestem pewna, na jak długo lecę. Zastanawiałam się… czy może…

– Mów śmiało, Zoe.

– Nie pojechałbyś odwiedzić w ten weekend Jamiego? Obiecywałam mu, że u niego będę, a wygląda na to, że nie dam rady. On za tobą przepada i…

– Nie ma sprawy. Uważaj to za załatwione.

– Dam znać szkole, gdzie jestem. Może powiem, by przekazali Jamiemu, że mam jakieś zdjęcia w Hiszpanii… do reklamy albo coś w tym rodzaju. Nie chcę go okłamywać, ale myślę, że to bardzo istotne, byśmy z Artem mieli czas porozmawiać.

Simon przytaknął jej w roztargnieniu, porażony tym, jak cudownie wygląda w świetle płomieni kominka. Wstał, nie chcąc przedłużać męczarni.

– Idę spać, Zoe. Trzeba wyruszyć wcześnie i może będę musiał jechać jak rajdowiec, żeby zgubić te hieny.

– Racja. – Podniosła się z podłogi, podeszła do niego, wspięła na palce i pocałowała go w policzek. – Dziękuję, Simon. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś przez te dwa dni. Bez ciebie pewnie bym oszalała.

– Dzięki. – Serce mu się ścisnęło. – No to dobranoc – wymamrotał

i wyszedł z salonu.

Następnego ranka na Heathrow Zoe odbiegła od Simona, by paść w ramiona księcia.

– Art!

– Cześć, Zoe – Art pocałował ją w czubek głowy. – No dobrze, ruszamy. Dziękuję za pomoc, Warburton. – Zdawkowo skinął mu głową.

– Tak. Do widzenia, Simon.

Zoe pomachała do niego, a Art poprowadził ją do saloniku dla VIP-ów. Ich śladem podążyła niewielka grupka ochrony.

Simon poszedł z powrotem labiryntem lotniskowych korytarzy. Gdy znalazł się w strefie ogólnie dostępnej, zadzwoniła komórka.

– Warburton.

– Tak, proszę pana?

– Jest pan wolny do powrotu panny Harrison. Proszę czekać na dalsze instrukcje.

– Tak jest. Dziękuję.

Odwiózł jaguara do bazy i oddał kluczyki. Potem skierował się do pubu, gdzie uraczył się idealnie spienionym piwem Tetley, w którym szczerze i z pełną świadomością pragnął utopić smutki.

Samotny pion

(*Pion, który nie ma w pobliżu wsparcia innego piona w tym samym kolorze. Można to uznać za słabość albo wykorzystać jako szansę do kontrataku*).



25

Joanna siedziała przy biurku, w przygnębieniu pisząc artykuł o dziesiątce roślin stwarzających największe zagrożenie dla życia domowych ulubieńców. Odrętwiała, wypalona i zdradzona, miała mętlik w głowie i była bliska tego, by rzucić wszystko w diabły, wracać do Yorkshire i do końca swych dni zajmować się liczeniem owiec.

Marcus wydzwaniał na jej komórkę, a poprzedniego wieczoru również na znajdujący się na podsłuchu telefon stacjonarny. Nie odpowiadała. Po takiej zdradzie naprawdę miała go raz na zawsze dosyć. Aż się trzęsła na myśl, że podczas tych wszystkich cudownych chwil, które razem spędzili, on po prostu próbował ją wykorzystać, wybadać, co wie.

Liczyła minuty, kiedy wreszcie dobiegnie piąta trzydzieści i będzie można wyłączyć komputer. Choć nie miała pojęcia, czemu jej tak spieszno do pustego mieszkania, w którym nie czeka na nią ani chłopak, ani przyjaciel. A co gorsza, cała redakcja ekscytowała się wiadomością o Zoe Harrison i księciu. W dodatku rano Marian, kierująca działem o tematyce kobiecej, wezwała ją do siebie.

– To ty pisałaś artykuł o Marcusie Harrisonie, bracie Zoe.

– Tak – przyznała ponuro Joanna.

– I chodzą słuchy, że się z nim pieprzysz.

Marian nigdy nie przebierała w słowach.

– To już przeszłość.

– Od kiedy?

– Od wczoraj.

– Jaka szkoda. Miałam zamiar zlecić ci, żebyś spróbowała zrobić wywiad z Zoe, skoro jesteście prawie rodziną.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę.

– A to pech. W ten sposób mogłabyś uwolnić się od zwierząt domowych i ogrodów. – Marian, gryząc długopis, przypatrywała się Joannie. – Ale w porządku, twój wybór. Skoro ty tego nie zrobisz, zrobi to ktoś inny. Próbujesz ją chronić?

– Nie.

– To świetnie. Bo jeśli taki miałaś zamiar, to najkorzystniej dla niej byłoby namówić ją na rozmowę z tobą. Przynajmniej wysłuchałby jej ktoś życzliwy.

Marian machnęła dłonią, dając tym znak, że rozmowa skończona, i Joanna czmychnęła z powrotem do swojego biurka.

Teraz nareszcie była już siedemnasta dwadzieścia dwie i pięćdziesiąt pięć sekund. Joanna westchnęła z ulgą i wyłączyła komputer, po czym skierowała się do wyjścia. Czekała na windę, kiedy podszedł do niej Alec.

– Cześć, Jo. Wszystko u ciebie w porządku?

– Nie, Alec. Niespecjalnie.

– No dobra, chciałbym chwilę pogadać, ale nie tutaj. Spotkajmy się we French House za godzinę. Wygląda na to, że miałaś rację.

Nie dając jej szansy na odmowę, obrócił się na pięcie i poszedł do siebie.

Joanna czuła, że nie ma już nic do stracenia, spędziła więc tę godzinę, wałęsając się bez celu po Leicester Square i Trocadero, coraz bardziej rozdrażniona przez wchodzących jej w drogę turystów. Kiedy dotarła do zatłoczonego baru, jej były szef siedział już na stołku.

– Kieliszek wina?

– Niech będzie. – Skinęła głową, przyciągając sobie stołek.

– Coś mi się zdaje, że nie był to dobry dzień.

– Rzeczywiście, nie najlepszy.

– Marian mówiła mi, że odmówiłaś próby przeprowadzenia wywiadu z Zoe Harrison. Mogłaś wykorzystać to jako argument, żeby wrócić do mnie.

– To byłby próżny trud, Alec. Zoe najprawdopodobniej sądzi, że to ja puściłam parę z ust, i pewnie wolałaby już pozować półnago dla jakiegoś magazynu z panienkami, niż rozmawiać ze mną.

– O cholera! – Alecowi opadła szczęka. – To ty wiedziałaś o niej i księciu?

– Tak. Opowiedziała mi o tym. Dzięki. – Joanna wzięła łyk wina. – I to, muszę dodać, ze szczegółami.

– Jezu… – jęknął Alec. – Czyli mogłaś wypuścić tę historię?

– O tak. A teraz pluję sobie w brodę, że tego nie zrobiłam, bo i tak cała wina spadła na mnie.

– O Chryste, Jo! Musisz wyrobić sobie twardszą skórę. Ujawnienie takiej historii mogłoby być fantastyczną odskocznią do dalszej kariery.

– Myślisz, że tego nie wiem?! Większość nocy głowiłam się nad tym, że może źle wybrałam sobie pracę, bo nie potrafię zapomnieć o kręgosłupie moralnym. Zdaje się, że mam tę paskudną, niedziennikarską cechę: potrafię dochować tajemnicy. – Dopiła resztę wina. – Mogę dostać jeszcze jeden kieliszek?

– No, przynajmniej zaczynasz chlać jak pismaki. – Alec skinął na kelnera. – No, już dobrze. Wiadomość, którą mam dla ciebie, na pewno cię rozweseli.

– Wracam na swoje poprzednie stanowisko?

– Nie.

Pochyliła się i oparła głowę na dłoniach.

– W takim razie nic, co powiesz, nie może mnie rozweselić.

– Nawet jeśli zdradzę ci, że znalazłem trochę ciekawostek na temat twojej starszej pani? – Zapalił rothmansa.

– Nie trudź się. Położyłam na tym kreskę. Ten list zrujnował mi życie. Mam dość.

– Świetnie. – Zaciągnął się papierosem. – No to nie powiem ci, że jestem prawie pewny, że wiem, kim ona była. Że zanim przyjechała do Anglii, przez sześćdziesiąt pięć lat mieszkała we Francji.

– Nadal nic mnie to nie obchodzi.

– I że James Harrison w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku jakimś cudem kupił dom na Welbeck Street… za gotówkę. Ten dom należał wcześniej do wyższego rangą polityka, który pracował w gabinecie Lloyda George'a. Czy to nie dziwne, że aktor bez grosza przy duszy mógł sobie pozwolić na tak okazałą rezydencję? Chyba że właśnie dorobił się na czymś fortuny.

– Przykro mi, Alec. Nadal mnie to nie rusza.

– I wreszcie, nie powiem ci, że niejaka Rose Alice Fitzgerald w latach dwudziestych była damą dworu.

Joanna patrzyła na niego oniemiała.

– O w mordę! Zamówmy całą butelkę.

Przesiedli się do stolika w rogu i Alec streścił jej, czego się dowiedział.

– Czyli chcesz mi dać do zrozumienia, że moja starsza pani, Rose, i James Harrison, dawniej Michael O'Connell, uknuli spisek i szantażowali kogoś z rodziny królewskiej?

– Tak, przypuszczam, że tak. I myślę, że ten list, który ci przysłała, był w rzeczywistości listem miłosnym od Rose do Jamesa, dawniej Michaela, czy, jak to było w liście, Siama, co zresztą nie ma żadnego związku z tamtą aferą.

– Więc dlaczego Rose wspomina w liście, że nie może się już widywać z Jamesem?

– Bo Rose Fitzgerald była dwórką. Pochodziła z szacownego szkockiego rodu. Wątpię, by klepiący biedę irlandzki aktor był dla niej właściwą partią. Jestem przekonany, że musieli utrzymywać swój romans w tajemnicy.

– Chryste! Po co ja tyle wypiłam? W głowie mi się miesza, nie mogę zebrać myśli.

– Pomogę ci. Krótko mówiąc, uważam, że Rose i sir James…

– W owym czasie Michael O'Connell – wtrąciła Joanna.

– Michael i Rose byli kochankami. Rose, sprawując obowiązki w posiadłości królewskiej, odkryła coś ciekawego i powiedziała o tym Michaelowi, czyli Jamesowi, a ten zaczął szantażować osobę, której to dotyczyło. Paczuszki, które, jak mówisz, William Fielding dostarczał Michaelowi/Jamesowi, według mnie, zawierały pieniądze. Potem Michael znika, prawdopodobnie ucieka z kraju, porzucając biedną Rose. Kilka miesięcy później wraca, przyjmuje nową tożsamość, za zgromadzoną gotówkę kupuje dom na Welbeck Street, żeni się z Grace i wszystko jest cacy.

– W porządku. Zastanówmy się nad twoją teorią – powiedziała Joanna. – Mogę ją przyjąć. Wydaje się równie prawdopodobna jak to, do czego dotąd doszłam. Wszystkie elementy składają się w spójną całość. Ale skąd ta masowa panika po śmierci Jamesa Harrisona?

– Teraz musimy trochę pospekulować. Wiemy na pewno, że Rose wróciła do kraju zaraz po tym, jak Harrison kopnął w kalendarz. Przedtem przez wiele lat mieszkała za granicą. Czy to możliwe, że miała zamiar wyjawić wszystko po jego śmierci? Czyżby chciała go oczernić, odpłacić mu za to, że kiedyś ją porzucił?

– Ale w takim razie dlaczego nie zrobiła tego wcześniej?

– Pewnie się bała. Mógł coś na nią mieć, grozić jej. Może teraz, kiedy poczuła, że jest w coraz gorszym stanie i czas ucieka, uznała, że nie ma nic do stracenia? Nie wiem, Jo. Tak tylko zgaduję. – Alec zdusił papierosa w popielniczce i zapalił nowego.

– Ale co mogło tak przerazić elity władzy, że zaangażowało się w to MI5? Wiem jedno, tu chodzi o coś ogromnej wagi – szepnęła Joanna. – O coś tak wielkiego kalibru, że ci z góry nakłonili Marcusa Harrisona, by swobodnie pił, jadł i zaciągał mnie do łóżka na ich koszt, byle tylko sprawdzić, co wiem.

– Kto ci to powiedział?

– Mój przyjaciel Simon.

– Jesteś tego pewna?

– O tak…

Alec zaklął pod nosem.

– Kurczę, Jo, co tu się dzieje?

– Jeśli twoja teoria jest słuszna, najwyraźniej Rose i Michael odkryli coś, co miało ogromne znaczenie. – Ściszyła głos jeszcze bardziej. – Chryste, Alec, już dwie osoby straciły życie w dziwnych okolicznościach… Nie chcę być trzecia.

Siedzieli w milczeniu, Joanna rozpaczliwie próbowała odzyskać trzeźwość myślenia. Dźwięczały jej w uszach słowa, które wypowiedział kiedyś Alec. „Nie ufaj nikomu”.

– Alec, a skąd u ciebie to nagłe zainteresowanie po tym, jak mnie spławiłeś?

Parsknął śmiechem.

– Jeśli przyszło ci do głowy, że płacą mi za szpiegowanie ciebie, to bez obaw, aniołku. Po prostu widzę, że potrzebujesz pomocy. Bo nie wygląda na to, żeby wszystko rozeszło się jakoś po kościach, prawda? Zdaje się, że inni wystawili cię do wiatru. Może nie jetem rycerzem na białym koniu, ale na razie musisz się mną zadowolić.

– Jeśli zdecyduję się kontynuować śledztwo.

– Tak. To co dalej?

– W następny weekend miałam jechać z Marcusem do Irlandii. Taki był plan, nim odkryłam, dlaczego się ze mną spotyka. William Fielding wspominał o Irlandii, a Marcus chyba wpadł na trop, skąd mógł pochodzić Michael O'Connell, jeśli to w ogóle prawda.

– Jak mu się to udało?

– Twierdził, że syn Zoe mówił mu o miejscu, o którym opowiadał pradziadek tuż przed śmiercią. Może ten mały coś pomieszał, ale…

– Nigdy nie lekceważ tego, co wygadują dzieci, Jo. Sporo swoich najlepszych historii wyciągnąłem od małolatów.

– Najwyraźniej jesteś typem pozbawionym skrupułów.

– Dobrzy dziennikarze tak już mają. – Spojrzał na zegarek. – Muszę iść. Ta nasza rozmowa, oczywiście, nigdy nie miała miejsca. I nie poradzę ci, żebyś jechała do Irlandii i posiedziała w lokalnym barze, gdzie można usłyszeć przeróżne plotki, ani żebyś zrobiła to jak najszybciej, zanim Marcus albo może ktoś inny wybierze się tam przed tobą. A już na pewno nie wspomnę, że wyglądasz dziś marnie i najprawdopodobniej w najbliższych dniach rozwinie się z tego grypa i nie będziesz w stanie pojawić się w pracy. – Alec wepchnął papierosy do kieszeni. – Dobranoc, Jo. W razie problemów dzwoń.

– Dobranoc, Alec.

Patrzyła, jak wychodzi z baru, i na przekór sobie uśmiechnęła się. Może powód był inny, ale Alec lub wino, albo jedno i drugie podniosło ją jakoś na duchu. Wzywając taksówkę, postanowiła, że musi to przespać, przetrawić informacje, a dopiero potem zdecyduje, co zrobi.

Kiedy wróciła do domu, na automatycznej sekretarce było nagranych osiem nowych wiadomości od Marcusa. Do tego trzeba

doliczyć siedem na komórce, plus wiele prób dodzwonienia się do redakcji, ale zakazała recepcjonistce łączenia go do niej.

– Musieli ci słono zapłacić, ty oślizgła, podstępna, zepsuta gadzino – mruknęła do aparatu telefonicznego, ruszając do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Wychodząc spod prysznica, zawinięta w ręcznik i ociekająca wodą, usłyszała dzwonek do drzwi. Wyjrzała zza zasłon i zobaczyła, że przed progiem stoi zepsuta gadzina.

– O Chryste! – jęknęła, po czym włączyła telewizor, gotowa ignorować natręta, aż ten da za wygraną.

– Joanno! – wołał przez szczelinę do wrzucania listów. – To ja, Marcus. Wiem, że jesteś. Widziałem cię w oknie. Wpuść mnie! Co ja takiego zrobiłem? Joanno!

– Cholera! Cholera! Cholera! – klęła, wkładając szlafrok i ruszając do drzwi.

On obudzi połowę sąsiadów, jeśli mu nie otworzy. Zobaczyła jego oczy w szczelinie na listy.

– Cześć. Wpuść mnie, Jo.

– Spadaj!

– O co ci chodzi? Powiesz mi wreszcie, w czym zawiniłem?

– Jak nie rozumiesz, to nie mam zamiaru ci tłumaczyć. Po prostu zmywaj się z mojego życia i raz na zawsze trzymaj się ode mnie z daleka.

– Joanno, kocham cię. – Głos mu się załamał. – Jeśli mnie nie wpuścisz, żebyśmy porozmawiali o mojej zbrodni, cokolwiek to było, to nie mam wyjścia, zostanę tu całą noc i… będę wyśpiewywał ci serenady.

– Marcus, jak nie pójdziesz sobie w diabły w ciągu kilku sekund, wezwę policję. Aresztują cię za nękanie.

– Dobrze. Nie będę miał żalu. Oczywiście pewnie znajdziemy się

w ten sposób na czołówkach gazet, dzięki tej nagłej sławie, jaka na mnie spadła jako na brata nowej ukochanej księcia Arthura, ale to cię na pewno nie martwi.. Ja…

O mało nie upadł, kiedy z impetem otworzyła drzwi na oścież.

– Dobra. Wygrałeś. – Aż dygotała ze złości.

Zbliżył się, by jej dotknąć, a ona cofnęła się gwałtownie.

– Nie podchodź. Ani się waż.

– Dobrze już, dobrze. Powiedz mi wreszcie, co takiego zrobiłem?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Przyznam, że dziwiłam się, dlaczego tak ci na mnie zależy i skąd u ciebie tyle czułości. Bo przecież słyszałam, co z ciebie za wredny sukinsyn. I ja głupia postanowiłam brać za dobrą monetę twoje umizgi, wierzyłam, że może traktujesz mnie inaczej niż resztę damskiej populacji w Londynie.

– Bo tak jest, Jo. Naprawdę…

– Zamknij się, Marcus. Teraz ja mówię. A tu ni z tego, ni z owego dowiaduję się, że twoje uczucia nie mają z tym wszystkim nic wspólnego. To twój portfel tak bardzo lubił moje towarzystwo.

– Przecież…

– Kilka dni temu powiedziano mi, że dostajesz kasę za uwodzenie mnie i sypianie ze mną.

Policzki Marcusa zrobiły się pąsowe. Miała wielką ochotę trzasnąć go na odlew w tę czerwoną gębę.

– Nie, Joanno, ten ktoś, kto ci to powiedział, wszystko pomylił. To nie było tak. Dostałem jakieś pieniądze, ale nie za wydobycie informacji od ciebie. Chodziło o odnalezienie zaginionego listu. Przysięgam, nie wiedziałem nic o Rose, zanim mi o niej powiedziałaś kilka dni po tym, jak poszliśmy do łóżka. Zastanawiałem się, czy wyjawić ci, że zwrócono się do mnie

o pomoc, ale bałem się, że mnie zostawisz. A teraz ty mi nie wierzysz i…

– A ty sam byś sobie uwierzył?!

– Nie, oczywiście, że nie, ale… – Wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać. – Proszę, musisz uwierzyć, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem, nigdy. To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Ale uznałem, że jeśli połączymy siły i wymienimy się tym, co wiemy, może się nam uda i… Ja przecież… a niech to diabli!

Nerwowym gestem otarł palcami powieki.

Joanna była naprawdę zaskoczona. Spodziewała się, że będzie się wypierał, zaprzeczy wszystkiemu albo w końcu, przyparty do muru, bezdusznie przyzna, że to prawda. Tymczasem widziała autentyczne zmieszanie i rozpacz. Ale po tym, co spotkało ją ze strony Matthew, Simona i teraz Marcusa, miała już dość zdrad.

– Wziąłeś te pieniądze i trzymałeś to przede mną w tajemnicy. Powinnam była wierzyć wszystkim tym, którzy mówili mi, że zawsze myślisz tylko o sobie. A co z twoją siostrą? Jestem pewna, że to ty powiedziałeś redakcji „Mail” o niej i księciu. Nie mam racji? Wiedziałeś, że wszyscy będą oskarżać o to mnie, ale zależało ci tylko na szybkim zarobieniu kasy!

– Nie! – przerwał jej zdecydowanie Marcus. – Nigdy bym nie sprzedał Zoe…

– Ale mnie sprzedałeś! Niby jak mam ci wierzyć? – Aż brakowało jej tchu z wściekłości.

– Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, żebyś mi uwierzyła!

– Nie ma już nic do powiedzenia. Twoje pięć minut minęło. Chcę, żebyś wyszedł.

– Starałem się tylko cię chronić… Wiem, że wydaje się to bez sensu, ale… czy mogłabyś dać mi jeszcze jedną szansę? – błagał.

– Wykluczone. Nawet jeśli teraz mówisz prawdę, to przecież

mnie okłamałeś. Dla pieniędzy. Jesteś tchórzem, Marcus.

– Masz rację. Nie powiedziałem ci, bo myślałem, że mogę cię stracić. Nie kłamię, kiedy mówię, że cię kocham, Joanno, i będę żałował tego, co się stało, do końca życia.

– Żegnaj.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, nim zdołałby zobaczyć łzy w jej oczach.

To tylko ze zmęczenia, emocji i stresu, zapewniała siebie, idąc się położyć. Spotykała się z Markusem od niedawna. Nie zdążyła się do niego przyzwyczaić. Zerwanie nie będzie aż takim dramatem. Leżała w łóżku, usilnie starając się zasnąć. Próbowała skupić się na tym, co powiedział jej Alec, byle tylko odwrócić myśli od Marcusa. Ale te goniły się w jej głowie jak młode skaczące w różnych kierunkach zające, więc wreszcie dała za wygraną, wygramoliła się z pościeli i poszła nastawić czajnik. Zrobiła sobie mocną gorącą herbatę, usiadła po turecku na łóżku i wyciągnęła z plecaka wszystko, co miała na temat Rose. Przeanalizowała fakty, a potem rozrysowała dokładny diagram, zbierając razem to, czego dowiedziała się do tej pory.

Czy powinna podjąć jeszcze jedną próbę? W Irlandii jest podobno pięknie, a lot i hotel były już zarezerwowane. Nawet jeśli nic z tego nie wyniknie, może skorzystać z okazji, żeby zrobić sobie tak potrzebny urlop od Londynu i wszystkiego tego, co wydarzyło się od Bożego Narodzenia.

– A niech tam! – szepnęła.

Była to winna samej sobie. Musiała zrobić jeszcze ten jeden krok. Inaczej całe życie może żałować. W końcu naprawdę nie miała już nic do stracenia…

– Poza życiem – mruknęła ponuro.

W piątek rano, po odprawie na samolot do Cork, Joanna wyjęła komórkę i podeszła do bramki odlotów.

– Halo?

– Alec?

– Tak?

– To ja. Czy mógłbyś powiedzieć naczelnemu, że mam paskudną grypę? Jestem taka chora, że pewnie nie zdołam pokazać się w pracy do połowy przyszłego tygodnia.

– Cześć, Jo. Powodzenia. I uważaj na siebie, nie daj się podejść. Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dzięki, Alec. Do zobaczenia.

Dopiero kiedy wystartowali i ponad Morzem Irlandzkim obrali kurs na miejsce przeznaczenia, odetchnęła z ulgą.

AIP

26

Kiedy Joanna lądowała w Cork, Marcus leżał w łóżku. Było już blisko południa, ale nie wiedział, po co miałby wstawać. Tak było od czasu, kiedy Joanna wyrzuciła go ze swojego mieszkania. Był zdruzgotany, bo stracił ją, a w dodatku nie mógł za to winić nikogo poza sobą.

W końcu zwlókł się z łóżka i poczłapał do salonu. Postanowił przelać swoje uczucia do niej na papier. Podniósł ze stolika złote pióro, które po raz pierwszy widział, i ze ściśniętym sercem, uświadamiając sobie, że musi należeć do Joanny, usiadł do pisania listu. Zamknął powieki i od razu stanęła mu przed oczami, jak już setki razy, odkąd obudził się rano. Pierwszy raz w życiu był zakochany po uszy. To nie pożądanie, obsesja ani żadne z tych mało znaczących zauroczeń, jakich doświadczał wcześniej. To było coś głębszego, przenikającego go na wskroś. Jego głowa i serce potrzebowały jej rozpaczliwie, jakby był ciężko chory. Nie mógł myśleć o niczym innym. Nawet obrzydł mu jego wymarzony projekt filmu – przez który wziął te nieszczęsne pieniądze od tego idioty Simpsona…

Późnym wieczorem podjechał autobusem na Crouch End i ruszył w kierunku mieszkania Joanny. Widząc, że w środku jest ciemno, wsunął list przez szczelinę na pocztę, modląc się, by go przeczytała i odezwała się. Potem wrócił do domu i znów położył się do łóżka, trzymając w objęciach butelkę whisky.

Tuż przed północą odezwał się dzwonek przy drzwiach.

Marcus wyskoczył z pościeli jak królik uwolniony z pułapki. Miał wielką nadzieję, że przekonał Joannę swoim pisanym z głębi duszy listem. Otworzył drzwi, spodziewając się jej widoku. W progu zobaczył jednak wysoką, barczystą sylwetkę Iana Simpsona.

– Czego tu szukasz o tej porze?

Simpson wszedł, nie pytając o zgodę.

– Gdzie jest Joanna Haslam? – warknął, gdy jego niespokojne oczy dokonywały szybkiej inspekcji salonu.

– W każdym razie na pewno nie tutaj.

– To gdzie? – Simpson podszedł do niego. Jego wzrost i zwalista budowa robiły przytłaczające wrażenie.

– Naprawdę nie wiem. Choć bardzo bym chciał.

Stał tak blisko, że Marcus słyszał jego nierówny oddech i czuł odór alkoholu. Ale pomyślał, że może to on sam cuchnie whisky. Stłumił odruch wymiotny.

– Zapłaciliśmy ci, żebyś miał na nią oko, pamiętasz? Tylko że potem jej kumpel, Simon, ją ostrzegł.

– Si… jak to…?

– Simon, ty durniu! Ochroniarz twojej siostry.

Marcus cofnął się o krok i przetarł dłonią zamglone oczy.

– Słuchaj, starałem się, jak mogłem, znaleźć dla ciebie ten list, ale Joanna się ode mnie odcięła i…

Simpson chwycił Marcusa za kołnierz.

– Wiesz, gdzie ona jest! Mów, ty kłamliwy dupku!

– Naprawdę nie wiem… – Z tej odległości Marcus widział, jak bardzo jego oczy są przekrwione. Gość nie panował nad sobą. Wściekły, podpity.

– Możesz mnie puścić, żebyśmy pogadali o tym jak rozsądni ludzie?

Po ciosie w brzuch skulony Marcus wylądował na kanapie, uderzając głową o ścianę. W oczach stanęły mu świeczki.

– Uspokój się, chłopie! Zapomniałeś? Jesteśmy po tej samej stronie.

Simpson się zaśmiał.

– Bardzo wątpię.

Marcus próbował się wyprostować. Patrzył, jak intruz krąży po pokoju.

– Wyjechała dokądś, prawda? – domagał się odpowiedzi Simpson. – Wpadła na jakiś trop.

– Jaki trop? Ja…

Simpson zbliżył się do niego i kopnął go w podbrzusze. Marcus sturlał się na podłogę, wyjąc z bólu.

– Radzę ci mówić. Wiem, że ją kryjesz, chronisz ją.

– Nie! Naprawdę. Ja…

Kopniak w nerki wywołał kolejne okrzyki bólu. Marcus wymiotował.

– Co wy dwoje sobie planowaliście? Gadaj!

– Nic… – Nie był w stanie wytrzymać więcej. Zaczął rozpaczliwie szukać w myślach czegoś, co mógłby powiedzieć, by pozbyć się tego człowieka i go zmylić. Nagle doznał olśnienia.

– Mieliśmy jechać w ten weekend do Irlandii. Mówiłem jej, że, jak sądzę, stamtąd pochodził mój dziadek.

– Do Irlandii, a dokładniej?

– Hrabstwo Cork.

– Która część? – Simpson przykucnął i z pięścią gotową do ciosu spojrzał mu prosto w oczy. – No dalej, brachu, bo mogę ci przyłożyć o wiele mocniej.

– Ja… – Marcus starał się przypomnieć sobie nazwę miejsca. – Rosscarbery.

– Podzwonię i sprawdzę. Jeśli odkryję, że kłamiesz, wrócę. Rozumiesz?

– Tak – wysapał Marcus.

Simpson parsknął kpiąco, a może z politowaniem, albo było w tym i jedno, i drugie.

– W szkole zawsze byłeś tchórzem. Nic się nie zmieniłeś, co? – Przytknął mu czubek buta do nosa. Marcus skulił się, kiedy tamten zrobił zamach i kopnął go w policzek. – Do zobaczenia.

Marcus poczekał, aż usłyszy, jak drzwi się za nim zamykają, po czym obrócił się i zaciskając zęby i klnąc z bólu, podniósł się na kolana. Zdołał z trudem wstać i opaść na kanapę. Siedział, gapiąc się w przestrzeń. Twarz, podbrzusze i brzuch pulsowały bólem.

– Jezu!

Dzięki Bogu, że wpadł na ten pomysł z Irlandią. Oczywiście Simpson wróci, kiedy odkryje, że Joanny tam nie ma – bo to było ostatnie miejsce, dokąd by się wybrała, wiedząc, że może go tam spotkać – ale przynajmniej tym razem Marcus będzie na to przygotowany. Może powinien przeprowadzić się na jakiś czas do Zoe, póki to wszystko nie ucichnie…

Nagle jego obolałą pierś przeszył przeraźliwy lęk. A jeśli ona jednak tam pojechała…? Nie… W końcu po co miałaby to robić? Z drugiej strony, Simpson twierdził, że ona nadal prowadzi śledztwo…

– Chryste!

Czyżby niechcący rzucił Joannę na pożarcie oszalałemu, pijanemu lwu? Pognał do kuchni i pogrzebał w stosie papierów, by znaleźć numer telefonu hotelu, w którym zamówił pokój, po czym złapał słuchawkę.

*

Simon pogwizdywał do piosenki Elli Fitzgerald, jadąc autostradą w kierunku Berkshire i szkoły Jamiego. Te kilka dni wolnego, kiedy czekał na dalsze instrukcje, dawno mu się należały. Czuł się wypoczęty i spokojniejszy, niż zdarzało mu się to od dłuższego czasu, nawet jeśli te chwile swobody dawały mu okazję do myślenia o Zoe. Przynajmniej wiedział, że żal po Sarze minął bezpowrotnie. Zdawał też sobie sprawę, że teraz przeżywa coś znacznie bardziej intensywnego. Sam fakt, że za pół godziny zobaczy syna Zoe, przepełniał go radością, bo to było pośrednio jak kontakt z nią.

Przed wyjazdem sprawdził w internecie opinie, gdzie w okolicy można zjeść najlepszy lunch, i zawiózł Jamiego do wybranej restauracji. Jechał wąskimi wiejskimi drogami według mapy, którą naszkicował sobie wcześniej. Jamie był nieco zaskoczony, że Simon go zabiera, i wydawał się bardziej milczący niż w domu w Londynie.

– Chyba wezmę wołowinę – powiedział Simon, patrząc w menu. – A ty? – zwrócił się do chłopca.

– Poproszę kurczaka.

Simon zamówił jedzenie, piwo dla siebie i colę dla syna Zoe.

– To jak ci minął tydzień? – Nie potrafił nie zauważyć, jak bardzo podobny jest do matki. Tak samo uderzająco niebieskie oczy, gęste blond włosy i delikatne rysy twarzy.

– Świetnie – odparł Jamie bez przekonania. – Na jak długo wyjechała mama?

– Nie wiem dokładnie. Myślę, że pewnie wróci w przyszłym tygodniu.

– Aha. Co to za praca?

– Zdaje się, że kręci tam jakąś reklamówkę dla telewizji. Nie wiem dokładnie.

Jamie łyknął coli.

– Dalej mieszkasz u nas w Londynie?

– Tak naprawdę postanowiłem, że jutro pojadę trochę pozwiedzać. Do Szkocji, a może Irlandii. Jak tam w szkole? – próbował zmienić temat Simon.

– W porządku. Wiesz, zawsze to samo.

– Racja.

Simon ucieszył się, kiedy zobaczył, że niosą ich dania. Jamie grzebał w jedzeniu, odpowiadając monosylabami na wszelkie próby nawiązania konwersacji. Nie chciał deseru, choć w karcie była domowa szarlotka z lodami.

– Pamiętam, że zawsze pałaszowałem wszystko, kiedy rodzice przyjeżdżali zabrać mnie na lunch ze szkoły. Na pewno dobrze się czujesz, stary?

– Tak. Czy w Nowej Zelandii są szkoły z internatem?

– Hm… tak… no jasne. Jeśli się mieszka na farmie z hodowlą owiec daleko od wszystkiego, trzeba jechać do szkoły z internatem w mieście – zmyślał na poczekaniu Simon. – Naprawdę nie namówię cię na nic słodkiego?

– Na sto procent.

Czuł ulgę, gdy nadeszła pora odwieźć chłopca do szkoły. Jamie siedział w samochodzie, gapiąc się w okno i nucąc coś pod nosem.

– Co to za piosenka?

– Taka dziecinna rymowanka, o wianku z kwiatków róży. Pradziadek James zawsze mi ją śpiewał. Kiedy byłem starszy, wyjaśnił mi, że chodzi w niej o ludzi, którzy umarli podczas epidemii dżumy.

– Tęsknisz za nim, prawda?

– Tak. Ale wiem, że z nieba dalej się mną opiekuje.

– Na pewno.

– A ja dalej mam jego kwiatki róży, by przypominały mi o nim na ziemi.

– Róże?

– Tak, pradziadek uwielbiał róże. Teraz rosną też na jego grobie.

Simon zatrzymał samochód pod szkołą, a Jamie otworzył drzwi, żeby wysiąść.

– Dzięki za lunch, Simon. Bezpiecznej drogi do Londynu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cześć, Jamie.

Simon patrzył, jak chłopiec wbiega na schody i znika w drzwiach szkoły. Kiedy godzinę później wrócił do domu, miał na automatycznej sekretarce wiadomość.

„Proszę się zgłosić do mnie jutro rano, ósma zero zero”.

Wiedząc, że jego krótki urlop się kończy, zrobił sobie sałatkę Cezara, a potem wziął prysznic, położył się do łóżka i starał się nie wyobrażać sobie Zoe z księciem w Hiszpanii.

AMP

27

Po wylądowaniu w Cork Joanna podeszła do kontuaru wypożyczalni samochodów i wynajęła fiestę. Zaopatrzyła się w mapę, trochę irlandzkich funtów i pojechała według znaków na N71. Zdziwiła się, że główna szosa z lotniska przypomina boczną drogę w jej rodzinnym Yorkshire. Był słoneczny marcowy dzień. Wokół bujna zieleń falujących pól.

Godzinę później zjeżdżała ze stromego wzgórza do miasteczka Rosscarbery. Po lewej stronie głęboki jar ogrodzony niskim murkiem opadał ku morzu w oddali. Na jego zboczach widać było większe i mniejsze domy. Kiedy znalazła się niżej, przystanęła, żeby się lepiej rozejrzeć. Był odpływ i na piasku toczyło się bogate ptasie życie. Stado łabędzi pływało z gracją po wodzie, którą w większym zagłębieniu pozostawił przypływ.

Joanna wysiadła z fiesty, nachyliła się nad niskim murkiem i wdychała głęboko morską bryzę. Powietrze miało zupełnie inny zapach niż w Londynie. Czyste, świeże, słonawe, nie pozwalało zapomnieć, że zaledwie kilometr dalej rozpościera się Atlantyk. I właśnie w tamtej chwili zauważyła ten dom na końcu wybrukowanej dróżki. Wyrastał ze skały otoczonej z trzech stron wodą. Był duży, pokryty szarym łupkiem. Nad kominem obracała się lekko na wietrze figurka koguta. To musi być właśnie ten duży dom na morzu, pomyślała. Idealnie odpowiadał opisowi przedstawionemu przez Marcusa.

Słońce przesłoniła chmura, rzucając cień na zatokę i dom. Joannę przeszedł dreszcz. Wróciła do samochodu, uruchomiła silnik i odjechała.

Tego wieczoru siedziała w przytulnym barze hotelu, w którym wynajęła pokój, i popijała grzanego portera przy kominku. Od wielu tygodni nie była tak zrelaksowana. Choć w głowie kłębiły się jej myśli o Marcusie, na którego nazwisko miała rezerwację, po południu przysnęła w wielkim podwójnym łożu hotelowego pokoju. Położyła się tylko na chwilę, by przestudiować mapę Rosscarbery, a potem nagle ocknęła się o siódmej wieczorem, kiedy było już ciemno.

To dlatego, że czuję się tu bezpiecznie, pomyślała.

– Woli pani zjeść kolację w jadalni czy tu, przy kominku? – zagadnęła ją Margaret, żona Williego, jowialnego właściciela hotelu.

– Tutaj byłoby miło, dziękuję.

Jadła bekon z kapustą i ziemniakami, obserwując, jak w drzwiach pojawiają się jeden za drugim stali bywalcy. Młodzi i starzy, najwyraźniej dobrze się znali i miało się wrażenie, że nawzajem wiedzą o sobie wszystko. Kiedy nasyciła głód, podeszła do baru i zamówiła jeszcze jednego grzanego portera na dobry sen.

– Pani tu na urlop? – spytał siedzący na wysokim stołku mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie kombinezon i kalosze.

– Częściowo – odparła. – Przy okazji szukam kogoś z krewnych.

– No tak. Stale tu ktoś przyjeżdża odnaleźć rodzinę. Zdaje się, że z naszej błogosławionej krainy pochodzi połowa ludności półkuli północnej.

To wywołało chichot innych pijących przy barze.

– A jak nazywa się ten pani krewniak? – zagadnął mężczyzna.

– Michael O’Connell. Musiał urodzić się tu na przełomie wieków.

Facet potarł brodę.

– Powinno znaleźć się tu kilku takich, biorąc pod uwagę, że to w tych okolicach bardzo popularne nazwisko.

– Ma pan jakiś pomysł, jak mogę to sprawdzić?

– W rejestrze urodzin i zgonów, obok apteki na rynku. I w kościołach, ma się rozumieć. Albo może pani pojechać do Clonakilty, gdzie pewien gość założył firmę odszukującą irlandzkich przodków. – Wypił do dna kufel mocnego porto. – Jeśli tylko zapłaci mu pani ile trzeba, na pewno znajdzie w komputerze tego O’Connella. – Mężczyzna mrugnął do sąsiada siedzącego na stołku obok. – Niesamowite, jak się te czasy zmieniają! Sześćdziesiąt lat temu byliśmy dzikusami, którzy ledwie wypełzli z epoki kamienia łupanego. Nikt nie chciał mieć z nami nic wspólnego. A teraz nawet prezydent Stanów Zjednoczonych chce być z nami spokrewniony.

– Prawda, prawda – zgodził się z nim sąsiad.

– Nie wiecie przypadkiem, do kogo należy dom zbudowany w zatoce? Ten z szarego kamienia, z kogutem na dachu? – spytała ostrożnie Joanna.

W tym momencie jakaś starsza siedząca w kącie kobieta, ubrana w wiekową kurtkę i wełnianą czapkę zakrywającą włosy, popatrzyła uważnie na Joannę.

– O Jezu, chodzi o tę ruderę? – prychnął mężczyzna. – Stoi pusta, odkąd tu mieszkam. Może powinna pani zapytać Fergala Mulcahy’ego, tutejszego historyka. Zdaje się, że dawno temu ten dom należał do jakiegoś Brytyjczyka. Był używany jako stanowisko straży przybrzeżnej, ale od tamtej pory… W okolicy jest mnóstwo posiadłości leżących odłogiem, którymi nikt już się nie zajmuje.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. – Joanna zabrała gorący kubek z baru. – Dobranoc.

– Dobranoc, panienko. Mam nadzieję, że uda się pani odszukać swoje korzenie.

Stara kobieta z rogu sali wstała zaraz po wyjściu Joanny i ruszyła do drzwi.

Na ten widok mężczyzna przy barze trącił łokciem swojego towarzysza.

– Powinienem posłać ją do tej wariatki Ciary Deasy. Na pewno uraczyłaby ją niejedną historią na temat O'Connellów z Rosscarbery.

Obaj zaśmiali się i ubawieni żartem, zamówili następną kolejkę piwa Murphy's.

Następnego ranka, po sutym irlandzkim śniadaniu, Joanna przygotowała się do wyjścia. Pogoda była paskudna. Wiosenną aurę z poprzedniego dnia zastąpiła szara plucha, która spowiła całą zatokę siwą mgłą.

Joanna spędziła ranek na spacerze wokół pięknej protestanckiej katedry. Porozmawiała z sympatycznym dziekanem, który pozwolił jej przejrzeć rejestr chrztów i ślubów.

– Bardziej prawdopodobne, że znajdzie pani swojego krewniaka w zapisach St Mary's, kościoła katolickiego, niedaleko stąd. My, protestanci, zawsze stanowiliśmy tu mniejszość. – Uśmiechnął się z żalem.

W St Mary's ksiądz, który właśnie skończył wysłuchiwać spowiedzi, otworzył szafkę, w której trzymano księgi rejestrów.

– Jeśli urodził się w Rosscarbery, będzie zapisany. W tamtych czasach nie znalazłoby się tu dziecko, które nie zostałoby

ochrzczone. Czyli szukamy w tysiąc dziewięćsetnym?

– Tak.

Joanna przez następne pół godziny przeglądała spisy chrztów. Nie znalazła żadnego dziecka o nazwisku O'Connell. Ani w roku poprzednim, ani w następnym.

– Jest pani pewna, że chodzi o to nazwisko? Bo… jeśli brzmiałoby O'Connor, to bylibyśmy w domu – zaznaczył ksiądz.

Już niczego nie była pewna. Przyjechała tu, kierując się tym, co opowiadał stary człowiek i co rzucił mimochodem mały chłopiec. Przemarznięta do szpiku kości, wyszła z kościoła i powędrowała przez plac do hotelu na talerz zupy, żeby się rozgrzać.

– Udało się? – spytała Margaret.

– Nie.

– Powinna pani popytać starszych ludzi w miasteczku. Mogą pamiętać to nazwisko. Albo niech pani zagadnie Fergala Mulcahy'ego, jak radził wczoraj wieczorem ten facet przy barze. Mulcahy uczy historii w szkole.

Joanna podziękowała jej. Po południu z rozczarowaniem odkryła, że urząd rejestrujący narodziny, małżeństwa i zgony jest zamknięty. Widząc, że przestało padać, pożyczyła rower od córki Margaret i żeby trochę się rozruszać i przewietrzyć, pojechała z miasteczka do wąwozu. Wiatr szczypał w policzki, rower z zacinającą się przerzutką podskakiwał na wybojach. Wąska droga wiła się niemal kilometr, nim ukazał się dom straży przybrzeżnej. Podjechała bliżej i oparła rower o mur. Nawet z tej odległości widziała, że pokryty szarym łupkiem dach jest dziurawy, okna mają popękane szyby albo są pozabijane deskami.

Podeszła do pordzewiałej furtki. Zawiasy zaskrzypiały, kiedy ją otwierała. Wspięła się po schodach i ostrożnie spróbowała nacisnąć klamkę frontowych drzwi. Stary zamek może i zardzewiał, ale

nadal wiedział, jak zatrzymać nieproszonych gości. Starła rękawem nieco brudu z okna po lewej stronie i zajrzała do środka. Nie było widać nic, tylko czerń.

Cofnęła się trochę i zastanowiła, czy da się wejść do środka inną drogą. Zobaczyła stłuczoną szybę od strony zatoki. Można było się tam dostać, jedynie schodząc na dno wąwozu i wdrapując na stromą ścianę domu. Na szczęście był odpływ. Joanna ruszyła więc po śliskich i pozieleniałych od wodorostów schodach na plażę. Oceniła, że mur ma około trzech metrów wysokości. To on chronił dom od otaczających go wód oceanu.

Zdołała zahaczyć stopę w wyszczerbionej cegle i zaczęła się powoli wdrapywać, aż trafiła na występ mniej więcej półmetrowej szerokości. Stłuczone okno było nad nim. Stanęła na występie i zajrzała przez nie do środka. Choć na zewnątrz specjalnie nie wiało, usłyszała, jak wicher ze świstem hula po ciemnych opuszczonych pomieszczeniach. To, które widziała, musiało być kiedyś kuchnią. Przy jednej ze ścian nadal stał sczerniały piec, pordzewiały i dawno nieużywany, przy drugiej zamontowano zlew ze staromodną pompą. Joanna spojrzała w dół. Pośrodku wyłożonej szarym łupkiem podłogi zobaczyła zdechłego szczura.

Gdzieś wewnątrz trzasnęły nagle drzwi. Drgnęła przestraszona i o mało nie spadła z występu. Obróciła się i przysiadła na nim. Spuściła nogi, by trochę się rozluźnić, nim zeskoczyła i wylądowała na miękkim mokrym piasku. Otrzepując dżinsy, pobiegła do roweru, wsiadła i popedałowała tak szybko, jak tylko się dało, byle dalej od tej upiornej budowli.

Z okna swojego domku obserwowała ją Ciara Deasy. Zawsze wiedziała, że w końcu pojawi się ktoś, komu będzie mogła opowiedzieć swoją historię.

– Oto i on, Fergal Mulcahy – oznajmiła następnego dnia Margaret i podprowadziła Joannę do baru.

– Witam. – Joanna uśmiechnęła się, starając się nie zdradzić głosem zaskoczenia. Spodziewała się zobaczyć siwego, brodatego nauczyciela. Tymczasem Mulcahy nie był pewnie wiele starszy od niej. Wyglądał fajnie w dżinsach i swetrze. Miał gęste czarne włosy, niebieskie oczy i boleśnie przypominał jej Marcusa. Kiedy wstał, zobaczyła, że jest o wiele wyższy i szczuplejszy niż jej były chłopak.

– Miło cię poznać, Joanno. Słyszałem, że nie możesz odnaleźć krewnego. – Jego oczy zmrużyły się w ciepłym uśmiechu.

– No tak.

Poklepał stołek obok.

– Przysiądź, napijemy się i opowiesz mi wszystko po kolei. Margaret, szklaneczkę i kufel poproszę.

Joannie, która przed przyjazdem do Irlandii nigdy w życiu nie piła mocnego portera, kremowy metaliczny smak murphy's bardzo przypadł do gustu.

– No dobrze, to jak się nazywał ten krewny?

– Michael O'Connell.

– Przypuszczam, że próbowałaś już sprawdzić w kościołach?

– Tak. Nie znalazłam żadnego pasującego wpisu przy chrztach. Ani przy ślubach. Powinnam zajrzeć do rejestru miejskiego, ale…

– W weekendy mają zamknięte, wiem. Z tym nie ma problemu. Tak się składa, że mój ojciec tam pracuje. – Fergal pomachał jej przed oczami kluczem. – I mieszka nad siedzibą urzędu.

– Dziękuję.

– Słyszałem, że interesujesz się też domem straży przybrzeżnej?

– Tak, choć nie jestem pewna, czy ma on jakiś związek z moim krewnym.

– Ten stary dom musiał być niegdyś wspaniały. Mój ojciec ma

gdzieś jego zdjęcia. Smutne, że stoi opuszczony i popada w ruinę, ale oczywiście nikt z miasteczka go nie tknie.

– Dlaczego?

Fergal popijał świeżo nalane piwo.

– Pewnie wiesz, jak to bywa w małych miejscowościach. Z jakiegoś drobiazgu i plotek powstają całe legendy. A ten dom od tak dawna stoi pusty, że krążą o nim najdziwniejsze słuchy. Podejrzewam, że w końcu jakiś bogaty Amerykanin kupi go za bezcen.

– A co takiego opowiadają o tym domu, panie Mulcahy?

– Daj spokój, mów do mnie Fergal. – Uśmiechnął się do niej. – Jestem historykiem. Zajmuję się faktami, nie wytworami wyobraźni, więc nigdy nie wierzyłem w ani jedno słowo z tego, co gadają. – W jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. – Nie licz jednak na to, że można byłoby mnie tam zaciągnąć o północy podczas pełni.

– Naprawdę? Czemu?

– Mawiają, że jakieś siedemdziesiąt lat temu pewna dziewczyna z miasteczka, Niamh Deasy, wpakowała się w kłopoty z mężczyzną, który mieszkał w strażnicy. Ten człowiek wrócił potem do swojego kraju, do Anglii, i porzucił dziewczynę. Powiadają, że kompletnie oszalała z rozpaczy. Urodziła w tym domu martwe dziecko i zaraz potem sama umarła. Niektórzy w miasteczku wierzą, że nadal tam straszy, że w wietrzne noce ciągle słychać stamtąd rozchodzące się echem po okolicy potworne, pełne bólu krzyki. Niektórzy nawet twierdzą, że widzieli w oknie jej twarz. I ręce całe we krwi.

Joannę aż zmroziło. Pociągnęła nerwowo łyk porto i o mało się nie zakrztusiła.

– To tylko takie gadanie. – Fergal popatrzył na nią z troską. – Nie chciałem cię przerazić.

– Nie, nie… To bardzo ciekawe, co mówisz. Siedemdziesiąt lat temu, tak? Muszą tu być jeszcze tacy, którzy to pamiętają.

– Są tacy, owszem. Młodsza siostra tamtej dziewczyny, Ciara, nadal mieszka w ich rodzinnym domu. Ale uważaj, nie zaczepiaj jej. Zawsze brakowało jej piątej klepki, od małego. Ona święcie wierzy w tę historię i ręczę ci, że jeszcze ją ubarwia.

– Dziecko umarło?

– Tak głosi legenda, choć niektórzy są zdania, że to ojciec tej dziewczyny je zamordował. Słyszałem też nawet, że porwały je leprechauny[2]… – Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Spróbuj wyobrazić sobie czasy, zresztą nie tak dawne, kiedy nie było elektryczności, a jedyną rozrywką były spotkania przy piciu, muzyce i opowiadaniu różnych historii, prawdziwych albo i nie. W Irlandii wieści zawsze rozchodziły się niczym w zabawie w głuchy telefon. Każdy próbuje przebić innych. W tym przypadku pewne jest jedno: dziewczyna zmarła. Ale czy właśnie w tym domu? Czy naprawdę oszalała z nieszczęśliwej miłości? – Fergal wzruszył ramionami. – Wątpię.

– A gdzie mieszka ta Ciara?

– Niedaleko, w różowym domku nad zatoką, naprzeciw strażnicy. To musi być dla niej potworny widok. Masz ochotę wyskoczyć stąd i przejrzeć rejestr, który ma mój ojciec?

– Tak, jeśli to dla ciebie nie kłopot.

– Żaden. Nie spiesz się. – Fergal wskazał na jej szklankę. – Pójdziemy, jak będziesz gotowa.

Miało się wrażenie, że w małym urzędzie, w którym przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat odnotowywano wszystkie daty narodzin

i śmierci w Rosscarbery, niewiele się w tym czasie zmieniło poza zamontowaniem świetlówki nad dębowym biurkiem.

Fergal krzątał się w sąsiednim pomieszczeniu, szukając ksiąg z przełomu wieków.

– Ty zajmij się wpisami narodzin, a ja śmierci.

– Dobrze.

Usiedli naprzeciw siebie przy biurku i w milczeniu sprawdzali każdą pozycję w rejestrze. Joanna znalazła pomiędzy rokiem 1897 a 1905 jakąś Fionnulę i Kathleen O'Connell, ale żadnego chłopca o tym nazwisku.

– Masz coś? – spytała.

– Nie, nic. Ale trafiłem na Niamh O'Sullivan, tę zmarłą dziewczynę. Jej śmierć odnotowano drugiego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. Ale nie ma wzmianki, by dziecko umarło wraz z nią, więc sprawdźmy, czy może jest zapis jego narodzin.

Fergal przyniósł inną starą, oprawną w skórę księgę i razem zaczęli przeglądać pożółkłe karty.

– Nic. – Gdy zamknął rocznik, w powietrzu uniósł się obłoczek kurzu, i Joanna gwałtownie kichnęła. – Może z tym dzieckiem to tylko plotki. Nadal jesteś pewna, że ten Michael O'Connell urodził się właśnie tutaj, w Rosscarbery? Wiesz, każde miasto i gmina prowadziły własne zapisy. Mógł przyjść na świat kilka kilometrów dalej, na przykład w Clonakilty czy Skibbereen, i to tam byłby wtedy zarejestrowany.

Joanna potarła czoło.

– Szczerze mówiąc, Fergal, ja nic nie wiem.

– No to może warto posprawdzać zapisy w obu tych miastach. Tylko tu pozamykam i odprowadzę cię do hotelu.

W barze było tłoczniej niż poprzedniego wieczoru. Przed Joanną pojawił się kolejny porter. Została wciągnięta do towarzystwa, z którym rozmawiał Fergal.

– Idź, spotkaj się z Ciarą Deasy, tak dla hecy! – Młoda kobieta o grzywie rudych włosów, strzelająca zaczepnie oczami, zaśmiała się, kiedy usłyszała o fascynacji Joanny domem w zatoce. – Straszyła nas, wszystkie dzieciaki z okolicy, swoimi opowieściami. Myślałam, że to czarownica.

– Przestań, Eileen. Nie jesteśmy kmiotkami, którzy wierzyliby w bajki – upomniał ją Fergal.

– Chyba każdy kraj ma swoje legendy? – Eileen popatrzyła na niego, trzepocząc rzęsami. – I lokalnych dziwaków. Nawet Unia Europejska nie może tego zabronić.

Potem nastąpiła ożywiona dyskusja pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami Unii.

Joanna ukradkiem ziewnęła.

– Cudownie było was poznać, ale idę się położyć. Dziękuję za pomoc.

– Taka młoda dziewczyna z Londynu? Myślałem, że nie chodzicie tam spać przed świtem – odezwał się jeden z mężczyzn.

– To wszystko przez to wasze świeże powietrze. Moje płuca nie radzą sobie z szokiem. Dobranoc. – Ruszyła w kierunku schodów, ale zatrzymała się, bo ktoś poklepał ją po ramieniu.

– Mam jutro wolne do dwunastej – powiedział Fergal. – Mogę pojechać z tobą do urzędu w Clonakilty. Jest większy niż nasz i pewnie będą mieli zapisane, do kogo należy dom strażnicy. Możemy też zajrzeć do kościoła, zobaczyć, czy tam da się coś wyjaśnić. Przyjdę tu jutro o dziewiątej.

Joanna uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. Byłoby wspaniale. Dobranoc.

O dziewiątej następnego dnia Fergal czekał na nią w opustoszałym barze. Pół godziny później byli już w dużym nowo wybudowanym urzędzie. Fergal najwyraźniej znał dobrze kobietę za kontuarem i skinął na Joannę, żeby poszła za nim do pokoju z rejestrami.

– Tak, tu są wszystkie plany Rosscarbery. – Urzędniczka wskazała półkę pełną teczek z dokumentami i podeszła do drzwi. – Jeślibyś jeszcze czegoś potrzebował, Fergal, to tylko zawołaj, dobrze?

– Jasne, Ginny. Dziękuję.

Kiedy Joanna szła za nim do półki, pomyślała, że na pewno jest on obiektem westchnień wszystkich tutejszych panien.

– Dobra. Bierzesz tę stertę, ja tę. Musi tu być coś o tym domu.

Przez godzinę przeglądali pożółkłe strony zakurzonych dokumentów, aż wreszcie Fergal wydał triumfalny okrzyk.

– Mam skurczybyka! Chodź i zobacz.

W teczce były plany domu w zatoce.

– *Projekt wykonany dla pana H.O. Bentincka, dom Drumnogue, Rosscarbery, 1869* – odczytał głośno. – To był ten Anglik, który tu mieszkał. Wyjechał podczas wybijania się Irlandii na niepodległość. Jak wielu Anglików.

– Ale pewnie nie znaczy to, że do tej pory jest właścicielem domu. Przecież minęło ponad sto dwadzieścia lat.

– Jego praprawnuczka, Emily Bentinck, nadal mieszka w Ardfield, w połowie drogi między Clonakilty i Rosscarbery. Rozwinęła biznes i teraz na swojej posiadłości układa konie wyścigowe. Podjedź i spytaj. Może wie coś więcej na temat tego, co

cię interesuje. – Fergal spojrzał na zegarek. – Za pół godziny muszę wracać. Skserujmy te dokumenty i lećmy do kościoła, dobrze?

Kiedy przywitał się z księdzem i chwilkę z nim porozmawiał, z zamkniętych szaf wydobyto i udostępniono im stare księgi chrztów.

Joanna przesuwała szybko palcem po zapisach.

– Popatrz! – Aż oczy jej zabłysły z emocji. – Michael James O'Connell. Ochrzczony dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku. To musi być on!

– No to już masz, Joanno – powiedział Fergal, uśmiechając się szeroko. Zerknął na zegarek. – Pora wracać. Nie mogę się spóźnić na lekcje. Po drodze zapiszę ci, jak trafić do posiadłości Bentinck.

Joanna, siedząc za kierownicą, wyjeżdżała z Clonakilty w kierunku Rosscarbery.

– No i co teraz, kiedy znalazłaś tego, kogo szukasz? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Ale przynajmniej wiem, że nie szukałam wiatru w polu.

Podrzuciła Fergala do szkoły, po czym ruszyła, według jego wskazówek, do Ardfield. Po dwudziestu minutach niezbyt przyjemnej jazdy wąskimi wiejskimi drogami dotarła pod bramę posiadłości Drumnogue. Tocząc się po pełnym dziur podjeździe, zobaczyła w końcu duży biały budynek. Zaparkowała przy ubłoconym land roverze i wysiadła. Z domu roztaczał się olśniewający widok na Atlantyk, którego wody ciągnęły się aż po horyzont.

Joanna rozglądała się za jakimiś śladami życia, ale miało się wrażenie, że za wysokimi georgiańskimi oknami panuje bezruch. Drzwi frontowe znajdowały się między kolumnami. Kiedy się do

nich zbliżyła, dostrzegła, że są uchylone. Nikt nie odpowiedział na pukanie, pchnęła je więc delikatnie i zawołała:

– Halo?!

Jej głos odbił się echem w przepastnym holu.

Czuła, że nie powinna wchodzić dalej, cofnęła się więc i obeszła dom. Na jego tyłach zobaczyła stajnie. Jakaś kobieta w starej kurtce i bryczesach szczotkowała konia.

– Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam pani Emily Bentinck.

– To ją pani znalazła – powiedziała kobieta z angielskim akcentem. – W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Joanna Haslam. Przyjechałam tu dowiedzieć się czegoś o swoich przodkach. Może mogłaby mi pani powiedzieć, czy strażnica morska w Rosscarbery nadal należy do pani rodziny?

– Jest pani zainteresowana kupnem?

– Nie. Niestety, nie stać mnie na to – odparła z uśmiechem Joanna. – Ciekawi mnie bardziej historia tego domu.

– Ach, tak. – Pani Bentinck nie przerywała swojego zajęcia. Szczotkowała konia mocnymi pociągnięciami dłoni. – Niewiele o niej wiem, poza tym, że mój prapradziadek zlecił jego budowę pod koniec dziewiętnastego wieku w imieniu brytyjskiego rządu. Chcieli mieć strażnicę w zatoce, żeby ukrócić przemyt na tych wodach. Nie sądzę, by ten dom kiedykolwiek należał do naszej rodziny.

– Rozumiem. A może potrafiłaby mi pani powiedzieć, jak mogłabym sprawdzić, kto był jego właścicielem?

– No i gotowe, Sierżancie, grzeczny chłopak. – Emily Bentinck poklepała konia po zadzie i odprowadziła go do jednego z boksów. Wyszła i popatrzyła na zegarek. – Zapraszam na filiżankę herbaty. I tak zamierzałam zaparzyć dla siebie.

Joanna usiadła w wielkiej, zabałaganionej kuchni, a gospodyni

nastawiła czajnik na kuchence, by zagotować wodę. Ściany były ciasno obwieszone setkami kotylionów zdobytych w zawodach zarówno w Irlandii, jak i za granicą.

– Muszę przyznać, że nie za bardzo spieszyło mi się do odkrywania rodzinnej historii. Stale zajmowałam się końmi, starałam się postawić gospodarstwo na nogi. – Emily Bentinck nalała Joannie herbatę z dużego dzbanka ze stali nierdzewnej. – Babcia mieszkała tu do śmierci, używając tylko dwóch pokoi na dole. Kiedy przyjechałam dziesięć lat temu, posiadłość popadała w ruinę. Niestety, niektóre rzeczy bezpowrotnie uległy zniszczeniu. Straszna wilgoć w powietrzu. Jeśli tylko gdzieś się dostanie, wszystko gnije.

– To piękny dom.

– O tak. W czasach świetności był niezwykle zadbany. Odbywały się tu legendarne przyjęcia, bale i polowania. Mój pradziadek podejmował wielkich i możnych z całej Europy, nie wyłączając rodziny królewskiej. Podobno nawet książę Walii przyjechał tu na schadzkę z kochanką. To było idealne miejsce, żeby się ukryć. Do Clonakilty z Anglii regularnie przypływały łodzie z bawełną. Można było wsiąść na pokład i pływać wzdłuż wybrzeża, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Odnawia pani posiadłość?

– Oczywiście, próbuję. Jeśli tylko konie wrócą w przyszłym tygodniu z Cheltenham z kilkoma nagrodami, to wyjdziemy na prostą. Ten dom jest za duży dla mnie samej. Zamierzam zorganizować to tak, by sam siebie utrzymywał. Otworzę go dla turystów jako luksusowy pensjonat. Tyle że może potrwać jeszcze wiele lat, nim dopnę swego. Proszę mi powiedzieć – bystre oczy Emily Bentinck zatrzymały się uważnie na Joannie – czym się pani zajmuje?

– Jestem dziennikarką, ale nie przyjechałam tu służbowo. Szukam śladów krewnych. Ktoś z mojej rodziny przed śmiercią wspominał o Rosscarbery i domu, który wchodzi głęboko w zatokę.

– Był Irlandczykiem?

– Tak. Odnalazłam zapis jego chrztu w kościele w Clonakilty.

– Jak się nazywał?

– Michael O'Connell.

– Ach, tak. Gdzie się pani zatrzymała?

– W hotelu Ross.

– No dobrze. Wieczorem pogrzebię trochę w starych dokumentach w bibliotece. Może uda mi się coś znaleźć dla pani na temat tego miejsca. Teraz, niestety, muszę wracać do stajni.

– Dziękuję bardzo. – Joanna dopiła herbatę, wstała, po czym wyszły razem z kuchni.

– Jeździ pani konno?

– O tak. Wychowałam się w Yorkshire, większość dzieciństwa spędziłam w siodle.

– Gdyby pani chciała sobie pojeździć podczas pobytu tutaj, zapraszam. No to na razie.

Emily Bentinck pomachała jej na do widzenia.

Wieczorem, kiedy Joanna siedziała w tym samym miejscu co zwykle przy kominku, zawołał ją gospodarz hotelu.

– Telefon do pani. To Emily z Drumnogue.

– Dzięki.

Joanna wstała i przeszła za kontuar, by odebrać.

– Halo?

– Tu Emily Bentinck. Dogrzebałam się do czegoś ciekawego, szukając tego, co panią interesuje. Wygląda na to, że naszemu

sąsiadowi udało się w tajemnicy przed moją babcią przywłaszczyć sobie co najmniej cztery i pół hektara z naszej posiadłości i ogrodzić je drzewami.

– Przykro mi. Jest pani w stanie odzyskać tę ziemię?

– Nie. Tutaj po siedmiu latach po ogrodzeniu terenu, jeśli nikt nie domaga się go z powrotem, działka jest twoja. To wyjaśnia, dlaczego ten nasz sąsiad zawsze ucieka w popłochu, kiedy mnie widzi. Trudno, zostało mi jeszcze ponad sto hektarów, ale muszę pomyśleć o ogrodzeniu ich w najbliższej przyszłości.

– O Boże. A udało się pani znaleźć coś na temat strażnicy?

– Niestety, nie. Trafiłam na kilka dokumentów dotyczących własności jakichś chałup, które pewnie dawno się zawaliły, ale nic związanego z domem w zatoce. Powinna pani poszukać w hipotekach w Dublinie.

– Ile czasu na to potrzeba?

– O, z tydzień, dwa.

– Mogę wystąpić o to sama?

– Tak sądzę, jeśli tylko weźmie pani ze sobą odpowiednie mapy. To jednak spory kawałek drogi. Dobre cztery godziny samochodem. Radziłabym pojechać ekspresem z Cork. Będzie szybciej.

– W takim razie wybiorę się tam jutro. Nigdy nie byłam w Dublinie, chciałabym zobaczyć to miasto. W każdym razie dziękuję za pomoc. Jestem pani bardzo wdzięczna.

– Nie tak szybko! Mówiłam, że nie znalazłam żadnych dokumentów dotyczących prawa własności, ale natknęłam się na parę innych rzeczy, które mogłyby panią zainteresować. Po pierwsze, choć może to tylko przypadkowa zbieżność, znalazłam starą księgę, w której zapisywano wypłaty dla służby w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Pada tam nazwisko Michaela O'Connella.

– Ach, tak. Możliwe więc, że pracował w posiadłości pani rodziny wiele lat temu?

– Na to wygląda.

– A co robił?

– W zapiskach nic nie ma na ten temat. Niestety. Ale w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim jego nazwisko znika z listy płac. Przypuszczam więc, że musiał wyjechać.

– Jeszcze raz dziękuję. Naprawdę bardzo mi pani pomogła.

– Po drugie, znalazłam list. Został napisany do mojego pradziadka w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Chce pani wpaść jutro, żeby go sobie obejrzeć?

– Mogłaby mi go pani przeczytać teraz? Tylko wezmę coś do pisania i papier, żeby sobie notować. – Joanna pokazała na migi Margaret, czego potrzebuje.

– Oczywiście. No dobrze, to idzie tak. List ma datę jedenastego listopada. *Drogi Stanleyu…* to mój pradziadek.

Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Lord Ashley prosił mnie, bym napisał do Ciebie i poinformował Cię o przybyciu na wybrzeże pewnego dżentelmena, gościa z ramienia rządu Jego Wysokości. Zamieszka w strażnicy morskiej, a przybędzie tam drugiego stycznia 1926 roku. Jeśli to możliwe, prosilibyśmy Cię o odebranie go z łodzi, która przypłynie do portu Clonakilty około pierwszej w nocy. A potem o pomoc w bezpiecznym dotarciu do wyznaczonej siedziby. Czy będziesz tak dobry i załatwisz jakąś kobietę z miasteczka, która by przyszła i wysprzątała dom przed jego przyjazdem? Może chciałaby pracować dla owego dżentelmena na stałe, prowadzić mu dom i gotować?

Sytuacja z tym dżentelmenem jest niezwykle delikatna.

Wolelibyśmy, by jego obecność w strażnicy morskiej była trzymana w tajemnicy. Lord Ashley sygnalizował, że będzie z nami w kontakcie i poda dalsze szczegóły. Oczywiście, wszelkie koszty zostaną pokryte ze środków rządowych Jego Wysokości. Prześlij mi rachunki. Na koniec: pozdrów ode mnie Amelię i dzieci.

Twój szczerze oddany
porucznik John Moore

– To wszystko – powiedziała Emily. – Zdołała pani uchwycić, o co tu chodzi?

– Mniej więcej. – Joanna przebiegła wzrokiem swoje stenograficzne notatki. – Pewnie nie znalazła już pani żadnej korespondencji, która wskazywałaby, kim mógł być ten dżentelmen?

– Niestety, nie. W każdym razie mam nadzieję, że to pani pomoże w poszukiwaniach. Powodzenia w Dublinie. Dobranoc.

28

Zoe otworzyła okiennice i wyszła na szeroki taras. Pod nią mieniło się turkusowo Morze Śródziemne. Na błękitnym niebie nie było jednej chmurki, słońce przygrzewało. Gdyby to była Anglia, mogłaby pomyśleć, że to lipiec. Nawet pokojówka powiedziała, że jest niezwykle ciepło jak na marzec na Minorce.

Willa, w której zatrzymali się z Artem, była po prostu piękna. Należała do jednego z braci króla Hiszpanii. Bielone, zwieńczone wieżyczkami mury otaczały szesnaście hektarów cudownej przyrody. W samej willi czuło się ciepły powiew od wielkich, sięgających podłogi okien, a ogromne przestrzenie wyłożonej kaflami posadzki lśniły pielęgnowane niewidzialną ręką. Dom zbudowano wysoko, z widokiem na morze, więc jeśli tylko paparazzi nie byli gotowi wspinać się dwadzieścia metrów po pionowej skale ani zmierzyć z rottweilerami strzegącymi potężnych murów zabezpieczonych górą drutem pod prądem, Zoe i Art mogli spokojnie nacieszyć się sobą, pewni, że nikt ich nie będzie nękał.

Usiadła na leżaku i zapatrzyła się w dal. Art jeszcze spał. Nie chciała go budzić. Ostatni tydzień był pod każdym względem cudowny. Po raz pierwszy nic ich nie rozdzielało. Mogli być stale razem. Świat został gdzieś daleko. Życie toczyło się jakoś swoim trybem bez nich.

Noc i dzień Art przysięgał jej wieczną miłość. Obiecywał, że nie pozwoli, by cokolwiek stanęło mu na drodze. Kochał ją, chciał z nią

zostać na zawsze, a jeśli inni tego nie zaakceptują, był gotów do drastycznych posunięć.

O takim biegu wypadków marzyła od lat. I nie rozumiała, dlaczego teraz nie rozpiera jej euforia.

Może po prostu dopadał ją stres nagromadzony w czasie ostatnich kilku tygodni. Wiele osób mówi, że ich miesiąc miodowy wcale nie był tak idealny, jak się spodziewali. Rzeczywistość rzadko dorasta do oczekiwań. A może Zoe uświadomiła sobie, jak mało znali się z Artem na co dzień? Ponad dziesięć lat temu byli ze sobą krótko, jako nastolatki, niedojrzałe, nadwrażliwe istoty, na oślep poszukujące swojej drogi do dorosłości. A w ostatnich tygodniach spędzili ze sobą nie więcej niż trzy, cztery dni. I jeszcze mniej nocy.

– Skradzione chwile… – szepnęła sama do siebie Zoe.

Ale oto byli razem, a ona, zamiast czuć się zrelaksowana, była napięta jak struna. Poprzedniego wieczoru kucharz przyrządził im cudowną paellę. Kiedy ją podał, Art wydął wargi i zasugerował, by następnym razem konsultował się z nim, zanim im coś ugotuje. Najwyraźniej nie znosił owoców morza w żadnej postaci. Zoe zabrała się do jedzenia z apetytem i uprzejmie wychwalała maestrię kucharza, co wywołało fochy Arta. Zarzucał jej, że za bardzo spoufala się ze służbą.

Było też wiele innych drobiazgów w ostatnich dniach, które irytowały Zoe. Miała wrażenie, że zawsze robią to, czego on chce. Oczywiście najpierw przedstawiał jej propozycję, ale zawsze przekonywał ją do swoich planów, a ona w końcu dla świętego spokoju się na nie godziła. Odkryła też, że bardzo mało ich łączy, czemu trudno się dziwić, skoro ich światy były tak bardzo odległe. Mimo edukacji w świetnych szkołach publicznych i na uniwersytetach, szerokiej wiedzy na temat kultury i polityki, Art nie miał pojęcia o tym, czym żyją na co dzień przeciętni ludzie. Jak

gotowanie, oglądanie seriali komediowych w telewizji, zakupy… normalne, przyjemne zajęcia. Zdała sobie sprawę, jak trudno mu się odprężyć, jak wiele w nim nerwowej energii. Nawet jeśli zgodziłby się obejrzeć z nią jakiś film, wątpiła, by doszli do porozumienia, który wybrać.

Westchnęła. Była pewna, że większość par, które nagle zaczynają żyć razem dwadzieścia cztery godziny na dobę, odkrywa takie różnice. Wszystko się ułoży, zapewniała siebie, a magiczny romans z przeszłości znów wybuchnie z całą mocą.

Oczywiście problem pogarszał fakt, że tkwili w najbardziej luksusowym więzieniu, jakie można sobie wyobrazić. Zoe spojrzała w dół i przyszło jej do głowy, ile by dała, żeby po prostu wyjść z tego domu i ruszyć samotnie na długi spacer plażą. Ale to oznaczałoby konieczność powiadomienia Dennisa, ochroniarza, który podążyłby w ślad za nią samochodem, i co zostałoby z samotnej przechadzki? Choć z jakichś powodów nigdy nie przeszkadzała jej obecność Simona. Jego towarzystwo działało na nią kojąco.

Wstała i oparła łokcie na balustradzie tarasu, przypominając sobie te dwadzieścia cztery godziny, które spędzili z Simonem na Welbeck Street. Jak jej gotował, pocieszał ją, kiedy rozpaczała… Wtedy czuła się sobą, zwyczajną Zoe, która niczego nie musi udawać.

A czy z Artem jest sobą…?

Nie była pewna.

– Dzień dobry, kochanie – dobiegł ją jego głos z łóżka, kiedy na palcach szła przez sypialnię do łazienki.

– Dzień dobry – odpowiedziała promiennie.

– Chodź tu. – Wyciągnął do niej ramiona.

Podeszła do niego i dała się objąć. Jego pocałunek był długi, namiętny i zatraciła się w nim bez reszty.

– Kolejny dzień w raju – zamruczał. – Umieram z głodu. Zamówiłaś śniadanie?

– Nie, jeszcze nie.

– Może poszłabyś do Marii? Niech przyniesie nam świeży sok z pomarańczy, croissanty i wędzone śledzie. Mieli je dostarczyć wczoraj samolotem. Aż mi ślinka cieknie na myśl o nich. – Poklepał ją czule po pupie. – Ja tymczasem wezmę prysznic. Zobaczymy się na tarasie na dole.

– Ale, Art, właśnie miałam iść pod prysz…

– Co takiego, kochanie?

– Nic, nic. – Westchnęła. – Do zobaczenia na dole.

Spędzili resztę przedpołudnia, opalając się przy basenie. Zoe czytała powieść, Art przeglądał brytyjskie gazety.

– Posłuchaj tego: *Czy synowi monarchy powinno się pozwolić na ślub z niezamężną matką*?

– Naprawdę, Art, nie chcę tego wiedzieć.

– Ależ tak, chcesz. Gazeta przeprowadziła sondaż telefoniczny i dwadzieścia pięć tysięcy jej czytelników zadzwoniło, by wyrazić swoją opinię. Osiemnaście tysięcy powiedziało: tak. To ponad dwie trzecie. Zastanawiam się, czy przeczytali to moi czcigodni rodzice.

– Czy to coś zmienia?

– Oczywiście. Zdanie opinii publicznej ogromnie się dla nich liczy, zwłaszcza teraz. Patrz, jest nawet jakiś biskup protestancki, który udzielił wywiadu „Timesowi”, by nas wesprzeć. Mówi, że samotne matki są częścią współczesnego społeczeństwa i jeśli monarchia ma przetrwać w nowym tysiącleciu, musi zrzucić okowy i pokazać, że potrafi się dostosować.

– Założę się, że z kolei taki „Telegraph” znalazł jakiegoś biadającego stróża moralności, który twierdzi, że osoby publiczne

powinny dawać przykład innym, a nie usprawiedliwiać się upadkiem obyczajów wśród pospólstwa – mruknęła ponuro Zoe.

– Oczywiście, ale posłuchaj, kochanie. – Art wstał z fotela i przysiadł przy niej na leżaku, ujął jej dłoń i pocałował. – Kocham cię. Tak czy inaczej, Jamie to moja krew. Jakkolwiek na to patrzeć, bez względu na wyznawane zasady moralne, nasze małżeństwo jest właściwe…

– Ale nikt nie może się nigdy dowiedzieć, że on jest twoim synem, prawda? I w tym sęk. – Zoe wstała z leżaka i zaczęła chodzić tam i z powrotem. – Nie wiem, jak kiedykolwiek powiem mu o nas.

– Kochanie, oddałaś ponad dziesięć lat życia Jamiemu. Był błędem, który…

Zoe obróciła się nagle do niego. Jej oczy płonęły gniewem.

– Nie waż się nazywać Jamiego błędem!

– Nie miałem nic złego na myśli, kochanie, naprawdę. Mówię tylko, że on dorasta, zaczyna własne życie. A tu chodzi o ciebie i o mnie, o nasze szczęście, zanim będzie na to za późno, prawda?

– On nie jest dorosły, Art! Do tego daleko. Ma dopiero dziesięć lat. I sugerujesz, że wychowywanie go było z mojej strony poświęceniem. Bynajmniej! On jest dla mnie najważniejszy na świecie. Zrobiłabym to samo raz jeszcze i niczego nie żałuję.

– Wiem, wiem. Przepraszam. O rany, dziś rano wszystko wychodzi jakoś nie tak – mruknął Art. – W każdym razie mam pewną dobrą wiadomość. Zamówiłem jacht. Pożeglujemy na Majorkę zabrać w zatoce mojego przyjaciela księcia Antonia i jego żonę Mariellę. Potem wyruszymy na pełne morze na kilka dni. Na pewno bardzo ich polubisz. Doskonale rozumieją naszą sytuację. – Wyciągnął do niej rękę i pogładził jej włosy. – Kochanie, rozchmurz się.

Zaraz po lunchu, kiedy służąca pakowała jej rzeczy do zabrania

na jacht, zadzwonił telefon. Zoe zobaczyła, że to dyrektor szkoły Jamiego, i od razu odebrała.

– Halo?

– Pani Harrison? Tu doktor West.

– Witam pana. Czy wszystko w porządku?

– Niestety, nie. Jamie zaginął. Zniknął dziś rano, tuż po śniadaniu. Przeszukaliśmy szkołę i teren bardzo dokładnie i nie ma po nim śladu.

– O Boże! – Zoe słyszała, jak serce pompuje jej krew. Przysiadła na łóżku, nim osunęła się skulona na podłogę. – Ja… czy on coś zabrał? Jakieś ubrania? Pieniądze?

– Nie, żadnych ubrań, ale wczoraj był dzień wręczania kieszonkowego, więc może mieć przy sobie gotówkę. Nie chciałbym pani niepokoić, jestem pewien, że Jamiemu nic się nie stało, jednak przyznam, że trochę się martwię. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie można wykluczyć, choć to bardzo mało prawdopodobne, że pani syn został porwany.

Zoe położyła dłoń na ustach.

– O mój Boże, o Boże! Dali państwo znać policji?

– Dlatego właśnie do pani dzwonię, chcę panią poprosić o pozwolenie na zgłoszenie zaginięcia Jamiego.

– Tak, tak! Niech pan powiadomi natychmiast policję. Ja postaram się przylecieć najszybciej, jak to możliwe. Proszę od razu dawać mi znać, gdyby coś było wiadomo.

– Oczywiście. Niech się pani stara zachować spokój. To wszystko tylko na wszelki wypadek. Takie rzeczy zdarzają się często. Kłótnia z przyjacielem, nagana od nauczyciela… Uciekinierzy na ogół po paru godzinach są tu z powrotem. To może być taki banalny przypadek. Zaraz przepytam wszystkich chłopców z jego klasy. Może w ten sposób dowiemy się, co się stało.

– Dobrze, dziękuję, do widzenia.

Zoe, cała rozdygotana, usiadła na łóżku. Próbowała wziąć się w garść.

– Bbb…łagam, Bbb…oże, oddam wszystko, wszystko, byle tylko on wyszedł z tego cało, ocal go, błagam!

– Señora? Nic pani nie jest?

Maria nie doczekała się odpowiedzi.

– Pójdę po Jego Książęcą Wysokość, dobrze?

Po kilku minutach w pokoju pojawił się Art.

– Kochanie, co się dzieje?

– Chodzi o Jamiego! – Spojrzała na niego oczami pełnymi rozpaczy. – Zaginął. Dyrektor szkoły myśli, że mógł zostać porwany! – Zoe otarła dłońmi łzy. – Jeśli coś mu się stanie przez moje samolubne… to…

– Chwileczkę, Zoe. Posłuchaj mnie uważnie. Wszyscy chłopcy uciekają ze szkoły. Nawet mnie się to kiedyś zdarzyło, postawiłem na nogi wszystkich agentów ochrony, a…

– Tak, ale ty miałeś ich do dyspozycji, prawda? Pytałam cię, czy Jamie dostanie jakąś ochronę, ale stwierdziłeś, że to nie jest konieczne, a teraz patrz, do czego doszło!

– Przecież nie ma powodu podejrzewać nic złego. On na pewno ma się dobrze i wróci z powrotem do szkoły zdrowy jak rydz jeszcze przed kolacją, więc…

– Skoro nie ma powodu podejrzewać nic złego, to po co, na Boga, dałeś ochroniarza mnie, a nie swojemu synowi? To twój syn, dużo bardziej bezbronny niż ja. O Boże, Boże!

– Zoe! Uspokój się wreszcie. Niepotrzebnie wyolbrzymiasz problem.

– Co?! Mój syn zaginął, a ty oskarżasz mnie, że przesadzam! Załatw mi samolot, natychmiast! – Zaczęła wrzucać rzeczy do na

wpół spakowanej walizki.

– Nie pleć głupstw! Oczywiście, jeśli nie pojawi się do jutra rana, zorganizujemy twój powrót, ale dziś wieczorem popłyńmy jachtem i zjedzmy miłą kolację z Antoniem i Mariellą. Oni tak się cieszą na spotkanie z tobą. To pomoże ci odwrócić trochę myśli.

Oburzona Zoe cisnęła w niego butem.

– Odwrócić myśli! Jezu Chryste! Mówimy o moim synu, nie o jakimś zbłąkanym kotku czy piesku! Jamie zaginął! Nie mogę pływać po Morzu Śródziemnym i dobrze się bawić, kiedy mojemu dziecku, mojemu synkowi – Zoe wyrwał się szloch – może coś grozić.

– Naprawdę popadasz w paranoję. – Zirytowany Art zacisnął usta. – Poza tym wątpię, abyśmy mogli zorganizować ci powrót do kraju już dzisiaj. Będziesz musiała polecieć rano.

– To nie przekracza twoich możliwości, Art. W końcu jesteś księciem. Twoje życzenie to dla wszystkich rozkaz. Załatw mi natychmiast samolot albo sama coś sobie znajdę! – Teraz już krzyczała, nie licząc się z tym, co o niej pomyśli.

– Dobrze już, dobrze. – Uniósł dłonie w obronnym geście, cofając się do drzwi. – Zobaczę, co da się zrobić.

Trzy godziny później Zoe stała w małej salce dla VIP-ów na lotnisku pod Mahon. Wyruszała do Londynu – najpierw prywatnym samolotem do Barcelony, a stamtąd British Airways na Heathrow.

Art nie pojechał z nią na lotnisko, popłynął jachtem na Majorkę. Pożegnali się chłodno, uprzejmym cmoknięciem w policzek, gdy Zoe wsiadała do samochodu.

Grzebała w torbie w poszukiwaniu komórki. Będzie północ, nim stanie na brytyjskiej ziemi, by szukać syna. Tymczasem miała tylko

jedną osobę na świecie, której mogła absolutnie zaufać, że jej pomoże.

Wybrała numer, modląc się, by odebrał. I Bóg jej wysłuchał.

– Halo?

– Simon? Tu Zoe Harrison.

A/P

29

Joanna siedziała w pociągu ekspresowym z Cork do Dublina zapatrzona w strużki deszczu spływające po drugiej stronie szyby. Od poprzedniego wieczoru nie przestawało padać. Bębniące o parapet krople deszczu nie dały jej zasnąć. Ten hałas niczym jakaś hipnotyczna tortura narastał w jej głowie. Miała wrażenie, że to nie ulewa, ale siekący grad. Choć pewnie i tak nie zdołałaby usnąć. Była zbyt spięta. Przez większość nocy gapiła się w spękany sufit, zastanawiając się, dokąd mogą ją doprowadzić nowe odkrycia.

Sytuacja z tym dżentelmenem jest niezwykle delikatna.

Co to niby znaczy…? Na co to wszystko razem wskazuje? – myślała wyczerpana. Skrzyżowała ręce na piersi, zamknęła oczy i postanowiła przedrzemać pozostałe godziny podróży.

– Czy to miejsce jest wolne?

To był męski głos o amerykańskim akcencie. Otworzyła oczy i zobaczyła wysokiego, muskularnego mężczyznę w koszuli w kratę i dżinsach.

– Tak.

– Świetnie. Tak trudno znaleźć w pociągu wagon dla palących. U nas już w ogóle ich nie ma.

Joanna była trochę zdziwiona, że usiadła w wagonie dla palaczy. W normalnych warunkach nigdy by tego nie zrobiła. Ale zwykle nie bywała aż tak bardzo zmęczona i skołowana.

Mężczyzna usiadł naprzeciw niej przy stoliku i zapalił papierosa.

– Poczęstuje się pani?

– Nie, dzięki, nie palę – odparła, modląc się w duchu, żeby ten facet nie kurzył tu jednego za drugim i nie wciągał jej w rozmowę przez następne dwie i pół godziny podróży.

– Mam zgasić?

– Nie, mnie to nie przeszkadza.

Zaciągnął się znowu, przypatrując się jej.

– Jest pani Angielką?

– Tak.

– Byłem w Anglii, zanim tu przyjechałem. Mieszkałem w Londynie. Bardzo mi się tam podobało.

– To dobrze – skwitowała obcesowo.

– Ale Irlandię po prostu uwielbiam. Pani tu na urlop?

– Coś w tym rodzaju. Połączony z pracą.

– Jest pani podróżującą pisarką?

– Nie, tylko dziennikarką.

Mężczyzna popatrzył na mapę topograficzną Rosscarbery na stoliku przed nią.

– Zamierza pani coś tu kupić?

Rzucił to jakby nigdy nic, ale Joanna zesztywniała i przyjrzała mu się dokładniej.

– Nie, tylko chcę poznać historię pewnego domu.

– Ma jakiś związek z pani rodziną?

– Tak.

Zatrzymał się przy nich jeżdżący barek.

– O rany… umieram z głodu. To pewnie przez to świeże powietrze. Poproszę kawę i jedno z tych ciastek, i jeszcze kanapkę z tuńczykiem. Może ma pani na coś ochotę, pani…?

– Mam na imię Lucy – skłamała szybko. – Kawę poproszę – zwróciła się do młodej kobiety obsługującej wózek z bufetem.

Sięgnęła do plecaka po portfel, ale mężczyzna powstrzymał ją gestem.

– Hej, stać mnie jeszcze, by postawić ci kawę. – Z uśmiechem podał jej kubek. – Kurt Brosnan. Nie mam nic wspólnego z Pierce'em, że uprzedzę pytanie szanownej pani.

– Dziękuję za kawę, Kurt.

Złożyła mapę, choć on chyba przestał się już nią interesować. Skupił się na odpakowywaniu kanapki z tuńczykiem, po czym zachłannie się w nią wgryzł.

– Na zdrowie – powiedział. – Sądzisz więc, że masz tu w Irlandii jakieś dziedzictwo?

– Możliwe.

Joanna poddała się i postanowiła zrezygnować z drzemki, póki ten Kurt jest w pociągu. Teraz, kiedy żuł kanapkę, krusząc na stolik, była na siebie zła za tę paranoję. Nie każdy na ciebie poluje, upomniała siebie. W dodatku to Amerykanin, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

– Ja też – rzucił. – W małym starym miasteczku na wybrzeżu w zachodniej części hrabstwa Cork. Wygląda na to, że mój prapradziadek pochodzi z Clonakilty.

– To w sąsiedztwie miejscowości, w której się zatrzymałam, Rosscarbery.

– Naprawdę? – Kurt rozpromienił się z radości jak dziecko. – Byłem tam nie dalej jak przedwczoraj, w tej wielkiej katedrze. Wypiłem w tym miasteczku najlepszego portera w życiu, w tym hoteliku…

– Ross? Tam mieszkam.

– No nie mów! Jedziesz do Dublina?

– Tak.

– Byłaś tam już kiedyś?

– Nie. Mam tam coś do załatwienia, a potem zamierzam zrobić sobie rundkę po mieście. A ty znasz Dublin?

– Nie, droga pani, to dla mnie też pierwszy raz. Może powinniśmy połączyć siły?

– Muszę pójść do rejestru ksiąg wieczystych. Sprawdzenie tego, o co mi chodzi, może zająć wiele godzin.

– To tam trzymają kartotekę własności ziemskiej? – spytał Kurt, zabierając się teraz za ciastko.

– Tak.

– Próbujesz sprawdzić, czy masz tu coś do odziedziczenia?

– W pewnym sensie. Jest taki jeden dom w Rosscarbery. Zdaje się, że nikt nie wie, do kogo należy.

– Tutaj wszystko jest bardziej na słowo honoru, nie to co u nas. – Przewrócił oczami. – Nikt nie ma alarmu w samochodzie ani nie zamyka drzwi na klucz. Wczoraj byłem w restauracji. Właścicielka ni z tego, ni z owego powiedziała, że musi na chwilę wyjść, i poprosiła, żebym odstawił talerz do zlewu i zamknął za sobą! Co kraj, to obyczaj. No to – Kurt skinął w kierunku mapy – pokaż, gdzie ten dom.

Mimo początkowych obaw Joanny reszta drogi do Dublina minęła dość przyjemnie. Kurt był sympatycznym towarzyszem i zabawiał ją opowiadaniem o rodzinnym Chicago. Kiedy wjeżdżali na dworzec Heuston, wyciągnął z kieszeni mały notes i złote pióro.

– Daj mi swój numer w Rosscarbery. Kiedy wrócisz, moglibyśmy umówić się na drinka.

Joanna zapisała mu numer telefonu komórkowego na karteczce i podała. Schował ją wyraźnie ucieszony.

– Dzięki rozmowie z tobą podróż minęła w okamgnieniu. Kiedy wracasz do Cork, Lucy?

– O, nie jestem pewna. Nie mam sztywnego planu.

Wstała, kiedy pociąg się zatrzymywał.

– Miło było cię poznać, Kurt.

– Nawzajem, Lucy. Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy.

– Może. Do widzenia.

Uśmiechnęła się do niego i poszła za innymi pasażerami wysiadającymi z pociągu.

Wzięła taksówkę i pojechała do biura rejestrów własności ziemskich, które znajdowało się przy sądach niedaleko rzeki. Po wypełnieniu niekończących się ankiet stanęła w kolejce do okienka i w końcu dostała zamówioną teczkę.

– Tam jest wolne biurko, jeśli chce pani przestudiować rejestr – poradziła jej młoda urzędniczka.

– Dziękuję.

Joanna ruszyła na wskazane miejsce i usiadła. Z rozczarowaniem odkryła, że rząd królewskiej mości dwudziestego siódmego czerwca 1928 roku przekazał budynek strażnicy *wolnemu państwu Irlandii*. Po zrobieniu kopii prawa własności i planów oddała dokumenty, podziękowała urzędniczce i wyszła.

Na zewnątrz nadal lało. Otworzyła swój marniutki londyński parasol i poszła piechotą aż do Grafton Street, przy której było mnóstwo małych przecznic z kusząco wyglądającymi pubami. Wskoczyła do pierwszego z brzegu i zamówiła szklankę guinnessa. Zdjęła kurtkę, która, choć miała na metce napis *Wodoodporna*, jakoś nie spełniła swojego zadania. Joanna przeczesała palcami wilgotne włosy.

– Trochę dziś mglisto, prawda? – zagadnął barman.

– Czy tu kiedykolwiek przestaje padać?

– Nieczęsto, raczej nie – odparł bez ironii. – A wszyscy zastanawiają się, dlaczego tylu z nas popada w alkoholizm.

Już miała zamówić kanapkę z serem, kiedy w drzwiach pojawiła się znajoma postać.

Od razu ją rozpoznał i pomachał do niej uradowany.

– Witaj, Lucy!

Podszedł i siadł obok niej na stołku przy barze. Woda spływająca z jego kurtki utworzyła sporą kałużę na podłodze.

– Poproszę guinnessa i drugą szklaneczkę dla pani – powiedział do barmana.

– Ale… ja już jedną wypiłam, dzięki – zaprotestowała, starając się ukryć, że nie wierzy w przypadkowość tego spotkania.

Musiał wyczuć coś w jej głosie.

– Hej, to naprawdę nic dziwnego, że się na siebie natknęliśmy. Jesteś w jednym z najsłynniejszych pubów w Dublinie. Bailey to obowiązkowy punkt programu dla wszystkich turystów. Sam James Joyce tu bywał.

– Serio? Nie zauważyłam nazwy. Uciekłam tu przed deszczem.

– I co ci się udało ustalić?

– Nic. – Sięgnęła po szklankę.

– Mnie też dziś rano szło jak po grudzie. Jest tak mokro, że trzeba by było mieć wycieraczki na oczach, żeby cokolwiek widzieć. Postanowiłem się poddać, napić się trochę, a wieczorem pozwolić sobie na odrobinę luksusu. Zarezerwowałem pokój w Shelbourne, chyba najlepszym hotelu w mieście.

– Fajnie. Poproszę o kanapkę z serem – zwróciła się Joanna do barmana.

– Słuchaj, a może wpadłabyś na kolację do mojego hotelu. Ja zapraszam, żeby poprawić ci humor.

– Dziękuję za propozycję, ale…

Kurt podniósł ręce.

– Ależ, droga pani, przysięgam, to żadne gierki. Po prostu jesteś

sama, ja też jestem sam i może milej by było spędzić wieczór wspólnie.

– Nie, dziękuję – Wstała, teraz już poważnie zaniepokojona.

Twarz Kurta wydawała się szczera, ale Joannę zszokowało to jego nagłe pojawienie się tutaj.

– No dobrze – bąknął wyraźnie urażony. – To kiedy wracasz do Cork?

– Mmm… jeszcze nie wiem.

– Może cię tam spotkam?

– Może. Na razie, Kurt.

*

– Proszę tu podpisać – powiedziała Margaret do młodego człowieka, który stał przy recepcji.

– Dziękuję. – Podniósł na nią wzrok. – Czy przypadkiem nie natknęła się pani w ostatnich dniach na młodą Angielkę, Joannę Haslam?

– A kto chce się tego dowiedzieć?

– Jestem jej chłopakiem – odparł z ciepłym uśmiechem.

– No tak, była tu dziewczyna o takim nazwisku. Zatrzymała się u nas. Dziś rano pojechała jednak na północ. Wróci wieczorem albo jutro.

– Świetnie. Nie chcę, żeby wiedziała o moim przyjeździe. Bo… jutro jej urodziny i chciałbym jej zrobić niespodziankę. – Uniósł palec do ust. – Ani mru-mru, dobrze?

– Jasne. Ani mru-mru.

Margaret podała mu klucz i patrzyła, jak gość idzie na górę. Ach, ta młodość, pomyślała rozmarzona, zanim zeszła do piwnicy po nową beczkę do baru.

Zbicie

(*Wyeliminowanie bierki przeciwnika z szachownicy*).



AIP

30

Następnego dnia rano Simon siedział w fotelu przed biurkiem o wyłożonym skórą blacie.

– Simpson się nam zerwał.

– Rozumiem.

– Podobnie jak pana przyjaciółka, panna Haslam.

Simon już chciał bąknąć, że może uciekli razem, ale zaraz się opamiętał. To byłby głupi żart.

– Czy możliwe, że to zwykły zbieg okoliczności? – spytał.

– Raczej wątpię, biorąc pod uwagę sytuację. Dostaliśmy właśnie opinię psychologa na temat Simpsona. Zaniepokoił się na tyle, że rekomenduje skierowanie go w trybie pilnym na terapię. – Starszy pan przejechał wózkiem na drugą stronę biurka. – On za dużo wie, Warburton. Musi pan go znaleźć, i to szybko. Intuicja podpowiada mi, że mógł pojechać za Haslam.

– Myślałem, że jej mieszkanie jest na podsłuchu? Tak jak Marcusa Harrisona. Czy nie doniesiono panu, dokąd ona mogła się wybrać?

– Nie. Sądzimy, że odkryli pluskwy, bo w ostatnich dniach nic tam ciekawego nie było. A u Harrisona w ogóle sprzęt nie działał, jak należy. Nasi ludzie przygotowują ponowny montaż. W przypadku panny Haslam ostatnio nic nie było słychać, poza tym, że poirytowany Marcus Harrison wydzwaniał stale na jej stacjonarny telefon z pytaniem, gdzie przepadła.

– I nikt nie ma pojęcia, dokąd tych dwoje mogło pojechać?

– Czytał pan teczkę, Warburton – odparł opryskliwie starszy pan. – A pan na miejscu Haslam, gdyby chciał się pan dalej w tym grzebać, dokąd by się wybrał?

– Może do Dorset? Żeby poprzeglądać więcej pudeł na strychu? Zajrzałem tam ostatnim razem i jest ich całe mnóstwo.

– Myśli pan, że tego nie wiemy?! Kilkunastu moich ludzi pracowało tam dzień i noc, od kiedy Zoe Harrison poleciała z Jego Książęcą Wysokością do Hiszpanii. Nic nie znaleźli. – Podjechał z powrotem na swoje miejsce za biurkiem. – Harrison jest nadal w swoim mieszkaniu w Londynie. Może powinien pan z nim pogadać.

– Tak jest. Złożę mu wizytę.

– Zaraz po tym proszę mi zdać raport. Od tego zacznijmy.

– Tak jest.

– Podobno pojechał pan wczoraj do małego Jamiego Harrisona?

– Tak.

– Służbowo czy dla przyjemności?

– Na prośbę Zoe Harrison.

– Niech pan uważa, Warburton. Zna pan zasady.

– Oczywiście.

– Dobra. Proszę mnie informować, jak się pan czegoś dowie.

– Tak jest.

Simon wstał z fotela i wyszedł, modląc się, by stary nie zauważył rumieńca na jego twarzy. Nawet jeśli jego myśli i ciało można było wyćwiczyć i zdyscyplinować, to najwyraźniej serca już nie.

Nie zastał nikogo w mieszkaniu Marcusa Harrisona, wrócił więc do biura i zadzwonił do rodziców Joanny, ale do nich też ostatnio

się nie odzywała. Simon był pewien, że przyjaciółka kontynuuje śledztwo. Może jest we Francji, pomyślał, a potem spędził parę godzin na bezskutecznym przeglądaniu list pasażerów wszystkich samolotów i promów z ostatnich kilku dni. Na żadnej nie znalazł jej nazwiska.

Jakie inne miejsce mogło być związane z tajemnicą, którą tych dwoje tak bardzo chciało odkryć…?

Wrócił myślami do dnia, kiedy przeglądał teczkę. Mógł polegać jedynie na swojej pamięci, bo nie wolno było robić notatek. Musi być jakiś inny trop, był tego pewien…

I nagle go olśniło.

Czterdzieści pięć minut później znalazł nazwisko Joanny na liście pasażerów, którzy lecieli trzy dni wcześniej do Cork. Od razu zarezerwował bilet na popołudnie. Właśnie przebijał się w kierunku Heathrow przez zakorkowaną dzielnicę Hammersmith, kiedy zadzwoniła komórka.

– Cześć, Zoe.

Był tak zaskoczony, słysząc jej głos, że musiał zjechać na bok i zatrzymać się, co wcale nie było proste przy tak nasilonym ruchu.

– Gdzie jesteś?

– Na lotnisku Mahon na Minorce. Och, Simon…

Zorientował się, że Zoe powstrzymuje szloch.

– Co się stało? O co chodzi?

– O Jamiego. Zaginął. Dyrektor szkoły podejrzewa, że to porwanie. Boże, Simon… a jeśli on już nie żyje… Ja…

– Chwileczkę, Zoe. Opowiedz mi spokojnie wszystko po kolei.

Starała się, jak mogła.

– Czy dyrektor powiadomił policję?

– Tak, ale Art chce, żeby działać najdyskretniej, jak to możliwe. Nie życzy sobie, żeby wmieszały się w to media, chyba że byłoby to

absolutnie konieczne, bo…

– …znów znalazłby się razem z tobą i Jamiem w centrum uwagi – dokończył za nią Simon. – Niewykluczone jednak, że prędzej czy później nie da się tego uniknąć i będzie musiał to jakoś wytrzymać. Koniec końców, najważniejsze to znaleźć Jamiego. Zawsze lepiej, kiedy ludzie wiedzą o zaginionym dziecku i włączą się w poszukiwania.

– Zauważyłeś w zachowaniu Jamiego coś szczególnego, kiedy się z nim widziałeś?

– Muszę przyznać, że był trochę przygaszony, ale wydawało się, że wszystko w porządku.

– Nie mówił, że się czymś martwi?

– Nie, ale miałem wrażenie, że jednak tak, co zresztą pozwala mi wierzyć, że nic mu się nie stało. Może tylko potrzebował pobyć trochę sam. To wrażliwy chłopak, Zoe. Nie zadręczaj się na zapas.

– Dotrę do Londynu dopiero za wiele godzin. Mogę mieć do ciebie prośbę?

– Jasne.

– Podjechałbyś do mojego domu na Welbeck Street? Masz jeszcze klucz, prawda? Jeśli Jamiego tam nie ma, sprawdź w Dorset. Klucz jest w beczce z wodą na tyłach z lewej strony.

– Na pewno policja…

– Simon, on ciebie zna. Ufa ci. Proszę… – Jej głos zanikł.

– Zoe? Zoe? Jesteś tam? Cholera! – Walnął dłońmi w kierownicę. Powinien natychmiast lecieć do Irlandii, pomóc komuś innemu. Komuś, kto nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo się naraża, i też potrzebuje jego pomocy.

Ale… komu winien jest tu bezwzględną lojalność?

Gdyby myślał logicznie, nie miałby dylematu. Powinien ratować swoją najstarszą przyjaciółkę i spełnić służbowy obowiązek. Ale

zdradzieckie serce było po stronie kobiety i dziecka, których znał zaledwie od kilku tygodni. Przez chwilę zmagał się sam ze sobą, po czym znów wmieszał się w ruch uliczny. Kiedy tylko mógł bezpiecznie wykonać ten manewr, zawrócił i pojechał do centrum Londynu.

W domu na Welbeck Street nie paliły się żadne światła. Wydawało się, że na zewnątrz też nikogo nie ma. A Simon niemal spodziewał się, że dziennikarze nadal tu będą, czekając na osobę, która dawno się stąd ulotniła. Przekręcił klucz w zamku i zapalił światło. Sprawdził wszystkie pokoje na dole, choć instynkt i doświadczenie mówiły mu, że to na nic. Czuło się, że dom jest pusty.

Mimo wszystko zajrzał do pokoju Zoe, potem do Jamiego. Usiadł na łóżku chłopca, rozglądając się. Misie i zdalnie sterowane samochodziki świadczyły o tym, że mieszka tu jeszcze nie nastolatek, ale dziecko. Na ścianach obrazki z bajek, na drzwiach plakat z *Power Rangers*.

– Gdzie jesteś, stary? – rzucił, wpatrując się tępo w mały, ale misternie wykonany haft nad łóżkiem.

Próżno byłoby czekać odpowiedzi, wstał więc, by sprawdzić jeszcze górne piętro.

Kiedy wrócił na dół, zajrzał do salonu i zobaczył, że przed domem zatrzymuje się fiat panda. Z samochodu wysiadł policjant i ruszył do drzwi frontowych. Simon otworzył, zanim tamten zdążył nacisnąć dzwonek.

– Witam.

– Dzień dobry, czy pan tu mieszka? – zapytał policjant.

– Nie. – Simon niespiesznie wyciągnął legitymację.

– Dziękuję. Przypuszczam, że szuka pan naszego młodego uciekiniera?

– Owszem.

– Najwyraźniej na razie mamy trzymać to w tajemnicy. Ci z góry nie chcą, żeby to wyciekło do prasy z powodu jego matki i jej… chłopaka.

– Otóż to. W każdym razie sprawdziłem dom i chłopca tu nie ma. Planuje pan zostać, na wypadek gdyby się pojawił?

– Nie. Polecono mi tylko sprawdzić to miejsce, to wszystko. Mogę jednak kogoś zorganizować, gdyby wasi się tego domagali.

– Sądzę, że to byłoby wskazane. Całkiem prawdopodobne, że młody człowiek, jeśli tylko będzie miał szansę to zrobić, przyjdzie do domu – powiedział Simon. – Muszę już iść. Ale niech pan zadba, żeby ktoś non stop obserwował dom, dobrze?

– Tak jest, załatwione.

Nieco ponad dwie godziny później Simon zatrzymał samochód pod domem Haycroft. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest tuż po dwudziestej drugiej. Wyciągnął ze schowka latarkę, wysiadł i poszedł szukać beczki i klucza. Niestety, znalazł go na miejscu. Najwyraźniej Jamiego nie było tu przed nim. Ciężkim krokiem ruszył do frontu domu i otworzył masywne drzwi.

Zapalił światła i zaczął chodzić od pokoju do pokoju. Na ociekaczu zobaczył umyte naczynia po kolacji, którą gotował dla Zoe. Na górze łóżko, którego nie zdążyła posłać, kiedy rano w pośpiechu wyjeżdżali.

I nic. W domu nikogo nie było.

Wrócił na dół i zadzwonił do sierżanta, który trzymał wartę na Welbeck Street. Jamie się nie pojawił. Simon poinformował go, że tutaj też nie ma po nim śladu, po czym poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Zastanawiał się, czy wracać do Londynu. Siadł przy stole, nerwowo przeczesując palcami włosy, i starał się zebrać myśli. Jeśli chłopiec nie znajdzie się do rana, to pal licho pałac. Będą

musieli ujawnić, co się stało. Wstał i nasypał łyżeczką kawy rozpuszczalnej do kubka, po czym zalał ją wrzątkiem, raz po raz odtwarzając w pamięci niedzielną rozmowę z Jamiem.

Po trzecim kubku kawy, od której robiło mu się już niedobrze, Simon wstał i po raz ostatni spenetrował wszystkie kąty. Zapalił światła na zewnątrz i otworzył drzwi kuchni wychodzące do ogrodu na tyłach. Ogród był duży i najwyraźniej bujnie obsadzony, choć o tej porze roku wyglądał niczym szkic czekający na wypełnienie barwami. Simon poświecił latarką na żywopłot otaczający ogród. W rogu, pewnie usytuowana tak, by najlepiej łapać słońce, stała mała pergola. Pod nią kamienna ławeczka. Simon poszedł tam i usiadł. Pergola była porośnięta jakimś pnączem. Podniósł dłoń i zaraz aż syknął, bo jakiś wredny kolec wbił mu się w palec.

Róże, pomyślał. Muszą wyglądać pięknie w środku lata.

Róże…

Tak, pradziadek uwielbiał róże. Teraz rosną też na jego grobie.

Zerwał się i pobiegł do tylnego wejścia, żeby zadzwonić.

Cmentarz był najwyżej pół kilometra od domu, za kościołem. Simon zaparkował przed żelazną bramą. Kiedy odkrył, że jest zamknięta na kłódkę, przesadził ją i ruszył między grobami, kierując latarkę na wyryte napisy. Przebiegł go dreszcz. Zza chmury wyłonił się sierp księżyca i spowił cmentarz upiorną poświatą. Zegar kościelny wybił północ, ponure powolne bim-bom rozlegało się w ciszy niczym dzwony ku pamięci dusz zmarłych leżących w ziemi pod jego stopami.

Wreszcie dotarł do grobów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dalej wypatrzył nagrobek z wyrytym rokiem 1991. Idąc pomału naprzód, zaczął natrafiać na coraz świeższe daty. Był teraz niemal na końcu cmentarza. Przed nim w oddali majaczył

już tylko jeden samotny grób, za którym posadzono niewielki krzew.

SIR JAMES HARRISON
AKTOR
1901–1995
Dobranoc, słodki książę,
niech ci do snu
chóry aniołów nucą uskrzydlone![3]

I tu, skulony na płycie nagrobnej, leżał Jamie.

Simon cicho podszedł do chłopca. Po jego oddechu poznał, że mocno śpi. Przykląkł i poświecił z boku latarką, by zobaczyć jego twarz, ale go nie wystraszyć. Sprawdził mu puls – był miarowy – a potem dotknął dłoni. Najwyraźniej wyziębła, ale nie tak, by się tym niepokoić. Simon odetchnął z ulgą i delikatnie pogładził jasną czuprynę dziecka.

– Mama…? – Jamie się poruszył.

– Nie, to ja, Simon, nic ci nie grozi, stary.

Jamie poderwał się ze swojej pozycji embrionalnej. Oczy miał okrągłe z przerażenia.

– Co…? Gdzie ja jestem?

Rozejrzał się i zaczął się trząść.

– Jamie, wszystko w porządku. Jestem z tobą. – Simon instynktownie przygarnął do siebie chłopca. – Teraz wezmę cię na ręce, zaniosę do samochodu i pojedziemy do domu. Rozpalimy wielki ogień w kominku w salonie i przy kubku gorącej herbaty będziesz mógł mi opowiedzieć, co się stało. Dobrze?

Jamie podniósł na niego wzrok. Jego oczy, w pierwszej chwili tak przerażone, teraz patrzyły ufnie.

– Dobrze.

Kiedy dotarli do domu, Simon przyniósł z łóżka Zoe puchową kołdrę i opatulił siedzącego na kanapie drżącego chłopca. Rozpalił ogień, gdy Jamie w milczeniu gapił się w przestrzeń. Przygotował herbatę dla nich obu, a potem powiadomił o szczęśliwym odnalezieniu chłopca sierżanta z londyńskiej policji oraz esemesowo Zoe. Wreszcie zajął miejsce na drugim końcu kanapy.

– Napij się, Jamie. To cię rozgrzeje.

Trzymając w swoich drobnych dłoniach kubek, chłopiec sączył małymi łyczkami gorącą herbatę.

– Gniewasz się na mnie? – spytał.

– Jasne, że nie. Wszyscy się martwiliśmy, ale nie jesteśmy na ciebie źli.

– Mama się wścieknie, jak się dowie.

– Już do niej dotarło, że zniknąłeś ze szkoły. Wraca z Hiszpanii. Powinna już wylądować. Na pewno zadzwoni, jak tylko będzie mogła. Możesz z nią porozmawiać i uspokoić ją, że nic ci się nie stało.

Jamie znowu łyknął herbaty.

– Ona nie miała żadnych zdjęć w Hiszpanii, prawda? – powiedział wolno. – Była z nim, mam rację?

– Z nim?

– Swoim chłopakiem, księciem. Księciem Arthurem.

– Tak. – Simon przyjrzał się chłopcu. – Skąd wiedziałeś?

– Któryś ze starszych chłopaków wrzucił mi stronę z gazety do szafki.

– No tak.

– A potem Dickie Sisman, który zawsze mnie nienawidził, bo udało mi się dostać do drużyny rugby, a jemu nie, stale mówił, że mmm…mama to książęca dzi…dziwka.

Simon aż się skrzywił, ale nic nie powiedział.

– A potem spytał, kto jest m…moim ojcem – ciągnął chłopiec. – Powiedziałem, że pradziadek James, a Dickie i inni śmiali się ze mnie i mówili, że to niemożliwe, bo przecież to mój pradziadek, i że jestem głupi. Wiem, że on tak naprawdę nie był moim ojcem, a…ale przecież był. Był dla mnie ojcem, a teraz go już n…nie ma.

Simon patrzył, jak ramionami Jamiego wstrząsa szloch.

– Obiecywał, że nigdy mnie nie opuści, że zawsze będzie, kiedy będę go potrzebował, że wystarczy, że zadzwonię, a on się odezwie… Ale to nieprawda! Bbb…bo on nie żyje!

Simon ostrożnie wyjął kubek z jego dłoni, usiadł bliżej i przytulił do siebie Jamiego.

– Nie myślałem, że odszedł naprawdę – kontynuował chłopiec. – To zn…znaczy wiedziałem, że nie ma go już tutaj jako człowieka, mówił, że tak się stanie, ale wierzyłem, że gdzieś jest. A teraz, kiedy go potrzebowałem, nie było go! – Znowu szloch wyrwał mu się z piersi. – I jeszcze mama wyjechała. Nikogo nie było. W szkole nie mogłem już wytrzymać. Musiałem się stamtąd wyrwać, no i ppp… pojechałem do pradziadka.

– Rozumiem – odezwał się cicho Simon.

– A nnn…najgorsze jest to, że mama mnie okłamała!

– Nieumyślnie, Jamie. Zrobiła tak, by cię chronić.

– Dawniej zawsze wszystko mi mówiła. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Gdybym wiedział, umiałbym się bronić przed tymi obrzydliwymi docinkami chłopaków.

– Słuchaj, czasem dorosłym też się zdarza, że źle ocenią sytuację. I sądzę, że tak było z twoją mamą w tym przypadku.

– Nie. – Zrezygnowany Jamie pokręcił głową. – Chodzi o to, że nie jestem już dla niej na pierwszym miejscu. Tylko książę Arthur. Kocha go bardziej niż mnie.

– Och, Jamie. Mylisz się. Mama cię uwielbia. Wierz mi, zupełnie oszalała na wieść, że zniknąłeś. Poruszyła niebo i ziemię, żeby dostać się na jakiś samolot i jak najprędzej wracać, by cię szukać.

– Naprawdę? – Zasępiony Jamie wytarł nos. – Simon?

– Tak?

– Czy ja będę musiał przeprowadzić się do jednego z ich domów?

– Nie wiem, Jamie. Myślę, że jeszcze daleko do takich decyzji.

– Słyszałem, jak jeden z nauczycieli gadał z nauczycielem wuefu. Obaj się śmiali. Mówił, że to nie pierwszy raz bękart wprowadza się do ppp…pałacu.

Simon przeklął pod nosem. Że też ludzie potrafią być tak okrutni!

– Jamie, już niedługo twoja mama będzie w domu. Obiecaj mi, proszę, że powiesz jej wszystko to, co mnie, żeby w przyszłości nie było więcej nieporozumień.

Chłopiec spojrzał na niego.

– Znasz go?

– Tak.

– Jaki on jest?

– Sympatyczny. To miły człowiek. Na pewno go polubisz.

– Nie sądzę. Czy książęta grają w piłkę?

Simon się roześmiał.

– No pewnie.

– Jadają pizzę i fasolę po bretońsku?

– Myślę, że tak.

– Czy mama za niego wyjdzie?

– Sądzę, że na to pytanie tylko ona może ci odpowiedzieć.

W kieszeni Simona zadzwoniła komórka.

– Halo? Zoe? Dostałaś moją wiadomość? Tak. Jamiemu nic już nie grozi. Jest cały i zdrowy. Siedzimy razem w Dorset. Chcesz z nim

zamienić parę słów?

Podał telefon Jamiemu i wstał, by dyskretnie wyjść i dać chłopcu swobodnie porozmawiać. Kiedy po chwili wrócił, na policzki chłopca wróciło już nieco koloru.

– Będzie się na mnie bardzo złościć?

– A jej głos brzmiał tak, jakby się złościła?

– Nie – przyznał chłopiec. – Wydawało mi się, że się cieszy. Przyjedzie prosto tutaj mnie zobaczyć.

– No widzisz.

Simon siedział obok niego, a Jamie położył głowę na jego kolanach i ziewnął.

– Szkoda, że to nie ty jesteś księciem – mruknął sennie.

Ja też żałuję, pomyślał Simon.

Jamie uniósł głowę i uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję, że wiedziałeś, gdzie szukać.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, nie ma sprawy, chłopie.

*

Po trzeciej w nocy Zoe zapłaciła taksówkarzowi i otworzyła drzwi wejściowe domu Haycroft. Panowała cisza. Zajrzała najpierw do kuchni, potem poszła do salonu. Jamie spał mocno, skulony na kolanach Simona. Simon, z głową odchyloną na oparcie kanapy, miał zamknięte powieki. Oczy Zoe zaszkliły się ze wzruszenia na widok syna. I Simona, który był tak dobry i pomógł im, kiedy zdawało się już, że nie ma nikogo, kto by to zrobił.

Simon otworzył oczy, gdy do nich podchodziła. Bardzo delikatnie oswobodził się spod Jamiego, podsuwając chłopcu pod głowę poduszkę i dając znaki Zoe, żeby wyszli z pokoju.

Cicho ruszyli do kuchni, gdzie Simon zamknął za nimi drzwi.

– Nic mu się nie stało? – zapytała Zoe. – Naprawdę?

– Wszystko w porządku, słowo.

Usiadła na krześle i oparła czoło na dłoniach.

– Dzięki Bogu. Nie wyobrażasz sobie nawet, co mi przychodziło do głowy podczas tego ciągnącego się w nieskończoność lotu.

– Na pewno. – Simon podszedł do czajnika. – Herbaty?

– Z przyjemnością napiję się rumiankowej. Jest tam, w kredensie. Gdzie go znalazłeś?

– Spał na grobie twojego dziadka.

– Och, Simon! Ja… – Przerażona, zakryła dłonią usta.

– Nie obwiniaj się, Zoe, naprawdę. Myślę, że to, co przydarzyło się Jamiemu, było wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Niemiłe, ale typowe docinki w szkole, niewypłakany żal po stracie pradziadka i…

– Fakt, że mnie tu nie było.

– No tak. Proszę. – Postawił przed nią herbatę.

– Więc dowiedział się o Arcie od kolegów?

– Niestety, tak.

– Cholerny świat! Powinnam była mu powiedzieć.

– Wszyscy popełniamy błędy, ale ten stosunkowo łatwo naprawić.

– Wiedziałam, że był zbyt spokojny po śmierci Jamesa. – Łyknęła herbaty. – Mogłam przewidzieć, że coś takiego nastąpi.

– Pewnie kiedy znalazł się w trudnej sytuacji, po raz pierwszy uderzyło go, że człowiek, którego uwielbiał, ktoś, kto był dla niego jak ojciec, odszedł na dobre. Zwłaszcza że złośliwie sugerowano mu, kto go zastąpi. Ale to dobry dzieciak, da sobie z tym radę. Słuchaj, skoro już jesteś… niestety, muszę iść.

Zoe była zaskoczona.

– Dokąd?

– Obowiązki służbowe.

Poszedł na palcach do salonu po marynarkę leżącą na krześle, a potem wrócił do holu, gdzie stała Zoe.

– Jamie nadal smacznie śpi. Myślę, że odrobina czułości mamy to jedyne lekarstwo, jakiego mu teraz potrzeba.

– Masz rację. Ale na pewno musimy też porozmawiać. – Odprowadziła go do drzwi. – Jak ja ci zdołam za to wszystko podziękować?

– Naprawdę, daj spokój. Uważaj na niego i siebie. Pozdrów Jamiego ode mnie. Przeproś go ode mnie za to, że musiałem wyjść bez pożegnania.

– Dobrze – wybąkała smętnie. – Simon?

Obejrzał się i popatrzył na nią.

Nie odezwała się, a po chwili pokręciła głową.

– Nie, nic.

– Cześć, Zoe.

Simon uśmiechnął się do niej z przymusem, otworzył drzwi i wyszedł.

31

Joanna zatrzymała wynajętą fiestę przy krawężniku przed hotelem Ross i z ulgą zgasiła silnik. Była wyczerpana po bezsennej nocy w tanim pensjonacie w Dublinie, gdzie podskakiwała z nerwów na każde skrzypnięcie podłogi. To pojawienie się Kurta w pubie naprawdę ją przeraziło. Pytanie, czy ją śledzi, czy też to tylko jej paranoja…?

Posiedziała chwilę w samochodzie, patrząc na malowniczy, nieprzerwanie tonący w strugach deszczu plac.

– Cholerna Rose – mruknęła sama do siebie. Gdyby tylko jej nie spotkała… Byłaby teraz w domu, w Londynie, nadal pracowałaby w dziale wiadomości, a nie tłukła się wśród ulewy po jakichś irlandzkich dziurach, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Miała już tego serdecznie dosyć. Zdecydowała, że wraca do Anglii najszybciej, jak to możliwe. Zamknie ten rozdział raz na zawsze i postara się zapomnieć o całej sprawie. Przekaże wszystkie zebrane informacje Simonowi i niech on już sobie z tym robi, co zechce. Zdawała sobie sprawę, że skierowali go do Zoe Harrison, by wybadał, co ona wie i jakie sekrety skrywa jej dom. Więc Joanna da mu to, co sama zdobyła. I na tym koniec.

Otworzyła drzwi, wyjęła torbę z bagażnika i weszła do hotelu.

– Witam! Miała pani przyjemną podróż? – spytała Margaret, która pojawiła się za barem.

– Tak. Było… świetnie, dzięki.

– Wspaniale.

– Zamierzam się wymeldować i lecę do Londynu. Jeśli tylko dostanę miejsce na jakiś wieczorny lot z Cork.

– No dobrze. – Margaret uniosła lekko jedną brew. – Ktoś zostawił list, kiedy pani nie było. – Odwróciła się i wyciągnęła kopertę z przegródki z numerem pokoju Joanny. – Proszę.

– Dziękuję.

– Pewnie kartka z życzeniami urodzinowymi, co?

– Nie. Urodziny to ja mam dopiero w sierpniu. Ale dziękuję.

Margaret patrzyła, jak Joanna wchodzi na schody. Zastanowiła się chwilę, po czym zadzwoniła do siostrzeńca na lokalny posterunek policji.

– Słuchaj, pytałeś mnie o tego młodego człowieka, tego, który wczoraj wynajął u nas pokój. Wiesz co, Sean, on chyba nie jest tym, za kogo się podaje. Wyszedł, mówił, że wróci jakoś po szóstej… Lepiej, żebyś… no właśnie.

VIP

Joanna otworzyła drzwi swojego pokoju, położyła torbę i rozdarła kopertę. Przebiegając wzrokiem treść listu, padła na łóżko. Z pewnym trudem odcyfrowywała nietrzymającą się zasad ortografii bazgraninę.

Droga panno

Słyszałam, jak muwiuaś w baże o strażnicy. Wiem o tym, przyć do mnie porosmawiać, to posnasz prafdę. Rużowy domek napszecif strażnicy. To tam bede.

panna ciara deasy

Ciara… To imię Joanna gdzieś już słyszała. Poszukała w pamięci,

kto o niej mówił. Fergal Mulcahy, nauczyciel. Twierdził, że Ciara to wariatka.

Czy jest sens spotykać się z wariatką? Na pewno tylko znów trafi na fałszywy trop – jakieś przemieszane z urojeniami wspomnienia, które nie rzucą wiele światła na sprawy sprzed lat. Zresztą i tak nie chciała mieć już z tym wszystkim nic do czynienia.

Popatrz, co do tej pory ściągnęłaś sobie na głowę przez szalone staruszeczki, upominała się ostro.

Zgniotła list w kulkę i wrzuciła do kosza. Sięgnęła po słuchawkę, wybrała dziewiątkę i połączyła się z numerem zewnętrznym, liniami lotniczymi Aer Lingus, żeby dokonać rezerwacji. Mogli zaproponować jej miejsce na lot z Cork o osiemnastej czterdzieści. Zapłaciła mocno nadwerężoną kartą kredytową i zaczęła się pakować do plecaka. Potem znów podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Aleca w redakcji.

– To ja.

– Chryste, Joanna! Czemu tak długo się nie odzywałaś?

– Przepraszam. Czas tu biegnie szybko, nie wiadomo kiedy.

– Słuchaj, naczelny codziennie mnie dusi, chce zobaczyć zwolnienie lekarskie. Posłał kogoś do twojego mieszkania i wiedzą już, że tam cię nie ma. Robiłem co w mojej mocy, ale efekt jest taki, że… niestety, jesteś zwolniona.

Opadła na łóżko, czując, że coś ściska ją w gardle.

– O Boże, Alec!

– Przykro mi, kochanie. Nie wiem, czy go ktoś na ciebie napuszcza, czy co, ale tak to wygląda.

Joanna siedziała w milczeniu, z całych sił starając się nie rozpłakać.

– Jo, jesteś tam?

– Właśnie postanowiłam zostawić te cholerne poszukiwania!

Wieczorem lecę z powrotem do Londynu. Jeśli jutro stawię się przed naczelnym, padnę mu do nóg, będę błagać o przebaczenie i obiecam, że będę parzyć herbatę, póki mi nie wybaczy, sądzisz, że mam jakieś szanse?

– Żadnych.

– Tak myślałam. – Zapatrzyła się żałośnie w tapetę w kwiatki. Spłowiałe róże wirowały jej przed oczami.

– Czyli, z tego co mówisz, nie udało ci się nic znaleźć? – odezwał się Alec.

– Właściwie nic. Poza tym, że Michael O'Connell urodził się kilka kilometrów stąd i prawdopodobnie jako bardzo młody człowiek pracował w posiadłości pradziadka osoby, z którą rozmawiałam. O, jest jeszcze jakiś stary list z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku od brytyjskiego oficjela, który donosi o przyjeździe pewnego dżentelmena, a ten ma zamieszkać w domu w zatoce jako gość rządu Jego Królewskiej Wysokości.

– I kto to był?

– Nie wiem.

– Nie sądzisz, że powinnaś sprawdzić?

– Nie sądzę. Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie. Chcę… – Joanna przygryzła wargę. – Chcę wrócić do domu i odzyskać swoje dawne życie.

– Skoro jednak to niemożliwe, co masz do stracenia, jeśli zdecydujesz się szukać dalej?

– Ja już tego nie wytrzymuję, Alec. Nie dam rady, naprawdę.

– Przestań, Jo. Moim zdaniem, jeśli chcesz zrobić karierę w zawodzie, musisz zdobyć sensacyjną historię i sprzedać ją temu, kto najlepiej zapłaci. To jedyny sposób. Teraz nie masz już zobowiązań wobec naszej gazety. A jeżeli angielskie media tego nie kupią, to zagraniczne na pewno chętnie. Mam przeczucie, że jesteś

już bardzo blisko rozwiązania zagadki. Na Boga, nie odpadaj na ostatniej prostej, Jo.

– Jakiego rozwiązania? To wszystko jest kompletnie bez sensu.

– Ktoś będzie wiedział, o co chodzi. Zawsze są tacy. Ale bądź ostrożna. Niedługo cię wyśledzą.

– Wracam, Alec. Zadzwonię, jak już będę w Londynie.

– Dobra, Jo. Koniecznie się odezwij. Uważaj na siebie.

Przez kilka minut siedziała na łóżku jak skamieniała. Myślała o tym, że jak na razie w tym roku straciła chłopaka, większość swoich rzeczy, najlepszego przyjaciela, a teraz pracę. Wbrew temu, co sądził Alec, nadal miała jeszcze sporo do stracenia.

– Na przykład życie – mruknęła pod nosem.

Pięć minut później chwyciła bagaże, zamknęła za sobą drzwi i zeszła po schodach.

– Wyjeżdża pani jednak? – zaszczebiotała Margaret zza kontuaru recepcji.

– Tak. – Joanna podała jej kartę kredytową. – Dziękuję za miły pobyt i gościnność.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że niedługo przyjedzie pani do nas znowu.

Joanna podpisała wydruk z karty kredytowej.

– To chyba wszystko. Do widzenia i dziękuję. – Wzięła swoje rzeczy i skierowała się do drzwi.

– Nie spodziewała się pani nikogo, kto miałby panią tu odwiedzić, prawda?

– A dlaczego? Czy ktoś o mnie pytał?

– Nie. – Margaret pokręciła głową. – Bezpiecznej podróży do domu, niech pani uważa na siebie.

– Dziękuję.

Joanna wrzuciła torby do bagażnika fiesty, wyjechała z placu

i ruszyła w kierunku zatoki. Kiedy włączyła lewy migacz i czekała, aż jakiś samochód ją minie, zauważyła mały, jednopiętrowy domek, stojący samotnie na skarpie naprzeciw strażnicy. Te dwie siedziby były od siebie oddalone zaledwie o pięćdziesiąt metrów. Zawahała się chwilę, po czym pokręciła głową i wrzuciła prawy kierunkowskaz, dając za wygraną. Jeśli się pospieszy, i tak zdąży na samolot. Nie zauważyła samochodu za sobą, który również zmienił kierunek i pojechał wąską drogą w pewnej odległości za nią.

– Wejdź – usłyszała głos ze środka, gdy zapukała do drzwi.

Zrobiła, jak jej polecono. Mały pokój od frontu był urządzony surowo. Przywodził na myśl wnętrza z dawnych czasów. W sporym kominku płonął ogień, nad nim na łańcuchu wisiał sczerniały kociołek. Nieliczne drewniane meble były zniszczone, ściany zdobił jedynie duży krzyż i pożółkły obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

Ciara Deasy siedziała obok kominka na drewnianym krześle z wysokim oparciem. Jej twarz poorana drobnymi zmarszczkami wskazywałaby, że może mieć siedemdziesiąt kilka lat. Sztywne siwe włosy były podcięte krótko z tyłu i po bokach. Kiedy wstała powitać Joannę, kolana jej nie skrzypnęły, nogi nie zdradziły żadnej związanej z wiekiem słabości.

– Panna z hotelu? – Uścisnęła mocno dłoń Joanny.

– Joanna Haslam.

– Siadaj. – Ciara wskazała krzesło po drugiej stronie kominka. – A teraz powiedz, dlaczego chcesz się dowiedzieć czegoś o strażnicy?

– To długa historia, panno Deasy.

– Takie lubię najbardziej. I mów do mnie Ciara, dobrze? Jak słyszę „panno Deasy”, to czuję się jak stara panna. Którą zresztą jestem, nie ma co się wypierać. – Zarechotała.

– No więc pracuję jako dziennikarka i szukam informacji o kimś, kto nazywał się Michael O’Connell. Możliwe, że kiedy wrócił do

Anglii, zmienił tożsamość.

Ciara popatrzyła na nią przenikliwym wzrokiem.

– Wiedziałam, że używał imienia Michael, ale nie znałam tego nazwiska. I nie mylisz się co do tej zmiany.

– Wiedziałaś, że występował pod fałszywym imieniem i nazwiskiem?

– Tak, odkąd miałam osiem lat. Bardzo długo, prawie siedemdziesiąt lat, nazywali mnie w miasteczku kłamczuchą, uważali, że plotę bajki. Myśleli, że od tamtej pory w głowie mi się pomieszało, ale to nieprawda. Jestem tak samo przy zdrowych zmysłach jak ty.

– A wiesz przypadkiem, jaki związek miał ten „Michael" ze strażnicą?

– Mieszkał tam, gdy chorował. Chcieli go ukryć, nim wyzdrowieje.

– Poznałaś go?

– Nie powiedziałabym, że byliśmy sobie przedstawieni, nie, ale kilka razy byłam w tym domu z Niamh, Boże miej w opiece jej duszę. – Stara kobieta przeżegnała się.

– Niamh?

– Moją starszą siostrą. Była piękna… taka piękna. Długie ciemne włosy, niebieskie oczy… – Ciara zapatrzyła się w ogień. – Każdy mężczyzna by oszalał z miłości dla niej. I on się zakochał.

– Michael?

– Tego imienia używał, tak, ale my wiemy, że było inne, prawda?

– Opowiedziałabyś mi tę historię od samego początku?

– Spróbuję, postaram się, ale już dawno o tym nie mówiłam. – Ciara odetchnęła głęboko. – To była propozycja Stanleya Bentincka. Mieszkał w wielkim domu w Ardfield. Powiedział, że przyjeżdża ważny gość. Niamh była wówczas służącą w jego posiadłości. Pan

Bentinck kazał jej doglądać gościa w strażnicy, bo mieszkała o rzut beretem od niej. Wracała stamtąd z błyszczącymi oczami. Uśmiechała się tajemniczo. Powiedziała mi, że ten dżentelmen jest Anglikiem, ale nigdy nie wyjawiła mi więcej. Byłam tylko małą dziewuszką, nie rozumiałam, co się tam między nimi dzieje. Czasami wpadałam pomóc przy sprzątaniu i raz przyłapałam ich w kuchni, jak się obejmowali. Ale nic nie wiedziałam o miłości czy sprawach łóżkowych. Byłam za mała. W każdym razie on nagle zniknął. Pewnego wieczoru odpłynął, zanim po niego przyszli…

– Kto taki? – przerwała jej Joanna.

– Ci, którzy chcieli go dopaść. Ona go ostrzegła, choć wiedziała, że go utraci, że będzie musiał uciekać, by ratować życie. Ale była przekonana, że po nią przyśle, kiedy wróci do Londynu. Jak się teraz nad tym zastanowić, nie było na to nadziei, ale ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Kim byli ci, co chcieli go dopaść, Ciaro?

– Powiem ci, kiedy skończę. Po jego wyjeździe Niamh i mój tata strasznie się pokłócili. Ona krzyczała jak szalona, a on wrzeszczał na nią. I następnego ranka zniknęła.

– Rozumiem. Wiesz, dokąd uciekła?

– Nie. W każdym razie nie mam pojęcia, gdzie była przez następnych kilka miesięcy. Niektórzy w miasteczku mówili, że widzieli ją z Cyganami na jarmarku w Ballybunnion, inni, że natknęli się na nią w Bandon.

– Dlaczego uciekła?

– Przestań, Joanno. Daj spokój z pytaniami, to usłyszysz odpowiedź. Jakieś sześć miesięcy po tym, jak znikła, mama i tata poszli na mszę z moimi siostrami, a ja zostałam w domu, bo byłam bardzo zaziębiona. Mama nie chciała, żebym kaszlała przez całe kazanie. I to wtedy, kiedy leżałam w łóżku, usłyszałam jakiś krzyk.

Potworny, niby zwierzę w ostatnich spazmach agonii. Podeszłam do tych drzwi – Ciara wskazała ręką – w koszuli nocnej i nasłuchiwałam. Zrozumiałam, że to wycie dobiega ze strażnicy. Poszłam więc tam, a ten straszny krzyk cały czas dzwonił mi w uszach.

– Nie bałaś się?

– Byłam przerażona, ale ciągnęło mnie tam, jakbym nie panowała nad własnym ciałem. – Stara kobieta spojrzała przez zatokę. – Drzwi frontowe były otwarte. Weszłam do środka i znalazłam ją na górze. Leżała na jego łóżku, jej nogi były pokryte krwią… – Ukryła twarz w małych dłoniach. – Nadal ją widzę, tak wyraźnie, jakby to było dziś. Cierpienie na jej twarzy będzie mnie prześladować do końca moich dni.

Po plecach Joanny przebiegł zimny dreszcz.

– To była twoja siostra Niamh?

– Tak. A między jej nogami, nadal z nią połączone, leżało jej nowo narodzone dziecko.

Joanna przełknęła z trudem ślinę i patrzyła na Ciarę w milczeniu, kiedy ta starała się uspokoić.

– Myślałam… myślałam, że dziecko jest martwe, bo kiedy je zobaczyłam, było sine i nie płakało. Podniosłam je i zębami przegryzłam pępowinę. Widziałam, jak to robił tata z krowami, które hodował. Przytuliłam maleństwo, starając się je rozgrzać, ale to nic nie dało.

– O Boże… – Oczy Joanny zaszły łzami.

– Podeszłam więc do Niamh, która już przestała krzyczeć. Leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Widziałam, że nadal krwawi. Próbowałam nią potrząsać, chciałam podać jej dziecko w nadziei, że ona coś pomoże, ale Niamh się nie ruszała.

Oczy Ciary były szeroko otwarte i udręczone. Wracała myślą do

przerażającej sceny sprzed lat, przeżywała wszystko na nowo.

– Usiadłam więc na łóżku, tuląc martwe ciałko i próbowałam ocucić siostrę. Wreszcie otworzyła oczy. Powiedziałam jej: „Niamh, masz dziecko. Weźmiesz je na ręce?” Dała mi znak, żebym się zbliżyła, i przyciągnęła moje ucho do ust, bym usłyszała jej szept.

– I co powiedziała?

– Że w kieszeni spódnicy ma list. Do ojca dziecka w Londynie. Że ono powinno trafić do niego. Potem uniosła głowę, pocałowała maleństwo w czoło, westchnęła i już się więcej nie odezwała.

Ciara zacisnęła powieki, a mimo to z oczu jej ciekły łzy. Obie kobiety siedziały razem w milczeniu.

– Jakie to straszne, że w tak młodym wieku byłaś świadkiem czegoś takiego – wyszeptała wreszcie Joanna. – I co zrobiłaś?

– Owinęłam dziecko w narzutę z łóżka. Mokrą od krwi, ale to było lepsze niż nic. Potem sięgnęłam do kieszeni Niamh i wyjęłam list. Wiedziałam, że muszę biec z dzieckiem do doktora, a nie miałam kieszeni przy koszuli nocnej i bałam się zgubić ten list. Podniosłam więc jedną z desek podłogi i schowałam go tam, żeby zabrać później. Wstałam i ułożyłam ręce Niamh skrzyżowane na piersi, tak jak zrobiono to mojej babci. Zabrałam dziecko z ramion jego zmarłej mamy i pobiegłam po pomoc.

– Co się stało z tym maleństwem? – spytała powoli Joanna.

– No i w tym miejscu wszystko mi się miesza. Powiedziano mi, że znaleźli mnie, jak stałam pośrodku wąwozu i krzyczałam, że w strażnicy jest Niamh i nie żyje. Po tym, co się stało, nie mogłam dojść do siebie przez wiele miesięcy. Stanley Bentinck zapłacił, by zawieziono mnie do szpitala w Cork. Miałam zapalenie płuc i stwierdzili, że pomieszało mi się w głowie, bo opowiadam niestworzone rzeczy. Kiedy wyzdrowiałam, zamknęli mnie w domu wariatów. Odwiedzali mnie tam mama i tata. Przekonywali, że

wszystko, co widziałam, to majaki spowodowane gorączką. Niamh wcale nie wróciła. Nie było żadnego dziecka. To tylko moja chora wyobraźnia. – Ciara skrzywiła się. – Przez wiele tygodni powtarzałam im, że ona leży martwa w tym domu, i wypytywałam o dziecko, ale im więcej mówiłam, tym bardziej kręcili głowami i w końcu zostawili mnie na dłużej w tamtym zakazanym miejscu.

– Jak mogli coś takiego zrobić? – Joanna aż się zatrzęsła. – Przecież ktoś musiał zabrać od ciebie to dziecko!

– Tak. I wiedziałam, że to wszystko mi się nie przywidziało, ale zaczęło do mnie docierać, że jeśli będę się upierać przy swoim, resztę życia spędzę wśród wariatów. W końcu powiedziałam lekarzom, że po prostu musiałam majaczyć, i to samo powtórzyłam tacie, kiedy następnym razem przyjechał mnie odwiedzić. Że byłam nieprzytomna, nic takiego nie widziałam i miałam halucynacje od gorączki. – Ciara uśmiechnęła się cierpko. – Od razu był gotów zabrać mnie do domu. Oczywiście, od tej pory wszyscy w mieście mieli mnie za kompletną wariatkę. Inne dzieci śmiały się ze mnie, wyzywały mnie… Przywykłam do tego, grałam rolę, którą mi narzuciły, straszyłam je dziwnymi opowieściami, żeby się odegrać. – Zachichotała.

– A twoi rodzice nigdy nie wspominali już o tym, co widziałaś?

– Nigdy. Ale ty wiesz, co zrobiłam, prawda?

– Poszłaś do tego domu sprawdzić, czy jest tam list?

– No właśnie. Musiałam się upewnić, czy mam rację.

– I znalazłaś go?

– Tak.

– Przeczytałaś?

– Nie od razu. Wtedy jeszcze nie umiałam. Dopiero później, kiedy nauczyłam się czytać.

Joanna nabrała głęboko powietrza.

– I co było w tym liście?

Ciara przyjrzała się jej w zamyśleniu.

– Może i powiem ci to za chwilę. Posłuchaj, bo jeszcze nie skończyłam.

Czy ona mówi prawdę? – zastanawiała się Joanna. Czy też, jak sądzili wszyscy inni mieszkańcy miasta, tylko zmyśla?

– Minęło dobre kilka lat, nim to wszystko ułożyło mi się w logiczną całość. Miałam osiemnaście lat, kiedy zrozumiałam, o co chodziło. Dlaczego to ukrywali, dlaczego było to tak ważne, że byli gotowi zamknąć własną córkę w zakładzie daleko od domu i nazywać ją szaloną…

– Mów dalej – ponagliła Joanna.

– Byłam w Cork, kupowałam z mamą len na nowe prześcieradła. I zobaczyłam gazetę. „Irish Times”. Na pierwszej stronie było zdjęcie. Poznałam, że to mężczyzna, którego widywałam w strażnicy.

– Kto to był?

I Ciara Deasy jej powiedziała.

32

Poszedł schodami na górę do swojego hotelowego pokoju i odkrył, że drzwi są otwarte. Wzruszył ramionami na to niedbalstwo pokojówki, która przez zapomnienie musiała po sprzątaniu ich nie zamknąć, i popchnął je.

W środku stali dwaj policjanci.

– Witam. W czym mogę pomóc?

– Czy przypadkiem nie mamy przyjemności z panem Ianem C. Simpsonem?

– Bynajmniej.

– To może wyjaśni nam pan, skąd się tu przy łóżku wzięło pióro z jego inicjałami? – zapytał drugi, starszy, policjant.

– Oczywiście. Wyjaśnienie jest proste.

– Świetnie. W takim razie proszę nam je przedstawić. U nas, na posterunku, tak będzie wygodniej.

– Co takiego? Niby czemu? Nie jestem Simpsonem i nic złego nie zrobiłem!

– Świetnie, proszę pana. Jeśli zechce nam pan towarzyszyć, na pewno wszystko wyjaśnimy.

– Nie mam zamiaru! To jakiś absurd! Jestem gościem w tym kraju. Panowie wybaczą, ale wychodzę. – Obrócił się do drzwi.

Policjanci chwycili go i przytrzymali mocno za ramiona, kiedy próbował się wyrwać.

– Puśćcie mnie! Co tu się, do diabła, dzieje?! Zajrzyjcie do mojego portfela, mogę dowieść, że nie jestem żadnym Ianem Simpsonem!

– Wszystko w swoim czasie, proszę pana. Czy pójdzie pan z nami spokojnie? Nie chciałbym denerwować Margaret i jej stałych bywalców na dole.

Westchnął i poddał się ich stalowemu uściskowi. Pomaszerowali korytarzem.

– Poskarżę się ambasadzie brytyjskiej. Nie możecie włamywać się, ot tak, do czyjegoś pokoju, oskarżać, że jest kimś, kim nie jest, i zabierać go do paki! Chcę prawnika!

Goście przy barze obserwowali z zainteresowaniem, jak wyprowadzają go na zewnątrz i wsadzają do czekającego samochodu.

*

Simon wylądował w Cork dziesięć po czwartej tego popołudnia. Dostało mu się nieźle od szefostwa za to, że nie zdążył na wieczorny lot poprzedniego dnia ani dziś z samego rana. A prawda była taka, że zatrzymał się na stacji benzynowej w drodze powrotnej z Dorset, bo zdał sobie sprawę, że zasypia za kierownicą, i na kilka godzin urwał mu się film. Kiedy się obudził, było po dziewiątej, musiał więc złapać lot o pierwszej, który w dodatku opóźnił się o dwie godziny.

Wychodząc z hali przylotów, zadzwonił do Londynu.

– Cieszę się, że wreszcie ci się udało – rzucił z przekąsem jego bezpośredni przełożony, Jenkins.

– Jakieś wiadomości?

– Irlandzka policja sądzi, że ma Simpsona. Zadekował się w tym samym hotelu co Haslam. Zabrali go na lokalny posterunek, tak jak

poleciliśmy, i czekają na ciebie, żebyś potwierdził, że to on.

– Dobrze.

– Najwyraźniej nie był uzbrojony. W jego pokoju nie znaleźli broni, ale sądzę, że musimy wysłać kilku ludzi, by pomogli ci eskortować go z powrotem.

– Jasne. A… Haslam?

– Nasi irlandzcy koledzy mówią, że właśnie się wymeldowała. Zdaje się, że wraca do Londynu. Jej nazwisko jest na liście pasażerów na lot z Cork o osiemnastej czterdzieści. Skoro Simpson jest już pod kluczem, poczekaj na nią na lotnisku. Wybadaj, czego się dowiedziała. Potem dzwoń do mnie po dalsze instrukcje.

– Tak jest.

Simon ciężko westchnął, nie zachwycała go perspektywa kolejnych dwóch godzin na lotnisku i rozmowy z Joanną. Podszedł do kiosku, kupił gazetę i usadowił się na miejscu, skąd miał dobry widok na wejście do hali odlotów.

O szóstej trzydzieści z głośników zabrzmiało ostatnie wezwanie dla pasażerów lecących na Heathrow. Simon upewnił się przy odprawie, że Joanna Haslam się nie zgłosiła, a potem dokładnie sprawdził, czy nie siedzi jednak gdzieś blisko bramek w hali odlotów. Bez wątpienia nie było jej tu. Patrzył, jak ostatni spóźniony pasażer podaje w pośpiechu kartę pokładową i zbiega ze schodów, by zdążyć na czekający samolot.

– To już wszyscy. Zamykamy – powiedziała młoda Irlandka przy bramce.

Simon podszedł do wielkiego okna i obserwował, jak od samolotu odjeżdżają schodki, a drzwi się zamykają. Westchnął zrezygnowany, myśląc, że to wszystko wydawało się zbyt proste.

Dwadzieścia minut później siedział już w wypożyczonym samochodzie, prując N71 wprost do Rosscarbery.

*

Płomienie z kominka oświetlające salon rzucały migotliwe cienie na ściany. Dwie kobiety siedziały w milczeniu. Właściwie nawet nie zauważyły, że zapada zmierzch. Były zbyt głęboko pogrążone w myślach, by zwrócić na to uwagę.

– Wierzysz mi, prawda?

Nic dziwnego, że po tylu latach życia z etykietką wariatki Ciara Deasy potrzebowała potwierdzenia. Joanna nie była zaskoczona.

– Tak. – Przycisnęła palce do skroni. – Po prostu… nie potrafię poukładać sobie tego w głowie. O tyle rzeczy chciałabym cię zapytać.

– Mamy czas, Joanno. Możemy przecież porozmawiać jeszcze jutro. Odpocznij, przemyśl to wszystko, a potem przyjdź do mnie znowu.

– Ciaro, masz ten list?

– Nie.

Joannie opadły ręce.

– Czyli nie da się udowodnić tego, co mi powiedziałaś.

– Jest w domu.

– Słucham?

– Zostawiłam list pod klepką. Wydawało mi się, że tak będzie najbezpieczniej.

– Czy do tej pory nie zniszczyła go już wilgoć?

– Nie. Ten dom może jest stary, ale suchy. Został zbudowany tak, by wytrzymać najgorszą pogodę. Poza tym – dodała z błyskiem w oku stara kobieta – włożyłam go do metalowej puszki. Jest pod oknem sypialni, w której umarła. Tym, które stąd widać.

– W takim razie… powinnam tam pójść i go zabrać? Jeśli mam

dowieść, że żadna z nas nie zwariowała, muszę go mieć.

– Uważaj, Joanno. Ten dom jest nawiedzony. Nadal słyszę jej krzyki, a czasem zza wody…

– Będę ostrożna. – Joanna nie dała się wystraszyć. – Może wybiorę się tam jutro rano, kiedy będzie jasno?

Ciara w zamyśleniu spojrzała w okno.

– Idzie sztorm. Wąwóz do rana nabierze wody…

– No dobrze. – Joanna wstała. Ciemność i gadanie o sztormach i duchach zmobilizowały ją do działania. – Dziękuję, Ciaro, za to, że powiedziałaś mi wszystko, co wiesz.

– Pilnuj się teraz. – Kobieta ścisnęła jej dłoń. – Nie ufaj nikomu, rozumiesz?

– Nie będę. Mam nadzieję, że pojawię się u ciebie jutro z listem.

Na zewnątrz w wąwozie wył wiatr, a deszcz siekł pod kątem. Joannę przebiegł dreszcz na widok czarnej bryły zabudowań strażnicy odcinającej się na tle nieba. Szarpiąc się po ciemku z zamkiem samochodu, z ulgą wsiadła i zatrzasnęła drzwi, zostawiając na zewnątrz wichurę. Uruchomiła silnik, zagłuszając hałas ulewy, i pojechała w kierunku miasteczka. Uznała, że grzany porter i ciepło kominka będą jak balsam na jej skołatane nerwy i pomogą jej uporządkować myśli.

Już miała wyłączyć silnik, gotowa wracać do hotelu i powiedzieć Margaret, że jednak zatrzyma się na jeszcze jedną noc, kiedy z frontowych drzwi kilka metrów od niej wyłoniła się znajoma sylwetka. Joanna instynktownie nachyliła się nisko.

Boże, proszę, nie pozwól, żeby mnie zobaczył…

Krew pulsowała jej w uszach, gdy reflektory jadącego samochodu na kilka potwornych sekund skąpały fiestę w ostrym świetle, ale po chwili znów zapadła ciemność. Joanna rozprostowała się i odchyliła do tyłu głowę, odzyskując oddech.

Najwyraźniej już depczą jej po piętach, co oznacza, że ma bardzo mało czasu i nie może czekać do rana. Musi iść do strażnicy teraz i wyjąć list, zanim zrobi to kto inny.

Ktoś zastukał w tylną szybę i Joannie serce omal nie wyskoczyło z piersi. Obejrzała się i zobaczyła inną znajomą twarz, która uśmiechała się do niej. Niechętnie opuściła szybę, a on podszedł bliżej.

– Cześć, Lucy.

– Cześć, Kurt – powiedziała asekuracyjnie. – Jak się masz?

– Świetnie.

– To fajnie.

– Stęskniłem się za tobą. Zajrzałem tu, ale powiedzieli, że wyjechałaś. Już miałem wracać do swojego hotelu w Clonakilty, kiedy cię zobaczyłem. – Przyjrzał się jej uważniej. – Jesteś strasznie blada. Coś się stało?

– Nie, nic. Wszystko w porządku.

– Dokądś się wybierasz?

– Ja… nie. Właśnie wróciłam. Dla mnie już pora iść spać.

– Jasne. Jesteś pewna, że nic ci nie dolega?

– Czuję się świetnie. Cześć, Kurt.

– No to cześć. – Pomachał jej serdecznie na do widzenia, kiedy podkręcała z powrotem szybę.

Poczekała, aż odejdzie, po czym podskoczyła w deszczu do wejścia do hotelu. Popatrując przez okno, zaczekała, aż samochód Kurta ruszy i zniknie z pola widzenia, a potem biegiem wróciła do fiesty i uruchomiła silnik.

Znów pojechała brukowaną dróżką w kierunku strażnicy, raz po raz zerkając w lusterko wsteczne, ale nie zauważyła, żeby ktoś ją śledził.

*

Simon jechał w ulewnym deszczu do posterunku policji po drugiej stronie miasteczka. Przystanął na chwilę przy hotelu, żeby szybko obejrzeć pokój, w którym przed zatrzymaniem mieszkał Simpson. Margaret, kobieta w recepcji, powiedziała mu, że wszystko zostało tam już dokładnie sprawdzone przez policję, a rzeczy Simpsona pół godziny temu zabrano na posterunek. Jeśli chodzi o Joannę, to Margaret nie widziała jej od czasu, kiedy ta o czwartej po południu wymeldowała się i pojechała na lotnisko.

Zatrzymał się przed małym białym budynkiem z tarasem. Tylko podświetlony napis *Garda* świadczył o tym, że to posterunek policji. W recepcji nie było nikogo. Nacisnął dzwonek. W końcu zza drzwi wyszedł młody człowiek.

– Dobry wieczór panu. Pogoda nas nie rozpieszcza, co? W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Simon Warburton. Przyjechałem zidentyfikować Iana Simpsona. – Simon mignął odznaką.

– Jestem Sean Ryan. Miło mi pana poznać. Wasz człowiek sprawia nam same kłopoty, odkąd go zatrzymaliśmy. Nie jest zadowolony ze swojego pobytu u nas. Ale, szczerze mówiąc, żaden z nich nigdy nie jest.

– Jest trzeźwy?

– Powiedziałbym, że był, tak. Kazaliśmy mu dmuchnąć i nie przekraczał normy.

A to niespodzianka, pomyślał Simon.

– Dobrze, w takim razie chodźmy go zobaczyć.

Ruszył za Seanem krótkim, wąskim korytarzem.

– Musiałem zamknąć go w biurze na tyłach, tak się awanturował. Niech pan na siebie uważa, dobrze?

– W porządku – odparł Simon, gdy tamten otwierał drzwi, a potem stanął z boku, żeby puścić go przodem.

Więzień siedział przy biurku z głową opartą na rękach. W popielniczce dopalało się do filtra marlboro. Podniósł wzrok na Simona i odetchnął z ulgą.

– Dzięki Bogu! Może powiesz tej bandzie irlandzkich ignorantów, że nie jestem cholernym Ianem Simpsonem!

Simonowi serce podeszło do gardła.

– Cześć, Marcus.

*

Joanna zaparkowała na trawie naprzeciw strażnicy, wyłączyła silnik i sięgnęła po latarkę. Starała się zapanować nad zszarpanymi nerwami i zebrać się na odwagę, by wysiąść i przejść na drugą stronę brukowanej drogi.

Otworzyła drzwi i zapaliła latarkę. Na miękkich nogach ruszyła naprzód. Poświeciła latarką na piaszczyste brzegi i zobaczyła, że wąwóz wypełnia się wodą – zaczynał się przypływ. Wiedziała, że nie ma innego sposobu, by dostać się do domu, jak przejść w bród, wspiąć się na ścianę i przecisnąć przez kuchenne okno.

Schodząc po schodach na dno jaru, szczękała zębami. Lodowata woda sięgała jej prawie do kolan, a siekący deszcz przemoczył ją od góry do suchej nitki. Brodząc, szła do stromego muru na tyłach domu. Poświeciła latarką do góry, by zlokalizować okno kuchni. Jeszcze metr, dwa i już pod nim była. Sięgnęła, by czubkami palców złapać się murowanej półki i podciągnąć się trochę. Napinając mięśnie, z wysiłkiem starała się znaleźć jakieś oparcie dla stopy. Krzyknęła z bólu, kiedy straciła uchwyt i o mało nie upadła do tyłu, do wody. Po trzech kolejnych próbach zdołała wreszcie natrafić

stopą na szczelinę i wspiąć się na półkę przy ścianie. Chwilę leżała tam zdyszana. Potem ostrożnie wstała na śliskim występie, poświeciła latarką i znalazła wybite okno. Zdała sobie sprawę, że otwór jest dla niej zbyt mały, podciągnęła więc rękaw kurtki i osłaniając w ten sposób dłoń, uderzyła pięścią w dolny róg szyby. Ta pękła i po chwili odpadła, pozostawiając dość miejsca, by wejść do środka. Joanna postrącała resztki szkła z framugi, po czym oparła się o nią i zajrzała do wnętrza, wisząc głową w dół.

W promieniu latarki widziała, że podłoga jest jakiś metr niżej. Wsunęła się głębiej. Jej nogi nadal wystawały na zewnątrz z okna, gdy dotknęła palcami wilgotnej podłogi. Zrobiła fikołka do przodu i aż krzyknęła, kiedy z głuchym łoskotem wylądowała na twardym podłożu. Leżała tak chwilę. Coś kosmatego łaskotało jej policzek. Zerwała się, poświeciła w dół latarką i zobaczyła na podłodze martwego szczura, którego widziała poprzednim razem.

– O Boże, o Boże! – wysapała. Pierś jej falowała z szoku i obrzydzenia. Ramię bolało od gwałtownego upadku.

Atmosfera tego domu spowijała ją niczym niewidzialna sieć. Zakończeniem każdego nerwu wyczuwała niebezpieczeństwo, przerażenie i śmierć sączące się z tych ścian. Instynkt nakazywał jej uciekać jak najprędzej.

– Nie, nie – zamruczała sama do siebie. – Najpierw weź list. Już prawie jesteś, prawie go masz.

Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że promień latarki tańczył przed nią jak szalony. Wreszcie udało jej się natrafić na drzwi, otworzyła je i stanęła w holu wejściowym. Przed nią były schody. Wchodziła na nie powoli, słysząc, jak sztorm na zewnątrz sięga zenitu. Każdy stopień skrzypiał i jęczał pod jej ciężarem. Na górze przystanęła. Ze strachu kompletnie straciła orientację. Nie miała pojęcia, w którą stronę iść.

– Zastanów się, Joanno, myśl… ona mówiła, że ten pokój jest dokładnie naprzeciwko jej domu.

Skupiła się i skręciła w lewo. Poszła korytarzem i otworzyła drzwi znajdujące się na jego końcu.

*

– Cholera jasna, Simon! Może wytłumaczysz mi, co tu się, do diabła, dzieje?

Marcus poszedł z nim do samochodu zaparkowanego przed posterunkiem i opadł ciężko na siedzenie pasażera.

– Myśleliśmy, że w ślad za Joanną przyjechał tu Ian Simpson. Wzięli ciebie za niego.

– Ja też wybrałem się tu, żeby jej szukać, ale ona już wróciła do kraju, jest bezpieczna. Żona właściciela hotelu mi mówiła. Właśnie miałem się wymeldować i też lecieć do Londynu.

– Nie pojawiła się na lotnisku w Cork. Czekałem na nią, ale nie zgłosiła się do odprawy na swój samolot.

– Chryste! – Na twarzy Marcusa malował się przeraźliwy lęk. – Wiesz, gdzie ona może być? A jeśli ten bydlak ją dopadł… Jezu, Simon, to dzikie zwierzę, a nie człowiek!

– Nie martw się. Znajdę ją. Słuchaj, podwiozę cię z powrotem do hotelu. I tak chcę sprawdzić pokój Joanny.

– Tyle czasu straciłem zamknięty na tym cholernym posterunku, a mogłem jej szukać! Ci idioci mieli cały portfel kart kredytowych na moje nazwisko, a i tak nie chcieli uwierzyć, że ja to ja!

– Miałeś przy łóżku pióro Iana Simpsona z wyrytymi inicjałami.

– Jo zostawiła je u mnie w domu. Co za cholerna historia!

– Przepraszam za nieporozumienie, Marcus. Teraz najważniejsze to znaleźć prawdziwego Iana Simpsona. I Joannę.

Marcus kręcił głową udręczony, gdy Simon parkował przed hotelem.

– Bóg jeden wie, gdzie ona jest, ale musimy ją znaleźć przed nim – powiedział, kiedy obaj wchodzili do hotelu.

Na widok Marcusa Margaret zrobiła wielkie oczy z przerażenia.

– Czy on… to bezpieczne?

– Całkowicie – potwierdził ze skinieniem głowy Simon. – To była zwykła pomyłka, nic innego. Czy mógłbym dostać klucz do pokoju panny Haslam? Martwimy się o nią. Nie wsiadła do samolotu.

– Oczywiście. Ale jeszcze tam nie sprzątałam. Za duży tu ruch, byłam zajęta. – Margaret podała Simonowi klucz.

– Dzięki.

– Pójdę z tobą – powiedział Marcus i ruszył pierwszy po schodach.

Na górze Simon otworzył drzwi i zaczął metodycznie sprawdzać miejsce po miejscu, podczas gdy Marcus zaglądał to tu, to tam na chybił trafił. Nic nie znalazł, siadł więc na łóżku i złapał się za głowę.

– Gdzie jesteś, Jo, gdzie jesteś?

Wzrok Simona padł na kosz na śmieci. Wysypał zawartość na podłogę i wyłowił zgniecioną w kulkę kartkę. Rozprostował ją i odcyfrował list.

– Poszła się spotkać z jakąś kobietą – stwierdził. – W różowym domku naprzeciw strażnicy.

– Jaka kobieta… gdzie?

– Marcus, ja to wyjaśnię. Ty zostań tutaj, nie pakuj się w kłopoty. Zobaczymy się później.

– Czekaj… – zaczął Marcus, lecz Simon już zniknął za drzwiami.

Pojechał drogą na grobli do wąwozu, jak poinstruowała go Margaret, i odnalazł stojący samotnie domek Ciary Deasy, którego

okna wychodziły na piaszczyste urwiska. Naprzeciw, w zatoce, majaczyły złowieszczo czarne kształty strażnicy. Simon wyskoczył z samochodu i podszedł do drzwi.

AIP

33

Joanna stała tak nieruchomo jak otaczające ją ściany. Pokój był pusty, ktoś musiał usunąć stąd wszystko, cokolwiek tu kiedyś było.

Poświeciła latarką na podłogę. Patrząc na grube drewniane deski, podeszła do okna wychodzącego wprost na domek Ciary. Przykucnęła i pociągnęła deskę. Drewno zatrzeszczało, a potem puściło już lekko. Joanna na chwilę wstrzymała oddech, słysząc nagły chrobot i dreptanie malutkich łapek uciekających w popłochu.

Usiadła na podłodze i zgrabiałymi z zimna palcami pociągnęła następną zmurszałą deskę, która nie stawiła większego oporu. W wilgotnym powietrzu uniósł się obłoczek kurzu i trocin. Poświeciła latarką w otwór i dostrzegła błysk zardzewiałej puszki. Wyciągnęła ją szybko i drżącymi dłońmi próbowała otworzyć wieczko.

Nagle gdzieś zza drzwi usłyszała kroki. Powolne i ostrożne, jakby ten ktoś starał się robić jak najmniej hałasu. Zgasiła latarkę i zamarła. Nie było się gdzie schować ani dokąd uciekać. Sięgnęła po wyłamaną deskę. Próbując uciszyć płytki, nerwowy oddech, czekała. W końcu drzwi skrzypnęły i stanęły otworem.

*

Simon wszedł do różowego domku. W salonie nie było nikogo. Ogień na kominku już wygasł. Została z niego tylko kupka żarzących się popiołów. Simon otworzył zamknięte na skobel drzwi do kuchni. Zobaczył emaliowany zlew z kranem i spiżarkę zaopatrzoną w warzywa w puszkach, pół bochenka pieczonego na sodzie chleba, trochę masła i sera.

Tylne wyjście prowadziło do toalety. Wrócił do salonu i poszedł schodami na górę. Trafił na zamknięte drzwi. Zapukał w nie lekko. Nie chciał śmiertelnie wystraszyć staruszki, jeśli ta już śpi. Postukał mocniej, biorąc pod uwagę, że może być przygłucha. Nadal nie było odpowiedzi. Przekręcił gałkę i otworzył drzwi. Pokój tonął w ciemnościach.

– Panno Deasy? – szepnął wśród ciszy.

Sięgnął do kieszeni po latarkę i zapalił. Dostrzegł jakiś kształt na łóżku. Podszedł bliżej, nachylił się i poświecił na twarz. Usta były bezwładnie otwarte, zielone oczy wpatrywały się w niego bez najlżejszego drgnienia powiek.

Simon znalazł włącznik i przepełniony zgrozą, zapalił światło. Poszukał śladów uderzeń lub ran na ciele. Nic nie znalazł, ale to zatrzymane na wieczność przerażenie w oczach powiedziało mu wszystko. To nie była śmierć z przyczyn naturalnych, ale robota eksperta.

*

Joanna usłyszała, jak ktoś wchodzi do pokoju. Było ciemno choć oko wykol, ale ciężki chód zdradził jej, że zbliża się do niej mężczyzna. Nagle, prosto w jej oczy, poświecił ostry promień latarki. Uniosła deskę i machnęła nią z całych sił.

– Rety! Lucy?

Kroki zbliżyły się do niej, światło latarki paliło jej źrenice. Jeszcze raz się zamachnęła.

– Przestań! Proszę! Już przestań! Lucy, to ja, Kurt. Uspokój się. Nic ci nie zrobię, słowo.

Chwilę potrwało, nim poprzez paraliżujący strach dotarło do niej, że rozpoznaje ten głos. Wypuściła z rozdygotanych rąk deskę i podniosła własną latarkę, by poświecić mu w twarz.

– Cccc…co ty… ty ttt…u ro…bisz? – Cała się trzęsła. Zęby jej szczękały ze strachu i zimna.

– Przepraszam, że tak cię zaskoczyłem, skarbie. Po prostu martwiłem się o ciebie, to wszystko. Wydawałaś się… dziwnie nerwowa, kiedy cię zobaczyłem. Pojechałem więc za tobą tutaj. Bałem się, że jeszcze coś ci się stanie.

– Śledziłeś mnie?

– Rany, Lucy, aleś ty przemokła. Doprawisz się na amen. Masz. – Kurt odłożył latarkę na podłogę, sięgnął do kieszeni i wyjął butelkę. – Łyknij sobie trochę.

Zbliżył się o krok, znienacka przytrzymał jej głowę i na siłę przystawił butelkę do ust. Zacisnęła wargi, by nie dać w siebie wlać tej ohydy. Alkohol pociekł jej za koszulę.

– No dawaj, Lucy – zachęcał Kurt. – Tylko odrobinkę. To cię rozgrzeje.

Jego latarka leżała teraz na podłodze. Swoją Joanna zaciskała w opuszczonej dłoni. Kiedy jej wzrok przywykł do mroku, zobaczyła, gdzie są drzwi.

– Wybacz, nie nawykłam do mocnych trunków. – Udało jej się parsknąć rozedrganym śmiechem. Stanęła tak, by mieć wprost przed sobą otwarte drzwi, ale on blokował jej ruchy. – Co ty tu robisz?

Podniósł z podłogi latarkę. W jej błysku mignęła demonicznie

drapieżna biel jego zębów.

– Już mówiłem… naprawdę martwiłem się o ciebie. I mógłbym cię spytać o to samo. Co robisz w opuszczonym domu w środku nocy?

– To długa historia. Może chodźmy stąd. Opowiem ci o wszystkim w hotelu.

– Szukasz czegoś, co powinno tu być, prawda? – Kurt poświecił latarką na powyrywane deski. – Ukrytego skarbu?

– No właśnie, ale jeszcze nic nie znalazłam. Może być pod którąkolwiek z nich. – Wskazała na deski podłogi.

– Świetnie. To może ci pomogę? A potem zmywamy się stąd i podjedziemy do najbliższego kominka, zanim zamarzniesz na śmierć.

Joanna gorączkowo zastanawiała się nad możliwościami ucieczki. Był za wysoki, zbyt barczysty, by mogła się z nim fizycznie zmierzyć. Jej jedynym atutem mogło być zaskoczenie.

– Dobrze. To ja będę dalej szukać od swojej strony, a ty od tamtej. – Wyciągnęła rękę w stronę przeciwległej części pokoju, daleko od kryjówki, gdzie pod jej stopami leżała zardzewiała puszka.

– Czyli spotkamy się w cholernym środku. – Roześmiał się.

Kiedy pochylił się, żeby wyrywać deski, ona też przykucnęła i ukradkiem wsunęła puszkę głębiej.

– Jak na razie znalazłem figę z makiem. A ty?! – zawołał.

– Podobnie. Dajmy już spokój, wracajmy – odparła, starając się przekrzyczeć wycie wichru. Miało się wrażenie, że pod jego naporem cały dom trzęsie się w posadach.

– No, skoro już tu jesteśmy, możemy przeszukać cały pokój. Skończyłem swoją stronę. Pomogę ci przy twojej.

– Nie. Ja też prawie kończę…

Ale on już był przy niej i grzebał wśród połamanych desek.

Szybko wydobył spośród nich puszkę.

– No popatrz, popatrz, Joanno – warknął, spoglądając z ukosa.

Jego wielkie łapy ścisnęły puszkę i bez trudu otworzyły wieczko. Ze środka wypadła koperta i pofrunęła na podłogę.

– Poczekaj! – zawołała Joanna.

– Przechowam ci to bezpiecznie.

– Nie…

Z rosnącym przerażeniem uświadomiła sobie, że użył jej prawdziwego imienia. Patrzyła, jak wkłada list do kieszeni nieprzemakalnej kurtki i zasuwa zamek.

– No widzisz, poszło łatwiej, niż można się było spodziewać. – Uśmiechnął się krzywo i podszedł bliżej.

Na chwiejnych nogach cofnęła się, starając się nie potknąć o dziury w podłodze.

– Skończmy już tę grę, Joanno – powiedział bez śladu ciepłego amerykańskiego akcentu.

W prawie kompletnych ciemnościach rysy jego twarzy wyglądały jak rzeźbione, ciało było potężne i groźne. Udało jej się stanąć pewniej na nogach. Sprężyła się. Serce waliło jej jak szalone.

– Niby jaką grę? – Uśmiechnęła się do niego tak ufnie, jak umiała. – Zobacz, znalazłam coś jeszcze. Popatrz.

Skierowała promień latarki na połamane deski. Kiedy odwrócił się, by podążyć wzrokiem za światłem, zebrała wszystkie siły i całym swoim ciężarem popchnęła go naprzód.

Jęknął z zaskoczenia, stracił grunt pod nogami i zachwiał się, ale zatrzymał się na ścianie. Natychmiast się pozbierał i obrócił do niej. Kopnęła go kolanem w krocze.

– Ała, ty suko! – zawył, zginając się wpół.

Pobiegła do drzwi, zdając sobie sprawę, że upuściła latarkę i nic nie widzi. Złapał ją za kostkę. Upadła. Zanim oprzytomniała, para

silnych ramion chwyciła ją od tyłu, ściskając w stalowym uścisku jej talię. Kopała i krzyczała, a on wlókł ją kawałek, po czym rzucił jednym ruchem głową w dół po schodach, w kompletną ciemność.

*

Simon stał pod domkiem. Nadal czuł lekkie mdłości po tym, co odkrył na piętrze. Upiorny świst wiatru przewiercał mu uszy, deszcz siekł po twarzy.

– Joanno, na litość boską, gdzie jesteś?! – zawołał pośród burzy.

Nagle spoza wichury dobiegł go jakiś dźwięk. Jakby głos kobiety krzyczącej z przerażenia albo śmiertelnego bólu. Nie potrafiłby powiedzieć, co to naprawdę było. Zza płynących szybko chmur wyłonił się księżyc. Simon spojrzał na wielki stojący samotnie w zatoce dom, wokół którego tańczyły spienione na wietrze fale. Krzyki dobiegały właśnie stamtąd. Stwierdził, że woda przed nim jest zbyt głęboka, by dotrzeć tam w bród, pognał więc do auta i włączył silnik.

*

Joanna jęknęła z bólu, odzyskując przytomność, ocucona strugami deszczu smagającymi jej twarz. Widziała wszystko jak przez mgłę. Księżyc nad nią wydał jej się wędrującą, śnieżną wyspą na niebie. Uniosła się, starając się zebrać myśli. Zdała sobie sprawę, że leży pod frontowymi drzwiami domu. Wzięła głęboki wdech i poczuła tak nieznośny ból po lewej stronie, że aż krzyknęła i opadła z powrotem na ostry żwir. Wirowało jej w głowie. Czy za chwilę znów straci przytomność? Wtem czyjeś ręce chwyciły ją pod ramiona i zaczęły wlec po kamienistej ścieżce.

– Co…? Zostaw mnie… proszę… – Szarpała się i wierzgała nogami, próbując się wyrwać, ale nie miała już wiele sił, a ktoś trzymał ją bezlitośnie mocno.

– Ty głupia dziewucho! Myślałaś, że jesteś taka sprytna, co?!

Przed sobą widziała kamienne schody prowadzące do morza. Fale uderzały już w najwyższy stopień.

– Kim jesteś? Puść mnie!

– Nic z tego, mała. – „Kurt” zaśmiał się.

Rzucił ją na zimne, twarde kamienne płyty nad brzegiem. Obrócił twarzą do dołu, brutalnie przytrzymał jej ręce za plecami i popchnął ją w dół, tak że głowa i ramiona znalazły się nad wodą. Przerażonymi oczami patrzyła na rozszalałe fale tuż pod sobą. Widziała pod spienioną powierzchnią silny prąd przypływu.

– Wiesz, ile narobiłaś wszystkim kłopotów? Zdajesz sobie z tego sprawę?

Pociągnął jej głowę do tyłu za włosy. Czuła, że zaraz złamie jej kark.

– Dla kogo pracujesz? – wysapała. – Co ty…

Ledwie zdołała wziąć bolesny oddech, gdy wepchnął jej twarz do lodowatej wody. Walczyła, by uwolnić ramiona, ale w końcu zabrakło jej powietrza. Jaskrawe światła zawirowały jej przed oczami. Nie miała już sił się bronić.

I nagle, gdy niemal całkiem traciła przytomność, puścił jej głowę. Wynurzyła twarz, by krztusząc się i kaszląc, zaczerpnąć tchu. Niepowstrzymywana przez nikogo, zdołała przeturlać się dalej od brzegu. Łapiąc spazmatycznie powietrze, zobaczyła, że Kurt gapi się jak oniemiały na dom za nimi.

– Kto to?! – krzyknął. – Kto tam jest?!

Joanna nie słyszała nic, tylko swój własny rwący się oddech i szalejące niżej wśród wichury fale.

Kurt zakrył uszy dłońmi i potrząsał głową.

– Dość! Dość tego! Cicho już wreszcie!

Przyklęknął, wyjąc z bólu, przyciskając dłonie do uszu.

To była szansa na ucieczkę. Ale co z listem?

Zostaw go, podpowiadał jej wewnętrzny głos. Zostaw wszystko, uciekaj.

Podnosząc się z trudem na mokrych, śliskich płytach, czując w boku rozdzierający ból, zdała sobie sprawę, że jedyna droga ucieczki prowadzi przez fale kłębiące się pod nią. Jeśli zdoła dopłynąć do drugiego brzegu zatoki i wdrapać się na skarpę, może się uratuje. Płuca nadal krzyczały o tlen, każdy oddech sprawiał nieznośne cierpienie, gdy Joanna skoczyła w lodowatą wodę. W szoku poszła na dno, ale zaraz z ulgą wyczuła twardy grunt pod stopami. Woda sięgała jej aż po szyję, ale przynajmniej można było dotrzeć na drugą stronę w bród, nie trzeba było płynąć.

– Dalej, Jo, dalej! Dasz radę – powiedziała sobie, gdy znów poczuła zawroty głowy i mdłości zapowiadające kolejne omdlenie. Obróciła się, by sprawdzić, czy Kurt zauważył jej ucieczkę, i wtedy zobaczyła postać w sypialni na piętrze. Z wyciągniętymi rękami, jakby wołała ją do siebie. Joanna zamrugała, próbując się otrząsnąć, pewna, że to jeszcze jedno przywidzenie wywołane niedotlenieniem. Ale kiedy otworzyła oczy, zjawa nadal tam była. Skinęła głową, obróciła się i cofnęła od okna.

Mozolnie, krok za krokiem posuwając się naprzód, Joanna zauważyła, że sztorm nagle ucichł. Fale się uspokoiły, a wycie wiatru zastąpiła upiorna cisza. Brnęła dalej przez wodę. Stromy brzeg był coraz bliżej, co dodawało jej otuchy.

– Dawaj, Jo, już prawie jesteś na miejscu, prawie, prawie…

Niespodziewany plusk za nią ostrzegł ją, że ma towarzystwo. Zmusiła się, by przyspieszyć.

– Jeszcze metr, dwa, już niedaleko…

– JOANNO!!!

To był znajomy głos. Stanęła na moment, nasłuchując. Nagle ktoś rzucił się na nią i znów poszła pod powierzchnię. Jej płuca nabierały zimnej, słonej wody, kiedy walczyła o powietrze.

Już nie mam nic…

Jej ciało szarpało się i wiło. Wreszcie się poddała.

*

Kiedy Simon zniknął, Marcus po jakichś piętnastu minutach zszedł na dół do baru. Łyknął podwójną whisky i po raz setny spojrzał na swoją komórkę, próbując się oprzeć pokusie, by zadzwonić.

Powinien był zmusić Simona, żeby go zabrał ze sobą. Jeśli coś stanie się Jo, skręci Simonowi kark gołymi rękami.

Kobieta za barem popatrzyła na niego ze współczuciem, wskazując na okna, za którymi nie było widać nic poza deszczem.

– Pana kolega chyba kompletnie oszalał, żeby wychodzić w taki wieczór. Dopiero co, miesiąc temu, ktoś zginął w wąwozie podczas sztormu. – Pokręciła głową. – Jeszcze jedną?

– Podwójną. Dzięki.

– A jaki interes miał ten twój kumpel do zwariowanej Ciary? – dobiegł go głos od stolika za nim.

– Słucham? – Marcus obrócił się, by spojrzeć na starego mężczyznę, którego usta zakrywały sumiaste wąsy.

– Widziałem jego samochód jadący drogą na grobli do domku Ciary Deasy. Czego od niej chce? Lepiej zostawić ją w spokoju.

– Nie mam pojęcia, przyjacielu. My tylko szukamy mojej dziewczyny… – Marcus nagle urwał, czując gulę w gardle. Ona

zaginęła, a on siedzi tu na tyłku i nie robi nic… – A kim ona jest, ta Deasy? Gdzie mieszka?

– Niecały kilometr stąd, naprzeciw strażnicy nad zatoką. Taki różowy domek. Trudno go nie zauważyć – powiedziała Margaret.

– Dobra.

Marcus jednym haustem dopił whisky i skierował się do drzwi.

– Chyba się tam nie wybierasz, co? – spytał stary mężczyzna. – To niebezpieczne w takie noce jak ta.

Marcus zignorował go i wyszedł na wichurę. Skulił się i już po kilku krokach był przemoczony do suchej nitki. W piersi paliło go od whisky i niepokoju. Zaczął biec. Serce mu waliło. Światła latarni odbijały się w kałużach na nierównej nawierzchni. Po lewej stronie widział wzbierające w wąwozie czarne wody. Gniewne fale z impetem uderzały o nabrzeże.

Jakiś krzyk przeszył mrok nocy. Marcus zamarł w bezruchu. W oddali zobaczył stojący samotnie w zatoce ciemny dom. Zdawało się, że to stamtąd dobiega wołanie. Podbiegł bliżej, zatrzymał się, by złapać oddech, i nasłuchiwał. Nagle wiatr ustał i zapanowała cisza. Ruszył pędem znowu, a kiedy znalazł się obok zabudowań, usłyszał głośny plusk i popatrzył w dół na wodę. Dostrzegł dwie sylwetki w świetle księżyca i rozpoznał ciemne włosy Joanny, mokre jak u foki. Druga postać szybko ją doganiała.

Zmartwiał z przerażenia.

– JOANNO!

Podbiegł, by znaleźć się jak najbliżej, i skoczył do morza. Płynął do tamtej dwójki, prawie nie czując przeraźliwego zimna. Widział, jak ktoś chwyta Joannę od tyłu i wpycha ją pod wodę. Od razu rozpoznał Iana Simpsona.

– Puść ją! – wrzasnął, dopływając do niego.

Simpson trzymał mocno jej ciało, które przestało już stawiać

opór. Zaczął się śmiać.

– Myślałem, że załatwiliśmy już wszystko między sobą w Londynie.

Z wściekłym okrzykiem Marcus rzucił się na niego. Obaj poszli pod wodę, kotłując się i walcząc. Marcus, prawie ślepy od soli piekącej w oczy, starał się chwycić Simpsona za kurtkę i go kopnąć. Kiedy zobaczył błysk stali, cofnął się gwałtownie. Usłyszał dwa strzały odbijające się echem po wodzie. Potworny ból przeszył mu brzuch.

Próbował zmusić ręce i nogi, by się nie poddały, ale już nie był panem siebie. Zamrugał i zanim poszedł pod wodę jak kamień, zobaczył triumfalną minę Simpsona.

*

Simon zahamował gwałtownie. Wśród panującej po burzy nocnej ciszy usłyszał huk wystrzałów i pobiegł w ich kierunku na brzeg. Świecąc latarką na wodę, dostrzegł dwie sylwetki. Skoczył i popłynął najszybciej, jak potrafił.

– Nie zbliżaj się, Warburton, mam broń. Rozwalę cię na miejscu.

– Ian, na litość boską! Co ty wyprawiasz? Kto tu jest ranny?

Simon poświecił latarką i zobaczył ciało oparte o schody, a drugie dryfujące twarzą do góry na wodzie.

– Twoja przyjaciółka doprowadziła mnie prosto do celu, tak jak się tego spodziewałem.

– Gdzie ona jest?

Simpson ruchem głowy wskazał w kierunku schodów.

– Cholernie kiepska z niej pływaczka. – Zarechotał. – Ale mam to. Chyba w przyszłym tygodniu przyjmą mnie z powrotem do roboty, nie sądzisz? Przekonają się, że jeszcze jestem coś wart, prawda?

– Jasne. – Simon skinął głową, brodząc naprzód.

Widział, jak Simpson trzęsącymi się dłońmi nadal celuje prosto w niego.

– Przykro mi, Warburton, nie pozwolę, żebyś ukradł mi…

Simon uniósł pięść i mocnym ciosem walnął go w nos. Chrupnęło jak trzeba. Simpson upadł do tyłu do wody. Pistolet wymsknął mu się z rąk. Simon szybko go złapał. Wśród mroku rozległy się dwa kolejne strzały. Kilka sekund później Simpson znikł pod powierzchnią.

Simon, idąc w bród, dotarł do Joanny. Prąd zniósł jej bezwładne ciało ku na wpół zalanym stopniom, na których osiadło. Przyjaciel wyciągnął ją na brzeg i sprawdził puls. Był słaby, ale wyczuwalny.

Lata szkolenia zrobiły swoje. Automatycznie zacisnął palcami jej nozdrza i kilka razy wdmuchnął powietrze, zanim zaczął masaż serca.

– Oddychaj, na litość boską, oddychaj! – mamrotał, rytmicznie ugniatając ułożonymi płasko dłońmi klatkę piersiową dziewczyny.

W końcu z jej ust wyleciała fontanna morskiej wody. Kaszlała, krztusiła się, a Simon pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał nic równie pięknego.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – uspokajał Joannę, gdy zaczęła dygotać.

– Dziękuję – bezgłośnie poruszyła wargami i uśmiechnęła się do niego słabo.

– Zaczekaj tu i odpocznij. Ktoś jeszcze potrzebuje pomocy – powiedział, wstając, i ruszył w bród po drugie ciało.

– Marcus… Jezu Chryste!

Simon podholował go do schodów i wyciągnął z wody. W świetle księżyca twarz Marcusa była biała jak kreda. Z ust wyciekała gęsta ciemna strużka. Puls był słabszy niż u Joanny, ale Marcus wciąż żył.

Simon zaczął resuscytację, choć tym razem bez większej nadziei. A jednak Marcus wreszcie się poruszył, zamrugał i otworzył oczy.

– Teraz już wiem, jak to jest, kiedy cię zastrzelą – wyszeptał. – Co z Joanną?

– Nic mi nie będzie.

Simon podniósł wzrok i zobaczył Joannę, która pojawiła się przy nich. Usiadła ciężko obok Marcusa, wyczerpana tymi kilkoma krokami, które zrobiła.

– Biegnę do samochodu wezwać pomoc. Zostań z nim… mów do niego – powiedział Simon i znikł w ciemnościach.

– Już wszystko dobrze – odezwała się cicho.

– Próbowałem cię ratować… – Marcus zakaszlał i jęknął, a z ust popłynęło trochę więcej krwi.

– Wiem. I uratowałeś. Dziękuję, ale postaraj się nic nie mówić.

– Bardzo… przepraszam za wszystko… Ja… cię kocham.

Uśmiechnął się do niej, nim jego oczy znów się zamknęły.

– I ja cię kocham – szepnęła.

A potem objęła go i rozszlochała się, wtulona w jego ramię.

Szach

(*Sytuacja, w której król może zostać zbity w następnym ruchu przeciwnika*).



34

Północne Yorkshire
Kwiecień 1996

Joanna siedziała sztywno na szorstkiej trawie wrzosowisk. Popatrzyła w górę na niebo i wiedziała, że w najlepszym przypadku ma jeszcze pół godziny, zanim z zachodu napłyną szare chmury i przesłonią błękit. Ostrożnie poruszyła się, by zmienić pozycję na wygodniejszą. Rentgen wykazał, że po upadku ze schodów ma złamane dwa żebra po lewej stronie. Poza tym na całym ciele porobiły się jej wielkie fioletowe sińce. Lekarz zapewnił, że jeśli tylko da sobie trochę czasu na odpoczynek, po tym wszystkim nie zostanie nawet ślad i będzie jak nowa. Na myśl o tym robiło się jej niedobrze. Nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek jeszcze mogła czuć się znów dobrze.

Obrazy z nocy, gdy omal nie straciła życia, nękały ją cały czas. Wyrywkowe wspomnienia niezachowujące żadnego porządku chronologicznego prześladowały ją w snach. Dopiero od kilku dni potrafiła zdobyć się na to, by myśleć o tym, co się stało, i próbować to sobie jakoś poukładać w głowie.

Tych kilka godzin po tym, kiedy Simon uratował jej życie, nadal tonęło we mgle. Przyjechało pogotowie i zaaplikowano jej sporą dawkę środków przeciwbólowych w zastrzyku, tak że kiedy wieźli

ją do szpitala, już nie miała świadomości. Potem chyba robili jej jakieś prześwietlenia, jakieś obce twarze popatrywały na nią uważnie z góry, pytając „Czy to boli?”, „A teraz?”. Poczuła ukłucie, gdy zakładali jej wenflon. W końcu, kiedy nareszcie dali jej spokój, nadszedł błogosławiony sen.

A później było przebudzenie następnego dnia rano. Oszołomiona nie potrafiła wprost uwierzyć, że żyje… I – mimo bólu – czuła się z tego powodu taka szczęśliwa, dopóki przy jej łóżku nie pojawił się Simon z ponurą miną. I już wiedziała, że najgorsze jeszcze przed nią…

– Cześć, Jo, jak się masz?

– Bywało lepiej – zażartowała, wypatrując w jego twarzy cienia uśmiechu.

– No tak. Słuchaj, to wszystko… Zresztą to rozmowa na później. Odłóżmy to do czasu, aż trochę staniesz na nogi. Tylko tak strasznie mi przykro, że w ogóle zostałaś w to wmieszana. I że nie zdołałem cię ochronić.

Joanna zauważyła, jak jego dłonie raz po raz zaciskają się w pięści. Znała ten gest od lat. Simon zawsze tak robił, kiedy miał coś złego do przekazania.

– O co chodzi? – spytała. – Wyrzuć to z siebie.

Odchrząknął i odwrócił od niej wzrok.

– Jo, muszę… muszę powiedzieć ci coś trudnego.

Pamiętała, że zastanowiło ją, co może być jeszcze bardziej trudnego niż sytuacja, w jakiej się znalazła.

– No to dawaj, strzelaj.

– Nie wiem, ile pamiętasz z tej nocy…

– Ja też nie jestem pewna. Po prostu wyduś to z siebie, Simon – ponagliła.

– No dobrze, dobrze. Pamiętasz, że był tam Marcus?

– Chyba… mętnie – odparła, lecz nagle stanął jej przed oczami obraz, jak Marcus leży na ziemi, a z kącika ust cieknie mu krew. – O Boże… – Podniosła wzrok na Simona.

Pokręcił głową i położył dłoń na jej dłoni.

– Przykro mi. Strasznie mi przykro, Jo. Nie wyszedł z tego.

Mówił jej dalej o śmiertelnych obrażeniach wewnętrznych, jakie odniósł Marcus, i o tym, że po przyjeździe do szpitala stwierdzono jego zgon, ale ona go nie słuchała.

Kocham cię…, powiedział do niej, zamykając oczy, być może po raz ostatni. Po policzku spłynęła jej wolno łza.

JOANNO!

– O, mój Boże – wymamrotała, kiedy zdała sobie sprawę, że to głos Marcusa usłyszała, przedzierając się przez wodę. Był tam przed Simonem, miała co do tego pewność. Nie widziała, kto ściągnął z niej napastnika, kiedy traciła przytomność… Teraz nagle stało się to jasne.

– Uratował mi życie – szepnęła.

– Tak.

Zamknęła powieki, myśląc, że może, jeśli nie będzie się ruszać, ten koszmar gdzieś się rozpłynie. Ale łudziła się na próżno. Marcus miał już nie wrócić, by ją złościć, podniecać i kochać, bo umarł, odszedł na zawsze… I już nigdy nie zdoła podziękować mu za to, co zrobił.

Następnego ranka wniesiono ją na noszach do samolotu RAF-u na lotnisku w Cork. Potem została przyjęta do szpitala Guy’s w Londynie. Podczas lotu Simon przepraszał, że musi ją pouczyć, co ma mówić na temat wypadku. Ale ona ledwie go słyszała.

Następnego dnia odwiedziła ją Zoe. Wsunęła swoją małą dłoń w jej rękę. Joanna spojrzała w górę i napotkała spojrzenie szklących

się ze smutku niebieskich oczu, tak bardzo podobnych do oczu Marcusa.

– Nie potrafię uwierzyć, że już go nie ma – szepnęła Zoe, objęła ją i długo razem płakały.

– Simon mówił, że wyjechaliście zrobić sobie wycieczkę i tam to się stało – powiedziała Zoe, kiedy się trochę uspokoiła.

– Tak.

Simon poinstruował ją, by powtarzała, że to był nieszczęśliwy wypadek. Podczas polowania na kaczki w wąwozie. Nie udało się jednak znaleźć człowieka, który strzelał. Joanna tymczasem wpadła do wody i o mało nie utonęła we wzburzonym morzu. Kiedy tylko była w stanie, wezwała na pomoc Simona, który zorganizował samolot RAF-u i przetransportował ją do Anglii. Nadal nie bardzo wyobrażała sobie, jak ktokolwiek może w to wierzyć, ale kto by uwierzył też w prawdziwy bieg tamtych zdarzeń?

– On naprawdę cię kochał, Jo – powiedziała cicho Zoe. – Może i był egoistyczny i trudny, ale myślę, że naprawdę próbował się zmienić. I to dzięki tobie.

Joanna siedziała w milczeniu, wstrząśnięta, odrętwiała z żalu. Nie chciała dodawać nic więcej do tej sieci kłamstw, która wydawała się tak mocno spleciona, że nie dało się już z niej wyrwać. Czuła, jak zaciska się jej na piersi, i wątpiła, by to kiedykolwiek mogło odpuścić.

Nie poszła na pogrzeb Marcusa, który odbył się kilka dni później. Simon radził jej przez jakiś czas nie rzucać się w oczy. Wypisano ją ze szpitala i zawieziono do Yorkshire do rodziców. Mama karmiła ją domowymi zupami, pomagała się myć, ubierać i w gruncie rzeczy cieszyła się, że znów może opiekować się nią jak dzieckiem.

Dzwoniła Zoe i opowiadała, że pogrzeb był bardzo kameralny, sami krewni i kilku przyjaciół. Marcus został pochowany w grobie

rodzinnym w Dorset, obok dziadka.

Od tamtej strasznej nocy minął ponad miesiąc. Ale wspomnienie śmiertelnego przerażenia nic nie traciło na intensywności. Joanna z westchnieniem pomyślała, że może jutro pozna odpowiedź na niektóre z dręczących ją pytań, bo zadzwonił Simon i zapowiedział, że przyjeżdża na kilka dni do rodziców i do niej wpadnie. Najwyraźniej był właśnie gdzieś dalej na urlopie i dlatego nie pojawił się wcześniej w Yorkshire.

Patrzyła na usiane setkami białych plamek wzgórze. Był czas kocenia się owiec i zbocze przypominało zatłoczoną, pełną wełnistych baranków szopkę bożonarodzeniową.

– Cykl odradzającego się życia – zamruczała, czując, jak ściska ją w gardle. W tych dniach byle drobiazg doprowadzał ją do płaczu. – Marcus nie dopełnił swojego przeze mnie… – szepnęła, połykając łzy. Nie była w stanie nawet zacząć godzić się z jego śmiercią i faktem, że poświęcił się dla niej bez reszty. Jak bardzo się myliła, nazywając go tchórzem. Okazało się, że wszystko można o nim powiedzieć, ale nie…

– Jak się masz, Jo? – Opalony, wyglądający zdrowo Simon wszedł do kuchni wiejskiego domu jej rodziców.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami, kiedy ucałował ją w oba policzki.

– To dobrze. A pani? – zwrócił się do matki Joanny.

– Ja to jak zwykle, kochany. Tu nic się za bardzo nie zmienia, jak wiesz. – Laura Haslam uśmiechnęła się do Simona, trzymając czajnik w ręce. – Herbaty? Kawy? Kawałek ciasta?

– Może później, dziękuję pani – odparł, po czym zwrócił się do Joanny: – Co byś powiedziała na to, żebyśmy wyskoczyli na lunch

do pubu, Jo?

– Wolałabym zostać w domu, jeśli to ci nie przeszkadza.

– Idźcie, Joanno, śmiało – zachęciła ją matka, rzucając Simonowi zatroskane spojrzenie. – Nie wychodziłaś nigdzie, odkąd tu jesteś.

– Mamo, przecież codziennie po południu chodziłam na spacer.

– Wiesz, co mam na myśli, Jo. Żebyś pobyła trochę między ludźmi, nie na łąkach z owcami. A teraz już was tu nie ma. Bawcie się dobrze.

– To znaczy, że będę mógł się napić tutejszego piwa z pianką. W Londynie nie smakuje tak samo – powiedział Simon, kiedy Joanna wstała i z ociąganiem ruszyła, by wziąć kurtkę ze schowka. – Jak ona się czuje? – zapytał ściszonym głosem jej matkę.

– Fizycznie wraca do sił, ale… nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była tak milcząca. Ta cała historia z jej ukochanym kompletnie ją rozbiła.

– Nie wątpię. Postaram się ją trochę podbudować.

Pojechali przez wrzosowiska do Haworth i wybrali Black Bulla, gdzie dawniej często bywali jako nastolatki.

Simon postawił kufel piwa i szklankę soku pomarańczowego na stole.

– Twoje zdrowie, Jo – wzniósł toast za przyjaciółkę. – Dobrze cię widzieć.

– Na zdrowie. – Bez przekonania stuknęła się z nim szklanką.

Położył dłoń na jej ręce.

– Jestem z ciebie taki dumny. Przeżyłaś koszmar. Walczyłaś dzielnie, a to, co stało się z Marcusem…

– Nigdy by się tam nie znalazł, gdyby nie ja. Ta cała noc… wszystko miesza mi się w głowie, ale pamiętam jego twarz, kiedy tam leżał. Powiedział, że mnie kocha… – Gwałtownym gestem otarła z oka łzę. – Nie mogę sobie darować, że to przeze mnie stracił życie.

– Jo, to przecież nie twoja wina. Jeśli już czyjaś, to moja. Powinienem był przylecieć wcześniej. Wiedziałem, że jesteś w niebezpieczeństwie

Jego też dręczyły wyrzuty sumienia. Przypominał sobie, jak to zawrócił przy Hammersmith, by pomóc Zoe szukać Jamiego.

– Ale gdybym nie poszła zobaczyć się z Ciarą, tylko wsiadła w samolot, gdybym mimo twoich ostrzeżeń nie upierała się tak głupio przy tym śledztwie, gdybym nie zgrywała takiego Sherlocka Holmesa, jak sam powiedziałeś…

Oboje zdobyli się na cień uśmiechu na to wspomnienie.

– Mnie też jest przykro, że wtedy w moim mieszkaniu, po tym, jak historia księcia i Zoe wyciekła do prasy, tak ci wygarnąłem. Nie powinienem był wątpić w twoją uczciwość.

– Na pewno – potwierdziła zdecydowanie Joanna. – Choć teraz nie ma to już większego znaczenia. To nic w porównaniu z tym, że Marcus nie żyje.

– Masz rację. Ale… staraj się pamiętać, że to nie ty nacisnęłaś spust.

– Nie. To zrobił „Kurt” – rzuciła ponuro. – Powiedz mi, Simon, proszę, bo to mnie dręczyło, od kiedy tylko odzyskałam przytomność w szpitalu: kto to był?

– Mój kolega. Nazywał się Ian Simpson.

Wstrzymała oddech.

– O mój Boże. To on na początku przewrócił mi mieszkanie do góry nogami?

– Na pewno brał w tym udział. Tak… – Simon westchnął. – Posłuchaj, Jo, zdaję sobie sprawę z tego, co czujesz. Oczywiście chciałabyś wiedzieć i zrozumieć wszystko, ale czasami, o czym się przekonałaś, lepiej dać temu spokój.

– O nie! – Oczy jej płonęły. – Wiem, że pracował dla twoich

i próbował nie dopuścić do tego, żebym poznała prawdę. A kiedy już prawie ją miałam, chciał mnie zabić i zastrzelił Marcusa!

– Jo, Simpson wtedy nie pracował już dla „moich”. Wysłali go na zwolnienie chorobowe z powodu problemów psychicznych zaostrzonych nadużywaniem alkoholu. Był niebezpiecznym zbłąkanym pociskiem, chciał odnieść wielki sukces i odzyskać stanowisko. To on sprzedał wiadomość o Zoe i księciu „Morning Mail”. Dom na Welbeck Street był na podsłuchu, więc Simpson wiedział o wszystkim. Najwyraźniej od lat brał kasę od dziennikarzy. To były jego „fuchy”, jak je nazywał. Na jego koncie bankowym było ponad czterysta tysięcy funtów. Ostatnia wpłata, siedemdziesiąt tysięcy, wpłynęła następnego dnia po tym, jak historia Zoe trafiła na pierwszą stronę. Krótko mówiąc, jego kompas moralny rozleciał się na drobne kawałeczki.

– Och, Simon… – Joanna przyłożyła dłonie do zalanych rumieńcem policzków. – Powiedziałam Marcusowi, że to jego podejrzewam…

– Przykro mi… – Wziął ją za rękę, gdy łzy znów napłynęły jej do oczu. Sam był gotów nad nią płakać.

– Gdzie jest teraz ten bydlak? – spytała.

– Nie żyje, Jo.

Pobladła.

– To się stało tamtej nocy?

– Tak.

– Jak?

– Został zastrzelony.

– Przez kogo?

– Przeze mnie.

– O Boże. – Ukryła twarz w dłoniach. – To tak zarabiasz na życie?

– Nie, ale takie rzeczy podczas służby się zdarzają, jak w policji.

Tak naprawdę po raz pierwszy musiałem coś takiego zrobić. Ale lepiej, że zginął on, nie ty. Przyniosę nam jeszcze coś do picia. Tym razem może gin z tonikiem?

Joanna wzruszyła ramionami i patrzyła, jak Simon idzie do baru, a potem wraca z następną kolejką. Małymi łyczkami popijając gin, nie spuszczała z niego wzroku.

– Wiem, o co w tym wszystkim chodziło, Simon.

– Naprawdę?

– Tak. Choć to już nie ma znaczenia. List, który odkryłam, jest teraz pewnie na dnie morza razem z Simpsonem. A jeśli ocalał, to powędrował tam, gdzie nigdy nie będę miała do niego dostępu.

– Przejąłem ten list, a w każdym razie to, co z niego zostało. Rozmokłe strzępki papieru.

– Czy to mówi Simon, najstarszy przyjaciel Jo, czy Simon, superagent tajnych służb? – Popatrzyła na niego badawczo.

– Jeden i drugi. – Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął plastikową kopertę. – Wiedziałem, że będziesz o to pytać, przyniosłem ci więc te szczątki, żebyś sama mogła zobaczyć.

Wzięła kopertę i zajrzała do środka na poznaczone wodą kawałki rozpadającego się papieru.

– Obejrzyj sobie dokładnie – zachęcił Simon. – To ważne, żebyś mi wierzyła.

– Po co? Tak łatwo sfałszować coś takiego. – Pomachała mu przed oczami kopertą. – I całe to zamieszanie, śmierć Marcusa… przez takie coś?

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się cicho. – Szczerze mówiąc, nic by się nie stało, gdybyśmy nie mieli w ekipie agenta, który oszalał i wyrwał się spod kontroli. Przynajmniej teraz ci na górze będą mieli się na baczności i zaczną bardziej uważać. Zapomnieli, jak może odbić się na psychice taka praca. Nie wolno

wyrzucać agentów jak zużytego sprzętu, mówiąc im po prostu, że ich usługi nie są już potrzebne. Wiem, że wolałabyś tego nie słuchać, ale kiedy zaczynałem służbę, patrzyłem na Simpsona z podziwem. Był wtedy wspaniałym agentem, jednym z najlepszych.

– Wiem. Nawet w tym amoku, stojąc w spienionym morzu, potrafił celnie strzelać. I w ten sposób odebrał życie Marcusowi – mruknęła Joanna. – I co, ty też tak skończysz jak on?

– Chryste, mam nadzieję, że nie. Całe to zdarzenie skłoniło mnie do poważnego zastanowienia się nad przyszłością, wierz mi.

– To dobrze. Przynajmniej jest jakaś jedna korzyść z tego wszystkiego.

– Cieszę się, że chociaż ty przeżyłaś. I że to się skończyło. A teraz musisz coś zjeść. Została z ciebie sama skóra i kości.

Zamówił dla siebie i dla niej gulasz jagnięcy. Sam zjadł ze smakiem. Joanna ledwie tknęła swoją porcję.

– Nie jesteś głodna?

– Nie. – Wstała, krzywiąc się z bólu, który nadal dokuczał jej w boku po stronie złamanych żeber. – Chodźmy stąd. Muszę sobie wyjaśnić raz na zawsze, czy dobrze rozumiem całą tę historię. A naprawdę mam już paranoję. Chcę pogadać tam, gdzie jest pewność, że nikt nas nie podsłucha. Może potem będę mogła próbować jakoś od nowa poukładać swoje życie.

Idąc powoli na wzgórze, wzięła Simona pod ramię, żeby się na nim oprzeć. Minęli kościół w Haworth i znaleźli się wśród wrzosowisk za miasteczkiem.

– Muszę odpocząć – wysapała zdyszana, ostrożnie przysiadając na szorstkich trawach.

Położyła się i próbowała wyrównać oddech.

– Jest mnóstwo rzeczy, które do siebie nie pasują – odezwała się po jakimś czasie – ale wydaje mi się, że w zasadzie wiem, o co

chodzi.

Wzięła głęboki wdech.

– Staruszka ze skrzynkami po herbacie kiedyś pracowała dla rodziny królewskiej. Była damą dworu, nazywała się Rose Fitzgerald. Poznała i pokochała irlandzkiego aktora, Michaela O'Connella. Lub, jak teraz o nim myślimy, sir Jamesa Harrisona. Ich związek musiał być trzymany w tajemnicy z powodu jej wysokiego urodzenia. List, który do mnie wysłała, był napisany do sir Jamesa, ale jeśli się nie mylę, to była zmyłka, bo z całą pewnością nie był to ten list, którego szukaliście wy, prawda?

– Masz rację. Mów dalej.

– A jeśli Michael, kiedy odwiedzał swoich krewnych w Irlandii, usłyszał, że niedaleko w strażnicy mieszka pewien Anglik i ma romans z tamtejszą dziewczyną, a potem rozpoznał owego dżentelmena?

– Kto to był, Joanno?

– Ciara mi powiedziała. Zobaczyła jego zdjęcie na okładce „Irish Timesa" w dniu jego koronacji dziesięć lat później. – Joanna popatrzyła w dal. – To był książę Yorku. Mężczyzna, który miał po abdykacji brata zostać królem Anglii.

– No tak. – Simon powoli pokiwał głową. – Dobra robota.

– Potem Michael odkrył, że dziewczyna jest w ciąży. I tak naprawdę tylko do tego momentu zdołałam dotrzeć. Mógłbyś… zdradzić mi brakujące szczegóły? Skąd wiedzieliście o napisanym przez Niamh liście rzucającym światło na romans księcia? I oczywiście o jej ciąży? Mogę tylko podejrzewać, że Michael O'Connell wiedział o istnieniu listu i wykorzystywał to do szantażu, żeby chronić siebie i swoją rodzinę, aż do swojej śmierci. To byłby niesamowity skandal, gdyby wszystko się wydało, zwłaszcza kiedy książę Yorku został królem.

– Tak. Zgodnie z umową, list miał zostać nam zwrócony po śmierci Michaela/Jamesa. Nie doszło jednak do tego, więc wybuchła panika.

– Dlaczego wasi ludzie nie przeszukali strażnicy, gdzie umarła Niamh? Przecież to najbardziej prawdopodobne miejsce jego ukrycia?

– Czasami ludzie nie widzą tego, co mają pod samym nosem, Jo. Wszyscy sądzili, że James Harrison trzyma go gdzieś blisko, wśród swoich rzeczy. – Simon spojrzał na nią z dumą. – Dobra robota! Chcesz odebrać mi pracę?

– Za żadne skarby! – Joanna uśmiechnęła się do niego słabo. – Ciara Deasy mówiła mi, że dziecko umarło. A gdyby jednak przeżyło? Wyobrażasz sobie? Przecież to było dziecko przyszłego króla Anglii. Przyrodni brat naszej królowej!

– No tak. – Simon na chwilę umilkł. – Mogę to sobie wyobrazić.

– A biednej Ciarze wmawiano, że jest wariatką. Muszę napisać, a może nawet pojechać do niej. Powinna wiedzieć, że list już nie istnieje, że to się wreszcie skończyło.

Położył rękę na jej dłoni i ścisnął ją lekko.

– Niestety, Ciara Deasy też umarła tamtej nocy, Jo. Zginęła z rąk Simpsona.

– O Boże, nie! – Joanna pokręciła głową, zastanawiając się, czy da radę znieść jeszcze więcej potworności. – To wszystko jest upiorne. Żeby coś, co wydarzyło się siedemdziesiąt lat temu, zniszczyło życie tylu ludzi?

– Wiem i zgadzam się z tobą. Ale jak właśnie mówiłaś, gdyby to wyciekło do mediów, spowodowałoby niewyobrażalny skandal, mimo że minęło siedemdziesiąt lat.

– A jednak… – Odetchnęła głęboko, bo od mówienia zabrakło jej tchu. – Są rzeczy, które nadal jakoś tu nie pasują. Dlaczego, na Boga,

pałac wysłał księcia Yorku do Irlandii tuż po jej oderwaniu się od królestwa? Przecież Anglików tam nienawidzono, a syn władcy byłby wymarzonym celem ataku dla IRA. Dlaczego nie pojechał do Szwajcarii? Dokądś, gdzie jest ciepło?

– Nie potrafię powiedzieć. Może dlatego, że to było ostatnie miejsce, w którym ktoś by go szukał? Był chory i potrzebował czasu, żeby w spokoju wrócić do zdrowia. Nieważne. – Simon westchnął. – Czas już dać temu spokój.

– Nadal coś tu jest nie tak. – Joanna rozgniatała butem kępę traw. – Ale pewnie się ucieszysz, bo zdecydowałam się ostatecznie złożyć broń. Czuję się… tak strasznie rozgoryczona i zła.

– Masz prawo. Ale to przejdzie, ten żal, ta złość… Pewnego dnia obudzisz się wolna od takich emocji – zapewnił. – I mam dla ciebie jedną dobrą wiadomość.

Simon sięgnął do kieszeni kurtki i podał jej kopertę.

– Proszę, otwórz.

List był od naczelnego jej gazety. Oferował jej pracę. Znów w dziale wiadomości, u Aleca. Mogła wrócić, kiedy tylko poczuje się na siłach. Popatrzyła na Simona z otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Jak to trafiło do twoich rąk?

– Miałem ci to przekazać. Najwyraźniej sytuację wyjaśniono komu trzeba i wszystko wraca do normy. Osobiście żal mi tylko, że nie możesz pojawić się w redakcji w pełni chwały z sensacją stulecia. Przecież pobiłaś w tej grze nas wszystkich. No dobrze. Chodźmy. Nie chcę, żebyś zmarzła. – Delikatnie pomógł jej wstać i uścisnął ją lekko, żeby nie sprawić jej bólu. – Tęskniłem za tobą, wiesz. To było okropne, kiedy się pokłóciliśmy.

– Dla mnie też.

Schodzili ze wzgórza ramię w ramię.

– Simon, jest jeszcze jedna, ostatnia rzecz, o którą chcę cię

zapytać w związku z tą nocą.

– Co takiego?

– Hm… to zabrzmi bardzo głupio. Wiesz, że nie wierzę w takie rzeczy, ale… Słyszałeś z tego domu krzyk kobiety?

– Tak. Szczerze mówiąc, myślałem, że to ty. Po tym poznałem, gdzie jesteś.

– Tylko że to nie byłam ja, ale myślę, że Simpson też ją słyszał. Trzymał mi głowę pod wodą, a potem nagle mnie puścił i przycisnął dłonie do uszu, jakby słyszał coś nie do zniesienia. Nie widziałeś twarzy kobiety w oknie na piętrze?

– Nie, Jo, nie widziałem. – Simon uśmiechnął się. – Chyba miałaś zwidy, kochanie.

– Może – przyznała, wsiadając do samochodu. Miała przed oczami obraz tamtej twarzy tak wyraźny, jakby to się działo w biały dzień. – Może…

Godzinę później Simon odjeżdżał spod domu rodziców Joanny, machając im i jej na pożegnanie. Zanim wrócił do swojej matki i ojca, którzy mieszkali niedaleko od Haslamów, musiał zatelefonować.

– Tu Warburton.

– Jak poszło?

– Dotarła daleko, ale nie dość blisko, by panikować.

– Dzięki Bogu. Namawiał ją pan, by rzuciła to wszystko, prawda?

– Nie musiałem – zapewnił Simon. – Skończyła z tym. Choć powiedziała mi coś, co, jak sądzę, powinien pan wiedzieć. O czym William Fielding mówił przed śmiercią Zoe Harrison.

– Co to takiego?

– Podał jej imię i nazwisko naszej „emisariuszki”. Myślę, że ono może nam wiele wyjaśnić.

– Nie przez telefon, Warburton. Proszę skorzystać z tej drogi co

zwykle. Zobaczymy się u mnie w biurze jutro o dziewiątej.

– Tak jest. Do widzenia.

AIP

35

W przeddzień wyjazdu do Londynu, gdzie miała próbować odbudowywać swoje życie, Joanna pojechała do pobliskiego Keighley, żeby zobaczyć się z babcią ze strony ojca. Dora Haslam była dobrze po osiemdziesiątce, ale umysł miała ostry jak brzytwa. Pięć lat temu wprowadziła się do osiedla dla seniorów.

Babcia ją uściskała, zaprosiła z radością do siebie, gdzie czekały już świeżo upieczone babeczki. Joanna od razu poczuła wyrzuty sumienia, że nie odwiedzała częściej babci, która zawsze była obecna w jej życiu. Mieszkała zaledwie sześć kilometrów od syna i jego rodziny. Joanna czuła się u niej jak w domu. Traktowała ją jak drugą mamę.

– No to, młoda damo, opowiedz mi teraz dokładnie, jak to się stało, że wylądowałaś w szpitalu? – Starsza pani z uśmiechem nalała herbaty do dwóch porcelanowych filiżanek. – Ogromnie mi przykro z powodu twojego ukochanego. – Jej ciepłe piwne oczy spojrzały na Joannę z wielkim smutkiem. – Wiesz, że twój dziadek w wieku trzydziestu dwóch lat zginął na wojnie. To mi złamało serce.

Joanna przedstawiła w zarysach wyjaśnienie, które wbił jej do głowy Simon i kazał powtarzać, w razie gdyby ktoś pytał.

– Tak mi mówił twój tata. Że omal nie utonęłaś. – Babcia przypatrywała się jej uważnie. – Ale mnie nie oszukasz. Nawet jeśli rodzice zapomnieli, to ja pamiętam te odznaki, które zdobyłaś

w szkole za pływanie. Kiedy to wszystko usłyszałam, pomyślałam sobie, że tu musi być jakieś drugie dno. W takim razie, kochanie – łyknęła odrobinę herbaty i bacznie spojrzała na wnuczkę – powiedz, kto próbował cię utopić?

Joanna nie mogła powstrzymać słabego uśmiechu. Babcia była zbyt bystra, żeby dać się nabrać.

– To długa historia – zamruczała, kończąc drugą babeczkę.

– Uwielbiam ciekawe historie. A im dłuższe, tym lepsze – zachęciła ją starsza pani. – Smutne, ale czasu to ja mam tu pod dostatkiem.

Joanna zastanowiła się. Pomyślała, że w końcu nikomu na świecie nie ufa bardziej. Pokusa, by zracjonalizować w słowach myśli, które kłębiły się jej w głowie, wzięła górę. Zaczęła więc mówić. Babcia była idealnym słuchaczem. Przerywała rzadko, tylko wtedy, kiedy coś jej umknęło z powodu nieco szwankującego lewego ucha.

– … i tak to było naprawdę – podsumowała Joanna. – Mama i tata oczywiście nic nie wiedzą. Nie chciałam ich martwić.

Starsza pani ujęła dłonie wnuczki.

– Och, kochanie… – Pokręciła głową. W jej oczach pojawił się gniew i współczucie zarazem. – Jestem dumna, że tak dzielnie sobie poradziłaś. Co za potworność! Ale, mój Boże, cóż za historia! Od lat nie zetknęłam się z niczym równie pasjonującym. Przypomina mi się okres wojny i Bletchley Park. Spędziłam tam dwa lata, pracowałam przy łączności, nadawałam alfabetem Morse’a.

Joanna słyszała już o tym wiele razy. Gdyby wierzyć babci, to tylko dzięki jej umiejętnościom odkodowywania wygrano drugą wojnę światową.

– To dopiero musiały być niesamowite czasy!

– Ileż mogłabym ci opowiedzieć o tym, co działo się za

zamkniętymi drzwiami, ale podpisałam zobowiązanie do dochowania tajemnicy i to, co wiem, zabiorę do grobu. Wtedy jednak przekonałam się, że wszystko jest możliwe, a zwykły obywatel nigdy nie pozna nawet połowy z tego. Więcej herbaty?

– Ja przygotuję.

– Pomogę ci.

Poszły razem do nieskazitelnie czystej kuchni. Joanna nastawiła wodę, a starsza pani opłukała czajniczek pod kranem.

– I co zrobisz teraz? – spytała.

– Z czym?

– Z tą twoją historią. Ty nie podpisałaś żadnego zobowiązania. Możesz to opublikować i nieźle zarobić.

– Nie mam dość dowodów, babciu. Poza tym chodzi o sekret, w imię którego ci z góry są gotowi zabijać, o czym się boleśnie przekonałam. Zbyt wielu ludzi już zginęło.

– Co masz w ręce na poparcie swojej historii?

– Oryginalny list Rose do mnie, fotokopię listu miłosnego, który napisała do Michaela O'Connella, i program teatralny z Hackney Empire, który chyba nie ma wielkiego związku z tą historią, poza tym, że pokazuje Jamesa Harrisona pod innym nazwiskiem.

– Masz je tu ze sobą?

– Tak. Noszę je w plecaku, a na noc wkładam pod poduszkę. Nadal stale się rozglądam, czy ktoś się na mnie nie czai. Ja tych rzeczy już nie potrzebuję. Może chcesz je schować razem z resztą swoich królewskich pamiątek?

Kolekcja wycinków z gazet i zdjęć, które zgromadziła babcia, nie pozostawiała wątpliwości co do jej monarchistycznych sympatii i stała się już przedmiotem żartów rodziny.

– No to obejrzyjmy to sobie. – Starsza pani wróciła do saloniku z czajnikiem, napełniła filiżanki i usadowiła się w swoim

ulubionym fotelu.

– Jestem zaskoczona, że dopuszczasz myśl o nielegalnym związku jednego z twoich królewskich ulubieńców, zwłaszcza że poślubił twoją faworytkę – zauważyła Joanna, szukając w plecaku brązowej koperty.

– Mężczyzna zawsze pozostaje mężczyzną – odparła babcia. – Poza tym aż do najnowszych czasów rozumiało się samo przez się, że królowie i królowe mają kochanki i kochanków. To znany fakt, że pochodzenie kilku monarchów budzi spore wątpliwości. Wiesz, kochanie, w tamtych czasach nie było antykoncepcji. Miałam koleżankę w Bletchley Park, której matka pracowała jako młodsza dwórka w Windsorze. Co ona mi naopowiadała o Edwardzie Siódmym! Miał cały wianuszek kochanek i, według niej, przynajmniej dwie z nich zostały przez niego matkami. Dziękuję, kochanie.

Starsza pani sięgnęła po kopertę i wyjęła jej zawartość.

– Co my tu mamy?

Joanna patrzyła, jak babcia uważnie czyta oba listy, a potem otwiera program teatralny.

– Widziałam sir Jamesa Harrisona dobre kilka razy w teatrze. Ale tu wygląda inaczej, nie sądzisz? Myślałam, że jest brunetem, a tu ma jasne włosy.

– Ufarbował je na czarno i zapuścił wąsy, kiedy zmienił tożsamość i stał się Jamesem Harrisonem.

– A to co?

Babcia wpatrywała się badawczo w zdjęcie, które Joanna znalazła na strychu w domu Haycroft.

– To James Harrison, Nöel Coward i Gertrude Lawrence. Z ich wieczorowych strojów można wnioskować, że to musiała być jakaś gala po premierze.

Starsza pani przyjrzała się uważnie fotografii, a potem spojrzała na zdjęcie Jamesa Harrisona w programie.

– Dobry Boże! – wysapała zdumiona i pokręciła z niedowierzaniem głową. – No nie, nie może być!

– Co takiego?

– Człowiek, który stoi przy Nöelu Cowardzie to zdecydowanie nie James Harrison. Poczekaj tu chwilę, zaraz ci to udowodnię.

Dora wstała i wyszła z pokoju. Joanna usłyszała otwieranie szuflad i szelest przerzucanych papierów. Po chwili babcia wróciła z triumfującym błyskiem w oczach. Usiadła, położyła stertę wycinków z gazet na stole i skinęła na Joannę. Wskazała spłowiałe, ziarniste zdjęcie, a potem inne. Po czym położyła obok nich tamto Joanny.

– Widzisz? To jedna i ta sama osoba. Nie ma co do tego wątpliwości. Pomyłka w rozpoznaniu, kochanie.

– Ale… – Joannie aż zabrakło tchu i zrobiło się niedobrze, kiedy starała się zrozumieć sens tego, co widzi. Wskazała na twarz w programie, młodą twarz Michaela O'Connella. – Przecież to nie może być też on?

Starsza pani zdjęła z nosa okulary i popatrzyła przenikliwie na wnuczkę.

– Wątpię, by drugi w kolejce do tronu występował w Hackney Empire, nie sądzisz?

– Chcesz powiedzieć, że obok Nöela Cowarda stoi książę Yorku?

– Porównaj to jego zdjęcie z innymi: z dnia ślubu, w mundurze marynarki wojennej, z koronacji… – Babcia stuknęła palcem w twarz na fotografii. – Mówię ci, to on.

– Ale to zdjęcie Michaela O'Connella w programie teatralnym… Czy nie wyglądają jak jedna i ta sama osoba?

– Wszystko wskazuje na to, że widzimy dublera, moja miła, nie

sądzisz? O, przyniosłam jeszcze coś, co powinnaś zobaczyć. – Wyciągnęła inny wycinek ze sterty, tym razem z „Yorkshire Post". – Pomyślałam, że to dziwne, kiedy wspominałaś o „gościu", który miał przybyć do Irlandii na początku stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. Popatrz, tu widać księcia i księżną podczas ich wizyty w katedrze York w styczniu tego samego roku. Moi rodzice poszli im machać wśród tłumów. Jest więc bardzo wątpliwe, aby książę mógł być blisko tej daty na południu Irlandii. W owych czasach to była długa podróż. A poza tym księżna była w szóstym miesiącu ciąży. O ile mi wiadomo, ta para nie opuszczała Anglii aż do wyjazdu do Australii w następnym roku.

Dłonie Joanny powędrowały do głowy, gdy starała się to wszystko pojąć.

– W takim razie... ten mężczyzna w Irlandii nie mógł być księciem Yorku?

– Wiesz – zaczęła wolno jej babcia – w tamtych czasach wielu znanych ludzi korzystało z sobowtórów. Generał Montgomery. Hitler oczywiście też. To dlatego nie byli w stanie go zlikwidować. Nigdy nie byłoby wiadomo, czy zabili właściwego człowieka.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Michael O'Connell mógł służyć za sobowtóra księcia Yorku? Ale po co?

– Skąd mam wiedzieć? Jednak weź pod uwagę, że książę zawsze był słabego zdrowia. W dzieciństwie ciężko chorował. I okropnie się jąkał. Przez całe życie borykał się z nawracającym bronchitem.

– Przecież na pewno ktoś by zauważył różnicę? Te wszystkie zdjęcia w gazetach...

– Ich jakość nie była taka jak dzisiaj, kochanie. Żadnych nowomodnych obiektywów wycelowanych w sam nos, żadnej telewizji. Jak ci się poszczęściło, mogłaś zobaczyć rodzinę królewską z daleka albo usłyszeć ich w radiu. Przypuszczam, że jeśli

potrzebowali zastępstwa, bo na przykład książę był chory, a oni nie chcieli, by cały kraj o tym wiedział, łatwo mogli to załatwić.

– No dobrze, dobrze. – Joanna próbowała przyswoić sobie tę nową informację. – Wobec tego, gdyby to był ten przypadek i Michael O'Connell służył za sobowtóra księcia Yorku, to skąd całe to zamieszanie?

– Nie pytaj mnie, kochanie. To ty jesteś dziennikarką śledczą.

– Chryste! – Sfrustrowana Joanna pokręciła głową. – Myślałam, że wreszcie rozumiem, o co tu chodzi, ale jeśli to ty masz rację, wracam znowu do punktu wyjścia. Dlaczego tyle osób przez to zginęło? I co, na Boga, jest w tym liście, który starali się odnaleźć za wszelką cenę? – Zapatrzyła się w przestrzeń, czując, jak wali jej serce. – Jeśli… jeżeli masz rację, Simon wystrychnął mnie na dudka.

– Może myślał, że to lepsze, niż dać ci utonąć – zauważyła przytomnie babcia. – Simon to uczciwy człowiek z Yorkshire. Jesteś dla niego jak siostra. Cokolwiek zrobił, to po to, żeby cię chronić.

– Mylisz się. Może i troszczy się o mnie, ale w ostatnich tygodniach przekonałam się, komu naprawdę jest wierny. O Boże, babciu. Mam taki mętlik w głowie. Sądziłam, że to skończone, że spróbuję zapomnieć o tym wszystkim i żyć od nowa.

– To twój wybór, kochanie. Oczywiście, masz pełne prawo się wycofać. W końcu tylko zauważyłyśmy podobieństwo dwóch młodych ludzi, nic więcej…

– Podobieństwo? Na tych zdjęciach nikt by ich od siebie nie odróżnił! To raczej nie zwykły przypadek. Muszę wrócić do Londynu i wszystko przemyśleć. Mogę pożyczyć te wycinki?

– Bierz, bierz, pod warunkiem że zwrócisz.

– Dziękuję.

Joanna zgarnęła wycinki i włożyła do plecaka.

– Daj mi znać, jak ci pójdzie, kochanie. Mam przeczucie, że teraz

jesteś na właściwym tropie.

– Niech mnie Bóg ma w swojej opiece. Ja też to czuję. – Ucałowała serdecznie babcię. – To może zabrzmi zbyt dramatycznie, ale, proszę, nie mów ani słowa nikomu o tym, o czym dziś rozmawiałyśmy, babciu. Ci, którzy się w to angażują, mają paskudny zwyczaj ściągać na siebie nieszczęście.

– Nikomu nawet nie pisnę, choć połowa staruszeczek mieszkających ze mną po sąsiedzku jest tak stetryczała, że nie byłaby w stanie zapamiętać, czy to wtorek, czy czwartek, a co dopiero mówić o takiej historii jak ta. – Starsza pani zachichotała.

– Pójdę już. Nie odprowadzaj mnie.

– Dobrze. Uważaj na siebie, Joanno. I mimo wszystko, cokolwiek sobie myślisz, jeśli już będziesz musiała komuś zaufać, to Simonowi.

Joanna zawołała z holu „Do widzenia”, otworzyła drzwi i ruszyła do samochodu. Odjeżdżając, zastanawiała się nad tym, jakie to dziwne, że babcia, która przypadkiem otworzyła jej oczy i podsunęła istotny trop, mogła tak bardzo się mylić co do Simona i dać jej na odchodnym tak ryzykowną radę.

36

Kiedy Simon wrócił do pracy, poczuł leciutki zapach drogich perfum unoszący się wokół biurka Simpsona. Miejsce przepełnionych popielniczek i kubków z niedopitą kawą zajął storczyk w doniczce. Na krześle wisiała na eleganckim łańcuszku torebka od Chanel.

– Kto jest tym nowym? – zapytał Richarda, specjalistę od systemów komputerowych i największego plotkarza w biurze.

– Monica Burrows – Richard uniósł znacząco brew. – Została oddelegowana tu czasowo przez CIA.

– Ach, tak. – Simon usiadł przy biurku i włączył komputer, żeby sprawdzić maile.

Przez większość zeszłego miesiąca nie bywał w pracy. Znowu rzucił okiem na biurko Simpsona i ogarnęła go fala sprzecznych emocji. Aż go ścisnęło w dołku z poczucia winy, że to właśnie on położył kres życiu kolegi…

Nie zdołałby tego opisać w słowach, nie mógł powiedzieć nic na swoje usprawiedliwienie. Sam był dla siebie sędzią i katem. Formalnie nigdy nie zostanie oskarżony za swoją zbrodnię. Nie może spodziewać się uniewinnienia ani potępienia. Pozostanie w moralnym zawieszeniu przez resztę swoich dni, coraz mniej pewny, czy to jest praca dla niego.

Szykując się do odwiedzenia najwyższego piętra, wziął się w garść. To nie wina Moniki, że dostała biurko po kimś, kogo już nie

ma…

„Ludzkie życie jest jak wiadro pełne wody. Spróbuj zaczerpnąć z niego kubkiem, a się przeleje”, ktoś mu kiedyś powiedział.

Otrząsnął się z tych myśli i spojrzał na zegarek. Zdał sobie sprawę, że ma zaledwie kwadrans do spotkania.

– Cześć – usłyszał nieznajomy głos.

Odwrócił się i zobaczył wysoką brunetkę w świetnie skrojonym żakiecie i spódnicy. Ta kobieta wyglądała perfekcyjnie w każdym calu. Zrobiona od stóp do głów. Wyciągnęła rękę.

– Monica Burrows, miło cię poznać.

– Simon Warburton. – Uścisnął jej dłoń i zauważył, że uśmiech kobiety jest ciepły, ale idealnie podkreślone makijażem zielone oczy pozostają chłodne.

– Wygląda na to, że jesteśmy sąsiadami przez biurka – zamruczała Monica, siadając i zakładając szczupłą długą nogę na nogę. – Może byś mnie trochę wprowadził w tutejsze sprawy.

– Jasne, ale, niestety, właśnie wychodzę. – Wstał, skinął jej głową i ruszył do drzwi.

– Do zobaczenia – usłyszał, kiedy je popychał.

Życie toczy się dalej, pomyślał, wysiadając z windy.

– Nawet kiedy się nie toczy… – mruknął, idąc wyłożonym miękkim dywanem korytarzem, by zameldować się wiernej sekretarce rezydującej dostojnie na najwyższym piętrze.

Jaskrawe światło poranka wlewało się do środka przez wysokie okna. Zauważył, że siedzący za biurkiem mężczyzna wygląda bardzo mizernie. Promienie słoneczne podkreśliły głębokie zmarszczki na jego twarzy.

– Dzień dobry panu – powiedział Simon, podchodząc do biurka.

– Proszę siadać, Warburton. Zanim przejdziemy do rzeczy, dowiedział się pan czegoś o tej agencji detektywistycznej, którą

wynajął James Harrison?

– Gość z agencji, którego przesłuchałem, powiedział mi, że James Harrison prosił go, by sprawdził, co się stało przed laty w Irlandii z Niamh Deasy.

– Na koniec życia zebrało mu się na wyrzuty sumienia – prychnął stary. – I, jak przypuszczam, ich śledztwo nie przyniosło żadnych rewelacji?

– Nic więcej ponad to, że i ona, i dziecko zmarli przy porodzie, proszę pana.

– No, przynajmniej tutaj brytyjskie służby się spisały i zdołały dostatecznie zatuszować co trzeba. A jeśli chodzi o Marcusa Harrisona, to, jak rozumiem, też wszystko załatwione?

– Tak, zaprotokołowano, że był to wypadek na polowaniu. Wątpię, by ktokolwiek próbował dalej drążyć ten temat. Pogrzeb odbył się w zeszłym miesiącu.

– Dobrze. To nazwisko, które podała panu panna Haslam, jest bardzo interesujące, naprawdę interesujące. Zawsze zastanawiałem się, komu nasza „dama" ufała na tyle, by powierzyć mu przekazywanie tych cholernych listów. Oczywiście, już dawno powinienem był na to wpaść. Przecież to była przyjaciółka naszej „damy", choć jeśli pamięć mnie nie myli, wyjechała, kiedy to wszystko się działo, bo wychodziła za mąż. Zleciłem tę sprawę kilku ludziom, ale najprawdopodobniej ona już i tak nie żyje.

– Być może, proszę pana, na tym etapie jednak warto sprawdzić każdy trop.

– Przejrzeliśmy dokładnie wszystkie szpargały na tym cholernym strychu. Przychodzi panu do głowy jakieś inne miejsce, Warburton?

– Obawiam się, że nie. Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy on jednak nie zniszczył tego listu. Może ten dokument już w ogóle

nie istnieje? Jestem całkowicie pewien, że rodzina nic nie wie o przeszłości sir Jamesa Harrisona.

– Ale jak blisko odkrycia prawdy była ta Haslam! Na szczęście irlandzki romans Harrisona okazał się świetną zasłoną dymną. – Stary człowiek westchnął. – On musiał trzymać to cholerstwo, a ja nie spocznę, póki ten list się nie znajdzie i nie zostanie zniszczony. Niech pan zapamięta sobie moje słowa: jeśli my go nie przechwycimy, zrobi to ktoś inny.

– Tak jest.

– Ponieważ nie mamy wielkiego wyboru, przydzielam pana znów do pracy przy Zoe Harrison. Pałac jest w rozterce, jak rozegrać sytuację. Jego Książęca Wysokość nadal nie daje sobie przemówić do rozumu. Na razie muszą mu się podporządkować i mogą tylko mieć nadzieję, że ten związek umrze śmiercią naturalną.

Simon ze ściśniętym sercem wpatrywał się w swoje dłonie.

– Tak jest.

– W dodatku on się upiera, że zacznie pokazywać się oficjalnie z panną Harrison. Pałac wyraził zgodę, by pojawiła się z nim na premierze filmu za parę tygodni. On pali się też do tego, żeby zamieszkała w pałacu, ale oni stawiają opór. Harrison w zeszłym tygodniu wyjechała na krótki urlop z synem. Uprzedziliśmy ją, że w poniedziałek rano może się pana spodziewać na Welbeck Street.

– Tak jest. Jeszcze jedna rzecz. Monica Burrows z CIA… Jenkins mówił mi, że będzie z nami pracować. Zakładam, że ona nic nie wie?

– Absolutnie nic. Osobiście uważam za naganne całe to chodzenie do łóżka z innymi agencjami wywiadowczymi, dzielenie się sposobami działania i wspólne zbieranie pomysłów. Jenkins zleci jej lżejsze zadania obserwacyjne, wspieranie innych członków

wydziału, krycie ich i podobne działania. Dziękuję, Warburton. Pogadamy jutro o zwykłej porze.

Simon opuścił gabinet, myśląc, że ten stary mężczyzna wygląda na bardzo wyczerpanego. Ale w końcu od tylu już lat dźwiga samotnie na barkach ciężar tamtej tajemnicy. Taki balast może być ponad siły nawet dla najtwardszego człowieka.

On sam czuł, że dochodzi już do granic wytrzymałości.

*

– Joanna!

Para krępych, owłosionych rąk objęła ją i uwięziła w niedźwiedzim uścisku.

– Cześć, Alec.

Nie była zachwycona tym demonstracyjnie wylewnym powitaniem.

Puścił ją i cofnął się, by się jej przypatrzeć.

– Jak się masz, kochanie?

– Dziękuję, świetnie.

– Wyglądasz okropnie, dziewczyno. Skóra i kości. Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. Szczerze mówiąc, Alec, chcę tylko wziąć się do pracy i spróbować zapomnieć o wszystkim, co się działo w ostatnich tygodniach.

– Dobrze, słuchaj, spotkajmy się na jakiejś kanapce tu obok o pierwszej. Jest kilka spraw, o których powinienem ci powiedzieć. Chodzi o… kilka zmian, które zaszły podczas twojej nieobecności. A teraz zabieraj się stąd, idź do swojego starego biurka i sprawdź zaległą pocztę.

Mrugnął do niej i wrócił do swojego komputera.

Joanna ruszyła przez redakcję, wdychając ciężkie od dymu tytoniowego powietrze. Niezależnie od tego, ile zawieszano tabliczek z napisem *Palenie wzbronione*, w dziale wiadomości niezmiennie unosił się ten zapach. Na szczęście fotel Alice przy sąsiednim stanowisku był pusty. Joanna chciała mieć trochę czasu, by nienękana pytaniami zadomowić się tu od nowa. Usiadła i włączyła komputer.

Gapiła się niewidzącym wzrokiem w ekran, nie potrafiąc odwrócić myśli od nowo odkrytych faktów. Po spotkaniu z babcią porównała jeszcze inne fotografie młodego księcia ze zdjęciem Michaela O'Connella w programie teatralnym sprzed lat. Ci dwaj mężczyźni byli praktycznie nie do odróżnienia.

Przyjmując koncepcję babci o sobowtórze, Joanna doszła do wniosku, że wszystko mogło wyglądać mniej więcej tak: młody aktor, bardzo podobny do księcia Yorku i w tym samym wieku co on, dostał rolę życia. Książę nie mógł być w Irlandii w owym czasie. Miał oficjalne obowiązki, a w dodatku jego żona była w ciąży, więc to Michael O'Connell musiał być tym dżentelmenem, który zamieszkał w strażnicy. I to on miał romans z Niamh Deasy. Biedna Ciara dziesięć lat później zobaczyła na pierwszej stronie „Irish Timesa" zdjęcie księcia Yorku z dnia koronacji i, co zrozumiałe, uznała, że to mężczyzna z domu w zatoce, ten, który romansował z jej zmarłą siostrą. List ukryty pod podłogą w strażnicy, jak pomyślała ze smutkiem Joanna, to nic więcej jak garstka słów zrozpaczonej umierającej kobiety, napisanych do Michaela, człowieka, którego kochała ponad wszystko.

Jednak gdyby tak właśnie było, to dlaczego Michael O'Connell zmienił tożsamość? Co takiego wiedział, że mógł sobie pozwolić na kupno ogromnego domu na Welbeck Street, stał się człowiekiem zamożnym, poślubił arystokratkę i zrobił wielką karierę jako aktor?

I skąd ten list miłosny do „Siama” od tajemniczej damy, list, który zapoczątkował całe jej śledztwo? Czy to Rose go napisała, jak kiedyś wydawało się Joannie, czy może ktoś inny…?

Westchnęła sfrustrowana. W sumie, choć ci dwaj mężczyźni byli do siebie niewiarygodnie podobni, to jeszcze niczego nie dowodziło.

Rozejrzała się, by oprzytomnieć i wrócić do rzeczywistości. Jeśli tylko da po sobie poznać, że nadal się tym interesuje, natychmiast ją dopadną. Pozwolili jej wrócić do życia, bo uznali, że to, co wie, zachowa dla siebie na zawsze. Pytanie, czy ma siłę i odwagę kontynuować śledztwo? Nie miała jeszcze pojęcia, do czego to prowadzi, ale czuła, że jest niebezpiecznie blisko odkrycia prawdy.

Mimo jej protestów Alec punktualnie o pierwszej zaciągnął ją do pobliskiego pubu. Chciał usłyszeć całą historię.

– No, to opowiedz mi teraz wszystko po kolei.

Przypatrywał się jej znad kufla piwa.

– Nie ma nic do opowiadania – ucięła. – Byli tam jacyś myśliwi polujący na kaczki. Razem z Marcusem znaleźliśmy się w środku strzelaniny. Został trafiony. Ja uciekłam i wpadłam do wody. Przez silny znoszący mnie prąd omal nie utonęłam – powtórzyła niczym mantrę.

– Polowanie na kaczki! – prychnął. – Na litość boską, Jo! Nie mnie wmawiaj takie bzdury. Co takiego odkryłaś, że musiałaś walczyć o życie, a Marcus zginął?

– Nic, Alec, naprawdę – powiedziała ze znużeniem. – Wszystkie tropy prowadziły donikąd. Jeśli o mnie chodzi, to zamykam ten rozdział. Odzyskałam pracę, którą kocham, i zamierzam skupić się na aferach ze świata modelek i gwiazd telenoweli, a nie gonić za jakimiś niestworzonymi historiami o spiskach, wytworami chorej wyobraźni malutkich staruszek.

– Haslam, cholernie kiepska z ciebie kłamczucha, ale rozumiem,

że ci z góry nieźle się spisali i solidnie cię wystraszyli. A szkoda, bo ja sam trochę w tym pokopałem.

– Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie tym głowy, Alec. To droga donikąd.

– Nie lubię się wywyższać, kochana, ale pracuję w tym zawodzie dłużej, niż ty chodzisz po ziemi, i potrafię wyczuć sensację na odległość paru kilometrów. Chcesz posłuchać czy nie?

Joanna wzruszyła ramionami.

– Nie, naprawdę mnie to już nie obchodzi.

– Oj, przestań, i tak ci powiem. Czytałem jedną z autobiografii sir Jamesa Harrisona i coś mnie zastanawia.

Starała się udawać niezainteresowaną, a Alec mówił dalej:

– To uderzające, jak blisko był ze swoją żoną Grace. Jak dobre to było małżeństwo i jak bardzo rozpaczał po jej śmierci.

– No i co?

– Grace, jak wszystko na to wskazuje, zmarła we Francji. Chodzi mi o to, że jeśli ukochana osoba umiera za granicą, chcesz przywieźć jej ciało i pochować ją w ojczystej ziemi, nie mam racji? Żebyście mogli pewnego dnia spocząć obok siebie na wieczność? A wiemy, że on został pogrzebany w Dorset. Samotnie – dodał Alec.

– Możliwe. Oczywiście Marcusa przewieziono do kraju z Irlandii – wzruszenie chwyciło Joannę za gardło – ale byłam jeszcze w zbyt kiepskim stanie, żeby iść na pogrzeb.

– Przykro mi bardzo. No, ale masz. Dlaczego sir James nie sprowadził tu ciała ukochanej? A może ona wcale nie umarła?

– Nie wiem. Mogłabym dostać wreszcie jakąś kanapkę? Umieram z głodu.

– Jasne. Z serem ci odpowiada?

– Jasne.

Przekrzykując gwar, Alec zamówił kanapkę i dwa kolejne drinki.

– Tak czy inaczej, ona byłaby już dobrze po dziewięćdziesiątce, więc szanse, że żyje, a w dodatku jest w pełni władz umysłowych, są nikłe.

– Naprawdę myślisz, że jeszcze nie umarła? Że ona też była w to wszystko zamieszana?

– Bardzo możliwe, Jo, całkiem możliwe. – Alec, siorbiąc, pociągnął łyk piwa.

– Słuchaj, to wszystko bardzo ciekawe, ale powtórzę ci raz jeszcze: ja już z tym raz na zawsze skończyłam.

– Twój wybór, kochanie.

– A poza tym, jak można szukać kogoś, kto podobno nie żyje od niemal sześćdziesięciu lat?

– Wiesz, Jo, są na to sposoby. Zawsze można złapać takich w pułapkę, jeśli przynęta będzie właściwie sformułowana.

– Sformułowana?

– Na przykład ogłoszenie na stronie z nekrologami. Każda stara wiedźma je czyta, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś ze znajomych nie kopnął w kalendarz. Ale jedz kanapkę. Chyba przydałoby ci się przytyć parę kilogramów.

Joanna dotarła wieczorem do swojego mieszkania kompletnie wyczerpana i poszła się kąpać. Po czystym powietrzu w Yorkshire Londyn wydawał się brudny. I ona sama też. Umyta, ubrana w szlafrok i puchate kapcie usiadła na kanapie w salonie. Zastanawiała się, że może zbyt wcześnie tu wróciła. W Yorkshire czuła się przynajmniej bezpieczna i nigdy tak bardzo samotna jak teraz.

Sięgnęła do sterty poczty, która nagromadziła się podczas jej nieobecności, i zaczęła ją przeglądać. Trafiła na przemiły list od Zoe

Harrison, która witała ją w Londynie i prosiła o telefon, żeby mogły umówić się na lunch. Była też niepokojąco spora kupka rachunków do zapłacenia i Joanna cieszyła się, że na szczęście znów ma pracę. Kiedy segregowała pocztę na „ważne" i „do śmieci", na podłogę wypadła wąska biała koperta. Podniosła ją. Na wierzchu było napisane ręcznie samo jej imię. Zajrzała do środka.

Kochana Jo!

Proszę, nie podrzyj od razu tego listu. Okazałem się prawdziwym gnojkiem, wiem. Kiedy zobaczyłem, jak bardzo byłaś urażona i zła, znienawidziłem siebie. Jestem na siebie wściekły, jak jeszcze nigdy dotąd, wierz mi.

Całe życie winiłem innych za swoje problemy i zdaję sobie teraz sprawę, że jestem tchórzem. Obrzydliwym tchórzem, bo nie powiedziałem Ci prawdy o tych pieniądzach. Nigdy nie zasługiwałem na kogoś takiego jak Ty.

Od chwili, kiedy Cię zobaczyłem w restauracji, wiedziałem, że Cię pragnę. Że jesteś wyjątkowa, inna od wszystkich. Jesteś niesamowitą kobietą, silną, odważną, i to sprawia, że sam czuję się strasznie żałosny, do niczego.

Wiem, że pewnie, czytając to, kręcisz głową… jeśli jeszcze nie wrzuciłaś tego listu do śmieci. Nie jestem zbyt romantyczny i nie potrafię pięknie pisać, ale odkrywam przed Tobą serce. To prawda, Joanno Haslam, kocham Cię. Nie mogę nic zrobić, by cofnąć to, co się stało, ale mam nadzieję, że potrafię zmienić przyszłość.

Jeśli w swoim sercu znajdziesz miejsce dla wybaczenia, dla Ciebie chcę się stać lepszym człowiekiem. I pokazać Ci, jaki potrafię być.

Jeszcze raz: kocham Cię.

Marcus

PS A tak przy okazji, nie powiedziałem dziennikarzom o Zoe. To moja siostra. Nigdy bym jej czegoś takiego nie zrobił.

– O Boże, o Boże, Marcus… – Z oczu Joanny polały się łzy. – Przecież mi pokazałeś, kochanie, pokazałeś!

Płakała. Jakie to straszne. Kiedy czytała od nowa ten list, z całą mocą uderzyła ją nieubłagana nieodwracalność śmierci. Fakt, że nigdy nie zdoła mu już podziękować za to, co dla niej zrobił. Zdała sobie sprawę, że mimo swoich wad Marcus kochał ją tak bardzo jak jeszcze nikt w życiu. A teraz go nie było.

– Nie jestem silna ani dzielna – szepnęła, idąc do sypialni.

Poszukała w plecaku tabletek nasennych, które dostała od lekarza, kiedy wypisywali ją ze szpitala. Tej nocy naprawdę były jej potrzebne.

Wyciągnęła stare gazetowe wycinki i kopertę zawierającą wszystkie „dowody". Położyła się na łóżku i popatrzyła na tę stertę. Znów miała nieprzepartą chęć porównać fotografie i znów zaczęła szukać w myśli odpowiedzi.

– To był twój dziadek, Marcusie – szepnęła w ciszy pokoju, łykając tabletkę, po czym próbowała ułożyć się wygodnie na nowym materacu. – Kim on był? – rzuciła w przestrzeń.

Godzinę później, mimo leku nadal nie mogąc zasnąć, usiadła. Przecież… Chyba jest to winna Marcusowi, który stracił życie podczas poszukiwania prawdy…?

Alec mówił o zamieszczeniu małego ogłoszenia. Postanowiła pójść za jego radą i wzięła się do pracy przy komputerze. Zebrała listę kilkunastu ogólnokrajowych francuskich gazet i wielu lokalnych. Zdecydowała, że zacznie od „Le Monde" i „Timesa" który – jako Angielka z pochodzenia – może kupować Grace, aby nie

tracić kontaktu z krajem. Jeśli ogłoszenia w tych tytułach nic nie przyniosą, umieści je w trzech kolejnych i tak dalej. Oczywiście nie było żadnej pewności, że Grace nadal mieszka we Francji. Mogła równie dobrze wyjechać stamtąd wkrótce po swojej sfingowanej „śmierci" lata temu.

Ale jak sformułować ogłoszenie, by Grace wiedziała, że może się bezpiecznie ujawnić? A jednocześnie nie zaalarmować kogoś, kto tylko czyha, by się wychyliła? Siedziała po turecku na łóżku do późnej nocy i łamała sobie głowę, jakich użyć słów. Obok niej rosła kupka kolejno miętych zapisanych kartek, które rano trzeba będzie spalić na popiół.

Blisko świtu wklepała treść ogłoszenia, a potem od razu po wydrukowaniu go, skasowała je z pamięci komputera. Po przyjściu do pracy wysłała je faksem, z notką do obu redakcji, by zamieściły ogłoszenie najszybciej jak to możliwe. Miało się pojawić za dwa dni. Szanse były nikłe, wiedziała o tym. Ale jedyne, co mogła teraz zrobić, to czekać.

Pora lunchu zastała ją przy pracy w bibliotece na Hornton Street. Siedziała przy stoliku zarzuconym książkami na temat historii rodziny królewskiej. Studiowała kolejne zdjęcie młodego księcia Yorku i jego narzeczonej. Nagle jej wzrok powędrował w dół i dostrzegła pierścień na jego lewej ręce. Choć częściowo był w cieniu, kształt i insygnia wydały się jej znajome.

Zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widziała taki sygnet. Przeklinając na głos, bo nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, popatrzyła na zegar i zdała sobie sprawę, że jej przerwa na lunch się skończyła.

O czwartej, kiedy piła herbatę, nagle ją olśniło, aż uderzyła

z radości w blat biurka.

– Oczywiście!

Podniosła słuchawkę i wybrała numer Zoe.

– Jak się masz? – spytała Zoe, kiedy tego samego dnia wieczorem otworzyła drzwi domu na Welbeck Street i szybko rzuciła okiem na ulicę. Skinęła na Joannę, by weszła, i uściskała ją serdecznie.

– O… w porządku.

– Na pewno? Bardzo schudłaś, Jo.

– Możliwe. A ty, jak się czujesz?

– Ja… no wiesz… jak zawsze. Herbaty? Kawy? Wina? Namawiałabym na to ostatnie, bo w końcu słońce dawno już zaszło.

– Pójdę z tobą – powiedziała Joanna, idąc za Zoe do kuchni.

Ta wzięła do połowy opróżnioną butelkę wina i nalała do dwóch kieliszków.

– Ty też nie wyglądasz zbyt dobrze – zauważyła Joanna.

– Szczerze mówiąc, czuję się beznadziejnie!

– To tak jak ja!

– Na zdrowie.

Stuknęły się smutno kieliszkami i usiadły przy kuchennym stole.

– Jak ci jest po powrocie do Londynu? – spytała Zoe.

– Ciężko – przyznała Joanna. – Wczoraj wieczorem znalazłam to w swojej poczcie – powiedziała cicho, podając Zoe list. – Od Marcusa. Musiał napisać to po naszej kłótni… Pomyślałam, że może… no, może zechcesz to przeczytać.

– Dziękuję.

Zoe otworzyła kopertę. Joanna patrzyła, jak przebiega wzrokiem tekst, a jej niebieskie oczy stają się szkliste od łez.

– Dziękuję, że mi to pokazałaś. – Zoe ujęła jej dłoń. – To dla mnie

wiele znaczy, że Marcus tak bardzo cię kochał. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będzie mu dane zaznać takiej miłości, i jestem szczęśliwa, że jednak tego doświadczył. Nawet jeśli trwało to krótko.

– Strasznie mi żal, że nie do końca wierzyłam w jego uczucie, ale to było bardzo trudne, biorąc pod uwagę jego zachowanie i opinię, jaką sobie wyrobił. Poza tym okropnie się pokłóciliśmy – wyznała Joanna. – To mnie dobija. Oskarżyłam go, że przehandlował ciebie i Arta mediom. – Przynajmniej powiedziała pół prawdy.

– No tak. A mnie przyszło do głowy, że to ty, ale Simon przysięgał, że to niemożliwe.

– Miło z jego strony. W każdym razie tak się składa, że żadne z nas tego nie zrobiło.

– Wobec tego kto?

– Któż to wie? Może jakiś sąsiad, który zobaczył Arta wchodzącego i wychodzącego od ciebie z domu? Boże, Zoe, tak mi wstyd, że oskarżyłam Marcusa.

– Ale przynajmniej pogodziliście się w Irlandii.

– No tak – skłamała Joanna, udręczona faktem, że nigdy nie będzie mogła powiedzieć Zoe, jak Marcus uratował jej życie. – Potwornie mi go brak.

– Mnie też. Choć był tak denerwującym samolubem i utracjuszem, miał w sobie tyle pasji. Potrafił żyć. A teraz zmieńmy temat, zanim obie znów zaczniemy płakać. Mówiłaś, że chciałabyś zobaczyć sygnet Williama Fieldinga?

– Tak.

Zoe sięgnęła do torebki, wyciągnęła małe skórzane pudełko i podała Joannie, która je otworzyła i przyjrzała się pierścieniowi.

– No i co? Czy to ten sam, który widziałaś w katalogu, o którym wspominałaś podczas naszej rozmowy telefonicznej? Utracone

dziedzictwo carskiej Rosji? Bezcenny pierścień skradziony z palca jakiegoś arcybiskupa zamordowanego podczas reformacji?

– Nie mam całkowitej pewności, ale może być bardzo drogi… Zgodziłabyś się, żebym pożyczyła go na kilka dni i sprawdziła? Przyrzekam, że nie spuszczę go z oka.

– Oczywiście, weź go. Zresztą właściwie i tak nie jest moją własnością. Biedny stary William nie miał żadnych żyjących krewnych. Pytałam podczas pogrzebu, ale byli tam tylko jego dawni przyjaciele aktorzy i znajomi z branży. Możliwe, że jeśli ten pierścień jest coś wart, William chciałby, żeby go sprzedać i zasilić fundację na rzecz aktorów.

– Ładny pomysł. – Joanna zamknęła pudełeczko i schowała do plecaka. – Dam ci znać, kiedy tylko będę wiedziała coś konkretnego. A teraz opowiedz mi wszystko o swoim księciu.

– Jest w porządku. – Zoe pociągnęła spory łyk wina.

– Tylko „w porządku”? Ani słowa o tym, że trafiłaś na miłość życia, o związku jak z bajki, o czymś, co się niemal nie zdarza…

– Ostatnio się z nim nie widziałam. Spędziłam kilka dni i Wielkanoc z Jamiem. Nadal jest w szoku po tym, co się stało, i denerwuje się powrotem do szkoły. Martwi się, że będą mu dokuczać z powodu mamy.

– Biedny. Przykro mi, Zoe. Nie było mnie wiele tygodni i nie bardzo wiem, co się działo.

– Koledzy naśmiewali się z niego przez mój związek z Artem. Nic mu o nim nie mówiłam, a kiedy wyjechaliśmy razem do Hiszpanii, Jamie uciekł ze szkoły. To Simon go znalazł. Śpiącego na grobie pradziadka. – Na twarzy Zoe malowało się wzruszenie. – Nadal nie mogę się nadziwić, jakim cudem Simonowi udało się poznać mojego syna na tyle, by wiedzieć, gdzie go szukać. To taki dobry człowiek. Jamie go uwielbia.

– Ale między tobą i twoim księciem wszystko gra, nic się nie zmieniło?

– Jeśli mam być szczera, byłam na niego wściekła, kiedy wylatywałam z Hiszpanii. Najwyraźniej nie rozumiał, jak bardzo się boję, i powiem ci szczerze: miałam wrażenie, że niespecjalnie przejął się zaginięciem Jamiego. Kiedy jednak wrócił do Londynu, wysłał mi wielki bukiet, bardzo przepraszał za brak wyczucia i obiecał, że w przyszłości zadba o to, by Jamie był lepiej chroniony.

– Więc teraz wszystko jest znów dobrze?

– Sądzę, że tak. Art poruszył niebo i ziemię, by jego rodzice i reszta rodziny mnie zaakceptowali. Ale – Zoe powiodła palcem po stopce kieliszka – tak między nami mówiąc, zaczynam się poważnie zastanawiać nad tym, co do niego czuję. Rozpaczliwie chciałabym wierzyć, że ta miłość, która trwa tak długo, jest prawdziwa. Od tylu lat pragnęłam jego jednego, a teraz go mam… i… – pokręciła głową – zaczynam szukać dziury w całym.

– Uważam, że to nic dziwnego. Kto byłby w stanie sprostać naszym wyobrażeniom o wymarzonym księciu z bajki?

– Stale to sobie powtarzam, ale prawda jest taka, że nie wiem, czy mamy ze sobą wiele wspólnego. To, co mnie śmieszy, dla niego nie jest ani trochę zabawne. Szczerze mówiąc, w ogóle rzadko kiedy się śmieje. I jest taki – Zoe szukała odpowiedniego słowa – zasadniczy. Nie ma w nim odrobiny spontaniczności.

– To pewnie wynika bardziej z jego pozycji niż charakteru?

– Być może. Ale z niektórymi mężczyznami nigdy nie czujesz się w pełni sobą. Masz wrażenie, że grasz. Nie potrafisz się naprawdę wyluzować. Znasz to?

– Owszem. Byłam z takim przez pięć lat. Choć nie zdawałam sobie z tego sprawy, póki mnie nie rzucił. Matthew, mój były, nie

wyciągał ze mnie tego, co najlepsze. Rzadko kiedy dobrze się bawiliśmy.

– No, właśnie o to mi chodzi. Art i ja spędzamy mnóstwo czasu na poważnych dyskusjach o przyszłości i właściwie nigdy nie cieszymy się chwilą. I nadal nie odważyłam się poznać go z Jamiem. Mam paskudne przeczucie, że mój syn specjalnie go nie polubi. Bo on jest taki… sztywny. A poza tym – Zoe westchnęła – ta myśl, że już przez całe życie mam być na cenzurowanym… Media będą analizować każdy mój ruch. Gdziekolwiek się pokażę, będę miała pod nosem wycelowane we mnie obiektywy.

– Jestem pewna, że jeśli kochasz Arta, to on pomoże ci jakoś to znieść. Musisz jednak głęboko przemyśleć swoje uczucia do niego.

– Chcesz powiedzieć, że miłość zwycięży wszystko?

– Właśnie.

– No i tu jest pies pogrzebany, jak sądzę. Mam wrażenie, jakbym była Puchatkiem, który utknął w króliczej norze. Zabrnęłam już tak daleko, że nie mam pojęcia, jak mogłabym się teraz wycofać. Mój Boże, w takich chwilach tak strasznie mi brak dziadka. Na pewno potrafiłby powiedzieć mi coś mądrego i rozsądnie poradzić.

– Byliście sobie bardzo bliscy, prawda?

– Ogromnie. Szkoda, że go nie poznałaś, Jo. Pokochałabyś go, a on ciebie. Uwielbiał kobiety z charakterem.

– Czy taka była twoja babcia? – zaryzykowała pytanie Joanna.

– Nie jestem pewna. Wiem, że pochodziła z zamożnej angielskiej rodziny. White'owie to imponujący ród. Ona była damą. Oczywiście, wychodząc za dziadka, straciła tytuł. Niebywała zdobycz jak na aktora, szczególnie o, jak można się domyślać, irlandzkich korzeniach.

Joannie serce zamarło.

…musi Pani porozmawiać z Damą Białego Rycerza.

– Nazwisko panieńskie Grace to White?

– Tak. Była naprawdę śliczna… filigranowa i pełna wdzięku…

– Podobna do ciebie.

– Niewykluczone. Może dlatego dziadek tak bardzo mnie kochał. A skoro już mowa o zmarłych żonach, chciałabym ci coś powiedzieć. Dostałam propozycję takiej roli.

– Słucham? – Joanna zmusiła się, by skupić się na tym, co mówi Zoe.

– Paramount planuje ogromną, wielomilionową produkcję. Remake *Blithe Spirit*. Chcą, żebym zagrała Elvirę.

– O kurczę, Zoe, masz na myśli Hollywood?

– Jasne. Dostanę tę rolę, jeśli tylko zechcę. Widzieli wstępną wersję *Tessy*, wezwali mnie na zdjęcia próbne, a wczoraj wystąpili do mojej agentki z ofertą, która wydaje się aż nieprzyzwoita.

– To cudownie! Brawo! W pełni na to zasługujesz.

– Daj spokój, Jo. – Zoe przewróciła oczami. – Pewnie liczą, że amerykańska publiczność rzuci się tłumnie do kin, żeby zobaczyć dziewczynę księcia. Nie chcę być cyniczna, ale trudno mi uwierzyć, że dostałabym taką propozycję, gdyby w całych Stanach we wszystkich gazetach nie pojawiła się moja twarz obok Arta.

– Zoe, nie umniejszaj tego, kim jesteś – zaoponowała Joanna. – Wyjątkowo utalentowana z ciebie aktorka. Hollywood i tak w końcu by się na tobie poznało. Z Artem czy bez.

– No tak. Ale nie mogę wziąć tej roli.

– Dlaczego?

– Jo, zejdź na ziemię. Jeśli wyjdę za Arta, to co najwyżej będę częstować się koreczkami i ściskać dłoń po dłoni, pełniąc honory podczas akcji charytatywnych, jeśli nie uda się ściągnąć tam kogoś z wyżej postawionych członków mojej przyszłej rodziny.

– Czasy się zmieniają, Zoe. Może rodzinie królewskiej potrzeba

właśnie kogoś takiego jak ty, by wejść przebojem w nowe tysiąclecie? Współczesne kobiety pracują. Koniec kropka.

– Być może, ale jeśli to oznacza rozebranie się od czasu do czasu albo całowanie głównego bohatera? Wykluczone.

– Nie przypominam sobie żadnej golizny w *Blithe Spirit*.

Joanna zachichotała.

– Racja, ale rozumiesz, o co mi chodzi. Nie… – Zoe westchnęła. – Jeśli zdecyduję się go poślubić, to koniec z karierą. Pomyśl o Grace Kelly.

– To były lata pięćdziesiąte! Rozmawiałaś o tym z Artem?

– Nooo… nie, jeszcze nie.

– To radzę ci to zrobić. I to szybko, bo jeszcze ktoś wychlapie wszystko prasie.

– No i właśnie o to mi chodzi! – Błękitne oczy Zoe zabłysły gniewem. – Moje życie już do mnie nie należy. Robią sensację nawet z tego, jak wyskoczę do sklepu po mleko. W każdym razie mam dwa tygodnie na podjęcie decyzji co do tej roli. W niedzielę odwożę Jamiego z powrotem do szkoły, a potem jadę na tydzień do Dorset, by jakoś poukładać sobie w głowie.

– Sama?

– Jasne, że nie. – Zoe uniosła brew. – Te czasy dawno minęły. Towarzyszy mi Simon. Ale on mi nie przeszkadza. Tak naprawdę fantastycznie gotuje. I potrafi słuchać.

Joanna popatrzyła Zoe w oczy i znów zauważyła w nich coś jakby wzruszenie. Spojrzenie przyjaciółki stało się nagle bardziej łagodne.

– Słuchaj, myślę, że sprowadza się to właściwie do tego, czy kochasz Arta dość mocno, by rzucić dla niego wszystko. Czy twoje życie bez niego straciłoby sens.

– Wiem. I to decyzja, którą muszę podjąć. Jo, kochałaś Marcusa?

– Na pewno byłam w nim zakochana… tak. Problem w tym, że kiedy już chciałam mu zaufać, zapomnieć o wszystkim, co o nim mówią, i uwierzyć, że naprawdę coś do mnie czuje, było za późno… Żałuję, że nie byliśmy ze sobą dłużej. Ostatnie kilka dni w Irlandii… On naprawdę był wyjątkowym człowiekiem.

– Ach, Jo… – Zoe wyciągnęła do niej dłoń z drugiej strony stołu. – To takie smutne. Dzięki tobie stał się lepszym człowiekiem.

– On mnie rozśmieszał, nigdy nie traktował niczego zbyt poważnie… poza swoimi ukochanymi filmami, oczywiście. Z nim czułam się w pełni sobą i potwornie za nim tęsknię – przyznała Joanna. – No nic. Lepiej pójdę już. Mam jeszcze… coś do zrobienia w redakcji.

– Dobrze. I przepraszam, że choć przez chwilę podejrzewałam cię o wydanie mnie i Arta.

– Nie martw się tym. Szczerze mówiąc, rzeczywiście rozważałam taką możliwość. Przynajmniej przez chwilę! – Uśmiechnęła się, wstając, i ucałowała Zoe. – Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś chciała pogadać.

– Dobrze. Ty też się odzywaj. Mogłabyś przyjść na inaugurację fundacji pamięci dziadka? Będę przemawiać w imieniu Marcusa. – Zoe podała jej zaproszenie ze sterty leżącej na kuchennym blacie.

– Oczywiście.

– A może wpadłabyś do mnie na kolację w przyszły weekend, kiedy wrócę z Dorset? Myślę, że czas, by Art poznał niektórych moich przyjaciół. Wtedy sama ocenisz. Przyda mi się bezstronna opinia.

– Dobrze. Dryndnij do mnie w tygodniu. Trzymaj się ciepło.

Joanna wyszła i widząc zbliżający się do przystanku autobus, śmignęła w podskokach przez ulicę między jadącymi samochodami i wsiadła. Znalazła wolne miejsce z tyłu na górze i rozpięła plecak.

Wyciągnęła zdjęcie, któremu tak uważnie przyglądała się poprzedniego wieczoru, i trzęsącymi się rękami otworzyła pudełeczko z sygnetem.

Nie było żadnej wątpliwości. Pierścień, który trzymała w dłoni, był identyczny jak ten widoczny na małym palcu księcia Yorku.

Autobus sunął Oxford Street. Joanna zapatrzyła się w okno. Czy znalazła właśnie dowód, który był jej potrzebny? Czy ten pierścień wystarczy, by przyjąć, że to, co tak niewinnie zasugerowała kochana babcia, jest prawdą? Że Michael O'Connell zastępował jako sobowtór niedomagającego księcia Yorku?

Trafiła na coś jeszcze…

Wsunęła pierścień bezpiecznie z powrotem do pudełeczka, włożyła je do plecaka, po czym wyjęła list Rose i przeczytała go sobie raz jeszcze.

Jeśli odejdę wcześniej, musi Pani porozmawiać z Damą Białego Rycerza.

James Harrison otrzymał tytuł szlachecki. Grace, jego żona, była nie tylko damą, ale nosiła nazwisko White, biały.

Joanna poczuła, jak skręca ją w żołądku. Zdawało się, że Alec trafił w dziesiątkę.

AMP

37

Odezwał się dzwonek przy drzwiach i Zoe poszła otworzyć. Uśmiechnęła się na widok gościa.

– Cześć, Simon. – Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. – Tak miło cię widzieć. Jak leci?

– W porządku. A co u ciebie?

– Jakoś daję radę.

Westchnęła, a Simon ze swoją torbą podróżną poszedł w kierunku schodów.

– Jamie żałował, że się miniecie – dodała, ruszając za nim na górę. – Wczoraj odwiozłam go do szkoły. Biedak strasznie się denerwował, ale porozmawiałam z dyrektorem. Obiecał mieć na niego oko.

Patrzyła, jak Simon stawia torbę na łóżku. Podała mu kartkę, na której narysowano długopisem dwóch ludzi grających przy komputerze.

– To od Jamiego, na powitanie. Niespecjalnie polubił twojego zmiennika, który zastąpił cię, kiedy wyjechałeś. Twierdził, że tamten nie jest taki fajny.

Simon uśmiechnął się, kiedy przeczytał dedykację.

– Bardzo miło z jego strony.

– No to rozgość się, a potem zejdź, to się napijemy. Przygotowałam nam kolację, bo chyba jestem ci jedną dłużna.

– Zoe, przepraszam, że taki kiepski ze mnie kompan, ale już jadłem i mam na dziś wieczór tonę roboty. Doceniam twoją uprzejmość, ale może innym razem, dobrze?

Po jej minie widać było, jak bardzo jest rozczarowana.

– Całe popołudnie spędziłam w kuchni. Może… – Umilkła na widok zagadkowego wyrazu jego twarzy. – No trudno. Nie ma sprawy.

Simon nie odpowiedział, tylko zajął się wykładaniem tych nielicznych rzeczy, które przywiózł.

– Możemy pojechać jutro do Dorset? – dodała wśród ciszy. – Potrzebuję chwili, by przemyśleć kilka spraw. W czwartek muszę wrócić do Londynu na inaugurację fundacji, ale przecież możemy wyskoczyć na jeden dzień, prawda?

– Oczywiście. Jak sobie życzysz.

Czuła wyraźnie, że jej obecność nie jest tu mile widziana.

– No to zostawiam cię w spokoju. Zejdź na filiżankę kawy, kiedy skończysz pracę.

– Dzięki.

Zoe zamknęła za sobą drzwi jego pokoju, czując się tak, jakby zeszło z niej całe powietrze. Ruszyła wolno schodami w kierunku apetycznych aromatów dolatujących z kuchni. Nalała sobie kieliszek wina, którego butelkę wybrała wcześniej w piwnicy z dobrze wyleżakowanej kolekcji, i usiadła przy stole.

Przez cały dzień energia ją wprost rozsadzała. Zoe krzątała się jak szalona, sprzątała, robiła zakupy na rynku przy Berwick Street, żeby mieć wszystko świeże na kolację, i wróciła z naręczami kwiatów, by w domu pachniało wiosną.

Aż jęknęła, kiedy dotarło do niej, co to może znaczyć. Wszystko, co dziś robiła, przypominało zabiegi kobiety podnieconej myślą

o wieczornym spotkaniu z mężczyzną, który się jej naprawdę podoba…

Simon nie pojawił się tego wieczoru na dole, mimo jej zaproszenia na filiżankę kawy. A Zoe zostawiła większość moussaki i greckiej sałatki na talerzu. Wolała topić smutki w doskonałym winie.

O dziesiątej zadzwonił Art, powiedział, że ją kocha i za nią tęskni. Przypomniał też, że musi się przygotować do pierwszego oficjalnego pojawienia się z nim za tydzień i warto, by pomyślała o kreacji – która nie powinna zbyt wiele pokazywać, jak to określił – co tylko sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej spięta. Krótko życzyła mu dobrej nocy i poszła się położyć.

Leżąc bezsennie, beształa się za to, że pozwoliła swojej wyobraźni tak się rozhulać na temat Simona, podobnie jak to się działo przez lata w przypadku Arta. Sądziła, że Simonowi na niej zależy, myślała, że zawsze był dla niej serdeczny. Jednak tego wieczoru wydawał się zimny, odległy… Wyraźnie dał do zrozumienia, że jest tu w ramach obowiązków służbowych, nic więcej. Łzy popłynęły jej po policzkach, kiedy rozgoryczona uświadomiła sobie, że nie pragnie, by leżał przy niej mężczyzna, który był miłością jej życia, ale ten śpiący zaledwie kilka metrów od niej, w pokoju na górze.

Podróż do Dorset następnego dnia przebiegła praktycznie w całkowitym milczeniu. Zoe, rozdrażniona i skacowana, siedziała z tyłu, starając się skupić na scenariuszu filmu i podjąć decyzję.

Zatrzymali się na zakupy przy supermarkecie w Blandford Forum, a potem pojechali do Haycroft. Simon wniósł jej bagaże

i zakupy, po czym spytał uprzejmie, czy jeszcze sobie czegoś życzy, i od razu poszedł na górę do swojego pokoju.

O siódmej wieczorem, kiedy siedziała nad mało wyrafinowanym kotletem schabowym polanym grudkowatym sosem, wszedł do kuchni.

– Nie przeszkadza ci, jeśli zrobię sobie kawę?

– Ależ skąd, proszę – odparła. – Jest jeszcze kotlet i trochę ziemniaków w piekarniku, jeśli chcesz.

– Dziękuję, Zoe, ale nie ma powodu, żebyś mnie żywiła. To do ciebie nie należy, naprawdę nie trudź się tym więcej.

– Przestań, Simon. Ty dla mnie gotowałeś. A ja i tak musiałam coś sobie przyrządzić.

– W takim razie… dziękuję. Zabiorę sobie na górę, jeśli można.

Patrzyła, jak sięga po talerz.

– Czy coś zrobiłam nie tak? – spytała płaczliwie.

– Nie.

– Jesteś pewien? Bo mam wrażenie, że starasz się mnie unikać.

Nie spojrzał jej w oczy.

– Wcale nie. Zdaję sobie sprawę, że to dość trudne mieć w domu kogoś obcego, kto narusza twoją prywatność, narzuca ci się, kiedy chcesz pobyć trochę sama.

– Jaki tam z ciebie obcy! Uważam cię przede wszystkim za przyjaciela. Po tym, co zrobiłeś dla Jamiego, jak mogłabym traktować cię inaczej?

– To wszystko w ramach obowiązków, Zoe. – Simon postawił filiżankę i talerz na tacy, po czym ruszył do drzwi. – Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybym był ci potrzebny. Dobranoc.

Drzwi kuchni zamknęły się za nim.

Zoe odsunęła nietknięty posiłek na bok i położyła głowę na ramionach na blacie.

– Wszystko w ramach obowiązków – zamruczała ze smutkiem.

– Dobra wiadomość. Nasza „emisariuszka” nadal żyje – usłyszał Simon w komórce.

– Została znaleziona? – spytał, chodząc w tę i we w tę po pokoju.

– Nie, ale wiemy już, gdzie mieszkała. Wyprowadziła się kilka lat temu, kiedy zmarł jej mąż. Od tamtej pory dom zmieniał właścicieli i ci obecni nie mają adresu, na jaki mieliby odsyłać jej pocztę. Sądzę jednak, że do jutra ją zlokalizujemy. To może nas wreszcie na coś naprowadzi. Będę chciał, żeby poleciał pan do Francji, Warburton. Skontaktuję się z panem, kiedy tylko dowiemy się, gdzie obecnie przebywa.

– Tak jest, proszę pana.

– Zadzwonię rano. Dobranoc.

*

– Rusz tyłek i zasuwaj na South Bank. W foyer Teatru Narodowego jest inauguracja fundacji sir Jamesa Harrisona.

– Wiem, Alec. I tak miałam tam iść, żeby wesprzeć Zoe! – ofuknęła go Joanna.

– Jutro drukujemy twój wywiad z Marcusem Harrisonem. Jako nawiązanie do nekrologu, który zamieszczaliśmy wcześniej. Ty go przeprowadzałaś, możesz więc zrobić reportaż z inauguracji, skoro już tam będziesz.

– Alec, proszę… Naprawdę wolałabym pójść tam po prostu jak przyjaciółka. Przyjaciółka… ich obojga.

– Przestań, Jo.

– A poza tym, myślałam, że mój wywiad z Marcusem został

dawno odłożony na półkę. Po co dawać go teraz?

– Bo, moja droga, rodzina Harrisonów stała się nagle dla wszystkich ogromnie ciekawa. Zdjęcie Zoe przemawiającej w imieniu zmarłego brata na uroczystości będzie się dobrze prezentować na pierwszych stronach.

– Jezu, Alec! Jesteś całkiem bez serca? – Zrozpaczona Joanna pokręciła głową.

– Przykro mi, Jo. Wiem, że ci smutno – odezwał się już łagodniej. – Ale przecież nie chciałabyś, żeby napisał to ktoś, kto go nie znał, co? Pójdzie z tobą Steve, żeby pocykać zdjęcia. Do zobaczenia.

W foyer Teatru Narodowego kłębił się tłum dziennikarzy i fotografów. Była też kamera telewizyjna. Niesamowita frekwencja jak na imprezę, która normalnie przyciągnęłaby zaledwie garstkę niezbyt zainteresowanych tematem nieopierzonych reporterów.

Joanna chwyciła kieliszek szampana z sokiem pomarańczowym z tacy niesionej przez kelnera i szybko pociągnęła spory łyk. Przez miesiąc w Yorkshire odwykła od towarzystwa takiej masy hałaśliwych, afektowanych ludzi. Z daleka dostrzegła Simona. Skinął jej lekko głową.

– Dzięki Bogu, że przyszłaś – usłyszała szept przy uchu.

Odwróciła się zaskoczona. To była Zoe. Wyglądała bardzo elegancko w turkusowej sukni.

– Nie wiedziałam, że to będzie aż tak szumna uroczystość – powiedziała Joanna po uściskaniu przyjaciółki.

– Ja też. Ale nie sądzę, by ktokolwiek z tego tłumu przyszedł tu, by uczcić pamięć mojego dziadka czy brata. Zwabiła ich raczej nadzieja, że pokaże się tu też… wiesz kto. – Zoe zmarszczyła nos z niesmakiem. – W każdym razie ja robię to dla nich obu.

– No pewnie, a ja przynajmniej będę miała okazję napisać coś ładnego o Marcusie i o tym, jak bardzo zależało mu na idei przyświecającej tej pięknej fundacji.

– Dziękuję, Jo. Byłoby wspaniale. Poczekaj na mnie, to skoczymy potem coś przegryźć.

Kiedy Zoe udzielała wypowiedzi reszcie dziennikarzy, Joanna przypatrywała się zdjęciom sir Jamesa Harrisona, których oprawione powiększenia rozwieszono w foyer. Był tu jako król Lear, w dramatycznej pozie, z rękami wyciągniętymi do nieba, z ciężką złotą koroną na głowie.

Czy to sztuka imituje życie, czy życie imituje sztukę? – zastanawiała się.

Wśród zdjęć było i takie, na którym Marcus, sir James i Zoe stali razem. Musiała to być premiera jakiegoś filmu. Joanna starała się oprzeć pokusie i nie pogładzić beztroskiej twarzy Marcusa, który pewny siebie patrzył prosto w obiektyw. Obejrzała się i zobaczyła atrakcyjną kobietę w podobnym wieku co ona, stojącą nie dalej niż metr od niej. Kiedy ich oczy się spotkały, kobieta uśmiechnęła się do niej, a potem odeszła.

Była druga, nim ostatni dziennikarz dał wreszcie spokój Zoe. Joanna siedziała cicho w kącie pustego foyer, robiąc notatki na temat inauguracji i krótkiej, pełnej emocji przemowy przyjaciółki. Korzystała też z materiałów prasowych, które dostała.

– Jak mi poszło? Dałam radę? – spytała Zoe, opadając na jeden z fioletowych foteli obok Joanny. – Przez cały czas walczyłam, żeby się nie rozpłakać.

– Idealnie się spisałaś. Na pewno jutro ty i fundacja będziecie główną sensacją w mediach.

Zoe przewróciła oczami.

– Przynajmniej cel jest szczytny.

Kiedy wychodziły z teatru, Joanna zauważyła znów kobietę, którą widziała wcześniej. Nieznajoma pilnie studiowała program planowanych przedstawień.

– Kto to jest? – spytała, kiedy ruszyły spacerowym krokiem nabrzeżem South Bank, pod którym połyskiwała w słońcu wiosennego popołudnia Tamiza.

Zoe obejrzała się.

– Nie mam pojęcia. Może jakaś dziennikarka.

– Nie kojarzę jej. I nie znam zbyt wielu dziennikarek, które nosiłyby tak drogie designerskie kostiumy.

– Jeśli nawet ty uparłaś się ubierać w dżinsy i bluzy, to nie znaczy, że inni nie przywiązują wagi do stroju – zażartowała Zoe, drażniąc się z nią trochę. – Daj spokój, chodź, napijmy się.

Wzięły się pod ramię i poszły dalej wzdłuż rzeki. Zatrzymały się przy winiarni. Zoe odwróciła się do Simona, trzymającego się kilka metrów za nimi.

– Idziemy na babskie pogaduszki. Nie zabawimy zbyt długo.

– Będę tutaj. – Wskazał jeden ze stolików, kiedy weszli do środka.

– Ale luksus… – mruknęła Joanna, kiedy siadły i zamówiły dwa kieliszki wina. – Choć to Simon, taki ogon non stop doprowadziłby mnie do białej gorączki.

– Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? – Zoe podniosła kartę i schowała się za nią.

Joanna zorientowała się, że wszystkie oczy w winiarni zwróciły się na jej przyjaciółkę. Zobaczyła, jak Simon idzie w głąb lokalu i znika w kuchni.

– A ten dokąd?

– Pewnie sprawdza awaryjną drogę odwrotu. Na wszelki wypadek. Ma lekkiego bzika na punkcie tylnych wejść. To znaczy…

Obie zachichotały. Usłużny kelner właśnie stawiał przed nimi

dwa kieliszki wina.

– Poważnie, Jo. – Zoe nachyliła się do niej. – Po prostu nie wiem, czy zdołam się na to zdecydować. W każdym razie, na zdrowie.

– Na zdrowie – powtórzyła Joanna.

Było po czwartej, gdy pożegnała się z przyjaciółką i wsiadła w autobus, by jechać do redakcji.

– O której to się wraca? – warknął na nią Alec, kiedy wyszła z windy.

– Mam wywiad na wyłączność z Zoe Harrison. W porządku?

– Zuch dziewczyna.

Kiedy usiadła i włączyła komputer, Alec podał jej małą paczuszkę.

– Zostawiono to dziś dla ciebie w recepcji.

– A, dziękuję.

Wzięła od niego przesyłkę i położyła obok klawiatury.

– Masz zamiar to odpakować? – zapytał.

– Za chwilę. Najpierw chcę sobie wklepać to, co mam z uroczystości. – Joanna skupiła się na ekranie.

– Mnie to wygląda na miniaturową bombę zegarową.

– Co takiego?! – Zobaczyła, że Alec się uśmiecha, więc tylko westchnęła i podała mu paczuszkę. – W takim razie ty do tego zajrzyj.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Oderwał tekturę z góry i wyciągnął ze środka pudełeczko i list.

– Od kogo to? – spytała, nie przerywając pisania. – Cyka?

– Na razie nie. Przeczytam ci list:

Droga Pani Joanno!

Próbowałam skontaktować się z Panią, ale nie miałam

adresu ani numeru telefonu. Na szczęście wczoraj zobaczyłam Pani nazwisko pod artykułem w gazecie. W pudełeczku jest medalion, który Pani ciocia Rose dała mi w ostatnie Boże Narodzenie. Robiłam trochę porządków wiosennych i trafiłam na niego w szufladzie. Pomyślałam, że bardziej należy się Pani niż mnie, zwłaszcza że nic Pani od niej nie ma. Mogłaby Pani dać mi znać, czy dotarł bezpiecznie do Pani rąk? Proszę wpaść kiedyś na filiżankę herbaty lub kawy. Miło byłoby Panią zobaczyć. Mam nadzieję, że odnalazła Pani swoją świętej pamięci ciotkę.

Z pozdrowieniami
Muriel Bateman

Alec podał Joannie pudełko.

– Masz. Chcesz, żebym je otworzył?

– Nie. Poradzę sobie, dzięki.

Joanna podniosła wieczko i ochronną warstwę waty, spod której ukazał się złoty, zamykany, misternie zdobiony medalion na grubym łańcuszku z różowego złota. Wyjęła go ostrożnie i położyła na dłoni.

– Piękny.

– Z czasów wiktoriańskich, jak sądzę. – Alec przyjrzał się dokładniej. – Wartość bombowa, szczególnie tego łańcucha. A więc należał on do tajemniczej Rose.

– Najwyraźniej… – Joanna manipulowała przy zatrzasku, by go otworzyć.

– Jeśli coś tam jest, to stawiam na zdjęcie sir Jamesa Harrisona – wtrącił Alec, gdy cierpliwe starania jej palców wreszcie uwieńczył sukces.

Obserwował, jak Joanna wpatruje się w to, co było w środku.

Zmarszczyła brwi, a z jej policzków odpłynęła cała krew.

– Jo, źle się czujesz? Co to?

Kiedy wreszcie uniosła głowę, by na niego spojrzeć, jej orzechowe oczy płonęły w pobladłej twarzy.

– Ja… – W gardle ją ścisnęło, próbowała zapanować nad głosem. – Już wiem, Alec. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, już wiem.

AIP

38

– Niestety ją zgubiłam. – Monica Burrows siedziała naprzeciw Jenkinsa przy biurku, nerwowo pstrykając długopisem.

– Gdzie? O której?

– Szłam za nią do domu poprzedniego wieczoru po pracy i śledziłam ją wczoraj rano w Kensington. Weszła do redakcji i już się więcej nie pojawiła. Zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

– Mogła przez całą noc pracować nad artykułem.

– Pewnie, tak właśnie sobie pomyślałam dziś rano, ale weszłam do recepcji i powiedziałam, że chciałabym się z nią widzieć. Poinformowano mnie, że jej nie ma, wzięła zwolnienie chorobowe.

– Próbowała pani sprawdzić u niej w domu?

– Oczywiście, ale tam nikogo nie ma. Nie wiem, jak ona zdołała opuścić redakcję, panie Jenkins, ale najwyraźniej udało się jej jakoś niepostrzeżenie wymknąć.

– Nie muszę pani mówić, że to nie najlepiej wyszło. Proszę spisać raport, a ja zejdę, jak tylko z kimś tu porozmawiam.

– Tak jest. Przepraszam pana.

Monica wyszła z biura, a Lawrence Jenkins zatelefonował na najwyższe piętro.

– Mówi Jenkins. Ta Haslam znów się nam zerwała. Kazałem Burrows ją śledzić, traktując to, zgodnie z tym, co pan mówił, jako lekkie zadanie wywiadowcze, a ona zgubiła ją wczoraj wieczorem. Tak jest, zaraz u pana będę.

*

Simon podszedł do okna swojego pokoju na poddaszu Haycroft i patrzył na ogród w dole. Zoe siedziała w różanej altanie. Miała na głowie słomkowy kapelusz, a jej śliczna twarz była uniesiona do słońca. Gdy przyjechali tu znowu z Londynu poprzedniego dnia późnym wieczorem, poszedł prosto do swojego pokoju. Westchnął ciężko. Ostatnie dni były paskudne. Tkwił uwięziony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę z kobietą, którą, jak wiedział teraz na pewno, kochał. Natura jego obowiązków uniemożliwiała jakąkolwiek ucieczkę czy chwilę wytchnienia od bliskości Zoe, a jednak ta dziewczyna była dla niego absolutnie nieosiągalna. Zrobił więc to, co uznał za najlepsze, by nie oszaleć, i odciął się od niej, nie przyjmując żadnych uprzejmości z jej strony. A jednocześnie nienawidził siebie, kiedy w jej oczach widział zaskoczenie i czuł, że sprawia jej wielką przykrość.

W kieszeni zawibrowała mu komórka. Wyciągnął ją.

– Tak?

– Odzywała się do pana Haslam?

– Nie. A dlaczego pan pyta?

– Znów jest na liście zaginionych. Czy nie przekonywał mnie pan, że przestała węszyć?

– Naprawdę przestała, proszę pana. Jest pan pewien, że ukrywa się specjalnie? Jej nieobecność może być całkiem niewinna.

– W tej sytuacji nic nie jest niewinne, Warburton. Kiedy wraca pan do Londynu?

– Przywożę pannę Harrison z Dorset dziś po południu.

– Proszę się ze mną skontaktować, kiedy tylko będzie pan na miejscu.

– Tak jest. Jakieś wieści o „emisariuszce”?

– W domu, w którym miała być, nikogo nie zastaliśmy. Sąsiedzi twierdzą, że wyjechała na długie wakacje. Albo to zbieg okoliczności, albo uciekła. Robimy co w naszej mocy, by ją zlokalizować, ale nawet w naszych czasach świat jest duży.

– Rozumiem – odparł Simon, nie potrafiąc ukryć rozczarowania w głosie.

– Haslam na coś trafiła, jestem tego pewny, Warburton. Lepiej, żebyśmy szybko dowiedzieli się, co to takiego, do cholery.

– Tak jest.

Połączenie zostało zerwane.

*

Joanna odłożyła menu i spojrzała na zegarek. Kwartet smyczkowy w herbaciarni Palm Court zaczął grać pierwszy taniec. Od stolików dokoła wstawali i ruszali na parkiet starsi panowie i panie w odświętnych strojach, które wyraźnie pamiętały lepsze czasy.

– Czy zechce pani złożyć zamówienie?

– Tak. Poproszę herbatę dla dwóch osób.

– Oczywiście, proszę pani.

Joanna bawiła się nerwowo medalionem wiszącym na szyi. Czuła się niezręcznie w letniej sukience, którą rano kupiła za gotówkę, by wpuszczono ją do herbaciarni hotelu Waldorf. Usiadła tak, by mieć jak najlepszy widok na wejście. Było dwadzieścia po trzeciej. Z każdą mijającą minutą jej pewność siebie topniała, a serce biło coraz szybciej.

Pół godziny później herbata earl grey w błyszczącym srebrnym imbryku już wystygła. Brzegi nietkniętych, podanych na półmisku z cieniutkiej porcelany, kanapek z ogórkiem i serem zaczęły się

podwijać. O czwartej trzydzieści nerwy i wypite filiżanki herbaty sprawiły, że wyjście do toalety stało się pilną potrzebą. Jednak tańce przy herbatce kończyły się dopiero za pół godziny. Powinna wytrzymać chociaż tyle, na wszelki wypadek.

O piątej towarzystwo hojnie nagrodziło muzyków oklaskami, po czym zaczęło się rozchodzić. Joanna zapłaciła rachunek, wzięła torebkę i ruszyła do damskiej toalety. Poprawiła włosy, niezbyt wprawnie upięte na czubku głowy grzebykami, i pociągnęła usta szminką.

Oczywiście, jak sama musiała przyznać, to było bardzo mało prawdopodobne. Grace Harrison z pewnością dawno nie żyje i spoczywa w grobie. A jeśli nawet nie, to szanse, aby zauważyła jej ogłoszenie i jeszcze na nie zareagowała, były bliskie zera.

Nagle uświadomiła sobie, że ktoś stoi za nią i patrzy w lustro. Rysy tej twarzy, mimo wieku, miały w sobie coś szlachetnego. Siwe włosy były nienagannie ułożone, makijaż staranny i delikatny.

– Podobno w tym hotelu zatrzymał się niegdyś Rycerz? – odezwała się kobieta.

Joanna obróciła się powoli, spojrzała w nieco przyblakłe, lecz inteligentne zielone oczy i skinęła głową.

– A jego Biała Dama przybyła tu wraz z nim.

Kobieta poprowadziła ją labiryntem schodów, a potem wyłożonym grubym dywanem korytarzem do drzwi swojego apartamentu. Joanna otworzyła je kluczem podanym przez nieznajomą, przepuściła ją, po czym też weszła i zamknęła za nimi. Od razu skierowała się do okna i wyjrzała na ruchliwą londyńską ulicę, pełną turystów i ludzi spieszących do teatrów. Zaciągnęła szczelnie zasłony.

– Usiądź, proszę – powiedziała kobieta.

– Dziękuję… Czy… mogę zwracać się do pani Grace?

– Możesz, kochanie, oczywiście, że możesz, jeśli takie jest twoje życzenie. – Starsza pani zachichotała leciutko i usadowiła się w jednym z wygodnych foteli w tym urządzonym z przepychem salonie.

Joanna zajęła miejsce naprzeciw niej.

– Grace Harrison z domu White, żona Jamesa Harrisona, zmarła ponad sześćdziesiąt lat temu we Francji to ty?

– Nie.

– W takim razie kim jesteś?

Starsza pani uśmiechnęła się do niej.

– Myślę, że skoro mamy być przyjaciółkami, którymi, jak wierzę, jesteśmy, powinnaś nazywać mnie po prostu Rose.

*

Kiedy tylko Simon dotarł z Zoe do Londynu, pobiegł na górę do swojego pokoju, zamknął za sobą drzwi i sprawdził komórkę. Miał cztery nieodebrane telefony. Oddzwonił.

– Rozmawiałem właśnie z naczelnym gazety Haslam – warknął Jenkins. – Wygląda na to, że nie tylko ona zaginęła. Szef działu wiadomości też zniknął. Niejaki Alec O'Farrell. Powiedział szefowi, że trafił na coś dużego i potrzebuje kilku dni, by to sprawdzić. Oni depczą nam po piętach, Warburton.

W głosie swojego bezpośredniego przełożonego Simon słyszał niemal nieskrywaną już panikę.

– W tej chwili kieruję do tej sprawy wszystkich, których mam pod ręką – ciągnął Jenkins. – Jeśli uda nam się znaleźć O'Farrella, dopilnujemy, żeby powiedział nam, gdzie jest Haslam.

– Przecież oni nie będą mieli jak ujawnić tej historii? Potrafi pan to uniemożliwić?

– Warburton, wśród naczelnych jest dwóch, trzech wywrotowców, którzy aż klasnęliby w dłonie z radości, gdyby trafiła im się taka historia jak ta. O gazetach za granicą nie wspomnę. Na Boga, to byłby skandal stulecia!

– Co mam robić?

– Niech pan zapyta pannę Harrison, czy odzywała się do niej Haslam. Spotkały się na inauguracji i potem poszły razem na drinka. Haslam wróciła do biura, zanim zgubiła ją Burrows. Niech się pan trzyma twardo tam, gdzie pan jest. Skontaktuję się z panem później.

*

Joanna wpatrywała się w kobietę.

– Ale nie możesz być Rose. Ją spotkałam na mszy żałobnej za Jamesa Harrisona. I to nie byłaś ty. A poza tym ona nie żyje.

– Rose to dość popularne imię, szczególnie modne w czasach, kiedy się urodziłam. Masz całkowitą rację. Poznałaś Rose. Tylko że tamta to była Grace Rose Harrison, świętej pamięci żona sir Jamesa Harrisona.

– Ta malutka starsza pani to była Grace Harrison? Zmarła żona Jamesa Harrisona? – upewniła się zdumiona Joanna.

– Tak.

– Dlaczego używała innego imienia?

– To była kiepska przykrywka. Upierała się, że pojedzie do Anglii po śmierci Jamesa. I nagle, kilka tygodni później, napisała mi z Londynu, że poszła na mszę żałobną. Była bardzo chora, widzisz, niewiele czasu jej zostało. Pomyślała, że to świetna okazja, żeby zobaczyć syna, Charlesa, po raz ostatni. I wnuki, Marcusa i Zoe, po raz pierwszy. Wiedziałam, że napyta sobie biedy, że to

niebezpieczne, ale nie dawała się przekonać. Nie sądziła, że może tam spotkać kogoś, kto byłby w stanie ją rozpoznać, bo przecież wszyscy na pewno już nie żyją i dawno leżą na cmentarzu. Oczywiście, myliła się.

– Siedziałam w ławce obok niej, gdy zobaczyła tego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Rose… to znaczy Grace dostała jakiegoś ataku. Nie mogła oddychać i musiałam pomóc jej wyjść z kościoła.

– Wiem. Napisała mi o tym wszystkim w ostatnim liście. A także o wskazówkach, które ci przekazała. Spodziewałam się, że prędzej czy później się do mnie odezwiesz, choć zdawałam sobie sprawę, że może zająć nieco czasu, nim to sobie poukładasz. Grace nie mogła wyjawić ci zbyt wiele, nie chciała narażać ciebie czy mnie na niebezpieczeństwo.

– Skąd wiedziałaś, że cię szukam? Napisałam to ogłoszenie specjalnie dla Grace.

– Bo o wszystkim wiedziałam, moja droga. Od samego początku. Kiedy zobaczyłam twoje ogłoszenie w gazecie, by „Biała Dama" spotkała się na herbacie ze swoim „Rycerzem" w hotelu Waldorf, zorientowałam się, że to wiadomość dla mnie.

– Ale ten trop w liście Grace, *…musi pani porozmawiać z Białą Damą Rycerza*, co to ma wspólnego z tobą?

– Bo, moja droga, poślubiłam francuskiego hrabiego. Nazywał się Le Blanc i…

– Blanc, czyli po francusku biały. O mój Boże! Źle to zrozumiałam, wszystko pomyliłam.

– Nie, nie wszystko. Jestem tu i jest dobrze. – Rose się uśmiechnęła.

– Dlaczego Grace wybrała mnie, żeby cokolwiek mówić?

– Twierdziła, że jesteś bystrą i miłą dziewczyną, a ona nie miała zbyt wiele czasu. Kiedy tylko on ją zobaczył, wiedziała, że to koniec.

Zdawała sobie w pełni sprawę, że on ją znajdzie i zabije.

Rose westchnęła.

– Po co musiała to znowu rozgrzebywać, naprawdę nie wiem – przyznała. – Była strasznie rozgoryczona… pewnie chciała się zemścić.

– Myślę, że wiem, dlaczego była aż tak rozgoryczona – odezwała się cicho Joanna.

Starsza pani spojrzała na nią z ukosa.

– Naprawdę? Musiałaś prowadzić dość wnikliwe śledztwo, od kiedy biedna Rose zmarła.

– Tak. Można powiedzieć, że poświęciłam mu życie.

Rose ułożyła z gracją swoje drobne dłonie na kolanach.

– Mogę spytać, co konkretnie zamierzasz zrobić z tymi informacjami, które zebrałaś?

To nie był czas na kłamstwa.

– Chcę je opublikować.

– No tak.

Starsza pani na chwilę umilkła, rozważając tę odpowiedź.

– Oczywiście to dlatego do ciebie napisała. Tego chciała. Ukarania tych, którzy zniszczyli jej życie, wysadzenia establishmentu w powietrze. Jeśli chodzi o mnie… powiedzmy, że nadal staram się zachowywać w miarę lojalnie. Choć Bóg jeden wie czemu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie pomożesz mi rozwikłać tej łamigłówki? Myślę, że za tę historię dostaniemy fortunę. Byłabyś bogata.

– A co taka stara kobieta jak ja może zrobić z pieniędzmi? Kupi sobie sportowe auto? – Rose zachichotała i pokręciła głową. – Poza tym jestem już wystarczająco bogata. Zmarły mąż dobrze mnie zabezpieczył. Moja droga, nie zastanawiałaś się przypadkiem,

dlaczego tyle osób wokół mnie umarło? A ja żyję i jeszcze mogę opowiedzieć tę historię. – Nachyliła się do Joanny. – Tym, co pozwoliło mi przetrwać, jest dyskrecja. Zawsze umiałam dochować tajemnicy. Oczywiście, nie przypuszczałam, że będę musiała chronić najbardziej strzeżony sekret stulecia, ale takie jest życie. Musisz więc zrozumieć, że ze względu na Grace powinnam ci wszystko wyjaśnić, ale ze względu na siebie po prostu nie mogę zdradzić ci, o co chodzi.

– No tak.

– Jednak Grace ci ufała i wobec tego ja też muszę ci zawierzyć, ale proszę o absolutną anonimowość. Jeżeli moje nazwisko albo moja wizyta tu zostanie gdziekolwiek wspomniana, będziesz miała na sumieniu moją śmierć. Każda sekunda mojego pobytu w Anglii z tobą to dla nas obu ogromne ryzyko.

– Więc dlaczego przyjechałaś?

Rose westchnęła.

– Częściowo ze względu na Jamesa, ale głównie dla Grace. Może jestem częścią establishmentu przez urodzenie, ale to nie znaczy, że pochwalam to, jak bezwzględnie zniszczono życie innych ludzi, żeby prawda nie wyszła na jaw. Wiem, że niedługo, w ciągu kilku lat, muszę stanąć przed stwórcą. Chciałabym, by wiedział, że zrobiłam, co mogłam, dla tych, których kochałam na ziemi.

– Rozumiem.

– Czemu nie zamówisz nam czegoś do picia? Mam ochotę na filiżankę dobrej herbaty. Potem lepiej opowiedz mi, co wiesz, i to będzie dla nas punkt wyjścia.

Kiedy przyniesiono im herbatę i zostały same, zrelacjonowanie wszystkiego zajęło Joannie prawie godzinę. Częściowo dlatego, że – jak odkryła – jej towarzyszka była trochę przygłucha, a częściowo dlatego, że Rose kazała sobie wszystko dwa razy wyjaśniać.

– A kiedy dostałam w redakcji medalion i zobaczyłam w środku zdjęcie księżnej, wszystko zaczęło do siebie pasować. – Joanna westchnęła i łyknęła białego wina, czując, że z napięcia brak jej tchu.

Starsza pani pokiwała głową w zadumie.

– Oczywiście, to ten medalion na szyi przekonał mnie, że jesteś tą młodą damą, która zamieściła ogłoszenie. Mogła ci go dać jedynie sama Grace.

– Tak naprawdę podarowała go swojej sąsiadce, Muriel, w dowód wdzięczności za jej dobroć.

– To pewnie musiała wiedzieć, że już do niej idą. Widzisz, ten medalion należał do mnie, to był prezent od mojej przyjaciółki. Grace go uwielbiała. Kazałam jej go wziąć, kiedy wyjeżdżała do Londynu. Jako talizman. Z jakichś przyczyn zawsze miałam wrażenie, że on mnie chroni. Niestety, jak wiemy, w jej przypadku jego magia się nie sprawdziła...

*

Wieczorem Simon zszedł na dół do kuchni. Zoe siedziała przy stole. Spisywała jakąś listę, popijając wino.

– Cześć – powiedział.

– Hej. – Nawet nie podniosła wzroku.

– Mogę zrobić sobie kawę?

– Ależ proszę. Wiesz, że nie musisz pytać – burknęła rozdrażniona.

– Przepraszam.

Podszedł do czajnika.

Zoe odłożyła pióro i patrzyła na jego plecy.

– Ja też przepraszam. Jestem zdenerwowana, to wszystko.

– Masz sporo na głowie. – Wsypał trochę rozpuszczalnej kawy i cukru do kubka. – Joanna się ostatnio nie odzywała?

– Nie. Od inauguracji nie. Powinnam do niej zadzwonić?

Wzruszył ramionami.

– Nie.

– Naprawdę nic ci nie jest? Simon, może zrobiłam coś, co cię uraziło?

– Nie, absolutnie. Po prostu… mam trochę problemów, to wszystko.

– Problemy męsko-damskie? – Starała się, by zabrzmiało to lekko.

– Chyba można to tak określić, tak.

– Ojej. – Niepocieszona Zoe dolała sobie do kieliszka. – Miłość. Cholernie utrudnia życie, nie sądzisz?

– Racja.

– Słuchaj… – Spojrzała mu prosto w oczy. – Co byś zrobił, gdybyś powinien być zakochany w pewnej osobie, a odkryłbyś, że tak naprawdę kochasz kogoś zupełnie innego?

– Mogę spytać, o kogo chodzi?

Patrzyła na niego w ten sposób, że serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

– Tak. – Zaczerwieniła się i spuściła wzrok. – To…

W kieszeni Simona zadzwonił telefon.

– Przepraszam, Zoe. Muszę odebrać na górze. – Biegiem wypadł z kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Zoe była bliska płaczu.

Wrócił na dół dziesięć minut później. W marynarce.

– Niestety, muszę pędzić. Moja zmienniczka będzie tu lada chwila. Monica to miła dziewczyna. Amerykanka. Przyjedzie tu

z szoferem, który jutro wczesnym rankiem zawiezie cię do Londynu.

– Dobrze. – Zoe wzruszyła ramionami. – No to cześć.

– Cześć.

Simon ledwie zdołał się zmusić, by na odchodnym spojrzeć jej w oczy.

A/P

39

Na prośbę Rose Joanna wyjęła dwie buteleczki z minibarku, nalała whisky do szklanek i dodała lód.

– Dziękuję, kochanie. – Rose pociągnęła mały łyk. – Zdecydowanie za dużo emocji jak dla pani w moim wieku.

Usadowiła się wygodniej w fotelu, obejmując szklankę dłońmi.

– Jak już wiesz, przez pewien czas pracowałam jako dama dworu księżnej Yorku. Nasze rodziny znały się od lat, było więc bardzo naturalne, że kiedy wyszła za księcia, pojechałam z nią ze Szkocji na południe. Byli bardzo szczęśliwi, krążąc pomiędzy rezydencjami w Sandringham i w Londynie. Potem książę zaczął niedomagać. Cierpiał na przewlekły bronchit, co, biorąc pod uwagę jego problemy zdrowotne w dzieciństwie, było dość niepokojące. Lekarze zalecili wielomiesięczny odpoczynek i świeże powietrze, by mógł całkowicie wyzdrowieć. Pojawił się jednak problem, co powiedzieć poddanym. Widzisz, w owych czasach członkowie rodziny królewskiej uważani byli za istoty niemal boskie, których śmierć się nie ima.

– I tak zrodził się pomysł, by na czas nieobecności zastąpił go sobowtór? – upewniła się Joanna.

– Tak. Jak zapewne wiesz, to było dość powszechną praktyką wśród osób publicznych. Przypadek zrządził, że starszy doradca rodziny królewskiej pewnego wieczoru poszedł do teatru, gdzie zobaczył młodego aktora. Ten człowiek był tak podobny do księcia

Yorku, że mógłby pojawiać się zamiast niego na uroczystościach państwowych, inauguracjach fabryk i tego typu okazjach. Ten mężczyzna, niejaki Michael O'Connell, został sprowadzony do pałacu i przez kilka tygodni brał lekcje „księciowania", jak to nazywałyśmy żartem z księżną, zaśmiewając się z całej tej sprawy. Kiedy zdał „egzamin", prawdziwy książę został wysłany do Szwajcarii, by tam wracać do pełni sił.

– O'Connell był jego lustrzanym odbiciem – powiedziała Joanna. – Wierzyłam święcie, że to jedna i ta sama osoba.

– Tak. Był już wtedy niezwykle utalentowanym aktorem. Potrafił się doskonale wcielać w różne postacie. A tu miał pole do popisu. Całkowicie pozbył się irlandzkiego akcentu, nawet nauczył się zacinać. – Rose uśmiechnęła się. – I można powiedzieć, moja droga, że naprawdę stał się księciem. Zamieszkał jak należy w rezydencji królewskiej i wszystko szło idealnie gładko.

– Ilu ludzi o tym wiedziało?

– Tylko ci, którzy naprawdę musieli. Jestem pewna, że część służby mogła się dziwić, że „książę" rano przy goleniu podśpiewuje irlandzkie ballady, ale płaciło się im za dyskrecję.

– Czy to wtedy zaprzyjaźniłaś się z Michaelem?

– Tak. Był bardzo uroczy, sympatyczny i cierpliwie znosił całą tę sytuację. Zawsze jednak było mi go trochę żal. Wiedziałam, że jest wykorzystywany, a kiedy nie będzie już potrzebny, zapłacą mu, odprawią i nawet nie spojrzą w jego stronę.

– Ale nie całkiem tak się stało, prawda?

– Nie. – Rose westchnęła. – Problem w tym, że miał w sobie charyzmę. Do swojej roli księcia dodawał coś więcej. Cechowało go fantastyczne poczucie humoru, tuż przed oficjalnymi wystąpieniami księżna często śmiała się do rozpuku z jego żartów.

Zawsze myślałam, że pewnie w ten sposób zaciągnął ją też do łóżka… wybacz to trywialne określenie.

– Kiedy zdałaś sobie sprawę, że są kochankami?

– Dość długo nic nie wiedziałam. Sądziłam, jak inni, którzy ją znali, że księżna po prostu dobrze gra przydzieloną jej rolę. A potem, po kilku miesiącach, wrócił książę, cały i zdrowy, a Michael O'Connell został odesłany do swojego dawnego życia. I na tym byłby koniec, gdyby nie fakt, że… – Rose wstrzymała oddech.

– Co?

– Ona wierzyła, że zakochała się w Michaelu na zabój. W owym czasie opuściłam już pałac, by przygotować się do ślubu z François. Kiedy pewnego dnia przyjechałam ją odwiedzić, spytała, czy byłabym gotowa jej pomóc, czy zechcę zostać jej „emisariuszką", żeby mogła utrzymywać kontakt z Michaelem. Była w czarnej rozpaczy. Cóż mi pozostało? Musiałam się zgodzić.

– Zaczęłaś się więc spotykać z Williamem Fieldingiem pod Swan and Edgar?

– Tak się nazywał? No, w każdym razie z tym chłopakiem z teatru – doprecyzowała.

– On też został potem znanym aktorem.

– Nie we Francji – zaznaczyła z lekką wyższością Rose. – Oczywiście, byłam wtedy szaleńczo zakochana we François, więc fakt, że księżna też jest tak bardzo zakochana, tylko nas do siebie zbliżył. Obie byłyśmy jeszcze takie młode. – Rose westchnęła. – Wierzyłyśmy w wielką miłość. A to, że los połączył ją i Michaela, a potem tak okrutnie ich rozdzielił, bez żadnej nadziei na przyszłość, sprawiało, że cała sytuacja wydawała się tym bardziej tragiczna.

– Widywali się po tym, jak opuścił rezydencję królewską?

– Spotkali się tylko raz. Księżna ogromnie się o niego martwiła,

bała się, że może mu grozić coś strasznego, zwłaszcza po tym, kiedy jej sekret… jak by tu powiedzieć, w całej okazałości wyszedł na jaw.

– Ktoś domyślił się, że mieli romans?

W oczach Rose zapaliły się iskierki.

– O tak, moja droga. Niejedna osoba.

– To wtedy wysłano Michaela O'Connella do Irlandii i zamieszkał w strażnicy morskiej?

– Tak. Widzisz? – Rose uśmiechnęła się do niej z uznaniem. – Sama znasz już większość tej historii. Księżna pojawiła się u mnie pewnego dnia z płaczem. Mówiła, że napisał jej o przymusowym wyjeździe do Irlandii. Nie chciał narażać jej na kompromitację, uznał więc, że najlepiej będzie, jeśli się zgodzi i opuści Anglię, tak jak mu kazali. Oczywiście – uniosła lekko brwi – miał już tu nigdy nie wrócić.

– Co masz na myśli?

– Nie widzisz, że dla nich to było idealne rozwiązanie? Michael, tak bardzo podobny do księcia Yorku, pojawia się w hrabstwie Cork. Pamiętaj, że właśnie wtedy doszło do oderwania się Irlandii od monarchii. Irlandczycy nienawidzili Anglików. Wystarczyło puścić plotkę, że w okolicy przebywa ktoś z rodziny królewskiej, a potoczyłoby się to w sposób naturalny. On byłby idealnym „skalpem" dla ruchu irlandzkich republikanów.

– Chcesz powiedzieć, że establishment chciał jego śmierci?

– Oczywiście. W tych okolicznościach należało pozbyć się go raz na zawsze. Ale trzeba było to zrobić dyskretnie, by nie wzbudzić podejrzeń księżnej. Widzisz, nikt do końca nie wiedział, jak ona na to zareaguje, biorąc pod uwagę jej stan… – Rose urwała na chwilę, po czym szybko dorzuciła – psychiczny.

– I co było dalej?

– Od pewnej śmierci uratowała Michaela jego irlandzka

ukochana, Niamh, bo tak chyba miała na imię dziewczyna wynajęta do prowadzenia mu domu. Najwyraźniej któregoś wieczoru podsłuchała, jak jej ojciec, człowiek o skrajnie republikańskich poglądach, układa plan zabicia Michaela. Nie mówiąc więc nic nikomu, zorganizowała z Michaelem jego ucieczkę statkiem wiozącym bawełnę do Anglii.

– Wiem, kim była, poznałam w Rosscarbery jej siostrę Ciarę. Niamh Deasy umarła. Podczas porodu – wtrąciła Joanna. – Dziecko też.

– Mój Boże. – W oczach Rose zabłysły łzy. Sięgnęła do rękawa po chusteczkę. – Kolejna tragiczna ofiara tej skomplikowanej sieci kłamstw. Michael zawsze zastanawiał się, co się z nią stało po jego wyjeździe z Irlandii. Spodziewał się, że przyjedzie tu za nim, ale, oczywiście, nie mógł do niej napisać, by dowiedzieć się kiedy. Ani też dać jej znać, gdzie się znajduje. Ale ona nigdy się nie pojawiła. Teraz wiem czemu. Uwielbiał ją, choć wątpię, by to była miłość. Nigdy też nie słyszałam, by wspominał coś o dziecku, jestem tego pewna.

– Może o nim nie wiedział – zastanowiła się Joanna. – Może Niamh mu nie powiedziała.

– Pewnie sama nie miała pojęcia, co się święci, póki nie urósł jej brzuch. – Rose westchnęła. – W tamtych czasach o takich sprawach się nie mówiło. Nas, dziewcząt, nikt o tym nie uczył. A zwłaszcza młodych katoliczek.

– Biedna Niamh i jej dziecko. Była taka niewinna… nie zdawała sobie sprawy z uwikłań, w jakich tkwił mężczyzna, którego pokochała. Mów dalej, proszę.

– No więc Michael wrócił do Londynu i zdołał się skontaktować z księżną. Spotkali się w moim domu. Powiedział jej, w jaki sposób próbowano się go pozbyć. Księżna szalała z wściekłości, co

zrozumiałe. Po bezsennej nocy, podczas której głowiła się, jak go ochronić, znów przyszła do mnie. Kiedy powiedziała mi, co zamierza, ostrzegłam ją, że gdyby to wyszło na jaw, narazi siebie i swoją rodzinę na skandal. Ale nie chciała słuchać. Michael O'Connell miał być bezpieczny, koniec kropka. A nikt inny nie mógł go obronić. Wykorzystali go i wyrzucili jak śmieci. A księżna, z miłości… czy z powodu wyrzutów sumienia… chciała postąpić, jak należy.

– I co zrobiła?

– Napisała kolejny list i powierzyła mi dostarczenie go Michaelowi.

– Rozumiem. – Joanna robiła co w jej mocy, by jakoś poukładać sobie w logiczną całość fakty, o których się dowiadywała. – I Michael O'Connell użył tego, co tam było w tym liście, by kupić sobie bezpieczeństwo, nową tożsamość, okazały dom i świetlaną przyszłość?

– Bingo, młoda damo. Wątpię, by o cokolwiek prosił, gdyby w sposób tak oczywisty nie próbowali się go pozbyć. Nigdy nie był zachłanny. Ale… – Rose westchnęła – myślał, że im będzie bardziej widoczny, tym mniejsze ryzyko. Poza tym zasługiwał na sukces, który osiągnął. Odegrał jedną z najwspanialszych ról dwudziestego wieku.

– To prawda. I rzeczywiście łatwiej zamordować kogoś, kto nic nie znaczy, niż bogatego i słynnego aktora. Najwyraźniej dobrze go znałaś, Rose.

– Tak, i mam wrażenie, że zrobiłam dla niego, co mogłam. Był dobrym człowiekiem. W każdym razie potem wszystko jakoś się układało. Księżna zaakceptowała, że go nie ma, wierzyła, że zdołała zapewnić mu bezpieczeństwo, i zaczęli z księciem nowy rozdział w ich związku.

– Jeśli mogę wtrącić, to właśnie nie dawało mi spokoju przez ostatnich kilka dni – zagadnęła ją Joanna. – Małżeństwo księcia i księżnej zawsze było uważane za jedno z najbardziej udanych w historii monarchii.

– I jestem przekonana, że rzeczywiście takie było. Są różne rodzaje miłości, panno Haslam – powiedziała Rose. – Związek Michaela i księżnej można nazwać krótkim, namiętnym romansem. Czy przetrwałby wiele dłużej niż tych kilka miesięcy? Tego nigdy się nie dowiemy. Jedno pewne: gdy księżna utwierdziła się w przekonaniu, że Michaelowi nic nie grozi, stała przy mężu murem podczas wszystkich prób i burz, które potem nadeszły. Nigdy więcej nie wspomniała o Michaelu.

– Kiedy jednak stał się sławny jako James Harrison, ich ścieżki musiały się w końcu skrzyżować?

– Tak, ale na szczęście on wtedy już spotkał Grace. Przypadkowo znałyśmy się od lat. Razem zostałyśmy przedstawione na dworze. Zawsze była niespełna rozumu, ale on kompletnie dla niej oszalał.

– I to była ta prawdziwa miłość ich życia?

– Absolutnie tak. Wielbili się nawzajem. Grace potrzebowała Jamesa, by chronił ją przed światem, do którego należała, ale w którym nigdy nie czuła się dobrze.

– Co masz na myśli?

– Grace White była niestabilna emocjonalnie. Od zawsze. Gdyby nie należała do arystokracji, dawno odesłaliby ją do wariatkowa. Jej rodzice cieszyli się, że wreszcie mogą mieć ją z głowy. Ale ona przy Jamesie rozkwitła. Jego miłość złagodziła nieco jej… ekscentryczne cechy charakteru. Mieli syna, Charlesa, i wszystko dobrze się im układało… aż do abdykacji brata księcia.

– Oczywiście. Książę został królem, a księżna królową. Przypuszczam, że wtedy szczególnej wagi nabrała sprawa

niedopuszczenia, by sekret kiedykolwiek wyszedł na jaw?

– O tak, moja droga. Kredyt zaufania wobec królewskiej rodziny spadł wtedy ogromnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Brat księcia zrobił coś nie do pomyślenia: oddał tron Anglii, by poślubić Amerykankę.

– Co oznaczało, że książę Yorku musi przejąć stery – dodała Joanna.

– No właśnie. Choć byłam wtedy we Francji, jako żona François, docierały tam silne echa tej sprawy. Ani książę, ani księżna nie brali pod uwagę, że on pewnego dnia zasiądzie na tronie. A co może i bardziej istotne, nie spodziewali się tego ci, którzy pracowali za kulisami, i wiedzieli dokładnie, co stało się dziesięć lat wcześniej.

– I co zrobili?

– Pamiętasz tego mężczyznę na wózku inwalidzkim, który tak przeraził Grace na mszy za sir Jamesa?

– Jak mogłabym o nim zapomnieć? – Joanna przypomniała sobie te zimne oczy, które spojrzały na Grace, kiedy wychodziła z nią z kościoła.

– Zajmował wysokie stanowisko w brytyjskich służbach wywiadowczych. W owym czasie do niego należała ochrona rodziny królewskiej. Poszedł do domu Harrisona i zażądał, by dla dobra przyszłości monarchii oddał mu list, który napisała do niego księżna. Oczywiście James odmówił. Wiedział, że bez tego listu nic go już nie będzie chronić. Niestety, Grace podsłuchiwała zza zamkniętych drzwi i usłyszała, o czym mowa.

– O rany!

– Może nie byłoby tak źle, gdyby nie była taka narwana i zaborcza. Poczuła się zdradzona przez jedynego człowieka na świecie, któremu ufała. Dostała niezbity dowód, że mąż miał przed nią najwyraźniej bardzo namiętny związek z inną kobietą. Taką, z którą ona nie mogła się równać. Zarzuciła mu, że ją okłamuje

i nadal kocha księżną. Musisz zrozumieć, Joanno, że nie mówimy tu o kimś, kto myślał racjonalnie. To odkrycie kompletnie ją zniszczyło. Zawsze lubiła się napić, a po tym, czego się dowiedziała, zaczęła na rauszu publicznie napomykać o tajemnicy, która za nic nie może wyjść na jaw.

– Mój Boże… Coś okropnego. I co zrobił James?

– Opowiadał mi później, że po wizycie tamtego człowieka Grace urządziła mu straszliwą scenę. Wściekła zażądała, by pokazał ten list. Kiedy odmówił, zaczęła przewracać dom do góry nogami, próbując go znaleźć. James nie miał wyjścia. Wyciągnął jeden z ukrytych listów od księżnej. Oczywiście nie był to ten najbardziej kompromitujący. Ale wystarczył, by spacyfikować Grace.

– Uwierzyła, że to o nim mówił człowiek, który ich odwiedził.

– Otóż to.

– Mnie przysłała ten, który pokazał jej mąż?

– Tak. – Rose westchnęła. – Nie było w nim nic szczególnie ważnego, ale ona nie mogła tego wiedzieć. Nie zgodziła się oddać go Jamesowi. Powiedziała, że zatrzyma go na zawsze jako dowód jego zdrady. Został u niej przez resztę jej dni. Zagadką jest, gdzie go ukrywała, przebywając w zakładzie psychiatrycznym. Ale bez wątpienia pokazała mi go w listopadzie, tuż przed wyjazdem do Anglii.

– Ale przecież tamten romans miał miejsce całe lata przed tym, nim James poznał Grace!

– Wiadomo, kochanie, ale, jak mówiłam, ona kompletnie oszalała. Napisał do mnie do Francji, zwierzał się ze swoich obaw, bo byłam przyjaciółką Grace i jedną z nielicznych osób, które znały prawdę. Zdawał sobie sprawę, że ten człowiek w fotelu inwalidzkim i jego kumple szybko zorientują się w sytuacji. Dotrze do nich, że Grace wie o sprawie i zachowuje się niedyskretnie. W tym czasie

w dodatku próbowała odebrać sobie życie. Twierdziła, że to przez jego romans z księżną. Przerażony James miał pełną świadomość, do czego mogą się posunąć brytyjskie służby wywiadowcze, i że nawet posiadany przez niego list nie uratuje kobiety, która może wyjawić sekret. Postanowił działać, zanim zrobią to oni.

– Jakim cudem ją ocalił?

– Wywiózł Grace do Francji. Mieszkali jakiś czas u mnie, a potem załatwił jej miejsce w wygodnym zakładzie psychiatrycznym niedaleko Berna w Szwajcarii. Jestem pewna, że teraz u bidulki zdiagnozowano by depresję maniakalną czy coś w tym rodzaju, ale wtedy to było najkorzystniejsze dla niej wyjście, możesz mi wierzyć. Znano ją tam jako Rose White. James zarejestrował ją pod drugim imieniem. Kilka miesięcy później postarał się, by do służb wywiadowczych w Anglii dotarła wiadomość, że podczas wakacji ze mną, swoją najstarszą przyjaciółką, Grace popełniła samobójstwo. W owym czasie większość Londynu zdawała sobie sprawę z jej zaburzeń psychicznych. Historia wydawała się wiarygodna. Urządziliśmy pogrzeb w Paryżu. Urna była pusta. – Rose popatrzyła w przestrzeń. – Powiem ci, moja droga, że James był tak zdruzgotany, jakby naprawdę ją chował. Nie widziałam mężczyzny, który by tak rozpaczał. Żeby jej nie narażać, nie wolno mu już było nigdy się z nią spotkać, zdawał sobie z tego sprawę.

– Dobry Boże… – Joanna ze smutkiem pokręciła głową. – Nic dziwnego, że już się nie ożenił. Jego żona nadal żyła.

– No właśnie, ale nikt poza nami o tym nie wiedział. A potem wybuchła wojna. Gdy Niemcy weszli do Francji, wyjechaliśmy z mężem do naszego domu w Szwajcarii. Byliśmy blisko Berna. Odwiedzałam Grace w zakładzie tak często, jak tylko to było możliwe. Przeklinała, plotła brednie i dopytywała się, gdzie jest James. Stale błagała mnie, żebym zabrała ją do domu. Mąż i ja

myśleliśmy, że byłoby lepiej dla niej, gdyby podupadła na zdrowiu i odeszła, bo to nie było życie, ale ona zawsze była twarda, nie do zdarcia, przynajmniej fizycznie.

– Pozostała w tym zakładzie przez wszystkie te lata?

– Tak. I przyznam, że przestałam ją tak często odwiedzać, bo wydawało mi się to bezcelowe. I koszmarnie przygnębiające. A tu nagle pewnego ranka siedem lat temu dostaję list. Od jednego z tamtejszych lekarzy. Prosił, abym się z nim spotkała. Kiedy przyjechałam, oznajmił, że stan Grace bardzo się poprawił. Myślę, że przy tym postępie w medycynie znaleźli leki, które wyrównały huśtawkę jej nastrojów. Była w na tyle dobrej formie, że sugerował, by spróbować zabrać ją z zakładu. Przyznaję, że miałam wątpliwości, ale poszłam do niej, porozmawiałam z nią i przekonałam się, że naprawdę jest na to gotowa. Potrafiła logicznie mówić o przeszłości i tym, co się stało. I błagała mnie, bym pomogła jej nacieszyć się choć ostatnimi latami życia w jakiej takiej normalności. – Rose z gracją wzruszyła ramionami. – Cóż miałam robić? Mój ukochany mąż zmarł kilka miesięcy wcześniej. Błąkałam się samotnie po wielkim zamku. Zdecydowałam się więc kupić mniejszy dom i sprowadzić Grace do siebie. Uzgodniliśmy z lekarzem, że gdyby nastąpiło pogorszenie, Grace od razu wraca do nich.

– Jak, na Boga, radziła sobie z życiem poza zakładem po tylu latach w zamknięciu? – zamruczała Joanna bardziej do siebie samej niż do Rose.

– Cieszyła się wszystkim jak dziecko. Zwykła możliwość, że sama decyduje, co zje na śniadanie i kiedy, wprawiała ją w zachwyt. Po tylu długich latach odzyskała wolność. Na szczęście.

Joanna uśmiechnęła się.

– No tak.

– Zamieszkałyśmy więc razem, dwie starsze panie wdzięczne sobie nawzajem za towarzystwo, mające za sobą przeszłość, która je łączy. I nagle, jakiś rok temu, Grace zaczęła pokasływać i to nie przechodziło. Przez wiele miesięcy musiałam przekonywać ją, żeby poszła do lekarza. Możesz sobie wyobrazić, jak bała się jakiegokolwiek kontaktu z białym fartuchem. Kiedy wreszcie zgodziła się zbadać, okazało się, że ma raka płuc. Lekarz chciał ją wziąć do szpitala i operować, ale domyślasz się, jak zareagowała na taki pomysł. Odmówiła stanowczo. Myślę, że to najbardziej tragiczna część tej całej historii. Po latach więzienia znaleźć spokój, odrobinę szczęścia i dostać taki wyrok: tylko rok życia… – Rose pogrzebała w poszukiwaniu chusteczki i otarła oczy. – Przepraszam, kochanie. To nadal jest dla mnie zbyt świeże. Okropnie mi jej brak.

– Wyobrażam sobie.

Joanna patrzyła, jak starsza pani próbuje się opanować, by mówić dalej.

– Kilka miesięcy później Grace zobaczyła w angielskim „Timesie” artykuł o umierającym Jamesie. I wbiła sobie do głowy, że chce wracać do Anglii. Wiedziałam, że to ją zabije. Była już wtedy w ciężkim stanie.

– No tak, i szkoda, że nie widziałaś, w jak nędznych warunkach tu mieszkała. Co, na Boga, było w tych pudłach po herbacie?

To pytanie wywołało uśmiech na twarzy Rose.

– Jej życie, moja droga. Była okropną sroczką. Kradła łyżeczki z restauracji, papier toaletowy i mydło z toalet, a nawet chowała pod łóżkiem jedzenie zabrane z naszej kuchni. Może dlatego, że w zakładzie nie wolno jej było nic posiadać na własność, gromadziła to wszystko. Kiedy wyjeżdżała z Francji, uparła się, by wraz z nią popłynęły te drewniane skrzynki po herbacie. Całując ją

na pożegnanie, wiedziałam, że już nigdy jej nie zobaczę. Ale najwyraźniej uznała, że nie ma nic do stracenia. I ja to rozumiałam.

Joanna patrzyła, jak Rose osuwa się w fotelu. Starszą panią ogarniał coraz większy smutek. Lada chwila zupełnie opadnie z sił. Joanna uznała więc, że teraz albo nigdy.

– Rose, czy wiesz, gdzie jest ten list?

– Naprawdę nie jestem już w stanie mówić, póki nie zjem czegoś porządnego. Musimy zamówić sobie coś do pokoju – oznajmiła Rose. – Bądź tak dobra i podaj mi menu, dobrze?

Joanna spełniła jej prośbę, myśląc o tym, jak wiele pytań chciałaby jeszcze zadać Rose. Postanowiła jednak czekać cierpliwie, gdy starsza pani szukała w torbie okularów i z uwagą studiowała kartę, a potem niespiesznie wstała i podeszła do telefonu przy łóżku.

– Dobry wieczór, czy mogliby państwo przysłać nam na górę dwa krwiste befsztyki z sosem berneńskim i butelkę Côte Ròtie? Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Joanny, a potem klasnęła w dłonie jak podekscytowane dziecko.

– Och, jak ja kocham to hotelowe jedzenie, a ty?

*

Jeśli to możliwe, by mentalnie przechadzać się nerwowo, jednocześnie siedząc w fotelu inwalidzkim, to stary człowiek właśnie to robił. Kiedy Simon otwierał drzwi, wyjechał mu naprzeciw zza biurka, z ulgą witając jedyną istotę ludzką, z którą mógł dzielić swój niepokój.

– Jakieś wieści? – spytał.

– Nie, proszę pana. Spróbujemy jeszcze raz jutro.

– Jutro może być za późno, do cholery! – warknął.

– Ani śladu Haslam czy Aleca O'Farrella? – zapytał Simon.

– Jest pewien trop co do O'Farrella i właśnie teraz to sprawdzamy. Stawiam na to, że zadekowali się w jakimś hotelu i prawdopodobnie układają sobie plan, jak zrobić interes stulecia, sprzedając swoją plugawą historyjkę. Przynajmniej na pewno nie opuścili jeszcze kraju. Kazałem swoim ludziom monitorować dokładnie wszystkie listy pasażerów w portach lotniczych i przy promach. Chyba że wymknęli się, używając fałszywych paszportów. – Stary człowiek westchnął.

– A co z naszą „emisariuszką", Rose Le Blanc z domu Fitzgerald?

– Żadna z linii lotniczych nie potwierdziła, by mieli pasażerkę o tym nazwisku, ale to nic nie znaczy. Mogła przyjechać do Anglii samochodem albo pociągiem. Znajdziemy ją, jeśli tylko tu jest. Ale… Chryste! Gdyby pierwsza dobrała się do niej Haslam… Jestem pewien, że madame Le Blanc wie, gdzie jest ten przeklęty list.

– Póki jednak Haslam i O'Farrell nie dostaną go w ręce, nie będą mieli dowodu, proszę pana.

Stary człowiek zdawał się nie słuchać.

– Zawsze wiedziałem, że zmierzamy ku katastrofie, bo ten idiota nigdy go nie odda. Diabelski pomiot załatwił sobie nawet tytuł szlachecki za swoją obietnicę!

– Myślę, że powinniśmy rozszerzyć siatkę, powiedzieć innym, czego konkretnie szukamy.

– Nie! Muszą działać na ślepo. Nie możemy ryzykować dalszych przecieków. Polegam na panu, Warburton. Chcę, żeby pan nadal zajmował się ochroną Zoe Harrison. Intuicja zawsze podpowiadała mi, że jeśli ten list gdziekolwiek jest, to w jednym z domów Harrisona. Jeżeli Haslam dowie się gdzie, przyjdzie po niego. Oba domy są pod ścisłą obserwacją. Gdyby ona się tam pojawiła, trzeba

będzie się nią zająć. Pod żadnym pozorem proszę nie pozwolić, by emocje przesłoniły panu trzeźwą ocenę sytuacji. Jeśli nie jest pan w stanie dokończyć tej roboty, proszę powiedzieć mi to teraz.

Na moment zapanowała cisza, po czym Simon odparł:

– Nie, proszę pana. Dam sobie radę.

– Jak nie, zrobi to ktoś inny. Mam nadzieję, że ma pan tego świadomość.

– Tak jest.

– Niech pan uważa i zachowuje się normalnie. Nie chcę, by Haslam czy O'Farrell domyślili się, że są śledzeni. Muszą doprowadzić nas do celu, rozumie pan?

– Tak, proszę pana.

Stary człowiek obrócił wózek, by znaleźć się twarzą do rzeki. Po długiej chwili milczenia westchnął ciężko.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to wyjdzie na jaw, to będzie koniec brytyjskiej monarchii. Dobranoc, Warburton.

*

Joanna z trudem powstrzymywała palącą ciekawość. Cierpiała katusze, patrząc, jak Rose z namaszczeniem, powoli konsumuje wszystko, co ma na talerzu. Sama pochłonęła kolację błyskawicznie. Nie czuła żadnego smaku, ale zjadła, bo tak nakazywał jej rozsądek.

Nareszcie starsza pani wytarła usta serwetką.

– Teraz mi lepiej. Ale myślę, że przydałoby się nam po filiżance kawy, skoro mamy rozmawiać, moja droga.

Starając się nie stracić panowania nad sobą, Joanna jeszcze raz połączyła się z room service'em, by złożyć zamówienie.

W końcu, kiedy przyniesiono kawę, Rose znów zaczęła mówić:

– Teraz wiadomo, że członkowie rodziny królewskiej miewali

kochanki i kochanków od początków monarchii. Pałac nie przejąłby się zbytnio faktem, że księżna zakochała się w sobowtórze męża. Z tym można było sobie poradzić. Nawet to, że uparła się pisać do niego niebezpieczne listy miłosne, z których jeden widziałaś, dałoby się jeszcze przełknąć. W owym czasie wydawało się wątpliwe, by kiedykolwiek została królową, a jej mąż królem. – Rose urwała i uśmiechnęła się lekko. – Ironia losu, że z dnia na dzień wszystko się zmieniło, za sprawą najprostszej, a jednak najpotężniejszej siły na świecie.

– Miłości.

– Tak, moja droga. Miłości.

– I księżna została królową.

Rose skinęła głową i łyknęła kawy.

– Pomyśl, Joanno, co takiego mogło się zdarzyć pomiędzy Michaelem O'Connellem a księżną Yorku, że stało się to najpilniej strzeżonym sekretem dwudziestego wieku? A w dodatku dowodem na to jest pewien list, napisany specjalnie przez zakochaną bez pamięci w Michaelu kobietę, by go ocalić? List, który został gdzieś ukryty i był wykorzystywany przez Michaela jako jedyna obrona przeciwko potędze tych, którym tak bardzo zależało na jego śmierci?

Joanna zastanowiła się i rozejrzała, jakby szukała odpowiedzi. Nagle miała wrażenie, że wszelkie odgłosy dobiegające z ulicy kompletnie ucichły. Wstrząśnięta, uświadomiła sobie, o co chodzi.

– O mój Boże! Przecież to niemożliwe?

– A jednak.

Tym razem to Rose musiała nalać roztrzęsionej Joannie whisky.

– Nigdy nie mów, że ja ci to powiedziałam. Sama do tego doszłaś. – Starsza pani pokręciła głową. – Takie zdumienie widziałam tylko

raz na czyjejś twarzy. To było wtedy, gdy potwierdziłam Grace to, co usłyszała zza drzwi gabinetu na Welbeck Street.

– Przecież tobie na pewno najłatwiej byłoby ją okłamać? Przekonać, że źle to zrozumiała. Mój Boże. – Joanna przełknęła łyk whisky. – Uważam się za całkowicie zrównoważoną, ale teraz, kiedy wreszcie to do mnie dotarło, język mi się plącze, jestem kompletnie skołowana.

– Nic dziwnego. I masz rację, rozważałam możliwość przekonania Grace, że się przesłyszała, ale wiedziałam, że ona tego tak nie zostawi. Nie wykluczałam, że pójdzie do źródła, do człowieka, z którym tamtego dnia w gabinecie rozmawiał James. Ten mężczyzna, sir Henry Scott-Thomas, został później szefem MI5. I byłby w stanie zniszczyć zarówno ją, jak i Jamesa, gdyby odkrył, że ona wie. Teraz jest sparaliżowany od pasa w dół. Miał wypadek podczas jazdy konnej.

– Mężczyzna w fotelu inwalidzkim… – Joannie pękała głowa. Próbowała myśleć jasno, oprzytomnieć. Wiedziała, że jest jeszcze wiele pytań, które powinna zadać.

– Czy ten list… potwierdza to… o czym właśnie mówiłyśmy? – Nie była w stanie zmusić się do wypowiedzenia tego na głos.

– Może i go dostarczyłam, ale kiedy go brałam, był już w paczuszce. Skoro jednak przez tyle lat utrzymywał Jamesa przy życiu, pozwolił mu zdobyć sławę i zbić fortunę tuż pod nosem tych, którzy pragnęli jego śmierci, to owszem, sądzę, że było w nim to, co masz na myśli.

– Dlaczego oni nigdy nie dobrali się do ciebie? Przecież nosiłaś te listy.

– W owym czasie zaręczyłam się ze swoim ukochanym François i opuściłam pałac. Wyszłam za mąż i wyjechałam do Loire zaraz po tym, kiedy przesyłka została doręczona. Nikt nie wiedział, że

mogłam mieć z tym coś wspólnego. – Rose zachichotała. – Księżna była niesamowicie sprytna, potrafiła wszystkich zmylić, dopóki nie dało się już dłużej skrywać jej tajemnicy.

Joanna z ukłuciem w sercu zdała sobie sprawę, że dwa tygodnie temu w Yorkshire niechcący wyjawiła Simonowi nazwisko „emisariuszki".

– Rose, jesteś w wielkim niebezpieczeństwie, naprawdę! Ostatnio wspomniałam o tobie komuś. O Boże, tak mi przykro. – Joanna wstała. – Już tyle osób nie żyje. Oni nie cofną się przed niczym… Musisz natychmiast uciekać!

– Nic mi nie grozi, przynajmniej na razie, moja droga. W końcu jestem jedyną osobą, która wie, gdzie jest list. A poza tym moje fałszywe dokumenty podrobione w czasie drugiej wojny światowej świetnie się sprawdzają. François zapłacił fachowcowi mnóstwo pieniędzy, by mieć pewność, że możemy się podawać za „madame i monsieur Levoy", obywateli szwajcarskich. Widzisz, miał domieszkę krwi żydowskiej ze strony matki. Zawsze trzymałam więc w pogotowiu paszport na fałszywe nazwisko, na wszelki wypadek. François upierał się, żebym się go nie pozbywała. – Rose uśmiechnęła się lekko. – I w ten sposób wjechałam do Wielkiej Brytanii i zameldowałam się w tym hotelu.

Joanna popatrzyła z podziwem na tę niezwykłą kobietę, która tak długo dochowywała tajemnicy, a teraz narażała życie z miłości dla starej przyjaciółki.

– Wspomniałaś, że list był w paczuszce.

– No właśnie.

– Co w niej było poza listem?

– Ojoj… – Rose ziewnęła. – Robię się strasznie śpiąca. W każdym razie chodzi o to, że najwyraźniej te listy były niezwykle delikatnej natury, a szczególnie ten jeden. Gdyby wpadły w niepowołane ręce,

mogłoby się to okazać katastrofalne w skutkach. Księżna wymyśliła więc bardzo przemyślny sposób maskowania ich.

– Jaki?

– Widziałaś ten, który przysłała ci Grace. Choć był stary, na pewno zauważyłaś coś szczególnego.

Joanna próbowała sobie przypomnieć, o co chodzi.

– A… tak. Jeśli dobrze pamiętam, na brzegach były jakieś małe dziurki.

Najwyraźniej trafiła, bo Rose lekko skinęła głową.

– Skoro nie zostało nam już wiele czasu, pewnie muszę pomóc ci z ostatnim elementem układanki. Pamiętaj, robię to tylko przez wzgląd na biedną Grace.

– Oczywiście – rzuciła udręczona Joanna.

– Księżna miała w życiu dwie pasje. Jedną z nich była uprawa cudownych róż w ogrodzie, drugą sztuka haftu. – Starsza pani spojrzała na Joannę, która wpatrywała się w nią bezradnie. – A teraz, jak sądzę najwyższy czas, bym poszła się położyć. Jutro wyjeżdżam z Anglii. Zatrzymam się u swoich przyjaciół w Ameryce, póki cała ta burza nie ucichnie. Pomyślałam, że lepiej się stąd ulotnić na kilka miesięcy. Poczekać, aż kurz opadnie.

– Rose, proszę! Nie rób mi tego! Powiedz, gdzie jest ten list! – błagała Joanna.

– Moja droga! Przecież właśnie ci powiedziałam. Jedyne, co musisz teraz zrobić, to użyć swojego bystrego umysłu i tych ładnych oczu.

Joanna zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu dalej prosić.

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś? – spytała.

– Wątpię, a ty nie? – Rose spojrzała na nią z rozbawieniem. – Ufam, że znajdziesz to, czego szukasz.

– A ja nie! Rose, haft…

– Tak, moja droga. A teraz, skoro już chwyciłaś, w czym rzecz, muszę opuścić Anglię. I to jak najszybciej. Naprawdę zamierzasz to opublikować, choćby się waliło i paliło, jak to się mówi?

– Tak. Myślę, że tak. Tyle osób straciło przez to życie. Jestem to komuś winna. – Oczy Joanny wypełniły się łzami.

– Komuś, kogo kochałaś?

– Tak… – Westchnęła. – Zginął, próbując ratować mi życie. A wszystko to przez ten list.

– No właśnie. Jak widzisz, miłość sprawia, że podejmujemy najbardziej pochopne i często niewłaściwe decyzje.

– Prawda.

Rose wstała i położyła łagodnie dłoń na ramieniu Joanny.

– Zostawiam to twojemu sumieniu. I losowi. Żegnaj, moja droga. Jeśli przeżyjesz, by opowiedzieć tę historię, bez względu na to, co postanowisz, będziesz miała swój udział w dziejach świata. Co do tego nie ma wątpliwości. Sama trafisz do wyjścia, dobrze?

Starsza pani ruszyła w kierunku sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Końcówka

(*W partii szachowej to etap gry, gdy na szachownicy pozostało niewiele bierek*).



40

– Cześć, Simon – powiedziała Zoe, kiedy następnego dnia w porze lunchu pojawił się w kuchni na Welbeck Street.

– Cześć. Dotarłaś tu bez problemów?

– Tak.

Zauważyła, że jest spięty i wyczerpany.

– Czy panna Burrows już wyjechała? – spytał.

– Tak. Kiedy tylko odwiozła mnie na miejsce. Jakoś nie uśmiechało mi się z nią mieszkać.

– Jasne.

Zoe zanurzyła palec w sosie, który właśnie mieszała na kuchence.

– To atrakcyjna dziewczyna.

– Raczej nie w moim typie – odpowiedział krótko, sypiąc do kubka kawę rozpuszczalną i dolewając gorącą wodę. – Co szykujesz?

– A co można szykować dla księcia? – Zoe westchnęła. – Zdecydowałam się na swoje popisowe danie. Boeuf Stroganow. To nie całkiem to samo co zapiekany homar, ale musi wystarczyć.

– O Boże! Twoja dzisiejsza kolacja! Zupełnie zapomniałem.

– Art dzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Powiedział, że spodziewa się ciebie w Sandringham późnym popołudniem. Masz go tu przywieźć. Zostawiłam wiadomość Joannie, żeby była na ósmą, więc wszystko powinno dobrze zgrać się w czasie. Niestety,

dwójka moich przyjaciół wymówiła się w ostatniej chwili, więc będzie nas tylko troje.

Simonowi na moment zamarło serce.

– Przyjdzie Joanna?

– Tak, ale nawet ona nie odpowiedziała na moją wiadomość. Zaprzyjaźniłyśmy się i jestem bardzo ciekawa jej opinii o Arcie.

– Może powinnaś zadzwonić, sprawdzić, czy się wybiera?

– Tak, masz rację. – Wytarła ręce o fartuch. – Pomieszaj to chwilę, dobrze?

Wróciła po kilku minutach.

– Od razu włącza się automatyczna sekretarka – powiedziała, patrząc, jak Simon zagląda do szafek. Po chwili odwrócił się do niej z buteleczką w dłoni. – Dodaj trochę tabasco, zaostrzy smak.

Zadzwoniła komórka Simona.

– Zlokalizowaliśmy O'Farrella. Wiedziałem, że nie wytrzyma długo bez whisky. Zapłacił kartą w sklepie monopolowym w Docklands.

– No tak.

– Zrobiliśmy wywiad wśród jego znajomych i okazało się, że jego kumpel, dziennikarz ze Stanów, ma mieszkanie niedaleko tego sklepu. Moi ludzie sprawdzili i są ślady, że ktoś tam się wprowadził. W tej chwili mają ten punkt pod obserwacją. Przejęliśmy kontrolę nad tamtejszą linią telefoniczną. Gdyby próbował internetowo wysłać materiał, możemy to od razu uniemożliwić.

– A co z Haslam?

– Ani śladu.

– Jest zaproszona na kolację do Zoe Harrison, choć wątpię, czy się pojawi. To byłoby jak ładowanie się w paszczę lwa. Czy na razie

mam robić to co zwykle?

– Tak. Jeśli nie wypadnie nic nowego, proszę zgodnie z planem jechać po Jego Książęcą Wysokość do Norfolk. Burrows będzie w pogotowiu. Niech się pan tylko upewni, czy oboje macie broń. Skontaktuję się z panem, Warburton.

Tuż przed piątą po południu Simon podjechał pod piękny, stojący na uboczu dom w posiadłości Sandringham i zatrzymał samochód. Wysiadł i zobaczył, że kamerdyner właśnie otwiera drzwi rezydencji.

– Obawiam się, że Jego Wysokość odrobinę się spóźni. Ponieważ zapewne potrwa to chwilę, sugerował, że może chciałby pan zaczekać w środku i napić się herbaty.

– Dziękuję, chętnie. – Simon poszedł za kamerdynerem przez korytarz do małego, ale wystawnie urządzonego salonu.

– Earl grey czy darjeeling?

– Naprawdę bez różnicy.

– Wedle życzenia, proszę pana.

Gdy kamerdyner wyszedł, Simon chodził w tę i we w tę, zastanawiając się, czemu, u diabła, właśnie tego dnia książę musi się spóźniać. Każda sekunda zwłoki sprawiała, że robił się coraz bardziej podenerwowany.

Kamerdyner przyniósł herbatę i znowu opuścił salon. Simon pił ją, nadal bezwiednie się przechadzając. I nagle coś wiszącego na ścianie, pomiędzy mnóstwem innych, zapewne bezcennych obrazów, przyciągnęło jego wzrok. Przypominało coś, co widział niedawno. Podszedł bliżej i przyjrzał się uważniej. Dłoń, w której trzymał filiżankę, zadrżała.

Był całkiem pewny, że to jest identyczne, w najdrobniejszych

szczegółach.

Wyciągnął telefon, by zadzwonić, ale w tej chwili pojawił się kamerdyner.

– Jego Wysokość jest gotów do drogi.

Filiżanka zdecydowanym gestem została wyjęta Simonowi z rąk, po czym szybko wyprowadzono go z pokoju.

*

Z korzystnej pozycji obserwacyjnej w budce telefonicznej po przeciwnej stronie Welbeck Street Joanna zadzwoniła na komórkę kolegi.

– Steve? Tu Jo. Nie pytaj, gdzie jestem, ale jeśli chcesz mieć ładną fotkę, rusz tyłek i podejdź pod dom Zoe Harrison. Zaraz przyjeżdża książę. Tak, naprawdę! O, jest tu jeszcze tylne wejście, jeśli przydałoby ci się też zdjęcie wnętrza. Zwykle jest otwarte, choć będziesz musiał przesadzić kilka płotów, żeby się tam dostać. Potem czekaj pod domem, odezwę się do ciebie. Cześć.

Wybrała kolejny numer i jeszcze inny, aż zawiadomiła wszystkie działy fotograficzne każdej londyńskiej gazety, gdzie tego wieczoru książę Yorku jest umówiony na kolację. Pozostało jej czekać, aż pojawią się fotoreporterzy.

*

Jeden z nich dostrzegł samochód, kiedy tylko tuż przed ósmą Simon skręcał w Welbeck Street.

– O Chryste! – zaklął książę na widok zapory z obiektywów ustawionych pod domem Zoe.

– Wasza Wysokość wolałby zawrócić?

– Trochę na to za późno, nie sądzisz? Trudno, miejmy to za sobą.

Joanna patrzyła, jak drzwi jaguara się otwierają i reporterzy tłoczą się wokół samochodu. Pobiegła przez ulicę i znalazła się pośród kłębiącej się gromady tuż przed księciem i Simonem. Zgodnie z tym, czego się spodziewała, drzwi domu otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jednym susem wparowała do środka.

– Jo! Mimo wszystko udało ci się przyjść.

Zoe cmoknęła ją w roztargnieniu. Patrzyła z niepokojem na Arta, kiedy Simon zamykał za całą trójką drzwi.

– Tak – wysapała Joanna. Ściągnęła kapelusz i potrząsnęła głową, by włosy rozsypały się swobodnie. – Ale tam ścisk pod domem.

– Jaka ładna sukienka! Widywałam cię tylko w dżinsach.

– Bo zawsze je noszę. Ale pomyślałam, że dziś wieczorem bardziej się postaram.

– I te okulary! Naprawdę twarzowe. Wyglądasz inaczej.

– To dobrze – powiedziała szczerze Joanna.

Zoe ucałowała ją, a potem skupiła całą uwagę na Arcie, który stał za jej przyjaciółką.

– Witaj, kochanie. Jak się masz? – zaczęła, ale zaraz wszyscy aż podskoczyli, bo klapka w drzwiach odchyliła się i w szczelinie na listy pojawił się teleobiektyw.

Simon natychmiast zatrzasnął klapkę. Usłyszeli chrupnięcie plastiku, gdy ktoś wycofywał aparat.

– Sugerowałbym, żeby wszyscy przeszli do salonu. Muszę mieć tylko chwilę, by pozaciągać zasłony – zwrócił się do zdegustowanego księcia.

– Dziękuję, Warburton.

Art ruszył za Simonem przez hol, a Zoe położyła dłoń na ręce przyjaciółki.

– Zaraz przedstawię cię oficjalnie Artowi – szepnęła.

– Mam dygnąć? Jak się do niego zwracać? – spytała Joanna.

Zoe stłumiła śmiech.

– Po prostu bądź sobą. Sam ci powie, jak do niego mówić – odparła. – Choć lepiej nie wspominaj, że jesteś dziennikarką – dodała z nutką ironii.

– Tak jest. Dziś wieczór mogę być treserką psów dla odmiany. – Joanna skinęła głową, gdy szły razem do salonu. Tuż przed drzwiami obejrzała się na Zoe. – Wybacz, ale muszę skoczyć do toalety. – I pognała na schody, zanim jej przyjaciółka zdołała cokolwiek odpowiedzieć.

– Simon, byłbyś tak dobry i przyniósł nam szampana? – poprosiła Zoe, kiedy ten wynurzał się z salonu. – Chłodzi się w lodzie w kuchni.

– Oczywiście.

Wpadł do kuchni, chwycił szampana, po czym postawił go na stole w salonie, tak jak chciała.

– Teraz pozwolę sobie państwa opuścić.

Wyszedł i pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Na pierwszym piętrze czekała Monica Burrows.

– Jest tu. Widziałam ją przed chwilą w sypialni chłopca. Weszła do sąsiedniej łazienki, kiedy mnie zobaczyła – szepnęła agentka.

– Dobrze. Zostaw to mnie. Idź na dół i zajmij pozycję przy drzwiach wejściowych.

– Jasne. Krzyknij, jakbyś mnie potrzebował.

Simon patrzył, jak Monica zbiega na dół. Potem stanął przy łazience i czekał na wyjście Joanny.

Z kuchni dobiegł go krzyk Zoe.

– Simon!

– Warburton! – zawołał książę.

Simon pędem pokonał dwie kondygnacje schodów i rzucił się przez hol do kuchni.

– Wyrzuć go stąd! – wrzasnęła przerażona Zoe, bo w tylnych drzwiach stał jakiś człowiek i spokojnie cykał zdjęcia

Simon powalił intruza na ziemię i wyrwał mu z rąk aparat.

– Ja tylko wykonuję swoją robotę, szefie. – Reporter uśmiechnął się krzywo, a Simon wcisnął mu z powrotem aparat, już bez rolki filmu, i poprowadził przez dom do frontowego wyjścia.

Tam wyciągnął facetowi portfel z kieszeni dżinsów i zapisał nazwisko z jego prawa jazdy.

– Będziesz oskarżony o włamanie. A teraz wynocha. – Otworzył drzwi, wyrzucił fotografa i zatrzasnął je za nim.

Książę pocieszał w kuchni zszokowaną Zoe.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Nie. Sama jestem sobie winna. Nie zamknęłam tylnych drzwi.

– Nie mów tak. Dopilnowanie zachowania środków ostrożności to obowiązek Warburtona. Zawaliłeś na całego, chłopie.

– Bardzo przepraszam, Jego Wysokość.

– Nie obwiniaj Simona, Art. Zawsze przypomina mi, żebym wszystko zamykała. Jest świetny, nie wiem, co bym bez niego zrobiła – broniła go Zoe.

– Co ja słyszę! Naprawdę taki z ciebie wspaniały facet, Simon?

Joanna weszła do kuchni i stanęła za nim.

Odwrócił się i od razu wiedział, że znalazła to.

– No, chyba czas usiąść i zacząć nasz wieczór – zauważył rozdrażniony książę. – Zawołamy, gdybyś był potrzebny, w porządku, Warburton?

– Tak jest.

Simon wyszedł z kuchni i ruszył na górę do pokoju Jamiego. Tak jak się spodziewał, to znikło. Zajrzał do łazienki i zobaczył pustą

ramkę w koszu na śmieci. Misternie wyhaftowana dziecięca rymowanka, przez wszystkie te lata wisząca pod szkłem, niewinnie skrywając swój sekret, znikła.

– *Wszyscy upadniemy* – mruknął pod nosem zdanie z wierszyka. Wyszedł z łazienki i poszedł na górę do swojego pokoju. Pospiesznie sięgnął do kieszeni po komórkę i wybrał numer.

– Ona tu jest i ma to.

– Gdzie jest?

– Na dole. Uczestniczy w przyjemnej kolacji z trzecim w kolejce do tronu. Nie możemy jej tknąć i ona to wie.

– Upewniliśmy się, że O'Farrell już jej nie pomoże. Znaleźliśmy historię w jego komputerze. Czekał już tylko na list. A Welbeck Street jest otoczona. Tym razem ona się nie wywinie.

– Tak, jednak w tym momencie, z Jego Wysokością w domu, niewiele możemy zrobić.

– To musimy go stamtąd natychmiast wyprowadzić.

– Tak jest. I proszę wybaczyć, ale mam pewien pomysł.

– Jaki?

Simon przedstawił swój plan.

*

– Ten wieczór utwierdził mnie tylko w przekonaniu, że nie możesz dłużej tu mieszkać, Zoe. Natychmiast załatwię twoje przenosiny do pałacu, gdzie przynajmniej będziesz bezpieczna. – Art odłożył starannie nóż i widelec na talerz. – A tak przy okazji, to było wyśmienite. Teraz panie mi wybaczą. Muszę was na chwilę opuścić.

Obie patrzyły, jak wychodzi z salonu.

– I co myślisz? – spytała Zoe.

– O czym?

– O Arcie! Jesteś dziś strasznie rozkojarzona, Jo. Prawie nie odzywałaś się podczas kolacji. Dobrze się czujesz?

– Tak. Przepraszam, jestem po prostu zmęczona, to wszystko. Myślę, że twój książę jest… bardzo miły.

– Naprawdę? Mówisz to jakoś bez przekonania. – Zoe zmarszczyła brwi.

– No, ma takie trochę… królewskie maniery, ale to nie jego wina – odparła w roztargnieniu Joanna.

– No właśnie, co prawda, to prawda. – Zoe zaśmiała się jakoś dziwnie. – Tylko że… ja chyba już nie jestem taka pewna – szepnęła.

– Dlaczego?

– Och, sama nie wiem.

– Jest ktoś inny? – Joanna zdecydowała, że sprawdzi, czy przeczucie jej nie myli. Widziała, jak tego wieczoru Zoe patrzyła na Simona.

– Może i tak… ale nie mam pojęcia, czy ja mu się w ogóle podobam.

– No nie wiem, kto byłby bardziej rozczarowany, jeśli zerwałabyś z Artem. On czy twój dzielny obrońca – powiedziała jakby nigdy nic Joanna.

– Co masz na myśli?

Joanna spojrzała nerwowo na zegarek.

– A… nic. Simon cię uwielbia.

– Naprawdę? – Zoe aż się rozpromieniła.

– Tak. I myślę, że powinnaś iść za głosem serca. Teraz bardzo żałuję, że nie spędziłam więcej czasu z Marcusem. Ty nie trać swojego – szepnęła do ucha przyjaciółce, kiedy wracał Art. – Dobrze, a teraz moja kolej skoczyć do łazienki. Za chwilkę jestem z powrotem.

Do oczu Joanny mimowolnie napłynęły łzy, gdy wstawała. Ostatni raz spojrzała na Zoe i znikła w drzwiach.

Kiedy minęła w holu Monicę i poszła na górę, agentka dała znak Simonowi, który warował za progiem salonu. Skinął głową i sięgnął po komórkę.

– Teraz, proszę pana.

Zamknięta w łazience Joanna gorączkowo wybierała numer Steve'a.

– To ja. Za dwie minuty będę. Miej motocykl na chodzie, dobrze? I nie maltretuj mnie pytaniami.

Otwierała właśnie drzwi łazienki, gdy usłyszała wyjące syreny i głos dudniący przez megafon.

– Tu policja. Ogłaszamy alarm bombowy na Welbeck Street. Wszyscy mieszkańcy muszą natychmiast opuścić domy. Powtarzam, wszyscy miesz…

Zrozpaczona Joanna walnęła pięścią o ścianę.

– Cholera! Cholera! Cholera!

W jadalni pojawił się Simon.

– Musimy natychmiast jechać, Wasza Wysokość. Panno Harrison, proszę.

– O co chodzi? Co się stało? – pytała Zoe, wstając.

– Skąd to zamieszanie? – burczał książę.

– Alarm bombowy. Niestety, musimy się ewakuować. Jeśli Wasza Wysokość zechce pójść za mną, pod domem czeka już samochód.

– A gdzie Joanna? – zaniepokoiła się Zoe, idąc z Artem za Simonem.

– Na górze. W łazience. Dopilnuję, żeby wyszła! – zawołała Monica Burrows z piętra.

– Powinniśmy na nią zaczekać – zaprotestowała Zoe.

W tej chwili Joanna poczuła na plecach brutalny ucisk twardego, zimnego metalu.

– Powiedz, żeby wyszli – szepnęła kobieta.

– Spotkamy się pod domem, Zoe, dobrze?! – zawołała drżącym głosem Joanna.

– Dobrze! – padła odpowiedź. Po chwili trzasnęły drzwi i zapanowała cisza.

– Nie ruszaj się. Mam rozkaz w razie czego strzelać tak, by zabić. – Monica popchnęła ją do sypialni Jamiego, trzymając broń przytkniętą do dolnej części kręgosłupa Joanny. Kilka minut później dołączył do nich Simon.

– Puść ją, Monico. Przejmuję ją.

Uniósł rękę i Joanna zobaczyła, że ma w niej pistolet. Lufa wrzynająca się w jej plecy cofnęła się. Joanna usiadła ciężko na łóżku. Spojrzała na kobietę i rozpoznała, że to ta sama, którą widziała na inauguracji fundacji.

– Joanno – odezwał się Simon.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co?

– Dlaczego nie mogłaś sobie tego odpuścić, kiedy jeszcze był na to czas?

– A dlaczego ty mnie okłamywałeś?! Wszystkie te bzdury w Yorkshire! A ja… Pozwoliłeś mi wierzyć, że wiem, o co chodzi..

– Próbowałem ratować ci życie.

– Tak czy inaczej, spóźniłeś się – zablefowała odważnie, choć wcale nie czuła się tak pewna siebie. – Alec wie o wszystkim.

Pewnie już wysłał materiał. A jeśli cokolwiek mi się stanie, będzie wiedział dlaczego.

– Alec nie żyje, Joanno. Znaleźli go w mieszkaniu jego kumpla w Docklands i w porę go powstrzymali. Obawiam się, że gra skończona.

Z przerażenia zabrakło jej tchu.

– Ty bydlaku! Ale… to ja mam list, nie ty – dodała buńczucznie.

– Przeszukaj ją, Burrows.

– Nie dotykaj mnie!

Kiedy próbowała wyrwać się agentce, padł strzał z broni Simona. Joanna i Burrows obejrzały się i zorientowały, że kula trafiła w ścianę i utkwiła w tynku. Na twarzy Joanny pojawił się dziki lęk, gdy zobaczyła zimny, twardy wzrok Simona. Broń w jego dłoni była wycelowana prosto w nią.

– Zamiast narażać się na upokarzające przeszukanie, może lepiej oddasz nam to, czego chcemy, Jo? Wtedy nikomu nie stanie się krzywda.

Roztrzęsiona Joanna skinęła głową. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Sięgnęła do kieszeni swojej nowej sukienki i wyciągnęła niewielki prostokątny skrawek materiału. Podała go Simonowi.

– Bierz. Nareszcie masz, czego chciałeś. Ilu ludzi musiałeś zabić, żeby to zdobyć, Simon?

Zignorował ją. Skinął na Burrows, że ma przejąć trzymanie Joanny na muszce, a sam skoncentrował się na kawałku materiału, który miał w dłoni.

– Wianek z kwiatków róży…

Słowa rymowanki i to, o co w nich chodziło, było prześlicznie wyhaftowane. Odwrócił makatkę, by obejrzeć ją z drugiej strony. Joanna, mimo paraliżującego lęku, patrzyła na to jak zaczarowana. Po tylu latach nareszcie prawda wyjdzie na jaw. Śledziła, jak Simon

ostrożnie zdejmuje podszewkę, pod którą przyfastrygowany od spodu do haftu tkwił kawałek grubego kremowego pergaminu, identyczny jak ten z listu, który przysłała jej Grace.

Simon wyjął scyzoryk i zaczął przecinać staranny ścieg z cieniutkich nici. Papier w końcu dał się odczepić. Simon przeczytał i skinął do Burrows.

– To ten. – Ostrożnie wsunął list do wewnętrznej kieszeni marynarki i jeszcze raz wycelował w Joannę. – No i co my mamy z tobą zrobić? Wydaje mi się, że trochę za dużo wiesz.

Nie była już w stanie patrzeć w te oczy, które przeszywały ją lodowatym spojrzeniem.

– Przecież chyba nie zastrzelisz mnie tak z zimną krwią, Simon? Jezu, znamy się tyle lat, prawie całe życie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi… Ja… Daj mi szansę uciec… zniknę. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Monica Burrows zobaczyła, że Simon się waha.

– Ja to zrobię – powiedziała.

– Nie! To moja sprawa.

Zrobił krok naprzód. Joanna cofnęła się. Serce waliło jej jak szalone. W głowie wirowało.

– Simon, na Boga! – krzyknęła, kuląc się w kącie pokoju.

Nachylił się nad nią, aż jego twarz znalazła się tuż nad jej głową. Przystawił jej pistolet do piersi.

– Simon, proszę! – zawołała.

Pokręcił głową.

– Pamiętaj, Joanno. To moja gra. Ja wyznaczam zasady.

Wpatrywała się w niego.

– Poddaję się – wyszeptała wreszcie schrypniętym z przerażenia głosem.

– Bang, bang! Nie żyjesz!

Ledwie miała czas krzyknąć, kiedy z tak bliskiej odległości wystrzelił dwa razy. Osunęła się na podłogę.

Przyklęknął i sprawdził jej puls, po czym posłuchał serca.

– Nie żyje. Dzwoń, powiedz, że misja wypełniona do końca. Posprzątam, a potem zniosę ją do samochodu.

Burrows z miejsca, gdzie stała, przyglądała się leżącemu twarzą do dołu ciału Joanny.

– Znałeś ją od dawna?

– Tak.

– O matko… – wysapała. – To dopiero trzeba mieć jaja.

Zbliżyła się nieco i nachyliła, żeby też sprawdzić puls.

Obrócił się, by na nią spojrzeć.

– Znasz zasady służby, Burrows. Nie ma miejsca na sentymenty. No, to tak dla pewności.

I jeszcze raz strzelił.

Piętnaście minut później Welbeck Street wydawała się kompletnie wymarła. Drzwi frontowe się otworzyły. Grupa obserwacyjna z drugiej strony ulicy przyglądała się, jak Warburton i Burrows, podtrzymując między sobą jakąś postać, idą do samochodu zaparkowanego tuż obok domu.

– Są już w drodze – powiedział ktoś z ekipy do walkie-talkie.

Dziesięć minut później, eskortowani przez drugie auto jadące w pewnej odległości za nimi, Warburton i Burrows zaparkowali na skraju ogrodzonych zakładów przemysłowych. Przenieśli ciało ze swojego samochodu do innego stojącego jakiś metr dalej, sami wsiedli do jeszcze innego i odjechali na pełnym gazie. Dwadzieścia minut później huk eksplozji zakłócił ciszę okolicznych ulic.

41

Simon sięgnął do kieszeni i wyjął list. Podał go przez biurko.

– Proszę. Nareszcie jest, nieuszkodzony.

Sir Henry Scott-Thomas przeczytał go od początku do końca, nie zdradzając żadnych uczuć.

– Dziękuję, Warburton. A z jej ciałem wszystko się udało?

– Tak.

Stary człowiek przyglądał się Warburtonowi.

– Wyglądasz na porządnie zmęczonego, chłopie.

– Przyznam, proszę pana, że to, co musiałem zrobić, było niezwykle przykre. Przyjaźniłem się z nią od dzieciństwa.

– Zapewniam, że nie zostanie to zapomniane. Powiem ci, że taka lojalność jest rzadkością. Będę rekomendował cię do natychmiastowego awansu. Pod koniec miesiąca możesz się też spodziewać hojnego bonusu na koncie za swoją ciężką pracę.

– Myślę, że muszę iść do domu i trochę się przespać. – Simona skręcało w żołądku. – Jutro czeka nas kolejny ciężki dzień, kiedy odkryją, kto zginął w wybuchu.

Sir Henry skinął głową.

– Sugerowałbym, żebyś wziął sobie krótki urlop po pogrzebie. Poleć dokądś, gdzie ciepło i dużo słońca.

– O czymś takim właśnie myślałem, proszę pana.

– Jeszcze tylko dwa pytania, zanim wyjdziesz. Jak poradziła sobie Burrows?

– To musiał być dla niej szok. Miałem wrażenie, że jeszcze nigdy z bliska nie widziała nikogo zabitego.

– Takie sytuacje pozwalają odróżnić prawdziwych mężczyzn od chłopaczków. Czy zajrzała do listu?

– Nie, proszę pana, nie czytała go. Zapewniam pana, że nie miała pojęcia, co się w ogóle dzieje – odparł Simon.

– Zuch z ciebie. Świetnie się spisałeś, Warburton. Rzetelna robota. A teraz dobrej nocy.

– Dobranoc. – Simon wstał i ruszył do drzwi. Nagle przystanął i obejrzał się.

– Jedna sprawa, proszę pana.

– Tak?

– Może jestem sentymentalny, ale czy pan przypadkiem wie, gdzie spoczywają szczątki Grace? Pomyślałem, że po tym wszystkim może dobrze byłoby pomóc jej połączyć się z mężem, którego tak kochała.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym starszy pan odparł:

– Racja. Dopilnuję tego. Dobranoc, Warburton.

Simon ledwie zdołał dojść do męskiej toalety w głębi korytarza. Tam chwyciły go takie wymioty, jakby miał wyrzucić z siebie całe wnętrzności. Potem osunął się na podłogę i otarł usta rękawem. Teraz rozumiał już dobrze, co doprowadziło do załamania nerwowego Iana Simpsona.

Nigdy nie zapomni tego strachu w jej oczach, spojrzenia tak okrutnie zdradzonej, kiedy pociągał za spust. Ukrył głowę w dłoniach i załkał.

*

Jadąc do Dorset o świcie następnego ranka, sir Henry Scott-

Thomas przeczytał uważnie krótki artykuł na trzeciej stronie dziennika „The Times”.

DZIENNIKARZE ZABICI W WYBUCHU BOMBY

Tej nocy w okolicy zakładów przemysłowych w Bermondsey eksplodowała bomba w aucie, zabijając zarówno siedzącą za kierownicą 27-letnią dziennikarkę, jak i szefa jej redakcji. Wybuch nastąpił po kilku fałszywych ostrzeżeniach telefonicznych, wskutek których na dwie godziny zamknięto dla ruchu część West Endu. Ofiarami są najprawdopodobniej Joanna Haslam, pracująca dla „The Morning Mail”, oraz Alec O’Farrell, redaktor prowadzący tamtejszy dział wiadomości. Policja podejrzewa, że mogli oni być bliscy odkrycia jakiegoś spisku IRA. Po zamachu bombowym na Canary Wharf w lutym policja była postawiona w stan gotowości…

Przerzucił kolejne kartki, aż jego wzrok padł na krótką notkę na dole strony czternastej.

KRUKI WRACAJĄ DO TOWER

Dziś rano strażnicy Tower of London ogłosili, że słynne kruki wróciły. Kruki, które zgodnie z tradycją strzegły Tower przez dziewięćset lat, w tajemniczy sposób zniknęły sześć miesięcy temu. W całym kraju prowadzono poszukiwania, ale bez skutku. Choć podczas drugiej wojny światowej przez naloty Luftwaffe liczba tych ptaków w historycznej budowli spadła do zaledwie jednego osobnika, Tower nigdy nie było całkowicie pozbawione swoich skrzydlatych obrońców. Były one chronione dekretem królewskim Karola II, a legenda

głosi, że jeśli te ptaki kiedykolwiek opuszczą Tower na dobre, monarchia upadnie.

Z wielką ulgą więc ich opiekun odkrył, że Cedric, Gwylum, Hardey i reszta kruków wróciła do swego siedliska niedaleko Zielonej Wieży późnym wieczorem. Po porządnym posiłku okazały się w świetnej formie fizycznej. Ich opiekun nie potrafi jednak wyjaśnić ich czasowego zniknięcia.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana.

– Dziękuję.

Kierowca wykonał niezbędne czynności, by wyjąć z samochodu wózek inwalidzki i pomóc wysiąść sir Henry'emu.

– Dokąd teraz, proszę pana?

Sir Henry wskazał miejsce docelowe.

– Możesz mnie tu zostawić i zabrać za dziesięć minut.

– Oczywiście, proszę pana.

Kiedy kierowca odszedł, sir Henry przypatrzył się mogile przed sobą.

– No i tak, Michael. Znowu się spotykamy.

Musiał zmobilizować wszystkie siły, by otworzyć nakrętkę puszki, którą ściskał w dłoniach.

– Spoczywaj w pokoju – zamruczał, wysypując zawartość.

Drobinki prochów zdawały się tańczyć w promieniach porannego słońca, wiele z nich osiadało na krzewach róż rosnących przy grobie.

Sir Henry zauważył, że jego sękate palce drżą. Poczuł coraz mocniejszy, rozlewający się w piersi ból.

Nieważne. Nareszcie to się skończyło.

42

Zoe patrzyła, jak trumna powoli opuszcza się coraz niżej. Starała się stłumić szloch. Spojrzała na wycieńczone, blade twarze rodziców Joanny, stojących naprzeciw niej u szczytu grobu, i na Simona, który wyglądał jak istny obraz rozpaczy.

Kiedy było po wszystkim, tłum zaczął się rozchodzić, niektórzy szli na herbatę do Haslamów, inni spieszyli prosto do Londynu i swoich redakcji. Zoe ruszyła wolnym krokiem do bramy. Myślała o tym, jak spokojne, piękne jest to miejsce na skraju niewielkiego miasteczka wśród wrzosowisk.

– Cześć, Zoe. Jak się masz?

Dogonił ją Simon.

– Tak sobie, a chwilami potwornie – westchnęła. – Nie potrafię tego zaakceptować. Pamiętam, jak uściskała mnie w kuchni, a teraz… mój Boże, już jej nie ma. Nie ma też Jamesa i Marcusa… Zaczynam się zastanawiać, czy na naszej rodzinie nie ciąży jakaś klątwa.

– Możesz zadręczać się bez końca, ale nic nie wróci nam Joanny, twojego dziadka czy brata.

– W gazetach pisali, że ona ze swoim szefem była na tropie jakiegoś spisku terrorystycznego. Nigdy mi o czymś takim nie wspominała.

– No, to chyba nic dziwnego.

– Racja. No a… – Zoe z trudem przełknęła ślinę, od tych targających nią emocji zaschło jej w ustach. – Jak ty się masz?

– Też dość marnie, jeśli mam być szczery. Stale myślę o tej nocy, przerabiam ją w myślach, żałuję, że nie poczekałem, by pojechała z nami, tak jak chciałaś. – Simon zatrzymał się przy bramie i obejrzał na grób. Jaskrawe promienie słońca Yorkshire świeciły na świeżo usypaną ziemię. – Poprosiłem o krótki urlop. Chcę dać sobie trochę czasu, żeby przemyśleć różne sprawy.

– Dokąd pojedziesz?

– Nie wiem. Może trochę popodróżuję po świecie. – Uśmiechnął się do niej blado. – Nie czuję już, żeby coś mnie trzymało w Anglii.

– Kiedy wyruszasz?

– W najbliższych dniach.

– Będzie mi ciebie brakowało. – Te słowa wyrwały się jej, zanim mogła je powstrzymać.

– Mnie ciebie też. – Odchrząknął. – Jak tam książę i życie w pałacu?

– W porządku – odparła. – Chyba to było rozsądne przeprowadzić mnie tam po tym, co się stało. Szczerze mówiąc, jeszcze się tam nie zadomowiłam, ale to dopiero pierwsze dni. Jutro po raz pierwszy będę mu oficjalnie towarzyszyć. Na premierze filmu, jakże by inaczej.

Uśmiechnęła się.

– Czy życie nie płata nam figli?

Wzruszyła ramionami.

– O tak.

– Idziesz do rodziców Joanny na herbatę? – zapytał. – Przedstawiłbym cię mamie i tacie. Bardzo im imponuje, że cię znam.

– Niestety, nie mogę. Obiecałam Artowi, że prosto z pogrzebu

wracam. Mój nowy kierowca już czeka. – Wskazała na jaguara na małym parkingu. – No to cóż. Chyba czas się pożegnać. Dziękuję ci za wszystko.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Ścisnął mocno jej dłoń.

– Dzięki. Do widzenia, Zoe. To była wielka przyjemność opiekować się tobą.

Szybko odeszła od niego. Nie chciała, żeby widział jej łzy. Ale usłyszała, że jeszcze coś cicho szepcze, przystanęła więc i obejrzała się z nadzieją.

– Coś mówiłeś, Simon?

– Nie, nic. Po prostu… powodzenia.

– Dziękuję. – Zoe uśmiechnęła się do niego smutno. – To pa.

Patrzył, jak wsiada do jaguara.

– Moja ukochana – dodał, kiedy auto odjeżdżało i po chwili znikło z pola widzenia.

*

Następnego popołudnia Simon podszedł wyłożonym grubym dywanem korytarzem górnego piętra Thames House do rezydującej w recepcji starszej pani.

– Witam, jestem umówiony z sir Henrym o trzeciej – oznajmił, ale ona nie odpowiedziała. Za to jej oczy wypełniły się łzami.

– Och, panie Warburton!

– Co?

– Sir Henry! Wczoraj w nocy zmarł u siebie w domu. To musiał być zabójczy zawał. Nic nie dało się zrobić.

Twarz kobiety ukryła się za mokrą koronkową chusteczką.

– Ach, tak. Co za… tragedia. – O mało nie wyrwało mu się „ironia

losu”. – Szkoda, że nikt mi nie powiedział.

– Inni też jeszcze nic nie wiedzą. Ta informacja zostanie podana w dzienniku telewizyjnym o szóstej. Ale – pociągnęła nosem – wszystkim nam kazano pracować jak zwykle. Pan Jenkins czeka na pana w gabinecie sir Henry’ego. Proszę iść.

– Dziękuję.

Podszedł do ciężkich wykładanych dębiną drzwi i zapukał.

– Warburton! Wchodź, stary!

– Witaj. – Simon nie był zaskoczony, że zza ogromnego biurka uśmiecha się do niego uradowany jak dziecko Jenkins. – Fajnie cię tu widzieć.

– Napijesz się? Dziś było trochę jak na kolejce górskiej, wyobrażasz sobie. Przykro, że staruszka już nie ma, ale muszę przyznać, że na dole wszystkim nam trochę ulżyło. Sir Henry nigdy sam by nie odszedł. Oczywiście, staraliśmy się go zadowolić, ale to ja od lat odwalałem za niego całą robotę. Ma się rozumieć, nie chciałbym, żeby wyszło to poza to biuro. Proszę. – Jenkins podał mu szklankę brandy. – Twoje zdrowie.

– Za twój awans? – Simon uniósł pytająco brwi, kiedy stukali się szklankami.

Jenkins potarł palcem nos.

– Musisz poczekać, aż zostanie to oficjalnie ogłoszone.

– Gratulacje. – Simon spojrzał na zegarek. – Przepraszam za pośpiech, ale wieczorem wyjeżdżam na urlop, a jeszcze nie miałem okazji wpaść do domu się spakować. Dlaczego chciałeś mnie widzieć?

– Usiądźmy. – Jenkins wskazał skórzane fotele w rogu pokoju. – Bez wątpienia w pełni należą ci się jakieś wakacje, po tamtym… niezbyt przyjemnym incydencie. Ale tak się składa, że mielibyśmy dla ciebie zadanie, skoro już wybierasz się za granicę. Nie

chciałbym wtajemniczać kogoś innego, biorąc pod uwagę, jak bardzo delikatne to sprawy.

– Ja…

– Zerwała się nam Monica Burrows. Wiemy, że poleciała z powrotem do Stanów po tamtej akcji na Welbeck Street, bo kontrola paszportowa w Waszyngtonie odnotowała jej przybycie. Ale jak na razie nie pokazała się u siebie w biurze.

– Skoro jest w Stanach, to już chyba nie nasza sprawa, prawda? Nie możemy odpowiadać za to, że postanowiła wracać do kraju?

– Racja, ale czy jesteś absolutnie pewien, że nie miała pojęcia, o co tu chodziło?

– Za to mogę ręczyć – oświadczył stanowczo Simon.

– A jednak sytuacja jest szczególna i niepokoi mnie, że tak drażliwa informacja mogła przeciec przez Atlantyk. Ostatnie, czego nam trzeba, to pozostawienie jakichkolwiek niezatartych śladów.

– Dobrze rozumiem, ale możesz być spokojny, nic takiego nie istnieje.

– Poza tym CIA chce wiedzieć, co się stało z Monicą. Żeby wykazać dobrą wolę, obiecałem, że wyślę cię do nich. A skoro i tak lecisz do Stanów, to chyba nie problem.

– Skąd wiesz? Zamówiłem bilet do Nowego Jorku dopiero dziś rano!

– Nawet nie będę się trudził odpowiedzią. – Jenkins uniósł brew. – A teraz, ponieważ z Nowego Jorku do Waszyngtonu leci się niecałą godzinę, to zarówno ze względu na CIA, z którym mam nadzieję utrzymywać o wiele ściślejsze relacje niż mój poprzednik, jak i na ten może niezbyt szczęśliwy zbieg okoliczności, że tak fachowo zakończyłeś dla nas tę historię, muszę tam kogoś wysłać. Wszystko przemawia za tym, żebyś to był ty. Będą domagać się szczegółowego sprawozdania z tego, co się zdarzyło owej nocy, pytać o stan

psychiczny Burrows i tak dalej. Dobra wiadomość to ta, że wszelkie koszty twojego wyjazdu na urlop zostaną pokryte, pierwsza klasa w obie strony. Już zmieniliśmy ci bilet, a udobruchanie tamtych nie zajmie ci więcej jak dwa, trzy dni.

– No tak. – Simona coś ścisnęło w gardle. – Szczerze mówiąc, zależało mi na odrobinie czasu wolnego. Bez żadnych obowiązków służbowych – podkreślił dobitnie.

– I będziesz go miał. Jednak, jak się jest agentem, to już zawsze. Znasz zasady tej gry, Warburton.

– Tak jest.

– Dobrze. Zgłoś się po służbową kartę kredytową przed wyjściem. Tylko nie szalej za bardzo.

– Postaram się nie przesadzić. – Simon postawił szklankę na stole i podniósł się z fotela.

– A kiedy wrócisz, będzie czekał na ciebie miły awans. – Jenkins wstał i uścisnął mu dłoń. – Do widzenia. Bądźmy w kontakcie.

Patrzył, jak Warburton wychodzi. To był utalentowany agent. Zarówno sir Henry, jak sam Jenkins wyznaczali go do najtrudniejszych zadań. Biorąc pod uwagę historię z Haslam, ten facet naprawdę wykazał się nie lada determinacją. Może luksusowe wakacje ukoją trochę jego ból.

Poczęstował się najlepszym trunkiem z karafki sir Henry'ego i z przyjemnością rozejrzał się po swoim nowym królestwie.

Zoe patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Pociągnęła włosy, które splotła ciasno we francuski warkocz fryzjerka zamówiona do pałacowych apartamentów.

– Za mocno – mruknęła rozdrażniona, próbując poluzować kosmyki i nadać fryzurze bardziej naturalny wygląd. Makijaż też

był zbyt mocny, więc całkiem go zmyła i zaczęła się malować od nowa. Przynajmniej sukienka od Givenchy, falująca niczym morze szafirowego szyfonowego nieba, była przepiękna, nawet jeśli Zoe sama by takiej nie wybrała.

– Czuję się jak wystrojona lalka – szepnęła żałośnie do swojego odbicia.

A na domiar złego, Art zadzwonił do niej godzinę temu i uprzedził, że się spóźni, bo zatrzymały go jakieś inne obowiązki. To oznaczało, że spotkają się dopiero w kinie. Co z kolei równało się temu, że kiedy wysiądzie z auta, będzie musiała stawić czoło prasie sama jedna. Co gorsza, dzwonił też Jamie i wydawał się strasznie smutny. Jakoś nie mógł zadomowić się znów w szkole. Przycinki chłopaków były dla niego zbyt przykre.

W dodatku miała już tylko dwadzieścia cztery godziny na to, by odrzucić propozycję Hollywood, a do tej pory jeszcze nie mówiła nic o tym Artowi…

– James, Joanna i Marcus nie żyją, a Simon wyjechał! – krzyknęła, a potem osunęła się na podłogę. Zrozpaczona myślała o poprzednim dniu i wspominała spotkanie z Simonem.

Powiedział, że jemu też będzie jej brakowało.

– O Boże! Jak ja go kocham – jęknęła. Wiedziała, że użala się nad sobą, kiedy wszyscy na świecie mogą jej tylko zazdrościć. Jednak w tej chwili czuła się najbardziej samotną osobą pod słońcem…

Zadzwoniła jej komórka. Wstając, zobaczyła, że to Jamie, i szybko odebrała.

– Cześć, kochanie – powiedziała tak wesoło, jak tylko mogła. – Co tam u ciebie?

– O, w porządku. Zastanawiałem się tylko, co robimy podczas przerwy semestralnej w przyszłym tygodniu.

– Aaa… co chciałbyś robić?

– Nie wiem. Byle wyjechać ze szkoły. I Anglii.

– Dobrze, kochanie. W takim razie coś sobie zarezerwujemy.

– Mogłabyś to załatwić? Teraz, kiedy mieszkasz w pałacu?

– No przecież… – Miał sporo racji. – Sprawdzę, co jest możliwe.

– Dobrze. W końcu Simon mógłby przyjechać i nas zabrać, prawda?

– Jamie, Simona już tu nie ma.

– Ach, tak. – Zoe usłyszała, że głos mu się załamał. – Będzie mi go brakowało.

– Tak. Mnie też. Słuchaj, pomówię z Artem, i zobaczymy, co da się zrobić.

– Dobrze – odparł żałośnie Jamie. – Kocham cię, mamo.

– Ja ciebie też. Do zobaczenia w przyszły piątek.

– Tak. Pa, pa.

Zoe odłożyła telefon i podeszła do okien, które wychodziły na cudowne pałacowe ogrody. Miała ochotę otworzyć drzwi, zbiec po schodach ileś tam kondygnacji w dół, a potem ruszyć pędem labiryntem korytarzy wyłożonych bezcennymi dywanami i zagubić się w nich. Przez ostatnie dziesięć dni o mało nie oszalała z klaustrofobii, co mogłoby wydawać się idiotyczne, bo pałac był ogromny. Czuła się jak w dniu, kiedy osaczono jej dom na Welbeck Street. Tylko że wtedy była z Simonem, który sprawił, że to było do wytrzymania.

Jak bardzo pragnęłaby znaleźć się poza tymi wysokimi murami, móc wyjść na ulicę, do sklepu, sama kupić mleko. Tutaj każde jej życzenie było dla służby rozkazem. Mogła mieć wszystko, czego zapragnie. Poza wolnością, by wchodzić i wychodzić wedle woli.

– Nie dam rady – szepnęła sama do siebie i zaszokowało ją, że po raz pierwszy wyraziła w słowach, co czuje. – Zwariuję. O Boże, chyba zwariuję…

Odeszła od okna, a potem zaczęła chodzić po ogromnej sypialni, starając się obmyślić, co robić.

Czy kocha Arta dość mocno, by poświęcić wszystko, czym dotąd żyła? Nie mówiąc już o szczęściu swojego dziecka? Jaki gotuje mu los? Po dziesięciu dniach w pałacu zdawała sobie jasno sprawę, że zdaniem „rodziny" jej syn powinien pozostać daleko, w cieniu. Próbowała zapytać Arta, co to oznacza w praktyce.

– Tak czy inaczej, czeka go jeszcze osiem lat w szkole z internatem, kochanie. A co do wakacji, będziemy decydować na bieżąco.

– To jest twój syn – syknęła Zoe.

Ktos zapukał do drzwi.

– Już idę! – zawołała.

Wepchnęła telefon do malutkiej torebki, którą jej dobrał do sukni stylista, wzięła głęboki wdech i ruszyła do drzwi.

*

Simon w ostatniej chwili dobiegł do bramki.

– Może pan już wsiadać, panie Warburton? Właśnie zamykamy listę pasażerów.

– Oczywiście.

Simon podawał kartę pokładową i paszport, kiedy usłyszał dzwonek swojej komórki.

Popatrzył na wyświetlający się numer i zobaczył, że to Zoe. Natychmiast odebrał. Nie potrafił się powstrzymać.

– Jak się masz, Zoe?

– Paskudnie. – Usłyszał, że płacze. – Uciekłam.

– Uciekłaś, skąd?

– Z pałacu.

– Dlaczego? Jak…? Gdzie jesteś?

– Chowam się w toalecie kawiarni na Soho.

– Co takiego?! – Simon ledwie ją słyszał.

– Jechałam na premierę i powiedziałam kierowcy, że muszę natychmiast skorzystać z toalety, zanim dotrzemy na miejsce. Ja nie dam rady. Po prostu… nie mogę. Simon, co mam robić?

Nie zwracał uwagi na ponaglające gesty zaniepokojonych pracowników przy bramce, bo słyszał, że ona szlocha.

– Naprawdę nie wiem, Zoe. A co byś chciała zrobić?

– Chcę…

Nastąpiła chwila milczenia, a kobieta przy bramce pokazała na migi, że chyba poderżnie sobie gardło, jednocześnie wskazując na drogę wiodącą do samolotu.

– Tak?

– Och, Simon, ja chcę być z tobą!

Kompletnie go zatkało.

– Jjj…esteś pewna?

– Tak! Czy inaczej stałabym teraz w śmierdzącej toalecie w sukni wartej tysiące? Ja… cię kocham!

Pracownica linii lotniczych pokręciła głową, wzruszyła ramionami i zamknęła bramkę. Simon uśmiechnął się do niej.

– W takim razie – odezwał się – skąd trzeba cię teraz wyratować?

Podała mu adres.

– Dobrze – powiedział, idąc korytarzami z powrotem do hali wylotów. – Spróbuj znaleźć wyjście awaryjne. Zwykle prowadzi przez kuchnię. I daj mi znać.

– Dobrze, wiem. Dziękuję, Simon. – Zoe uśmiechnęła się szeroko do słuchawki.

– Będę po ciebie w niecałą godzinę. A tak przy okazji…

– Tak?

– Ja też cię kocham.

AIP

Promocja piona na królową

(*Pion, który osiągnie ostatnią linię, może zostać promowany na najsilniejszą figurę na szachownicy*).



43

La Paz, Meksyk
czerwiec 1996

Simon wszedł do Cabana Café, lokalu, którego szumna egzotyczna nazwa kłóciła się z byle jakim, obskurnym wnętrzem. Przywiozła go tu taksówka. Jechali wzdłuż malowniczej promenady nadmorskiej i okolic przyciągających turystów, aż zatrzymali się w mniej wymuskanym rejonie skądinąd pięknego miasta. Mury pobazgrane graffiti, grupka znudzonych młodych mężczyzn wyraźnie szukających okazji do rozróby. Jednak plaża ścieląca się przed nim była zachwycająca. Pacyfik mienił się akwamaryną za pasem białego piasku, na którym gdzieniegdzie tylko widać było nielicznych turystów opalających się w jaskrawym słońcu.

Zamówił podwójne espresso u Meksykanina pocącego się za barem, po czym odszedł do stolika przy otwartym oknie.

Rozejrzał się, ale jedyną kobietą była tu wysoka opalona na złocisty brąz blondynka o wysportowanej sylwetce w typie kalifornijskim. Patrzył, jak ześlizguje się ze stołka przy barze.

– Ma pan towarzystwo? – spytała, idąc w jego kierunku. Jej wymowa wskazywała, że to Amerykanka.

– Nie, ale czekam na kogoś.

Usiadła i z wylewnym akcentem z Yorkshire dodała:

– Tak, Simon, ty zakuta pało. Czekasz na mnie!

Simon był zszokowany, jak bardzo się zmieniła. Znał ją od wczesnego dzieciństwa, ale nigdy w życiu by nie powiedział, że to ona. Jedyne, co pozostało jej z dawnych czasów, to te orzechowe oczy.

Niedługo potem wyszli z kawiarni i ruszyli na plażę, gdzie usiedli na piasku. Chciała wszystko wiedzieć. Jak to ona, ze szczegółami.

– Mój pogrzeb wypadł dobrze?

– Niezwykle wzruszająca uroczystość. Wszyscy żałobnicy tonęli we łzach. Nie wyłączając mnie.

– Miło mi, że nie byłam im obojętna – zażartowała. – Szczerze mówiąc, muszę się śmiać, bo inaczej stale bym płakała.

– Kochali cię, słowo.

– Jak znieśli to mama i tata?

– Chcesz znać prawdę?

– No jasne.

– Byli zdruzgotani.

– O Boże, Simon, ja… – głos jej się załamał. Zrzuciła sandały i wbiła palce stóp w piasek. – Szkoda, że nie mogę… – Pokręciła głową. – Tak bardzo chciałabym im powiedzieć.

– Joanno, nie było innego sposobu.

– Wiem.

Siedzieli razem w milczeniu i patrzyli w morze.

– Jak sobie radzisz… cudownie ocalona? – zapytał.

– O, jakoś mi się udaje, choć nie jest łatwo być bezimienną. Zrobiłam, co kazałeś, i pozbyłam się paszportu i kart kredytowych Moniki Burrows, kiedy tylko dotarłam do Waszyngtonu, a potem pojechałam do Kalifornii i zapłaciłam kupę forsy temu człowiekowi, na którego dałeś mi namiar, żeby przewiózł mnie przez granicę.

Pracowałam w barze niedaleko stąd ostatnich parę tygodni. Już prawie nie mam pieniędzy.

– Ale przynajmniej zdołałaś wydostać się z Wielkiej Brytanii żywa.

– Tak, choć czasem zaczynam się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby, gdybym wtedy umarła. Chryste, tak mi ciężko, Simon. Staram się nie poddawać, ale…

– Chodź tutaj. – Simon przyciągnął ją do siebie, a ona wypłakiwała cały swój żal. Delikatnie gładził ją po włosach. Oddałby wszystko, byle nie potoczyło się to tak, jak się potoczyło.

– Przepraszam… – Joanna usiadła i szybkim gestem otarła oczy zaciśniętymi w piąstki dłońmi. – To twój widok tak mnie rozkleił. Już nie będę, słowo.

– Boże, nie przepraszaj, Jo. Byłaś niesamowita, naprawdę. Mam coś dla ciebie.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął kopertę.

– Zgodnie z obietnicą.

– Dziękuję.

Joanna wzięła kopertę i wyciągnęła amerykański odpis aktu urodzenia, paszport i kartę z numerem.

– Margaret Jane Cunningham – przeczytała. – Urodzona: Michigan tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siedem… Hej, Simon! Postarzyłeś mnie o rok! Pewnie na szczęście.

– Przepraszam. To było najbliższe prawdy, co mogłem znaleźć wśród dostępnych zestawów dokumentów.

– Jesteś pewien, że są autentyczne?

– Joanno, wierz mi, są w porządku, wystarczy dodać zdjęcie. Zostawiłem plastik otwarty, żebyś mogła je wsunąć. Dobrze zrobiłem, bo wyglądasz teraz jak dziewczyna ze Słonecznego Patrolu. Nawet mi się to podoba.

– No cóż, pozostaje mi sprawdzić, czy rzeczywiście blondynki lepiej się w życiu bawią – prychnęła Joanna. – A skoro już o blondynkach, jak się ma Zoe?

– Znalazła cichą przystań z Jamiem w bardzo wygodnej willi w Bel Air, dzięki MCM.

– Co?! Rzuciła Arta?

– Tak. Nie czytałaś o tym?

– O Boże, nie. Byłam zbyt przerażona, żeby dotknąć gazety przez tych kilka tygodni. Bałam się, że zaraz zobaczę swoje zdjęcie na pierwszej stronie z nagłówkiem „Poszukiwana!”. – Joanna zaśmiała się. – Jednak wiedziałam, że Zoe ma co do Arta wątpliwości. Czy to przez tamtą propozycję roli wreszcie podjęła decyzję?

– To też, ale… pewnie i przez coś innego.

Joanna widziała, jak od jego szyi wędruje wyżej znany jej nerwowy rumieniec.

– Chcesz powiedzieć…?

Uśmiechnął się.

– Tak. I jesteśmy ze sobą niesamowicie szczęśliwi.

– Tak się cieszę za was oboje. Czy twoja stara przyjaciółka Margaret Cunnigham mogłaby przyjechać na wasz ślub? – spytała. – Proszę? Nikt mnie nie rozpozna… nawet ty się nie zorientowałeś…

– Jo, znasz odpowiedź. Poza tym to nie byłoby w porządku wobec Zoe czy Jamiego. Oboje przekonaliśmy się, jakim ciężarem może być powierzona tajemnica. Wybacz, jeśli brzmi to brutalnie, ale jest jak jest.

– Wiem. Tylko… tak za nią tęsknię. I wszystkimi, których kochałam. – Joanna położyła się na piasku i popatrzyła na błękitne niebo. – W każdym razie dzięki Bogu ta cała upiorna historia ma przynajmniej jedno szczęśliwe zakończenie. Tyle osób zginęło i odeszło z jej powodu. Nawet biedny Alec.

– Wiesz co? W pewien sposób myślę, że on uznałby to za odpowiedni finał swojego życia. Przecież zginął tuż po odkryciu największego skandalu dwudziestego wieku. Do ostatka był wspaniałym, bezkompromisowym tropicielem prawdy.

– Przykro mi, Simon, ale obawiam się, że nie potrafię znaleźć w tym żadnego usprawiedliwienia dla śmierci.

– No tak.

– Nadal dręczą mnie koszmary z tego wieczoru, kiedy „umarłam". – Joannę przebiegł dreszcz. – Byłam całkowicie pewna, aż do ostatniej chwili, że mnie zabijesz.

– Musiałem udawać, żeby wyglądało to autentycznie i przekonująco dla Moniki Burrows. Potrzebowałem świadka, który do nich zadzwoni i powie, że wykonałem brudną robotę.

– Wszystkie te nasze głupie dziecinne zabawy w kowbojów i Indian na wrzosowiskach... – rzuciła z zadumą – „To moja gra. Ja wyznaczam zasady", a ja wtedy miałam powiedzieć: „Poddaję się", a ty na to...

– „...Bang, bang! Nie żyjesz" – skończył za nią Simon. – W każdym razie, Bogu dzięki za te zabawy. Dzięki nim miałem idealny sposób, żeby kazać ci udawać trupa.

– Kiedy strzeliłeś w ścianę sypialni Jamiego, to była prawdziwa kula, prawda?

– Jak najbardziej. – Simon skinął głową. – Powiem ci, że choć następne dwa naboje były ślepe, pociłem się jak mysz, bo nie miałem czasu sprawdzić wszystkiego zgodnie z procedurą. Musiałem załadować broń, idąc na górę do pokoju Jamiego. Gdybym się nie pospieszył, Monica by cię zabiła, a tego nie mogłem ryzykować.

– Jak ci się udało ją zastrzelić?

– Sądzę, że nie skupiała się za bardzo na swojej broni, kiedy

podeszła sprawdzić ci puls. Wyrwałem jej pistolet i zastrzeliłem ją z niego, zanim zorientowała się, co się dzieje.

– Boże, Simon, była młodsza ode mnie…

– Fakt, że miała tak małe doświadczenie, uratował ci życie, Jo.

Joanna wsparła się na łokciach i przypatrywała się Simonowi.

– I pomyśleć, że kiedykolwiek mogłam w ciebie zwątpić. To, co zrobiłeś dla mnie tamtej nocy… nigdy nie zdołam ci się odpłacić.

– Mam tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie dla mnie dzień sądu, On mi wybaczy. Nie było wyjścia. Ona albo ty.

– Czy twój szef był wdzięczny, że wreszcie dostał swoje złote runo po latach poszukiwań? – spytała Joanna.

– Ogromnie. Może zabrzmi to głupio, ale naprawdę pod koniec trochę mu współczułem. On tylko wykonywał swoją pracę. Próbował chronić to, w co wierzył.

– Nie, Simon. Nigdy w życiu nie uronię nad nim jednej łzy. Pomyśl o tych, którzy zginęli. Grace, William, Ciara, Ian Simpson, Alec, biedny Marcus…

– Ale to przecież nie on to wszystko zaczął, prawda?

– Pewnie masz rację.

– W każdym razie staruszek zmarł na rozległy zawał serca dzień po tym, jak oddałem mu list.

– Nie spodziewaj się po mnie żałoby.

– Jasne. Ale co ciekawe, na parę godzin przedtem, nim zjawiłaś się na Welbeck Street, doznałem olśnienia i wiedziałem już, gdzie jest ukryty list.

– Jak to?

– Czekałem w York Cottage na księcia. Miałem go przywieźć do Londynu. I zobaczyłem na ścianie oprawioną haftowaną makatkę. Niemal identyczną jak ta, którą widziałem nad łóżkiem Jamiego kilka tygodni wcześniej. Gdybym dotarł tam szybciej, może tego

wszystkiego dałoby się uniknąć. – Półleżąc, oparł się łokciem o piasek. – I wiem, jak ty odkryłaś, gdzie szukać.

– Naprawdę?

– Tak. Wyśpiewała ci to pewna sprytna stareńka ptaszyna.

W oczach Simona pojawiły się iskierki rozbawienia.

– Nic jej nie jest?

– Tak sądzę. Obiło mi się o uszy, że bezpiecznie bawi w Ameryce.

– Cieszę się. Imponująca dama – szepnęła Joanna. – Na pewno przyszło ci już do głowy, ile w tym wszystkim ironii losu? Na przykład były chłopak Zoe, o takim samym imieniu jak tamten…

– Tak. Niesamowite, co? Obecny książę był najwyraźniej zdruzgotany, kiedy Zoe go opuściła… ktoś by powiedział, że historia lubi się powtarzać.

– Bez wątpienia – zgodziła się Joanna. – A poza tym, na pewno wykoncypowałeś już sobie, dlaczego pałac był tak zdecydowanie przeciwny związkowi Zoe i księcia? Chodzi mi o to, że przecież oni są spokrewnieni przez Jamesa. Co oznacza, że Jamie jest…

– Nie wnikaj w to… – ostro uciął jej dywagacje Simon. – Powiem tylko, że wśród arystokracji śluby pomiędzy osobami spokrewnionymi to wcale nie rzadkość. Większość członków rodzin królewskich w Europie jest ze sobą spokrewniona.

– Ale pogmatwana historia.

Joanna westchnęła.

– Racja. W każdym razie, żeby zmienić temat, czy zdecydowałaś już, co teraz?

– Nie, nic poza tym, że będę używać zdrobnienia „Maggie”. Nigdy nie lubiłam imienia „Margaret”. – Joanna uśmiechnęła się blado. – Ale przynajmniej teraz, jako pełnoprawna obywatelka Stanów Zjednoczonych, mogę wreszcie zacząć myśleć o przyszłości. Na

pewno będziesz się ze mnie śmiał, zawsze marzyło mi się, żeby napisać powieść sensacyjną.

– Jo…

– Mówię całkiem poważnie. Przecież i tak nikt w coś takiego nie uwierzy, przyznaj, to czemu nie? Oczywiście zmieniłabym imiona, nazwiska.

– Ostrzegam, nie rób tego.

– Zobaczymy. A co z tobą? – spytała.

– Zoe i ja postanowiliśmy zostać w najbliższym czasie w LA. Pomyśleliśmy, że mądrze byłoby zacząć wszystko od nowa, a wygląda na to, że kiedy *Blithe Spirit* trafi na ekrany, posypią się propozycje innych ról dla Zoe. Parę dni temu wybraliśmy się rozejrzeć po okolicy i poszukać najlepszej szkoły. W swojej Jamie czuł się ostatnio okropnie. Tutaj każdy ma znaną mamę czy tatę, więc nie będzie się wyróżniał.

– A co z twoją pracą?

Simon wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Zaproponowano mi przeniesienie do tutejszego oddziału, ale Zoe ma ten szalony pomysł, żebym otworzył restaurację. Chce mnie w tym wspierać.

Joanna zachichotała.

– Zawsze mówiliśmy o czymś takim. Sądzisz, że zdołasz zostawić za sobą dawne życie?

– Prawda jest taka, że nie jestem zabójcą. Fakt, że musiałem odebrać komuś życie w tej akcji, nie da mi spokoju do końca moich dni. – Simon pokręcił głową. – I niech mnie Bóg ma w opiece, jeśli Zoe kiedykolwiek odkryje, co zrobiłem. Albo Jamie.

Joanna położyła dłoń na jego ręce.

– Uratowałeś mi życie, Simon. To zrobiłeś.

– Racja. – Ujął jej dłoń i ścisnął. – Joanno, wiesz, że dla twojego

własnego dobra nie możemy się już spotykać.

– Wiem – przyznała ze smętnym wzruszeniem ramion.

– A tak przy okazji, mam dla ciebie coś jeszcze.

Z kieszeni szortów wydobył kopertę i jej podał.

– Co tu jest?

– Dwadzieścia tysięcy funtów w dolarach. To cały bonus, jaki dostałem za odnalezienie listu. Należy się tobie i oby pomógł ci zacząć nowy rozdział.

Oczy Joanny wypełniły się łzami.

– Simon, nie mogę tego przyjąć.

– Ależ możesz. Zoe zarabia krocie, a mój szef uparł się zwrócić mi wszelkie wydatki, które ponosiłem w Stanach, prowadząc śledztwo w sprawie zniknięcia Moniki.

– Dziękuję, Simon. Obiecuję, że zrobię z tych pieniędzy dobry użytek.

– Tego jestem pewien.

Patrzył, jak Joanna składa kopertę i pakuje do plecaka.

– Tam jest coś jeszcze. Myślałem, że powinnaś mieć przynajmniej satysfakcję to sobie przeczytać – dodał. – Więc…

Pociągnął ją, by wstała.

– Obawiam się, że czas się pożegnać.

Przygarnął ją mocno do siebie.

– O Boże. – Rozszlochała się wtulona w jego ramię. – Nie mogę znieść myśli, że nigdy już cię nie zobaczę.

– Wiem. – Delikatnie otarł palcem jej łzy. – Bywaj, moja Butch.

– Trzymaj się, Sundance – szepnęła.

Uniósł dłoń w geście pożegnania i odwrócił się od niej. Dopiero kiedy nie było go już widać z plaży, wzięła plecak i podeszła do brzegu wody.

Uklękła na piasku i poszukała chusteczki, by wytrzeć cieknący

od płaczu nos. Potem sięgnęła do koperty, którą jej dał, wyjęła kartkę i rozłożyła ją.

York Cottage
Sandringham
10 maja 1926 roku

Mój ukochany Siamie!

Zrozum, że piszę to jedynie ze względu na moją miłość do Ciebie, z obawy, że inni mogą chcieć Cię skrzywdzić, nie zważając na mnie czy zdrowy rozsądek. Oby ten list powierzony zaufanym dłoniom z boską pomocą dotarł do Ciebie bezpiecznie.

Muszę podzielić się z Tobą radosną nowiną o narodzinach naszej córeczki. Ma Twoje oczy i chyba Twój nos. Nawet jeśli krew, która płynie w jej żyłach, nie jest królewska, Twoje dziecko to prawdziwa księżniczka. Tak bardzo chciałabym, aby mógł zobaczyć ją jej prawdziwy ojciec, by mógł ją przytulić, ale oczywiście to wykluczone i z tym wielkim smutkiem będę musiała borykać się do końca swoich dni.

Mój Ukochany, błagam, abyś dobrze ukrył ten list. Jego istnienie powinno trzymać w szachu tych kilku, którzy znają prawdę i w ten sposób pozwoli Ci przejść przez życie bezpiecznie. Wierzę, że zniszczysz go, gdy nadejdzie Twój czas, by żegnać się z tym światem. Zrób to dla dobra naszej córki, by historia nigdy nie odnotowała tego, co się wydarzyło.

Mój Miły, nie mogę już więcej do Ciebie pisać,
pozostaję Twoja na zawsze

List kończył się słynnym zamaszystym podpisem. A to, że była to

tylko fotokopia, nie umniejszało wagi tego, co przeczytała przed chwilą Joanna.

Malutka księżniczka, która urodziła się w rodzinie królewskiej, została spłodzona w najbardziej niezwykłych okolicznościach, przez plebejusza. To dziecko było wówczas piąte w kolejności do tronu i szanse, że kiedykolwiek zostanie koronowane, były nikłe. Lecz potem, zrządzeniem losu, na skutek tego, że inni też przedkładali miłość ponad obowiązek, mała księżniczka stała się królową.

Joanna wstała z listem w ręku. Ogarnęła ją przemożna chęć, by pomścić krzywdy, swoje i innych, których życie zniszczono. Jednak gniew opuścił ją tak szybko, jak się pojawił.

– Nareszcie to się skończyło – szepnęła do duchów, które mogły jej słuchać.

Podeszła do wody, podarła papier i patrzyła, jak jego strzępki porywa wiatr. A potem odwróciła się i poszła z powrotem do Cabana Café, by utopić smutki w tequili z lemoniadą.

Trzymając w dłoniach szklaneczkę, wiedziała, że tego dnia zaczyna nowe życie. Będzie musiała jakoś zebrać siły, by wyjść mu naprzeciw, ruszyć naprzód i zostawić przeszłość za sobą.

Zwykle robi się to z pomocą przyjaciół i rodziny. A ona była całkiem sama.

– Jak temu podołam? – szepnęła, zamawiając kolejną tequilę. Zdała sobie sprawę, że perspektywa spotkania z Simonem była dla niej jak lina ratunkowa. Teraz nie miała nawet tego. Więź z wszystkimi, których dotąd znała, została zerwana na zawsze.

– O mój Boże – zamruczała, kiedy dotarło do niej z całą mocą, co to oznacza.

– Hej, masz może ogień?

– Nie palę, przykro mi.

Joanna zignorowała ten męski głos o wyraźnie amerykańskim akcencie. Tu, w Meksyku, faceci ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu.

– Nie ma sprawy.

Potem usłyszała, jak nieznajomy zwraca się do barmana:

– Poproszę zapalniczkę i sok pomarańczowy.

Kątem oka dostrzegła, że siada na stołku obok niej.

– Chcesz powtórkę?

– Ja…

Ten typowo angielski zwrot kazał jej odwrócić się i spojrzeć na sąsiada. Był opalony na ciemny brąz, miał na sobie szorty w jaskrawych kolorach, T-shirt i słomkowy kapelusz naciągnięty na długie, ciemne włosy. Rozpoznała go, dopiero kiedy zobaczyła jego oczy, które wydawały się jeszcze bardziej niebieskie przy ciemnej cerze.

– Czy ja już cię kiedyś nie spotkałem? – uśmiechnął się do niej. – Nie jesteś przypadkiem Maggie Cunningham? Chyba studiowaliśmy razem przez rok na uniwerku w Nowym Jorku.

– Ja… – Joanna zająknęła się, serce tłukło się jej w piersi. Czy to jakaś dziwna halucynacja spowodowana tequilą? A może test Simona, czy ona się nie zdradzi? Ale przecież on nazwał ją „Maggie”…

Zdawała sobie sprawę, że gapi się na niego z otwartymi ustami. Rozpaczliwie chciałaby uwierzyć swoim oczom, ale…

– Tak czy inaczej, zamówię ci następną kolejkę. – Skinął na barmana, by ten napełnił jej szklankę. – Może wyjdziemy na zewnątrz, powspominamy sobie dawne czasy, co?

Kiedy ruszyła za nim, zdecydowała, że najlepiej się nie odzywać, bo to po prostu nie mogło… nie mogło dziać się naprawdę.

Prowadził ją do stolika na uboczu po rozchwierutanym

drewnianym tarasie. Zauważyła, że mocno kuleje. Usiadła gwałtownie.

– Kim jesteś? – wymamrotała, marszcząc brwi.

– Wiesz, kim jestem, Maggie – powiedział z typowym dla niego angielskim akcentem. – Na zdrowie.

Uniósł szklankę.

– Jak… Skąd ty się tu wziąłeś?

– Pewnie podobnie jak ty. A przy okazji, mam na imię Casper, twój prywatny przyjazny duch. – Popatrzył na nią i uśmiechnął się. – Wcale nie żartuję.

– O mój Boże – szepnęła, gdy jedna jej dłoń bezwiednie wyciągnęła się, by go dotknąć, potwierdzić, że on istnieje naprawdę.

– I dodam, że moje nazwisko brzmi „James". Pomyślałem, że do mnie pasuje. Jestem szczęściarzem. W odróżnieniu od ciebie mogłem sam wybrać, jak się będę nazywał.

– Ale jakim cudem…? Dlaczego…? Marcus, myślałam, że ty…

– Nie żyję, tak. Ale proszę, mów do mnie „Casper" – upomniał ją cicho. – Jak wiesz, ściany miewają uszy. Szczerze mówiąc, sądzili, że naprawdę wykituję. Niewydolność wielonarządowa. Po operacji bardzo długo byłem w śpiączce. A potem, kiedy wreszcie odzyskałem przytomność, rodzina i media były już powiadomione o mojej śmierci.

– Dlaczego coś takiego zrobili?

– Doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie nie byli pewni, ile wiem, przetransportowali mnie więc do jakiegoś prywatnego szpitala i mieli mnie pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mogli ryzykować, że się obudzę i zacznę coś pleść lekarzowi czy pielęgniarce, którzy mi się akurat nawiną. Najwyraźniej chcieli, żeby wyglądało to na zwyczajny wypadek na polowaniu i nie prowokowało dalszych pytań. Byli pewni, że i tak

umrę, więc nieco przyspieszyli mój zgon. Kiedy się obudziłem, a mój organizm podjął funkcje życiowe, mieli z tym mały problem.

– Jakim cudem cię nie dobili? – szepnęła. – Oni zwykle tak robią.

– Sądzę, że maczał w tym palce twój kumpel Simon, a może raczej powinienem powiedzieć, mój daleki, nieznany dotąd kuzyn. – Marcus mrugnął do niej. – Podobno wspomniał swoim zwierzchnikom, że wyrwałem Ianowi Simpsonowi list i schowałem go gdzieś, zanim wpadliśmy do wody. I dlatego ten bydlak do mnie strzelił. Musieli więc utrzymywać mnie jeszcze trochę przy życiu, żebym oprzytomniał i żeby można to było sprawdzić. Jasne?

– Simon cię krył…

– Tak. A potem dał mi list, albo to, co z niego zostało, bym im to oddał. I kazał mi powiedzieć, że nic nie wiem. Że po prostu Ian Simpson zapłacił mi jakąś kwotę za znalezienie listu. A potem od razu poinformował mnie, że oficjalnie umarłem i spytał, jak chcę się teraz nazywać.

– Odmówiłeś?

– Maggie – Marcus ciężko westchnął – pewnie znów nazwiesz mnie tchórzem, ale ci ludzie… oni nie cofną się przed niczym. Ja wtedy właśnie wstałem z martwych i niespecjalnie uśmiechał mi się powrót na tamtą stronę.

– Nie jesteś tchórzem, Marcus… to znaczy, Casper – niepewnie wyciągnęła dłoń i położyła na jego dłoni. – Tamtej nocy uratowałeś mi życie.

– I jestem pewien, że Simon uratował moje. To naprawdę dobry facet, choć nadal nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Może pewnego dnia mnie oświecisz. – Marcus zapalił papierosa, a Joanna zauważyła, że jego lewa dłoń stale leciutko drży.

– Może.

– W każdym razie – uśmiechnął się – jestem.

– Gdzie się podziewałeś przez cały ten czas?

– W centrum rehabilitacji w Miami. Najwyraźniej kule, które mnie trafiły, musnęły kręgosłup. Ocknąłem się sparaliżowany od pasa w dół. Teraz jest lepiej, choć upłynęło sporo czasu, nim znów nauczyłem się chodzić. I z whisky już koniec, niestety. – Wskazał na sok w szklance przed sobą. – Ale tam, dokąd wysłał mnie Simon, było naprawdę super. Wszystkie koszty pokryte…

Uśmiechnął się.

– To dobrze.

Przez chwilę siedzieli, po prostu patrząc na siebie w milczeniu.

– To jest jak jakiś sen – odezwał się wreszcie Marcus.

– Ty mi to mówisz – szepnęła Joanna.

– Myślałem, że Simon żartuje, kiedy wpadł i powiedział, że zabiera mnie do Meksyku, gdzie spotkam kogoś, kogo znam. Po prostu… Nie mogę się nadziwić, że tu jesteś.

Marcus pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Racja… szczególnie że oboje już nie żyjemy.

– A może to życie po życiu… ale jeśli nawet – wskazał ręką w kierunku plaży – to całkiem mi się tu podoba. I wiesz, zawsze kręciły mnie blondynki…

– Mar… Casper, zachowuj się, proszę!

– Widzisz, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – Uśmiechnął się do niej, wziął ją za rękę i uścisnął. – Tęskniłem za tobą, Jo – szepnął. – Okropnie.

– Ja też za tobą tęskniłam.

– No to teraz dokąd? – zapytał.

– Dokądkolwiek chcemy, jak sądzę. Cały świat, oczywiście poza Anglią, stoi przed nami otworem.

– Co powiesz na Brazylię? – zaproponował. – Przyszedł mi do głowy niesamowity pomysł na film.

Joanna zachichotała.

– No, nawet MI5 może mieć problemy z odszukaniem nas w Amazonii. Jestem za.

– No to chodźmy – powiedział, wstając. – Zanim zaplanujemy resztę naszej wspólnej przyszłości, pomogłabyś temu, co ze mnie zostało, przejść się plażą? Mam nagłą potrzebę położyć się na piasku i wycałować cię całą. Nawet bez czekoladowego sosu.

– Dobrze.

Joanna uśmiechnęła się i też podniosła się z krzesła.

Z miejsca położonego nieco wyżej nad plażą Simon obserwował parę młodych ludzi, którzy mocno objęci szli wolno po piasku, naprzeciw nowego życia, które na nich czekało.

AIP

Epilog

Los Angeles
wrzesień 2017

Simon zastał Zoe na leżaku przy basenie. Popatrzył na jej nadal jędrne ciało i lekko opaloną skórę. Zdawała się ciągle tak samo młoda, mimo upływu dwudziestu lat i dwóch ciąży.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Gdzie dzieci?

– Joanna poszła na osiemnastkę koleżanki, i pozwól, że zaznaczę, w najkrótszej mini, jaką w życiu widziałam, a Tom jest na meczu baseballu. Wcześnie wróciłeś. W restauracji dziś mniejszy ruch?

– Nie. Pełno ludzi, ale mam trochę papierkowej roboty, a tam w biurze nie mogę się skupić, bo stale ktoś czegoś ode mnie chce. Co czytasz? – spytał, zaglądając jej przez ramię.

– O, taki nowy thriller. Wyszedł w zeszłym tygodniu. Wszyscy o nim mówią. W fabułę wplątana jest brytyjska rodzina królewska, więc pomyślałam, że zobaczę, może mi się spodoba – powiedziała z uśmiechem.

Z sercem bijącym jak nigdy, od kiedy odszedł z dawnej pracy, Simon rzucił okiem na okładkę.

Tajemnica listu

Joanno, nie…!

– Jasne – rzucił.

– Dość wciągające, choć oczywiście kompletnie nieprawdopodobne. Przecież takie rzeczy się nie zdarzają, prawda? Co, Simon? – zagadnęła raz jeszcze, bo nie odpowiadał.

– Nie, ma się rozumieć, że nie. Dobrze. Idę zrobić sobie coś zimnego do picia. Chcesz coś?

– Trochę mrożonej herbaty, jak już jesteś taki dobry.

Simon ruszył do domu. Był cały zlany potem. Wszedł do gabinetu, rzucił teczki z rachunkami z restauracji na biurko i sprawdził maile na iPhonie.

A/P

I.jenkins@thameshouse.gov.uk
temat: pilne
Zadzwoń. Coś się stało.

Przypisy

[1] Nawiązanie do filmu *Butch Cassidy i Sundance Kid* o niezwykłej przyjaźni dwóch rewolwerowców.

[2] W irlandzkiej mitologii rodzaj skrzata.

[3] William Szekspir, *Hamlet*, przeł. Maciej Słomczyński.

AIP